

Marsha Canham

Honor klanu

Prolog

Owe waleczne czyny, przemyślne knowania, obłąkańcze rojenia, które rodzi straceńczy honor.

Autor nieznany

Inverness, maj 1746

Strach dławił ją jak ciężka derka narzucona na głowę. Anne Farquharson Moy widziała na własne oczy straszliwą masakrę pod Culloden, więc sądziła, że nic jej już nigdy nie przerazi, a jednak niekiedy serce tłukło się jej w piersi tak gwałtownie, że myślała, iż lada moment może pęknąć. Usta miała suche, dłonie drżały jak u staruszki. Oślizgłe kamienne ściany celi zdawały się zacieśniać wokół niej, każdego dnia przestrzeń jakby się kurczyła coraz bardziej, a powietrze było duszne i stęchłe; oddychała z trudem.

I jeszcze te odgłosy...

Mrozące krew w żyłach i rozdzierające jak wrzaski, które słyszała w snach dręczących ją we dnie i w nocy. Widziała, jak armia księcia umiera na przesiąkniętym krwią wrzosowisku Culloden, jak angielskie kartacze padają na atakujących górali, rozrywają się i zwalają ich niczym kręgle. Widziała niewyobrażalne cierpienia ojców tulących w ramionach padłych synów, braci czołgających się i wlokących na pokiereszowanych kończynach, by umrzeć u boku braci. I słyszała ich wołanie o łaskę, gdy Anglicy dopełniali rzezi, zabijając tych, którzy leżeli jeszcze żywi na polu chwały.

Odgłosy, które słyszała w celi więziennej, to były ciche, ledwie słyszalne jęki umierającej wiary, podeptanej dumy i całkowitej beznadziejności, przenikającej ściany starego kamiennego gmachu sądu w Inverness.

Była w celi sama. Cumberland nazwał to luksusem, gdyż bywało, że i stu na wpół zagłodzonych mężczyzn tłoczyło się na obszarze, gdzie normalnie przebywało nie więcej niż dwudziestu. Niektórzy z ropiejącymi ranami, zbyt słabi lub ze zbyt wysoką gorączką, by mogli odtoczyć się na bok od własnych ekskrementów. Placek owsiany i mały cynowy kubek wody stanowiły dzienną rację. Prośby i błagania pozostawały bez echa. Słabi dochodzili w końcu do

takiego stanu, że woleli nie marnować sił na daremne próby i po prostu umierali w ciszy. Silniejsi trwali w zapiekłym gniewie i skuleni w ciemnych kątach stawiali opór w jedyńy sposób, jaki im pozostał - żyjąc uparcie nadal.

Jak mogliby okazać mniej odwagi niż dumna i nieugięta lady Annę Moy, która plunęła w świńską twarz Rzeźnikowi Cumberlandowi, dając w ten sposób wyraz całej pogardzie, jaką w niej budził. Przychodził do więzienia trzykrotnie w ciągu minionych sześciu tygodni i proponował, że ją uwolni w zamian za dostarczenie królowi dowodów przeciwko przywódcom jakobitów. Za każdym razem Anne odsyłała go precz i odchodził jak niepyszny, mamrocąc niemieckie przekleństwa.

Brzemie, które na nią spadło, na jej szczupłe barki, ciążyło jej straszliwie, i w czasie ostatniej z tych wizyt była bliska zaakceptowania oferty Cumberlanda, choć się do tego nie chciała przed sobą przyznać. Ale on wybrał na miejsce spotkania otwarty dziedziniec pod oknami, z których wychylały się napięte, udręczone twarze innych więźniów. Ci dzielni ludzie tyle już stracili, walcząc za sprawę od początku skazaną na przegraną. Jeśli potrafiła jedynie ofiarować im ten ostatni strzęp dumy i honoru, przy którym by mogli trwać, nie było to zbyt wiele. Jej poświęcenie żałośnie traciło na znaczeniu z każdym mijającym dniem, z każdą godziną, w której wieszano za zdradę kolejnych jakobitów i która przybliżała nieuchronnie jej własną śmierć.

Rude włosy Anne, tak niegdyś lśniące, pozbijały się teraz w zmatowiałe od brudu strąki. Wychudła tak, że zostały z niej skóra i kości. Stale trzęsa się z zimna mimo dodatkowego koca, który jakiś litościwy strażnik przemycił przez kraty. Pod oczami potworzyły się jej głębokie sińce, dłonie pokrywały brudne plamy, paznokcie pękały od wielokrotnego podciągania się na rękach do wąskiego okienka w celi.

Uniosła przezroczytą niemal dłoń do słabego światła i nie potrafiła stłumić łkania, które narastało gdzieś w głębi gardła. Była tak wychudzona, że już nie mogła nosić pierścienia, który Angus dał jej w dniu ich ślubu. Pewnej nocy pierścień zsunął się z palca i Annę wpadła prawie w szal - rozgrzebywała zaciekłe słomę i brud na podłodze tak długo, dopóki nie odnalazła zguby.

Od chwili aresztowania nie była jeszcze tak bliska wybuchnięcia płaczem jak wtedy. Tak bliska tego, by wykrzyknąć przysięgę samemu diabłu, gdyby mógł ją zabrać z tego miejsca.

Nie wiedziała nawet, czy Angus żyje, czy nie. Cumberland zapewnił ją, że mąż jakimś cudem trzyma się przy życiu, ale ona nie miała powodów mu wierzyć, nie ufała mu w ogóle. Sam zresztą powiedział, że rany brzucha są

najbardziej niebezpieczne i najczęściej bywają śmiertelne, choćby nawet chirurg dysponował najwyższymi umiejętnościami.

Anne zacisnęła dłoń w pięść i przytknęła ją do ust.

Duża lśniąca łza wymknęła się pomiędzy jej rzęs i wolno stoczyła się po policzku aż na brodę. Tam zawisała przez chwilę, mieniając się jak płynny diament, po czym spadła pomiędzy inne plamy, ciemniejące na staniku sukni. Strojna niegdyś szata była brudna, jedwab wyblakł i poprzedzierał się w wielu miejscach. Kilku warstw marszczonych płóciennych halek Anne pozbyła się po pierwszym tygodniu spędzonym w celi i teraz służyły jej za pościel. Płaszcz zniknął, oddała go innemu więźniowi, którego dręczyła gorączka. W ciągu kolejnych tygodni przehandlowała po kolei trzewiki, rękawiczki, a nawet guziki w kształcie rozetek, które przyozdabiały jej stanik, za kęski sera lub dodatkowe kromki czarnego chleba.

Gdy nie miała już czego sprzedać, jeden z angielskich strażników doradził jej, że mogłaby w inny sposób zasłużyć sobie na łaskawsze traktowanie, ale kiedy pierwszy raz przyszedł nocą do jej celi, opuścił ją zgięty wpół z jądrami prawie wkopanymi do kieszeni.

Spodziewała się, że wróci z kamratami, ale już nigdy nie zobaczyła jego brzydkiej twarzy, a jeden z mężczyzn z sąsiedniej celi szeptem zapewnił ją, że człowiek ten zniknął na zawsze. Nikt nigdy więcej go nie zobaczy po zniewadze, na jaką sobie pozwolił wobec walecznej pułkownik Anne.

Ci ludzie nie wiedzieli, że najokrutniej sza zniewaga już ją spotkała ze strony samego Cumberlanda. Nie wiedzieli też, że to Annę własną ręką wbiła ostrze szabli w brzuch męża.

1

Hrabstwo Inverness, grudzień 1745

Droga była wąska i rozjeżdżona, grząska w miejscach, gdzie potworzyły się kałuże z topniejącego śniegu. Tam gdzie się dało, dwoje jeźdźców starało się prowadzić konie po zamarzniętych trzcinach, a niejednokrotnie całkiem porzucali utarty szlak i ruszali na przełaj przez pola lub ścinali róg wrzosowiska, by skrócić sobie drogę z Moy Hall do Dunmaglass. Przewidując uciążliwą jazdę, Anne Farquharson Moy ubrała się po męsku, w obcisłe spodnie z tartanowej wełny, ciepłą wełnianą koszulę i skórzany kubrak, a do tego owinęła się szczelnie wokół pasa tartanem - wełnianym, kraciastym pledem - i ułożyła go na ramionach tak, by się choć trochę osłonić przed lodowatymi podmuchami wiatru. Beret, pod który upchnęła długie rude włosy, naciągnęła nisko na czoło.

Para ciężkich stalowych pistoletów u pasa, naładowanych i gotowych do strzału, dodawała jej pewności siebie, wiedziała bowiem, że w razie konieczności nie zawaha się ich użyć.

Towarzyszył jej stryjeczny brat, Robert Farquharson z Monaltrie, również odpowiednio ubrany i opatulony w pled. Gdy kilt jeźdźca zaczynał trzepotać w porywach wiatru, odsłaniały się gołe nogi czerwone od zimna, ale mężczyzna przywykł do tak surowej aury.

Robert czekał na nią o ustalonej porze w lasku nieopodal Moy Hall. Gdy Anne tam przybyła, zmarzniętymi wargami zamienili ze sobą szeptem tylko parę słów, po czym ruszyli w drogę.

W tych czasach każdy, kto wybierał się w podróż, musiał zachować czujność. W pobliżu Inverness stacjonowały trzy bataliony wojsk rządowych - góralskie regimenty uformowane i dowodzone przez Johna Campbella, hrabiego Loudoun. Z Fort George systematycznie wysyłano patrole, które dniem i nocą przeczesywały okolicę, a każdemu, kto się na nie natknął, groziło zatrzymanie i uwięzienie, bez nakazu aresztowania i procesu sądowego. Kilku miejscowych członków klanu nie dalej jak tydzień temu wyciągnięto z domów, tylko dlatego, że nosili przy beretach gałązkę ostu, na znak poparcia dla księcia Karola Edwarda Stuarta.

Kiedy gęsta zasłona chmur nasunęła się na księżyc, Annę zerknęła na niebo. Wyczuwała, że śnieżycy wisi w powietrzu, i z ponurą wdzięcznością przyjęła ten dar losu. Śnieg zapewniłby bezpieczeństwo jej samej i im wszystkim.

Wcześniej, jeszcze za dnia, dziadek przysłał jej pilną wiadomość. Nie zważając na olbrzymie ryzyko, jakie stwarzało to dla obu stron, zażądał spotkania w domu Johna Alexandra MacGillivraya, lairda cieszącego się ogólnym szacunkiem, a zarazem sławą człowieka tak nieustraszonego, że patrole lorda Loudouna wołały zachowywać bezpieczny dystans od jego włości. Annę mocno wątpiła, by nawet wiadomość o obecności w Dunmaglass Fearchara Farquharsona mogła skłonić czerwone kubraki do wtargnięcia w granice tej posiadłości, mimo że jak słyszała, ostatnio podwojono nagrodę za ujęcie starego siwego lisa.

Liczący sobie sto trzynaście lat, dziarski starzec był chodzącą historią Szkocji. Za jego życia sześciu królów obejmowało tron Anglii, od czasu restauracji Stuartów, i na własnej skórze odczuwał skutki rozwiązywania "problemu szkockiego" przez każdego kolejnego władcę na swój własny sposób. Fearchar Farquharson swoją pierwszą bitwę stoczył blisko sto lat temu, gdy James Graham, księżę Montrose, zebrał armię szkockich górali, próbując ocalić

zagrożoną katolicką monarchią. Potem walczył za sprawę Stuartów w roku 1689, gdy Anglia pierwszy raz ośmieliła się zaproponować koronę niemieckiej dynastii hanowerskiej, a następnie odegrał znaczącą rolę w przegranym powstaniu 1715 roku. Nazywano niekiedy Farquharsona - z uznaniem i szacunkiem - "kusym czortem w pledzie", ale dla Anne był on po prostu dziadkiem, zawziętym starym wojownikiem, który wierzył niezłomnie, że jest mu przeznaczone żyć tak długo, aż doczeka się powrotu Stuartów na należne im miejsce na tronie Szkocji.

Nadzieje starca ożyły z pełną siłą, gdy Karol Edward Stuart wylądował na Mebrydach w połowie lipca. Książę przyплыł z Francji upomnieć się w imieniu ojca zarówno o tron Anglii, jak i Szkocji. W sierpniu zatknął sztandar Stuartów na murach Glenfinnan i ogłosił się regentem. Ku zdumieniu butnych Anglików, uważających własną armię za niezwyciężoną, poprowadził swych górali na Edynburg i zdobył stolicę, po czym pod Prestonpans zadał oddziałom rządowym miażdżącą klęskę. Wykorzystując odniesione zwycięstwa, książę zabezpieczył granice Szkocji i poprowadził armię daleko w głąb Anglii.

Gdy zajął Derby, położone dwieście czterdzieści kilometrów od Londynu, król Anglii, usłyszawszy, że Stuart dotarł, niepowstrzymany, aż tak blisko tronu, nakazał dworowi spakować cały dobytek i załadować go na okręty, gotów w każdej chwili do ucieczki.

Fearchar i wszystkie górskie klany wierne sprawie jakobitów przyjęli tę wiadomość takim wybuchem radości, że jak powiadano, echo ich okrzyków niosło się do krańców Wielkiej Doliny. Starzec całym sercem był za tym, aby wyruszyć, jeśli trzeba choćby i pieszo, i dołączyć do mężnej, nieustraszonej armii, mimo że oznaczałoby to coś zupełnie niesłychanego - złamanie przysięgi wierności zobowiązującej cały klan Farquharsonów do podporządkowania się woli ich lairda, Angusa Moya, MacKintosh z klanu MacKintosh, wodza klanu Chattan.

Fearchara i jemu podobnych dławił wstyd prawie nie do zniesienia, gdy Angus Moy nie zwołał klanu i nie poprowadził do Glenfinnan na pomoc walecznemu księciu, lecz, podobnie jak kilkunastu innych wpływowych lairdów, wstąpił do armii rządowej i tym samym zobowiązał członków własnego klanu do pozostania w domu - a niektórych nawet do noszenia barw Hanowerczyka - wtedy, gdy ich książę kroczył odważnie ku swemu przeznaczeniu. Fearchar należał do najbardziej zagorzałych dysydentów i w rezultacie wydano - wciąż czekający na wykonanie - nakaz aresztowania jego samego, oraz trzech stryjecznych braci Anne.

Dorastając bez matki, Annę w młodych latach spędzała całe dni w towarzystwie zuchwałych krewniaków: Roberta, Eneasza i Jamesa

Farquharsonów z Monaltrie. Tę właśnie czwórkę Fearchar darzył uczuciem gorętszym i głębszym niż kogokolwiek spośród swego potomstwa: dziesięciorga dzieci, osiemdziesięciorga sześciorga wnucząt i mnóstwa prawnucząt, których nie potrafiłby zliczyć. Byli jego nadzieją i, w jego przekonaniu, nadzieją Szkocji; nieustraszeni i dumni jak góry i doliny, które rodzą najdzielniejsze, najśmielsze serca. Byli góralami i jakobitami, deklarującymi swą lojalność tak otwarcie, jak otwarcie nosili przy beretach białą kokardę Stuartów.

Gdy tylko wybuchła rebelia, krewniacy Annę podążyli w góry i dołączyli do Fearchara. Niezmordowanie przebywali w tę i z powrotem dystans z Inverness do Aberdeen i z Aberdeen do Arisaig, by na bieżąco powiadamiać klany o tym, co się działo za południową granicą. Oni pierwsi donieśli o wspaniałym zwycięstwie góralskiej armii nad oddziałami generała sir Johna Cope'a pod Prestonpans, pierwsi przynieśli wieści o marszu księcia na południe w głąb Anglii i o zdobyciu Carlisle, Manchesteru i wreszcie Derby.

Gdyby nie ta drobna przeszkoda, że jest kobietą, a do tego żoną wodza klanu, Anne zapewne dołączyłaby do nich. Byli jej bliżsi niż trzy głupiutkie rodzone siostry, dla których świat się kończył na szyciu i nianczeniu dzieci. Krewniakom zawdzięczała też zdobycie kilku cennych umiejętności, nauczyła się od nich, jak pędzić konno z wiatrem w zawody, polować, strzelać z muszkietu i z łuku, a jeśli jej przyszła ochota, wychylić pół kwarty ognistej uisque baugh, nawet nie zmrużywszy długich kasztanowatych rzęs. Była tak samo zrozpaczona jak i oni, kiedy Angus zabronił wszystkim członkom klanu ruszyć do Glenfinnan, tak samo rozczarowana, dotknięta i pełna gniewu, gdy następnie przywdział mundur Czarnej Gwardii i powołał batalion złożony z czterystu członków klanu, który dołączył do oddziałów Hanowerczyka dowodzonych przez lorda Loudouna.

Anne wzdrygnęła się i skuliła w siodle, próbując nie myśleć o tym, w jaką wściekłość wpadłby jej mąż, gdyby się dowiedział, że pojechała do Dunmaglass na spotkanie z dziadkiem. Zabronił jej kategorycznie wszelkich kontaktów z krewnymi wyjętymi spod prawa, aby wieść o jej powiązaniach z buntownikami nie dotarła do uszu Duncana Forbesa, lorda Przewodniczącego Sesji Sądu. Ale zabronić Anne widywać rodzinę, znaczyło to samo, co zabronić winnemu gronu dojrzewać na gałęzi. Mogła się starać o to, by jej wygląd i zachowanie odpowiadały wymogom stawianym żonie arystokraty i zamienić swe kraciaste spodnie i kubraki na jedwabne halki i sztywne fiszbinowe gorsety, jak przystało zamężnej damie. W głębi serca jednak pozostała "Dziką Rudą Annie" i skoro rodzina jej potrzebowała, musiała się stawić na wezwanie. Więzy krwi liczyły się dla niej bardziej niż przysięga małżeńska.

Ruda Annie, prawdę mówiąc, nigdy nie przywiązywała wielkiej wagi do świętego sakramentu małżeństwa. Dorastając, przyjęła do wiadomości, że czeka

ją to zło konieczne, tak jak i ślubowanie posłuszeństwa, które będzie musiała złożyć małżonkowi. Nie brakowało zresztą konkurentów pragnących poskromić rudowłosą kocicę, ale gdyby ktoś przepowiedział, że pewnego dnia Annę zostanie panią Moy Hall, lady Anne MacKintosh, ona sama uśmiełaby się do łez.

Przypuszczała, że Angus zareagowałby tak samo na ową przepowiednię. Urodził się wprawdzie w szkockich górach, lecz wychowywał i kształcił w Anglii. Dużo podróżował i przez cały ten czas nawet mu nie przyszło na myśl, że pewnego dnia odziedziczy stanowisko wodza klanu, a tym bardziej, że będzie zobowiązany honorować umowę rodów, zawartą dawno temu, gdy on sam dosiadał jeszcze kucyka i nosił krótkie spodenki.

Anne była dwuletnim brzdącem, kiedy Fearchar zabezpieczył przyszłość wnuczki, przyrzekając jej rękę MacKintoshowi. Nie miało znaczenia to, że Angus był od niej dwanaście lat starszy i był czwartym synem, który powinien odziedziczyć tyle, że zapewniłoby mu to dostatnie, wygodne życie, lecz nic ponadto. Zawarty związek połączyłby dwa największe klany spośród dwunastu, które tworzyły razem potężny klan Rysi. Niewykluczone, że ojciec Angusa nie zgodziłby się wcale na ten układ, gdyby nie przypuszczał, czy nawet nie liczył na to, iż piegowata, stawiająca pierwsze kroczki bosymi nóżkami przyszła synowa, na długo przed osiągnięciem wieku stosownego do małżeństwa padnie ofiarą jednej z niezliczonych chorób dziecięcych zbierających śmiertelne żniwo w okolicy.

Nikt nie mógł przewidzieć zgonu samego Lachlana MacKintosha zaledwie parę lat później ani tego, że owe dziecięce choroby zabiorą jednego po drugim trzech starszych braci i że z szybkością, z jaką tylko ślepy los potrafi działać, tytuł i posiadłość przypadną Angusowi, który pędził beztroskie życie na kontynencie, nie myśląc o dziedzictwie, rodowych włościach ani brzemieniu odpowiedzialności za klan. W istocie przebywał poza krajem od tak dawna i tak trudno było nawiązać z nim kontakt, że całe cztery miesiące trwało, nim doszła go wiadomość, że teraz to on jest nowym wodzem klanu Chattan.

Wysoki, elegancki dżentelmen, który przybył do Moy Hall, nie przypominał żadnego z gruboskórnych, rubasznych młodzieńców, którzy bezwstydnie flirtowali z Anną i kradli jej całusy za stogiem siana. Angus zachowywał się powściągliwie, pięknie się wysławiał, był odcytany, potrafił świetnie liczyć, a jego dbałość o interesy, dokładność i skrupulatność sprawiły, że zdmuchnięto kurz z wielu ksiąg rachunkowych i kredytowych w całym hrabstwie Inverness. Posiadłości MacKintoshów, od przeszło dziesięciu lat zarządzane w sposób niezbyt staranny, trafiły pod nadzór czujnych szarych oczu o metalicznym połysku - tych samych bystrych oczu, które odkryły zapis o

umowie małżeńskiej wynegocjowanej między Fearcharem Farquharsonem i Lachlanem MacKintoshem prawie dwadzieścia lat wcześniej.

Angus starał się unieważnić to porozumienie, gdyż narzucało mu związek wcale nieodpowiedni dla wodza potężnego klanu. Chcąc doprowadzić do kompromisu, który byłby do przyjęcia dla obu stron, zaaranżował spotkanie z Fearcharem. Spędzili bitych osiem godzin zamknięci w bibliotece Moy Hall. Fearchar okazał się godnym przeciwnikiem. Nie poddał się nawet wtedy, gdy Angus zażądał ustalonego w umowie posagu w wysokości dwunastu tysięcy marek - astronomicznej sumy dla człowieka, którego największym skarbem było jego słowo, i w wyznaczonym terminie wrócił do Moy Hall, niosąc sakiewkę z całą sumą w brzęczącej monecie.

Anne wchodziła do kościoła w Aberdeen z zamierającym sercem i stopami jak z ołowiu, świadoma, że biorąc ślub, nie tylko wiąże się z mężczyzną, który jej nie kocha i nie chce, ale zostaje zarazem skazana na życie pośród wielorybich fiszbinów i koronkowych halek.

Dopiero będąc w pół drogi do ołtarza, pierwszy raz ujrzała przyszłego małżonka. Promienie słońca przechodzące przez kolorowy witraż ozłociły kasztanowe fale włosów oblubieńca. Miał na sobie niebieski surdut z grubej wełniano-jedwabnej tkaniny, a pod nim atłasową kamizelkę bogato zdobioną haftem i szamerowaną złotem. Ramiona, zgodnie ze szkocką tradycją, okrywał mu pled w zielono-czarną kratę, spięty srebrną broszą z kryształem górskim, z wyrytym herbem i dewizą klanu. Światło odbijało się błękitem od ostrza paradnego miecza, który przypasał do boku, a tysiące drobinek kurzu migoczących w powietrzu wyglądały jak spływający nań srebrzysty deszcz.

Krótko mówiąc, Angus Moy okazał się najpiękniejszą istotą ludzką, jaką Annę w życiu widziała. Rysy twarzy miał zachwycająco harmonijne. Jego usta, nos i metaliczna szarość oczu z pewnością zostały wyczarowane przez wróżki, by kobiece serca zamierały z zachwyty, i serce Annę nie było wyjątkiem. Nie zdawała sobie sprawy, jak długo wpatruje się w niego w niezmaconej ciszy, język uwiązał jej w gardle, a nogi miała jak z drewna.

Oblubieniec też się nie poruszył; należało podejrzewać, że doznał przerażającej niespodzianki, gdyż Annę nie była drobniutkim, delikatnym kwiatuszkiem drżącym z obawy, że zostanie zerwany. Wysoka i dobrze zbudowana, o mocnych nogach i ramionach - lata konnej jazdy i harców z krewniakami zrobiły swoje - twarz miała piegowatą od słońca, a chociaż włosy starano się poskromić za pomocą szpilek i grzebyków, wiatr igrał z paroma ognistymi pasmami, które opadały na plecy i ramiona.

Eneasza musiał po prostu szturchnąć pana młodego, by się ruszył i wziął narzeczoną za rękę, a kiedy stanęli przed księdzem, zdawało się, że oboje pobledli z wrażenia.

- Cały czas o nim myślę - powiedziała Anne na głos, wyrwana z marzeń przez zimne uderzenie nocnego wiatru. - A jeśli będę o nim myślała, zawrócę konia i pojedę do domu. Albo już nigdy nie będę mogła tam wrócić.

- Mówiłaś coś, Annie?

Gwałtownym ruchem poderwała głowę i spojrzała w górę.

- Nie, nic takiego, tylko przeklinałam ten wiatr.

- Aha. Powinien zelżeć, jak miniemy przełęcz.

Zamiast odpowiedzieć, na powrót wetknęła brodę w pled i zaczęła się modlić, by jej wielki siwy wałach nie potknął się, gdy będą pokonywać przełęcz pomiędzy dwoma wierzchołkami zwanymi Garbhał Beg i Garbhał Mor. Tam na górze lodowate podmuchy były dość silne, by wyrwać jej oddech z płuc, a świst wichru tak donośny, jakby gromada upiórów wyła w pustce nocy.

Dopiero gdy minęli przełęcz i zaczęli zstępować w dół, ustało przerażające zawrozczenie i wiatr przycichł na tyle, że Anne mogła przetrzeć oczy i ogarnąć wzrokiem dolinę rozpościerającą się pod nimi.

Chmury zgęstniały i zasnuły księżyc; pozostała po nim tylko niewyraźna poświata wysoko w górze. Śnieg leżał na zboczach cienką zamarzną skorupą i uwydatniał kształty skał, rozrzuconych po obu stronach traktu. Kątem oka Anne spostrzegła, że za jednym z tych głazów coś nagle się poruszyło.

Idąc za przykładem Robbiego, jedną dłonią puściła lejce i sięgnęła pod fałdy tartanu. Zaciśnęła palce na wygiętej rękojeści pistoletu, wyciągnęła broń z za pasa, płynnym ruchem kciuka odwodząc kurek.

- Hej, wy tam, spokojnie - dobiegł z cienia stłumiony, cichy jak bicie serca głos. - Tak się spóźniliście, że już chcieliśmy wysłać paru konnych, żeby was szukali.

- Musiałam mieć pewność, że wszyscy w domu poszli spać - odrzekła Anne z westchnieniem.

Ciemna sylwetka Eneasza Farquharsona, najstarszego z braci Monaltrie, oderwała się od skały i nie czekając na pozwolenie, znalazła się z tyłu za Robbiem.

- Twój mąż jest przecież jeszcze w Inverness.

Zabolało ją trochę, że jej krewni uważają Angusa za tak niebezpiecznego, iż śledzą każdy jego ruch.

- Tak. Do jutra zostanie w odwiedzinach u matki.

- Pieczyste z wołowiny u lady Drummuir to rzadki przysmak. Zeszłego wieczoru gościliśmy u niej na kolacji i wciąż mam na języku ten smak.

W przeciwieństwie do syna, lady wdowa MacKintosh była zdeklarowaną jakobitką i zapewniała, że w jej wieku nie ma powodu bać się represji.

- Narażałeś się śmiertelnie, jeżdżąc do Inverness.

Eneasza wzruszył ramionami.

- Wiesz, jaki jest dziadek, gdy sobie coś wbije do głowy. Albo wyczuje, że mu się trafia niezła gratka.

Anne skinęła głową i schowała pistolet.

- A jak tam u Mairi? Dzieci zdrowe?

- Przesyła pozdrowienia. Dzieciaki też.

Serce Anne ścisnęło się kolejny raz. Nie widziała żony i dzieci Eneasza od czasu, gdy rodziny zmuszono do ukrywania się.

- Przywiozłam dla nich trochę rzeczy: ciepłe ubrania, buty, żywność. - Poklepała wypchane torby przytroczone z tyłu siodła. - I parę książek, żeby Mairi mogła je uczyć.

Przez kręconą brodę zakrywającą mu pół twarzy nie było tego widać, ale Annę wyczuła jego szeroki uśmiech.

- Ano, będą ci wdzięczni.

- Za to ja nie będę ci wdzięczna ani trochę - mruknęła z udanym gniewem - jeśli jutro rano obudzę się z takim kaszlem, że płuca sobie wypluję.

- Gdzie tam. Jesteś na to za twarda, i dobrze o tym wiesz. Dziadek ledwie chwilkę temu wychodził na dwór kąpać się w strumieniu. Musiał sobie wyrąbać przerębel.

Anne poczuła, że dreszcz przebiegł jej po plecach, i wtuliła się głębiej w tartanowy pled.

- Jak on się miewa?

- Ach, zdrowy jak zawsze. Tylko bardzo podekscytowany, że cię znów zobaczy, skoro jak mówiłem, solidnie się wykąpał przed twoją wizytą.

Eneas z gawędził z przyjemnością o swej rodzinie przez całą drogę w dół zbocza. Gęste skupiska sosen porastające brzegi doliny brały na siebie uderzenia wiatru, dzięki czemu w jej głębi było stosunkowo cicho i spokojnie. Na samym jej krańcu, przywarty do ściany lasu, stał piętrowy kamienny dom. Za lasem, o czym Annę dobrze wiedziała, trzydziestometrowe urwisko opadało ku jezioru. Dunmaglass było dostępne tylko od jednej strony i ktoś z pewnością obserwował drogę przez szpary w okiennicach, bo gdy tylko konie znalazły się na podwórzu, drzwi rozwarły się na oścież, a jaskrawa smuga żółtego światła padła na śnieg.

Anne zmrużyła oczy, gdy latarnia zaświeciła jej prosto w twarz. Trzymał ją James, trzeci z braci Monaltrie i bliźniak Robbiego, młodszy od niego o sześć minut. Wszyscy trzej krewniacy Annę byli średniego wzrostu, mieli krótkie muskularne nogi i torsy niczym beczki, znakomicie umięśnione. Jak cała rodzina Monaltrie, mieli niebieskie oczy i byli rudzi, z tym, że bliźniacy wyróżniali się prostymi włosami, które sterczały im za uszami w taki sposób, że wyglądali zawsze trochę jak szaleńcy.

Gdy Anne zsiadła z konia, Jamie na powitanie wyrzucił z siebie wiązaną przekleństw po gaelicku, chwycił ją w objęcia i okręcił wokoło w powietrzu. Nawet nie odczekawszy, by chwyciła oddech, zdarł jej z głowy beret tak samo, jak to robił w dzieciństwie.

Jej włosy rozsypały się w gęstwinę potarganych loków i natarłaby uszu stryjecznemu bratu za to zuchwalstwo, gdyby nie była tak szczęśliwa, że znów są razem, cała czwórka. Jeszcze bardziej cieszyło ją, że zobaczy dziadka. Otoczywszy bliźniaków ramionami, pociągnęła ich ku otwartym drzwiom.

Dunmaglass, chociaż obszerniejszy i dostatniej urządzonej niż większość kamiennych domów rozproszonych po dolinach, był typową siedzibą górskiego lairda, przedkładającego to, co praktyczne ponad to, co piękne. Parter składał się z dwóch głównych pomieszczeń; jedno stanowiło kuchnię i spiżarnię, a drugie salon przeznaczony do spożywania posiłków i przyjmowania gości w ciepłe płynącym z ogromnego kominka. Na podłodze wykonanej z solidnych desek, sądząc po zapachu, którego nie zabiłaby żadna ilość wosku, czasami wygrzewały się owce i kozy, zapędzane tu i zamykane - w ten sposób chroniono

inwentarz przed najsilniejszymi mrozami. Teraz, gdy zwierząt nie było, stały tu krzesła, długi sosnowy stół i pękata sofa nieokreślonego koloru i wieku, a samą podłogę pokrywał duży pleciony chodnik wykonany z pasemek starych szmat. Schody pod boczną ścianą prowadziły do pomieszczeń sypialnych na piętrze.

Fearchar Farquharson siedział na końcu stołu od strony kominka, z szeroko rozsuniętymi kościstymi kolanami, wspierając dłonie na swojej antycznej lasce. Skóra na twarzy starca wyglądała jak pomarszczony pergamin, zwisający fałdami od rzadkich kosmyków białych włosów po wytarty kołnierz kaftana. Palce przypominały wysuszone brązowe patyki; gołe łydki wystające spod rąbka kiltu to były niemal same kości. Tylko jaskrawobłękitne oczy starca płonęły nadal żywym blaskiem.

- O! - Mocno uderzył laską w podłogę i odchrząknął. - Mała Ruda Annie! Więc przyjechałaś? Gillies upierał się, że odmówisz, ale ja wiedziałem, że się zjawisz. No, czemu tak stoisz jak słup soli? Chodź tu i ucałuj starego!

Annę padła przed nim na kolana i zaśmiała się, gdy wziął ją w ramiona i uściśnął ze zdumiewającą siłą.

- Tak się cieszę, że cię widzę, dziaduniu! - zawołała. - I że tak dobrze wyglądasz.

- Och, cóż, te stare kości potrzebują rano trochę więcej czasu, żeby się rozruszać, ale jakoś im się to udaje. Odległości się wydłużają, domostwa oddalają od siebie, lecz to prawda, jestem zdrowy i silny, dziękować Bogu. No ale niech na ciebie popatrzę, dziewczyno. Niech mnie piorun strzeli, jeśli twój widok nie jest radością dla moich starych oczu. A to co? - Śmiało wyciągnął rękę i położył dłoń na jej brzuchu. - Od czterech lat jesteś zameźna i wciąż nie zanosi się na dziecko? Na święte dzieciątko w żłobku, gdybym wiedział, że twój mąż sobie z tym nie radzi, oddałbym cię temu małemu Gilliesowi. On już by wiedział, jak napełnić twoje łono. Byłoby już troje podchowanych i czwarte w drodze, a ile przyjemności mielibyście przy tym oboje.

Annę westchnęła z rezygnacją, przyzwyczajona do rubaszności dziadka, ale zerknąwszy na twarz "małego" Gilliesa, spostrzegła, że on też czuje się niezręcznie.

Gillies MacBean mocny, grubokościsty góral, miał niewiele ponad półtora metra wzrostu, ale nadrabiał to szerokością potężnych barów. Ostro ciosane rysy jego twarzy przypominały grzbiety gór, które nazywał swym domem, ale gdy padła jakaś dwuznaczna uwaga, potrafił się zarumienić tak nagle jak dziewczyna - zwłaszcza, jeśli była mowa o zagadkowych istotach należących do przeciwnej

płci. W towarzystwie kobiet - bez względu na ich wiek - nie potrafił wykrztusić słowa, a ta jego ułomność zawsze ogromnie bawiła starego siwego lisa.

- Wyglądasz, jakby ci kość utkwiała w gardle - szydził teraz Fearchar, tłumiąc śmiech. - Odezwij się, chłopie. Czy nie masz dość śliny w ustach, żeby powiedzieć "witaj" małej Annie?

Już wcześniej czerwony jak surowe mięso, Gillies spłonął jeszcze ognistszym rumieńcem, skinał głową i mruknął:

- Miło cię znowu widzieć.

- I ciebie, Gillies. Cieszę się, że mnie zastępujesz, opiekując się dziaduniem.

Staruszek znów zastukał laską w podłogę.

- Ja sam się sobą opiekuję, moja panno. Trzymam przy sobie tych hultajów tylko po to, żeby sobie nie napytali biedy. Widziałaś się już z MacGillivrayem?

Anne posłusznie popatrzyła w stronę, którą wskazywał koniec laski, i dostrzegła niewyraźną postać siedzącą w cieniu, z tyłu, w samym kącie pokoju. Ten ktoś wyciągnął przed siebie długie muskularne nogi i skrzyżował je w kostkach, a ramiona grubości młodych drzew złożył na równie imponującym torsie. Dunmaglass było jego domem, i jako gospodarz zawisłby na szubienicy, gdyby przyłapano obecnych na tajnym spotkaniu.

John Alexander MacGillivray był w szkockich górach postacią niezwykłą. Wzrostem przewyższał większość mężczyzn o głowę, a jego włosy miały złoty kolor, niczym dojrzałe kłosa. Nie był szczególnie przystojny w zwykłym rozumieniu tego słowa; usta miał odrobinę zbyt wydatne, oczy przerażająco czarne, a szczękę jakby wykutą z kanciastej granitowej bryły. Jednakże jego uśmiech potrafił zmienić uda kobiety w dygoczącą galaretę, a plotki o tym, co okrywa jego kilt, mogły sprawić, że jej stateczność i rozwaga odlecą w ciągu jednej chwili.

Anne знаła MacGillivraya od czasów dzieciństwa. Jego uśmiech wciąż przyprawiał ją o gęsię skórę i jeśli teraz zarówno jej uda, jak i jej rozwaga były dość bezpieczne, kiedyś wyglądało to całkiem inaczej. Były czasy, gdy zapowiadało się najwyraźniej, że Dziką Rudą Annie i Wielkiego Johna MacGillivraya połączy coś więcej niż tylko przyjaźń.

- Lady Anne - odezwał się cicho, kłaniając się.

- Witajcie, MacGillivray.

Było im niezręcznie zwracać się do siebie tak oficjalnie. A przecież sporo lat minęło od czasu, kiedy Anne jeździła z kuzynami na wszystkie jarmarki, by móc postawić parę pensów na MacGillivraya w walkach zapaśniczych. W istocie, właśnie po pewnym wyjątkowo szczęśliwym dniu, gdy wygrał we wszystkich pięciu starciach, do których stawał, pociągnął Anne za jeden ze straganów i pocałował pierwszy raz. W ten gorący jak rzadko dzień John był obnażony do pasa, muskuły miał nasmarowane oliwą, lśniąca w słońcu...

- Chodź - powiedział Fearchar, wrywając Annę z zamyślenia i pociągnął puste krzesło bliżej ognia. - Usiądź sobie wygodnie, dziewczyno. Musiałaś przemarznąć podczas długiej jazdy. Napijesz się łyczek, żeby rozgrzać kości?

Annę uśmiechnęła się.

- Z chęcią, dziaduniu. Nie pogardzę czymś na rozgrzewkę.

Stary wojownik odchrząknął i skinieniem dłoni dał znak Jamesowi, który wydobyl kamienny dzban z uisque baugh. Fearchar otworzył naczynie i przytknąwszy dziobek do warg, wypił dwa spore łyki, po czym wręczył dzban wnuczce.

Przyjęła go ostrożnie i zawahała się, gdy zauważyła kropelki łez, które pojawiły się w oczach starca.

- Własny wyrób dziadunia? - mruknęła, krzywiąc się lekko.

- A jakżeby inaczej. - Wciągnął spory haust powietrza, by ochłodzić gardło. - I dziękuję ci, że zauważyłaś, że jeszcze to potrafię.

Annę zebrała się w sobie i podniosła dzban. By nie ustąpić dziadkowi, pociągnęła dwa solidne łyki, tak samo jak on, starając się nie zakrztusić, gdy ognisty góralski trunek spływał jej po języku i wypalał ścieżkę wzdłuż przełyku do żołądka. Tam ognista kula eksplodowała, przypalając żyły, wprawiła nogi we wrzenie, parząc zakończenia nerwów i paraliżując całe ciało.

Gdy szok trochę ustąpił, za przykładem Fearchara pociągnęła potężny łyk piwa z dużego kufła z pokrywą, który w magiczny sposób wyrósł przy jej łokciu, i wchłaniała go przez chwilę drobnymi porcjami w sposób, który pobudził do śmiechu kuzynów, Gil Mesa, a nawet samego MacGillivraya, siedzącego dotychczas z kamienną twarzą.

- Matko Boska - wykrztusiła z trudem. - To cud, że nie przepaliło wam brzuchów na wylot.

Fearchar poklepał się w kolano i odchrząknął rozradowany. - Za to trzej ludzie pracujący przy destylacji wylecieli w powietrze, kiedy przyszła im ochota zapalić potem fajkę.

- Nie dziwię się. - Znów łyknęła chłodnego piwa i wierzchem dłoni otarła pianę z ust. - Ale jestem pewna, dziadku, że nie kazałeś mi jechać po nocy taki kawał drogi tylko po to, by się pochwalić, że wciąż nikt ci nie dorównuje w pędzeniu gorzałki. Co się stało? Dlaczego jesteś tu, w Inverness, skoro dobrze wiesz, że każdy żołnierz w Fort George oddałby swego pierworodnego, by zgarnąć nagrodę, którą Sassenachowie wyznaczyli za twoją głowę.

Radość na twarzy Fearchara zgasła. Szybkim spojrzeniem obiegnął zgromadzonych mężczyzn, odczekał chwilę, by uspokoić urywany oddech, po czym przemówił.

- A zatem ty jeszcze nic nie wiesz?

Zabrzmiało to tak, jakby nie pytał, tylko wyrzucił z siebie dojmujący ból, i pierwszą myślą, jaka Annę przyszła do głowy, było, że z pewnością ktoś umarł. Ktoś bardzo jej bliski. Ktoś, o czyjej śmierci nie powinna, zdaniem dziadka, dowiedzieć się od obcych.

- Czy coś się stało Angusowi? - spytała zdławionym głosem.

Fearchar spojrział na nią ponuro i zaklął pod nosem.

- Twój mąż ma się tak dobrze, jak dwa dni temu, gdy opuścił twoje łóżko. Lepiej, niż miałby prawo, jeśli mnie o to pytasz.

- Więc co...

- Księżę nakazał odwrót.

- Odwrót! - otworzyła usta ze zdziwienia. - Ale... to niemożliwe! Dopiero co maszerowali na Londyn... Dziadzio sam mi przysłał wiadomość.

- Ano tak, kilka dni temu maszerowali, a ściągnęliśmy cię tu, byś się dowiedziała, że armia jest w odwrocie - powiedział spokojnie Robbie. - Generał Wadę oskrzydła naszych z lewej flanki z pięcioma tysiącami żołnierza; generał Ligonier z prawej z siedmioma tysiącami, a prosto na ich tyły zmierza lord... oby go piekło pochłonęło... Cumberland z kilkoma tysiącami wojska, które przyprowadził z pól bitewnych Flandrii. To razem daje około dwudziestu

tysięcy zagradzających księciu drogę do Londynu i wodzowie uznali, że to za dużo dla naszych dzielnych chłopców, żeby próbować się przebić. Zwłaszcza, że nie mają wsparcia od nikogo: ani u nas, ani w Anglii. Dwustu ludzi, jak nam powiedziano, dołączyło do nich od chwili, gdy przekroczyli rzekę Esk, tylko dwustu, choć obiecano mieliśmy całe tysiące.

- Powinni wiedzieć, na co mogą liczyć, a nie wierzyć obietnicom - odezwał się MacGillivray ze swego kąta. - Król Francji przyrzekł tysiące żołnierzy, a ilu przysłał? Ani jednego. Obiecał broń i amunicję, nie mówiąc o pieniądzach na zapłacenie ludziom za zbiory z pól, których nie będą mogli zasiać wiosną. A ile dostaliśmy? Guzik z pętelką.

- Zbiory? - Fearchar obejrzał się przez ramię i wlepił gniewny wzrok w ciemność. - Jak mężczyzna może myśleć o zbiorach, gdy król i ojczyzna są w potrzebie?

- Kiedy jego rodzina głoduje i dzieci mrą z zimna, nie myśli o niczym innym - odpowiedział spokojnie MacGillivray. - Troszczy się, by miały dach nad głową, i o to, czy starczy im mięsa, by przetrwać zimę. Jak wam się zdaje, dlaczego tylu ludzi po obu stronach wymyka się nocą z obozu? Nie dlatego, że boją się walczyć i umierać w bitwie. Dlatego, że chcą przynieść żonom trochę grosza czy kawałek chleba. To jest największa troska prostego człowieka.

- A ty? - spytał Eneasz. - O co ty się troszczysz, MacGillivray?

- Ja? - Ktoś z obecnych poruszył się i przesuwająca się smuga światła padła na twarz gospodarza, odsłaniając wzgardliwe skrzywienie warg. - Ja troszczę się o to, o co każe mi się troszczyć wódz klanu. Tak jak i wy wszyscy. Dlatego tkwimy tu i debatujemy o celach i przyczynach bitew stoczonych i niestoczonych, zamiast być w polu i brać w nich udział. - Jego oczy rozbłyły jak dwa kawałki czarnego lodu, gdy spojrzął w stronę Anne. - Dlatego, że nam wszystkim zabroniono robić cokolwiek więcej, czy nie tak?

Annę wytrzymała to szydercze spojrzenie przez chwilę, po czym odwróciła się zmieszana. Wytykano jej, każdego dnia i każdej godziny, że mężczyźni, tacy jak MacGillivray i Gillies, i trzej kuzyni, byliby teraz w Derby z armią księcia, gdyby Angus nie związał ich przysięgą. Wiedziała też, że gdyby nie decyzja tylu innych lairdów, którzy podobnie jak Angus kierowali się rozważą, a nie odruchem serca, armia jakobitów dorównywałaby wszystkim siłom, jakie Anglicy potrafiliby jej przeciwstawić. Liczyłaby wówczas nie pięć tysięcy dzielnych mężczyzn, którzy podążyli za księciem Stuartem do Derby, ale dziesięć lub piętnaście tysięcy ludzi i ominęłoby ich teraz upokorzenie z powodu odwrotu.

- Jeszcze ich nie pokonano, prawda? - wyszeptała. - To, że są przezorni i wracają do Szkocji, nie znaczy jeszcze, że zostali pokonani.

Fearchar trochę ochłonął.

- Nikt nie wyrzekł słowa o klęsce! Wygląda to tak, że książę rozesłał wieść do wszystkich klanów, że chce tylko przeczekać zimę, nim znów uderzy na południe, a już dowiódł, że ma serce i odwagę, by to uczynić. Musi jedynie wrócić do domu i zebrać potężną armię. Pragnie utrzymać tron Szkocji dla swego ojca i wyprzeć tych przeklętych Sassenachów z Inverness i Perth. Chce...
- Fearchar pochylił się naprzód, by podkreślić wagę swych słów - ...żeby wszyscy lairdowie i wodzowie uwierzyli w niego na tyle mocno, by zapragnęli uczynić Szkocję na powrót naszym własnym państwem.

- Angus pragnie niepodległej Szkocji tak samo jak każdy - oświadczyła spokojnie Anne.

- To dlaczego nie jest w Derby przy swoim księciu? Dlaczego nosi mundur kapitana królewskiej Czarnej Gwardii? Dlaczego jest dzisiaj w Inverness i zasiada do kolacji przy cholernym stole tego przeklętego Duncana Forbesa?

- Jemu chodzi tylko o pokój...

- Pokój powiadasz? - Fearchar wyprostował się. - Prędzej bym rzekł, że mu się marzy wysokie stanowisko. Wszyscy oni liczą na nagrody i zaszczyty. Twój Angus i MacLeod i Argyle. O! Argyle taki jest łasy na kawałek Lochaber, że Forbes nie musi go opłacać judaszowymi srebrnikami.

Gillies Mac Bean podniósł brwi i odważył się wtrącić do dyskusji. - Argyle nigdy nie potrzebował łapówki, żeby walczyć z Cameronami, zwłaszcza po tym, gdy usłyszał, że Camshroinaich Dubh wrócił do Lochaber.

- Ewen Cameron? - Oczy Fearchara zrobiły się okrągłe ze zdumienia. - Wstał z grobu?

- Nie, nie stary Czarny Cameron - wyjaśnił łagodnie Eneas. - Młody. Brat Lochiela, Alexander.

- A! No tak. Wiedziałem przecież - mruknął Fearchar i machnął ręką, co miało oznaczać, że to tylko zwyczajna drobna pomyłka, a nie słaba pamięć. - Wiedziałem, że chodzi ci o małego Alasdaira.

Ledwie wypowiedział te słowa, ramiona mu zwisły do przodu, głowa opadła i oparła się na lasce. Jak pęcherz, z którego uszło powietrze, zdawał się kurczyć, zapadać w siebie. Sprawiało to wrażenie, że za chwilę zostanie z niego tylko ubranie i pęk wiotkich siwych włosów.

- Dziaduniu! - Anne wyciągnęła rękę, ale Robbie pochwycił ją i odsunął.

- Staruszkowi zdarza się to od czasu do czasu. Po prostu zapada w sen, podrzemie sobie trochę, a potem siada prosto jakby nigdy nic. Za parę minut będzie siedział prościutko jak świeca, odzyska cały swój wigor. Możesz być spokojna.

- Nie będę spokojna, Robbie. Widzę, jaki jest wychudzony i znużony. Jest o wiele za stary, by ukrywać się w górach i mieszkać w jaskiniach!

Jamie przyszedł bratu z odsieczą.

- No dobrze, wobec tego sama mu to powiedz. Jestem pewien, że ciebie posłucha, bo nas wszystkich poszturčuje laską i nie zważa na nasze słowa. Postanowił, że przybędzie tu dziś wieczór i przyjechał, gwizdząc na śnieg, wiatr i kilka setek żandarmów rojących się wokół Inverness.

- Dwa tysiące - powiedziała łagodnie Anne, głaszcząc fałdę tartanu dziadka. - Do końca tygodnia będzie ich dwa tysiące. MacLeod i MacKenzie z Seaforth przyrzekli przysłać więcej ludzi, by wzmocnić pierścień oddziałów Loudouna wokół Fort George.

- Skąd wiesz? - ostro spytał MacGillivray.

- Słyszę to i owo. Widzę to i owo. - Wzruszyła ramionami i rozejrzała się.
- Czasem Forbes przyśle jakąś wiadomość Angusowi i... przypuścmy, że on bywa nieostrożny i zostawia niekiedy biurko otwarte.

- Nigdy bym nie pomyślał, że Angus Moy może być nieostrożny.

- Bo też nie jest - przyznała. - Czasem trzeba szpilki do włosów, żeby to tak wyglądało.

Jamie i Robbie uśmiechnęli się. Eneasza tylko się skrzywił.

- Jak cię przyłapie na tym, że majstrujesz przy jego zamkach, nie będzie tym zachwycony, dziewczyno.

- Byłby jeszcze mniej zachwycony, gdyby się dowiedział, że tu jestem. On ma serdecznie dosyć tego wszystkiego, Eneaszu. Niedobrze mu się robi na myśl o dalszym rozlewie krwi, o góralach zabijających się wzajemnie.

- Ach, tak. To dlaczego wystawił regiment MacKintoshów, by walczył po stronie Hanowerczyka? I dlaczego wciąż bywa w Culloden House i popija bordo z Duncanem Forbesem?

- Moy Hall leży tylko piętnaście kilometrów od Culloden House. Jak mógłby uniknąć kontaktów z Forbesem?

- Ja jakoś unikam - oświadczył lekkim tonem Mac Gillivray. - A Dunmaglass jest jeszcze bliżej.

- Przyznaj to otwarcie, Annie - powiedział Eneaszu. - On za długo był z dala od Szkocji i po prostu nie chce ryzykować utraty swych posiadłości i majątku w nowej wojnie. Zresztą ma to we krwi, żeby trzymać się z boku i patrzeć, skąd wiatr powieje. Jego dziadek był jednym z pierwszych lairdów, którzy rozbierali klany po piętnastym roku. Jego ojciec był jednym z pierwszych, którzy złożyli przysięgę lojalności hanowerskiemu królowi, dzięki czemu ocalił swoje włości i tytuły. Było wielu ludzi w klanie, którzy przeklinali go za to; wielu też jest takich, którzy mają dobrą pamięć i nigdy nie zgodzą się walczyć pod hanowerską flagą, choćby twój mąż wyciągnął ich bosych na śnieg i spalił im dach nad głową.

- On by tego nie zrobił - odparła Anne ze złością.

- A prawdziwy Szkot nigdy by nie podawał w wątpliwość, co jest winien prawowitemu królowi - rzucił Robbie zaperzony. - Kiedy Stuart zażądał jego miecza, powinien mu go dać. To proste.

- Chcesz powiedzieć, że Angus nie jest prawdziwym Szkotem?

- Sza, Annie. Uspokój się. - Eneaszu przygwoździł Robbiego wzrokiem, po czym mówił dalej: - Nikt tego nie powie o MacKintoshu. To porządny, uczciwy człowiek; z pewnością musi być taki, bo inaczej dawno temu wbiłabyś mu sztylet w gardło.

- Ale? - wyrzuciła z siebie przez zaciśnięte zęby, chcąc jak najszybciej usłyszeć niedopowiedziane zastrzeżenie.

- Ale... nie okazał się przywódcą, jakiego ten klan potrzebuje. Och, zgoda, potrafi znakomicie wyliczyć czynsze, umie doskonale rozsądzić spór, kiedy dwaj dzierżawcy walczą o miedzę. Ale nie potrafi wsłuchać się w ludzkie

serca. Ludzie chcą walczyć, Annie. Walczyliby z samym diablem, gdyby mieli przywódcę, który ich poprowadzi do bitwy. A jeśli twój mąż nie jest tym, kto to zrobi, poszukają gdzie indziej miecza, za którym pójda.

Annę powoli przeniosła wzrok z jednego krewniaka na drugiego, potem z Gilliesa MacBeana - który starannie unikał jej wzroku - na MacGillivraya. A wtedy włosy na karku zaczęły jej się jeżyć i poczuła ciarki na skórze wzdłuż kręgosłupa.

- Ach, więc to dlatego zwołaliście to spotkanie, tak? Chcecie się odłączyć od klanu - wyszeptała. - Chcecie złamać przysięgę daną Angusowi i stanąć po stronie księcia.

- Nie będę kłamał, żeśmy o tym nie myśleli - przyznał Eneasza. -Tylko, że trzech czy czterech ludzi nic właściwie nie znaczy. Z drugiej strony, gdybyśmy mieli trzy lub cztery tysiące...

- Nie skłonisz nawet trzystu ludzi z klanu, żeby poszli za tobą, Eneaszu! Może ci się uda ich nastraszyć i zmusić do uczestniczenia w tajnych spotkaniach i wpinania gałązki ostu w berety, ale namawianie do złamania przysięgi klanowej to zupełnie inna sprawa. Straciliby własne domy. Byliby ludźmi znikąd, ludźmi bez honoru.

- Walczyliby za swego króla, za wiarę, za swoją dumę.

- Ich duma by się rozwiała. Chwała by przeminęła i patrzono by na nich jak na tych, którym nie można ufać, że dotrzymają słowa. No, może nie zaraz, bo zwycięzcom zawsze wiele się wybacza. Ale przyszedłby czas, że przypomniano by sobie, iż złamali przysięgę, gdy tylu innych jej dochowało, i to by świadczyło przeciwko nim.

- Są tacy, którzy pragną skorzystać z szansy.

- A ty do nich należysz? Chcesz, by skonfiskowano ci dom? Chcesz stracić wszystko, na co twoja rodzina ciężko pracowała? Czy chcecie, by wasze nazwiska wykreślono z ksiąg parafialnych, a waszym dzieciom odmówiono praw do dziedzictwa?

- Lepiej będzie, jeśli spytasz mnie, czy zdołam spojrzeć w oczy mojej żonie, jeśli będę trzymał miecz schowany pod strzechą, zamiast wnieść go w obronie księcia - powiedział spokojnie Eneasza. - O niektóre sprawy warto walczyć i warto za nie umierać, Annie. Może rozumiałabyś to lepiej, gdybyś była mężczyzną.

Zerwała się na nogi tak gwałtownie, że krzesło omal nie wpadło w ogień.

- To, że nie jestem mężczyzną, nie ma nic do tego, co czuje moje serce. Ruszyłam do każdej bitwy ramię w ramię z wami, gdyby mój laird mi tak rozkazał. Walczyłam tak samo dzielnie i zabijałam tylu Sassenachów, co każdy z was. Nie waż się powiedzieć, że nie!

- Ani przez chwilę nie wątpiliśmy w twoją lojalność, Annie - odezwał się Fearchar, który ocknął się z drzemki, gdy krzesło stuknęło o kratę kominka. - W istocie potrzeba nam właśnie tego ognia w twoich oczach i twojej odwagi w sercu.

- Zawsze miałeś moje serce, dziaduniu. Nigdy nie musisz o nie prosić.

- Tym razem musimy cię prosić my wszyscy. Zbyt wielu lairdów nie chce złamać przysięgi z tych przyczyn, które sama wymieniłaś, ale zrobiliby to, gdyby mieli przywódcę. Nie, nie... - przesunął dłonią w powietrzu, jakby wycierał słowa z tabliczki - to nie jest tak. Oni wszyscy chcą być przywódcami, i o to prawo gotowi się nawzajem pozabijać. Ale potrzeba im kogoś, kto jest tak przebiegły jak Forbes i tak bezwstydnym jak Loudoun, który proponuje nagrody w ziemi i złocie każdemu, kto podpisze listę. Potrzeba im kogoś, komu mogą zaufać, że będzie władny wprowadzić ich na powrót do klanu, bez względu na to, kto wygra, a kto przegra.

Annę nie przychodził do głowy nikt, kto by spełniał takie wymagania, ale nagle zmarszczyła brwi i popatrzyła na MacGillivraya, wysokiego złotogrzywego lwa szkockich gór, i aż westchnęła głośno.

- Ty, John? Poprosili ciebie, byś to uczynił?

Nim odpowiedział, podciągnął nogi i usiadł prosto na krześle. Podniósł się powoli, jakby chciał ukryć głowę w cieniu pod sufitem, zanim wstąpi w jaśniejszy krąg światła od kominka. Kremowa wełna jego koszuli zaśniła, odbijając żar, blask padł w górę i zamigotał na włosach. W czerni jego oczu zapalił się nagle podstępny ogień, którego nie powstydziliby się sam Lucyfer.

- Za wysoko mnie oceniasz, dziewczyno - powiedział spokojnie. - To nie ja jestem tym, kogo proszą. Chodzi o ciebie.

W tej samej chwili, prawie w tym samym miejscu wąskiej przełęczy między Garbhal Beg i Garbhal Mor, gdzie Anne, przystanąwszy na chwilę, napawała się pięknem doliny, jeden z wartowników MacGillivraya odwiódł kurek strzelby skałkowej i wziął na cel ciemną sylwetką wspinającą się na górę. Ten, do którego wymierzył, musiał dosłyszeć lekki trzask mechanizmu zapadkowego, bo zatrzymał się i uniósłszy dłoń, zagwizdał cicho, naśladując ptasi trzask zastępujący hasło. Nie wyglądał na zmarzniętego, bluzę i kilt miał suche, zmysły w pełni sprawne po gorącym posiłku i paru godzinach wygrzewania się przy ogniu kominka. Wartownik poczuł ulgę - wreszcie doczekał się zmiany. Miał oszronioną brodę i brwi, a palce u nóg zdrętwiałe z zimna, mimo że wymościł sobie przytulną kryjówkę w paprociach.

Zwolnił kurek, strząsnął śnieg z pledu i rozprostował nogi w przesadnie dziarski sposób, by przewyciężyć ich sztywność, spowodowaną parogodzinnym czuwaniem na zimnie. Wiedział, że zarówno na niego, jak i na innych pełniących straż w śnieżnej pustce doliny czekają w ogrzanych, zacisznych stajniach rosół i piwo.

Nikt spośród nich w gruncie rzeczy nie wierzył, że może dojść do jakiegoś starcia, bo noc była paskudna, a Anglicy nie lubili opuszczać obwarowanego garnizonu w Inverness po zapadnięciu zmroku. Prawdę mówiąc, większość wartowników ponaciągała pledy na głowy, by łatwiej im było dotrzeć do chwili, gdy ich zmienią.

Dwaj mężczyźni zamienili parę słów po gaelicku, ze szczerego serca skłękali gęstniejący śnieg i pożegnali się skinieniem dłoni. Żaden z nich nie zauważył dwóch innych ciemnych postaci - mężczyzn, którzy przyczołgali się ukradkiem do skraju sosen i obserwowali, mocno zaskoczeni, zmianę warty.

W przeciwieństwie do wartowników MacGillivraya, ci dwaj nie liczyli wcale na to, że ktoś ich zluzuje. Byli ciepło ubrani, każdy na swój sposób. Szkocki góral nosił tradycyjny ubiór z pasa tartanu ułożonego na kształt spódniczki w fałdy spięte pasem, a końce wełnianej tkaniny omotał wokół barków. Beret naciągnął nisko na czoło, zaś dół jego twarzy poniżej sterczącego jak dziób nosa zasłaniała bujna broda, tak że odsłonięty pozostawał tylko wąski pas twarzy na linii oczu.

Czerwoną bluzę angielskiego oficera okrywała obszerna czarna opończa. W tej chwili głowę miał odkrytą, świeże białe płatki śniegu przetrwały zaledwie chwilę na ciemnej czapie włosów, po czym roztopiły się w perliste kropelki.

Mężczyzna był gładko wygolony, a jego twarz, zastygła w wyrazie skupienia, przypominała twardą maskę. Tylko drobne obłoczki pary, towarzyszące każdemu oddechowi, łagodziły wrażenie, jakie sprawiała.

- Jak myślicie, ilu ich jeszcze tu się kryje?

- Może dwóch - odrzekł Szkot - a może i ze dwudziestu. MacGillivray to przezorny, czujny drań, aż dziw, żeśmy zdołali podejść tak blisko.

Major zaklął pod nosem, gdyż dopiero teraz zdał sobie sprawę, iż znajdują się na ziemiach MacGillivraya, i pogratulował sobie, że on sam też był na tyle czujny, żeby nakazać okężne podejście przez lasy.

- Jak myślicie, kim byli ci dwaj jeźdźcy?

- Zapewne byli to rebelianci, którzy jechali na spotkanie ze starym.

- Jesteście absolutnie pewni, że Fearchar Farquharson znajduje się w tej chałupie?

- Tak, jak tego, że mam nos na twarzy. Lomach widział najmłodszego Monaltrie dziś w Inverness i śledził go aż do tego miejsca, a jeśli on jest w środku tego domu, to są tam i jego bracia, i ich dziadek. Jak ryby w saku.

- Tak. A ten sak należy do Dunmaglass.

- Strach was, majorze, obleciał na myśl o MacGillivrayu? Ołowiana kula ima się go tak, jak każdego.

Angielski oficer obrócił głowę i spojrzał na górala.

- Tego jestem pewien. Ale ilu jego ludzi będzie pluć w nas ołowiem, zanim uda nam się do niego zbliżyć? Może ich być jeszcze kilkunastu ukrytych w tych diabelskich skałach, i drugie tyle w domu i w stodole, a każdy z nich na pewno umie strzelać i trafiać do celu. My mamy piętnastu doborowych żołnierzy i nie chcę ich tracić, podejmując atak, który ma małe szanse powodzenia. - Przeniósł znów wzrok na dom. - Zresztą, stary lis jest dla mnie więcej wart żywy niż martwy, bo przyciąga tych rebeliantów jak muchy do gnoju i wystarczy, że będziemy go śledzić, by wiedzieć, kto przychodzi, żeby przysiąc mu wierność.

Góral westchnął ciężko. Wiedział, że nie ma co się spierać z Sassenachem, chociaż złościło go, że taka okazja wymyka im się z rąk. Był dłużny zarozumiałemu MacGillivrayowi niejedną bliznę za dawne zniewagi.

Hugh MacDugalowi z Argyle Anglicy płacili nie za to, że się wściekał, płacili mu, i to dobrze, bo był świetnym zwiadowcą. Miał nos tak czuły jak pies gończy i nie było wiele przesady w powiedzeniu, że potrafiłby śledzić mrówkę w lesie podczas burzy. Podobnie jak ludzie z klanu MacCrimmon słynęli z tego, że nikt w całej Kaledonii nie umiał piękniej niż oni grać na dudach, specjalnością MacDugalów od pokoleń było myślistwo. Anglicy dobili targu z Hugh i jego bratem Lomachem w czasie, gdy książe Stuart zatykał swój sztandar w Glenfinnan.

Drugi z mężczyzn, major Roger Worsham, przybył w góry Szkocji dopiero dwa tygodnie temu. Inaczej niż większość angielskich oficerów, którzy traktowali służbę w Inverness jak wygnanie i którzy najpierw zapoznawali się z miejscową whisky, a potem z miejscowymi nierządnicami, Worsham, zachowując powściągliwość, trzymał się na uboczu i kiedy nie zajmował się sprawami służbowymi, najbardziej cenił sobie własne towarzystwo. Podlegał bezpośrednio lordowi Loudounowi, ale nie miał jeszcze przydziału do żadnego konkretnego regimentu. Krążyły pogłoski, że przysłał go do Inverness sam książe Cumberland.

Worsham zaczął wycofywać się chyłkiem w gęstwinę drzew, a MacDugal, omiatając czujnym spojrzeniem skały, poszedł w jego ślady, pochylając się nisko, aż do chwili, gdy uznał, że leśny mrok i coraz gęstszy śnieg kryją już każdy jego ruch. Chociaż sosny rosły tu gęsto, bez trudu dostrzegał innych ludzi Worshama; szkarłat ich bluz jarzył się krwisto w niebieskawym półmroku, który ich otaczał.

- Skoro mamy nie atakować, lepiej byśmy się trochę cofnęli - doradził góral. - Bo inaczej to my będziemy rybami w saku.

Worsham wyczuł drwinę w głosie przewodnika. Nagłym ruchem poprawił skórzane rękawice.

- Tak czy inaczej, już dosyć zobaczyłem. Jest za zimno, do diabła, żeby stać i gapić się na dym z komina. Weźcie połowę ludzi, MacDugal, i rozmieście ich, jak wam się podoba. Ja zabiorę ze sobą resztę do Inverness. Kiedy goście MacGillivraya odjadą albo jeśli przyjadą nowi, chcę, żeby ich śledzono.

- A na co mi gromada przeklętych czerwonych kubraków? W tym śniegu będzie ich widać jak języki ognia.

- Macie lepszy pomysł?

- Pewnie że mam. Zabierzcie ich sobie wszystkich z powrotem do Inverness. Łomach i ja poradzimy sobie sami.

Worsham poszukał wzrokiem ciemnej sylwetki drugiego górala, ale nie znalazł jej i utkwiał spojrzenie w MacDugalu.

- Nie chcę zgubić Farquharsona w tych górach.

- Nie bójcie się. Ten stary nie jest taki głupi, żeby w jego wieku wyjeżdżać z Dunmaglass po nocy, zwłaszcza, gdy MacGillivray ręczy za jego bezpieczeństwo. I przekonacie się - przerwał, po czym wznosił oczy w górę, by spojrzeć w niebo - pogoda będzie jeszcze gorsza, zanim się choć trochę poprawi.

W tym samym mniej więcej czasie Eneasza doszedł do identycznego wniosku.

- Śnieg pada coraz gęstszy - mruknął, spoglądając przez szparę w okiennicy. - Jeśli zamierzasz wracać jeszcze dziś wieczorem, Annie, to wkrótce powinnaś wyruszyć.

Ponieważ w ogóle nie brała pod uwagę możliwości spędzenia nocy poza domem, Anne niechętnie oderwała wzrok od ognia i skinęła głową. Nie odzywała się wiele w czasie ostatnich kilkunastu minut. Fearchar znów zapadł w drzemkę i bliźniacy zanieśli go do łóżka. Gillies ofiarował się, że przyniesie więcej drewna, lecz Annę podejrzewała zwyczajnie, że szukał pretekstu, by móc wyjść z pokoju, bo napięta atmosfera, która tu zapanowała po zdumiewającym oświadczeniu MacGillivraya, stała się dla niego zbyt trudna do zniesienia.

- Ja? Chcą, żebym to ja przejęła władzę nad klanem? - Anne zaparło dech.

MacGillivray tylko wzruszył potężnymi ramionami i Anne nie była pewna, czy uśmiech igrający na jego wargach wyrażał rozbawienie, czy drwinę.

Obróciła się i wlepiła wzrok w krewniaków i dziadka.

- Nie mówicie tego poważnie.

- Śmiertelnie poważnie, dziewczyno - oświadczył Fearchar. - Tylko ty jedna możesz to zrobić.

- Na pewno nie tylko ja.

- Jesteś jedyną osobą, której ludzie posłuchają. Jesteś żoną wodza. Jesteś z Farquharsonów. Jesteś moją wnuczką i, na litość boską, masz więcej odwagi w małym paluszku niż Angus Moy w całym ciele.

- On nie jest tchórzem, dziadziu - odparła spokojnie.

- On po prostu nie chce walczyć. Dobrze więc, będziemy walczyć bez niego. Przekopałem się przez wszystkie prawa, dziewczyno, i nie ma tam nigdzie ani słowa o tym, że kobieta nie może dowodzić klanem. Zapewniam cię, rzeczywiście nigdy przedtem się to nie zdarzyło, ale też nigdy przedtem nie mieliśmy armii maszerującej na Londyn. Nigdy nie mieliśmy księcia, który chce postawić wszystko na jedną kartę i maszeruje w błocie razem ze swymi oddziałami. Nigdy nie mieliśmy takiego generała jak lord George Murray ani tak dzielnych ludzi jak Lochiel i Keppoch, i lord John Drummond, gotowych ryzykować wszystkim i wszystko stracić, byle tylko walczyć o wolność Szkocji. Potrzebujesz teraz tylko jednego, dziewczyno - zebrać podpisy setki lairdów, skłonnych uznać cię za swego wodza, a wówczas - tak mówi prawo - możesz rozesłać cross tarie i powołać ludzi pod broń.

Od pokoleń płonący krzyż był rozsyłany po górach szkockich, oznaczając zarówno żądanie, by członkowie klanu odpowiedzieli na wezwanie swego wodza, jak i groźbę ukarania ogniem, tych, co nie stawiają się w wyznaczonym miejscu i czasie.

- Podpisy stu lairdów? - Wydała dźwięk, który zabrzmiał jak coś pośredniego pomiędzy parsknięciem a przekleństwem. - I tylko tyle? Nie potrzebuję broni w rodzaju Ekskalibura ani stalowego hełmu z rogami po bokach?

- W gruncie rzeczy nie oczekuje się od ciebie, byś osobiście uczestniczyła w walce - powiedział Robbie, nie zważając na jej kpiny. - Musisz tylko wyznaczyć kapitana doświadczonego w bojach, który będzie dowodził ludźmi, gdy dojdzie do bitwy.

- Jednego z was, dzielnych krzepkich wojaków, jak przypuszczam?

- Nie mnie - odparł Jamie, podnosząc ręce obronnym gestem.

- Do diabła, pewno że nie ciebie - zgodził się Robert. - Dostyc się namęczysz, gdy nas prowadzisz po wrzosowiskach.

Jamie wytrzeszczył oczy.

- Jeśli pijesz do tego, co było w zeszłym tygodniu w Killiecrankie, to skąd mogłem wiedzieć, że grunt roztajał?

- Roztajał? Tkwiłeś po pachy w bagnie i kwiczałeś jak zarzynana świnia, kiedyśmy do ciebie dotarli. Zajęło nam dwie godziny, żeby cię stamtąd wyciągnąć a dwa dni minęły, nim zmyłeś z siebie ten smród.

- Dość tego. - Eneasza przerwał ostro sprzeczkę braci, po czym zwrócił się do Anne: - Nie chcieliśmy wyskakiwać z tym zbyt nagle, nie jest to też nieprzemyślany pomysł. Pytaliśmy paru lairdów, co by powiedzieli, gdyby wręczono im petycję, na której znalazłoby się twoje imię i nazwisko, i jeśli chcesz wiedzieć, mamy dwudziestu siedmiu chcących ją już podpisać - i nie ma wśród nich tu obecnych.

Annę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Dwudziestu siedmiu lairdów było gotowych złamać przysięgę wierności swemu wodzowi i zamierzali to zrobić, gdy tylko ona tego zechce. Jakąś swoją częśćką odczuła przerażenie. Szacunek i niekwestionowaną lojalność wobec wodza klanu wpojono jej od urodzenia a to, co teraz proponowano, było równoznaczne ze zdradą w obrębie klanu. Równocześnie drugą jej częśćką - tę, której sprawiało wielką radość hasanie po wrzosowiskach z krewniakami - ogarnęło niezwykle podniecenie, bo to znaczyło, że znalazło się co najmniej dwudziestu siedmiu lairdów, którzy nie wyśmiali dziadka, nie wyprosili go i nie zatrzasnęli za nim drzwi.

- Nie musisz dawać odpowiedzi od razu, dziś wieczorem, dziewczyno - powiedział Fearchar. - Prześpij się z tym. Przemyśl sprawę. Raz czy dwa popatrz, jak twój mąż przywdziewa swą piękną szkarłatną bluzę, nim się zdecydujesz.

- Nie muszę się zastanawiać - powiedziała Anne spokojnie. - Odpowiadam: nie. To, o co prosicie, jest... jest po prostu niemożliwe. W istocie to czyste szaleństwo.

- Annie - zaczął Robert - tu chodzi o honor klanu.

Przeniosła szybko wzrok na stryjecznego brata.

- Nie waź się powoływać na honor klanu. Mogło to poskutkować cztery lata temu, ale teraz to nic nie da.

- Ale Annie...

- Nie ma żadnego ale - natarła z gniewem na Eneasza. - Cztery lata temu wszyscyście nalegali, bym poślubiła człowieka, którego nigdy wcześniej nie

widziałam na oczy, człowieka, którego straszycie i dręczycie, by go zmusić do honorowania porozumienia, mimo że on sam tego porozumienia ani nie szukał, ani nie chciał. Ale zawarliśmy to małżeństwo, a wy usprawiedliwialiście swoje pogroźki i nalegania i twierdziliście, że to mój obowiązek, że tu chodzi o dobro klanu. Dobrze... wy możecie nie brać poważnie swych przyrzeczeń i ślubowań... albo może traktujecie je serio tylko wtedy, gdy pozostają w zgodzie z waszymi zachciankami i celami, ale ja nie będę taka. Angus jest moim mężem. Jest też moim lairdem i nie złamię swych przyrzeczeń tylko dlatego, że przestało być korzystne dla klanu Farquharsonów, żebym ich dotrzymała. Jeśli jest wam potrzebna nowa Joanna d'Arc, musicie poszukać gdzie indziej kogoś, kto dosiądzie białego rumaka.

Jamie i Robbie zaczęli przedstawiać argumenty na swoją obronę, ale Annę odwróciła się tylko tyłem do pokoju i nie słuchała ich więcej. Prawdę mówiąc, to połączone wysiłki trzech kuzynów i dziadka oraz ich namowy doprowadziły do jej małżeństwa z Angusem Moyem. Choć nie okazało się ono dla niej czymś nienawistnym i przerażającym, mimo że tak je sobie niegdyś właśnie wyobrażała, czuła jednak do nich odrazę za tamte ich zabiegi. Wtedy posłużyli się nią jak zwykłym pionkiem, by osiągnąć swój cel. Nie miała zamiaru pozwolić im, by wykorzystali ją raz jeszcze, zwłaszcza że potrzebne im było tylko jej nazwisko, a nie ona sama.

- Nie pozwól im się zaszczuć, dziewczyno - mruknął MacGillivray, podchodząc i podsuwając jej świeży kufel piwa. - Masz rację, że kazałaś im iść do diabła. To głupie, o co cię proszą, i lepiej trzymaj się od tego z dala.

Jak na kobietę, Annę była wysoka i przywykła, że większości mężczyzn patrzy prosto w oczy, ale żeby spojrzeć w oczy MacGillivraya, musiała zadrzeć głowę.

Uśmiechnęła się i chciała mu podziękować za piwo, gdy przypomniała sobie, co powiedział Eneasz, że żaden z obecnych mężczyzn nie podpisał petycji. To obejmowało i MacGillivraya, który podczas dyskusji czał się w cieniu jak wielki kot, niewątpliwie chowając dla siebie własne opinie o głupocie tego, co jej proponowali. Z drugiej jednak strony, wśród ludzi równych mu stanem John cieszył się ogólnym szacunkiem, a jego klan składał się z dobrych wojowników, z których żaden by się nie ociągał, gdyby dano im rozkaz, żeby stanęli pod bronią. To jego pierwszego wybrałaby Anne na dowodzącego w bitwach, i dobrze rozumiała, że musiało go to dotknąć, że nie jego nazwisko znajduje się na petycji.

Słaby uśmiech, który zakwitł na jego ustach, rozszerzył się, i Anne zdała sobie sprawę z tego, że MacGillivray czyta w jej myślach. Potwierdził to cichy śmiech.

- Nie chcę być kimś więcej, niż jestem, Annie. Gdyby mnie poprosili, wyrzuciłbym ich za drzwi jednym kopnięciem.

- Ale nie zrobiłeś niczego, by ich przekonać, że nie powinni o to prosić mnie.

- Może byłem ciekaw twojej odpowiedzi.

Jego oczy przypominały głębokie czarne stawy i choć starała się ze wszystkich sił, nie mogła odwrócić od nich wzroku. Nie potrafiła też powstrzymać się od pytania:

- A gdybym powiedziała: tak, co byś zrobił?

Przechylił głowę na bok i powolnym, leniwym spojrzeniem badał jej twarz, utrwalając sobie w pamięci gładki policzek, nieco zadarty nos, pełną górną wargę. Gdy skończył, jego uśmiech uleciał gdzieś i Anne zapomniała, o co pytała.

- Nigdy się nie dowiemy, co mogłoby się zdarzyć, prawda?

Jakim dziwnym sposobem pojęła, że on nie ma myśli petycji, podpisów ani rebelii. Oto znowu znaleźli się razem za straganem na jarmarku, on zanurza dłonie w jej włosach; jego twarde, pokryte oliwą ciało jest gorętsze niż promienie słońca, a jego usta wprowadzają ją w świat wrażeń, o których istnieniu nie miała pojęcia.

- Lepiej ruszaj w drogę, Annie - powiedział Eneasze spod okna. - Każę Gilliesowi przyprowadzić konie.

- Tak - odrzekła, patrząc nań niewidzącym wzrokiem. - Dziękuję ci bardzo.

Kiedy się obejrzała, MacGillivraya nie było już obok kominka. Usunął się z powrotem, a z nim znikły wszystkie wspomnienia, które zakłóciły jej spokój.

Anne wbiegła mrocznymi schodami na piętro Moy Hall. Wszedłszy przez tylne drzwi, po paru krokach zrzuciła zabłocone buty, i teraz jej stopy w samych pończochach przesuwają się bezgłośnie po woskowanych drewnianych posadzkach. Nic się nie wydarzyło w drodze powrotnej z Dunmaglass, choć Eneas, który zgłosił się do eskortowania krewniaczki, raz po raz przystawał, by się obejrzeć przez ramię, i wlepił wzrok w śnieg wirujący w porywach wicheru.

Trzęsąc się z zimna, z zaczerwienionym nosem, Annę dotarła do swej sypialni i wydała głośne westchnienie ulgi na widok strzelających wysoko płomieni na palenisku. Odwinęła do połowy kraciasty pled z głowy i ramion, strząsając na podłogę bryłki lodu i topniejącego śniegu, po czym nagle zeszywniała. Obróciła się powoli i raz jeszcze wlepiła wzrok w miejsce przed kominkiem.

- Taka zimna noc. Pomyślałem, że docenisz ogrzany pokój. Kazałem nawet twojej pokojówce przygotować kąpiel, ale zdaje się, że do tej pory woda wystygła.

Dłonie Anne zacisnęły się na fałdach wełny, gdy odwróciła się w stronę, skąd dobiegał głos. Angus siedział w fotelu w najdalszym rogu pokoju. Był bez surduta i kamizelki, miękka batystowa koszula rozchylona na piersi tworzyła literę V, obute stopy oparł na wyściełanym taborecie. Widząc męża rozpartego w prawie takiej samej pozycji, jaką zachowywał MacGillivray przez cały niemal wieczór, Anne poczuła, jak jeżą się jej drobniutkie włoski na przedramionach.

- Angus?

- Spodziewałaś się kogoś innego?

- Nie. Oczywiście, że nie, ale...

Uniósł w dłoni kryształowy kieliszek i zaczął go obracać, wprawiając zawartość w ruch wirowy. Sądząc po prawie pustej karafce bordo na stoliku przed nim, siedział tak już dość długo.

- Myślałam, że zostałeś na noc na Church Street - powiedziała niepewnie.

- Moja kochana matka nie byłaby mi wdzięczna, gdybym nadużył jej gościnności.

- Jestem przekonana, że nie potraktowałaby tego w taki sposób.

- Z pewnością tak by to oceniała, skoro w piwniczce na wino przechowuje rusznice dla księcia Karola i może nawet knuje spisek, by wziąć szturmem

twierdzą w Fort George. - Powoli wypił łyk wina, wodząc wzrokiem po jej mokrym i pokrytym grudkami błota stroju. - A zresztą, przypuszczałem, że moją małżonkę ucieszy moje towarzystwo w taką zimną i wietrzną noc. Wyobraź sobie moje zaskoczenie i rozczarowanie, gdy zastałem dom pusty.

Policzki Anne spłonęły rumieńcem, gdy rozwieszała ciężki tartan na oparciu najbliższego krzesła.

- Dziadek jest w Inverness - powiedziała wprost, nie mając ochoty bawić się dłużej w kotka i myszkę. - Pojechałam żeby się z nim spotkać.

Szare oczy o metalicznym połysku zwięziły się gwałtownie.

- Fearchar? Tutaj? Co, na Boga, przyniosło go tak blisko Inverness?

Anne zaciskając wargi, próbowała uspokoić oddech. Mąż rzadko w jej obecności nadużywał boskiego imienia, niemal równie rzadko zresztą widywała go z rozwiązany krawatem, zwisającym nieporządnie, rozchełstaną z przodu koszulą i odsłoniętymi ciemnymi kręconymi włosami na piersi. Zazwyczaj jego wygląd i maniery były nienagane i w ciągu czterech lat ich małżeństwa nigdy nie dostrzegła jakiegoś większego uchybienia pod tym względem. To, co dziś ujrzała - ta rozchełstana koszula, zabłocone podeszwy butów, potargany pukiel kasztanowych włosów spadający na czoło, ta prawie pusta karafka bordo - wywołały w niej uczucie podobne nieco do tego, jakie obudziłby widok zapalonego lontu przy lufie armaty.

Wyraz jego oczu nie złagodził wcale tego wrażenia. Wlepione w nią, rozwarte szeroko jak wylot lufy, śledziły każdy jej ruch, gdy zdejmowała beret i wieszła go na oparciu krzesła obok pledu.

- Przybył, żeby mi powiedzieć, że armia księcia wycofuje się z Derby. Był zdziwiony, że jeszcze o tym nie wiem od ciebie.

- Twój dziadek ma lepsze źródła wiadomości niż lord przewodniczący. Wiadomość o wydaniu rozkazu do odwrotu dotarła do Inverness dziś późnym popołudniem.

- I popędziłeś prosto do domu, żeby mi o tym powiedzieć?

Dostrzegła, jak zacisnął wargi po tej sarkastycznej uwadze, i pożałowała, że nie ugryzła się w język, gdyż dotarło do niej - zbyt późno, by mogła opanować rumieniec wykwitający z wolna na policzkach - że mógł właśnie tak postąpić.

Przez dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym znów zaczął wprawiać w wirowanie wino w kieliszku.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie ci grożą, jeśli zostaniesz schwyтана w towarzystwie dziadka?

- Oboje byliśmy ostrożni. Nikt mnie nie widział, gdy wyjeżdżałam z domu, i nikogo nie spotkałam po drodze.

Angus zamrugął gwałtownie, gdy jego wzrok napotkał parę pistoletów o stalowych kolbach za pasem żony.

- Proszę cię, nie mów mi tylko, że wyruszyłaś w taką noc... zupełnie sama?

- Spotkałam się z Robbiem przy moście. A Eneasza odprowadził mnie z powrotem.

Angus omal nie jęknął na te słowa.

- Jezusie słodki! To twoi krewniacy też tu są?

- Wszyscy trzej. - Zamilkła na chwilę, lecz jakiś przewrotny demon zmusił ją, by dodała jeszcze: - Eneasza przesyła ci wyrazy uszanowania.

Usta Angusa zacisnęły się jeszcze mocniej, gdyż on i Eneasza Farquharson z Monaltrie nie byli z pewnością parą serdecznych przyjaciół. W dzień ślubu stryjecznej siostry Eneasza czekał na Angusa przed kościołem i przygwoździł go do muru, trzymając w zaciśniętej dłoni klapy jego paradnego żakietu. Przycisnąwszy wargi do ostrza sztyletu złożył uroczystą przysięgę, że osobiście wytnie MacKintoshowi serce z piersi, jeśli usłyszy od kogoś choć jedno słówko o tym, iż pozwala sobie źle traktować ich Annie. Angus wysłuchał go w milczeniu, zniósł podwójną groźbę, brutalnej siły i połyskującej stali, po czym spokojnie wygładził ubranie i odszedł. Z tego, co Anne wiedziała, od tamtego czasu nie zamienili ze sobą ani słowa.

- Czy Fearchar wie, że w okolicy roi się od milicji?

- Nie pierwszy raz jego nazwisko widnieje na angielskim nakazie aresztowania - odrzekła Anne. - Wie, kto jest mu przyjacielem, a kto... gotów jest go sprzedać za parę miedziaków.

- Tysiąc funtów to nie jest parę miedziaków.

- Ani nie jest to judaszowe trzydzieści srebrników.

Strzała dosięgła celu, choć Angus otrzymał trochę więcej niż trzydzieści sztuk srebra na uformowanie regimentu z członków klanu MacKintosh, który miał podlegać dowództwu lorda Loudouna. Duncan Forbes zapewniał, że jest to rekompensata za umundurowanie i uzbrojenie tych ludzi, a także wypłacanie im żołdu w wysokości pół szylinga dziennie, ale niewielu górali widziało to w taki sposób. Zwłaszcza że zamożni lairdowie utrzymywali, że kwota ta o kilka tysięcy funtów szterlingów przewyższa wszelkie ewentualne koszty.

Anne nie czekała na ripostę, wiedząc, jak będzie brzmiała. Przeszła do ubieralni, wyplątując po drodze z włosów przemoczoną wstążkę.

- Jestem zziębnięta i zmęczona. Czy nie moglibyśmy porozmawiać o tym jutro rano?

- Sądzę, że nie. Skoro siedzę tutaj od trzech godzin i w tym czasie przychodziły mi do głowy przeróżne wyjaśnienia faktu, że nie ma cię w domu o tak późnej porze, wolałbym pomówić o tym teraz.

Zatrzymała się przy drzwiach i obejrzała na męża, marszcząc czoło. Jego głos był miękki i łagodny, lecz wokół zaciśniętych ust rysowały się delikatne białe linie i chociaż ręka trzymająca kieliszek zamarła w bezruchu, resztką wina na dnie nadal drgała.

Spojrzenie Anne odruchowo pobiegło ku starannie odwiniętym prześcieradłom na łóżku. Pokój sypialny był częścią czteropokojowego apartamentu, największego w Moy Hall, z dwiema dobrze wyposażonymi ubieralniami, dzielącymi sypialnię Anne od sypialni męża. W pierwszym, trwającym trzy i pół roku okresie ich małżeństwa zdarzyło się niewiele takich nocy, kiedy spali osobno; zwykle zaś dzielili - ku obopólnemu zadowoleniu - masywne łóżce z baldachimem w pokoju Angusa.

Jednakże w ostatnich sześciu miesiącach oddalili się od siebie, a napięcie pomiędzy nimi stało się tak widoczne, nawet dla służby, że pokojówki zaczęły słać na noc oba łóżca.

- Z pewnością nie pomyślałeś, że jestem z innym mężczyzną - powiedziała łagodnie.

Jego dłoń zacisnęła się na nóżce kieliszka, a usta wydeły lekko, zanim oczy ich spotkały się znowu.

- Jeśli mam być szczery, nie była to wprawdzie pierwsza myśl, jaka mi się nasunęła, ale przyznaję, że i to mi przyszło do głowy. I, prawdę mówiąc, owo

wyjaśnienie wydawało mi się bardziej sensowne niż wiele innych. Umysł...
rodzi różne widma w ciemną wietrzną noc.

- Przykro mi, że się martwiłeś. Ale naprawdę myślałam, że zostaniesz na noc w Inverness.

- I dlatego uważasz, że nie było nic niewłaściwego w tym, że galopowałam po okolicy z naładowanymi pistoletami u pasa?

- Trudno to nazwać galopowaniem po okolicy. Byłam w Dunmaglass.

- Ach tak.

Wyowiedział te dwa krótkie słowa takim szczególnym tonem, że Annę ponownie popatrzyła mu w twarz. Próba odczytania jego myśli okazała się bezskuteczna, jak zawsze, gdy panował nad sobą i miał się na baczności, a ostatnimi czasy było tak prawie stale. Kiedy już postanawiał ukryć się za starannie pielęgnowaną maską obojętności, to bez względu na to, co myślał, bez względu na to, czy był wściekły, czy zrozpaczony, jego oczy i twarz nie zdradzały absolutnie niczego. Czasami Annę zazdrościła mu zdolności tak doskonałego zamknięcia się w sobie, a kiedy indziej - tak jak teraz - nienawidziła go za to z całej swojej góralskiej duszy.

Jeśli on teraz miał przypuszczać...

Ale to była głupia myśl. Nie, on nie mógłby podejrzewać jej nawet przez chwilę, że pojechała się spotkać z Johnem MacGillivrayem...

- Pojechałam do Dunmaglass zobaczyć się z dziadkiem - wyjaśniła spokojnie. - To on wybrał miejsce spotkania, nie ja.

Przyglądała się, jak Angus wysącza resztki wina z kieliszka, a potem sięga po karafkę, by go znowu napełnić.

- Jeśli byłaś taka pewna, że nie wrócę dziś wieczór do domu, mogłaś go zaprosić tutaj. Już to wcześniej robiłaś, prawda?

Annę przygryzła wargę. Angus mógł przybierać maskę obojętności, ale z pewnością nie był nieświadomy pewnych spraw, więc nie bardzo wiedząc, jak odpowiedzieć na zarzut, po prostu zbyła go milczeniem.

- Jest moim dziadkiem. Chciał mnie widzieć. Nie mogłam mu odmówić.

- A ja jestem twoim mężem. I wracając do domu oczekuję, że cię tu zastanę.

- Może gdybyś częściej bywał w domu - odparła - twoje oczekiwania częściej by się spełniały.

Weszła do ubieralni i gdy znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Usłyszała ostry dźwięk, gdy stopka kieliszka stuknęła o stół, ale kiedy mąż nie stanął w drzwiach, jak się w głębi duszy spodziewała, zasłoniła twarz rękoma i powoli pokręciła głową, przeklinając swój niewyparzony język.

A Angus rzeczywiście poderwał się z fotela i był już w pół drogi do ubieralni, opanował się jednak i przystanął. Obserwując żonę przez uchylone drzwi, zacisnął szczęki tak mocno, że zadrgały mięśnie w policzkach.

- Ja... nigdy nie zabraniałem ci widywać dziadka, ani, jeśli już o tym mowa, innych członków twojej rodziny - powiedział po chwili. - Miałem tylko nadzieję, że dostrzegasz konieczność zachowania dyskrecji.

- Przede wszystkim uznałam za konieczne dostarczenie dzieciom trochę żywności i ciepłej odzieży. Czy wiesz, że oni wszyscy, bojąc się o swoje życie, mieszkają teraz w jaskiniach? Eneasze mówi, że maluchy są dzielne i nie narzekają, ale cały czas jest tak zimno, oboje mają słabe płuca, a... a Mairi w zeszłym miesiącu poroniła. Pośliznęła się na skale...

Jej głos zdrzął i Angus przyglądał się, jak opuszcza rękę. Złożyła je na brzuchu, jak gdyby to ona sama poniosła tę okropną stratę, a jej twarz ściągnęła się, zdradzając ogromną wrażliwość. Uczynił niepewny krok naprzód, potem drugi, ale nim nabrał przekonania, że żona nie zatrzaśnie przed nim drzwi, okazja była stracona.

- Ja... naprawdę mi przykro z powodu Mairi - powiedział - ale w tej chwili to twoje zdrowie najbardziej mi leży na sercu. Woda do kąpieli powinna być jeszcze ciepła. Hardy co pół godziny dolewa świeżej. Może... każę mu przynieść następne wiadro, jeśli zechcesz.

- Nie, dziękuję ci. Woda jest w sam raz.

Podniósł wzrok, gdy przesunęła się znów w wąskiej smudze światła, z rozpuszczonymi włosami spływającymi na plecy, jak ruda jedwabna zasłona. Gdy tak się przyglądał, zebrała garście loków i zwinęła byle jak na czubku głowy, zostawiając tylko parę rozspanych pasemek, które wysliznęły się spomiędzy pary grzebieni z macicy perłowej. Teraz najpierw odsłoniły się jej szyja i ramiona, a potem, gdy lekko się obróciła, białe krągłe piersi.

Anne pojawiła się wkrótce z powrotem, jej ciało okrywał gruby szlafrok z tkaniny przetykanej jedwabną nicią. Zaryzykowała spojrzenie w kąt i przekonała się, że mąż siedzi wciąż w tym samym miejscu. Z głową odchyłoną do tyłu, spoczywającą na oparciu fotela, wpatrywał się w sufit, wyraźnie zafascynowany grą cieni padających od kominka na ozdobne stiuki.

Anne wyjęła z włosów grzebień i zaczęła wygładzać splątane pasma. Wciąż były wilgotne od topniejącego śniegu i przy kilku pierwszych pociągnięciach szczotką jak zawsze napotkała opór, poczuła jednak zarazem ulgę, robiąc coś, co nie wymagało udziału świadomości. Długa jazda do Dunmaglass i spotkanie z dziadkiem wyczerpały ją bardziej, niż skłonna się była do tego przyznać, i teraz opuszczały ją resztki sił. Miała nadzieję, że Angus doszedł już do siebie, była bowiem zarówno wytrącona z równowagi, jak i zmęczona, i czuła, że nie wytrzyma dalszych spieć.

Co istotne, nigdy rozmyślnie przed nim nie kłamała i wcale nie miała ochoty kłamać teraz. Modliła się w duchu, by mąż nie spytał jej o bardziej konkretne przyczyny, dla których Fearchar wezwał ją w taką zimną, posepną noc. Jej samej prośba, z jaką się do niej zwrócono, wydawała się niewiarygodna i paradoksalna, ona przecież tak bardzo się starała stłumić w sobie buntowniczego ducha.

Dłoń Anne, w której trzymała szczotkę, rozczesując włosy, znieruchomiła nagle.

Starła się, ogromnie się starała być dobrą żoną, nauczyć się manier i zachowywać należyłą powagę, by nie wprawiać w zakłopotanie męża w obecności ludzi z jego sfery. Codziennie zmagiała się sama ze sobą, usiłując pozbyć się szorstkiego szkockiego akcentu, nauczyć się chodzić i rozmawiać z odpowiednią godnością, oraz panować nad swymi emocjami, by stać się bardziej podobną do chłodnych, powściągliwych kobiet, których twarzom nie grozi pęknięcie, gdy roześmieją się głośno.

Dużo się śmiała, i to tak serdecznie, że często wywoływała uśmiech na twarzy swojego zawsze doskonale opanowanego małżonka - i to nie tylko ten grzeczny i fałszywy, na jaki pozwalał sobie w towarzystwie, ale ów leniwy, zmysłowy uśmiech, który zwykle zachowywał na okazję, gdy znajdą się w prywatności ich sypialni.

Z westchnieniem przytrzymała przez chwilę szczotkę na kolanach.

Wbrew okolicznościom, które towarzyszyły ich małżeństwu, Angus nigdy nie dał jej powodu, by wątpiła w swoje możliwości zadowolenia go jako kobieta, ani też ona nie dała mu podstaw do podejrzeń, że przychodzi do jego

łóżka co wieczór tylko po to, żeby spełnić obowiązek żony. Bywało, że niemal lkała z czystej rozkoszy, czując dotyk jego dłoni i ust na swoim ciele. Zdarzały się też takie chwile, gdy światła były przyćmione, a Angus był w niej głęboko, że doznawała jakby tęsknoty za bliskością wykraczającą poza fizyczny akt połączenia ciał. Zdarzały się i takie, gdy jego pospieszny szept i wędrówki głodnych dłoni i ust sprawiały, że czuła się zmieszana. Angus okazał się doświadczonym, szczodrym kochankiem, a jego ciało zdradzało odczuwaną rozkosz, wyłamując się spod kontroli, jaką zawsze w innych sytuacjach potrafił sobie narzucić. On z kolei budził w żonie pragnienia, które sprawiały, że bardziej niż chętnie, a czasem bezwstydnie ochoczo, spieszyła wieczorem do jego łóża.

Sama myśl, że on siedział po ciemku i podejrzewał ją, że ma kochankę, wydała się Anne tak zabawna w pewnym sensie, że prawie się uśmiechnęła. W ciągu minionych sześciu miesięcy zdarzało się mnóstwo razy, że to ona siedziała w tym samym fotelu i podejrzewała go o niewierność.

Angus nigdy wprawdzie nie dał jej powodów do takich posądzeń, ale mężczyźni wykazują w tych sprawach wrodzoną przebiegłość. Żonaci mężczyźni, zwłaszcza ci przystojni światowcy, bywali na dworach europejskich, w opinii ogółu powinni mieć kochanki; to powszechna rzecz, jak posiadanie w domu dwóch serwisów, jednego na uroczyste okazje, a drugiego na co dzień. Niewielu mężczyzn należących do tej samej sfery co Angus potrafiłoby zrozumieć, że może on mieć jakieś skrupuły co do bliższego poznania uroków ślicznotek, o niezbyt surowych obyczajach, które przyływały całymi transportami za każdym razem, gdy uzupełniano angielski garnizon. Dzika Ruda Annie należała do tej kategorii kobiet, które mężczyźni ciągnęli za stajnię, by zarzucić im spódnice na głowę i pofiglować sobie do woli, a nie do osób, z którymi się żenili i którym dotrzymywali wierności.

A jednak Angus nie tknął jej przez cały ostatni miesiąc, co wprawiało ją w prawdziwe przygnębienie. Teraz uczucie mrowienia w ciele, jakiego doznawała, spowodowane było nie tylko szybkimi ruchami i bliskością ognia, ile żarem, który widziała w oczach męża, śledzącego każdy jej ruch. Jego rozpięta koszula też nie pomagała Annę skoncentrować się, podobnie jak i ruchy jego palców, gdy w roztargnieniu gładził nóżkę kieliszka.

Musiła walczyć z nagłym pragnieniem, by wcisnąć własne palce w złączenie ud i powstrzymać, jeśli to było możliwe, ból, który zdawał się potężnieć z każdą sekundą. Ale odkrywszy, że małżeństwo to coś więcej niż urządzenie prozonych obiadów i nadzorowanie siedemdziesięciorga służby domowej, Anne nie mogła po prostu nakazać swemu ciału, by ostygło. Ani też nie potrafiła udawać, że gra cieni na suficie jest czymś bardziej fascynującym

niż tak dobrze pamiętane doznania, jakich doświadczała, czując na szyi jego oddech lub jego palce błędzące po jej piersiach.

Nie, nie chciała się z nim spierać. Chciała zrzucić szlafrok i rozciągnąć się naga na dywaniku przy kominku jak nierządnicą, jeśli to mogło by go zmusić do ruszenia się z tego przeklętego kąta.

Anne opuściła wzrok na szczotkę, którą trzymała na podolku. Według reguł dobrego tonu, uchodziło za rzecz bardzo niestosowną być zakochaną we własnym mężu. Czy to, że pragnęła czuć na sobie jego ręce albo tę fizyczną rozkosz, jakiej doznawała, gdy jego ciało poruszało się wewnątrz niej, było również czymś w złym tonie?

- Pozwól, że ci pomogę.

Zaskoczona, obróciła się i zobaczyła, że Angus stoi obok niej z wyciągniętą ręką. Nie słyszała, jak wstał i przeszedł przez pokój. A ponieważ przez tę chwilę, którą zajęło mu pochylenie się i odebranie jej szczotki łagodnym ruchem, nie miała pojęcia, o co mu chodzi, zastygła w czujnym bezruchu, nie spuszczając zeń oczu.

- Wyglądasz, jakby ramiona miały ci odpaść.

- Potrafię sama dać sobie radę - wyszeptała.

- Jestem tego pewien.

Nie zwlekając, uniósł szczotkę i wykonał nią ruch za plecami Anne. Nigdy jeszcze dotąd nie robił czegoś takiego i w jej obecnym stanie najwyższego pobudzenia nie do końca była pewna, czy to wytrzyma.

Zaczął od szybkiego uporządkowania ognistego chaosu; czynił to sprawnie, po męsku, w sposób trochę szorstki. Ale gdy szczotka zaczęła się gładko przesuwac od czubka głowy po koniuszki loków, jego ruchy stały się wyraźnie powolniejsze. Po chwili uporał się z masą wilgotnych splotów i przy każdym jedwabistym pociągnięciu szczotki, lśniące pasma zaczęły trzaskać naelektryzowane. Anne ciarki przebiegały po skórze, jakby ją kłuto igiełkami. Siedziała nieruchomo, wstrzymując oddech, a serce waliło jej jak młotem i zastanawiała się, czy też Angus zdaje sobie sprawę z jej niewiarygodnych erotycznych doznań, które wzbudzone na karku, przepływają wzdłuż szyi, w dół pleców i rozlewają się po brzuchu.

Brzegi szlafroka Anne rozchyliły się lekko na piersiach. Gdy wyjątkowo długie, zmysłowe pociągnięcie szczotki wzbudziło falę takich samych ukłuc pomiędzy jej udami, rozchyliła wargi w głośnym westchnieniu.

Szczotka znieruchomiła.

Anne nie mogła się poruszyć, z trudem była zdolna oddychać, a kiedy mąż przesunął palcami po zgięciu jej szyi, nie mogła się niemal powstrzymać od szczytowania tu i teraz. On udawał, że zbiera zabłąkane pasma włosów, które umknęły jego uwagi, ale kiedy Anne rozchyliła wargi i wydała drugie prawie bezdźwięczne jęknięcie, nie szukał już pretekstów i przedłużył pieszczotę. Przesunął palcami na powrót w górę i wodził po ciepłej gładkiej krzywiźnie, choć nie było tam już niesfornych kosmyków do zebrania.

Następne wyzwanie przyszło, kiedy rozdzielił gruby pęk włosów na trzy części i Anne uświadomiła sobie, że mąż chce jej zapleść warkocz.

- Dokończę sama - zaproponowała.

- Nie, nie. Ja zacząłem, ja skończę. A zresztą, setki razy przyglądałem się, jak to robisz, i nie widzę w tym nic trudnego.

Parę razy nieudolnie próbował przepleść pasma, nim Annę z uśmiechem sięgnęła za głowę, by uwolnić go od tego zadania. Ich ręce się spotkały i otarły o siebie, ale on nie cofnął swoich, lecz przeciwnie, schwycił jej przegub i trzymał przez chwilę, po czym uniósł i przycisnął do ust.

- Skłamałem, mówiąc, że nie było moją pierwszą myślą to, że jesteś z innym mężczyzną. Po dwóch butelkach bordo uznałem taki wniosek za oczywisty. Ani też nie ugłaskało bestii we mnie, kiedy powiedziałaś, że pojechałaś do Dunmaglass.

- Z Johnem MacGillivrayem znamy się od dzieciństwa.

- Tak - powiedział, wodząc palcami po delikatnej skórze jej przedramienia. - A ja od dawna mu tego zazdroścę.

Anne poczuła na przegubie jego gorący oddech, czuła jego palce wsuwające się w zgięcie łokcia, i dwa razy musiała zaczynać, nim wydobyła z siebie słowa:

- Naprawdę zazdrościsz?

- Zazdroścę każdemu mężczyźnie, który zna cię dłużej niż ja - wyznał.

Anne pomyślała, że to wino przez niego przemawia, ale skoro tak na niego działała, chętnie ustawiała mu cały galon trunku przy fotelu co wieczór.

Ustami znów dotykał jej nadgarstka i podążał pulsującą ścieżką już wytyczoną przez koniuszki jego palców. Mankiet rękawa opadł znacznie poniżej łokcia i kiedy Angus osiągnął barierę szlafroka, było mu już łatwo obrócić się i przycisnąć usta do zagłębienia szyi.

Annę z trudem zdołała utrzymać prosto głowę. Usta Angusa były ciepłe, język gorący i wilgotny, gdy zwił się, by flirtować z płatkiem jej ucha, potem wytyczył prowokującą ścieżynę w dół do kołnierza szlafroka. Dłoń mężczyzny łagodnie rozsunęła poły szlafroka, powodując, że strumienie nowych wrażeń popłynęły w dół i Annę przeleżała się, że już jest tak blisko krawędzi orgazmu, iż uwiedzenie skończy się, nim się na dobre zaczęło. Co więcej, on na pewno od jednego spojrzenia pozna, jak była pobudzona, bo skóra na piersiach ściągnęła jej się tak, że czubki sutków wyglądały jak małe dojrzałe jagody.

Nie odrywając ust od jej ciała, osunął się przed nią na jedno kolano. Ściągnął szlafrok z jej ramion, a dłońmi gładził i tulił jej piersi. Zwilżył każdy sutek językiem, a potem obserwował, zauroczony, jak światło od kominka połyskuje w zaczerwienionych czubeczkach.

- Zazdrość - mruknął - może być rzeczą straszną. Prawie tak straszną jak duma.

Może i zachowałaby na tyle jasny umysł, by znaleźć odpowiedź, gdyby nie dreszcz, który ją przeniknął, kiedy jego wargi rozchyliły się szerzej i powoli objęły jej pierś. Annę zatoneła w jego ramionach, czepiając się palcami jego włosów, a on przyjął ją, ssąc mocniej, drażniąc jej ciało językiem, aż zaczęła wydawać krótkie zdławione dźwięki z głębi gardła.

Ale kiedy ześliznęła się z krawędzi fotela i skwapliwie chciała dołączyć do niego na dywaniku przed paleniskiem, powstrzymał ją. Oderwał wargi od jej ciała z delikatnym wilgotnym mlaśnięciem, a rękami przesunął wzdłuż jej ud, zachęcając, by się rozsunęły. Serce podskoczyło jej z niedowierzania, gdy wepchnął te same ciepłe i kojące usta w trójkąt kędziorów miedzianej barwy gęstych jak futerko, i musiała zacisnąć dłonie na poręczach fotela, by z niego nie spaść, kompletnie straciwszy równowagę.

Jej ostrzegawczy krzyk sprawił, że Angus oplótł rękoma jej biodra, i przyspieszył pierwszy nieopanowany przypływ rozkoszy. Jego język myszkował łapczywie. Wpychał się głęboko między śliskie fałdy i zataczał przedziwne kręgi i półkola na ciele, które drżało i kuliło się falami wdzięczności.

- Przestań - wydyszała. - Musisz przestać. Już tego nie znoję.

- Zniesiesz - mruknął. - Zniesiesz to, bo jeszcze nawet nie zacząłem.

Zlekceważył jej protest i wpychał język głębiej, wspomagany teraz przez uwodzicielski kunszt smukłych palców, który zmusił ją, by przywarła do jego ramion, preżąc się tak niebezpiecznie blisko krawędzi fotela, że w końcu nie miał innego wyboru, tylko unieść ją i posadzić na dywaniku obok siebie. Wówczas, gdy już nic nie stało na przeszkodzie ich rozkoszy, splótł ręce pod jej kolanami i uniół je, póki nie była tak otwarta i odstonięta jak nierządnicą, którą pragnęła być parę chwil wcześniej. Tym razem, gdy nadszedł orgazm, nie mogła się poruszać inaczej, jak tylko w górę, w górę, wyprężając się z każdą falą ekstazy, aż poczuła się bliska zemdlenia.

Angus puścił ją na krótką chwilę, potrzebną, by ściągnąć buty, kopnąć je precz i zedrzeć z siebie spodnie. Anne obserwowała spod ociężałych powiek, jak ściąga przez głowę koszulę i ciska ją w kąt. Westchnęła, gdy zdjawszy bieliznę, stał przed nią dumny ze swej nabrzmiącej męskości sterczącej na wysokości brzucha. Gdy poszedł za jej wzrokiem, osunął się między jej uda, lecz zatrzymał się tuż nad nią, nie dotykając jej ciała. Pociągnął ku sobie jej dłoń, prosząc gestem, by go dotknęła.

Anne poprowadziła dłoń ślizgającą się po twardym trzonie ciała. Żyły były nabrzmiące, główka gładka i śliska dowodziła jego własnego niepohamowanego podniecenia. Śledziła reakcję w metalicznych szarych oczach, wciąż przesuwając dłoń, a gdy był pełny i twardy do granic możliwości, uznała, że nie czas już na drażnienie.

Padł znów w jej ramiona i nie było w nim wahania tylko głód. Wbiła palce w napięte mięśnie na jego plecach i przyjęła pierwsze potężne pchnięcie z krzykiem radości. Poddawała się chętnie, by dostosować się do jego wielkości, wyczuwając każde gorące wezbranie jego ciała. Rozkosz znowu wstrząsnęła nią dreszczem. I znowu... Czowała, jak jego członek staje się nieprawdopodobnie twardy, jak wpycha się w nią z całą siłą.

Wyszeptał urywane słowa i Anne uniosła kolana, krzyżując kostki nóg na jego talii. Wycofał się w górę ze ściągniętą twarzą i naprężonymi mięśniami na piersiach i barkach, lśnącymi od wysiłku, i zobaczyła, jak przepraszająco leciutko potrzęsa głową, jak gdyby nie potrafił już dłużej odwlekać nieuniknionego. Wygiął tors w łuk i pchnął biodra naprzód ostatni raz, wybuchając gorącym wewnątrz niej. Dzieliła każdy dreszcz, każde drgnięcie, czuła w sobie każdą kroplę uwolnioną z jego ciała, dopóki wyczerpawszy całą energię, nie zapadli razem w słodkie omdlenie.

Jeszcze wtedy poruszał się delikatnie wewnątrz niej; jego ciało, tak samo jak jej, nie chciało utracić choćby najlżejszego dreszczu rozkoszy. Nie wiadomo skąd znalazła siłę, by otworzyć oczy, a wówczas ujrzała odbicie ich połączonych ciał w rysunku cieni na ścianie - widok bardziej podniecający niż dziesięć butelek doskonałego francuskiego bordo.

Uniosła rękę, dotąd kurczowo zaciśnięte wokół jego pośladków, i uśmiechnęła się słabo, wyczuwając wilgoć na jego barkach i plecach. Angus na ogół się nie pocił ani nie dyszał, ani też nie szczyrzył zębów jak młodzieniaszek, który dopiero co odkrył prawdziwy powód, dla którego duchowni poświęcają tyle czasu na kazania gromiące grzechy ciała.

- Wybacz mi - mruknął i przywarł ustami do jej ust. - Mówiłaś, że jesteś zmęczona, chciałaś iść do łóżka, a ja...

- Łóżko byłoby miłe - zgodziła się. - Na zakończenie.

- Na zakończenie? - Powiedział to tak, jakby to słowo zawierało w sobie ogromne bogactwo możliwości i Anne rozchyliła wargi, wydając jeszcze jedno westchnienie, gdy poczuła, jak się w niej poruszył.

- Ciągle jestem jeszcze w tobie - wyszeptał. - Bóg wie, jak to się dzieje, ale wciąż jestem.

- Tak - powiedziała zdyszana, wyginając w górę biodra, by poczuć delikatne pęcznienie. - I masz tam pozostać, mój panie, póki któreś z nas nie znajdzie siły, by powiedzieć "nie".

4

Gdy Anne znów otworzyła oczy, w pokoju było zupełnie ciemno. Znikł nawet czerwony odbłask ognia na kominku, umożliwiający orientację. Minęła dłuższa chwila, nim zdała sobie sprawę, że nie znajduje się już we własnej sypialni. Leżała w obszernym łóżu Angusa, a ciężkie kotary zasunięto, by zapobiec przeciągom. Zza aksamitnego kokonu dobiegało wycie wiatru tłukącego w okno i grzechotanie szyb za każdym jego podmuchem. Wewnątrz

Anne słyszała tylko własny oddech, a wgłębienie obok niej było jeszcze trochę ciepłe, co wskazywało, że jest sama dopiero od niedawna.

Nocne obyczaje jej męża zawsze ją wprawiały w zakłopotanie. Podczas gdy ona mogła nie wstawać z pościeli, póki kołdry były ciepłe, a poduszka miękka, Angus rzadko spędzał w łóżku całą noc bez względu na to, jak pracowity i długi był poprzedni dzień i jak późno się położył. Miał zwyczaj krótko sypiać i często się zdarzało, że był na nogach, nim pierwszy służący przetaił oczy po przebudzeniu. Wiele razy Anne budząc się, zastawała męża czytającego lub siedzącego przy biurku i załatwiającego zaległą korespondencję. Twierdził, że nabrał tych przyzwyczajęń podczas podróży po Europie. Aby zobaczyć i zrobić wszystko, co było do zobaczenia i zrobienia, nauczył się zadowalać tylko dwiema lub trzema godzinami snu.

Anne była przekonana, że najwspanialszy zamek na świecie nie mógłby zbudzić w niej chęci wstania przed świtem i podróżowania kilka godzin konnym wozem po to tylko, by nasycić oczy bajkową wizją budowli wznoszącej się nad tumanem mgieł. Nie posądzała się też o to, że zechciałaby kiedykolwiek wcisnąć na stopy pantofle na szklanych wysokich obcasach tylko po to, by przetańczyć noc na dworze jakiegoś rosyjskiego książątka. Bardziej ją pociągało piękno górskich dolin i starożytnych wież tutaj, we własnym kraju, i nie było dla niej nic przyjemniejszego na świecie niż bieganie boso po kwitnącym wrzosowisku.

Oczywiście, z jednym wyjątkiem.

Błogi uśmiech Anne zdradzał zadowolenie, które czuła w całym ciele. Upłynęło już sporo czasu od chwili, gdy obudziła się z nosem wtulonym w poduszki przesycone wonią olejku z drzewa sandałowego, służącego Angusowi do układania włosów. Ten charakterystyczny zapach kojarzył się jej wyłącznie z nim - olejek stanowił jeszcze jeden luksus, do którego przywykł za granicą; nie znosił kredowego pyłu z pudru do włosów i nie lubił też uczucia swędzenia spowodowanego noszeniem peruki.

Przeciągając się rozkosznie, Anne delectowała się dotykiem gładkiej lnianej pościeli przywierającej do jej nagiego ciała. Czuła się oszołomiona i pijana, jak gdyby ktoś zaaplikował jej laudanum i jego działanie ustępowało bardzo powoli. Policzki miała lekko podrapane przez szczeciniasty zarost męża, a kiedy przesunęła dłonią po piersiach, przekonała się, że wciąż jeszcze reagują silnie na dotknięcie - koniuszki sutków ściągnęły się odruchowo i stwardniały. Gdy zaś uniosła biodra, doznała mnóstwa innych wrażeń, z których najsilniej dawała znać o sobie pulsująca śliskość między udami.

Słaby odgłos zza kotary sprawił, że uniosła głowę znad poduszki. Nasłuchiwała przez chwilę, a potem cicho przeturlała się na krawędź łoża i zaczęła macać ręką aksamit, aż natrafiła na miejsce styku dwóch kotar. Poruszając się ostrożnie, by materac nie zatrzeszczał, wychyliła się i koniuszkiem palca odchyliła pas draperii.

W pierwszej chwili nie dostrzegła niczego, bo było zbyt ciemno. Nocna lampka jarzyła się w kinkiecie przy ubieralni, ale knot miała krótko przykręcony, a płomień zbyt słaby, toteż stanowiła jedynie jarzący się punkcik ze smużką dymu. Coś jednak w niewyraźnych cieniach przyciągnęło jej wyteżony wzrok ku biurku i po kilku chwilach wpatrywania się, dojrzała Angusa usadowionego w skórzanym fotelu, gdzie zwykle pisywał listy. Teraz jednak nie pisał, tylko siedział nieruchomo, wsparłszy łokcie na kolanach, z pochyloną głową i brodą ukrytą w dłoniach.

Annę odgarnęła łokciem kotarę.

- Angus?

Gdy się nie poruszył i nie zareagował na jej szept, oblizała wargi i spróbowała ponownie.

- Angus... co z tobą?

Odetchnął głęboko.

- Nic mi nie jest. Pośpij jeszcze.

- Dlaczego siedzisz po ciemku?

- Nie jest ciemno - odrzekł, unosząc głowę. - Jest tylko... tak spokojnie.

Anne spuściła nogi i przewiesiła je przez krawędź łoża. Przyniósł ją tu naga, a poza osłoną kotar było zdecydowanie zimniej. Angus miał na sobie szlafrok, który zwykle trzymał przy łóżku, więc nie mając niczego innego pod ręką, ściągnęła kapek z łóżka i zanim się wynurzyła z aksamitnego kokonu, owinęła ją sobie wokół ramion.

- Mam nadzieję, mój panie, że nie chce pan w ten delikatny sposób dać mi do zrozumienia, że chrapię?

Jego twarz mającyla niewyraźnie na ciemnym tle jak blada plama, tak że Anne, podchodząc ku niemu, nie mogła dostrzec, czy jej uwaga wywołała uśmiech. Szlafrok uszyty z granatowego pikowanego brokatu, wydał się zimny w dotyku, gdy przesunęła dłonią po ramieniu męża.

- Anne, naprawdę nic mi nie jest. Powinnaś wrócić do łóżka, nim się zaziębisz.

- Pozwól przynajmniej, że rozpalę dla ciebie ogień. Patrz, jest jeszcze trochę żaru...

- Jeśli ty chcesz ognia, zaraz ci go rozpalę, a w przeciwnym razie... proszę. Po prostu mam ochotę przez chwilę spokojnie pomyśleć.

Anne wzdrygnęła się, usłyszawszy nagły ostry ton w jego głosie, który niedawno był tak miękki i cichy, gdy Angus wtulał usta w jej ciało.

- Wybacz mi. Ja... z pewnością nie chciałam ci przeszkadzać. - Naciągnęła kapę wyżej na ramiona. - Może wolałbyś, żebym po prostu wróciła do mojego pokoju?

Pochwyił jej rękę, nim zdołała się odwrócić.

- Nie. Nie... Anne, to ja przepraszam. Ja... nie chcę, żebyś sobie poszła. Wcale nie. Proszę. Chodź tu i posiedź ze mną przez chwilę. W głowie mi łomocze i tak się czuję, jakbym w brzuchu miał ołów.

- A co by było. gdybym cię poila galonem wina co wieczór - mruknęła.

- Co?

- Nieważne. To było głupie, co pomyślałam.

Angus pociągnął ją ku sobie i wziął na kolana, a ona wtuliła się w zgięcie jego barku.

- Naprawdę mi przykro - przesunął dłonią po jej plecach, by wygładzić potargane fale włosów. - Nie chciałem na ciebie warknąć.

- Ja też nie chciałam ci przeszkadzać. Jeśli chcesz, zaraz wrócę do łóżka.

Przez chwilę rozważał tę propozycję, po czym przywarł ustami do gęstwiny jej włosów.

- Nie. Wolę, żebyś została tu, gdzie jesteś.

Anne westchnęła i przytuliła się mocniej. Parę sekund później, cienka nuta żalu, jaką wyczuła w jego głosie, sprawiła, że uniosła ukradkiem głowę, by przyjrzeć się w półmroku jego twarzy.

Czy teraz, kiedy wino przestało już działać, był zażenowany ich nocnymi wyczynami? Wydawałoby się, że żądza powinna być uznawana za objaw słabości przez człowieka, który zawsze tak starannie trzyma na wodzy swoje emocje, a wczoraj wydawał się zdecydowany nadrobić ostatnie tygodnie obojętności. Czy teraz zastanawiał się, jak spojrzeć jej w oczy przy śniadaniu znad talerza kiełbasy, wiedząc, co robiły jej usta zaledwie parę godzin wcześniej?

Rumieniec zawstydenia oblekł jej ciało i rozkoszne poczucie zaspokojenia zaczęło się z wolna rozwiewać.

- Czy powiedziałaś... lub zrobiłam coś, co cię niepokoi?

Angus zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

- Nie, to nie ma wcale związku z tobą. I na pewno nie musisz się tym w ogóle przejmować.

Gdyby pogłaskał ją po głowie i dał cukierka, jego ton nie mógłby być bardziej pobłażliwy.

- Miło było z tobą pobaraszkować, dziewczyno. Wspaniale się odprężyłem - powiedziała lekko żartobliwym tonem - a teraz idź obierać ziemniaki. Tak, milordzie, już biegnę. I, jeśli mi wolno spytać, czy mam wyrzucić gnój ze stajni?

Spojrzał na jej twarz, majaczącą niewyraźnie w mroku, i uniósł jedną brew.

- Odprężenie? Myślisz, że tym dla mnie jesteś?

- Nie tak chciałabym się widzieć, ale nie dajesz mi wielkiego wyboru, kiedy tak po prostu krzyczysz na mnie: "Idź do łóżka i nie zwracaj mi głowy".

Angus otworzył usta, potem zamknął je gwałtownie, zdawszy sobie sprawę, że nie uda mu się odeprzeć zarzutu za pomocą kolejnych frazesów.

- Nie krzychałem.

- Sam przyznałeś, że warknąłeś. W każdym razie w twoim głosie słyszałam wyraźnie gniew.

- Nie na ciebie, Anne. Może na siebie samego, ale nie na ciebie. No więc dobrze, przyznaję się. Byłem zły przedtem, w nocy, ale tylko dlatego, że się

martwiłem. Miałem masę czasu, żeby sobie przemyśleć mnóstwo rzeczy, między innymi i to, co znaczy dla mnie twoja obecność w moim życiu.

Zmarszczyła brwi.

- Co znaczy? Ciepłe ciało w łóżku, kiedy go potrzebujesz. Gospodyni przy stole, ktoś, kto liczy prześcieradła i czasem skrzyczy służbę, gdy twoje stoły źle wywoskowano?

- Moje stoły?

- Jeśli dobrze pamiętasz, przyszłam tutaj, nie mając nic prócz ubrania na grzbiecie, więc oczywiście, to są twoje stoły, twoje krzesła, twoje zasłony, twoje talerze, i nigdy nie dano mi powodu, bym myślała o nich inaczej.

Pogładził ją niespokojnie po ramieniu i domyśliła się, że przypomniła sobie dekorację kwiatową, którą zrobiła w pierwszym tygodniu po wprowadzeniu się do Moy Hall. Wróciła z długiego spaceru, na którym nazbierała trochę gałązek wrzосу i dzwonków - w istocie mizerna ozdoba, jak gotowa była przyznać po fakcie, ale w pierwszej chwili uważała bukiet za na tyle ładny, że zasługiwał, by wstawić go do oryginalnej porcelanowej wazy, którą wypatrzyła w salonie. Po godzinie kwiaty zniknęły, a służące chichotały na wspomnienie "chwastów" znalezionych przez kamerdynera Roberta Hardy'ego, w drogiej, cennej antycznej wazie pana. Angus nigdy nie wspomniał o tym zdarzeniu, ale dla Anne było ono bolesną lekcją, z której wyciągnęła odpowiednie wnioski.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że wciąż czujesz się gościem we własnym domu - powiedział cicho.

- Czasem istotnie tak się czuję, to prawda. A kiedy indziej...

Uniósł głowę, gdy ona pochyliła swoją.

- Kiedy indziej?

- Dobrze rozumiem, że zawadzam - powiedziała łagodnie. - A nawet że przynoszę ci wstyd.

Angus znów podniósł głowę.

- Przyznaję, że niekiedy bywasz niezwykle uparta i nie można cię w żaden sposób przekonać, że racja nie jest całkowicie po twojej stronie. Masz też niepokojący zwyczaj: mówisz dokładnie to, co myślisz, nie zastanawiasz się zupełnie nad konsekwencjami, i to nie tylko w zaciszu tych czterech ścian.

Powiem nawet, iż nie jesteś raczej typem kobiety, o jakim myśli mężczyzna, gdy wyobraża sobie spokojne, osiadłe wiejskie życie. Z drugiej strony, gdybym szukał właśnie osoby tego pokroju...

- Mógłbyś poślubić Margaret MacNeil albo jej uroczą francuską kuzynkę, Adrienne de Boule. Istotnie, mówiono mi, że obie były mocno rozczarowane, gdy usłyszały, że jesteś zmuszony wziąć za żonę kocmołucha.

- Nie wierzę, by ktokolwiek mógł cię porównać do kocmołucha.

- W takim razie powinieneś uważniej przysłuchiwać się plotkom. A niezależnie od tego, wątpię, czy upodobania panny de Boule kiedykolwiek przysporzyłyby ci choć odrobinę zmartwienia z powodu wycieczek po nocy z pistoletami za pasem, zapewne też nie skompromitowałyby cię nigdy, używając niewłaściwego widelca czy nie tej łyżki, co trzeba. Z pewnością czułaby się w swoim żywiole, siedząc na proszonym obiedzie obok Duncana Forbesa, i nigdy nie ośmieliłaby się spytać, dlaczego, na Boga, nosisz mundur Czarnej Gwardii, mimo że prawie wszyscy ludzie z twego klanu odwracają oczy ze wstydu, gdy cię w nim widzą.

Gdy tylko wymknęły jej się te słowa, zaraz ich pożałowała, bo ugodziły go, jakby otrzymał policzek. Zesztywniał cały, a jego ręka, która zabłądziła między fałdy kapy, cofnęła się, jakby była na sprężynie.

- Ach tak. Znów do tego wracamy. Jak zawsze.

- To nie jest coś, co możemy po prostu ignorować, kiedy nie pasuje do naszego nastroju w danej chwili.

- Istotnie nie możemy. A co do obecnego nastroju, to powiedziałbym, że popsuł się całkowicie.

Skóra fotela zaskrzypiała, kiedy przesunął się w przód, zachęcając ją, by zeszła mu z kolan. Gdy to zrobiła, wstał i przeszedł przez pokój do kominka, schylił się, zapalił knot, którym z kolei zapalił dwie świece na gzymsie. W żółtym blasku płomienia Anne widziała jego ostre rysy twarzy, kwadratową szczękę i usta zaciśnięte w cienką linię. Włosy miał wciąż po chłopięcemu rozczochrane, ciemne pukle spadały mu na policzki i czoło, ale choć powinno to nadać mu łagodniejszy wygląd, tylko podkreślało szybkość, z jaką potrafił się zmienić z troskliwego, czułego kochanka w rozgniewanego pana i władcę.

- Sądzę, że powinienem był zapytać cię wcześniej, ale myślałem... zresztą nieważne co myślałem - odezwał się. - Przypuszczam, że Fearchar zwołał spotkanie, bo chce wiedzieć, czy mam zamiar zmienić stanowisko i zwolnić z

posłuszeństwa lairdów klanu Chattan, by mogli dołączyć do armii księcia, jeśli zechcą?

- Miał nadzieję, że tak właśnie zamierzasz uczynić.

- Wstąpić w szeregi armii będącej w odwrocie? Mogę nie mieć takiego doświadczenia wojennego jak członkowie klanu Farquharson, ale w moim przekonaniu nie jest to najlepszy moment, by zadeklarować swoje poparcie.

- Gdybyś je zadeklarował wcześniej - odpowiedziała spokojnie - może nie byłiby w odwrocie.

- Czy naprawdę myślisz, że kilkuset ludzi stanowiłoby różnicę?

- Oni sami nie. Ale gdyby kilkuset MacKintoshów połączyło się z MacLeodami i MacDonaldami i kilkunastu innymi klanami, które wolały pozostać w domu i pilnować swych rodzinnych włości, razem byłoby to już tysiące ludzi, a to mogłoby stanowić różnicę.

Knot wypalił się w jego palcach, więc strząsnął zwęglony skrawek do ognia, po czym podszedł do okna. Odsunął zasłonę, ale na dworze było wciąż tak ciemno, że niewiele dało się zobaczyć. Odwrócił się, włożył ręce w kieszenie szlafroka i popatrzył na żonę. Dwa jasne punkty płonących świec odbijały się w jego oczach, co dawało trochę niesamowity efekt.

- Może masz rację - powiedział. - Może powinienem był zaprosić cię do udziału w niektórych dyskusjach, które toczyłem z własnym sumieniem. Nie dlatego, oczywiście, że nie słyszałem wszystkich tych argumentów wcześniej.

Anne nic nie powiedziała; miała lodowato zimne stopy, palce nóg skuliła nerwowo na dywanie.

- Czy rzeczywiście sądzisz, że chcę zmusić porządnych ludzi, takich jak Fearchar, Gillies MacBean i John MacGillivray, by dotrzymali przysięgi, która ciąży im nieznośnie niczym żelazny Tawerot? Czy myślisz, że jest mi przyjemnie, gdy patrzą na mnie, jakbym był powietrzem, lub gdy słyszę, że spluwają za moimi plecami? Czy wiesz, że nie ma takiego dnia, bym nie dręczył się z powodu decyzji, które musiałem powziąć?

- Nie musiałeś ich podejmować sam jeden - przypomniała mu.

- Nno... tak, istotnie. Może uważasz, że łatwo byłoby zebrać wszystkich lairdów z klanu Chattan i dojść do zgodnego stanowiska. Ale już się przekonałem, że łatwiej jest mieszać olej z wodą, niż sprawić, by dwaj szkoccy

górale zgodzili się choćby w jednym punkcie dyskusji. Dwudziestu zebranych razem przedstawiłoby sto propozycji, z których dziewięćdziesiąt dziewięć doprowadziłoby do rozlewu krwi i walki na rapiery. Nie. - Potrząsnął ze smutkiem głową. - Część radości, która przypada wodzowi, bierze się stąd, że to brzemię musi udźwignąć sam, tylko sam. O ileż łatwiej by mi było, gdyby było inaczej. - Umilkł na chwilę, ale uniósł dłoń, dając znak Annę, by mu nie przerywała. - Niestety, los przeszło dwu tysięcy rodzin zależy od tego, jak będę nimi kierował - kierował głową, a nie sercem. Na każdego mężczyznę, któremu rozkazałbym chwycić za broń i wziąć udział w szaleńczym przedsięwzięciu, przypada co najmniej dwa razy tyle kobiet, dzieci i niemowląt na rękę, które pierwsze odczują na sobie skutki takiej ślepej zuchwałości. Dręczysz się losem swych bratanków i bratanic, którzy muszą teraz mieszkać w jaskiniach? Wyobraź sobie setki innych osób mogących się znaleźć bez dachu nad głową, których domy mogą zostać zburzone do fundamentów, pola wypalone, a bydło zarżnięte. Wyobraź sobie ojców, synów i mężów aresztowanych i załadowanych na statki i sprzedanych w niewolę na obcej ziemi.

- Anglicy nie mogą aresztować wszystkich mężczyzn w Szkocji - zaprotestowała. - A ci, których uwięzili, mogą woleć cierpieć taki los, niż nosić barwy hanowerskie i walczyć za króla Sassenacha, którym gardzą.

- Wierzysz, że woleliby walczyć za króla, który nawet nie podziękował im za ofiarę, jaką chcą ponieść w imię lojalności? James Stuart jest na wygnaniu od sześćdziesięciu lat. Utył i zniedołężniał, żyjąc na koszt innych otyłych, zniedołężniałych monarchów, którzy oburzają się i wybuchają wściekłością na każdą uwagę poczynioną choćby żartem, że mógłby kiedykolwiek upomnieć się o swój tron. Czy miał chociaż tyle wiary w swoją sprawę, że przybył sam do Szkocji? Wielki Boże, nie. Przysłał w zastępstwie niedoświadczonego, próżnego synalka - młokosa, który jeszcze nigdy przedtem nie widział, jak wygląda pole bitwy, a co gorsza, nie posiadał potrzebnych środków, by przejąć władzę w kraju. I nie w pierwszym lepszym kraju, tylko w Anglii, na miłość boską. Największej potędze militarnej świata.

- Pokonał ją pod Prestonpans - odparowała z zaciekłością - jego armia zajęła Edynburg i Perth i Stirling. Książę wzniósł sztandar Stuartów w angielskich miastach na całej drodze do Derby.

- Pod Prestonpans dowodził armią Lord George Murray. Gdyby nie on i tacy ludzie jak Donald Cameron z Lochiel, wątpię, czy Karol Stuart wróciłby spod Glenfinnan z tysiącem ludzi. A co do zatknięcia sztandarów w angielskich miastach, gwarantuję, że zdarto je natychmiast, gdy tylko opadł kurz za cofającym się wojskiem.

Annę zacisnęła palce na fałdach swej kapy, ale Angus gestem dłoni poprosił ją, by zachowała milczenie jeszcze przez chwilę.

- Ale nawet gdyby... gdyby stało się to nieprawdopodobne i armia jakobitów dotarłaby do Londynu, jak długo, twoim zdaniem, książę mógłby tam pozostać? Anglicy zdołali zebrać trzydzieści tysięcy wojska w ciągu jednego tygodnia od przekroczenia granicy przez księcia, a będą mieć pięć razy tyle, jeśli realna groźba zawiśnie nad stolicą. Mają też środki i zasoby, by wykarmić, umundurować i opłacić armię, oraz zaopatrzyć ją w muszkiety, armaty i amunicję. Nasi ludzie muszą żebrać o strawę i owijać stopy szmatami, kiedy zedrą buty. My całkowicie polegamy na zewnętrznych źródłach zaopatrzenia w broń i amunicję, gdy tymczasem Anglicy mają flotę liczącą pięćset okrętów wojennych, które mogą zablokować wybrzeże tak szczelnie, że ryba się nie prześliznie.

- Mamy silnych sprzymierzeńców.

- Istotnie mamy. Dwóch najpotężniejszych wrogów Anglii: Francję i Hiszpanię. Jeśli kiedykolwiek była szansa zyskania poparcia czy sympatii w angielskich sferach wojskowych, została na zawsze stracona. Po stu latach wojen o to, by nie wpuścić Francji na naszą stronę kanału i odstraszeniu niezwyciężonej armady za pomocą łodzi rybackich i boi świetlnych, jest mało prawdopodobne, że Anglicy zaproszą jakikolwiek naród, by rozbił teraz obozowiska na ich brzegach. A co do walecznych sojuszników - gdzie oni są teraz? Król Ludwik obiecał czterdzieści tysięcy ludzi i statki wyposażone w broń i złotem. Jak dotąd przysłał dwa tylko wraki, przeżarte przez korniki, z ładunkiem kul armatnich, które, jak się okazuje, są bezużyteczne, ponieważ brak armat, z których by je można było wystrzelić.

Annę odwróciła głowę.

- Postanowiłeś przekonać sam siebie, że nasza sprawa jest stracona, zanim się w ogóle zaczęła, i znakomicie wykonałeś to zadanie.

- Jestem tylko realistą, Anne. W chwili, gdy książę postawił stopę na angielskiej ziemi, przegrał sprawę. Gdyby się zatrzymał na granicy, gdyby umocnił swe zdobycze, wzmocnił garnizony, powołał rekrutów, by strzegli naszych domów i naszej wolności przeciw nowej angielskiej inwazji... - Głos Angusa nagle ścichł. - Cóż, nigdy się nie dowiemy, co mogłoby się zdarzyć, prawda?

- Jeszcze nie jest za późno. Wciąż możemy bronić naszych granic.

- Przeciwno trzydziestu tysiącom żądnych zemsty Anglików w zimowej kampanii? Wiesz najlepiej, że kiedy książę przejdzie rzekę Esk i znajdzie się na powrót w Szkocji, połowa ludzi, którymi dysponuje, rozpułnie się i wróci do domów, do swych gospodarstw i rodzin. Będzie miał szczęście, jeśli utrzyma tę drugą połowę na tyle długo, by móc dotrzeć do Edynburga. Wtedy znów, jeśli meldunki są prawdziwe... - Wrócił do biurka i otworzył górną szufladę, wahając się przez chwilę, nim wyjął arkusz papieru.

Anne widziała dosyć oficjalnych dokumentów, by rozpoznać wojskowe i rządowe pieczęcie, i poznała wyszukany zawijas, charakterystyczny dla podpisu Johna Campbella, czwartego hrabiego Loudoun, dowódcy angielskich oddziałów stacjonujących w Inverness.

- Armię Cumberlanda dzielą niecałe dwa dni marszu od księcia. Skoro tak, być może nie zdąży on dotrzeć nawet do granicy, a wtedy to, czy zdoła obronić Szkocję przed inwazją, czy też nie, będzie sprawą otwartą.

- Dwa dni!

- I jest to meldunek sprzed dwudziestu czterech godzin.

Anne znów wstrzymała oddech, spoglądając w twarz męża.

- Co zamierzasz zrobić?

- Mam być szczery? Zamierzam się modlić, żeby to co się wydarzy - cokolwiek by to było - wydarzyło się kilkaset kilometrów stąd. Żeby wydarzyło się szybko i pociągnęło za sobą jak najmniej następstw dla reszty kraju. Co więcej - choć wyda się to przykre twojemu dziadkowi i krewniakom, na pewno też będzie źle widziane przez nich - zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby obronić swój dom, swoją rodzinę i swój klan.

- Nawet, jeśli to by oznaczało zbrojne wystąpienie przeciwko księciu?

- Ludzie z klanu Chattan nie będą walczyć - oświadczył Angus spokojnie.
- Będą zaangażowani jako straż i wartownicy, od początku postawiłem tę sprawę jasno lordowi Loudoun.

- A jeśli się tak zdarzy, że będą pełnili straż w dolinach wokół Inverness i zobaczą księcia jadącego drogą... czy odłożą wówczas na bok muszkiety, czy dostaną rozkaz, żeby z nich wypalić?

Angus schylił głowę i wydmuchnął powietrze przez wydęte wargi.

- Modłę się co wieczór, żeby nigdy do tego nie doszło, tak jak modliłem się, żeby obie strony odzyskały rozsądek i znalazły sposób pokojowego rozwiązania sprawy.

- Sprawy! - parsknęła Anne. - Czy nie możesz przynajmniej nazywać rzeczy po imieniu? To jest wojna, Angusie. Wojna. A na wojnie musi być strona, która wygrywa, i strona, która przegrywa. To, co zrobiłeś i co robisz nadal, wspierając Anglików, to po prostu wspieranie niewłaściwej strony.

- Niewłaściwej w twoim pojęciu - odparł spokojnie, lecz stanowczo. - Ja staram się usilnie nie być po żadnej stronie.

- Tak. Wiem, jak bardzo się starasz. Obiady w Culloden House, wieczorki w Fort George, łaski ze strony rządu i obietnice ziemi i majątków w zamian za współpracę. Musi ci być bardzo trudno udawać, że nie cieszą cię te wszystkie pochlebstwa i względy.

- Próbuję przejść na tym wszystkim do porządku - odpowiedział sucho. - Czy powinienem przyjąć, sądząc po uroczym wyrazie obrzydzenia na twojej twarzy, kiedy wspomniałaś o Culloden House, że zapomniałaś o obiedzie, na który zaproszono nas oboje na jutro wieczór.

- Na proszony obiad?

- Dla uczczenia osiemdziesiątych urodzin lady Reginy Forbes?

- Dobry Boże! Zupełnie zapomniałam. - Rozwarła szeroko oczy z niedowierzaniem. - Z pewnością nie oczekujesz, że tam pójde! Że spędzę cały wieczór w jednej sali z Duncanem Forbesem i tym zrzędą hrabią Loudounem.

- Culloden House to duży budynek. Nie wątpię, że znajdziesz dosyć ścian do podpierania. I rzeczywiście oczekuję, że tam pójdziesz. Cokolwiek czujesz w stosunku do jej syna, lady wdowa Forbes niczym nie zasłużyła na twą wrogość lub pogardę. Nawet moja matka zgodziła się opuścić swoją jaskinię z tej okazji, a jeśli taka wojownicza dama może trzymać język za zębami przez ten jeden wieczór, nie widzę powodu, żebyś ty nie zdobyła się na podobne poświęcenie. To oczywiście obejmuje powstrzymanie się od obrażania innych gości i sięgania po nóż po każdym wyimaginowanym afrontie, jaki cię spotka.

- Nigdy nie brałam noża na oficjalny obiad - warknęła.

- W takim razie z pewnością nigdy nie spojrzałaś w lustro, kiedy poniósł cię temperament. - Zamilkł na chwilę, starając się zapanować nad sobą. - Więc jak będzie?

- Z czym?

- Mam zamiar wyjechać koło szóstej wieczorem; czy mogę liczyć, że zrobisz mi tę przyjemność i będziesz mi towarzyszyć w powozie, lady MacKintosh?

Anne odwróciła się i zrobiła parę kroków w stronę swojej ubieralni. Przy drzwiach, które prowadziły do jej sypialni, przystanęła i obejrzała się przez ramię.

- Myślę, że poznasz odpowiedź jutro o szóstej, milordzie. Tak samo jak ja.

5

Angus znajdował się w bibliotece, gdy zegar na kominku wybił szóstą. Ubrany był w elegancki długi surdut z aksamitu w kolorze myśliwskiej zieleni, pod którym nosił kamizelkę z jedwabiu o bladozielonym odcieniu. Zdobity ją wyhaftowane girlandy bluszczu, wyłogi surduta natomiast były aż sztywne od ozdobnych spiralnych ornamentów ze złotej nici, a zawinięte mankiety odsłaniały powódź koronek wokół przegubów. Krótki kilt w czerwono-zieloną kratę i pończochy z ciemnoczerwonej wełny z zielonym ornamentem z prostokątów uzupełniały ten strój. Trzewiki miały srebrne klamry, a pochwa z miękkiej koźlecej skóry tłoczony złotem, zwisająca od barku do biodra, osłaniała paradny miecz. Jak zwykle, Angus nie włożył peruki, tylko kazał sobie szcypcami ułożyć włosy na skroniach, a długie pasma spleść starannie z tyłu głowy.

Przez cały dzień nie widział Anne i nie otrzymał od niej żadnych wiadomości, z których by wynikało, że żona będzie mu towarzyszyć na przyjęciu lub pozostanie u siebie. Pomimo wyczynów minionej nocy wychylił dwa duże kieliszki bordo w ciągu ostatniego kwadransa, przemierzając niespokojnie pokój i obserwując, jak minutowa wskazówka na cyferblacie zbliża się nieubłaganie do dwunastej. Zazwyczaj Anne starała się być punktualna i nierzadko jej się to udawało. Trochę wcześniej Angus pochwycił spojrzenie Dreny, pokojówki żony, która popędziła gdzieś korytarzem, ale uznał za

niegodne siebie zatrzymywać służbę i wypytywać, czy żona jest ubrana do wyjścia, czy po domowemu.

W ciągu dziesięciu minut tyle razy poprawiał torbę, zwaną sporranem, należącą do tradycyjnego stroju, i wsuwał palec między szyję i węzeł krawata, by go rozluźnić. Jego kamerdyner, Robert Hardy, jak zawsze pomagał mu się ubierać, i chociaż wysoki szczupły służący rzadko wyrażał swe opinie słowami, zazwyczaj można było odgadnąć jego nastrój po sposobie, w jaki zawiązywał krawat, lub po ruchach szczotki, którą usuwał strzępki nitek z aksamitnego surduta.

Tego wieczoru z takim wigorem pociągał szczotką, że niemal nie poobijał ramion Angusa, a gdyby wykrochmalone płótno wokół szyi zacisnęła choć trochę mocniej, twarz jego pana z pewnością by zsiniała.

Hardy, wierny od lat znakomity służący, usłyszawszy, że jego pan zamierza się ożenić z rudowłosą diabolicą, początkowo był tak urażony, że omal nie poszukał sobie innej posady. Traktował nową panią tak samo lekceważąco, jak i reszta służby, aż do dnia, gdy zobaczył, jak Anne z rękoma zakrwawionymi po łokcie, gorączkowo starała się udzielić pomocy jednej z pomywaczek, która skaleczyła się o kratę kominka. Przytomność umysłu pani ocaliła dziewczynie życie, a dzięki temu, że Anne potrafiła opatrywać i szyć rany, ramię służącej zostało uratowane. Ponieważ większość dobrze urodzonych dam byłaby raczej skłonna wrzasnąć i zemdleć, niż zniszczyć jedwabną suknię, brudząc ją krwią - i to krwią zwykłej pomywaczki - Hardy zaczął odnosić się do Anny, którą dotychczas uważał za diabolicę, z pewną dozą szacunku. Zaczął jej podpowiadać ledwie zauważalnymi ruchami ręki lub kiwnięciami głową, których łyżek i widelców należy używać do którego dania w czasie długich oficjalnych posiłków. W końcu urządził pokaz: wyłożył kompletne nakrycie do oficjalnego bankietu i cierpliwie wyjaśniał, do czego służą poszczególne elementy. Od tej pory uczył Anne, jak planować menu, a kiedy odkrył, że jej wykształcenie nie wykracza poza wiejskie nieortograficzne gryzmoły, dyskretnie zorganizował codzienne wizyty nauczyciela, które powtarzały się dopóty, dopóki Anne nie nabyła umiejętności przepisywania całych stron poezji lub prozy eleganckim charakterem pisma. Następnie, na jej nieśmiałą propozycję, dodał lekcje wymowy, właściwej postawy i zachowania się w towarzystwie. Uczenia się haftu i gry na pianinie odmówiła zdecydowanie, za to polubiła rysowanie, okazało się też, że ma prawdziwy talent do malowania akwarelą. Hardy, zgodnie z wpojonymi mu, nieprzekraczalnymi regułami zachowania, informował Angusa o kolejnych nowych sukcesach. Laird z kolei wskazywał inne zainteresowania, które żona zdradziła mimochodem, tak że gdy propozycja wychodziła od Hardy'ego, Anne nie czuła się zobowiązana wobec męża ani w jakiś sposób kierowana jego ręką.

Angus czuł się dostatecznie nagrodzony, widząc dumę promieniującą z jej oczu po każdym nowym osiągnięciu. Wcale nie pragnął zbyt gorąco ujrzeć jej zmienionej w wystrojoną i wyperfumowaną arystokratkę; przeciwnie, wciąż jeszcze się uśmiechał, gdy sobie przypominał wyraz twarzy niektórych bardzo sztywnych gości, gdy Anne wbiegała do pokoju, zarumieniona, zdyszana, z włosami rozsypanymi na ramiona, bosymi stopami i spódnicami podkasanymi wysoko, by uniknąć zębów szczeniaka, ścigającego zawzięcie swoją panią.

Anne wkroczyła w życie Angusa jak mała burza. Dźwięk jej śmiechu przy stole w czasie obiadu wprowadzał go w osłupienie częściej, niż był skłonny przyznać, nie dlatego, że ganił takie zachowanie, ale że dziwił się, dlaczego dawniej przy tym stole nic takiego się nie zdarzyło. Myśl o własnej matce żartującej z ojcem, czy to sam na sam, czy w towarzystwie, była mu równie obca, jak myśl o tym, że rodzicom przydarzyły się intymne stosunki przynajmniej czterokrotnie w czasie ich małżeństwa.

Ostatniej nocy łagodnie strofował Anne za otwarte wypowiedzianie swych myśli, ale jakże jej zazdrościł swobody, z jaką to robiła. Jak bardzo chciałby umieć jej wyznaczyć, że rozpaczliwie pragnie okazywać swe uczucia tak samo otwarcie i szczerze jak ona. Ale ród MacKintoshów wywodził się z czasów króla Malcolma IV, który panował w roku 1153, i kiedy Angus był jeszcze młodym chłopcem, przypomniano mu o tym każdego dnia. Nie wolno mu też było zapominać, że niefortunna gorliwość jego dziadka, który opowiedział się za jakobitami w nieszczęsnym roku piętnastym, drogo kosztowała klan - trzeba było nie tylko zapłacić grzywny, ale doszło też do konfiskaty dóbr. Dopiero po prawie dwudziestu latach i złożeniu uroczystej przysięgi lojalności królowi angielskiemu MacKintoshowie odzyskali rodzinne tytuły i pozycję.

Angus nie prosił się o to, by brzemień przewodzenia klanowi złożono na jego barki. W istocie doszło do dyskusji w gronie innych lairdów; rozważali kwestię, czy tytuł nie powinien przyspaść Cluny'emu MacPhersonowi, bo nie byli pewni człowieka, którego zdolności przywódczych nigdy nie sprawdzono, człowieka, który spędził dziesięć lat na kontynencie, bywając regularnie w operze i studiując starożytne języki umarłych poetów.

Angus Moy sam pierwszy by przyznał, że jest typem uczonego, nie wojownika. Cenił sztuki piękne, muzykę i literaturę. Uczył się szermierki u hiszpańskiego nauczyciela, ale nigdy nie walczył w pojedynku, nigdy nie dzierżył szkockiego miecza, nigdy też w gniewie nie wypalił z pistoletu. Ku jego sekretnemu upokorzeniu, zdarzyło mu się zwymiotować na widok dłoni żebraka zmiażdżonej na krwawą masę pod kołami furgonu.

Był zdumiony, gdy lairdowie z klanu Chattan zebrali się po raz pierwszy, by zatwierdzić jego tytuł i złożyć mu tradycyjne ślubowanie wierności. Wielu z

nich miało na sobie stroje z aksamitu ozdobione koronkami, ale wielu też wkroczyło do sali z ponurymi brodatymi twarzami i tradycyjnymi mieczami, zwanymi clai'mors, przewieszonymi przez ramię. Angus szybko się zorientował, że w ciągu dziesięciu lat, kiedy nie było go w kraju, bardzo niewiele się zmieniło, to znaczy, bardzo niewiele się zmieniło w ciągu minionych sześciuset lat feudalnego porządku. Gdy Szkoci z nizin w mniejszym lub większym stopniu pogodzili się z postępem, jaki niosły angielskie rządy, a nawet uczyli się, jak czerpać korzyści z eksportu wełny, węgla i rudy żelaza, górale szkoccy wciąż trzymali się systemu klanowego, który zawsze panował w górzystej części kraju. Ci z nizin poddali się sprawiedliwym praktykom sądów i wiedzieli, że jeśli ktoś się urodził na farmie, to jeszcze nie znaczy, że musi też umrzeć na farmie. W górach dzierżawcom nie było wolno nawet ożenić się bez zgody wodza klanu, nie mówiąc już o sprzedaniu beli pszenicy bez oddania suzerenowi dziesięciu dziesiątych z uzyskanego dochodu.

Angus nie potrzebował niczyjej zgody na małżeństwo; mógł jednym ruchem pióra unieważnić umowę zawartą między jego ojcem a Fearcharem Farauharsonem. Mimo to zrobił ustępstwo dla starego siwego wojownika. Zaprosił go do Moy Hall i wy słuchał jego argumentów, wiedząc doskonale przez cały czas, jak sam ostatecznie postąpi.

Przypadek chciał, że Angus ujrzał Anne Farquharson, jeszcze zanim zdążył popatrzeć na stare, porośnięte bluszczem ściany swojego domostwa. Jechała konno po wrzosowisku, a rude włosy, które sięgały jej do pasa, powiewające na wietrze, wyglądały jak płomienie. Angus pomyślał najpierw, że koń ją poniósł, bo olbrzymi ogier dudnił kopytami po wrzosowisku jak oszalały. Ale potem pokazali się dwaj mężczyźni ścigający ją - jej stryjeczni bracia, jak się później dowiedział - i ujrzał, jak kobieta wstrzymuje rumaka na grzbiecie wzgórza, i szydzi z ich daremnych usiłowań, by ją dogonić.

Widok jej twarzy, tak urzekająco pięknej, jak góry wznoszące się wokół, nieposkromione i wspaniałe, wrył się w pamięć Angusa na wiele dni i zakłócał mu jasność myśli za każdym razem, gdy otwierał usta, by spierać się z Fearcharem na temat warunków umowy małżeńskiej. A przecież obraz pięknej kobiety nie powinien go tak niepokoić. Nie powinien mieć wpływu na jego myśli i działania, a tym bardziej na to, jak oddychał. Lecz tak właśnie było i nie potrafił tego zmienić.

Nawet teraz, po czterech latach małżeństwa, Dzika Ruda Annie wciąż jeszcze potrafiła pozbawić go oddechu. Potrafiła sprawić, że palce mu wilgotniały i odczuwał ból w kroczu na wspomnienie zetknięcia ich ciał. Potrafiła zmusić go do nerwowego chodzenia po bibliotece, poprawiania kołnierza i mankietów, przybierania przed lustrem nonszalanckiej pozy za każdym razem, gdy usłyszał kroki w korytarzu.

Angus przełknął ostatni ciepły łyk wina i znów spojrzał na zegar. Dziesięć po szóstej. Byli zaproszeni na siódmą, choć wytworny obiad nie zostanie z pewnością podany wcześniej niż przed dziesiątą. Przynajmniej godzinę zajmie przebycie powozem zamarzniętej drogi do Culloden House, i chociaż szczytem nietaktu ze strony gościa było przybycie dokładnie o oznaczonej godzinie lub niewiele później, Angus nie mógł odwlekać wyjazdu dłużej niż do wpół do siódmej. W ostateczności do siódmej.

Mógł oczywiście w ogóle tam nie pojechać. Jeszcze mniej niż Anne miał ochotę oglądać zadowolone z siebie twarze Duncana Forbesa i drepczącej za nim falangi wyniosłych, pewnych siebie angielskich psów gończych. Ale był schwytyany w potrzask tak pewnie, jak gdyby ktoś trzymał mu but na karku.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że zamknął oczy, dopóki leciutki szelest jedwabiu ocierającego się o wełnę nie skłonił go do ich otwarcia. Obrócił najpierw tylko głowę, potem resztę ciała tak powolnym ruchem, że trwało to kilka sekund.

A zarazem znacznie dłużej, niż było trzeba, by rumieniec wykwitł na szyi Anne i ściemnił jej policzki.

Sądząc po jej stroju, z całą pewnością nie zamierzała pozostać w domu przy kominku. Iskrzyła się na tle ciemnego korytarza jak skrzydło ważki, a obszerna spódnica w kształcie dzwonu rozpościerała się dość szeroko, by wypełnić otwór drzwi. Bładozłoty haftowany jedwabny stanik był wycięty w karo, jego sztywne trójkątne przedłużenie opinające talię opadało w dół, tworząc głęboką literę V. Piersi wznosiły się w górę i wychylały miękko ponad górną krawędź jedwabiu, a chociaż zachwycone oko mogło zatrzymać się w tym miejscu, podziwiając kremowe półksiężycy, ostatecznie pobiegłoby w górę ku smukłej kolumnie szyi i jeszcze wyżej ku starannie spiętrzonej lśniącym rudym lokom.

Angus spróbował, nie patrząc, odstawić kieliszek na gzyms kominka, lecz chybił i na chwilę musiał przenieść oczy z Anne na kryształową stopkę, by ją równo postawić. Gdy ponownie objął żonę spojrzeniem, wśliznęła się już do pokoju. Rozcięte kliny na froncie jej spódnicy modnie rozchyłały się na zewnątrz, odsłaniając warstwy strojnych halek.

- Przepraszam za spóźnienie. Drena miała mnóstwo roboty z moimi włosami.

- Nie zmarnowałaś tego czasu - mruknął. - Wyglądasz cudownie.

Komplementy zawsze wytrącały Annę z równowagi i teraz też nerwowo zamachała rękoma w stronę bocznego stolika.

- Czy bardzo się spieszymy, czy mogę jeszcze łyknąć trochę wina przed wyjściem?

- Oczywiście, że możesz.

Angus popatrzył ponad jej ramieniem w stronę, gdzie kręcił się Hardy, zachowując stosowny dystans, by nie słyszeć ich rozmowy. Podstarzały kamerdyner zbliżył się natychmiast, dając znak innemu służącemu, obładowanemu naręczem okryć, by czekał na boku.

Kiedy Angus kiwnął głową na znak, że on też się napije, napełniono dwa kieliszki i przyniesiono na srebrnej tacy. Najpierw podano ją Annę, która wymieniła ukradkowe spojrzenie z Hardym, zanim wzięła kieliszek do ręki. Jego spojrzenie nie wyrażało niczego, nie było w nim cienia ostrzeżenia, że coś go razi w jej wyglądzie, mimo to Anne ręka się trzęsła, a w ustach czuła suchość, jakby miała podniebienie z drewna.

Przez cały ranek i większą część popołudnia była zdecydowana posłać na dół wiadomość, że jest zbyt chora, by mogła zaryzykować wieczorne wyjście. Czuła się zraniona i zdradzona, urażona i dezorientowana. Sprzeczne postęпки męża i emocje, które one wywołały, zbiły ją mocno z tropu. Posłała po Hardy'ego, po czym odprawiła go machnięciem ręki, raz jeszcze go wezwała, znów odprawiła i niczego nie przekazała nikomu prócz Wszechmocnego, który wysłuchał potoku jej przekleństw, gdy tylko drzwi się zamknęły.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie spała prawie wcale i czuła, że nerwy ma zszarpane na strzępy. Zazwyczaj musiała długo przygotowywać umysł i ciało, by móc znieść towarzystwo, w którym mąż się obracał, i traktować je z umiarkowaną dozą uprzejmości. W jej pojęciu "umiarkowanie" oznaczało powstrzymanie się od plunięcia im w twarz i nazwania ich tchórzami i zdrajcami. Angus nieczęsto nalegał, by mu towarzyszyła w oficjalnych uroczystościach w Culloden House lub Fort George. Starał się jej oszczędzić znoszenia tych politycznych napuszonych dysput i tej buty, którym ostatecznie postanowiła stawić czoło tego wieczoru.

Co więcej, prawdą było to, co Angus powiedział o swojej matce. Jeśli lady wdowa MacKintosh mogła spędzić cały wieczór na przyjęciu i powstrzymać się od dania szcztka w nos Duncanowi Forbesowi czy też lordowi Loudounowi, to Anne Farquharson Moy, lady MacKintosh, także mogła zdobyć się na taki wyczyn. A gdyby przeciwnie, wdowa wyszła z siebie, jak pewnego pamiętnego popołudnia miesiąc temu na rynku, Annę nie darowałyby

sobie, że straciła ten widok dlatego, że będąc w złym nastroju, pozostała w domu.

Nieco podniesiona na duchu tą myślą, wypłała wino do dna jednym haustem. Było mocne i słodkie i poprosiłaby o więcej, gdyby Hardy nie przesunął się obok i stanowczym ruchem nie zabrał jej z ręki pustego kieliszka.

- A zatem... - powiedział Angus, odstawiając wino, w którym nawet nie umoczył warg. - Skoro jesteś gotowa...?

Odwróciła się i ruszyła przodem do wyjścia. Chwilę później Hardy, pomagał jej włożyć płaszcz, obszerne wełniane okrycie podbite futrem, z kapturem dość obszernym, by osłonił najwymyślniejszą fryzurę. Pokojówka krzątała się z naręczem rękawiczek i mufek, a Angus tymczasem przywdział swoje okrycie, dobrane specjalnie na taką okazję: długi, szeroki pas tartanu omotany wokół barków i udrapowany na jednym ramieniu.

Powóz już czekał przy frontowym wejściu Moy Hall, lokaj przytrzymał otwarte drzwiczki, gdy Anne i Angus wynurzyli się z domu. Niebo było ciemne i bezchmurne, a powietrze nasycone zapachem śniegu i dymu ze spalonego drewna. Gdy Anne przystanęła, by odetchnąć głęboko, Angus wsunął rękę pod jej łokieć i poprowadził żonę po chodniku, który rozpostarto na śniegu, by chronił ich obuwie. Małe wiry śniegu unoszonego wiatrem tańczyły przed nimi nad ziemią, wślizgiwały się pod spódnicę Anne i owiewały jej nogi. Nie zaprotestowała, gdy Angus siadł przy niej i okrył ich kolana derką z niestrzyżonej owczej skóry, ale też nie zachęcała go do błażej konwersacji. Wtuliła się w kąt, odwróciła twarz do okna, a kaptur chronił ją skutecznie przed niechcianym spotkaniem oczu.

Culloden House był położony pośród pięknego parku. Rozpościerał się stamtąd rozległy widok na zatokę Moray na północy i potężne blanki gór Grampian na południu. Dwupiętrowy dom miał osiemnaście sypialni, wszystkie z marmurowymi kominkami, żyrandolami z kryształowego szkła i ścianami obitymi brokatem. Ta jedna z najokazalszych wiejskich posiadłości w okolicy należała niegdyś do MacKintoshów, ale sprzedano ją w początkach ubiegłego stulecia, by móc spłacić długi.

Kamienne kolumny po obu stronach bramy, a także szeroki kolisty podjazd, jaśniały w blasku niezliczonych pochodni i lamp. Wszystkie okna w domu jarzyły się światłem, a lunę rozlewającą się po niebie Anne i Angus dostrzegli znacznie wcześniej, nim ich powóz przetoczył się przez ostatnie wzgórze.

Nastrój Anne nie poprawił się zbyt podczas tej jazdy w zupełnym milczeniu. Przybrała ponury wyraz twarzy i machinalnie skubała szwy rękawiczek. Raz czy dwa zerknęła ukradkiem na Angusa, ale wewnętrzne światło w powozie, przesłonięte płytkami prasowanego rogu, było zbyt słabe, by mogła dojrzeć coś więcej niż profil męża. Wiedziała jednak, że jest napięty, po sposobie, w jaki zaciskał szczęki. Podejrzewała, iż układa sobie w głowie plan konwersacji, przewidując, jak wystrzegać się drażliwych tematów w obecności matki jakobitki i impulsywnej żony w sali pełnej stronników elektora.

Angus zdawał sobie dobrze sprawę, że przywożąc ze sobą żonę, igra z ogniem, a ją trochę intrygowało, że w ogóle się na to zdecydował, i że tak uparcie nalegał, by mu towarzyszyła, choć z pewnością wiedział, że tego dnia odwrót wojsk księcia stanie się bez wątplenia najbardziej pasjonującym tematem rozmów. Pomyślała, że wbrew twierdzeniu męża, że jej nieobecność mogłaby zostać fałszywie zrozumiana jako obraza lady wdowy Forbes, niewiele znajdzie się osób, które właśnie jej pojawienie się na przyjęciu uznają za coś innego niż afront.

Niestety, było za późno, żeby się wycofać. Minęli już bramę, na podejździe powóz zatrzymał się tuż przed krętymi frontowymi schodami. Pomagając żonie wysiąść, Angus zatrzymał jej dłoń w swojej chwili dłużej, niż było to konieczne.

- O co chodzi? Czy coś jest nie tak?

Kaptur jej płaszcza zsunął się na plecy, odsłaniając powódź rudych loków. Błękit oczu zdawał się płonąć w świetle pochodni, a policzki, zaróżowione od zimnego powietrza, wyraźnie kontrastowały z ciemnością za ich plecami.

- Nie - mruknął. - Wszystko jest w porządku. Ja... tylko chciałem jeszcze raz ci powiedzieć, że pięknie wyglądasz tego wieczoru.

Anne wstrzymała oddech, gdy rewanżując się, spojrzała w twarz męża. Był oszałamiająco przystojny w świetle dnia, a dwa razy bardziej w blasku świec; królewski i arystokratyczny, w każdym calu. Szare, głęboko osadzone oczy otaczały długie ciemne rzęsy. Nos miał wąski i prosty, usta tak bliskie zmysłowej doskonałości, że Anne wątpiła, czy jakakolwiek kobieta potrafi się powstrzymać od wpatrywania się w nie. Ostatniej nocy nie było miejsca na jej ciele, którego by te usta nie dotknęły, przynosząc niewiarygodną rozkosz. A co miał przynieść dzisiejszy wieczór?

- Pozwolisz?

Płaszcz Anne zabrano do szatni. Pokoje dzienne, salony i duży pokój stołowy znajdujące się na parterze, oświetlone były rzędami wieloramiennych kandelabrow, przy czym pokoje, których okna wychodziły na południe, otwierały dostęp do tarasów i starannie pielęgnowanych ogrodów. Na pierwszym piętrze znajdowała się wielka sala o łukowym sklepieniu, wysoka na sześć metrów, z sufitem wspartym na potężnych dębowych kolumnach. Służyła za salę balową, lecz na najbliższe kilka godzin miała się przeistoczyć w salę bankietową. Po posiłku miano usunąć stoły i zrobić miejsce na tańce przy wtórze orkiestry grającej niezmordowanie do świtu.

Ostatnie piętro z mnóstwem sypialni zarezerwowano dla ważnych gości lub dla tych, którzy przybyli ze zbyt daleka, by móc wrócić do domu tej samej nocy. W lepszych, szczęśliwszych czasach, piętnaście kilometrów uznano by za zbyt dużą odległość do przebycia po długim wieczorze, lecz Anne wątpiła, czy zaproszenie na nocleg obejmuje również ją.

Duncan Forbes i jego żona Mary stali na szczycie schodów, witając gości. Towarzyszył im jedyny syn, John, wraz ze swą mdłą, nudną żoną, którą poślubił niespełna rok temu. Ani ojciec, ani syn niczym nie przyciągali uwagi w zatłoczonym pomieszczeniu. Ich ziemista cera nie prezentowała się najlepiej w zestawieniu z grubo upudrowanymi perliczkami, ufryzowanymi tak ciasno i precyzyjnie jak ich osobowości. Mieli długie i spiczaste nosy, piwne wyłupiaste oczy, usta wąskie i surowe, a ich brody lepiej by wyglądały, gdyby pokrywał je gęsty zarost.

Wielebny Robert Forbes stał obok bratanka, Douglasa. Ten ostatni nie tylko młody, ale niemal przystojny, sprawiał korzystniejsze wrażenie niż reszta rodziny. Jeśli reputację, którą cieszył się u dam, zawdzięczał choćby częściowo, faktom, a nie tylko plotkom, był wiernym odbiciem swego dziadka, nieżyjącego już nieodżałowanego "Gościnnego Johna" Forbesa, który zapoczątkował wciąż jeszcze kontynuowaną tradycję witania gości szczerze napełnianymi ze sporego antałka pucharkami whisky.

To właśnie wdowa po nim obchodziła osiemdziesiąte urodziny. Maleńka, pomarszczona karlica, lady Regina Forbes, zasiadła na fotelu przypominającym tron, pomiędzy synem a wnukiem, wytrzeszczając spod komicznie wielkiej peruki piwne oczy - w rodzinie Forbesów wszyscy mieli oczy tego koloru. W jednej ręce ścisnęła trąbkę do ucha, którą z trudem mogła unieść; na palcach drugiej lśniło tyle pierścieni, że zwisała jak balast z oparcia fotela.

Oczekując wraz z mężem na moment, gdy zostanie oficjalnie powitana na uroczystości, Anne błędziła wzrokiem po zatłoczonym holu. Jaskrawa czerwień mundurów przeważała wśród zaproszonych mężczyzn, a poszczególne kompanie nosiły różniące się barwą wyłogi: niebieskie, żółte, płowe i zielone.

Kobiece stroje mieniły się wszelkimi możliwymi odcieniami jedwabi, dekolty połyskiwały od klejnotów, kaskady śmiechu wibrowały w powietrzu. Trzy czwarte gości stanowili oficerowie armii, przy czym co najmniej połowa z nich nosiła kilty świadczące o przynależności do szkockiego regimentu. Anne bez trudu rozpoznała członków klanów MacLeod i Campbell, MacKenziego z Seaforth i Munro z Culcairn - bardzo nieprzyjemnego osobnika, który stracił oko w piętnastym roku i nosił odrażający pusty oczodół jak odznakę. Widziała, jak jeden po drugim odwracają się i gapią w ich stronę, gdy wstępowała z Angusem po schodach na pierwsze piętro, i słyszała, jak rozmowy wokół ścichają do wyraźnie podnieconych szeptów.

Podjeżdżała, że gdyby to sam Angus przybył na przyjęcie, ci sami ludzie powitaliby go jowialnymi okrzykami i poklepywaniem po ramieniu. W jej oczach jednak wszyscy oni byli zdrajcami rozpaczliwie próbującymi usprawiedliwić swą zdradę, i gdyby wierzyć docinkom Angusa o nożach w jej wzroku, chętnie by spotkała każde lodowate spojrzenie i wytrzymała je, dopóki oni nie wykrwawią się na śmierć.

Wyczuwając to, Angus ponaglił ją, by ruszyła naprzód, i najpierw przedstawił żonę wielebnemu Robertowi Forbesowi. Był to człowiek nieszkodliwie pompatyczny, mający dar zmieniania pospolitych wypowiedzi w ceremonie, i teraz też nie zawiódł. Rzucił kilka zwykłych zabawnych uwag na temat pogody, potem uzalił się na fakt, że jego parafia znajduje się tak daleko w Leith, iż niemożliwością jest dla niego składać częstsze wizyty w Inverness. Jego żona, zbyt tępa, by zdawać sobie sprawę, że nie oczekuje się od niej więcej niż sztywnego ukłonu przed Anne Farquharson Moy, wyczerpała cały swój repertuar komplementów. Zanim skończyła wychwalać suknię Anne i rozwodzić się nad tym, jak to miło jest znów ją spotkać, cisza za ich plecami stała się prawie ogłuszająca.

Angus został przyjęty z największą serdecznością zarówno przez Duncana Forbesa, jak i przez jego syna, którzy pozdrowili go tradycyjnym zwrotem cend mile failte - sto tysięcy powrotów - i pucharkiem whisky. Ale kiedy on z kolei pochylił się, by wykrzyczeć życzenia urodzinowe do trąbki solenizantki, obaj mężczyźni rozmyślnie wyżej zadarli brody, by móc patrzeć z góry na Anne. Ich żony były mniej delikatne. Pozwoliły sobie omiatać ją spojrzeniem od nieupudrowanych włosów do ramion, talii i obrębka spódnic, dając Annę wyraźnie do zrozumienia, że nie wykapała się w wystarczająco gorącej wodzie. Ich delikatne drobne nozdrza płonęły rumieńcem, a wydęte zaciśnięte usteczka zdawały się mówić, że żadna ilość perfum nie zamaskuje odoru stajni i zapachu seksu, które do niej przyłgnęły.

- Ciekawa jestem, czy też ten stary diabeł, wasz dziad, żyje jeszcze?

Zaskoczona Anne poczuła, jak koścista dłoń wdowy obejmuje ją w pasie. Gdzieś z mroków pamięci napłynęło wspomnienie zasłyszanych szeptów o płomiennym romansie, który wiele lat temu łączył Fearchara z lady Forbes, i po nagłym błysku łzawiących oczu, Annę poznała, że stara dama też to pamięta.

- O, tak. Żyje i ma się jak najlepiej.

- He? Co powiedziałaś?

Zamiast się pochylić i mówić wprost do trąbki, Annę po prostu podniosła głos.

- Powiedziałam: tak, milady. Mój dziadek. Fearchar Farquharson z Invercauld świetnie się trzyma i jest zwawszy niż kiedykolwiek. Jestem pewna, że się ucieszy, dowiedziawszy się, że pani o niego pytała.

Wdowa zakasłała.

- Ma wszy? Ach tak, zawsze miał gęste kudły, ale jak je dobrze wysypie perskim proszkiem, wy truje te stworzonka. Zapamiętaj sobie, nie wykopałabym go z mojego łóżka tylko z powodu paru insektów. Zawsze umiał dziewczynę połaskotać jak należy, o tak. Ogier był z niego taki, że mógł się gzić całą przekłętą noc i rano zacząć od początku jakby nigdy nic. He? - klepnęła się w bok peruki, by ją wyprostować, i wlepiła karcące spojrzenie w syna, który przed chwilą przesunął tę perukę, szepcząc w pośpiechu staruszce coś do ucha. - Co mówisz? Czego dosyć? Głośniej, chłopcze. Nie mogę cię dosłyszeć przez tę paplaninę.

Tak naprawdę nie było jednakże żadnej paplaniny, która mogłaby zagłuszyć tę wymianę zdań, więc twarz lorda przewodniczącego pociemniała. Dał znak czwórce lokajów stojących w pobliżu i przenieśli oni wdowę wraz z fotelem do sąsiedniego pokoju, a obecna lady Forbes i jej blada synowa podreptały za nimi.

- Wybaczcie państwo mojej matce - powiedział Duncan Forbes, gdy opanowano niezręczną sytuację. - Nie dość, że pamięć jej się miesza, to jeszcze z każdym dniem mniej się przejmuje tym, co mówi i do kogo mówi.

- Mam nadzieję, że jeśli dożyję osiemdziesiątki, będę miał prawo liczyć na ten sam przywilej - odezwał się Angus z uśmiechem.

Dwaj mężczyźni wymienili dworne ukłony, po czym Angus odprowadził Anne na ubocze i zauważył po drodze, że jej pucharek whisky jest już do połowy opróżniony. Wymowne spojrzenie Duncana Forbesa odniosło skutek,

większość rozmów podjęto na nowo, ale tak jak ostrze pługu wyoruje nową bruzdę, wyraźna smuga ciszy zapadała tam, gdzie przechodzili lord i lady MacKintosh.

- Nie sędzę, żeby to było należyte wywiązanie się z obowiązku towarzyskiego - mruknęła Anne.

- Po prostu świetnie sobie radzisz, moja droga - rzekł Angus, tak samo ściszym głosem. - Ale masz rację, istotnie nie było.

- MacKintosh! - Tubalny głos Johna Campbella, hrabiego Loudoun, sprawił, że grupka stojących w pobliżu gości rozproszyła się nagle.

Campbell był potężnym mężczyzną, nieprzesadnie wysokim, lecz dość szerokim w pasie i w ramionach, by stanowić wyzwanie dla umiejętności krawca. Z jego policzków nie schodził rumieniec w postaci pajęczynki drobnych czerwonych żyłek, miał przy tym z pewnością największy w całej Szkocji nos, pękaty i porowaty jak gąbka.

- Miło mi pana widzieć tu dzisiaj, kapitanie. I pańską uroczą małżonkę oczywiście. Lady Annę, bardzo mi miło.

Ruszył naprzód w ich stronę, a za nim podążyła grupa odzianych w czerwone kubraki oficerów, z których większość wyglądała tak sztywno, że wydawało się, iż mogliby się złamać, gdyby się zgięli wół.

- Oczywiście, zna pani moją żonę?

Dwie kobiety wymieniły wymuszone uśmiechy.

Spośród wszystkich mężczyzn obecnych na przyjęciu, Anne najtrudniej było tolerować lorda Loudouna. Jako dowódca oddziałów rządowych w Szkocji to on pierwszy zwrócił się do Angusa z następującą propozycją: nie będzie aresztowany, nie zostaną mu odebrane ani jego włości, ani tytuły, oddziały wojskowe nie będą kwaterowały w Moy Hall, nie dojdzie do konfiskaty jego czynszów i żywego inwentarza, ale w zamian za to sformuje regiment z członków klanu MacKintoshów, którzy będą nosili na czapkach białego konia hanowerskiej dynastii. Loudoun i Duncan Forbes złożyli podobną ofertę wszystkim liczącym się choćby trochę lairdom, a ci, którzy uparcie odmawiali, zostali zamknięci w więzieniu miejskim albo ukrywali się po jaskiniach.

Kiedy hrabia schylił się uprzejmie ku dłoni Anne, jego oczy nie znalazły się niżej niż wypełniona krawędź jej stanika.

- Minęło niedopuszczalnie dużo czasu, odkąd mieliśmy przyjemność panią widzieć, lady Anne. Angusie, wiem, że już poznałeś mych nowych adiutantów, lecz pozwól mi przedstawić ich twojej małżonce: lady Anne MacKintosh, oto major Roger Worsham i kapitan Fergus Blite, obaj niecałe dwa tygodnie temu przybyli z Londynu.

Anne odetchnęła z ulgą, że nie musi dłużej patrzeć w twarz Loudouna, lecz dwaj oficerowie nie byli wiele lepsi. Brzydota kapitana Blite'a rzucała się w oczy, twarz szpeciło mu bielmo na oku. Rysy twarzy majora były bardziej regularne, można by go nazwać niemal przystojnym, lecz plecy miał nienaturalnie sztywne, lekko zgięte kolana wysunął ku przodowi, by jak najlepiej zaprezentować ciasno dopasowane spodnie, a chytry uśmiech na jego twarzy dowodził, że już sporo słyszał o rudowłosej jakobitce, będącej panią Moy Hall.

Kobieta stojąca u jego boku, ze szczupłą białą ręką zacisniętą władczo na jego łokciu, stanowiła jeszcze jeden powód, dla którego Anne mocno zacisnęła szczęki.

Adrienne de Boule była niska i drobna. Spod grubej warstwy ryżowego pudru przeświecały jej włosy czarne jak węgiel. Była Francuzką i mówiła z lekkim obcym akcentem, prawie szepcząc, bez wątpienia specjalnie po to, by mężczyźni musieli pochylać się ku niej, chcąc dosłyszeć, co powie. Jej skóra nie wymagała przecierania rtęcią ani wybielających kompresów; wyraziste duże i ciemne oczy otaczały gęste frędzle czarnych rzęs, którymi potrafiła efektownie trzepotać.

Teraz te rzęsy wzniecały prawdziwy wiatr, od chwili gdy jej wzrok spoczął na Angusie, a kiedy ten pochylił się nad dłonią Francuzki, głęboko nabrała powietrza, poważnie uszczuplając jego zasoby w sali, przez co jej piersi - i tak wydatne bez dodatkowych zabiegów - omal nie wyskoczyły przez wycięcie stanika.

- Lady MacKintosh. - Worsham wciąż się uśmiechał, ignorując fakt, że jego towarzyszka była najwyraźniej gotowa zadrzeć natychmiast swe spódnice, gdyby Angus okazał jej choćby cień zainteresowania. - Jest to dla mnie zarówno honor, jak i przywilej, zawrzeć wreszcie z panią znajomość. Proszę mi wybaczyć, że trochę się ociągałem ze stawieniem się w Moy Hall, ale zapewniam panią, że to niedopatrzenie zostanie wkrótce naprawione.

Anne oderwała wzrok od panny de Boule i odpowiedziała na przyrzeczenie majora cieniem uśmiechu.

- Nie musi pan zadawać sobie trudu, majorze. Ostatnimi czasy rzadko bywam w domu.

- Jakież obowiązki trzymają panią cały czas poza domem?

- Nie. Lecz rzadko bywam w domu dla nieproszonych gości.

Major uniósł brwi. Jego bladoniebieskie, prawie bezbarwne oczy ściemniały i rozbłyły blaskiem zainteresowania. Loudoun odchrząknął ochryple.

- Jestem pewien, że słyszeli państwo o zajściach ubiegłej nocy?

Angus bardzo powoli odwrócił wzrok od Worshama.

- Zajściach?

- Właśnie. O potyczce pomiędzy patroliem majora Worshama a kilkoma rebeliantami na drodze do Inverness zeszłej nocy.

- Trzech moich ludzi zginęło - dodał pośpiesznie Worsham. - Paru innych odniosło rany. Przywódca rebeliantów został trafiony i spadł z konia, ale jego ludzie zabrali ciało, nim zdążyliśmy ustalić jego tożsamość.

- Nic o tym nie słyszałem - powiedział Angus, marszcząc brwi.

- Naprawdę? Posłałem ludzi po śladach, ale śnieg je zasypał. Zgubili ślad blisko Moy Hall, jak się okazuje.

- Dobrze wybrane miejsce - przyznał Angus. - Tamtejsze lasy są gęste, a grunt miejscami tak skalisty, że przemarsz całej armii nie zostawiłby śladu.

- Będę musiał o tym pamiętać - odrzekł Worsham, a jego blade oczy skierowały się znów na Annę. - Ufam, że zameldowałyby pani natychmiast, gdyby zdarzyło się pani zobaczyć coś podejrzanego w sąsiedztwie? Jakiegoś... rannego mężczyznę na przykład. Lub dużą grupę uzbrojonych rebeliantów.

- Ależ tak, natychmiast - zgodziła się Anne.

Worsham znów się uśmiechnął i Anne poczuła, że dreszcz przebiegł jej po grzbiecie.

- A wie pani - powiedział - mam przedziwne uczucie, że już się wcześniej spotkaliśmy.

- Jestem pewna, że nie, majorze.

- A czy to nie pani przypadkiem jeździła konno zeszłego wieczoru po wrzosowiskach?

Śmiałość tego pytania zaskoczyła Anne i o to z pewnością chodziło majorowi, ale Angus, uśmiechając się nieszczercze, odpowiedział od razu.

- Zeszłego wieczoru? Zeszłego wieczoru moja droga żona dawała mi reprimendę za to, że za dużo wypilem po południu i zmarnowałem pieczoną polędwicę, którą zadysponowała na naszą kolację.

Blade oczy Worshama załśniły.

- A jednak mój instynkt rzadko się myli, zwłaszcza gdy idzie o piękną kobietę. Może była pani kiedyś w Londynie? W teatrze lub operze?

- Nie, majorze - odparła Anne, wążąc słowa. - Nigdy nie byłam w Londynie i nie mam najmniejszej chęci tam pojechać, bo mówiono mi, że to ciemne, ponure miasto. Powiadają, że tam zawsze pada, a odór kloaczny jest tak intensywny, że przywiera do wszystkich, którzy stamtąd przybywają.

Chwilę trwało, nim znaczenie zawołanej zniewagi dotarło do majora, lecz gdy to nastąpiło, jego szyja pokryła się szkarłatnymi plamami. Choć już przedtem był sztywny, zdołał wyprężyć ramiona na kształt kanciastych bloków i gdyby nie piskliwa melodia, która nagle dobiegła z przeciwnego końca sali, wyszczerzyliby pewnie zęby, z warknięciem rozchylając mocno zaciśnięte usta.

Anne uczuła na ramieniu dłoń Angusa, który powiodł ją ku jednej z dębowych kolumn, udając, że chce zrobić przejście dla dudziarzy zwołujących gości do sali bankietowej. Przy dźwiękach melodii klanu Forbesa *piob rach 'd* pochylił się, by szepnąć żonie do ucha:

- To tak dla twojej wiadomości. Major Worsham jest uważany za jednego z ulubieńców i protegowanych księcia Cumberlanda. Ostrzył sobie pazury, służąc pod generałem Henrym Hawleyem, a ostatnie pół roku spędził we Flandrii, podrzynając gardła przy księżycu.

- Jest przeklętym Sassenachem - odparła również szeptem Anne. - I wcale się go nie boję.

- A chyba powinnaś. Bardzo wątpię, czy ostatni mężczyzna, który mu powiedział, że śmierdzi jak gówno, może jeszcze odczuwać jakiegokolwiek zapachy.

6

Szacowna teściowa Anne zaśmiała się rubasznie niczym mężczyzna.

- Powiedziałaś mu, że śmierdzi jak co?

Zbliżająca się do siedemdziesiątki lady Drummuir miała krzepką talię i otwarty sposób bycia kobiety, która żyje zbyt długo i zbyt dużo widziała, by przejmować się ploteczkami i tym, co sobie mogą pomyśleć czule na to, co wypada damy z jej własnej sfery, których kilka z trzaskiem otwarło wachlarze na odgłos jej wesołości.

- Jak gówno? - otarła oczy, a atak śmiechu wciąż wstrząsał jej obszerną piersią. - No to już drugi raz w tym tygodniu usłyszała, że musi się dokładniej kąpać, przeklęty Sassenach.

Obiad przebiegł dość gładko. Łakomstwo gości, których było ponad sześćdziesięcioro, kusiły takie dania, jak zrazy wołowe, wędzony łosoś, comber z dziczyzny i gotowane małże pływające w maśle. Uwagę wszystkich zwracała ogromna obfitość dobrego jedzenia i wina - gdyż ostatnio o jedno i drugie nie było łatwo. Od czasu do czasu w gronie czerwonych kubraków otaczających lorda Loudouna rozlegały się wybuchy śmiechu i wznoszono okrzyki. Raz po raz rozbrzmiewało gromkie hurra! dla uczczenia odwrotu armii jakobitów. Angusa, z uwagi na rangę i przywilej, posadzono wśród wojskowych, ale Annę i lady Drummuir same wybrały sobie miejsca bliżej końca stołu, gdzie towarzystwo składało się głównie z podstarzałych matron i starych panien.

I z kilku nieoczekiwanych gości.

Gdy Annę usadowiła się już na swym miejscu, popatrzawszy wzdłuż stołu, dojrzała dobrze sobie znaną grzywę blond włosów. Owszem, te włosy były teraz lekko przypudrowane, gładko uczesane i związane na karku, ale nie ulegało wątpliwości, że potężne bary i ciemne zamyślane oczy należą do Johna Alexandra MacGillivraya.

Annę była ostatnią osobą, która mogłaby wyrazić zdziwienie na widok znanego sympatyka jakobitów siedzącego za stołem bankietowym lorda przewodniczącego. John był zamożnym i potężnym lairdem, a ponadto burgund, który pili, pochodził najprawdopodobniej z jego kontrabandy, gdyż klan MacGillivraya słynął z przemytniczych sukcesów, tak samo jak z wojowniczości i niezależności. John mógł być zaproszony, tak jak i Annę, z czystej kurtuazji, i podobnie jak Annę zapewne nie odmówił przybycia z uwagi na szacunek, jakim darzył lady wdowę Forbes.

Annę udało się posłać mu uśmiech, nim lady Drummuir wciągnęła ją w rozmowę.

- On miał czelność sprowadzić szwadron żołnierzy do mojego domu i przeszukać piwnice - rzekła stara dama z nozdrzami rozszerzonymi z oburzenia.
- Oznajmił, że słyszał plotkę, iż jakobici przechowują zapasy ołowianych kul w moich beczkach na wino. Powiedziałam mu, żeby nie wierzył w takie głupstwa; w beczkach przechowuje się proch, a wszystkie kule¹ ma książę.

Douglas Forbes, siostrzeniec lorda przewodniczącego, w istocie przeżuł dwa razy kęs kaszanki, zanim pojawił grę słów, a wtedy prawie się zadławił. Etykieta i grzeczność nakazywały, by obok pań MacKintosh zasiadał członek najbliższej rodziny gospodarza, a Douglas, prawdę mówiąc, sam poprosił o ten przywilej. Siedział pomiędzy Anne i lady Drummuir i podczas posiłku zdarzyło się kilka razy, że jedna lub druga dama musiała go mocno klepnąć w plecy.

Tym razem wypadła kolej na wdowę i ta wymierzyła młodemu człowiekowi solidnego szturchańca, który prawie rzucił go na drugą stronę stołu.

- No, młodzieńcze, wypij łyżeczek wina. Twoje męczarnie prawie się skończyły. Widzisz? Damy podnoszą swoje delikatne zadki, żeby pójść na stronę, a panowie zabierają brandy i cygara do salonu, aby pacholki mogli powynosić stoły.

- Zapewniam panią, że to nie była męczarnia - odrzekł z szerokim uśmiechem. - Absolutnie nie.

Zauważył, że Anne się poruszyła, i zerwał się szybko, by przytrzymać jej krzesło, gdy będzie wstawała. Kiedy mu podziękowała za dworność, zaczerwienił się i wybełkotał zuchwałe zaproszenie.

¹ W oryginale ball's. Nieprzetłumaczalna gra słów. Balls to zarówno: "kule", jak wulg. Jaja (jądra)

- Jeśli nie uzna pani tego za zarozumiałość, lady Anne, byłbym niezwykle zaszczycony, gdyby pani zechciała mnie uszczęśliwić tańcem w dalszej części wieczoru. O ile pani czas nie jest już obiecany komu innemu, oczywiście. I, oczywiście, jeśli będzie pani miała ochotę zatańczyć. Ze mną, to miałem na myśli.

Anne przez dobrą chwilę podziwiała odcień czerwieni, jaki przybrały jego uszy.

- Niezwykle zaszczycony? Nie wierzę, by można było przywiązywać tak wielkie znaczenie do tak prostej rzeczy, jak zatańczenie z kimś. W tym przypadku jednak, choć dziękuję, że mnie pan poprosił, zdaje mi się, że pana wuj wolałby, by pan tego nie czynił.

- Dopóki sama pani nie odrzuci tej prośby, lady Anne, mój stryj może się wypchać trocinami.

Roześmiała się i zadarła głowę.

- Pańska propozycja jest zbyt kusząca. To ja będę zaszczycona i chętnie z panem zatańczę.

Młodzian był niezwykle poruszony i zaczął ją prowadzić do wyjścia, ale nagle wyrósł między nimi MacGillivray i błysk w jego oczach uświadomił Douglasowi, że taki marny robak jak on powinien usunąć się w cień.

- Mam ci coś do powiedzenia - rzekł półgłosem MacGillivray, ledwie poruszając wargami, w czasie gdy prowadził Anne na koniec Sali bankietowej. - Wymknij się na dół i spotkajmy się jak najszybciej w bibliotece.

Nie czekał na odpowiedź, ona zresztą nie potrafiła znaleźć w tym momencie żadnej, zdumiona jego prośbą. Znalazłszy się przy drzwiach, patrzyła, jak John kłania się i podąża przez hol, z kurtuazją przepraszając grupki gawędzących kobiet, między którymi torował sobie drogę.

- Pierwszorzędny kawał chłopca z tego MacGillivraya - rozmarzyła się lady Drummur, biorąc Anne pod ramię, po czym podążyły w ślad za nim wolniejszym krokiem. - Gdybym miała czterdzieści lat mniej, nie musiałabym polegać na plotkach, by się dowiedzieć, co ma pod kiltem. Ano, sto par ud będzie drzeć z żalu, kiedy rozejdzie się nowina, że w końcu postanowił się ożenić.

- A postanowił?

- Nie słyszałaś? Myśli o tym, żeby się oświadczyć Elizabeth Campbell z Clunas, a przynajmniej tak mi powiedziały wróżki.

Wróżki wdowy utworzyły siatkę szpiegowską tak rozbudowaną, że lepszej nie miała brytyjska armia. Jeśli powiedziały, że John MacGillivray się zaręcza, to można było tylko się zastanawiać, w co się przyodziać do kościoła, i Anne zaciękało, czy to o tym John chce z nią mówić. Jeśli tak, cieszyła się z jego szczęścia. Naprawdę się cieszyła. John był wspaniałym mężczyzną, wiernym i uczciwym, obca mu była buta i arogancja, którymi grzeszyło tak wielu.

Choć wysilała pamięć, nie mogła przywołać wyraźniejszego obrazu Elizabeth z Clunas. Niczego sobie nie przypominała oprócz prostych brązowych włosów i mnóstwa piegów.

- Powiedziałam... - głos wdowy wdarł się brutalnie w rozmyślenia Anne - ...że to dziwne, że ci o tym nie wspomniał.

- Dlaczego miałby wspominać? - spytała Anne.

- Bez powodu. Absolutnie bez powodu, ale pomyślałam sobie, że mógłby ci powiedzieć choćby parę słów na ten temat wczoraj wieczorem, kiedy odwiedziłaś Dunmaglass.

Annę odwróciła się bez słowa i spojrzała na swoją teściową.

- Och, dziewczyno, nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedziała, o jakich rzeczach ja wiem. Na przykład wiadomo mi, czego dziadek od ciebie chciał, i że miałaś rozum, by mu odmówić. Nic dobrego nie przysłoby z rozłamu w klanie. Zbyt wiele już jest rozłamów i takie rany nigdy się nie zagoją. Nigdy.

- Czy wam, pani, nie rozdziera się serce - szepnęła Anne w odpowiedzi - gdy patrzycie na ludzi z waszego klanu noszących mundury Czarnej Gwardii? I na Angusa w tym samym mundurze, dowodzącego nimi?

- Drogie dziecko, moje biedne serce tyle razy już było rozdarte, że dawno temu powinno przestać bić. Bóg jeden wie, że jest ono w strzępach z powodu niektórych wyborów, które uczynił Angus, ale to mój syn i kocham go. Choć mogę gorzko narzekać i wygłaszać namiętne tyrady i choć jestem przekonana, że pewnego dnia Duncan Forbes każe mnie zaciągnąć do więzienia, mając nadzieję, że szczury odgryzą mi język, nie wbiję Angusowi noża w plecy. Wiem, że robi po prostu to, co uważa za najlepsze dla klanu.

- Bez względu na to, czy lairdowie godzą się z tym, czy nie?

- Ani ty, ani ja nie dożyjemy dnia, kiedy wszyscy lairdowie klanu Chattan zgodzą się choćby w jednym punkcie. Z pewnością to zauważyłaś: powołał tylko tych, którzy bez skrupułów noszą czarną kokardę.

Anne pomyślała, że jest w tym jakaś prawda. Angus starannie wybierał ludzi, by spełnić wymagania Loudouna, miał dosyć rozumu, by nie kazać takim ludziom jak MacGillivray lub MacBean stanąć pod bronią w armii elektora. Ci prawdopodobnie zastrzeliliby go natychmiast i wrzucili jego ciało do studni, by go więcej nie widziano.

- Angus przyrzekł mi... dał mi słowo, że nasi ludzie nie wezmą udziału w walkach - powiedziała Anne spokojnie, lecz stanowczo, - On obstaje przy tym, aby pełnili tylko funkcje strażników i wartowników.

- To byłoby świetnie - zgodziła się lady Drummuir. - Choć wątpię, czy będzie w stanie dotrzymać tej obietnicy. Nie uda się to, jeśli Forbes i Koński Pysk Loudoun uznają za konieczne rozmieszczenie szkockich regimentów na ważnych pozycjach.

- Angus dotrzyma słowa - upierała się Anne. - Nigdy mnie nie okłamał ani nie złamał obietnicy, pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, i nie wierzę, by miał to zrobić teraz.

- No więc dobrze, obie ufajmy mu nadal. To dobry chłopak, kiedy się nie upiera jak osioł. Oczywiście, jeśli mu powtórzysz moje słowa, zaprzeczę im, bo nigdy nie zaszkodzi, żeby syn troszkę się bał matki. - Wzrok wdowy powędrował w stronę lady Reginy Forbes, którą wraz z jej fotelem przenoszono do sąsiedniego pokoju. - Biedactwo. Jest krucha jak listek, a poza tym czy widziałas kiedyś skórę takiego koloru na kimś żywym? Przypuszczam, że muszę pójść jej złożyć uszanowanie, chociaż jeśli ta niedojda, jej synowa, odezwie się do mnie choć słówkiem, znów będę musiała użyć pięści.

Anne przez parę chwil dotrzymywała towarzystwa jakiejś starej pannie, a potem przeprosiła ją, po czym, nie spiesząc się, podążyła za gośćmi schodzącymi po schodach. Zrobiłaby to samo również, gdyby MacGillivray nie poprosił jej o chwilę rozmowy w cztery oczy. Dłużące się nieznośnie godziny spędzone przy biesiadnym stole wyczerpały ją nerwowo i gdy uprzytomniła sobie, że wkrótce rozpoczną się zapowiedziane tańce, poczuła nieodpartą chęć, by ukryć się w jakimś spokojnym, ciemnym kąciku, gdzie mogłaby doczekać chwili, w której Angus powie, że mogą wracać. Spotkał jej wzrok kilka razy przy kolejnych daniach, i za każdym razem twarz jego wyrażała niepokój, jak gdyby się zastanawiał, kogo poprosić na sekundanta, gdyby jego żona lub jego matka obraziły kogoś w taki sposób, że nie da się już tego załagodzić. Nie

podążył za Annę, gdy opuszczano salę bankietową: gdy go widziała po raz ostatni, stał w rogu pokoju, rozmawiając z Duncanem Forbesem.

Uzyskawszy całkowitą pewność, że nikt na nią nie zwraca uwagi, Anne ruszyła w dół po schodach i przeszła wzdłuż ogromnego sklepionego holu do tylnego korytarzyka prowadzącego na lewo.

Za zakrętem przystanęła i obejrzała się. Czuła się teraz bardziej jak złodziej niż jak gość, bo czym innym było hasać nocą po polach, a zupełnie czym innym zakraść się do biblioteki lorda przewodniczącego i zostać tam przyłapaną.

Wysokie dwuskrzydłowe drzwi w momencie, gdy do nich dotarła, były lekko uchylone. W oświetlonym holu nie było strażników broniących wejścia do tej czy innej części domu, a jednak Anne wciąż czuła się jak intruz i odruchowo uniosła spódnicę, by zapobiec szelestowi hałek sunących po posadzce. Zajrzała do środka biblioteki, ale niewiele zobaczyła. Pokój był słabo oświetlony i Anna podejrzewała, że MacGillivray już tam jest i zapewne pogasił część świec i lamp, by miejsce odstręczało swym wyglądem przypadkowych gości, którzy mogli przechodzić obok.

Nabrała powietrza w płuca i jakby od niechcienia otworzyła drzwi szerzej. Pozostając w kręgu światła padającego z korytarza, weszła prawie na środek pokoju i znów się zatrzymała.

- Halo?! - zawołała niegłośno. - Jest tu ktoś?

W obszernym pomieszczeniu wyczuwało się specyficzną atmosferę. Pokój był ciemniejszy z powodu boazerii, a rzędy wypełnionych książkami półek, wznosiły się na wysokość sześciu metrów pod sufit. Dwie wnęki w kształcie muszli obramowano purpurową draperią, zawieszoną nad łukami okien i spadającą po obu stronach głębokimi fałdami. Związano grubym sznurem, który dobrze się komponował ze złotymi frędzlami. W jednej z tych wnęk stał wyściełany fotel do czytania przy naturalnym świetle; druga zakończona była drzwiami wychodzącymi na taras. Ogromne biurko z drewna wiśniowego, zajmujące przestrzeń pomiędzy oknami, ustawiono na tle dużego gobelinu przedstawiającego średniowieczną bitwę z łucznikami i rycerzami w ciężkich zbrojach.

W pomieszczeniu tak cichym jak dawne skrytorium, unosił się zapach piżma, skóry i papieru. Anne wykonała powoli pełny obrót i oszołomiona mnogością książek, zastanawiała się, czy ktoś był zdolny je wszystkie przeczytać. Znalazła odpowiedź w portretach zawieszonych w złożonych ramach między półkami. Przedstawiały mężczyzn o surowych twarzach i

spiczastych podbródkach typowych dla uczonych - nie było wśród nich ani jednego żołnierza czy wojownika.

- Wszyscy tak samo ponurzy i nudni - zgodził się MacGillivray, wychodząc z jednej z wnek. - Nic dziwnego, że z Forbesa taki bohater. Ten - kpiąco wskazał palcem dostojną postać o zaciśniętych wargach - wygląda, jakby właśnie wziął do gęby owcze łajno i nie miał odwagi go wypluć.

- To bardzo niebezpieczne - powiedziała Anne. - Gdyby ktoś tędy przechodził i zobaczył nas, mielibyśmy diabelnie dużo czasu, by się tłumaczyć.

- Dwoje starych przyjaciół, którzy wyszli zaczerpnąć łyk świeżego powietrza. Co w tym złego?

Pomijając już oczywiste wtargnięcie na teren prywatny, pomyślała, zastrzeżenia budził panujący tu półmrok i szelmowski, wyzywający uśmiech na twarzy Johna. Było też coś złego w blasku płonącym w niezgłębionych czarnych oczach i we wspomnieniach gorącego popołudnia za straganem na targowisku, które budził.

- Chodź - powiedział, wskazując drzwi balkonowe. - Możemy rozmawiać na tarasie.

Na zewnątrz panował chłód, ale ponieważ bryła budynku dawała im schronienie przed wiatrem, była to orzeźwiająca odmiana po dymie świec i duszących perfumach.

Anne doszła do końca tarasu, przystanęła i patrząc w mrok, napawała się przez chwilę krystaliczną ciszą ogrodów, po czym obróciwszy się, napotkała spojrzenie czarnych oczu.

- Mam nadzieję, że nie ściągnąłeś mnie tutaj, by mówić o propozycji Fearchara z zeszłego wieczoru. Skoro z ulgą przyjąłeś moją odmowę, nie pojmuję, co pozostało jeszcze do powiedzenia w tej sprawie.

- To prawda, że mi ulżyło. Ale nie z tych powodów, o których mogłaś pomyśleć.

- Ty byś podpisał petycję popierającą mnie jako wodza klanu?

- Chcesz powiedzieć, że uważasz, iż nie nadawałabyś się na wodza?

- Byłabym równie dobrym wodzem, jak każdy mężczyzna, a lepszym niż większość z nich - odpowiedziała spokojnie. - Po prostu wydawało mi się, że ty najmniej chętnie ze wszystkich akceptujesz, taką rolę dla kobiety.

- No, skoro już mnie zmuszasz do szczerości, potrafię sobie wyobrazić lepsze role dla dziewczyny, to prawda - mruknął MacGillivray, uśmiechając się dwuznacznie. - Ale ciebie widziałem, jak szpadą kłujesz w zadki swych krewniaków i jak powalasz jelenia jednym strzałem. Widziałem, jak prowadzisz ich trzech do bitki przeciw dwukrotnie większej liczbie, i słyszałem, jak tłum wiwatuje na cześć "Dzikiem Rudej Annie", gdy wychodziłaś z tego posiniaczona, ale nie aż tak wykrwawiona, żeby zaprzestać zwady. Weź jednak pod uwagę, że to było, zanim rożek z prochem i pistolety zamieniłaś na frymuśne jedwabne spódnice i koronkowe mankiety. I zanim zaczęłaś mówić jak dama i jeść zupę łyżką, zamiast prosto z miski.

- To samo mogłabym rzec o tobie - odparła, unosząc jedną brew, jak gdyby lustrowała go wzrokiem od stóp do głów. Jego potężne bary okrywał wieczorowy strój dżentelmena. Na całość eleganckiego ubioru składały się kaftan, kamizelka, koronki przy mankietach i kilt w czerwono-niebieską kratę. - Jesteś gładko wygolony, utrefiłeś i oplotłeś wstążką włosy, żeby się elegancko prezentować za stołem lorda przewodniczącego. Twoje sprzączki są wypolerowane i... - pochyliła się do przodu, delikatnie pociągając nosem - czy to nie wodę kolońską wyczuwam? Mimo że twoja narzeczoną nie może cię podziwiać?

Zmrużył oczy.

- Kto ci powiedział, że mam narzeczoną?

- Lady Drummur, jeśli to ma jakieś znaczenie... choć mieć nie powinno.

- Nie - powiedział w zamyśleniu. - Nie powinno. Tak jak i to, skąd się wzięły zadrapania na twoich policzkach, których jeszcze wczoraj nie było. - Wyciągnął rękę i powiodł czubkiem palca po brodzie i szyi Annę. - Powinnaś powiedzieć mężowi, żeby używał ostrzejszej brzytwy. Szkoda ranić taką delikatną, gładką skórę.

Annę cofnęła się, a serce gwałtownie podskoczyło w jej piersi.

- Nie sądzę, żeby sposób, w jaki się goli Angus, był tym właśnie tematem, który powinniśmy omówić.

- To samo dotyczy moich zamiarów wobec Elizabeth z Clunas.

- Nie potrafię zgadnąć... - zaczęła, lecz nagle zamknęła usta i skuliła ramiona, jakby chłód ją owionął. - Zdawało mi się, że masz mi coś do powiedzenia. Jeszcze parę minut i zauważą, że nie ma nas wśród gości.

- Ciebie może i zaczną szukać. Ja już się pożegnałem i przeprosiłem, że wychodzę wcześniej.

- Już wyjeżdżasz? Ale...?

- Czyżbyś zarezerwowała dla mnie taniec? W takim razie wybacz, że cię zawiodłem, lecz już złożyłem szanowanie i nie rozlałem niczyjej kropli krwi prócz mej własnej.

Wsunął rękę za pazuchę i na ułamek sekundy światło padło na jego twarz, odkrywając nowy grymas oprócz uśmiechu: grymas bólu. Gdy wyjął dłoń, palce miał mokre i błyszczące, śliskie od krwi.

- Wielki Boże! Co ci się stało?

- Drobiazg, tylko mała dziurka - powiedział i machnął lekceważąco ręką, co miało oznaczać, że nie powinna się o niego troszczyć. - Kula przeszła na wylot dość czysto.

- Kula? Postrzelono cię!

- Trochę głośniej, dziewczyno. - Zmarszczył brwi i popatrzył w górę na okna pierwszego piętra. - Zdaje mi się, że nie wszyscy cię dosłyszeli.

- Postrzelono - zasyczała. - Dlaczego do ciebie strzelali? Kiedy? Gdzie? I co u diabła robisz tutaj, grając nieumiejętnie dżentelmena?

- Gram to właściwe słowo. Bo jakbym tu nie przyszedł udając, że nic się nie stało, jutro rano pewnie bym zawisnął na szubienicy.

Anne potrząsała głową nawet wówczas, gdy schyliwszy się, sięgnęła pod spódnicę i zaczęła szarpać spodnią warstwę halek, by odedrzeć pas płótna.

- Nie rozumiem.

- Po tym jak wyjechałaś wczoraj wieczorem, jeden z chłopaków powiedział, iż mu się zdaje, że słyszał w lasach konie. Wyszliśmy ich poszukać i oczywiście trafiliśmy w miejsce, gdzie oddział przeklętych czerwonych kubraków czaił się w zaroślach blisko krawędzi doliny. Nie trudno było pójść ich śladem w tym śniegu, ale...

Anne poderwała głowę.

- Więc to ty! Ci "renegaci", o których wcześniej wspomniał major, to byłeś ty i twoi ludzie!

MacGillivray tylko wzruszył ramionami.

- Ten major nie jest tak głupi, jak większość Sassenachów. Zostawił ludzi w tylnej straży, gdy się wycofywali. Jeden z nich dojrzał nas i strzelił na alarm. Nim się spostrzeegliśmy, żołnierze zawrócili galopem i zaczęła się walka.

Anne wyprostowała się i zwinęła płótno w gruby wałek. Odpychając dłoń Johna, który próbował ją powstrzymać, rozpięła mu kaftan i wepchnęła prowizoryczny opatrunek pod kamizelkę. Koszula była już ciemna od krwi, która zaczynała przesiąkać też przez brokatową kamizelkę.

- Musisz stąd odjechać i dać sobie to opatrzeć, nim się wykrwawisz na śmierć.

- Ano tak też zrobię. Ale pomyślałem, że najpierw muszę cię ostrzec.

- Ostrzec? Przed czym?

- Były jeszcze inne ślady prowadzące z doliny. Dwóch ludzi. Śledzili ciebie i twego kuzyna Eneasza prawie przez całą drogę do Moy Hall.

- Prawie całą drogę? - powtórzyła, nie do końca rozumiejąc, co miał na myśli.

- Moi chłopcy zgubili trop tam, gdzie przecięłaś potok Moy. Czy Eneasza przez jakiś czas trzymał się wody?

Przytaknęła.

- Myślałam, że przesadza z tą ostrożnością, ale...

- Odtąd nie będzie już czegoś takiego jak przesadna ostrożność, chyba że pociąga cię perspektywa szubienicy.

- Z pewnością nie. - Anne wzdrygnęła się i obejrzała w stronę domu. - Zapytał mnie, czy wyjeżdżałam zeszłego wieczoru z domu i czy byłam na wrzosowisku.

- Kto pytał, ten major z oczami upióra?

Skinęła głową.

- Angus obrócił to w żart. Powiedział, że byłam z nim przez cały wieczór. Czy mu major uwierzył, czy nie... - Wzruszyła ramionami. - Nie ma zbyt wiele

miejsc, do których mogłyby prowadzić nasze ślady, jeśli nie wróciły do Moy Hall.

- To prawda, lecz jego ludzie chyba nie wiedzą, kogo śledzili? - spytał John spokojnie. - Twój ubiór nie za bardzo przypominał te jedwabie i koronki.

- Tak, ale...

- Nie martw się tym. Gdyby cię rzeczywiście podejrzewali, już byś miała kajdanki na rękach. A skoro, jak powiadasz, Angus cię osłonił... - urwał, jak gdyby postępowanie jej męża zadziwiło go tak samo, jak i ją. - Czy on nie był w Inverness zeszłej nocy?

- Wrócił wcześniej. Prawdę mówiąc, czekał na mnie, kiedy wróciłam. Nie ucieszył się, gdy odkrył, że mnie nie ma.

- Chyba nie podniósł na ciebie ręki?

Anne spojrzała mu w twarz, zdumiona nagłą zmianą w jego głosie.

- Nie, oczywiście że nie. Angus nigdy nie podniósł ręki w gniewie nawet na muchę w ciągu tych czterech lat, od kiedy go znam.

John nic nie odrzekł, ale po dłuższej chwili usłyszała, jak szczęka zębami, nie mogąc opanować dreszczy.

- Musisz natychmiast jechać - powiedziała. - Chodź, odprowadzę cię do drzwi.

- To byłby bardzo niemądry pomysł. Zostań tu. Policz do pięćdziesięciu, a potem wróć do środka i pilnuj się, żeby nikt nie zobaczył, jak wychodzisz z biblioteki. Idź z powrotem na górę i poszukaj Angusa. Trzymaj się go blisko, żeby cię widział stale przez resztę wieczoru, nim nie znajdziesz się bezpiecznie w domu.

- A co z tobą? Poradzisz sobie sam?

Popatrzył w dół na jej dłoń spoczywającą na jego ramieniu.

- Trzeba by czegoś więcej niż takiego groszka angielskiego ołowiu, żeby mnie powalić, dziewczyno. Pamiętaj tylko, co ci radziłem i trzymaj się blisko męża.

- Uważaj na siebie.

Przez chwilę patrzył prosto w jej oczy, a potem ruszył przez taras i przeskoczył niską kamienną balustradę. Słyszała jeszcze jakiś czas chrzęst jego kroków na zmarzniętej ziemi, a potem odgłosy te zagłuszył gwar przyjęcia dobiegający z piętra.

Postrzelono MacGillivraya, a ją śledzono. Angielskie oddziały kręciły się po lasach należących do Dunmaglass, a jeśli obserwowali dom MacGillivraya, musieli wiedzieć, że byli tam Fearchar i jej kuzyni.

Ale czy śledzili Fearchara w drodze do Dunmaglass, czy też cały czas obserwowali Dunmaglass? W pierwszym wypadku należałoby uznać, że dziadek nie jest takim szcwanym lisem, za jakiego się ma, i że w każdej chwili może zostać aresztowany.

A może jednak to MacGillivray stał się przedmiotem szczególnego zainteresowania władz, bo sami Anglicy spodziewali się czegoś, co było powodem wyciągnięcia Anne z domu po nocy, a mianowicie próby doprowadzenia do rozłamu w wielkim klanie Rysi. Ich niepokój należałoby uznać za w pełni uzasadniony. Inverness leży w samym sercu terytorium MacKintoshów, i na wieść o tym, że setki członków klanu, ludzi słynących z tego, że potrafią dokonać znieścacka krwawego napadu i zniknąć jak cienie w mrokach nocy, ruszają w góry z mieczem w dłoni, latryny w garnizonie z pewnością szybko by się przepełniły. Loudoun i Forbes zrobiliby wszystko, co w ich mocy, by zapobiec rozłamowi, nawet gdyby trzeba było aresztować wodza klanu, nie mając żadnych dowodów przeciwko niemu.

Doszedłszy w swych rozważaniach do tych całkowicie logicznych wniosków, Anne przycisnęła palce do skroni i ostatnim wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie przeskoczyć przez kamienny mur, tak jak przed chwilą zrobił to MacGillivray.

Ale oczywiście nie wolno jej tak postąpić. John miał rację: musi wrócić na górę, znaleźć Angusa i zachowywać się tak, jakby nic nie zaszło.

Rozsadzało jej głowę, jakby był to nadmiernie wypełniony pęcherz, a świeże powietrze już nie wydawało się orzeźwiające. Uznawszy, że zdążyłaby już policzyć więcej niż kilka razy do pięćdziesięciu, skierowała się z powrotem do biblioteki. Zasuwka przy balkonowych drzwiach zacinała się i Anne zaklęła, zamykając ją z trudem. Już wychodziła z wnęki, gdy nagle zastygła w miejscu, usłyszała bowiem głosy na korytarzu. Energiczne kroki wyraźnie zmierzały do biblioteki.

Anne rozejrzała się szybko dokoła, ale nie znalazła żadnego miejsca, w którym mogłaby się ukryć. Nie było niczego oprócz rzędu okien za jej plecami i półmetrowych kawałków ściany po obu stronach.

Nie namyślając się, sięgnęła szybko do złotych sznurów podtrzymujących zasłony. Ciężkie purpurowe fałdy opadły, zasłaniając wnękę i oddzielając ją od głównego pomieszczenia. Anne rozpaczliwie chwyciła tkaninę i przytrzymała, by przestała falować, a potem cofnęła się ku drzwiom na taras, czując się odsłonięta i wystawiona na widok ciekawskich, którzy wychyliliby się z okien na górze. Za kruchą osłoną z aksamitu dało się słyszeć głosy i kroki, świadczące o tym, że do biblioteki wkroczyło kilku mężczyzn. Zewnętrzne drzwi zamknięto, po czym usłyszała odgłos kroków zmierzających prosto do biurka.

- Cholernie mi ulży, kiedy to się znajdzie pod kluczem - rozległ się znajomy skrzekliwy głos Duncana Forbesa. - Przyznaję, że godzinę uznania jest upór kuriera, który miał rozkaz doręczyć przesyłkę do rąk własnych, ale wynikała przez to niezręczna sytuacja.

- Pan znalazł się w niezręcznej sytuacji? - Lord Loudoun roześmiał się chrapliwie. - Miałem już właściwie w rękach zachwycające cycuszki panny Chastity Morris i jestem przekonany, że nie zamierzała mi się opierać, gdy Worsham wkroczył i oderwał mnie od niej.

- Proszę wybaczyć, milordzie. Nie wątpię, że może pan przegrupować siły i przpuścić szturm od nowa.

- Tylko wówczas, jeśli zgodzi się pan wykonać manewr, który odwróci uwagę przeciwnika i zajmie czymś moją żonę.

Rozległ się śmiech. Sądząc po jego brzmieniu, co najmniej dwóch lub trzech mężczyzn towarzyszyło Duncanowi Forbesowi. Anne znów rozejrzała się po mrocznej wnękę, bo zaniepokoiły ją małe promyczki światła odbijające się od złotych nitek jej sukni. Co gorsza, krynolina składała się z szeregu obręczy, które nadawały spódnicom wdzięczny kształt dzwonu. Gdy Anne stała przywarta do szyby w drzwiach, obręb jej sukni był wypchnięty do przodu, a najdalej sięgająca obręcz prawie zaczepiała o aksamitną zasłonę.

Jak najostrożniej Anne zebrała fałdy jedwabiu i powolutku odciągnęła je w bezpieczne położenie.

- Co pisze Hawley? - spytał rzeczowy głos. - Czy przysyła posiłki z Edynburga?

- Generał Hawley ma tylko dwa tysiące ludzi i otrzymał rozkazy, by utrzymać Falkirk, Perth i Stirling. Wątpię, czy w tej chwili ma na zbyciu choćby chłopca stajennego.

- Jeśli jest choć trochę prawdy w tym meldunku, który otrzymaliśmy wczoraj, to armia księcia liczy wszystkiego pięć tysięcy ludzi. Źle wyposażonych, zdemoralizowanych...

- Nie doceniliśmy uprzednio ich determinacji - przerwał Worsham swym zdradliwie spokojnym tonem. - I nie wypada, żebyśmy powtórzyli ten błąd. Majorze Garner, jak rozumiem, pańscy dragoni byli wśród pierwszych, którzy zwiążali siły rebeliantów w Colfs Bridge i później pod Prestonpans?

Anne skojarzyła twarz z nazwiskiem angielskiego oficera. Hamilton Garner był wysokim, jasnowłosym pyszałkiem o zimnych zielonych oczach kobry. Jego dragoni umknęli przed armią szkockich górali pod Colfs Bridge, nie oddawszy jednego strzału. W bitwie pod Prestonpans nieco ponad trzy tysiące jakobitów zadało klęskę dwukrotnie liczniejszej armii generała sir Johna Cope'a, zaskoczywszy ją o świcie. Major Garner należał do tej żałośnie nielicznej garstki, która stawiała czoło nieprzyjacielowi, ale został wzięty do niewoli. Ostatecznie, ponieważ jeńców było znacznie więcej niż zwycięzców, wypuszczono go, tak jak i innych, na wolność, wszyscy musieli tylko zareczyć słowem honoru, że nie podniosą więcej broni przeciw księciu Karolowi. Garner złamał słowo niemal natychmiast, gdy tylko poczuł się naprawdę wolny. Na jego rozkaz oćwiczono prawie na śmierć tchórzów, którzy mu podlegali, zeznawał też przeciwko pięciu oficerom, których następnie powieszono na publicznym placu.

Krażyły pogłoski, że major walczy nie tylko z księciem, lecz pragnie także uregulować osobiste rachunki z jednym z najśmielszych kapitanów, Alexandrem Cameronem - zwanym Camshroinaich Dubh, którego nazwisko wywołało w pamięci Fearchara Farquharsona duchy przeszłości. Lady Drummuir, od jednego ze swoich niezliczonych i niezawodnych szpiegów, słyszała, jakoby Cameron zdobył w pojedynku narzeczoną Hamiltona Garnera, poślubił tę kobietę - Angielkę - i zabrał ją do domu do Lochaber. On także był pod Colt's Bridge i pod Prestonpans i widok dawnego rywala obudził w Garnerze zapał bojowy przekraczający wszelkie granice. Major poprzysiągł tropić swego wroga choćby na końcu świata, nawet jeśli to miało oznaczać zabicie każdego jakobity w pojedynkę w trakcie pościgu.

- Ci buntownicy w walce nie stosują żadnego znanego szyku bojowego - zapewniał teraz Garner. - Nie potrafiłbym zliczyć, ile razy usiłowałem uświadomić generałowi Hawleyowi ten niemiły fakt. Czołgają się w ciemnościach, brodzą przez bagna, po czym wyłaniają się z nich cuchnący i

oblepieni błotem. Każda linia, jaką utworzą, jest w najlepszym razie wyszczerbiona i załamuje się, gdy tylko zagrzeje ich do boju buczenie ich piekielnych dudziarzy. Oddają ledwie jedną salwę z muszkietów i odrzuciwszy je na bok, dopadają naszych linii z mieczami w rękę, podczas gdy nasi, wciąż jeszcze zgięci w pół nad bronią, podsypują prochu na drugi strzał. Oni nawet zrzucają swoje plecy i spódniczki, jeśli strój przeszkadza im w walce. Wyobraźcie to sobie, jeśli zdołacie. Zastępy wrzeszczących, półnagich diabłów zstępują na ciebie z gór, dzierżąc miecze długością dorównujące wzrostowi normalnego mężczyzny.

Na chwilę zapadła cisza, potem dało się słyszeć pełne oburzenia chrząknięcie lorda Loudouna.

- Zważcie panowie, że ci ludzie walczą jak barbarzyńcy. Jedzą zimną owsiankę i, na Boga, piją krew zwierzęcą. To hałaśliwa, niezorganizowana banda i major wykazał godny podziwu hart ducha, łojąc skórę każdemu naszemu żołnierzowi, który natychmiast nie uznał za nieważne warunków umowy z nimi.

- Faktycznie - mruknął Worsham, raczej zażenowany tyradą hrabiego - bo gdzie tu zasługa z dochowania żołnierskiego słowa, gdy ma się do czynienia ze złodziejami bydła i dymaczami owiec.

Anne, przysłuchując się tej rozmowie zza zasłony, czuła, jak krew się w niej burzy, a policzki płoną żywym ogniem. Rozchyliła wargi, próbując nabrać więcej powietrza w płuca, lecz wysiłek ten okazał się daremny, stanik był bowiem zbyt ciasny. Narastała w niej chęć, by zerwać draperie i stanąć przed tymi mężczyznami i może by rzeczywiście tak uczyniła, porzuciwszy wszelką ostrożność, gdyby w następnym momencie nie rozległ się inny głos, na którego dźwięk skamieniała z wrażenia.

- Ależ, panowie. Jesteście zbyt surowi dla moich sąsiadów. Nie wszyscy jesteśmy zadurzeni w naszych trzódkach. Wielu z nas woli te śliczne angielskie panienki, które przywieźliście z Londynu.

Nowy wybuch obleśnego śmiechu świadczył o tym, że uwagę rzuconą przez Angusa Moya, przyjęto z uznaniem.

- To prawda, że te dziwki są zgrabniejsze - powiedział któryś z mężczyzn.
- I zdecydowanie bardziej chętne niż ich góralskie koleżanki.

Worsham podniósł głos, by przekrzyczeć drugą salwę rubasznego śmiechu.

- Ale pańska żona - zwrócił się do Angusa - wydaje się ognistą małą lisicą tryskającą energią. Z pewnością nie wrzuci jej pan do jednego worka z innymi.

Annę wstrzymała oddech i zacisnęła kurczowo palce na fałdach spódnicy. Była pewna, że usłyszy śmiercionośny świst stalowego ostrza, które jej mąż wyciągnie, by zmasać uśmiezek z twarzy Anglika, lecz ku swemu zdumieniu usłyszała, jak Angus odpowiada z przesadnym westchnieniem.

- Ach, już od dawna jestem znużony różnymi przyływami energii mej małżonki. A także ciągłymi próbami okiełznania zarówno jej języka, jak i skłonności do popierania przegranej sprawy.

- Kobiety - odezwał się Duncan Forbes - potrafią pokazać pazurki, kiedy się tego najmniej spodziewasz. Miło na nie popatrzeć, wabią cię do łóżka, ale jeśli nie weźmie się ich w karby zaraz po odejściu od ołtarza, mogą cię przyprawić o jedną ciężką migrenę po drugiej. Nawet mojemu synowi zdarzało się popadać w rozpacz z powodu fochów swojej Arabelli, ale dostała solidne baty parę razy i wtedy nabrała dobrych manier. Może byłeś zbyt pobłażliwy dla swojej, mój drogi. Nigdy nie zaszkodzi przetrzepać żonie skórę, żeby wiedziała, kto tu jest panem, a kto zawdzięcza wszystko naszej łasce.

- Zapamiętam to sobie - powiedział Angus i odchrząknął cicho.

- Ona jest z Farquharsonów, prawda? - Gdy major Garner zadawał to pytanie, rozległy się równocześnie charakterystyczne odgłosy: szuflada w biurku Forbesa została zamknięta i przekręcono klucz. - Jest spokrewniona z tym starym i jego trójką piechurów?

- To jej dziadek - odrzekł Angus.

- I nie widzi pan potrzeby, żeby skrócić jej cugle? - Zdziwienie pytającego było równie wyraźne, jak nonszalancja Angusa.

- Szczerze mówiąc, poradziliśmy mu, żeby tego nie robił - odpowiedział Loudoun. - Ona jest dumą i radością starego łobuza i dopóki on sądzi, że wnuczka ma swobodę poruszania się, gdzie chce, będzie z nią pozostawał w kontakcie. Zwłaszcza teraz. Gwarantuję, że Fearchar Farquharson wie dokładnie, gdzie znajduje się armia rebeliantów i dokąd się skieruje, gdy tylko przekroczy granicę.

- Stawiam na Glasgow - powiedział Forbes. - Pretendent będzie rozpaczliwie potrzebował nowych dostaw i nie zechce ryzykować marszu na Edynburg bez uprzedniego przegrupowania.

- Ale też nie zechce zwlekać z odzyskaniem królewskiej stolicy - odrzekł Garner. - Na pewno wie, że rezerwy, które zostawił w Szkocji, były zmuszone opuścić swe pozycje, kiedy Hawley przybył na północ. Mimo to będzie wierzył, jak każdy król i każda królowa z rodu Stuartów przed nim wierzyli, że kluczem do utrzymania Szkocji jest utrzymanie Edynburga.

- Zgadza się - oznajmił głośno Loudoun. - I dlatego Hawley poprosił nas, byśmy to my jemu przysłali posiłki. Trzy tysiące wojska. Prawdę mówiąc, ogołoci nas to do kości, ale jest warte ryzyka, jeśli umożliwi nam szybsze zakończenie całej sprawy. Miałem zamiar wstrzymać się do rana z omawianiem pańskiego nowego przydziału, Angus, ale nie widzę powodu, by czekać. Generał wprost zażądał brygad Królewskich Szkotów - czyż jest bowiem lepszy sposób na to, by rozproszyć armię znajdującą się w odwrocie, od postawienia naprzeciw niej swojaków na polu bitwy? A ponieważ pańscy ludzie są bardziej niż gotowi do czynu, pošlę pańską brygadę MacKintoshów pod komendę majora Garnera. Majorze Garner, sądzę, że zamierza pan odjechać z końcem tygodnia?

- Jeszcze wcześniej, jeśli to będzie możliwe - odrzekł Garner. - Czekam tylko na przybycie statku z dostawami.

Anne przymknęła oczy. Czowała, jak resztki energii wyciekają z jej ciała. Kolana się pod nią uginały, ręce trzęsły; palce puściły kręgi krynoliny i obręb osunął się w przód, ocierając o dolny brzeg aksamitnej zasłony.

- A zatem postanowione, Angusie. Angus? Człowieku, czy ty nas słuchasz?

- Co? A, tak. Tak, oczywiście, po prostu zamyśliłem się przez chwilę.

- Mój drogi, wkrótce znajdziesz się w środku tego wszystkiego, teraz nie czas na roztargnienie. Liczymy na ciebie, że pomożesz obronić Edynburg i trzymać rebeliantów w potrzasku, dopóki Cumberland nie zdąży przeprowadzić armii na północ. Tymczasem postaraj się w pierwszym rzędzie wywiedzieć wszystkiego, co wie twoja żona. Jeśli poznamy zawczasu zamiary księcia, bardzo nam to pomoże, a żona, która wie, że mąż wyjeżdża na długo, często bywa skłonna wyjawić mu wtedy więcej niż kiedy indziej.

- Wątpię, czy perspektywa mojej nieobecności może wywołać u niej obecnie coś więcej niż uczucie ulgi.

- Szepnij jej to i owo do uszka - poradził Forbes. - Połaskocz ją pod brodą, obiecuj, że będziesz trzymał proch wilgotny a lont suchy, zrób wszystko, by ją ugłaskać. Zaczyna nam brakować czasu, a twoje wysiłki nie pozostaną bez

nagrody. Lochaber było kiedyś terytorium MacKintoshów; dlaczego nie miałoby stać się nim znowu?

- Zrobię wszystko co w mojej mocy, milordzie.

- Jestem tego pewien.

7

Anne nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo stała w ciemnej wnęce po odejściu mężczyzny. Była zbyt oszołomiona, by móc myśleć o czymkolwiek. Zbyt rozgniewana. Zbyt głęboko rozczarowana i zraniona. Zdrada męża tak bardzo ją zaskoczyła i zdumiała, że wydawało jej się, iż musiała słyszeć czyjś inny głos, nie Angusa.

Pomyślała, że powinna się rozplakać, ale nie wydało jej się to właściwe. Jakaś mała, okrutna cząstka duszy podpowiadała jej, że należało się roześmiać - czyż nie tak reaguje ten, kto natknie się na wioskowego głupka? Ale z kogo zrobiono większego głupka, tego jeszcze nie była pewna. Rozpaczliwie chciała wierzyć, że mężczyzna, którego poślubiła, jest w głębi duszy dobry i szlachetny, nigdy nawet nie dopuściła do siebie myśli, że mógłby być skończonym łgarzem, człowiekiem fałszywym i zdrajcą. Lochaber stanowiła istotnie smakowity kąsek i jeśli taką nagrodę Forbes i Loudoun oferowali za współpracę, to była ona warta dużo więcej niż trzydzieści srebrników. Z pewnością też opłacało się oszukiwać żonę i zdradzić księcia.

Czyżby Angus sądził, że noc pełna namiętności uczyni żonę podatną i uległą? Czy przypuszczał, że ta noc miłosnych rozkoszy skłoni ją do zdradzenia mu miejsca pobytu dziadka i kuzynów? Zrobiła to, oczywiście, ale dopiero po fakcie, gdy nie miało to znaczenia, bo dragonów już wcześniej wysłano, by śledzili Dunmaglass. Ale jeśli mąż po prostu "wprawił ją w dobry nastrój", jak mu polecił Loudoun, to dlaczego kłamał Worshamowi mówiąc o tym, gdzie była zeszłego wieczoru?

Przyłożyła dłonie do skroni i zacisnęła je mocno. Wszystko było zbyt zagmatwane. Za dużo było sprzeczności, by mogła się nad nimi dobrze zastanowić, kiedy ledwie potrafiła skoncentrować się na tym, co powinna zrobić w ciągu najbliższych pięciu minut.

Anne spojrzała w dół. Spódnicę miała pomiętą w miejscu, gdzie ją ścisnęła w dłoniach. Machinalnie próbując wygładzić załamania, odwróciła głowę, popatrzyła przez okno na panoramę gwiazd jaśniejących na niebie zdumiona, że wszystko wygląda tak uroczym i spokojnym, gdy cały jej świat właśnie wywrócił się do góry nogami.

Coś nieokreślonego... jakiś odgłos, szmer, ciche skrzypnięcie klepki w podłodze... przerwało rozmyślenia Anne. Uniosła brwi i przez długą chwilę wpatrywała się w zasłonę, potem wolniutko przesunęła się naprzód na palcach, starając się poruszać jak najciszej, i ostrożnie wlepiła wzrok w ciemność poprzez frędzle okalające kotarę. Przyszło jej na myśl, że może jeden z oficerów pozostał w bibliotece, a ona nie zwróciła na to uwagi. Forbes zamknął coś w biurku i niepokoił się, że to coś znajduje się w jego posiadaniu. Może zostawił kogoś, by tego pilnował.

Znów doszedł ją ten sam dźwięk i jakby zdławiony pisk. Coś małego, kosmatego wpadło pod brzeg jej spódnicy i wyskoczyło po drugiej stronie.

- Jezusie święty! - jęknęła, przyciskając dłoń do piersi. To była mysz. Przeklęta mysz!

Zamachnęła się nogą, ale potknęła się przy tym i obcas zaplątał jej się w dolną obręcz krynoliny. Uwalniając stopę, wymruczała pod nosem przekleństwo, po czym energicznie odsunęła jedną część kotary i dała nura do głównego pomieszczenia, z ulgą pozostawiając wnetrze w wyłącznym władaniu gryzonia.

Biblioteka wyglądała tak samo jak poprzednio, z tym tylko, że było w niej trochę ciemniej, gdyż zamknięto drzwi na korytarz. Ledwo słyszalne odgłosy gwaru dobiegające z góry świadczyły o tym, że bal trwa w najlepsze. Muzycy stroili zapewne instrumenty. Lokaje torowali sobie drogę między gośćmi, balansując srebrnymi tacami zastawionymi winem i ponczem. Fotele ustawione pod ścianami były już chyba pozajmowane przez podstarzałe damy i matrony, które chłodziły twarze wachlarzami i stykały się głowami, by wymienić uwagi o tkaninie czyjejś sukni lub czyimś szokującym dekolcie. Żołnierze z pewnością przyglądali się kobietom, próbując odgadnąć, po której można oczekiwać, że zechce im towarzyszyć do jakiegoś ciemnego kąta i ulży ich pożądaniu.

Spojrzenie Anne powędrowało w stronę biurka lorda przewodniczącego. Był to masywny i ciężki mebel z głębokimi szufladami po obu stronach szerokiego prześwitu. Górne szuflady miały małe mosiężne zamki, podobnie jak długa płaska szuflada pośrodku. Niemal odruchowo Anne sięgnęła do włosów i wyciągnęła stalową szpilkę.

Przesuwając czubkami palców po gładkim politurowanym drewnie, spojrzała raz jeszcze ku drzwiom, po czym schyliła się i pewnym ruchem wsunęła koniec szpilki w środkowy zamek. Prosty pojedynczy mechanizm zatraskowy, podobny do tego w gabinecie Angusa, ustąpił za drugą próbą.

Szuflada wysunęła się bezgłośnie i Anne zajrzała do środka. Były tam papiery - przeważnie niedokończone listy, z których żaden nie sprawiał wrażenia na tyle ważnego, by kurier musiał go dostarczyć w środku nocy - a także laski wosku do pieczętowania i dwie duże złote pieczęcie; na jednej wytłoczono herb Forbesa, na drugiej znak jego urzędu. Lewa szuflada otworzyła się równie łatwo i zawierała szkatułkę, której zameczek udało się Anne otworzyć w dwie sekundy. Widok okazałego zapasu złotych monet nie zrobił na niej większego wrażenia, podobnie jak trzecia i ostatnia zamykana szuflada.

Marszcząc brwi, zerknęła na drzwi nad blatu biurka, po czym osunęła się na posadzkę, gniotąc jedwabne spódnice. Wyraźnie przecież słyszała, jak Forbes przekręca klucz, a tymczasem reszta szuflad nie miała zamków.

Dopiero gdy zasuwiała z powrotem ostatnią, zauważyła coś dziwnego. Szuflady po lewej stronie wydawały się dużo krótsze niż te po prawej. Ich głębokość odpowiadała zaledwie odległości między dłonią Anne a jej łokciem, gdy tymczasem w każdej z tych po drugiej stronie zmieściłaby się cała wyprostowana ręka, od czubków palców aż po bark. Schyliła się i podjęła poszukiwania, lecz za pierwszym przesunięciem ręki niczego nie znalazła. Za drugim razem, gdy pospiesznie skrzesawszy ognia, pomogła sobie zapaloną świecą, wymacała wgłębienie kryjące małą dziurkę od klucza, a obok delikatną linię spojenia, która komuś niewtajemniczonymu mogła się wydać słojem drewna.

- Spryciarz - wymamrotała, gdy jej podejrzenia umocniły oględziny zewnętrznej strony biurka, na której ozdobne wyłobienia i zakrętasy maskowały dwa cienkie zawiasy pokryte ciemną patyną, by wtapiały się w rzeźbione wzory w drewnie.

Nie tracąc czasu na podziwianie roboty stolarskiej, Anne znów użyła szpilki, klnąc pod nosem, gdyż zamek okazał się bardziej skomplikowany. W końcu ustąpił i kiedy odsunęła na bok fałszywe szuflady, pierwszą rzeczą, która rzuciła jej się w oczy, był pakiet meldunków związany i owinięty w skórzaną

torbę. Znajdowały się tam jeszcze inne pakiety i papiery; wszystkie zostały pobieżnie przejrane. Niektóre Anne odrzuciła, a inne dołączyła do stosiku na podłodze u swych stóp.

Gdy osiągnął on granice tego, co jak sądziła, mogła bezpiecznie schować przy sobie, wepchnęła na miejsce fałszywy front szuflad. Nigdy dobrze nie opanowała zamykania czegokolwiek za pomocą szpilki, musiała więc zadowolić się nadzieją, że aż do rana nikt nie przyjdzie po któryś z zabranych przez nią papierów.

Wyprostowała się, uniosła warstwy wierzchniej spódnicy, a potem spodniej i halki, by odsłonić szkielet podtrzymujący krynolinę. Pomiędzy czwartym a piątym fiszbinem odsłoniła się kieszeń naszyta na pasy materiału. Zapomniawszy o tym, iż poprzedniego wieczoru zapewniała Angusa, że nie zabiera noży na oficjalne przyjęcia, Anne sięgnęła do kieszeni i wyjęła zabójczo ostry sztylet. Paczki papierów ciasno wypełniły kieszeń i nie mając gdzie ukryć swej broni, Anne przestawiła kilka książek na najbliższej półce i wsunęła sztylet głęboko za nie.

Przyciskając dłoń do ciasnego gorsetu, przez chwilę chwyciła powietrze, po czym sprawdziła, czy spódnice układają się znów równo i porządnie, czy nie opada żaden niesforny lok i czy niczego nie zostawiła. Uznała, że wszystko wygląda tak jak wtedy, gdy tu weszła, z wyjątkiem zasłon w oknach, których spuszczenie nie zostało zauważone. Na koniec, by utrudnić wykrycie sprawcy kradzieży, wkroczyła jeszcze raz w mysie królestwo, otworzyła drzwi na taras i zostawiła je na tyle uchylone, by mogły nasunąć myśl o dodatkowej drodze wejścia i wyjścia.

Wróciwszy do głównych drzwi, zatrzymała się i przycisnęła do nich ucho. Nacisnęła klamkę, uchyliła drzwi, najpierw odrobinę, potem nieco szerzej, wreszcie wyprostowała się i śmiało wyszła na korytarz, przybrawszy zmartwiony wyraz twarzy, jakby właśnie zmyliła drogę.

Udawanie okazało się niepotrzebne. Z wyjątkiem jednej pary o zaczerwienionych twarzach, która wyłoniła się z innej przyciemnionej wnęki w głębi holu i wyraźnie unikała jej wzroku, nie spotkała nikogo, dopóki nie dotarła w pobliże holu wejściowego. Ciężar zawiniątka zawieszzonego na krynolinie sprawiał, że Anne miała wrażenie, iż spódnica wlecze się po podłodze z jednej strony, i gdy przechodziła przed ozdobnie złożonym zwierciadłem, była przekonana, że zobaczy odbity w nim dowód jej winy. Ku swemu zaskoczeniu ujrzała tylko wysoką bladą kobietę w złocistych jedwabiach, której oczy były może trochę zbyt okrągłe i ciemne, pochylającą się ku gładkiej powierzchni, jak gdyby chciała poprawić niesforny pukiel włosów naruszający doskonałość jej fryzury.

Pomyślała, że jeśli szczęście choć trochę będzie jej sprzyjać, kradzież nie zostanie odkryta, póki ona nie znajdzie się daleko stąd, a nawet wtedy zresztą, nie zaliczą jej do grona głównych podejrzanych; jest przecież zwyczajną kobietą. Kiedy już wróci bezpiecznie do Moy Hall i odzyska jasność myślenia, zadecyduje, co zrobić ze skradzionymi dokumentami, ale na razie ważne jest tylko, żeby się stąd wydostać. Musi się opanować i zachowywać tak, jakby nic się nie stało, jak gdyby nie czuła tego straszliwego bólu rozdzierającego jej serce.

- Kochanie, czy dobrze się czujesz?

- Co? - Anne wzdrygnęła się, gdy lady Drummur wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia.

- Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha Williama Wallace'a.

Anne przełknęła ślinę.

- Nic mi nie jest, to tylko zmęczenie. Czy widziała pani Angusa?

- Od czasu, gdy mnie o to pytałaś jakieś dwie minuty temu? Nie, nie widziałam.

Anne rozejrzała się uważnie po zatłoczonej sali, ale choć dostrzegła lordów Forbesa i Loudouna śmiejących się z jakiegoś grubiańskiego żartu, nigdzie nie było widać jej męża. Skinęła na służącego, który ją mijał, by podał kieliszek wina, wychyliła go trzema łykami i wzięła następną.

Tymczasem pary ustawiły się do kontredansa w dwie wirujące, mieniące się kolorami kolumny. Anne zwróciła uwagę na Adrienne de Boule, której intensywnie szafirowa jedwabna suknia błyszczała jak klejnot w blasku tysiąca świec żyrandola. Jej partnerem był zielonooki major Garner. Dobrze dobrana para, pomyślała Anne mimo woli, choć prawie życzyła sobie, żeby to był Angus; że wreszcie wiedziałyby, gdzie on jest.

Trochę dalej zobaczyła młodego pana Forbesa tańczącego z którąś z sióstr MacLaren - każdy by się pogubił w ich imionach, bo wszystkie siedem były przerażająco podobne jedna do drugiej. Młody mężczyzna wyciągał szyję za każdym obrotem, próbując napotkać wzrok Annę, lecz ona go zignorowała.

Niecierpliwie przytupując stopą w rytm muzyki, rozpoczęła poszukiwania od najdalszego końca przepastnej sali, przemykając się obok grupki umundurowanych oficerów, stolików z przekąskami, wnek osłoniętych

kotarami, za którymi sześciometrowe łukowate drzwi prowadziły na kamienne balkony...

Wzrok Anne znieruchomiał nagle, a następnie pobiegł na powrót ku drzwiom.

Kiedy pierwszy raz weszła do biblioteki, kotary w obu wnękach były zwinięte i obwiązane złotymi sznurami. Ale kiedy opuszczając ją, przystanęła na progu i obejrzała się... obie były opuszczone!

Przewyciężyła nagły atak paniki i zmusiwszy się do zachowania spokoju, usiłowała najintensywniej przypomnieć sobie dokładnie, co widziała, kiedy obejrzała się od drzwi. Obie kotary były podwiązane, kiedy wchodziła, tyle wiedziała z całą pewnością, lecz choć usilnie próbowała zmienić obraz, który podsuwała jej pamięć, widziała wciąż to samo - w momencie gdy odchodziła, obie zasłony zwisały swobodnie opuszczone. Ktoś musiał być w bibliotece równocześnie z nią! Ktoś, kto pozostał w drugiej wnęce? Czy też wśliznął się z powrotem, gdy pozostali odeszli?

Zanim uwagę Anne rozproszyła mysz, do jej uszu dobiegł jakiś odgłos, który przypominał delikatne stąpienie. Czyjekolwiek to były kroki, ten ktoś musiał słyszeć jej kopnięcie i okrzyk. Dał nura do drugiej wnęki, po czym spuścił kotarę, by się ukryć tak samo jak ona.

Ale jeśli tak się właśnie stało... to znaczy, że ktoś ją widział, gdy przeszukiwała biurko lorda przewodniczącego! Ktoś widział, jak dłubie w zamku, kradnie dokumenty, i chowa pod halką.

Na dźwięk tłuczonego szkła lady Drummuir poderwała się z miejsca i dech jej zaparło, gdy ujrzała krew spływającą po palcach Anne.

- Dobry Boże, dziecko, coś ty zrobiła?

Anne nie zdawała sobie sprawy, co robi, gdy ścisnęła kieliszek, ani z tego, że pękł jej w dłoni. Docierało do niej teraz tylko niejasno, że wdowa ujmuje i odsuwa od sukni jej rękę, wołając na kogoś ze służących, by podał czysty kawałek płótna.

Była zdolna myśleć tylko o jednym: że ktoś był w bibliotece razem z nią, że przyglądał się jej, gdy kradła ważne papiery z zamkniętego biurka lorda Przewodniczącego Sesji Sądu.

- Ach, skaleczyłaś się, kochanie. Proszę, pozwól że ci owinę rękę, byś nie poplamiała krwią tej pięknej sukni. Wszystko przez te tanie szklane kieliszki -

sarknęła wdowa. - Całą srebrną i kryształową zastawę popakowali w skrzynie i wysłali dla bezpieczeństwa do Londynu. Aż dziw bierze, że talerze nie popękały pod ciężarem chleba, a sztucce nie gięły się za każdym dotknięciem.

Anne pozwoliła się wyprowadzić z sali balowej, z dłonią owiniętą serwetką. Kilka pań w pobliżu wyjścia wydało okrzyki przestachu i osunęło się w ramiona mężczyzn im towarzyszących, ale poza tym wypadek przeszedł prawie niezauważony. Zaprowadzono Anne do saloniku, gdzie zaraz przyniesiono wodę oraz więcej płótna na bandażę i przyprowadzono doktora Faustusa MacMillana, niskiego mężczyznę z oczyma nabiegłymi krwią i palcami jak kiełbaski. Pod czujnym okiem lady Drummur, doktor przemył siateczkę drobnych skałeczeń i obwiązał rękę czystym pasem płótna. Właśnie kończył, gdy w drzwiach stanęli Angus i lord Forbes. Na twarzy tego pierwszego malowała się prawdziwa troska, gdy przyklękał na jedno kolano przy fotelu Anne.

- Co się stało? Powiedziano mi, że zdarzył się przykry wypadek i że krwawisz.

Doktor podniósł wzrok znad pincenez.

- To nic poważnego, milordzie. Żona mówi, że skaleczyła się kieliszkiem. Więcej krwi niż zmartwienia.

- To był głupi wypadek - szepnęła Anne. - Kieliszek pękł, kiedy brałam go z tacy.

- Co z twoją ręką? - Angus chciał dotknąć obandażowanej dłoni żony, lecz ona cofnęła ją szybko.

- Z ręką wszystko w porządku. Kilka małych zadraśnień, zagoi się w dwa lub trzy dni. Nie warto było psuć zabawy doktorowi. Sama bym potrafiła to opatrzyć.

Starła się, żeby te słowa nie brzmiały jak wypluwane przez zaciśnięte zęby, ale tak właśnie było, nic nie mogła na to poradzić.

- Czy jesteś pewna, że...?

- Absolutnie tak. Proszę, nie martw się już o mnie.

- Nie martw się? - Forbes wydał wargi i splótł ręce na plecach. - Do licha, on prawie wyszedł z siebie, droga pani. Poblądł jak amant chory z miłości, słowo daję, i miał powody, bo przyznaję, że i we mnie serce zamarło na chwilę.

Proszę wskazać tego niezdare, który podał pani pęknięty kieliszek, a natychmiast wyrzucę go osobiście.

- Nikt nie ponosi tu żadnej winy, tylko ja sama - odparła zimno Anne.

- I mój syn - dodała lady Drummuir, spoglądając z wyrzutem na Angusa. - Gdyby Anne nie była tak nieprzytomna, rozmyślając, gdzie się podziałeś, zauważyłaby, że kieliszek jest pęknięty.

- Szukałaś mnie? - Angus spojrzał na żonę.

- Nie. To znaczy: tak. Chciałam... powiedzieć ci, że wyjeżdżam. Głowa mnie bardzo rozboleła i chciałam ci powiedzieć, że wracam do domu.

- Do domu? - Forbes zmarszczył brwi, jak pobłażliwy ojciec. - Nonsens. Zostanie pani na noc. Zaraz każę przygotować pokój i...

- Nie! - Anne zerwała się na równe nogi. - To znaczy... dziękuję, nie, milordzie. Wolałabym po prostu wrócić do domu. Nie ma potrzeby, żeby Angus wyjeżdżał - dodała. - Sama doskonale sobie poradzę.

- Nie mów głupstw - zaprotestował Angus. - Oczywiście, odwiozę cię do domu.

Annę zwróciła się o wsparcie do teściowej.

- Proszę...

Lady Drummuir zmarszczyła czoło, ale zmuszona do interwencji wystąpiła naprzód, by zapanować nad sytuacją.

- Tyle paplaniny z powodu paru małych skaleczeń. Z pewnością nie ma potrzeby, żeby ktokolwiek ofiarowywał się z opieką. Nie wygląda na to, żeby dziewczynie groziło, że się wykrwawi na śmierć. Swoją drogą, ja sama miałam chęć poszukać własnego łóżka, więc Annie po prostu wróci ze mną. A ty, Angusie, możesz rano przyjechać po nią na Church Street, jeśli to ci odpowiada. Albo możesz wyjechać od razu, jeśli mi nie ufasz, że zadbam o jej bezpieczeństwo. Ale ostrzegam cię: przez cały wieczór byłam w takim nastroju, że miałam chęć walnąć kogoś po głowie, więc jeśli tak postąpisz, masz szansę.

Mięsień na policzku Angusa zadrgał nerwowo, ale nie miał innego wyjścia, jak tylko skłonić się przed matką na znak zgody. Annę też nie miała wyboru i musiała wesprzeć się na ramieniu męża, gdy uparł się odprowadzić ją do drzwi frontowych, choć przy każdym kroku bała się, że gdy zrobi następny, usłyszy za sobą krzyki i żądanie jej aresztowania. Czekając, aż służba przyniesie

ich okrycia i przyprowadzi pod drzwi powóz lady Drummuir, czuła, jak pot spływa jej po plecach, a w głowie tak jej się kręciło, że nawet nie poczuła, gdy Angus pocałował ją w policzek i półgłosem obiecał przyjechać po nią z samego rana.

A potem znalazła się w powozie. Zamknięto za nią drzwi, zasunięto rygiel. Gdy obie z teściową odjeżdżały z Culloden House, mogła dojrzeć postać Angusa w świetle pochodni, z ręką wzniesioną w geście pożegnania. Skradzione listy ciążyły jej na udach prawie tak nieznośnie, jak coś, co ją ścisnęło w gardle.

Najwyraźniej ten, kto znalazł się w bibliotece razem z nią, kimkolwiek był, postanowił prowadzić własną grę w kotka i myszkę.

8

- Nie mogę wprost uwierzyć, że podjęłaś takie ryzyko - powiedziała lady Drummuir, do tego stopnia wstrząśnięta, iż z trudem wydobywała z siebie słowa. Gdy tylko ich powóz minął bramę, zażądała wyjaśnień, a ponieważ Annę rozpaczliwie potrzebowała zwierzyć się komuś, wylała z siebie wszystko, opowiedziała dokładnie, co się wydarzyło od chwili jej spotkania z Johnem MacGillivrayem w bibliotece. - To nie do wiary, że miałaś czelność włamać się do biurka lorda przewodniczącego. Szpilką do włosów, powiadasz?

- Zamek był raczej dość prosty.

- Mimo wszystko, moja panno, nie jest to ten rodzaj talentu, którego się oczekuje po żonie lairda.

- Wcześniej byłam wnuczką rozbójnika - przypomniała jej Anne.

- Ano tak, i już samo to by wystarczyło, żeby cię z miejsca zakuć w kajdanki. Prawdziwą zagadką, jeśli podejrzewasz, że ktoś cię widział, jest to, że do tej pory nie puszczono za nami sfory psów.

"Do tej pory" zawisło między nimi na chwilę w kompletnej ciszy, rysując w wyobraźni obu kobiet wszelkie przykre konsekwencje.

- Jak sądzisz, czemu tak się nie stało? Potrafisz zgadnąć, dlaczego w tej chwili nie jedziesz w asyście tuzina czerwonych kubraków?

Anne przygryzła wargę prawdziwie zakłopotana.

- Nie wiem. Kiedy zobaczyłam Forbesa w salonie z Angusem zaraz potem...

W tamtym krótkim momencie postarzała się o rok i wciąż nie mogła uwierzyć, że pozwolono jej opuścić Culloden House bez eskorty czerwonych kubraków.

- Naprawdę nie masz pojęcia, kim mógł być ten, kto cię widział w bibliotece?

- Nie. Byłam pewna, że wszyscy wyszli. Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę coś...

- Tak? Zdawało ci się, że coś słyszysz?

Anne potrząsnęła głową.

- Zdawało mi się, że usłyszałam stąpienie albo trzaśnięcie klepki w podłodze, ale byłam tak rozkojarzona i wściekła, i zmieszana... i nagle zobaczyłam mysz, i...

- I krzyknęłaś, i prawie ją zdeptałaś, dając temu, kto tam był, mnóstwo czasu na wśliznięcie się do drugiej wnęki.

Anne kiwnęła głową, z pobladłą twarzą.

- Tak to musiało się stać. Ale jeśli tym kimś był Forbes albo któryś z pozostałych oficerów, dlaczego mnie nie zatrzymano? Ktokolwiek to był, musiał widzieć, jak zabieram meldunki i chowam, więc dlaczego nie zatrzymano mnie w sali balowej lub salonie i nie udowodniono, że jestem złodziejką?

Wdowa zmarszczyła brwi, najwidoczniej zadając sobie to samo pytanie.

- Cała nadzieja - odezwała się wreszcie - cała nadzieja w tym, że to nie był nikt z tych, którzy znajdowali się tam wcześniej, bo każdy z tamtych skręcałby się z uciechy na myśl o odarciu cię z sukni i aresztowaniu z dowodem

zdrady zwisającym z twych halek. A jednak - dodała, biorąc na siebie rolę adwokata diabła - gdyby cię poniżyli i aresztowali przy wszystkich gościach, musieliby się obawiać tego, jak się zachowają wtedy inni lairdowie. Lepiej dla nich byłoby poczekać, aż wyjedziesz z Culloden, i zrobić to bez ryzyka, że pójdą w ruch szpady.

Popatrzawszy sobie w oczy przez chwilę, obie kobiety jednocześnie wyciągnęły ręce ku oknom - każda po swojej stronie - i opuściły je tak, że mogły wychylić głowy i zlustrować mroczną drogę w tyle. Jeśli nie liczyć maleńkich białych świateł mijanych chat, jej ciemna wstęga, biegnąca między liniami drzew wyznaczającymi granice parku po obu stronach, była pusta. Zbliżyły się do Inverness, jadąc brzegiem zatoki Moray Firth, i jeśliby ktoś podążał ich śladem z Culloden, gdzieś tu właśnie powinien je dogonić.

Anne nie zmieniła pozycji, jej głowa wciąż znajdowała się za oknem, dopóki policzki jej nie zmarzły i wiatr nie wyswobodził kilku loków. Kiedy na powrót cofnęła się do wnętrza, wdowa zdążyła już poprawić sobie czepek i powstrzymała się od komentowania ich chwilowej utraty godności.

- Jest też trzecia możliwość - powiedziała. - A mianowicie taka, że nie tylko ty byłaś ciekawa, co lord przewodniczący zamknął w szufladzie.

- Sądzi pani, że ktoś inny spośród gości zamierzał go obrabować?

- Nie my jedne wołałybyśmy pozostać w domu. Był tam MacGregor z synem, obaj sztywni jak piki. MacPherson i Starthbogie, MacFall i MacKillican stali po kątach, niemal wszyscy w tak samo podłym nastroju jak MacGillivray, i pewnie wyjechali zaraz po tym, jak złożyli uszanowanie solenizantce, choć może nie tak pośpiesznie, jak Wielki John. Każdy z nich równie dobrze mógł się znaleźć w bibliotece.

Kobiety wymieniły spojrzenia, potem obejrzały się, bez przekonania, i w powozie znów zaległa cisza, przerywana tylko stukotem kół w głębokich koleinach.

- Czy jesteś absolutnie pewna, dziewczyno, że wszystko to, co mi powiedziałaś, słyszałaś naprawdę?

Zaledwie kilka godzin temu wdowa broniła syna, twierdząc, że robi on tylko to, co uważa za najlepsze dla klanu, i Anne wiedziała, że napięcie w jej głosie nie jest spowodowane wyłącznie obawą o własny los.

- Słyszałam, jak Forbes radził mu ugłaskać mnie łagodnością po to, żebym powtórzyła mu wszystko, czego się dowiem od Fearchara o armii

księcia. Słyszałam też, jak Angus powiedział, że on... że jest zmęczony moimi napływami energii i moją skłonnością do popierania przegranych spraw.

Lady Drummuir wydała westchnienie, które wyrażało cały ciężar jej siedemdziesięciu lat.

- A teraz czujesz, że masz okazję, by dokonać szalonego aktu zemsty?

Anne nie powiedziała tego wprost, nawet sama w duszy nie podjęła jeszcze decyzji, ale teraz zrobiła to bez wahania.

- Dziadzio miał rację. Nie ma nikogo innego, kto zajmuje taką pozycję, że lairdowie za nim pójdą. Ani nie ma żadnego syna, ani brata, któremu można by powierzyć ratowanie honoru klanu.

- Sama to wiem, dziecino, ale jakie to niebezpieczne...! Czy przypaszesz *clai'mor* do grzbietu, pistolety do bioder i ruszysz na pole bitwy z krwią w oku? Masz do tego serce, zapewniam cię, i z pewnością zawstydzisz klan tak, że znajdą się odpowiedni zastępcy, ale lairdowie będą chcieli mężczyzny, który ich poprowadzi.

- Dam im mężczyznę - odpowiedziała Anne spokojnie. - Dam im Johna MacGillivraya.

- Jego!

- On z całą pewnością chce walczyć, tak samo jak i jego ludzie.

- Och, to nie jest mężczyzna, z którym możesz igrać, Anne - ostrzegła wdowa. - John jest jak wielki ogier pełnej krwi, który może pozwolić się osiodłać, ale kiedy raz przegryzie wędzidło, nie wiadomo, czy uda ci się znów go okiełznać.

- Nie jestem pewna, czy zechcę go okiełznać - oświadczyła Anne tonem sugerującym większą pewność siebie, niż w istocie czuła. - I to Angus powinien się o to martwić, nie ja.

Wdowa znów umilkła i zapatrzyła się w okno. Karetą minęła kaplicę St John Chapel i zwróciła, by skręcić w wysadzaną drzewami aleję prowadzącą do Drummuir House. Było to obszerne i okazałe domostwo w stylu *William and Mary*, zbudowane ze spłowiałej czerwonej cegły, o narożach z piaskowca, a ponieważ leżało blisko rzeki, przejrzysta warstwa mgły okrywała zawsze otaczający je park.

- W takich chwilach jak ta - westchnęła lady Drummuir - prawie mi żal Duncana Forbesa. Zawsze był irytujący, ale wszystko, co robił, robił dlatego, że gorąco wierzył, iż przyczyni się to do umocnienia Szkocji. Niecałe dwa lata temu chciał wysłać szkockie regimenty do Flandrii, by walczyły u boku Anglików. Powiedział, że jeśli tacy ludzie jak Lochiel i lord George Murray znajdą się daleko w Europie, by walczyć z Holendrami, nie będzie komu wzniecać rebelii tu na miejscu. I to prawda, moim zdaniem, bo nie byłoby ich tutaj i nie spotkaliby księcia w Glenfinnan, a jemu nie udałoby się zebrać armii i uniknęlibyśmy tego całego konfliktu - i może nie byłaby to taka straszna rzecz.

- Czy tego by pani chciała? Byśmy powoli przywykli do zginania karku przed Anglikami i ulegania wszystkim ich żądaniom i rozkazom, aż w końcu nie będzie już w ogóle Szkocji?

- Zawsze będzie jakaś Szkocja, Anne Moy! Ale czy żeby to udowodnić, nasze doliny muszą wciąż spływać krwią?

- Angielską krwią - odparła Annę cicho. - Tak, muszą.

- Fe! Jesteś tak samo zawzięta jak twój dziadunio.

- A czy to tak źle?

Wdowa nie odwróciła się, by skomentować tę uwagę, ale jej dłoń w rękawiczce przesunęła się po ławce i napotkawszy dłoń Anne, uścisnęła ją lekko.

- Nie, dziewczyno - szepnęła. - Przemawia przeze mnie zawiść starej kobiety, bo gdybym mogła, dałabym się ponieść temu wspaniałemu ogierowi razem z tobą.

Następnego rana Angus przybył do Drummuir House, ale nie sam. Wraz z nim przyjechał major Roger Worsham, w szkarłatnym, pedantycznie wyczyszczonym kubraku ze lśniącymi mosiężnymi guzikami; brzegi jego szerokich płowych wyłogów wyglądały tak, jakby je przycięto brzytwą.

Jego twarz miała równie oficjalny wyraz, szczeka wyglądała jak wykuta z kamienia, oczy obserwowały otoczenie chłodno, bez mrugnięcia, gdy wprowadzono gości do żółtego salonu - królewskiej komnaty o ścianach obitych żółtym jedwabnym adamaszkiem. Ta sama tkanina okrywała wytworne sofy i misterne krzesła; wystrój uzupełniały malowidła o złotych brzegach i drewniane listwy w kolorze kości słoniowej. Był to pokój przeznaczony na oficjalne okazje - co nie uszło uwagi Angusa - zdominowany przez ogromny marmurowy kominek, tak zimny, jak wyraz twarzy wdowy, gdy ukazała się gościom prawie pół godziny po ich przybyciu.

- Witaj, Angusie.

Lekko skłonił głowę.

- Witaj, mammo.

- Majorze.

Worsham uniósł brwi.

- Madam.

- Skoro już wiemy, kim jest każde z nas, może zechcielibyście panowie mi wyjaśnić, dlaczego przybyliście dobijając się do moich drzwi, zanim będzie po temu odpowiednia pora. Lady Anne jeszcze nie wstała, a ja nawet nie zdążyłam zasznurować gorsetu dość ciasno. Ufam, że nie przybył pan szukać znowu swych kul, majorze, bo my, MacKintoshowie, sami akurat odczuwamy ich brak.

To powitanie narzuciło rozmowie aż nadto szczery ton i Worsham zareagował złośliwym uśmiechem.

- Błagam panią o wybaczenie wczesnej godziny, ale kiedy kapitan MacKintosh wspomniał, że wyrusza do pani, pomyślałem, że mógłbym mu towarzyszyć i oszczędzić nam obojgu przyszłych kłopotów.

- No cóż, przybył pan za późno na śniadanie i za wcześnie na obiad.

- Mam nadzieję, że to pani nie sprawia kłopotu.

- Istotnie, bo i tak bym pana nie zaprosiła. Jeśli przyjechałeś, żeby zabrać Anne do domu, ty także fatygowałeś się niepotrzebnie - oznajmiła Angusowi. - Postanowiła zostać u mnie na parę dni.

- Parę dni? Czy jest chora?

- Jest zdrowa jak koń pociągowy. Od kiedy to nie wolno jej odwiedzać teściowej, kiedy jej przyjdzie ochota?

- Oczywiście, że jej wolno, ale...

- A więc powiem jej, że nie masz nic przeciwko temu. Trzyma u mnie trochę garderoby, więc nie trzeba posyłać po jej ubrania ani podręczne przybory. Czy chciałbyś przekazać mi dla niej jakąś wiadomość?

- Szczerze mówiąc wolelibyśmy porozmawiać z nią osobiście, jako że mam sprawę właśnie do lady Anne - rzekł Worsham.

- A jakąż to może być sprawa, majorze?

- Zwykła błahostka. Nie zajmiemy jej zbyt wiele czasu.

Biust lady Drummuir zafalował gwałtownie, ale jej zamierzoną ripostę powstrzymał spokojny głos dobiegający od drzwi.

- Wszystko w porządku. Jestem do dyspozycji.

Obaj mężczyźni odwrócili się ku wchodzącej do salonu Anne. Rzuciło się natychmiast w oczy, że nie poświęciła wiele uwagi gorsetowi i włosom, które rozpuszczone, opadały miękkimi, rudymi falami na ramiona. Zadość skromności czynił luźny domowy strój z białego muślinu z falbankami z delikatnej koronki, obramowującymi wycięcie przy szyi i opadającymi spod mankietów. Gdy szła, spod obrębka wysuwało się więcej koronek, które szeleściły delikatnie, ocierając się o dywan.

Zatrzymała się przed jednym z wysokich okien z kwadratowymi szybami. Jasne promienie światła za jej plecami, otaczające blaskiem połyskujący biały muślin i ognistorude włosy, stwarzały efekt, pod wpływem którego obaj mężczyźni znieruchomieli. Wyrachowany sposób na rozproszenie ich uwagi okazał się skuteczny, bo szczeka Angusa złagodniała i mimo że starał się zapanować nad sobą, strumień ciepła wypełzał mu na szyję i przyciemnił cerę.

Worsham zareagował bardziej prymitywnie. Zmrużył blade oczy i kropelka śliny zaślśniła mu w kącie ust.

- Chciał pan ze mną mówić, majorze?

Niedbały, pozbawiony wszelkiej uprzejmości ton, jakim Anne wypowiedziała te słowa sprawił, że major przeniósł szybko wzrok na jej twarz.

- Mam nadzieję, że nie odczuwa pani zbyt boleśnie skutków minionego wieczoru. Słyszałem, że skaleczyła się pani w dłoń.

Uniosła dłoń i obróciła ją niemu, pokazując bandaż.

- To nic takiego. Drobny wypadek, którego przyczyną była moja niezręczność.

- Lady Forbes była wszakże niepokieszona i prosiła, bym przekazał pani wyrazy żalu z powodu tego niefortunnego incydentu.

- Jestem pewna, że nie zmrużyła oka ze zmartwienia. Jednakże nie było żadnego incydentu, majorze. Po prostu szkło pękło. Przypadkiem właśnie wtedy, gdy trzymałam je w ręku.

- Ach tak. Ale ma pani słuszość: dziś rano w Culloden House niepokój wywołały inne, poważniejsze przyczyny. Wygląda na to, że ktoś pozwolił sobie na pewną niemiłą psotę.

- Jak to? Jaką psotę?

- Jeden z gości wspomniał, że ostatniej nocy, krótko po dwunastej, widział panią w sąsiedztwie biblioteki lorda przewodniczącego - powiedział major, wstrzymawszy się od bezpośredniej odpowiedzi na pytanie. - Czy to prawda?

Anne zacisnęła wargi, jakby w zakłopotaniu. Po chwili jej czoło się wygładziło i skinęła głową.

- Tak, zdaje mi się, że mogłam tam być, choć nie przysięgnę, o jakiej dokładnie porze. Obawiam się, że za dużo wypiłam przy kolacji, i trochę źle się poczułam. Szukałam jakiegoś cichego pustego korytarza, bo myślałam, że pomoże mi, jak trochę sobie pochodzę. Niestety, to tylko przyprawiło mnie o lekki zawrót głowy i... - uniosła zabandażowaną dłoń - zdarzył się ten wypadek.

- Czy przypadkiem nie zauważyła pani kogoś w którymś z korytarzy, kiedy próbowała pani... spacerując... uporać się z chwilową niedyspozycją?

- Nie, nie przypominam sobie... Ale zaraz... Tak, istotnie. Widziałam młodą parę wychodzącą z jednego z pokoiów - niestety, nie znam budynku dość dobrze, by określić, z którego - ale oni wydawali się równie zaskoczeni, że się na mnie natknęli, jak i ja ich widokiem. Jestem pewna, że też szukali paru chwil na osobności, z dala od gwaru sali balowej.

Worsham lekko skinął głową na znak zgody.

- To właśnie major Bosworth doniósł mi, że widział panią w pobliżu biblioteki. Jednakże nie wspomniał o tym, że nie był sam.

- Wcale się nie dziwię - powiedziała Anne spokojnie. - Wątpię, czy lord Ian MacLeod byłby ucieszony, gdyby usłyszał, że jego córka spędza czas sam na sam z angielskim oficerem. Nie mówiąc już o jej narzeczonym.

Blade niebieskie oczy zwięziły się znowu.

- To natomiast, że zamężna dama szuka kontaktu z osobnikiem z jej własnego kręgu, nie budziłoby w nikim zbyt silnych emocji?

Anne wytrzymała jego spojrzenie, nie mrugnawszy nawet okiem.

- Jestem pewna, że to by zależało od tego, kim byłby ten osobnik, a także od natury ich kontaktów.

- Interesujące sformułowanie, lady Anne. Proszę mi wybaczyć zuchwałość tego pytania, ale jaka jest natura pani kontaktów z Johnem MacGillivrayem?

Reakcja Anne była zupełnie odruchowa, gdy bezwiednie zerknęła na twarz męża. Nie było to nawet mrugnięcie towarzyszące przelotnemu rumieńcowi, ale podziałało na Worshama jak zapach świeżej krwi na jastrzębia.

- Z MacGillivrayem?

- Tak. Na krótko przed krytyczną godziną widziano panią z nim w holu przed salą bankietową, szepczących do siebie.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy szeptali, majorze, chociaż to bardzo możliwe, że przystanął, by się ze mną pożegnać. Nie pamiętam dokładnie.

- Nie spotkała go pani potem na dole?

- Nie.

- A czy powiedziałaaby mi pani o tym, gdyby go pani spotkała?

- Nie - odrzekła wprost. - Nie powiedziałabym. A teraz, jeśli już pan skończył...

- Słyszałem, że łączy panią z Johnem MacGillivrayem coś znacznie głębszej natury niż zwykła znajomość.

- W takim razie ktoś pana wprowadził w błąd, majorze. John MacGillivray jest uczciwym, honorowym mężczyzną, lojalnym wobec swego klanu i swego kraju.

Tym razem jej wzrok pobiegł wprost ku Angusowi, zanim na powrót spoczął na twarzy Worshama.

- To prawda, zawsze był moim przyjacielem i jestem dumna, że mogę to powiedzieć każdemu, kto mnie o to zapyta. Ale nigdy nie było między nami nic więcej.

- Nic, co by skłaniało panią do kłamstwa, gdy jest o nim mowa. Lub do bronięcia go?

- Wątpię, majorze, by John MacGillivray potrzebował mojej pomocy.

- Do czego zmierzają pańskie pytania, majorze? - zapytał Angus, mocno zirytowany, o czym świadczył wyraźnie sposób, w jaki zdjął rękawiczki i rzucił je na pobliskie krzesło. - Z największą uwagą wysłucham pańskiej odpowiedzi.

- Jak pan wie, ktoś był w bibliotece lorda przewodniczącego ostatniej nocy i skradł pewne dość... poufne papiery.

- Na Boga - burknął Angus ze złością. - Więc to dlatego jechał pan tu ze mną z Culloden House? Żeby oskarżyć o kradzież moją żonę?

- Nie zostało ustalone, gdzie przebywała w czasie, gdy dokonano rabunku, a to samo dotyczy MacGillivraya.

- No cóż. Powiedziała to teraz. Powiedziała też, że nie widziała MacGillivraya, choć, gdyby pan mnie o to spytał, mógłby pan oszczędzić sobie drogi.

- Gdybym spytał pana?

- Właśnie. Widziałem MacGillivraya i rozmawiałem z nim w korytarzu na parterze, tuż po naszym spotkaniu w bibliotece. Już się pożegnał z lady wdową Forbes i pożegnał też mnie, gdyż musiał być rankiem w Clunas z dość ważnego powodu i chciał wcześniej wyruszyć. Zdaje mi się, że mówił, iż ma to związek ze stanem zdrowia jego narzeczonej, lady Elizabeth z Clunas, która nie mogła uczestniczyć we wczorajszej uroczystości z powodu choroby. John bardzo się martwił o nią, co wyjaśniałoby jego widoczne roztargnienie. O ile wiem, mają się pobrać za miesiąc, choć już od dłuższego czasu jest on niezwykle

oczarowany tą uroczą damą. W każdym razie przez cały wczorajszy wieczór potrafił mówić tylko o niej.

- Ach, tak. - Worsham odwrócił się ku Anne i jego oczy znów nabrały drapieżnego blasku. - O ile sobie przypominam, wczoraj, kiedy nam przerwano rozmowę, mówiliśmy o tym, co pani robiła w czwartek wieczorem.

Anne, pomna ostrzeżenia MacGillivraya, że ktoś śledził ją i Eneasza w powrotnej drodze z Dunmaglass, zawahała się na moment, szukając bezpiecznej odpowiedzi. Angus wydał z siebie kolejne westchnienie zdradzające irytację.

- I znów panu przerwę, majorze, i powtórzę, że czwartkowy wieczór spędziliśmy z żoną w domu. Jeśli zechce pan sobie przypomnieć, powiedziałem lordowi Loudounowi, że John MacGillivray też był z nami i graliśmy razem w karty do białego rana. Zdażyliśmy w tym czasie opróżnić obaj kilka... - zerknął niespokojnie na Anne, która z kolei wlepiła w niego szeroko otwarte oczy - ...no, niech tam, trochę więcej niż kilka butelek mocnych trunków, toteż obu nas musiano zanieść do łóżek. Jeśli widział pan moją żonę szepczącą z MacGillivrayem na przyjęciu, i jeśli to przypominało choć trochę mycie głowy, które mi sprawiła wcześniej, zapewniam pana, że uszy by panu poczerwieniały, gdyby pan to usłyszał.

Mięsień w policzku Worshama drgnął lekko, gdy przenosił wzrok z Angusa na Anne. Ta prawie nie zwróciła uwagi na majora, bo wpatrywała się z osłupieniem w męża. Znów to zrobił. Kłamał w obronie jej i MacGillivraya, dając im obojgu alibi, które tylko ktoś, kto miałby bezwzględny, niepodważalny dowód, ośmieliłby się kwestionować. Było jasne, że major takiego dowodu nie ma, i lady Drummuir wykorzystała natychmiast moment jego wahania.

- Czy mam kazać Gibbowi odprowadzić pana, majorze, czy też sam pan trafi do wyjścia?

Worsham przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, wyraźnie niezadowolony z obrotu sprawy. Rozważając pospiesznie, jakie ma możliwości do wyboru, zacisnął na moment pięści, lecz w końcu po prostu skłonił się szorstko i wymaszerował z salonu, a jego kroki rozległy się złowróbnym echem w korytarzu.

Wdowa zaczekała, aż ucichną, i dopiero wtedy odezwała się znowu.

- Nie wydaje mi się, żebyś pozyskał w nim przyjaciela, kochany synu.

- To napuszony głupiec i całe szczęście, że nie wyciągnąłem szabli.

- Ano, jesteś naprawdę groźny dla człowieka, który pewnie używa szabli do dłubania w zębach. - Gdy na jej sarkazm odpowiedział kamiennym spojrzeniem, ruszyła ku drzwiom. - Rzadko kiedy odczuwam z rana taką ochotę na kusztyczek *uisque* jak dzisiaj. Czy mam kazać Gibbowi przynieść kawę, czy ty też wolisz coś mocniejszego?

- Dziękuję za wszystko - odparł Angus. - Nie zostanę długo.

- Jak sobie życzysz.

Kiedy matka wyszła i zamknęła za sobą starannie drzwi, utkwił spojrzenie w Anne, która wytrzymała jego wzrok przez całe dwie sekundy, po czym odwróciła oczy i zapatrzyła się w okno.

- Powinnaś czuć się zakłopotana - powiedział ze złowróżbną łagodnością. - Masz większy tupet niż... - Zabrakło mu stosownego porównania i ograniczył się do ciężkiego westchnienia. - Prawie się boję zostawić was tu obie same, bo ciarki mnie przechodzą, gdy pomyślę, jakie intrygi możecie uknuć razem z matką. Proszę, powiedz mi przynajmniej, że ten idiotyzm popełniony ostatniej nocy nie był świadomie zaplanowany.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Chyba nie uwierzyłeś mi, że MacGillivray i ja wykradliśmy się na sekretną schadzke!

- Schadzke? Nie. Ale wierzę, że brałaś udział w jakimś błazeństwie, choć nie wiem, czy to było, zanim otworzyłaś zamek i ukradłaś papiery z biurka Duncana Forbesa, czy też potem. I proszę, nie marnuj czasu swojego i mojego, na zaprzeczanie. Byłem tam i cię widziałem.

Inna kobieta padłaby chyba zemdlona z wrażenia lub przynajmniej zaczerwieniłaby się, wstydząc swojej winy, ale Anne - ku podziwowi Angusa - po prostu wlepiła w niego wzrok poprzez jaskrawy snop słonecznego światła, który skośnie wpadał przez okno pomiędzy nimi.

- Więc to ty ukryłeś się we wnęce?

- Wydało mi się, że widzę ruch za kotarami, jakiś cień na dole, który zasłaniał poświatę księżycy w jednej chwili, a w drugiej się usuwał. Gdy wyszliśmy, obserwowałem drzwi przez pewien czas, by sprawdzić, czy ktoś z nich wyjdzie, a kiedy nikt się nie pokazał, wróciłem tam. Trzymałem rękę blisko tej przekłetej zasłony, kiedy pisnęłaś i zaczęłaś podskakiwać, a kiedy zdałem sobie sprawę, że to ty, w pierwszym odruchu chciałem zerwać zasłony i

sprawdzić, czy jesteś sama. Ale szybko uznałem, że powinienem się odsunąć i oszczędzić ci zakłopotania, gdybyś sama nie była.

- Mnie oszczędzić zakłopotania? Po tym, co usłyszałam chwilę wcześniej myślę, że to ty powinieneś być zawstydzony ponad wszelką miarę. Czy może to ktoś inny, a nie ty wydawał się wyraźnie zadowolony, że się go wysyła do generała Hawleya w Edynburgu, może to nie ty oświadczyłeś, że nuży cię politykierstwo żony? Ktoś inny kłamał, gdy przyrzekał mi tak żarliwie, że ludzie z naszego klanu nie będą wciągnięci do żadnej walki?

- Nie zmieniaj tematu, mówimy o twoich własnych działaniach - ostrzegł gładko, nie raczywszy odpowiedzieć na którykolwiek z postawionych mu zarzutów. - Czy zdajesz sobie w ogóle sprawę, co by się z tobą stało, gdyby cię znaleziono ukrytą za tą przekłętą zasłoną i podsłuchującą oficjalne wojskowe rozmowy? Czy potrafisz przynajmniej uświadomić sobie, jakie miałaś szczęście, że to ja wróciłem do biblioteki, a nie Worsham lub ten drugi drań, Garner?

- W tamtej chwili, uczciwie ci oświadczam, czułam tylko jedno, że zostałam zdradzona, i nic innego do mnie nie docierało.

Odwrócił wzrok na chwilę i tym razem niezupełnie mu się udało powstrzymać strumienia gorąca, który pokrył czerwonymi plamami jego szyję i policzki.

- Czy masz jeszcze te meldunki, czy też dałaś je MacGillivrayowi?

- Nie próbujesz się nawet bronić?

- Po co? Ty już wydałaś wyrok, uznałaś, że wszystkie twoje oskarżenia są słuszne.

- Nie zostawiłeś mi wielkiego wyboru. Złożyłeś mi obietnicę i złamałeś ją. Okłamywałeś mnie po tym, jak przysięgłeś, że nigdy tego nie zrobisz. A w chwili, gdy mi przysięgałeś z takim ogniem i przekonaniem, ja... prawie sądziłam... - Słowa urwały się, gdy mocno przygryzła wargę. - Prawie sądziłam, że naprawdę tak myślisz, jak mówisz. To było oczywiście, zanim odkryłam, jak bardzo moje... staroświeckie poglądy... cię nużą.

- W momencie, gdy składałem ci tę obietnicę, wierzyłem szczerze, że jej dotrzymanie będzie możliwe.

- To było zaledwie dwa dni temu. Czy tak wiele się zmieniło przez ten czas?

Angus przeczesał palcami ciemne pukle włosów, burząc do reszty wszystko, co zostało z porządných fal i loków.

- Tak. Tak, na Boga, zmieniło się. Zmieniło się w chwili, gdy przysięgłem pułkownikowi Loudounowi, że John MacGillivray był ze mną w czwartkowy wieczór, że tym, kto zaatakował ludzi Worshama, nie mógł być on. Możesz się domyślać, jak skwapliwie major mi uwierzył, skoro to zaprzeczało jego meldunkowi, że MacGillivray był w Dunmaglass, pod ścisłą obserwacją jego doborowego szwadronu dragonów.

- Więc po co to zrobiłeś?

- Zapewniam cię, że w żadnym razie nie po to, by wesprzeć Johna w jego działaniach. Zrobiłem to, bo było więcej niż pewne, że w Culloden House żołnierze czekają, by go aresztować. Bo kiedyś był mi przyjacielem i jest z mojego klanu, i dlatego, że myślałem, że jeśli on jest w coś zamieszany, to oskarżenia mogą ostatecznie rozszerzyć się i skończyć na progu Moy Hall. To było, oczywiście, jeszcze zanim, stojąc w bibliotece, przyglądałem się, jak moja żona atakuje szpilką zamknięte biurko lorda przewodniczącego. I zanim zobaczyłem, jak zabiera papiery i wojskowe meldunki, co mogło oznaczać niechybnie wieloletni pobyt w więziennej celi, oczywiście pod warunkiem, że udałoby jej się uniknąć katowskiego topora. Dlatego więc, moja droga, będziesz musiała mi wybaczyć, że nie odczuwam nadmiernej potrzeby, by tłumaczyć się przed tobą z moich postępów.

Broda Anne leciutko zadrżała, a oczy tak się rozszerzyły i przybrały tak kłujący odcień błękitu, że wydawał się zabarwiać białka.

- Nie wiedziałam o ataku na ludzi Worshama - powiedziała łagodnie, lecz stanowczo. - Nie wiedziałam, że John jest w to zamieszany, aż do czasu, gdy mi powiedział, że go postrzelono.

- Postrzelono?

Skinęła głową.

- Tak. W ramię.

Angus zacisnął szczęki i widać było wyraźnie, że stara się całą siłą woli zapanować nad sobą i nie wybuchnąć potokiem przekleństw.

- Czy wciąż masz te meldunki? - spytał przez zaciśnięte zęby.

- Nie. Twoja matka uznała, że lepiej będzie nie trzymać ich w domu.

- Dobry Boże! - Zamknął oczy i przycisnął dłoń do skroni. - Gdzie je wysłała?

Chociaż odpowiedziała głosem wyzywającym, stanowczym tonem: "Nie wiem", Angus poznał po jej oczach, że kłamie i nie potrzebował mapy, by odgadnąć kierunek. Kurier, który doręczył meldunki, przybył prosto z Francji; przywiezione przez niego papiery, pochodziły od jednego ze szpiegów, zajmującego dzięki zabiegom Forbesa wysoką pozycję na dworze króla Ludwika. Fearchar Farquharson wiedziałby doskonale, co zrobić z dokumentami, gdyby tylko je otworzył i zdał sobie sprawę, co ma w ręku.

- Co masz zamiar teraz zrobić? - spytała łagodnie.

Jej pytanie na chwilę wyrwało go z zamyślenia.

- Zrobić?

Tak naprawdę miał teraz ochotę ją udusić, ale zamiast tego zacisnął ręce za plecami i unikał jej spojrzenia tak samo, jak ona przedtem unikała jego wzroku. Wyrzwał przez okno i spostrzegł sokoła przemykającego ślizgowym lotem, szybującego bez wysiłku na wietrze, z szeroko rozpostartymi nieruchomymi skrzydłami. Tylko głowa ptaka poruszała się, gdy oczyma bezlitośnie szukał ofiary i otwierał złowrogo zakrzywiony dziób w oczekiwaniu żeru. Porównanie sokoła do majora Worshama nie wymagało wielkiej wyobraźni, nasuwało się samo - oczy oficera miały ten sam krwiożerczy blask, a twarz przybrała wyraz takiego samego zimnego spokoju, gdy badał swoją ofiarę.

Jeśli Worsham podejrzewał, że to, co Angus mówił o MacGillivrayu i Anne, było kłamstwem, pojawiała się pytanie: co major zamierza teraz zrobić? - znacznie istotniejsze dla obojga małżonków.

Angus wiedział, że Anne mu się przygląda, czekając na odpowiedź, ale zanim się odezwał, przez dłuższą chwilę starał się powściągnąć emocje.

- Co mam zamiar zrobić? Mam zamiar wrócić do domu i poczynić konieczne przygotowania do wyjazdu do Edynburga.

- No cóż, rozumiem.

- Czyżby? Bo ja wiem, że nie mam tu żadnego wyboru. Jestem oficerem Piechoty Królewskich Szkotów Jego Królewskiej Wysokości i gdybym odmówił wykonania wyraźnego rozkazu, stałbym się dezerterskim i musiałbym ukrywać się w górach razem z twym dziadkiem i stryjecznymi braćmi.

- Ale mógłbyś też powiedzieć jedno słowo i tysiąc dzielnych mężczyzn pomaszerowały z tobą na spotkanie księcia. Gdybyś to zrobił i poprosił mnie, bym ci towarzyszyła, jechałabym dumna przez całą drogę u twego boku.

- Naprawdę? - Zrobił krok naprzód i jego ciało przecięło linię światła, gdy wyciągnął ramiona i ujął jej twarz w obie ręce. - A co byś zrobiła, gdybym poprosił, żebyś wyjechała ze mną teraz? Gdybym cię poprosił, byś popłynęła ze mną do Francji?

Jej oczy stały się jeszcze większe, jeszcze bardziej, wręcz niewiarygodnie, niebieskie.

- Do Francji?

- Mam przyjaciół w Paryżu; moglibyśmy się tam zatrzymać, dopóki tu sprawy znów się nie ułożą. To się rozstrzygnie w ciągu miesiąca, najwyżej dwóch.

Przelotny błysk nadziei, który zapalił się w jej oczach, znów przygasł. Niedowierzanie i zawstydzenie było tak czytelne, jak prawie każde uczucie goszczące na jej twarzy i Angus zapragnął, żeby choć czasem była trochę bardziej podobna do Adrienne de Boules i bardziej przypominała pustą stronicę, z której świat nie odczyta niczego, co ma pozostać zgodnie z jej wolą ukryte.

- To jest mój kraj - powiedziała, wyciągając ręce i łagodnie, lecz stanowczo, uwolniła się z jego chwytu. - Tu jest moje miejsce. Ucieczka niczego nie zmieni ani nie pomoże w zburzeniu tego muru, który postawiłeś między nami.

Jej odmowa, jej pogarda zraniły go do głębi i nie wierzył już, że zechciałaby go wysłuchać, nawet gdyby próbował wyjaśniać, że ten mur wznosił specjalnie, próbując ją chronić od tego właśnie bólu, który odczuwała teraz.

Zapatrzył się na jej usta. Pamiętał, jak chętnie i żarliwie odpowiadały na jego szeptane prośby i nakazy zaledwie dwie krótkie noce temu. Jakże, na miłość boską, będzie w stanie po prostu obrócić się i wyjść, wiedząc, że jeśli to zrobi, ona go znienawidzi? Czy jest to w ogóle możliwe, że gdy kiedykolwiek zamknie oczy, nie będzie znów jej widział, słyszał jej głosu, nie pojawi się znowu przed nim obraz jej ciała poruszającego się pospiesznie pod jego ciałem?

Ramiona opadły mu bezwładnie.

- Wybacz mi... Powinienem był wiedzieć, że... cóż, powinienem wiedzieć z góry i nie pytać. Proszę, wybacz mi i wybacz to najście. Już więcej nie będę cię niepokoić.

- Angus?

- Zważywszy wszystko razem - dodał oschłym tonem - może tak będzie najlepiej, że tu zostaniesz. Drummuir House nie ma umocnień ani armat na murach, ale zapewniam cię, że tu, z moją matką, będziesz bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej. I... jeśli możesz... proponuję, żebyś wysłała wiadomość do MacGillivraya; przekonaj go, żeby zniknął z Dunmaglass na jakiś czas. Ode mnie może nie chcieć przyjąć dobrej rady w obecnych okolicznościach, ale Worsham jest krwiożerczo usposobiony i byłoby mądrzej, gdyby John usunął mu się z oczu.

- Wyślę mu ostrzeżenie - powiedziała i skłoniła głowę, bo nie chciała, by zauważył, że z trudem powstrzymuje łzy. - Dziękuję ci.

- Nie dziękuj mi, Anne. Gdyby on stanął w tej chwili przede mną, byłbym bardziej skłonny sam wydać go Worshamowi, niż wystawiać cię na jakiegokolwiek dalsze niebezpieczeństwa.

Zdumiona, podniosła na niego oczy, ale nie było w nich nic, co mogłoby złagodzić ucisk w jej piersi. Maską trzymała się mocno na miejscu, oczy były tak zimne i nieobecne, że ledwie mogła uwierzyć, iż przed chwilą prosił ją, by uciekła z nim do Francji.

Napięcie stało się zbyt trudne do zniesienia, odwróciła twarz i nie dostrzegła, że Angus wyciąga ku niej rękę. Jego dłoń, która już miała dotknąć jej ramienia, zatrzymała się, długie palce zacisnęły się w pięść i cofnęły.

- Jeśli będziesz potrzebowała czegoś, gdy mnie nie będzie, wiesz gdzie trzymam kasę pancerną.

- Poradzę sobie. Życzę ci bezpiecznej podróży do Edynburga. Nie życzę ci powodzenia, tylko żebyś unikał wszelkich zagrożeń.

Popatrzył na jej profil, dostrzegł brylant łzy drżącej w kąciku oka, i pojął, że jeśli nie odjedzie natychmiast, w tej sekundzie, to w ogóle nie będzie zdolny odjechać.

- Czy jest jeszcze coś...?

- Nie - wyszeptała. - Już nic więcej nie mamy sobie do powiedzenia.

Angus skłonił się. Poruszając się sztywno, jakby był z drewna, wziął z krzesła swój kapelusz i rękawiczki, po czym znów obejrzał się w stronę okna. Anne się nie poruszyła. Stała cała skąpana w słonecznym świetle, które dodawało blasku jej skórze, złocąc opadające kosmyki włosów ognistorudych i złotych.

- Czy mam napisać z Edynburga?

- Jak sobie życzysz.

Westchnął i położył dłoń na klamce.

- W takim razie napiszę.

Drzwi otworzyły się dość łatwo, ale okazało się, że nie był zdolny przestąpić progu, nie zatrzymawszy się raz jeszcze.

- Anne... wiem, że ostatnio byłem dla ciebie powodem rozczarowania, że zapewne nie okazałem się mężem, o jakim marzyłaś. Ale bez względu na to, co się wydarzy lub nie wydarzy w nadchodzących tygodniach, nie chcę odjeżdżać, nie powiedziawszy ci, że w ciągu minionych czterech lat uważałem się za bardzo szczęśliwego. Nadzwyczaj szczęśliwego, i... chcę ci za to podziękować. Może pewnego dnia, kiedy to wszystko się skończy, będziesz nawet zdolna wybaczyć mi w głębi serca.

Anne nie odpowiedziała - po prostu nie mogła, zbyt rzewnie płakała, a chwilę później drzwi cicho trzasnęły, zamykając się za nim.

9

Johna MacGillivraya obudził odgłos szepczących głosów. Docierały doń ciche i niewyraźne, jakby przytłumione, co było skutkiem pokaźnej ilości mocnych trunków, które wypił minionej nocy. Z trudem udało mu się dojechać z Culloden do Dunmaglass, a kiedy zdarł z siebie kamizelkę i koszulę przesiąknięte krwią i zobaczył poszarpaną ranę, wiedział już, że jest tylko jeden

sposób, żeby zasklepić ciało na jej brzegach. Miał szczęście, że zastał Gilliesa MacBeana zwiniętego w kłębek na podłodze przed kominkiem, z ramionami okutanymi pledem; głębokie chrapanie wskazywało, że góral zasnął dopiero niedawno. Po utarczce z angielskimi żołnierzami Gilliesowi przypadł obowiązek odprowadzenia Fearchara Farquharsona głębiej w góry i zapewnienia mu silnej osłony złożonej z ludzi z klanu. Jamie Farquharson wrócił do Dunmaglass z Gilliesem i leżał obok niego rozciągnięty przy kominku, z pledem naciągniętym na głowę.

Nim whisky zamroczyła zmysły MacGillivraya, rozkazał Gilliesowi wetknąć w ogień ostrze noża i rozgrzać je do czerwoności. Gdy stał zaczęła się żarzyć, a butelka whisky była pusta, John zacisnął palce na brzegu stołu i kazał Jamiemu trzymać go za ramiona. Nie rozstając się z bronią, warknął na MacBeana, by ten dobrze wykonał co trzeba za pierwszym razem, gdyż nie zawaha się użyć miecza ani pistoletu przeciw dwom głupcom, jeśli coś spartaczą.

Zapach palonej skóry i skwierczącej krwi wprowadził w drżenie każdy żelazny mięsień, każdy nerw krzyczał, ale ból był litościwie krótki i prawie natychmiast John zapadł w pijackie odrętwienie.

Teraz dobiegały go szepty. Nakładały się jeden na drugi i zdawały odbijać od siebie echem, a słowa zmieniały się w chaos dziwnych dźwięków: szelestów, pomruków i cichych kobiecych westchnień. John zachowywał całkowity spokój. Leżał nieruchomo, bojąc się otworzyć oczy, by się nie okazało, że jest zawieszony na białej chmurce, mając nad głową niebo, w dole pod sobą ogień piekielny, a obok siebie grupkę zatroskanych serafinów dyskutujących, czy powinien być posłany na górę, czy w dół.

Coś lodowato zimnego dotknęło jego czoła, więc lekko rozchylił powieki i poczuł ulgę, gdy nie ujrzał jaskrawych świateł ani przezroczystych trzepoczących skrzydeł nad sobą. Szepty też się urwały, ale John nie poczuł się całkiem bezpiecznie, gdyż jedno widmo ociągało się ze zniknięciem i nadal majaczyło przy jego łóżku. Leżąc wciąż bez ruchu, wpatrywał się w nie i wydawało mu się, że trwa to niemal wieczność. Jeśli nie miał przed sobą anioła, musiała to być wysłanniczka szatana, jedno z tych mamideł, którymi matka straszyla ich w dzieciństwie, wizja czegoś, o czym śniło się tak długo lub czego pragnęło tak bardzo, że diabeł wykorzystywał to chytrze, by dręczyć naszą duszę.

Jego zjawą stała nad nim i nie spuszczała z niego wzroku. W świetle lampy bielił się owal jej twarzy, a włosy rozsypane na ramionach połyskiwały w blasku płomienia. Miała na sobie białą koszulę, męskie spodnie i widział, jak

cienka tkanina opina jej piersi, nieosłonięte żadnymi bzdurnymi konstrukcjami z fiszbinów.

Jeśli to była zjawą, to tak łądząco przypominała rzeczywistą postać, że John odczuł pokusę dotknięcia jej ręką. A kiedy dłoń napotkała prawdziwe ludzkie ciało, nie potrafił już zapanować nad pragnieniem pociągnięcia go ku sobie ani nad potrzebą wzięcia zjawy pod siebie i zatopienia się w nią, póki nie zblednie i nie zniknie.

Anne z trudem chwyciła oddech, gdy poczuła, jak dłoń MacGillivraya chwyta ją w talii. Upewniona przez Gilliesa MacBeana, że John wciąż śpi odurzony whisky, zatrzymała się na chwilę tylko po to, by wyprostować kołdry, które z siebie pozrzucał, i wysuszyć ręcznikiem krople potu połyskujące mu na czole. Gdy dotknęła jego skóry, nie wyczuła ani śladu gorączki, za to znalazłszy się blisko łóżka, dojrzała to, co mrok i skotłowane kołdry skrywały przed nią, gdy przyglądała mu się, stojąc w drzwiach.

Lewy bok rannego był odsłonięty, stanowiąc wspaniały obraz mocy i potężnego umięśnienia, od barków przez całą długość ciała, aż po palce u nóg. Tors wyglądał jak wyciosany z bryły granitu, ramiona i barki przypominały konary dębu. Nogi pokryte były włosami tak jasnymi, jak te na głowie, pod pachami Anne dostrzegła kępki miedzianego zarostu, podobne, lecz gęstsze i ciemniejsze, w kroczu. Tam też ujrzała dowód na to, że plotki, krążące o jurności Johna, pokrywają się w pełni z prawdą. Gdy zatrzymała wzrok na tym właśnie miejscu, zaparło jej oddech w piersiach, bo na jej oczach jego członek zaczął poruszać się i rosnać.

Kiedy palce leżącego mężczyzny zamknęły się wokół jej przegubu, była zbyt oszołomiona, by mogła stawiać opór; pozwoliła się pociągnąć i przewrócić na łóżko obok niego. Krzyk zaskoczenia uwiązał jej w gardle, gdy usta Johna zgmiotły jej wargi. Oderwała je i znów próbowała krzyknąć, dopiero Wówczas, gdy jego język przypuścił nagły, pożądliwy atak. Usiłowała się wywinąć, ale on już wtoczył się na nią i uwięził jej nogi w swoich; próba odepchnięcia go przypominałaby próbę odepchnięcia góry.

Jego język przesunął się po jej wargach i wdzierał się głęboko za każdym pchnięciem, sprowadzając jej krzyki do zdławionego sapania. Kiedy się odsunął, klnąc w żywy kamień jej spodnie, które okazały się mocniejszą przeszkodą niż okrzyki protestu, Anne wznowiła opór i tym razem podstawą dłoni pchnęła go mocno w zraniony bark, powodując, że z rykiem bólu szarpnął się do tyłu.

Przez chwilę, której potrzebował, żeby oprzytomnieć, wpatrywał się w Anne i szczyrzył dziko zęby jak warczący pies. Długie złote pukle włosów spadały mu na oczy, ich końce łaskotały jej policzek, a gęstwina na środku

głowy rzucała cienie przysłaniające twarz. Mimo to Anne zdołała dostrzec nagłą zmianę wyrazu jego twarzy: żądza ustąpiła miejsca zdziwieniu i zakłopotaniu.

- Annie? Więc to ty, prawdziwa Annie?

- No pewnie, że prawdziwa, ty głupia pało! Zejdź ze mnie!

- Chryste - jęknął, odsuwając się od niej. - Chryste, Annie... ja przepraszam, nie wiedziałem... to znaczy, myślałem, że jesteś... Na miłość boską, co to za smród?

- Obawiam się, że masz to na sobie - odpowiedziała, skupiając wzrok na poczerńiałej skórze wokół rany. Połyskiwała na niej warstwa maści, którą posłużył się Gillies, by zapobiec infekcji; jej zapach przypominał zepsutą rybę.

John natychmiast puścił Anne i zauważywszy zrzucone kołdry, pospiesznie naciągnął je powyżej pasa. Była wolna. Z wilgotnymi i pulsującymi wargami, na których wciąż czuła smak jego ust, zwlekła się niezdarnie z łóżka i wycofała na bezpieczną odległość. Obciążając na sobie odzież, próbowała ukryć zakłopotanie.

John przewrócił się na plecy i rozejrzał po pokoju coraz bardziej zmieszany.

- To moja sypialnia, czyż nie?

Anne omiotła cierpkim spojrzeniem stosy ubrania porzrzuconego bezładnie, dzbanek przy łóżku do połowy napełniony brudną wodą i bryłki stopionego wosku poprzyklepane do stołu najwyraźniej dawno nieczyszczonego oliwą i pumeksem.

- Tak by się zdawało.

- A ty co, u diabła, tutaj robisz? Która to godzina?

- Jest po czwartej po południu, a ja przyjechałam z Drummuir House, by ci się zrewanżować.

- Zrewanżować?

Coś zapłonęło na krótko w jego oczach, lecz Anne zmarszczeniem brwi rozwiała te nadzieje.

- Nie taki rewanż mam nam myśli, niech cię diabli porwą! Otrzeźwiej wreszcie! Przyjechałam, żeby ci się zrewanżować za ostrzeżenie, którego mi udzieliłeś wczoraj wieczorem.

Przeczesała palcami włosy, zostawiając jasny pióropusz sterczący nad prawym okiem.

- Ostrzeżenie? Czekał no! Odwróć się plecami, dziewczyno, żebym mógł poszukać mego przyodziewku.

Zauważyła jego kilt rozwieszony na krześle i cisnęła mu go, po czym skierowała się ku drzwiom.

- Kiedy już nie będziesz świecił nagością, zjedź na dół, to ci zabandażuję ramię, jak należy. Tymczasem radzę ci zanurzyć w zimnej wodzie głowę, i może coś jeszcze.

Stłumione gaelickie przekleństwo, na tyle obrazowe, że wywołało jej uśmiech, poleciało za Annę, gdy schodziła po schodach. Gillies był na dole, pochylony nad ogniem. Dwaj inni ludzie z klanu zaszyli się w kącie z Donilem MacKintoshem, młodym człowiekiem wysłanym przez wdowę, by eskortował Annę do Dunmaglass. Przed domem, na podwórzu, rojło się od górali. Tym razem, niczego nie zostawiając przypadkowi, ludzie czuwali zarówno w lesie, jak i na górskich zboczach. Zewnętrzny pierścień straży sięgał daleko poza wyniosłe skaliste kopy Garbhal Beg i Garbhal Mor, co gwarantowało - w wypadku gdyby ktoś zbliżył się do doliny - że ostrzeżenie nadejdzie dostatecznie wcześnie.

- Napije się pani piwa, milady? - spytał Gillies, prostując się, gdy Anne weszła do izby.

- Chętnie. Ale tylko jeśli przestaniesz mnie tytułować. Mówisz to w taki sposób, że mimo woli czuję chęć, by się obejrzeć przez ramię i sprawdzić, kto za mną wszedł do pokoju.

Gillies poczerwieniał i uśmiechnął się.

- Dobrze. Nie będę.

- Annie - odpowiedziała.

- Tak - mruknął. - Annie.

Jamie Farquharson podsunął jej własny kufel.

- Ja sobie łyknę czegoś mocniejszego. W gardle mi zaschło jak diabli.

- Lepiej napij się kawy, jeśli to jej zapach mnie dobiega od paleniska. I zrób to, póki masz szansę, bo zdaje mi się, że pan domu będzie potrzebował całego kociołka, zanim mu się uda policzyć własne palce.

- Do licha z kawą - dobiegł z dołu schodów wojowniczy głos MacGillivraya. - Ja też się napiję piwa.

Wkroczył do izby, ciężko powłócząc nogami; jedno oko miał przymknięte, a drugie nabiegłe krwią z popękanych żyłek.

Anne sięgnęła po cynowy kubek, nalała wrzącej czarnej kawy z kociołka i postawiła przed gospodarzem, gdy ten usiadł zgarbiony za stołem.

- Chcę, byś miał teraz jasny umysł, Johnie. Możesz się znów upić, gdy wyjadę.

- Jakbym słyszał moją starą matkę - burknął i niechętnie pociągnął łyk z kubka.

Kiedy uporał się z dwoma kubkami kawy i tuzinem smażonych jajek, Anne znalazła płócienne prześcieradło i podarła je na pasy. Ostrożnie przemyła ranę, potem nałożyła świeżą warstwę smalcu zmieszanego z popiołem z wierzby i owinęła wszystko bandażem. Kiedy John trzecim kubkiem kawy popijał pół talerza ciastek owsianych, rogówki jego oczu były już bardziej białe niż czerwone, a skóra straciła trochę zielonawego zabarwienia.

- W porządku, dziewczyno - powiedział. - Wygnałem demony z mej krwi, czy teraz możemy porozmawiać?

Wytrzeła dłonie i zdjęła z haka swój wełniany zakiecik. Spod pikowanej podszewki wydobyła pakiet listów zabrany z biurka Duncana Forbesa. Nie czuła wyrzutów sumienia, gdy kłamała Angusowi, że już ich nie ma, bo obawiała się, że jeśli mu powie, iż papiery są o pół metra od niego, przywiązane do jej uda, mąż zedrze z niej suknię przez głowę i natychmiast je zabierze.

Kiedy położyła pakiet w skórzanym woreczku na stole przed Johnem, łyknął jeszcze nieco kawy i wytarł usta rękawem.

- A to co?

- Umiesz czytać po francusku?

Pochwyił papiery, marszcząc czoło.

- *Bien sur je peux lire francais, mademoiselle Haut Ane.* Po łacinie też, jeśli potrzebujesz, by ci poczytać Pismo Święte, żeby zmasać twój grzech pychy.

- Tylko dlatego cię proszę - tłumaczyła się, czujna z powodu jego wojowniczego nastroju - że ledwie pamiętam, jak powiedzieć dzień dobry i do widzenia. Wdowa przeczytała to na głos i obie nie byłyśmy całkiem pewne, czy dobrze rozumiemy, co to znaczy, ale jeśli się nie pomyliłyśmy i jeśli ty przetłumaczysz to tak samo, to musimy dostarczyć te papiery księciu najszybciej, jak tylko się da.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, przewiercając ją oczyma, aż zaparło jej oddech w piersiach, tak jak wcześniej przy pocałunku.

- Daj bliżej światło - powiedział do Jamiego i sięgnął po pakiet w skórzanym woreczku obwiązany sznurem. Szybko rozwiązał sznur i dopiero kiedy wyciągnął złożone arkusze papieru, przestał paraliżować Anne wzrokiem i spojrzał na dokumenty.

Jamie podsunął bliżej lampę i rozkręcił knot, nie czekając, aż go o to poproszą. Obaj z Gilliesem zasiedli na krzesłach przy stole; Gillies wyciągnął szyję, by widzieć słowa, chociaż dla niego nie były niczym więcej niż kreskami na papierze.

John przeczytał dokumenty, prześlizgując się nad niektórymi zdaniem, zbyt dla niego zawiłymi, by mógł się z nimi uporać od razu. Ale gdy czytał je już dokładnie, po raz drugi, a potem po raz trzeci, nie tylko wymawiał na głos każdą sylabę, ale kwitował każde słowo grymasem niedowierzania.

Skończył wreszcie i zerknął na Anne znad papierów.

- Skąd to masz?

Powiedziała mu, a on zapatrzył się przed siebie i dopiero spojrzawszy przelotnie na dokumenty, wrócił myślą do tego, co miał przed sobą.

- Kiedy ty to czytałaś, jak ci się zdawało, co to znaczy?

Anne zwilżyła wargi; udzieliło się jej podniecenie, które zabłysło w jego oczach.

- Myślę, że to znaczy, iż podpisano traktat pomiędzy Francuzami a Holendrami, że Holendrzy przyrzekli nie podnosić broni przeciw Francuzom co

najmniej przez okres dwóch lat, w którym to czasie oba kraje będą się starały wynegocjować warunki trwałego pokoju.

John kiwnął głową.

- No cóż, ja też to tak rozumiem.

Jamie podniósł brew.

- No to co? Francuzi i Holendrzy zawarli układ. I co z tego?

Anne zaczęła grzebać w stosie papierów, które zatrzymała - były to pozostałe dokumenty z biurka lorda przewodniczącego - aż wreszcie znalazła właściwy i oddzieliła go od reszty.

- To są memoranda, w których wyliczono przybliżoną liczbę ludzi w każdej dywizji armii rządowych. Księżę Cumberland, na przykład, chełpi się, że dysponuje w sumie ośmiu tysiącami żołnierzy; wszystko to są weterani przybyli z nim z Flandrii. Wśród nich wymienia holenderskie regimenty w liczbie do sześciu tysięcy ludzi.

Jamie podrapał się po głowie.

- Aha. No i co?

- A to - odpowiedział mu MacGillivray, zaczynając się uśmiechać - że tylko ludzie Cumberlanda wiedzą, co to prawdziwa bitwa; dla nowych rekrutów służących pod Wade'em, Ligonierem i Hawleyem służba polegała dotychczas głównie na maszerowaniu po placu musztry i zestrzeliwaniu melonów z kołków w płocie. To dlatego większość z nich dała nogę pod Prestonpans, bo nigdy nie widzieli krwawego boju ani nie stanęli oko w oko z wrogiem, który atakuje całą siłą i płonie żądzą wypatroszenia przeciwnika końcem rapiera. Nie mówię, że z tego powodu są choć trochę mniej groźni; przewyższają samą liczbą, pięciokrotnie lub sześciokrotnie siły księcia i wcześniej lub później ich kule zaczną trafiać w cel, ale przez ten czas, jakiego potrzebują, by zahartować się w walce, Holendrzy Cumberlanda mogliby wyciąć do nogi połowę naszych.

Jamie kiwnął głową, jakby pojął, o co chodzi, potem zerknął ukradkiem na Gilliesa, który wzruszył ramionami.

- To znaczy - wyjaśniła Anne - że bez holenderskich brygad Cumberland byłby załatwiony. A jeśli Francuzi i Holendrzy podpisali układ, to znaczy, że Holendrom nie wolno więcej angażować się w żadne wojny przeciw

sojusznikom Francji - przerwała i szeroko rozpostarła ramiona - a więc między innymi przeciwko nam.

- Powiadasz, że nie wolno im walczyć przeciw księciu Karolowi?

- Nie. Jeśli nie chcą złamać traktatu.

MacGillivray pogładził się po szczęce.

- Nic dziwnego, że Forbes tak bardzo się spieszył, żeby umieścić tę nowinę pod kluczem. Mogłyby minąć całe tygodnie, nim wieść o traktacie dotarłaby tutaj zza kanału. A jeszcze więcej czasu by upłynęło, nim Holandia lub Francja przysłałaby oficjalnego reprezentanta. Do tego czasu mogłyby się już rozstrzygnąć wszystkie bitwy. Tak, Annie, masz rację. Musimy to natychmiast dostarczyć księciu. Jamie, chłopie, jeśli będziesz miał szybkiego konia, ile czasu ci zajmie dotarcie do Aberdeen?

- Do Aberdeen? - Anne zmarszczyła czoło. - Przecież armia księcia jest na zachodzie, nie na wschodzie.

- Masz wiadomości spóźnione o jeden dzień, dziewczyno. Doniesiono w nocy z Clunas, że lord Lewis Gordon jest w Aberdeen i zbiera nową armię, z którą ma ruszyć na spotkanie księcia.

- Aberdeen - szepnęła. - To na pewno dlatego pułkownik Loudoun wysłała posiłki do Edynburga i dlatego powiedział im, że muszą utrzymać miasto i nie dopuścić, by się dostało w ręce rebeliantów.

- Skąd to wiesz?

- Angus dostał rozkaz, by zabrał swoje regimenty Królewskich Szkotów do Edynburga przed końcem tygodnia.

Po tych słowach zapadło gorzkie milczenie, Gillies mruknął pod nosem:

- Matko Boska!

- Jamie! Czy buty ci wrosły w podłogę?

Farquharson zerwał się na baczność na głos MacGillivraya, w którym zabrzmiał ton rozkazu.

- Nie. Wyjadę, gdy tylko osiodłają konia.

- Jedź przez Clunas i powiedz Fearcharowi, co wiesz; on może znać szybki sposób przekazania wiadomości księciu. Weź z sobą tuzin ludzi i nikomu nie pozwól się zatrzymać. Przytroczone ten pakiet do pasa i strzeż, jakby to była twoja męskość.

- Czy chcesz, żeby to też zabrał? - zwrócił się do Anne, wskazując papiery, które leżały rozłożone przed nią.

- Tak. Oczywiście, większą wartość będą miały... - przerwała, zwilżyła językiem wargi i wstała z krzesła. - Chcę też, Jamie, żebyś zawiózł dziadkowi wiadomość ode mnie. Powiedz mu, że zmieniłam zdanie. Jeśli wciąż ma tę petycję i jeśli nadal myśli, że lairdowie zechcą pójść za mną, to zbiorę tylu ludzi MacKintoshów, ile zdołam, i poprowadzę ich do Aberdeen, by dołączyli do armii księcia.

Wszyscy trzej mężczyźni znieruchomieli i wlepili w nią wzrok.

- Zrobisz to? - spytał Jamie z radosnym podnieceniem. - Roześlesz *crosh tarie* i poprowadzisz klan na wojnę?

- Nie znam się na płonących krzyżach, ale zrobię, co tylko zdołam, by uprosić, przekupić lub zastraszyć każdego człowieka honoru, który pozostał w Invernesshire, żeby do nas dołączył. Jest jeszcze tylko jedna rzecz - dodała, podnosząc głos, aby być słyszaną mimo spodziewanego wybuchu dzikiego entuzjazmu. - Wszyscy wiemy, że żadna petycja na ziemi nie sprawi, by się zgodzili pójść do boju, jeśli miałyby ich poprowadzić kobieta i dlatego - wytrzymała ponure spojrzenie MacGillivraya - powie nam się tylko pod warunkiem, że John MacGillivray będzie jechał u mego boku i zgodzi się objąć właściwe dowództwo.

Gillies i Jamie odwrócili brodate twarze i podobnie jak Anne utkwili wzrok w MacGillivraya. Ten narzucił koszulę na zabandażowaną pierś, ale nie zatroszczył się o zaciągnięcie troczków. Jego kilt był ułożony byle jak, w pośpiechu, nieuczesane włosy wciąż sterczały jak lwia grzywa, ale szczęki miał zaciśnięte, a w oczach waleczny błysk. Patrząc nań, Anne zaczęła się zastanawiać, czy to w ogóle możliwe, żeby każdy przeklęty Anglik na widok tak groźnej postaci, powielonej kilka tysięcy razy - nie rzucił się do ucieczki, wrzeszcząc ze strachu.

- Czy zgadzasz się, John? - spytała. - Czy będziesz walczył za Szkocję?

- Nie.

Jego odpowiedź tak ją zdumiała, że nie potrafiła wyrzec słowa przez całą minutę, w czasie której on składał papiery i pakował je do skórzanej torby.

- Nie - odpowiedział z cichym westchnieniem. - Ale będę walczył za to, czym jest Szkocja dla ciebie.

Minęła chwila, nim obecni pojęli znaczenie jego słów, ale potem obaj, Gillies i Jamie, wydali gwizd radości. Ryczeli i tupali, skakali w koło i klepali się nawzajem po plecach, wykonując improwizowane płąsy w rytm wyimaginowanych dud. Dwaj ludzie z klanu drzemiący w kącie zostali wciągnięci w tę eksplozję radości, podobnie i Donuil MacKintosh, ale gdy rozbrzmiewały ich krzyki i wiwaty, Anne i MacGillivray wciąż wpatrywali się w siebie nawzajem przez szerokość stołu, a powietrze między nimi zdawało się wibrować.

- To chyba jedno i to samo? - spytała, marszcząc lekko brwi.

Potrząsnął głową.

- Nie teraz. Ale może rzeczywiście tak będzie do czasu, gdy znajdziemy się na polu bitwy.

10

Falkirk, styczeń 1746

Dwudziestego grudnia Karol Edward Stuart przeszedł rzekę Esk i poprowadził swoje wojsko w głąb Szkocji. Gdy przebyli w bród lodowate wody, mężczyźni wszelkich rang padali na kolana, składając dzięki Bogu, królowi i księciu za doprowadzenie ich bezpiecznie do domu.

Mając Anglików nie dalej niż dzień marszu za sobą, książę podzielił armię obdartusów na dwie części. Pierwszą osobiście powiodł górską trasą do Glasgow, a drugą poprowadził jego generał dowodzący, lord George Murray, który był zmuszony obrać dłuższą, powolniejszą marszrutę niż położonymi drogami, ze względu na ciągnięte furgony z amunicją i ekwipunkiem i na tych kilka armat, których nie zagwożdżono i nie zostawiono po drugiej stronie rzeki.

Połowa, jeśli nie więcej, żołnierzy Stuarta szło boso, w ubraniach zdartych na strzępy, z zapadniętymi brzuchami. A jednak urastała wokół nich legenda. Pięć tysięcy źle uzbrojonych, niedożywionych górali przechytryło i wymanewrowało połączone siły generałów Wade'a, Ligo-niera i Cumberlanda.

Według ostrożnych ocen, siły rządowe liczyło około trzydziestu tysięcy ludzi, maszerujących ku sobie z trzech różnych stron i kierujących się na północ do Szkocji, by pomścić zniewagę, której doznał król i ich kraj. Zdarzały się takie dni, gdy żołnierze tylnej straży cofających się oddziałów księcia widzieli w oddali pióropusze dymu z ognisk obozowych przedniej straży armii Wade'a.

Były dwa powody tego, że wojska elektora hanowerskiego posuwały się powoli, a w końcu zatrzymały się całkowicie. Po pierwsze, zaraz po tym, jak jakobici przekroczyli rzekę, rozpetęła się piekielna burza, zasypując Anglików śniegiem i gradem, i podnosząc wody już i tak wzburzone do poziomu, przy którym najbardziej lekkomyślny dowódca nie ośmieliłby się próbować przejść rzekę w bród. Po drugie, książę Cumberland otrzymał pilną depeszę z Londynu, ostrzegającą go przed liczną flotą okrętów francuskich, płynącą ku północnemu wybrzeżu. Cumberland natychmiast przerwał pościg i rozkazał Ligonierowi udać się do starego, ufortyfikowanego miasta York, wiedział bowiem aż za dobrze, że jeśli raz pozwoli się Francuzom zająć choćby skrawek angielskiej ziemi, wojna przeciągnie się o całe miesiące.

"Pilna depesza" w istocie rzeczy wyszła spod pióra siwego starego lisa, który dwukrotnie zapadł w drzemkę w trakcie jej układania, a jedyny francuski okręt, jaki rzeczywiście dotarł do Anglii, dopłynął do lądu w miejscu położonym znacznie dalej na północ od tego, gdzie Cumberland gorliwie obserwował wybrzeże. Chociaż wysłużona stara fregata istotnie przywoziła żołnierzy, było ich mniej niż trzystu i stanowili osobistą gwardię lorda Johna Drummonda. Dużo większą wartość dla zbierających się w Aberdeen jakobitów miały armaty i amunicja, a także cztery skrzynie złota, które Drummond zdołał ostatecznie uwieźć ze skarbcza francuskiego króla.

Jamie Farquharson przybył do Aberdeen, gdy okręt jeszcze rozładowywano. Przeczytawszy przywiezione dokumenty i uświadomiwszy sobie znaczenie holenderskiego traktatu, lord Drummond natychmiast zrzucił mundur kapitana kierującego omijaniem blokady, ogłosił się oficjalnym

przedstawicielem króla Ludwika w Szkocji. Po czym wysłał do dowódcy sześciu tysięcy holenderskich weteranów służących pod księciem Cumberlandem, formalną notę, w której radził mu, by nie łamał warunków nowego traktatu i natychmiast wracał do domu.

Trudno się dziwić, że Cumberland szalał z gniewu, patrząc bezsilnie, jak Holendrzy stanowiący trzy czwarte jego doborowych, złożonych z weteranów sił wymaszerowują z obozu. Co więcej, po trzech tygodniach daremnego czuwania, w ciągu których nic, co by choć trochę przypominało francuski żagiel, nie pojawiło się na horyzoncie, Cumberland był zmuszony przyznać, że po raz kolejny go okpiono. Gdy wściekły, ponownie ruszył ze swą armią na północ do Szkocji, poprzysiął sobie, że przywiezie do Londynu głowę swego królewskiego kuzyna i zatknie ją na bramie pałacu ojca, by tam tkwiła tak długo, aż ciało zgnije i odpadnie od kości.

Colin Mor słyszał odgłosy w dolinie dużo wcześniej, niż ośmielił się wychylić za bramę, by sprawdzić, co mogą oznaczać. Słyszając ciche odległe dudnienie, najpierw zamknął okiennice przed nadciągającą burzą. Ale gdy owe odgłosy przybliżyły się i spotężniały, wyłowił spośród nich dźwięki świadczące, że to nadchodzą ludzie, a nie burza - turkot kół w koleinach, szuranie wielu kroków, skrzypienie skórzanych siodeł i stłumione pobrzękiwanie uprzęży.

Colin stał przed swą chałupą, mając za plecami otwarte drzwi, krzywo wiszące na zawiasach ze sznura. W ten styczniowy wieczór zmierzch zapadał szybko, z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej. W niecce doliny zimna i wilgotna mgła osiadła już wcześniej i uczyniła niewidzialnym wszystko, co znajdowało się dalej, niż poleciałby kamień rzucony dziecięcą ręką. Z pewnością owa noc nie należała do tych, które zachęcają do podróży, a dolinka Colina nie była położona blisko uczęszczanych szlaków. Jego mała owcza farma leżała, jak żona często mu się żaliła, na kompletnym odludziu, otoczona wysokimi poszarpanymi szczytami od północy, gęstymi rzędami jodeł od wschodu i zachodu, a bagnistym zakolem rzeki Dee z tyłu. Najbliższy kościół znajdował się w Kilkdrummy, a miasto Aberdeen następne pięćdziesiąt kilometrów w dół rzeki.

Żona Colina, Rose, stała teraz za nim, z jednym dzieciakiem na biodrze. Dwoje starszych uczepiło się jej spódnicy.

- Co to jest, Colla? - spytała wystraszonym szeptem.

Potrząsnął głową i przechylił ją na jeden bok, jak gdyby to mu pomagało lepiej słyszeć. Mgła zacierała dźwięki i ich kierunek, prawie uniemożliwiając rozróżnienie, czy nadchodzi dziesięciu ludzi, czy stu i czy znajdują się o sto kroków, czy o dziesięć. Colin nie musiał za to wyteżać ucha, by usłyszeć

trwożny oddech Rose. Kobieta była przesadna, a wcześniej tego dnia widziała kruka z zakrwawionym dziobem przelatującego nad chatą. Był to wyraźnie zły omen, więc orzekła, że pewnie śmierć zbliża się do ich drzwi.

- Zabieraj dzieciśka i wracaj do chałupy - rozkazał spokojnie Colin. - Powiedz mojej siostrze, żeby otworzyła klapę do kryjówki.

- Matko święta, nie sądzisz chyba, że to angielskie wojaki?

Taka właśnie myśl przyszła mu do głowy, ale odrzucił ją prawie natychmiast. W pobliżu zamku Inverurie znajdowała się twierdza jakobitów i Sassenachowie nie byli tak głupi, żeby zapuszczać się głębiej w gęste lasy porastające okoliczne doliny. Co więcej, gdy rozeszła się wieść o tym, że Wade i Cumberland musieli opóźnić marsz, większość oddziałów rządowych wycofano do Edynburga.

- Nie gadaj, tylko idź do domu i szykuj się leżeć do kryjówki, jak będzie trzeba.

Zaczekał, aż kobieta odejdzie, a potem przysunął się do rogu nisko opadającego dachu. Rusznicę miał ukrytą pod strzechą, w zasięgu ręki, tak jak i taugh-cath, topór z hakiem wykuty na wzgórzach Lochaber. Rusznica była zawsze naładowana, ale wcześniej tego dnia padało i proch mógł zwilgotnieć. Albo pozostał tylko na tyle suchy, żeby wybuchnąć i wypalić Colinowi oko. Jak wtedy mógłby bronić żonę i rodzinę? Nie dalej niż w ubiegłym tygodniu słyszał o porządnej kobiecie zgwałconej przez Anglików i porzuconej nago, by mąż ją taką znalazł, wracając z pola. A w zeszłym miesiącu on sam musiał pogrzebać dwóch Sassenachów w pobliskim bagnie po tym, jak obraźliwie zaproponowali pensa jego siostrze za rozłożenie dla nich nóg. Dziewka była chętna, a pens by się przydał, ale Colin uznał, że więcej mu się dostanie z sakiewek, jeśli ich właściciele będą martwi.

To, co teraz słyszał, wskazywało, że bagno tylu gości nie pomieści.

Może, ktokolwiek to jest, przejedzie bokiem. Krytą darnią chatę przytuloną do zbocza wzgórza niełatwo było dostrzec nawet w blasku słońca. Może tam w ogóle nikogo nie ma; przynajmniej nikogo w ludzkiej postaci...

Jak gdyby druidzi czytali w jego myślach, potężne dudnienie ścieliło, a potem całkiem ustało...

Coś oddzieliło się od głównej masy i zwolna wysunęło naprzód. Szara mgła przybrała żółtawy odcień od pochodni, która zadrgała i oświetliła szerszy krąg przestrzeni. Colin poczuł wilgotny zapach żywicy.

Powoli zaczął unosić rękę w stronę strzechy.

- Czy to dom Colina Mora?

Na dźwięk kobiecego głosu ręka Colina znieruchomiała, a w głowie poczuł nagle pustkę.

- Czy to Colin Mor z Dalziel?

Rozchylił wargi, ale nie wydobył z siebie głosu, patrzył tylko, jak ogromna czarnooka bestia wyłania się z kłębow mgły. Wstrzymał oddech, gdy potwór przybrał postać olbrzymiego srokatego ogiera, a oczy wyszły mu z orbit, gdy ujrzał kobietę siedzącą wysoko na grzbiecie wierzchowca. Ubrana była w kraciaste spodnie i krótki zielony aksamitny kubrak szamerowany złotem. Włosy miała rude jak ogień piekielny, splecione w długi warkocz, który zwisał jej na ramieniu, a na głowie beret z orlim piórem przypiętym na czubku. Przy pasie nosiła parę pistoletów o wygiętych kolbach, zaś przed nią, na siodle, połyskiwała metalowa lufa muszkietu Brown Bess.

Colin jeszcze szerzej rozdziawił gębę.

Po chatach, górach i dolinach rozniosła się już wieść, że lady Anne MacKintosh postanowiła poderwać swój klan do walki po stronie księcia Karola/Gdy tylko jej mąż odjechał do Edynburga walczyć po stronie Anglików, zaczęła objeżdżać okolice; odwiedzała każdego lairda należącego do konfederacji klanu Chattan i wszystkim przedstawiała swą petycję.

Colin szybko przeniósł wzrok na pulsujący pomarańczowożółty blask za plecami kobiety. Było tam jeszcze trzech jeźdźców; dwaj wysoko unosili pochodnie, w ich płomieniu skwierczały i syczały drobiny mgły. Popatrzył na dwie brodate twarze, prawie nie różniące się od siebie, i domyślił się, że to muszą być sławetni krewniacy lady Anne, bracia Monaltrie. Trzeci mężczyzna, jasnowłosy olbrzym, który zatrzymał rumaka równo z lady Annę, też nie musiał się przedstawiać, i Colin poczuł, jak lędźwie zaczynają mu dygotać z podniecenia.

- Wy jesteście Colin Mor?

- A juści - wychrypiał. - Dobrze mówicie.

- Wiecie, kim jestem?

- A juści. - Przerazenie niemal odjęło mu głos.

- Jesteśmy w drodze od świtu, Golinie Mor - powiedziała Anne. - I będziemy ci wdzięczni za gościnność, jeśli pozwolisz nam obozować tej nocy na swoim pastwisku.

Colin dumnie wypiął pierś.

- Klnę się na Boga, że to dla mnie zaszczyt, pułkowniku Anne. Nie mam dużo do zaoferowania, ale jest potrawka, cośmy ją mieli jeść na kolację, gorąca i tłusta, i beczułka piwa, świeżo uwarzonego.

- Naszym ludziom nie braknie żywności - odparła Anne, uśmiechając się w podzięcie. - Ale gdybyś mógł zrobić nam miejsce przy ogniu, zanim staną nasze namioty, chętnie bym się ogrzała.

Colin przez chwilę walczył z bojaźnią, po czym postąpił naprzód i wytarłszy do sucha dłoń, ujął uzdę ogiera.

- Nie będzie pani spała w żadnym tam namiocie, lady, póki mam do ofiarowania dach nad głową i łóżko do spania. Jest też oczywiście miejsce na podłodze dla reszty pani ludzi.

MacGillivray przerzucił nogę przez siodło i zsiadł z konia. Podeszedł do Colina z wyciągniętą dłonią i patrzący czuli, jak palce gospodarza zgniatają się razem, a knykcie trzaskają od serdecznego powitania.

- Masz dość miejsca na podłodze dla sześciuset ludzi? - zapytał z drapieżnym uśmiechem.

- Sześciu...?

MacGillivray zaśmiał się na widok osłupiałej miny farmera, obrócił się i wydał rozkaz, by rozbito obóz. Polecenie to, przekazywane z ust do ust, rozbrzmiewało jakiś czas niby niegasnące echo.

Colin Mor nie potrafił zliczyć więcej niż dwudziestu trzech owiec, które co wieczór zamykał w koszarze, i tak zresztą, żeby się nie pogubić, musiał sobie pomagać palcami, ale słysząc te dźwięki ocenił, że będzie musiał odbić ze dwie beczki piwa.

MacGillivray wyciągnął rękę, by pomóc Anne zsunąć się z siodła. Chociaż wolałaby sobie język uciąć, niż przyznać się do tego, czuła, że pośladek ma jak z ołowiu, a uda tak bardzo ją bolały, że modliła się w duchu, żeby się nie poniżyć, kuśtykając jak paralytyk na przykurczonych nogach. Byli w drodze od dwóch dni, ciągle walcząc ze wszystkim, co przyroda mogła im postawić na

przeszkodzie: silnym wiatrem i przejmującym chłodem na górskich przejściach, deszczem i błotem na wrzosowiskach. Mgła zaczęła gęstnieć godzinę temu i ostatnie kilometry jechali na oślep, trzymając się owczych ścieżek wydeptanych w dolinie.

Wbrew tym wszystkim przeciwnościom, mężczyźni śpiewali, śmiali się i żartowali między sobą. Na każdym skrzyżowaniu dróg, przy każdym mijanym kopcu, sygnalizującym odległość od Inverness, dołączali do nich nowi ludzie, wszyscy niezwykle rozradowani, że wreszcie nadeszła tak długo oczekiwana szansa walki o honor Szkocji.

W asyście nieodłącznego MacGillivraya Anne objechała ze swą petycją wszystkich lairdów należących do klanu Chattan. Trafili się tacy, którzy okazali zrozumiałą niechęć do przeciwstawienia się otwarcie swemu wodzowi, ale w końcu udało jej się zebrać dziewięćdziesiąt siedem podpisów - tylko trzech zabrakło do wymaganych stu. Rzędy namiotów i ognisk obozowych pokryły pola wokół Dunmaglass, gdyż kasztel MacGillivraya stał się ich kwaterą i miejscem zbiórki. Z konieczności, Anne opuściła Drummuir House i obrała sobie za rezydencję Dunmaglass. Otaczała ją i strzegła osobista straż, którą tworzyli John, Gillies MacBean i przynajmniej dwaj stryjeczni bracia - trzeci, zwykle Eneas, bo bliźniacy nie lubili się rozdzielać na długo, kursował w tę i z powrotem między obozem a Aberdeen, wożąc wiadomości do i od Fearchara - oraz uzbrojeni po zęby ludzie z klanu, zawsze co najmniej dwudziestu.

Rana w barku MacGillivraya zabiłszy się zadziwiająco szybko. Annę zdumiewała się każdego dnia jego siłą, przyglądała mu się, gdy rano walczył dla sprawy ze swymi ludźmi, wymachując na wszystkie strony potężnym stalowym ostrzem, dopóki pot nie zaczął spływać mu po twarzy. Popołudnia spędzał, jeżdżąc od jednej farmy do drugiej, przekonując innych lairdów, że jest w pełni zdolny objąć dowództwo w polu. Wieczorami kontrolował mały arsenał, który zajął główną izbę Dunmaglass. Rusznice, tarcze i pałasze wypełniały każdy skrawek wolnego miejsca, a ludzie całymi dniami i nocami siedzieli tam zgarbieni przy długich stołach, pracując bez wytchnienia: jedni odlewali kule z ołowiu, inni odmierzali z beczulek czarny proch i napełniali papierowe ładunki.

Większość ludzi przybyło do doliny, dzierżąc szable i piki, niektórzy z muszkietami i toporami z Lochaber, ale byli i tacy, którzy nie mieli niczego prócz walecznych i dumnych serc, więc aby ich uzbroić, Annę opróżniła sejf w Moy Hall. MacGillivray zrobił dobry użytek z każdej monety i kiedy już nie dawało się kupić więcej muszkietów i beczek prochu za pośrednictwem jego druhów przemytników, wymknął się głęboką nocą z tuzinem najlepszych ludzi i wrócił przed świtem z furgonami pełnymi beczek i skrzyń opatrzonych pieczęcią kwatermistrza armii brytyjskiej.

Wydawało się, że John w ogóle nie sypia, nigdy jednak nie wyglądał na utrudzonego. Przeciwnie, wydawał się odprężony, jak gdyby ciężar odpowiedzialności, która na nim teraz spoczywała, był o wiele mniejszy niż ciężar przymusowej bezczynności.

Annę natomiast poznała obecnie to uczucie, jakiego doświadczał jej dziadek, gdy nie był zdolny choćby chwilę dłużej utrzymać otwartych powiek. Okoliczności zmusiły ją do przeniesienia się z Drummuir House do Dunmaglass, ale ten dom nie nadawał się do tego, by mieszkały w nim kobiety. Umeblowanie było, najłagodniej określając, spartańskie. Za jedyną wannę służyła drewniana beczka przecięta na pół. Annę miała swą odzież, przysланą z Moy Hall, ale wkrótce stało się oczywiste, że spódnice i gorset nie przydadzą się na nic. Odkąd opuściła dom teściowej przy Church Street, nie poczuła na skórze skrawka jedwabiu ani razu też nie użyła szczypiec do włosów. Dzień i noc otaczali ją krzepcy mężczyźni, którzy zwykli się do niej zwracać per pułkowniku Anne, zaczęła więc bez chwili wahania, odruchowo odpowiadać na ten tytuł.

Prawdę mówiąc, przez kilka pierwszych dni była bardzo ożywiona, czuła się znakomicie. Gdy tak jeździła po okolicy z MacGillivrayem i kuzynami, powracały wspomnienia jej awanturniczej młodości. Ale teraz, po upływie dwóch tygodni, zmęczenie i warunki, w jakich przyszło jej żyć, coraz bardziej dawały się jej we znaki. Szorstkie wełniane spodnie powodowały swędzenie w najbardziej nieodpowiednich miejscach i w najbardziej niestosownych momentach. Mężczyźni co prawda nie mieli żadnych oporów, drapali się, kiedy tylko mieli ochotę i gdzie popadło, ale ona musiała znosić te tortury w milczeniu. Niegdyś bagatelizowała opory Angusa, który nie pozwalał sobie przychodzić do niej prosto ze stajni, bo nie chciał wnosić na pokoje zapachu koni, skóry i potu. Teraz zaś drażniło ją wszystko - zapach zamokłej na deszczu niepranej wełny, odór owczych bobków rozgniecionych nieuważnie postawioną podszwą, ostra mieszanka woni ciała, potu, torfu i dymu z ognisk, która przywarła do prostych górali, jako że zaledwie raz w roku przychodziło im do głowy, że warto by się chyba wykąpać.

Może dlatego Anne zaczęła wyczuwać zapach, który wyróżniał MacGillivraya. Aczkolwiek z całą pewnością nie korzystał z gorącej wody i mydła tak często jak Angus, bez wahania obnażał się po porannych ćwiczeniach z ludźmi na dziedzińcu i wylewał na siebie kubeł wody, by splukać pot. Zdarzyło się raz, że Annę znalazła się przy oknie, kiedy był w trakcie tych ablucji, utkwiała wzrok w jego postaci i wpatrywała się w nią tak długo i intensywnie, że aż oczy zaczęły ją piec. Fakt, że kilkunastu innych ludzi stało na śniegu tak samo nagich, nawzajem chlustając na siebie wodą, ledwie został zarejestrowany w jej umyśle. To widok Johna MacGillivraya, wysokiego,

gładko umięśnionego, o zadartej w górę twarzy z mokrymi włosami spadającymi złotą kaskadą na barki, wywołał rumieniec na jej policzkach i sprawił, że poczuła, jak ciarki jej przebiegają we wszystkich niestosownych miejscach.

Niełatwo było jej zapomnieć tego dnia, gdy leżał nagi, rozciągnięty na łożu w świetle świec, a także jego muskularnych ramion oplatających ją i przygważdżających do łożka. Jeszcze trudniej było zapomnieć tamten żar i siłę przygniatającą ją do ściany straganu na targowisku, gdy jego ręce śmiało wciskały się między jej uda, zachęcając je do rozchylenia się, by mogła poczuć, co on ma jeszcze jej do ofiarowania.

Nie ułatwiało jej koncentracji i to, że John przejawiał dużą niefrasobliwość, gdy chodziło o strój. W zaciszu własnego domu najchętniej paradował w długiej, luźnej koszuli i kusym kilcie. Koszula często bywała rozchełstana, a jej brzegi rozchylały się niedbale, odsłaniając rudawozłoty zarost pokrywający mu pierś. Zdarzało się nierzadko, że wsunawszy wielką dłoń pod płótno, drapał się odruchowo w żebro lub pierś w trakcie rozmowy ze swoimi ludźmi. Anne podejrzewała też, że zupełnie nie zdawał sobie sprawy z efektu, jaki osiągał, gdy przeczesawszy palcami włosy, pozostawiał złotą grzywę potarganą i po chłopięcemu rozsypaną.

Do tego pachniał cudownie, bo rzadko się zdarzało spotkać go bez cygara zaciśniętego w zębach. Fajki były u mężczyzn czymś tak zwyczajnym i powszednim jak sztylety i pistolety zatknięte za pas, ale cygara stanowiły ekstrawagancki luksus, jeden z niewielu, na które John, jako dość zamożny laird, sobie pozwalał. Zachowywał go dla siebie pomimo częstych przymówek ze strony bliźniaków Farquharsonów, którzy chętnie zapaliliby sobie coś tak pysznego przy wieczornym kuflu piwa. John ignorował wszelkie aluzje i apele do jego gościnności, a choć bracia - w zdecydowanie bezczelny sposób, ale bardzo starannie - wielokrotnie przeszukiwali szafy i schowki w Dunmaglass, nie udało im się odkryć, gdzie John trzyma swój zapas.

Anne odurzał ten zapach i czasami niepokojąco podniecał, zwłaszcza gdy John, siedząc przy stole, dyskutował zażarcie. Jego krzesło niebezpiecznie przechylało się na dwóch tylnych nogach, a oczy błyszczały mu jak u Iwa szykującego się do łowów. Albo kiedy pochylał się ku niej, by przyjrzeć się czemuś za jej plecami, i czuła jego jedwabiste włosy na policzku, a ciepło oddechu na skórze.

Albo gdy była zziębnięta, zmordowana i po całodziennej jeździe odczuwała bolesne kurcze w nogach, a on stał obok, obejmując ją w tali ramieniem i podtrzymując, ona zaś nie wiedziała, czy osunąć mu się w ramiona, czy paść bezwładnie na ziemię.

- Jeśli zechce pani wejść, pułkowniku Anne - odezwał się Colin Mor, kłaniając się niezgrabnie i wskazując ręką drzwi swej chaty - moja żona Rose z radością naleje pani łyżek gorącego rosółu dla rozgrzania kości.

Anne wzdrygnęła się i oderwała wzrok od twarzy MacGillivraya, która zaczęła rozjaśniać się uśmiechem. Poczowała się winna. Jak długo wpatrywała się w niego? Czy popadła w taki stan odrętwienia, jak Fearchar? Okazało się, że wielki góral potrafi czytać w jej myślach wcale nie gorzej niż Angus, i o ile czasami było to cudowne, gdy mąż odgadywał, kiedy jego żona łaknie pewnych... uprzejmości, nie uważała za szczególnie mądre odstawianie się przed MacGillivrayem.

Spostrzegła się, że ze swobodną poufałością wspiera złączone dłonie na piersi Johna, więc opuściła je szybko, po czym odwróciła się i ruszyła do chaty za Colinem Morem. Jego żona już zapaliła lampę i parę grubych świec łożowych. Stała pełna niepokoju w cieniu, dzieci wciąż tuliły się do jej nóg i rzucały zaciekawione spojrzenia zza spódnic matki. Pod ścianą stała druga kobieta, niewiele od tamtej młodsza, tak uderzająco podobna do Golina Mora, że nie było żadną niespodzianką, gdy ją przedstawiono jako jego siostrę Glenę.

Chata nie różniła się od tysiąca innych, porozrzucanych po dolinach i przylepionych do zboczy wzgórz. Nad glinianym klepiskiem wznosiły się drewniane ściany, ocieplone nawozem i torfem, i stromy dach, z którego zwisały pasy suszonego, solonego mięsa i ryb. Był tam zwykły zestaw sprzętów domowych. Prosta zasłona z maty słomianej oddzielała na jednym końcu barłóg - sypiała na nim siostra Colina - od większego posłania, które gospodarz dzielił z żoną i dziećmi. Palenisko kuchenne znajdowało się pośrodku izby, i ze stojącego nad nim trójnogu, zwisał czarny żelazny kociołek. Morowie byli lepiej sytuowani niż większość dzierżawców, gdyż oprócz kilku dywaników sporządzonych ze szmat mieli stół i dwie ławy. W jednym rogu izby mieścił się kojec z kurczętami, a w drugim stała mleczna koza uwiązana do kołka.

- Po tysiąckroć błagam o wybaczenie, że zakłóciliśmy wasz spokój, dobra kobieto - powiedziała Anne po gaelicku. - Mówiono nam, że przez waszą dolinę biegnie potoczek, który doprowadzi nas prosto do rzeki. Niestety, nie udało nam się go znaleźć we mgle i baliśmy się, że nasze wozy mogą się zniecka stoczyć do wody. Poczuliśmy dym z waszego paleniska i... - wykonała gest mający wskazać, jaki był naturalny bieg rzeczy, a kobieta wpatrywała się w nią jak skamieniała.

- Wiem, kim jesteście - szepnęła Rose, gdy przerażenie, jakie wzbudzili w niej goście, przeszło w bardziej zwyczajne uczucie lęku. - I wiem, po co tu jesteście. Przyjechaliście zabrać mojego Colina na wojnę.

- Nie - odpowiedziała Anne, starannie dobierając słowa. - Nie przybyliśmy, żeby go zabrać. Ma wolny wybór i może dołączyć do nas, jeśli zechce, ale nikogo nie zmuszamy, by z nami poszedł. Każdy musi słuchać swego serca i sam postanowić, jak najlepiej służyć swej rodzinie, klanowi, swemu honorowi.

- Ano, tak. - Młoda kobieta przygryzła wargę i spuściła wzrok na drewnianą kołyskę. - Tak to pani stawia, że nie będzie mógł odmówić, prawda?

Odwróciła się tyłem, przepędzając dwoje drobnych dzieci, by się odsunęły i nie przeszkadzały jej wziąć na ręce kapryszące niemowlę i posadzić sobie na biodrze.

- Napije się pani rosółu czy piwa? Jest też potrawka z królika, Glenna pani przyniesie, jeśli ma pani ochotę.

- Bardzo chętnie wypiłabym kubek rosółu, ale nie chcę wam sprawiać kłopotu.

- Już za późno - przerwała jej kobieta i spojrzała na MacGillivraya, schylającego głowę pod niską framugą i wchodzącego do chaty wraz z bliźniakami Farquharsonami podążającymi tuż za nim - już teraz będą kłopoty w tym domu.

Widząc trójkę przystojnych mężczyzn, Glenna Mor pierwszy raz zdobyła się na jakąś reakcję, wyprostowała się i cofnęła ramiona, tak że jej piersi zaokrągliły się i wypełniły stanik. Były imponująco duże i bliźniacy tak się na nie zagapili, że John musiał dać każdemu kuksańca w plecy.

- Tak jakem rzekła... - mamrotała żona gospodarza. - Widzi mi się, żeście już przynieśli kłopoty ze sobą.

Annę postanowiła wymazać z pamięci wspomnienia incydentu w sypialni MacGillivraya. Pocałunek nic nie znaczył. I z całą pewnością John nie zamierzał wtedy świadomie jej uwieść. Jeszcze wówczas nie wytrzeźwiał po poprzedniej nocy i w niewielkim stopniu odpowiadał za swoje czyny. A jednak trudno było ignorować wrażenie, jakie wywierał na innych kobietach. Ta ładaczka, Glenna Mor, wychodziła z siebie, gdy mu usługiwała, podając piwo i podrzucając najsmakowitsze kawałki mięsa do jego drewnianej miski. Sznurówki stanika jakimś cudem rozluźniały się jej za każdym ruchem, tak że gdy się pochylała, John mógł swobodnie podziwiać jej obfite piersi. A mając gorącą krew, bynajmniej nie odwracał od nich oczu. Annę parę razy przyłapała go, jak się wpatrywał bezwstydnie w te bujne kształty, uniósł przy tym lekko jedną brew, jakby się nad czymś zastanawiał i jego wargi wygięły się w krzywym uśmiechu.

Robbie był mniej rozważny. Zaciskał dłonie na podolku, by powstrzymać kilt od unoszenia się za każdym razem, gdy dziewczyna otarła się o niego ramieniem lub mrugnęła doń filuternie. Chociaż Annę nie miała prawa gniewać się o niewinny flirt, nastroszyła się jak jeż i uświadomiła sobie, że ma ochotę zrobić coś niemądrego: sięgnąć przez stół i wszystkich ich spoliczkować.

To nie było w porządku. Pewnie potrafiłaby ścierpieć maślane spojrzenia, uśmiezki i falowanie bioder z większą wyrozumiałością, gdyby jej mąż był przy niej. Ale ponieważ nie było go tu, za każdym razem, kiedy stanik dziewczyny się rozchyłał, Annę czuła, że jej własne piersi drażni dotyk batystowej koszuli. Za każdy razem, kiedy dziewczucha przesuwiała palcami po włosach i otwarcie flirtowała z Johnem lub bliźniakami, Anne przypominała sobie drżenie dłoni Angusa, kiedy wziął szczotkę i przeciągnął nią po jej włosach, ruchami powolnymi i zmysłowymi, budząc w niej taki dreszcz, jak te małe iskierki wywołane ruchem szczotki. Myślała o jego ciele, twardym i napiętym. Przypominała sobie żar jego skóry, jego ciepły zapach, sposób, w jaki odchyłał głowę, i wyraz jego oczu, gdy ona dygotała, mając go w sobie, i nie pozwalała mu się wycofać.

Kłamał dla niej. Nie ujawnił jej roli w kradzieży Forbesowi ani Loudounowi, ani Worshamowi, ale co to oznaczało? Dlaczego tak postąpił? Jeśli Angusowi zależało na niej aż tak, że nie zawahał się narazić na takie ryzyko - bo z pewnością zostałby aresztowany i wtrącony do więzienia podobnie jak Annę, gdyby przyłapano go na kłamstwie - to dlaczego nie chwycił jej w ramiona w Drummuir House i nie powiedział jej tego? Dlaczego umyślnie zachowywał taki dystans wobec niej?

Nie, to nie było w porządku. Nie było w porządku także i to, że stale przebywała w towarzystwie mężczyzny, który zdawał się wiedzieć, iż ona się wierci i czerwieni na twarzy, nie zawsze dlatego, bo drapią ją szorstkie spodnie.

- Wyglądasz, jakbyś już toczyła bitwę, dziewczyno - Spokojny głos MacGillivraya, który rozległ się nagle za jej plecami, zaskoczył pogrążoną w zadumie, wpatrzoną w ogień Anne. Podeszła do paleniska, gdy Robbie wziął się na dobre do poklepywania i podszczypywania Glenny w tyłek i niemilknący chichot dziewczyny zaczął drażnić jej nerwy. Nie odrywała wzroku od falujących lekko płomieni i nie umiałaby powiedzieć, jak długo to trwało, ale z rodzinnego posłania dobiegało chrapanie, a kilka postaci otulonych pledem spoczywało już na klepisku.

Siedziała na trójnożnym stołku; MacGiilivray, nie czekając na zaproszenie, przysiadł obok na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, obejmując dłońmi kubek whisky.

- To był długi dzień. Wyruszyliśmy jeszcze przed świtem, prawda?

- Ano tak. I jutro będzie tak samo, więc nie powinnaś marnować tego krótkiego czasu, jaki ci pozostał na wypoczynek, na rozmyślania o sprawach, których nie da się rozwiązać.

Przez chwilę przyglądała się jego oświetlonemu blaskiem ognia profilowi, po czym odparła lekko urażonym tonem:

- To niemożliwe, żebyś wiedział, o czym myślę.

- Nie? W takim razie bardzo przepraszam, jeśli się mylę, ale wyglądasz jak żona, która się martwi o męża.

Bez słowa wlepiła w niego wzrok, a on podniósł na nią oczy i uśmiechnął się łagodnie.

- To jest ten wyraz twarzy, który oboje widzimy dość często w ostatnich tygodniach, za każdym razem, gdy mężczyzna całuje żonę i dzieciaki i obiecuje, że wróci do nich, jak tylko przegnamy Sassenachów z powrotem do Anglii.

- Nawet jeśli tak jest, winien mi jesteś przeprosiny - powiedziała żartobliwie, odwracając na powrót wzrok w stronę ognia - bo się mylisz. W ogóle nie myślałam o Angusie. On uczynił swój wybór, ja swój, i oboje wiemy, że musimy ponosić konsekwencje. Prawdę mówiąc, właściwie nie myślałam o niczym. Po prostu napawałam się tym, że mam ciepłe palce u rąk i nóg.

Wiedziała, że John się uśmiecha, ale ponieważ nie chciała, by dostrzegł w jej oczach potwierdzenie, iż nie mówi prawdy, nie spojrzała w jego stronę.

Udał, że bierze to za dobrą monetę, westchnął współczująco i wyciągnął dłoń w stronę żaru.

- Ta przyjemność jest wiele warta - zgodził się. - Dla reszty ciała też.

Przyglądała się jego szerokim, pokrytym odciskami dłoniom, gdy je obracał na wszystkie strony, długim, silnym, krągło zakończonym palcem. Dłonie Angusa były gładkie, nie tyle silne, ile rasowe, nadające się bardziej do trzymania pióra niż miecza. Były delikatne i wrażliwe, kiedy wyciągały się do niej, i ani przez chwilę nie potrafiła sobie wyobrazić Angusa Moya przyciskającego ją do ściany na targowisku i grożącego jej, że weźmie ją tu i teraz, jeśli nie pozwoli się pocałować.

- Panie Jezu i wszyscy święci - szepnęła, pochyliła głowę i lekko nią potrząsając, zastanawiała się, w jaki sposób usunąć z umysłu takie niepożądane obrazy.

- Czy potrzebujesz specjalnej modlitwy? - spytał MacGillivray.

Nieświadoma, że wezwała na głos pomocy boskiej, poczuła się jeszcze bardziej głupio i uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Może egzorcyzm. Ale miałeś rację. Powinnam się położyć, skoro mam szansę.

Poruszyła się, chciała powstać ze stołka, ale jej nogi zeszywniały w zgiętej pozycji i odmówiły posłuszeństwa.

John cmoknął lekko i spędził z twarzy uśmiech.

- Czy użyłaś tej maści, którą ci dałem, dziewczyno? Każdej nocy złagodzi sztywność twych mięśni i rano będziesz mogła jechać bez kłopotów.

- Ona strasznie śmierdzi kamforą i terpentyną, i jeszcze czymś; nie potrafię określić, co to jest.

- Siuśki dziewicy zebrane z samego rana.

Roześmiał się, widząc przerażenie na jej twarzy, i zerwał się na nogi tak łatwo, że miała ochotę go kopnąć. Schyliwszy się, objął ją w pasie i uniósł powoli, pozwalając jej nogom wyprostować się i zwalczyć skurcz najmniejszym wysiłkiem. Trwało to całą minutę lub dłużej, a w tym czasie dłonie Anne spoczywały na jego piersi, rozchylone palce dotykały twardego zgrubienia mięśni. Pochylił głowę, a zapach piżma, dymu i whisky owionął Anne z niebezpiecznie bliskiej odległości, ale dopiero usłyszawszy jego następną propozycją omal nie runęła do tyłu na wznak.

- Spuść spodnie, dziewczyno. Migiem złagodzę twój ból.

Jej oczy, niebieskie i ogromne, spotkały się z jego oczami i po chwili uśmiech zamarł mu na ustach, a twarz poczerwieniała.

- Miałem na myśli maść - mruknął. - Trzeba ją mocno wetrzeć, bo wtedy najlepiej działa.

- Mogę sobie sama poradzić.

- Pewnie że możesz. - Uniósł jej rękę nad głowę i parsknął, gdy się okazało, że nie miała siły utrzymać jej w tej pozycji bez podparcia. - A teraz kładź się na kocu, spuść spodnie i osłoń to, czego mi nie chcesz pokazywać.

Anne rozejrzała się po izbie, żeby sprawdzić, czy ktoś im się nie przygląda, ale rozmawiając ściszyli głosy na tyle, że nie zbudzili nikogo ze śpiących. Podeszła do swego legowiska z koców, ostrożnie rozpięła spodnie w pasie, spuściła je w dół poniżej bioder i zsunęła z trudnością do kostek. Miała na sobie jedną z płóciennych koszul Jamiego, której obręb sięgał jej prawie do kolan i można go było poutykać między nogami, by oszczędzić najdelikatniejszym miejscom zetknięcia z szorstką wełną.

Zdawało się, że MacGillivray prawie na nianie zwraca uwagi, zajęty szukaniem słoika z maścią w sakwie przy siodle i poprawianiem ognia. Kiedy już leżała twarzą w dół na kocach, rozsmarował solidną grudkę w dłoniach i potarł je o siebie, ogrzewając oleistą maź, po czym ukląkł obok Anne.

Pierwsze pociągnięcia były łagodne, John rozprowadzał mazidło po skórze i wcierał je w uda i łydki. Dodawał go po trochu, za każdym razem rozgrzewając w dłoniach, a kiedy uznał, że jest dość śliskie, zaczął ugniatać mięśnie, jakby wyrabiał ciasto. Dotyk jego dłoni w połączeniu z gorącym kamfory wywołał dość przyjemne ciepło, które falą przebiegło wzdłuż jej nóg, a gdy przerwał masaż, by zadrzeć obręb koszuli aż po brzegi pośladków, nie sprzeciwiła się.

- Niewiele mówiłaś o Elizabeth - mruknęła Anne.

- Ty niewiele mówiłaś o Angusie - odparł.

- Masz zamiar się z nią ożenić, prawda?

MacGillivray zareagował przesadnym westchnieniem.

- Rzeczywiście, mówiliśmy o tym.

- Tak sobie... mówiliście?

- Ano tak. Ja wyjątkowo dużo mówię, nie zauważyłaś?

Może ciągnęłaby dalej ten temat, a może i nie, lecz urwała nagle, bo zaparło jej dech, gdy podniósł jej koszulę wyżej i zaczął przesuwając dłonie po całym ciele aż po barki. Zagryzła zęby na dolnej wardze i ciałniej zacisnęła pięści wokół zwiniętych koców, ale masaż był tak przyjemny a ciepło

przekazywane przez mocarne dłonie tak kojące, że po pierwszych pociągnięciach przestała myśleć o swej goliźnie.

MacGillivray wyczuwał jej zaskoczenie i widział zaciśnięte pięści, ale to był jedyny sposób, jaki wymyślił, by zakończyć konwersację. Nie chciał mówić o Elizabeth z Clunas ani o swym planowanym małżeństwie, nie teraz, gdy jego dłonie robiły to, co tak boleśnie pragnęły robić od wielu lat. Przyjemność dotykania skóry Anne, śliskiej, ciepłej i nagiej, była tak intensywna, że wzniecała doznania, które nie miały prawa być wzniecone, budziła pragnienia, które nie miały prawa się obudzić.

Z pewnością był na pół pijany ostatnim razem, kiedy ich usta się spotkały, ale pamiętał aż za dobrze, co ona czuła, jak wydawała te cichutkie dźwięki z głębi gardła, kiedy ją całował. Bóg jeden wie, ile razy marzył o tym, by leżeć z nią razem. Sądził, że dokładnie wie, jak i gdzie ją pieścić, aż zadrży z szaleńczego pragnienia zamknięcia jego ciała w swoim. A gdy to się już stanie... na Boga, był pewien, że okaże się tak nienasycona jak nimfa, wznosząc się ku niemu, wchłaniając go tak całkowicie swymi orgazmami, że on nie będzie musiał się martwić o swój.

Ale oczywiście będzie. Będzie czuł jej ciało ślizgające się po jego ciele, będzie czuł, jak go ściska, jak ugniata, niby piąstkami, i szczytowanie będzie podobne do kataklizmu.

Dzika Ruda Annie. Ileż to razy żałował, że nie wziął jej tamtego dnia na targowisku? Ona tego chciała. Była więcej niż gotowa. Całowała go tak, jakby cała jej dusza skupiła się w ustach. Ale powstrzymał się, zmusił się do tego. Nie chcąc wystawiać na szwank jej reputacji, postanowił czekać, aż wezmą prawdziwy ślub. Wiedział o umowie narzeczeńskiej, że jej rękę przyrzeczono Angusowi Moyowi. ale kiedy jej narzeczony został obwołany wodzem klanu Chattan i wyglądało na to, że umowa zostanie anulowana, nabrał pewności, iż Fearchar zaakceptuje jego, Johna Alexandra MacGillivraya, jako godną alternatywę. Tego dnia - tego przeklętego dnia - gdy postanowił, że nie będzie dłużej czekał i oświadczy się o nią, powiedziano mu, że małżeństwo z MacKintoshem dojdzie do skutku, zgodnie z umową.

W dniu ślubu Annie upił się tak, że Gillies musiał go przywiązać, by nie rozwalił całego Dunmaglass, deska po desce. Nie wytrzeźwiał przez cały następny miesiąc i szukał zapomnienia w ramionach wszystkich nierządnic z okolicy.

Po czterech latach ból ten wciąż jeszcze pulsował mu w brzuchu. Rozlewał się drzeniem wzdłuż ramion i nóg; kierował strumienie gorącej krwi do krocza, powodując pęcznienie prawie nie do wytrzymania.

Przed chwilą pomógł Anne wstać na nogi, ale kto teraz pomoże jemu? Kto go powstrzyma, jeśli obróci ją na plecy i wepchnie się między jej uda? Mógłby ją posiąść bez skrupułów i niech ich potem oboje piekło pochłonie. Widział, jak przygląda mu się ukradkiem przez okno w Dunmaglass, i nie zliczyłby tych wszystkich zakłopotanych ulotnych spojrzeń, wysyłanych w jego kierunku, które pochwyił. Pocałunek by ją uciszył. Była łatwą zdobyczą, boleśnie odczuwającą potrzeby, których nie mógł zaspokoić nieobecny Angus, zbyt głupi, by zrozumieć, ile warte jest to, co traci.

John czuł teraz w swym ciele napięcie tak wyraźne i oczywiste jak bicie serca tłukącego mu się w piersi. Przesunął dłonie w dół, zwalniając ich ruchy, gdy ześliznęły się na jej żebra. Czubkami palców musnął wyniosłość piersi. Pochylił głowę, przeklinając własną słabość.

Angus Moy był jego przyjacielem i jego lairdem. Mało tego, przyjechał do Dunmaglass dzień przed wyruszeniem do Edynburga i poprosił Johna, by czuwał nad Anne, kiedy jego tu nie będzie. Powiedział, że wie, iż jego żona jest zbyt uparta, by pozostać w domu i spędzać czas przy igle. W przypadku, gdyby trafiła do aresztu za splunięcie na lorda przewodniczącego, czy John nie mógłby wysadzić w powietrze gmachu sądu, by ją uwolnić?

Ironia sytuacji oszołomiła go wówczas na moment. Gdyby Angus przyjechał godzinę wcześniej, usłyszałby, jak Annę oznajmia bezczelnie, że ma zamiar zwołać klan i poprowadzić ludzi na wojnę.

A teraz zaparło mu oddech, gdy pomyślał, że gdyby pojechał do Fearchara dzień wcześniej, gdyby naprawdę skradł więcej niż pocałunek tamtego dnia na jarmarku, gdyby nie był tak przekłęcie pewny siebie i przekonany, że ona jest zbyt dzika, ma zbyt ognisty temperament, by ktokolwiek inny chciał ją oswoić...

- Przez ciebie będę miał ciężką śmierć, dziewczyno - wyszeptał. - Chyba to wiesz?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, pochylił się i spojrzał jej w twarz. Oczy miała zamknięte, wargi lekko rozchylone. Spała głębokim snem i nie wiedział, czy powinien poczuć ulgę, czy rozczarowanie.

Naciągnął jej koszulę i przykrył ją warstwą koców, otulając ją tak delikatnie, jakby otulał dziecko. Wreszcie, nie mogąc się powstrzymać, przycisnął usta do lśniącej korony jej włosów, bo wiedział że to jest ostatni raz, kiedy może coś takiego zaryzykować. Zbyt mocno ją kochał, za nic w świecie nie chciałby, żeby cierpiała jeszcze bardziej niż teraz, a gdyby jej mąż został rogaczem, z pewnością rozdarłoby to jej serce.

Zamknął słoik z maścią i podniósł się, spoglądając złowrogo w dół na ogromne wyrzucenie na przedzie swego kiltu. Pomyślał ponuro, że chyba nie uda mu się zasnąć tej nocy, skoro jest napięty jak pistolet z odwiedzionym kurkiem, a w głowie kłębią mu się myśli typu, co by było, gdyby, i dlaczego by nie.

Wyłowił ze swej torby cygaro z Karoliny i odgryzł koniec. Kiedy schylał się, by zapalić kawałek drzazgi, pochwycił kątem oka jakiś ruch i spojrzał ostro w ciemny kąt, gdzie Glenna Mor słała swoje łóżko. Była tam, siedziała na piętach, oczy miała wielkie, okrągłe i ciemne w twarzy obramowanej płataniną kędziorów. Jak długo im się przyglądała, John nie potrafił powiedzieć, ale gdy teraz utkwiał w niej wzrok, poderwała głowę, podniosła dłonie do stanika i zdarła z siebie tanią wełnę, by pokazać mu, że piersi ma dojrzałe i bujne, a sutki twarde jak koraliki.

Znów poruszyła rękami i zsunęła je na złączenie ud. Johnowi wydawało się, że dziewczyna mruczy i przeciąga się zmysłowo, a gdy zadarła głowę, tym ruchem wskazała mu drzwi.

Zmrużył oczy, chroniąc je przed płomieniem. Przytknął go do końca cygara i poprzez przejrzysty niebieski obłoczek obserwował, jak dziewczyna narzuca na siebie opończę i rusza ku drzwiom.

W progu zatrzymała się i obejrzała przez ramię, uśmiechając się zachęcająco, nim się wymknęła przed chatę. Ze strużkami dymu ciągnącymi się za nią jak meduza, John zaczął się skradać jej śladem, ale nim zamknął za sobą drzwi, ujrzał jeszcze jeden cień wynurzający się z mgły.

- Właśnie szedłem po ciebie - powiedział Gillies MacBean. - Odkryliśmy obóz w dole nad rzeką. Czterdziestu Sassenachów z trzema furgonami wyładowanymi czymś, co wygląda na beczki ziarna i antałki piwa. Ludzie uważają, że bardziej potrzebujemy tych rzeczy niż Anglicy.

MacGillivray rozejrzał się. Światło ognisk, choć słabe, rozpraszało mgłę na tyle, że dostrzegł sylwetkę dziewczyny, która zatrzymała się przy skrawku miękkiej zielonej trawy, w rozsądnej odległości od domu.

- Tak - powiedział. - Przyrowadź konie. Będziemy mieć małą rozrywkę.

Gillies poszedł za jego spojrzeniem i spostrzegł zastygły w oczekiwaniu cień.

- Mógłbym sam poprowadzić ludzi, jeśli masz pilniejsze potrzeby.

John wetknął cygaro w usta i klepnął Gilliesa w ramię.

- Jesteś dobrym przyjacielem, ale prawdopodobnie właśnie mnie uratowałaś przed klasycznym przypadkiem francy.

Gillies wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Nie mów o tym Robbiemu. Ona wyżeła go w stogu niecałą godzinę temu. Leży teraz jak martwy, wysuszony do kości, słaby jak młodzieniaszek, deklarując wieczną miłość.

- Miłość - parsknął John. - To coś niewiele lepszego niż przeklęty syfilis. Chodźmy. Za parę godzin zacznie świtać, a ty zrobiłeś mi apetyt na świeże podpłomyki.

11

Sto czterdzieści kilometrów dalej na południowy zachód, Angusa Moya dręczył niesmak, którego nie mógł zagłuszyć żadną ilością bordo, whisky ani francuskiej brandy. Nie miało to bynajmniej związku z niedawno spożytą kolacją, bo łośoś podawany tego wieczoru w Holyrood House był mięsisty, a polędwica tak delikatna, że dawała się krajać widelcem. Powodem było towarzystwo, które wprawiało go w zniecierpliwienie i psuło nastrój, a każdego kolejnego dnia stan taki przytrafiał mu się coraz częściej. Nawet gdy przebywał wśród swoich ludzi, dostrzegał, że odwracają głowy na jego widok w sposób lekko wyzywający, widział też spojrzenia spode łba rzucone w jego stronę. Sam się sobą brzydząc, kazał nawet poprzedniego dnia wychłostać człowieka, który źle obrządził mu konia.

Brutalnością kary, jak na ironię, zyskał sobie respekt u kogoś innego. Generał Henry Hawley zahartowany w wielu bojach żołnierz, weteran wojen w Europie, był wyjątkowo okrutnym dowódcą, surowym służbistą. Nie lubił go nikt, szanowali tylko ci, którzy dzielili jego upodobanie do karania chłostą i wieszania. Codziennie w księdze rozkazów można było znaleźć listę nazwisk

ludzi skazanych na chłostę - wymierzano im od dwudziestu pięciu do trzech tysięcy uderzeń. Szubienice należały do pierwszych konstrukcji, jakie wznoszono, gdy Hawley rozbijał obóz, a im bardziej rzucały się ludziom w oczy, tym lepiej, zdaniem generała, służyły utrzymaniu właściwego morale. W Edynburgu wybrał na miejsce kaźni miejski rynek, uważał bowiem, że również wielu mieszczanom należą się lekcje wierności.

Kupców i pośredników, o których wiadano, że chętnie zaopatrywali jakobitów w broń i amunicję, doprowadzano do bankructwa i zamykano w dybach w miejscach publicznych, by ludzie pluli na nich i obrzucali ich odpadkami. Ci, których uznano za współodpowiedzialnych za akty sabotażu lub podejrzanych o spowodowanie publicznej szkody, byli albo poddawani chłoscie tak surowej, że ledwo mogli ją przeżyć, albo wieszani dla przykładu razem z żołnierzami oskarżonymi o tchórzostwo lub bunt. Kobiety traktowano trochę łagodniej. Nierządnicę, które okazywały względy mężczyznom w kiltach, poddawano torturze wirowania; delikwentkę przywiązywano do krzesła, podciągano nad ziemię i kręcono nią tak długo i z takim wigorem, że jeszcze wiele dni potem dokuczały jej mdłości i wymioty.

Za przykładem Cumberlanda, Hawley zabronił hazardu i zakazał kobietom wstępu do żołnierskich namiotów. Ten, którego chuć sparła, musiał albo ulżyć sobie własnymi rękami, albo ryzykować chłostę i przekupić strażników pikietujących obóz, by przedostać się do furgonów markietanek - z których żadna, wbrew restrykcjom, nie narzekała na brak stałej klienteli.

Naturalnie te przepisy nie stosowały się do oficerów. Wielu z nich podróżowało z żonami lub kochankami i gdyby sądzić po olśniewającej rewii jedwabi, iskrzących się klejnotach, głębokich dekoltach i uwodzicielskich uśmiechach, trudno byłoby uwierzyć, że kraj znajduje się w ogniu rebelii. Eleganccy oficerowie nie musieli bynajmniej mieszkać we wspólnych barakach. Bogate domy mieszczan i bankierów zostały przekształcone w kwatery, goście zapewnili sobie darmowy dostęp do piwnic z winem i spiżarni, a gospodarze musieli się obyć bardzo mglistymi obietnicami przyszłej rekompensaty.

Angusowi przydzielono urocze mieszkanie w domu z szarej cegły z malowniczym widokiem na baszty i wieżyczki starego królewskiego grodu. Z górnego okna mógł podziwiać, jak wschodzące słońce, zalewając blanki złotym i pomarańczowym blaskiem, malowało żywymi barwami potężny gmach zamku edynburskiego, roztapiało z wolna przesłaniający go całun mgły i odsłaniało lśniące paszcze armat, skierowane w dół, na ulice. Przez te trzy miesiące, kiedy jakobici okupowali Edynburg, stary pułkownik Guest uparcie odmawiał poddania zamku i nawet groził, że ostrzela miasto z ciężkich dział w razie próby dokonania wyłomu w murach. Na szczęście dla mieszczan, w owym czasie

Karol Stuart nie miał do dyspozycji ani jednej armaty oblężniczej i zamek zostawiono w spokoju.

Gdy już jakobici opuścili w pośpiechu Edynburg, bramy otwarto na oścież z wielką pompą, by ceremonialnie powitać generała Hawleya, obejmującego na powrót władzę nad miastem w imieniu Anglii. Hawley z kolei zluźował oblegane oddziały i tak uroczyste przeprowadził Guesta z wewnętrznego dziedzińca Crown Square wzdłuż Royal Mile do zasobnych kwater w pałacu Holyrood House, jakby sam jeden ocalał posiadłości królewskie w Szkocji.

Ponieważ Angus był tutaj teraz słomianym wdowcem, zakwaterowano go razem z majorem Worshamem. Angus nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że połączono ich celowo, by mieć możliwość obserwowania wszelkich jego ruchów. Worsham okazywał w tym względzie aż przesadną gorliwość. Jeżeli wybierał się na przechadzkę, bał się przystawać zbyt gwałtownie, żeby major nie przydeptał mu pięt.

Jeśli chodzi o obyczaje majora, był on rozpustnikiem i prostakiem. Namówił Adrienne de Boule, by przyjechała za nim z Inverness, i chociaż oficjalnie zamieszkiwała w innej części miasta, bywało, że nocami Angus słyszał ich śmiechy i odgłosy miłosnych igraszek w pokoju Worshama na końcu korytarza. Niejednokrotnie, w porze poranka, celowo lub przypadkiem wyjrząwszy ze swego pokoju, Angus widywał Adrienne mniej lub bardziej skąpo odzianą, towarzyszącą majorowi schodzącemu na dół na śniadanie albo próbującą skusić go do powrotu do łóżka. Za pierwszym razem i paru następnymi kobieta sprawiała wrażenie naprawdę zmieszanej. Później już tylko się śmiała z wyrazu zaskoczenia na twarzy Angusa.

Angus nie miał żadnej wiadomości od Anne od czasu wyjazdu z Inverness. Nie napisała ani razu, nie zadała sobie nawet fatygi, by mu donieść, że opuściła Drummuir House. W istocie rzeczy, mógłby się o tym w ogóle nie dowiedzieć, gdyby nie jego kamerdyner, Robert Hardy, który nieostroźnie napomknął, że posłał po niektóre rzeczy osobiste Angusa i przy okazji otrzymał wiadomość od ochmistrzyni, że Anne nie tylko wyjechała od teściowej, ale do tego zabrała swoje rzeczy z Moy Hall i osiadła w Dunmaglass jako gość Johna MacGillivraya.

Kiedy Angus o tym usłyszał, był jak ogłuszony. Wiedział, że żonę rozgniewał jego wyjazd do Edynburga, ale nie przyszłoby mu do głowy, że wzbudzi to w niej wstręt tak wielki, iż wyprowadzi się z jego domu i to do innego mężczyzny.

Ogólnie biorąc, nie za dobrze orientował się w kobiecym sposobie myślenia, ale gdy chodziło o Anne, która nigdy nie zwykła niczego udawać,

miał w zasadzie pewność, że w każdej chwili wie, na czym stoi. Jeśli się czegoś obawiał, to właśnie jej niezdolności do ukrywania swych uczuć, która w ciągu minionych miesięcy niejedną raz narażała ją na niebezpieczeństwo. Sztylety w jej oczach były realne; każda osoba nieroztropna na tyle, że ściągnęła na siebie jej gniew, była przeszywana morderczym spojrzeniem. Samego Angusa wiele razy ugodziły strzały jej gniewu, ale zawsze się hamowała, nie chcąc, by wykrwawił się na śmierć. I więcej razy, niż miałby ochotę się do tego przyznać, wykorzystał jej bezbronność, by rozładować sytuację grożącą wybuchem.

Bezbronność Anne polegała na jej miłości do niego. Bardzo pragnął, potrzebował, tęsknił za tym, by czytać ją w jej oczach, słyszeć w jej głosie, czuć w jej ciele, gdy drżała w jego ramionach, a jednocześnie nie mógł pozwolić, by ktokolwiek inny dostrzegł jego uczucia. Nie mógł, na przykład, pozwolić, by Forbes lub Loudoun domyślili się, że on poświęciłby wszystko, swój klan, swoje tytuły, swój majątek, i własne życie, byle tylko bronić ją przed niebezpieczeństwem.

Major nie wspominał już nigdy więcej o incydencie w Drummur House, ale było jasne, że ani na chwilę nie uwierzył, że Angus i John MacGillivray pili razem tamtej lub innej nocy w Moy Hall. Należało też wątpić w to, czy wierzył, że Anne po prostu wyszła rozprostować nogi w korytarzu, ale nie mając dowodu, mógł tylko snuć domysły, kto ukradł meldunki i w jaki sposób trafiły one w ręce lorda Johna Drummonda. Był to niespodziewany cios ze strony jakobitów i Angusowi do tej pory nie mogło się w głowie pomieścić, że to jego żona, sama jedna, spowodowała odesłanie sześciu tysięcy najlepiej wyćwiczonych żołnierzy z powrotem do Holandii.

Krążyły pogłoski, że trio Farquharsonów objeżdża okolicę, próbując wzniecić bunt wewnątrz klanu, donoszono też, że MacGillivray i MacBean napadają na tabory kwatermistrzowskie z dostawami dla Fort George, ale znów nie było oczywistych dowodów, a połowa tego, co jakobici dokonali dotychczas - wliczając w to wywołanie fałszywego alarmu z powodu groźby rychłego przyplłynięcia potężnej floty francuskiej - zostało osiągnięte dzięki zmyśleniom i plotkom. Aż do momentu wycofania się jakobitów z Derby, rząd nie bardzo nawet wiedział, ilu górali maszeruje w głąb Anglii. Lord George Murray był biegły w podstępach wojennych i myleniu przeciwnika: wysyłał patrole przed posuwającą się armią, by ostrzegały mieszkańców miast i miasteczek leżących na jej drodze, że zmierza ku nim wielka horda wygłodniałych górali. Donoszono niekiedy o dwudziestu i trzydziestu tysiącach wojska i zachęcano ludność do ucieczki przed nimi, co pozwalało zajmować bez przeszkód angielskie miasta kilku tysiącom jakobitów.

Odwrót dostarczył przykrych doznań zarówno hanowerczykom, jak i jakobitom, gdy bowiem rozeszła się wieść, że w obozie księcia nigdy nie było

więcej niż pięć tysięcy Szkotów, generałowie elektora hanowerskiego stali się pośmiewiskiem.

Można by sądzić, że otrzyma! i dobrą lekcję, ale generał Hawley przesiadywał beczynnie całymi dniami i wieczorami w Holyrood House, a w tym czasie wojska księcia przegrupowały się, uzupełniono je też nowymi ludźmi, z dnia na dzień rosły więc w siłę. Główna armia Stuarta w Glasgow znów była już taka mocna jak przed odwrotem, a jednocześnie lord Lewis Gordon witał codziennie świeże kontyngenty przybywające do Aberdeen.

Hawley, mimo że codziennie, a nawet co godzinę, otrzymywał meldunki o coraz większej aktywności wroga, zdawał się tym w ogóle nie przejmować. Angus podejrzewał, że właściwa generałowi buta każe mu czekać, aż nieprzyjaciel stanie się tak silny liczebnie, że warto go będzie zaatakować. Jak - perorował podobno Hawley - można by zgniecenie niesfornej hałastry tysiąca dwustu rebeliantów przez jego ośmiotysięczną armię uznać za coś więcej niż łatwe zwycięstwo? Nawet dwa i pół tysiąca tych drapichrustów nie stanowi realnego zagrożenia. Karol Stuart przygotowuje się do zwinięcia obozu w Glasgow i ruszenia do Stirling; dopiero pokonanie samego księcia byłoby czymś, o co warto się pokusić.

Angus słyszał o tych przechwałkach Hawleya i uznał tylko, że generał jest jeszcze większym głupcem, niż on osobiście sądził: jak można być tak zarozumiałym! Hawley z pewnością przecież czytał raporty o bitwie pod Prestonpans, w których oficerowie donosili, że to po prostu widok atakujących górali i dźwięki towarzyszące ich szarży wywołały taki popłoch wśród większości ich ludzi, że rzucili się do ucieczki, nie oddawszy nawet jednego strzału. Jasnowłosa, o wydłużonej twarzy Hamilton Garner był tamtego dnia na polu bitwy. Jeśli ktoś powinien natrzeć uszu Hawleyowi, to właśnie Garner, bo należał on do tych nielicznych, którzy dotrzymali pola i stawili opór krwawemu natarciu. Cena była jednak wysoka - zginęła ponad połowa dragonów z jego regimentu.

- Ach, tu się pan ukrywa, kapitanie.

Angus zaklął w duchu i pociągnął następny łyżeczek brandy. Po zakończeniu wieczornego posiłku wycofał się z zadymionego salonu i liczył na to, że wykradnie się z Holyrood House po kryjomu. Czekał, aż uwaga obecnych skupi się na muzyce i pięknych kobietach, znalazł sobie schronienie w galerii portretów, długim pomieszczeniu o łukowym sklepieniu, pełnym marmurów i złocień.

- Podziwia pan któregoś z królewskich przodków? - Major Worsham podszedł bliżej i zadął głowę, by przyjrzeć się obrazowi, pod którym stał

Angus. Ściany były obwieszane gobelinami i portretami naturalnej wielkości, przedstawiającymi królewski ród Stuartów w całej jego dawnej chwale; obraz, przy którym znalazł się Angus, przedstawiał praprababkę księcia, królową z rodu Stuartów, znaną jako Maria Krwawa.

W młodości królowa była uderzająco piękna, a malarz, portretując ją, włożył w to dzieło cały swój talent. Włosy miała ognistorude, szyję długą i gładką, a oczy niebieskie jak szafiry, spoglądały na nich uwodzicielsko.

- Z pewnością jest w tej kobiecie co podziwiać - przyznał Worsham - mimo jej skłonności do morderstw i intryg. Domyślam się, dlaczego woli pan się przyglądać jej, a nie innym Stuartom - podobieństwo do pańskiej żony jest wprost porażające... zwłaszcza oczy i usta...

Angus odwrócił się. Zaskoczył go, a także trochę zaniepokoił, widok drugiego oficera w czerwonym kubraku stojącego obok Worshama. Był to major Hamilton Garner, przy nim zaś, trzymając go pod rękę, stała czarnooka Adrienne de Boule.

- Obawiam się, że nie potrafię dostrzec podobieństwa - odezwał się Garner uprzejmym tonem. - Ale ja widziałem pańską małżonkę tylko raz, gdy miałem przyjemność być jej przedstawiony.

- Pewne podobieństwo rzeczywiście jest - przyznał Angus.

- Ależ oczywiście - upierał się Worsham. - Te włosy, te oczy, ten obfity kształt jej... górnej części postaci. Ciekaw jestem bardzo, czy kiedykolwiek udało się panu nakłonić żonę, by pozowała do portretu?

- Proponowałem to kilka razy, ale zawsze znajdowała jakąś wymówkę. Obawiam się, że dostrzega w swojej urodzie zbyt wiele niedostatków, które mogłyby zostać wyolbrzymione na płótnie.

- Niedostatków? Nie zauważyłem żadnego.

- Jej zdaniem jest za wysoka - mruknął Angus. znów spoglądając w górę na malowidło. - I uważa, że ma krzywy nos, chociaż zapewniam ją zawsze, że tylko leciutko zadarty... w lewo.

- Wielki Boże! Większość żonatych mężczyzn nie potrafiłaby powiedzieć, czy ich żony mają oczy niebieskie czy brązowe. Z pewnością odczuwa pan jej brak tutaj.

Angus skupił się w sobie i uśmiechnął niewyraźnie.

- Przyznaję, że bywają chwile, gdy brakuje mi tej rozrywki.

- Nawet gdy wokoło jest tyle innych?

Sporowokowany tym pytaniem, Angus utkwiał wzrok w Adrienne. Włosy miała wysoko upięte i tak białe od pudru, jak jej skóra, której nie omieszkała odsłonić w obfitości. Z natury była drobną, szczupłą istotą, a z ciasno ściśniętą talią wydawała się jeszcze drobniejsza, jej piersi zaś sterczały tak wysoko, że dwie jasnoróżowe obwódki wokół sutków wychylały się z jedwabnej ciemnopurpurowej sukni.

Zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

- Pańska żona - rzucił Garner od niechcienia. - Zdaje się, że skupia na sobie więcej uwagi ostatnimi czasy, niżby wymagały tego względy należne pięknej kobiecie.

- Pan wybaczy, nie rozumiem?

- Nie czytał pan tych wszystkich dzisiejszych rozkazów?

Angus spojrział w szmaragdowozielone oczy i poczuł się tak, jakby został zwabiony na kruchy lód, który zaraz załamał się pod jego ciężarem.

- Przez cały dzień prowadziłem w polu ćwiczenia ze strzelania z muszkietów z moim regimentem i wyznaję, że wolałem wziąć gorącą kąpiel, niż się grzebać w stosie papierów.

- Więc nic pan nie wie o działaniach pańskiej małżonki pod pana nieobecność?

- Mówi pan takim tonem, jakby zdobyła szturmem Londyn i wzięła króla do niewoli.

Garner wydał krótkie parsknięcie z głębi gardła; ten śmiech był tak sztuczny, jak jego przyjacielskie nastawienie.

- Nie radziłbym panu robić z tego żartów. Wydaje się, że pańska żona robi z siebie niezłe widowisko. Mamy wiadomości pochodzące z wiarygodnego źródła, że włóczy się potajemnie po okolicy, usiłując wzniecić rebelię w pana klanie. Dokładniej mówiąc, opowiedziała się po stronie księcia i spędziła ostatnie trzy tygodnie, zbierając podpisy pod petycją, które dałyby jej wymagane poparcie, by pod pańską nieobecność przejąć władzę na klanem.

Angus spojrział na niego zdumiony.

- Nie wierzę w to.

- Źródło jest na pewno wiarygodne - dodał Garner, wpatrując się z napięciem w twarz Angusa. - Sam lord Loudoun przesłuchiwał człowieka, którego ostatnio aresztowano i który... został nakłoniony... do wyjawienia wszystkiego, co wie o powodzi plotek, które do nas docierały od dwóch tygodni. Tak całkiem szczerze, muszę powiedzieć, że w pewnych kręgach dowództwa żywiono podejrzenia, iż pan sankcjonuje poczynania żony, a nawet ją do nich zachęca, ale... - uniósł niedbale rękę aroganckim gestem człowieka przywykłego do czynienia afrontów bez obawy o konsekwencje - ...lord Forbes osobiście zaręczył o pańskiej lojalności i zapewnił generała, że pańska wierność królowi Jerzemu jest niezachwiana.

Angus odstawił kieliszek na stolik, który dostrzegł tuż obok, i splótł ręce za plecami.

- Moja wierność Szkocji jest niezachwiana, majorze. I moja wola, by czynić to, co jest najlepsze dla niej i jej narodu.

- To godny podziwu sentyment, zapewniam pana, ale jak pan wie, na polu bitwy nie ma miejsca na sentymenty. Jako oficera bardziej interesuje mnie to, czy mogę mieć pewność, że kiedy moi dragoni ruszą do ataku, pańska piechota będzie ich wspierała z tyłu.

- Jeśli tylko pańscy ludzie skierują swój atak we właściwym kierunku, nie musi pan zaprzętać sobie głowy tym, gdzie jestem ja i mój regiment.

Zieleń oczu Garnera pociemniała i Angusowi wydało się, że lód zaczyna mu pękać pod stopami. Wszyscy należący do kadry oficerskiej dobrze wiedzieli, że Garner jest mistrzem fechtunku i zarazem doskonałym strzelcem. Jak dotąd, raz tylko przerwana została wspaniała seria stoczonych i wygranych przez niego pojedynków.

- Nadużywa pan mojego poczucia humoru - odparł Garner sztywno.

- Pan zaś pozwala sobie obrażać mój kraj, moją rodzinę i moje dobre imię. Nie wiem, kto jest tym pańskim „wiarygodnym źródłem”, ale zapewniam pana, że moja żona nie włóczy się po okolicy. Przebywa w Inverness w gościnie u mojej matki, lady wdowy MacKintosh, i jeśli krążą jakieś plotki, mogę powiedzieć, że w najlepszym razie są bezpodstawne, a w najgorszym są zupełnym szaleństwem.

- I oczywiście może pan przedstawić dowód, że pańska żona przebywa w Drummuir House.

Angus rzucił Worshamowi szybkie i zimne spojrzenie.

- Nie mam obowiązku tego dowodzić, majorze.

- Ale gdyby pan musiał... - nie dawał za wygraną major i oczy mu rozbłyły.

- Gdybym musiał - odrzekł Angus - mam listy zarówno od żony, jak i od matki. Długie, nudne, szczegółowe listy o tym, jak spędzają długie, nudne dni. Skąd ma pan pewność, że kobieta kręcąca się po okolicy i siejąca zamęt to moja żona?

- W różnych doniesienia mówi się o wysokiej, rudowłosej kobiecie, której towarzyszy John MacGillivray - odparł Garner. - I o tym, że przebywa w jego domu w Dunmaglass.

- Z różnych doniesień wynikało także, że armia księcia liczy pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Jeśli fakt, że ta kobieta jest ruda, ma dowodzić, iż rebeliantką jest moja żona, proponuję, żeby pan znalazł gospodarstwo, wieś czy miejską tawernę, gdzie nie byłoby osoby odpowiadającej temu opisowi, lub żeby pan chociaż zawarł znajomość z narzeczoną Johna MacGillivraya: bardzo wysoką, bardzo atrakcyjną kobietą z prawdziwą chmarą długich rudych włosów-zanim pozwoli pan sobie na zniewagi pod adresem mej żony.

Garner zmrużył oczy. Można się było bez ryzyka założyć, że major nie widział na oczy Elizabeth Campbell, a nawet jeśli widział, to nie pamięta, iż jest ona niska i ciemnowłosa. W każdym razie Angus przygotował się na atak, zastanawiając się, czy ma większe szanse w pojedynku na szable, czy na pistolety.

Ale westchnienie Adrienne do Boule, które miało uświadomić trzem mężczyznom, jak bardzo znużyła ją ich rozmowa, przerwało tę pełną napięcia scenę. Towarzyszyło mu trzaśnięcie jej wachlarza, które w ciszy zabrzmiało jak wystrzał.

- No, no, panowie - skarciła ich z wdziękiem. - Czy musimy marnować ten cudowny wieczór na wzajemne docinki? Kapitanie MacKintosh, obiecał mi pan taniec, a właśnie słyszę, że muzycy stroją instrumenty.

- Będzie mi pani musiała wybaczyć, że nagle poczułem się w nieodpowiednim nastroju do tańca.

- Tę wymówkę już słyszałam wczorajszego wieczoru, że nie wspomnę o przedwczorajszym. - Zebrała fałdy sukni, stanęła u jego boku, i wsunęła wolną

rękę pod jego ramię. - Jeśli mi pan jeszcze raz odmówi, milordzie, nie będę miała innego wyjścia, jak tylko rzucić się z okna z rozpaczą.

Angus zmarszczył brwi niezdecydowany. W pierwszej chwili poczuł nagłą chęć, by otworzyć uprzejmie najbliższe okno. Ale w następnym momencie, gdy czubki paznokci Adrienne wbiły mu się w ramię, postanowił podporządkować się ostrzegawczemu błyskowi jej oczu.

- Naturalnie - powiedział z rezerwą. - Byłbym w rozpacz, gdyby spadła na mnie odpowiedzialność za taką stratę.

- *Bien!* - Adrienne uśmiechnęła się do Garnera i Worshama. - A zatem, jeśli panowie nam wybaczą...

Dwaj oficerowie w czerwonych kubrakach patrzyli, jak para oddala się wzdłuż galerii i Angus miał wrażenie, że ich spojrzenia wypalają mu dziury w łopatkach.

- Czy pan szuka śmierci, kapitanie? - mruknęła jego partnerka, gdy tamci już nie mogli ich usłyszeć - czy też po prostu jest pan idiotą?

Zwolnił kroku, chcąc się zatrzymać, ale ona nie puściła jego ramienia i pociągnęła go naprzód.

- Ci dwaj niczego by bardziej nie pragnęli, jak sprowokować pana do pojedynku, zwłaszcza Gamer jest nastawiony niebywale krwiożerczo, a Worsham... no cóż. Usiłuje zrekompensować sobie swoje braki w innych dziedzinach, puszac się jak wojowniczy kogut.

- Panno de Boule, choć doceniam to, że rozładowała pani sytuację...

- Ten zielonooki zarznąłby pana, nie uroniwszy kropli potu - powiedziała otwarcie. - Słyszałam, że igra ze swymi ofiarami jak kot z myszą, a kiedy zabawa go znudzi, kończy ją. Tak to jest.

- Pani opinia o moich możliwościach podtrzymuje mnie na duchu - powiedział oschle.

- Jestem realistką, monsieur. A także widziałam pana, ćwiczącego szermierkę na dziedzińcu.

- Więc teraz niech pani posłucha...

- Nie. Niech pan mnie posłucha. Nie ma pan pojęcia, jak niewiele brakowało już kilka razy, żeby pana aresztowano. Jedynym powodem, że

jeszcze do tego nie doszło, jest to, że chociaż major jest przekonany, iż przekazuje pan tajne wiadomości jakobitom, nie potrafił dotąd pana przyłapać na gorącym uczynku. Dopóki mu się to nie uda, nie ośmieli się zlekceważyć poręczenia, które lord Forbes złożył za pana.

- Skąd pani o tym wie? I dlaczego u diabła mieliby myśleć... - przerwał, bo gdy weszli do sali balowej, spódnica Adrienne zahaczyła o szablę przechodzącego oficera. Partnerka Angusa najpierw kokieteryjnie zapewniła przystojnego młodego mężczyznę, że nic się nie stało, a potem przez całe dwie minuty, które zajęło gościom zebranie się i ustawienie do tańca, prawiła mu komplementy na temat wielkości jego broni i twardości ostrza.

Orkiestra zaczęła grać. Adrienne ruszyła naprzód i skłoniła się przed Angusem, na tyle nisko, że mogła dosłyszeć jego pospieszny szept nad swoją głową.

- Dlaczego, u diabła, mieliby myśleć, że przekazuję tajne wiadomości jakobitom? - syknął.

- Bo pańska żona jest po ich stronie, monsieur, a ja też widziałam pana stęsknione spojrzenie, kiedy oglądał pan portret w galerii.

- Pomijając już politykę, Anne ma za dużo rozsądku, by mieszać się w coś tak niebezpiecznego.

Adrienne wyprostowała się i popatrzyła na niego dziwnie, po czym zawirowała z wdziękiem, a jej szeroka marszczona suknia z purpurowego jedwabiu wydeła się idealnie symetrycznie z tuzinem innych kolorowych spódnic po obu stronach. Gdy zbliżyli się ku sobie dostatecznie, uśmiechnęła się i ledwie poruszając wargami, powiedziała:

- Ty niemądry człowieku. Czy naprawdę wierzysz, że ona tkwi beczynnym w Drummur House?

- Nie wiem, co pani sugeruje, ale...

- Pan naprawdę nie wie?

- Do licha, oczywiście, że nie wiem... - Rozdzielili się i Angus musiał przygryźć język aż do następnej figury.

- Pana żona jest o godzinę konnej jazdy od Aberdeen - powiedziała Adrienne, posuwając się naprzód, by wykonać wdzięczny krok. -

Przyprowadziła ze sobą ośmiuset ludzi z pana klanu; wszyscy są uzbrojeni i noszą kokardę Stuartów.

Angus osłupiał. Wpadł na dżentelmena obok, który przyjął jego pospiesznie wymruczane przeprosiny, a tymczasem pary się połączyły i rozpoczęły następną serię zawiłych kroków.

Ośmiuset ludzi!

To nie mogło być prawdą!

Dobry Boże, to było... Co ona sobie myśli? Nie, oczywiście ona w ogóle nie myśli, ale... ośmiuset ludzi! On, wódz klanu Chattan, zdołał zwerbować zaledwie sześciuset, a nim przybył do Edynburga, wszyscy z wyjątkiem czterdziestu rozplynęli się gdzieś w nocy, nie chcąc podnieść broni przeciw księciu.

Adrienne przypląnęła na powrót ku niemu, w powodzi jedwabiu.

- Nawet przyznali jej rangę wojskową - powiedziała słodko. - Tytułują ją pułkownikiem Anne. Wyznaczyła swoich oficerów, oczywiście przede wszystkim kapitana Johna Alexandra MacGillivraya.

Tym razem Angus stanął jak wryty. Zwiesił ręce po bokach i nie docierały do niego spojrzenia i syki reszty tańczących. Mogło się wydawać, że potężna ilość alkoholu, którą pochłoniął podczas całego wieczoru, zmogła go nagle, otepiła zmysły, spowodowała zawrót głowy, suchość w ustach i zwilgotnienie palców. Ujrawszy, jak jego twarz blednie gwałtownie, Adrienne szybko wzięła go pod ramię i poprowadziła przez ciąg otwartych drzwi na kamienny taras.

Za jej radą, kilkakrotnie głęboko wciągnął w płuca zimne powietrze, co mu wyraźnie pomogło. W każdym razie znikło niebezpieczeństwo, że zwali się na podłogę, jak worek ziarna. Adrienne zniknęła gdzieś na chwilę, a wróciwszy, wcisnęła mu do ręki kieliszek nierozcieńczonego bordo.

- Niech pan to wypije - rozkazała. - Do dna.

- Skąd pani wie te rzeczy o Anne? Skąd pani wie, że to prawda?

- Moje źródła informacji są lepsze niż Hawleya - odpowiedziała po prostu. - Sądzę jednak, że sytuacja zmieni się lada dzień. Jak tylko pańska pułkownik Anne przybędzie do Aberdeen, będzie trudno przekonać kogokolwiek, że siedzi w domu i pisze listy.

Angus potarł skroń.

- Ja... nie rozumiem. To znaczy, wiem, że jest impulsywna i uparta, ale to... to nie da się porównać z niczym, co zrobiła dotychczas.

- Tak to bywa, że robimy od czasu do czasu rzeczy, które nie dadzą się porównać z niczym, co zrobiliśmy wcześniej, zwłaszcza w takich czasach jak teraz. Nieraz nawet zaskakujemy samych siebie, udając kogoś, kim nie jesteśmy. Udając na przykład, że bawi nas, gdy nas ktoś obłapia i pieści, a tymczasem z trudem znosimy dotknięcie męskiej ręki. Przynajmniej tego konkretnego mężczyzny.

Grymas na twarzy Angusa stał się jeszcze bardziej ponury, gdy na nią spojrział.

- Worshama?

- To świnia, nie człowiek, monsieur. Okrutna, podła świnia. Myjąc się co rano, zdrapuję sobie niemal skórę, po tym, jak z nim jestem.

- Więc dlaczego...?

- Ponieważ on nie najlepiej czyta - odpowiedziała, uśmiechając się chytrze. - Często musi wymawiać na głos słowa, by domyślić się, jakie litery widzi na papierze. I najczęściej robi to w nocy w swoim pokoju, kiedy inni oficerowie nie mogą go widzieć i śmiać się z jego nieudolności. Najpierw był przy mnie ostrożny i tylko ruszał wargami, ale potem natrafił na coś, co jak sądził, mnie rozbawi, a ja mu powiedziałam, że to mnie tylko nudzi i usypia, więc zaczął robić mi na złość. To go bawi, widzi pan, irytowanie i dręczenie ludzi. Im bardziej ignorowałam jego depesze i mapy, i memoranda, tym częściej czytał je na głos, a ponieważ mam bardzo dobrą pamięć, potrafię spisać później te same słowa i przekazać je ludziom, którzy wiedzą, jak zrobić z nich najlepszy użytek. Nie jest to coś tak wspaniale odważnego, jak przypasanie szabli, jeżdżenie po okolicy i wzywanie ludzi pod broń, ale moje talenty są poważnie ograniczone. Specyficzne, można by nawet rzec. To jest coś, co potrafię robić, i to robić dobrze.

- Pani jest szpiegiem?

- Wolalabym, żeby mnie nazywano lojalną jakobitką, monsieur. I może następnym razem, kiedy mnie pan zobaczy w korytarzu, jak schodzę na śniadanie, będzie pan pamiętał o ogromie mego poświęcenia i nie będzie pan mierzył mnie tak ponurym wzrokiem?

Angus nie mógł wykrztusić z siebie słowa, ale ona tylko się roześmiała i potrząsnęła głową ubawiona jego prostodusznością.

- A teraz, mój śmiały kapitanie - na którego dyskrekcji, jak sądzę, mogę polegać - te listy od żony, o których pan mówił tak ładnie... Sądzę, że chyba nie istnieją?

- Z pewnością Worsham nie poprosi, bym mu je pokazał.

- Nie. Ale przeszuka pański pokój, może pan być tego pewien.

Rozłożył bezradnie ręce.

- Długie i nudne? - spytała z przesadnie głębokim westchnieniem. - *Bien*, mam pokojówkę, Konstancję, która lubi mówić bez przerwy, tak że prawie zapomina o oddychaniu. Dam jej pióro i stos papieru i do rana będzie pan miał swoje listy. Całe tuziny, bo dziewczyna ma dość fantazji, by dostarczyć panu powieść za pensa. Niech pan tylko je przeczyta, bo może będzie pan musiał wiedzieć, co zawierają.

- Czy w ten sposób nie narażam pani na ogromne niebezpieczeństwo?

- Owszem. - Wspięła się na palce i przytknęła usta do jego ucha. - To będzie mi pan to musiał w przyszłości odpowiednio wynagrodzić.

Jej wargi musnęły jego policzek, potem usta, a następnie Adrienne drobnym krokiem wróciła do sali balowej, szeleszcząc cicho wachlarzem.

12

Trzy dni później przybył kurier do kwatery generała Hawleya i zawiadomił go, że książę zwinął obóz i że kieruje się na północ. W tym samym czasie lord Lewis Gordon pozostawił Aberdeen z zaledwie trzema tysiącami ludzi i ruszył na zachód, mając nadzieję, że połączy się z głównym trzonem armii księcia, zanim ten dotrze do Stirling.

Generał Hawley nie mógł już dłużej ignorować zagrożenia. Trzynastego stycznia na jego rozkaz major-generał John Huske wymaszerował z Edynburga.

Dwa dni później opuścił Edynburg sam Hawiey i połączył się z oddziałami Huskeła pod miastem Falkirk. Tam dołączyło się do niego dodatkowe dwanaście regimentów milicji Argyle'a, powiększając siły rojalistów do ośmiu tysięcy ludzi. Po raz pierwszy od początku konfliktu obie armie pod względem liczebności były mniej więcej równe, obie strony równie gorąco pragnęły przy tym zwycięstwa. Hawiey chciał się zrewanżować za wcześniejsze porażki oddziałów elektora, Karolowi bardzo zależało na odzyskaniu zaufania straconego z powodu odwrotu.

- Wypijesz jeszcze łyk, dziewczyno? - Wywrzeszczane pytanie wybiło się ponad ogólną wrzawę: Archibald Cameron podniósł do ramienia świeżo otwarty dzban uisque baugh. - Masz oczy tylko trochę maślane, a tyle jeszcze jest toastów do spełnienia za twoją odwagę i twoją piękność.

Anne śmiała się pośród stukania kufli i okrzyków aprobaty. Oczy może i miała trzeźwe, ale jej zmysły były zamroczone - rozkosznie kręciło jej się w głowie, gdy wyciągnęła kubek i otrzymała jeszcze jedną porcję whisky oraz kolejną serię ochrypłych wiwatów.

Była jedyną kobietą w tawernie wypełnionej do granic możliwości krzepkimi góralami, którzy przebyli drogę do serca Anglii i z powrotem - dzielnymi wojakami, którzy nie tylko byli uprzedzeni ojej obecności w Aberdeen, ale wiedzieli też, jaką rolę odegrała w pozbyciu się Holendrów z Anglii. Dwie części armii połączyły się niedaleko Stirling; prawie połowa ludzi księcia ustawiła się wzdłuż drogi do miasta i witała lorda Gordona, podrzucając w górę berety i kręcąc nimi nad głowami.

Anne nigdy jeszcze nie oglądała takiego widowiska, i oczywiście nie brała udziału w czymś podobnym. I oto była tam; siedząc dumnie na potężnym siwku, starała całą siłą woli powstrzymać łzy napływające do oczu i nie pozwolić sercu wyrwać się z piersi.

U jej boku jechał John MacGillivray, pełen wewnętrznego ognia jak zawsze, czarnooki olbrzym ze złotymi włosami związanymi z tyłu głowy, z osobistym arsenałem muszkietów, sztyletów i rapierów połyskujących w słońcu. Jego porucznicy: Robert, Jamie i Eneas Farquharsonowie podążali tuż za nim, a pomiędzy nimi, z twarzą zalaną łzami radości, jechał posiwiasty stary wojownik Fearchar z Invercauld. Gillies MacBean jechał na czele swoich MacBeanów, a jego dudziarze rywalizowali rzecz jasna z dudziarzami Shawów, Davidsonów, MacDuffów, MacPhersonów i MacKintoshów, którzy maszerowali w komplecie pod sztandarem klanu Chattan.

Księżę Karol Edward Stuart w tartanowych spodniach i niebieskim aksamitnym kubraku czekał, by ich osobiście powitać. Dwudziestoczteroletni

mężczyzna o chłopięcej urodzie, pozdrawiał każdego z lairdów po kolei, głośno podając ich imiona ciżbie wiwatujących górali. Kiedy Anne wystąpiła naprzód, książę powstrzymał ją od kurtuazyjnego ukłonu, sam schylił się szarmancko do jej dłoni i nazywał ją *ma belle rebelie*, wywołując taki ryk niosący się echem w rześkim zimowym powietrzu, że lodowe pancerze na gałęziach popękały i spadły na ziemię.

Anne słyszała, jak jej dziadek wrzeszczał niczym dziecko, gdy lord George Murray bez żenady powitał ją uściskiem. MacDonald z Keppoch ucałował jej dłoń. a potem cmoknął w policzek. Donald Cameron z Lochiel spoglądał ciągle ponad jej ramieniem na Johna MacGillivraya, najwyraźniej trudno mu się było doczekać chwili, gdy spotka się z wojownikami i uzyska możliwość ocenienia ich klasy, ale złożył Anne oficjalny ukłon i osobiście przedstawił jej swych braci, doktora Archibalda i - jakby nie była już dostatecznie bliska zemdlenia, bo już tyle razy jej serce zamierało na chwilę - człowieka, którego nazywano "legendą", samego Camshroinaich Dubh: Alexandra Camerona.

Anne skwapliwie przysłuchiwała się opowieściom snutym przy obozowych ogniskach w Aberdeen o męstwie Cameronów, MacDonaldów i ludzi z Atholl lorda George'a, a także o decydującej roli, którą odegrali w bitwach pod Colfs Bridge, a później pod Edynburgiem i pod Prestonpans. Tak bardzo pragnęła, żeby Angus należał do tego grona, ludzi walecznych i niezachwianie lojalnych, nieustraszonych, gotowych poświęcić wszystko - swe życie, posiadłości i fortuny - dla obrony króla i ojczyzny.

I tak bardzo pragnęła, żeby był teraz tutaj, w tej zatłoczonej, dusznej gospodzie na skraju St Ninians, o rzut kamieniem od świętego pola bitwy pod Bannockburn. Tak bardzo chciała dzielić z nim radość: z dudziarzy grających na dziedzińcu, członków klanu, którzy śpiewając, przesuwali z łomotem stoły razem z kuflami, i z takich ludzi, jak MacGillivray i Alexander Cameron, wznoszących toasty za przyszłe zwycięstwo księcia.

Tak samo wysoki i szeroki w barach jak MacGillivray, Czarny Cameron spędził ostatnich piętnaście lat na wygnaniu na kontynencie, walcząc w cudzych wojnach. Wróciwszy do swego ukochanego domu w Achnacarry, zastał kraj na granicy wrzenia, i od tego czasu nie odstępował lorda George'a Murraya. Krążyły plotki, że przywiózł sobie żonę Angielkę, i że stosunki między nią a klanem, którego wódz, Stary Lochiel, przebywał na wygnaniu razem z dworem Jakuba Stuarta od czasu przegranego powstania w roku tysiąc siedemset piętnastym, nie układały się najlepiej. Ale mówiło się też, że ta oblubienica wywodząca się z Sassenachów gwałtownie się broniła przed pozostaniem w bezpiecznym domu w Anglii i towarzyszyła mężowi w odwrocie spod Derby.

Nowy ryk przyciągnął spojrzenie Anne na koniec stołu, gdzie chełpliwy doktor Archibald Cameron przyzywał człowieka-górę, by ten wystąpił naprzód. Anne przypomniała sobie: olbrzym nazywał się Struan MacSorley. Przyglądała się, zdumiona, jak olbrzym podniósł do warg kwarciany cynowy kufel i zaczął pić. Odliczano chórem osiem, dziewięć, dziesięć głośnych łyków, po czym wśród potężnej wrzawy doktor poklepał człowieka-górę po plecach i mrużąc niebieskie oczy, rzucił wyzwanie upatrzonej ofierze z przeciwnego końca stołu. Anne pochyliła się naprzód i uśmiechnęła się, gdy Gillies MacBean zerwał się na nogi. Jamie i Robbie, stanąwszy przy nim z obu stron, masowali mu bary, szyję i brzuch, a kiedy postawiono przed nim pełniutki podwójny kufel, bliźniacy z powagą odstąpili na bok, przybrali obojętne miny, skrzyżowali ramiona na piersiach i spoglądali nań jak para na pół pijanych niedźwiedników.

Gillies opróżnił naczynie, nie mrugnawszy okiem, i odstawił je swobodnym gestem. Tłum oszalał na moment, a potem berety powędrowały w górę jak zaczarowane i przy wszystkich stołach zaczęto robić zakłady.

- Nie chciałbym sprawić przykrości naszym ziomkom obdzierając ich do ostatniego miedziaka już pierwszego dnia.

Anne spojrzała na drugą stronę stołu i uśmiechnęła się do tego, który to powiedział, Alexandra Camerona:

- To prawda, ja sobie to samo pomyślałam, tyle że zastanawiałam się, co pan powie, gdy oskubiemy pana do czysta pierwszego wieczoru, który razem spędzamy.

Cameron odchylił się do tyłu z błyskiem granatowoczarnych oczu. Obok niego człowiek z jego klanu, Aluinn MacKail, zarżał śmiechem i sięgnął do kieszeni po złotego suwerena. Trzeci dżentelmen, wyelegantowany włoski hrabia w kaftanie ozdobionym wstążkami i kapeluszu muszkietera przybranym piórami, opuścił rękę na stół i dołożył drugą monetę prawie tak samo szybko.

- Od pierwszego wieczoru, kiedy dołączyłem do tego towarzystwa szaleńców, wiem, że trzeba mieć żelazne bebechy, by wygrać z MacSorley'em.

- O ile pamiętam, Fanducci - rzucił przez ramię MacKay - wam się udało go przetrzymać.

- Ach, si, si. - Hrabia skromnie dotknął dłonią własnej piersi. - Ale ja nie jestem zwykłym szaleńcem. Mnie karmiono winem wraz z mlekiem matki.

MacGillivray, siedzący obok Anne, wygrzebał z sakiewki dwie złote monety i cygaro. Kiedy spostrzegł, jakim wzrokiem wpatruje się Cameron w ten

rarytas, uśmiechnął się i wetknął cygaro między zęby, wyciągnął następne i położył obok monet.

- Poczekajmy i zobaczymy, który z nich ustoi na nogach, gdy upłynie godzina, zgoda?

Cameron kiwnął głową na znak zgody, po czym z kieszeni na piersi wyciągnął swoje dwa cienkie czarne cygara. Jedno zwilżył i w zamyśleniu wsunął między wargi, drugie położył obok grubszego cygara z Karoliny.

Gillies i MacSorley opróżnili tymczasem po drugim pełnym kuflu i obaj stali pewnie jak skała, każdy na swoim końcu długiego dębowego stołu na krzyżakach. Doktor Archibald Cameron usadowił się na poręczy krzesła, dzięki czemu jego oczy znalazły się na tym samym poziomie, co oczy jego czempiona, a bliźniacy, by nie być gorsi, przyciągnęli pustą beczułkę, żeby krępy Gillies na niej stanął.

- Pańska żona musi być bardzo dzielna, skoro panu towarzyszy, sir - odezwała się Annę do Alexandra Camerona, przekrzykując harmider.

- To prawda, pułkowniku. Jest dzielna i uparta. Podobnie jak ktoś inny siedzący przy tym stole. - Wzniósł kubek w geście pozdrowienia. -I proszę mnie nazywać Aleksem.

- W takim razie musisz mnie nazywać Annę. Obawiam się, że rangę nadano mi tylko dla ozdoby.

- Czy wolałabyś ma belle rebelie? Albo może „rudowłosa amazonka”?

Roześmiała się i potrząsnęła głową. Przydomek ten otrzymała po drobnej, lecz niebezpiecznej potyczce w drodze do Stirling. Straż tylna milicji Argyle'a przekroczyła Blairlogie tuż przed przednią strażą lorda Gordona, a ponieważ ta składała się głównie z ludzi MacKintosh, Annę znajdowała się jak zwykle obok MacGillivraya. Gdy ludzie Argyle'a ruszyli do ataku, nie zdążyła się wycofać i znalazła się w samym gąszczu bitwy. Campbellowie zamierzali opóźnić marsz kolumny jakobitów, ale napotkali tak zacięty opór, że mogli mówić o szczęściu, gdy udało im się umknąć i tylko kilku z nich odniosło rany. Jeden z uciekających zauważył Annę. Zgubiła beret, włosy rozsypały się jej na ramiona, zaś wspaniałe siwy ogier stał na tylnych nogach, gdy szablą kręciła młynka nad głową.

Wieść o „rudowłosej amazonce z szablą w dłoni na polu bitwy” rozniosła się piorunem wśród jakobitów, znalazła się nawet w raporcie z obozu Hawleya, przejętym po drodze do Londynu. Dodało to blasku sławie Annie, którą

zawdzięczała zuchwałej kradzieży papierów Duncana Forbesa, i sprawiło, że prawie każdy z mężczyzn obecnych w gospodzie tej nocy chciał napełnić jej kufel i wznieść toast na jej cześć.

- Siedem... osiem... dziewięć...

Tłum zawył i Anne znów pochyliła się do przodu. Gillies był przy czwartym kuflu, a chociaż łykał teraz nieco wolniej, wciąż robił to bez trudu i pewnie, a puste naczynie wylądowało na blacie stołu z takim samym głuchym stuknięciem na znak triumfu, jak kufel MacSorleya kilka chwil wcześniej.

- Na świętą brodę Chrystusa - oświadczył Archibald, kiwając się niepewnie na swej wysokiej grzędzie - on jest tak samo dobry jak Struan. Chyba niedługo będą potrzebne dwie beczki, jedna, żeby z niej pić, a druga, żeby w nią sikać.

- Myślę, że daruję sobie to wiekopomne widowisko - powiedziała Anne, której już mocno kręciło się w głowie. Wstała od stołu i ponieważ wszyscy mężczyźni podnieśli się również, dała im znak, by pozostali na miejscach. - To był długi, męczący dzień... - urwała, gdyż Archibald Cameron zachwiał się na krześle, po czym runął nieprzytomny w sieć podstawionych rąk. - ...I z pewnością nie chciałabym, żeby moja obecność przeszkadzała w męskich zabawach.

MacGillivray, który nie posłuchał jej rozkazu, tak jak ona naciągnął mocno, choć trochę krzywo, beret na głowę.

- Nie ma potrzeby, żebyś wychodził, John - powiedziała, kładąc mu dłoń na piersi.

Jego oczy pobiegły ku jej dłoni, tak samo jak prawie wszystkie oczy w promieniu trzech metrów, a potem się uśmiechnął, tym rodzajem uśmiechu, który, jeśli by go dostrzeżono w eleganckim towarzystwie, sprawiłby w głębokie omdlenie wszystkie obecne przyzwoitki.

- Dla mnie to żaden kłopot. Wierzę w wygraną Gilliesa. Do tego stopnia - dodał, pochylając się, by wyłuskać czarne cygaro ze stosiku na stole - że mógłbym równie dobrze wziąć to teraz i po drodze zapalić na dobranoc.

Cameron sięgnął po grube cygaro z Karoliny.

- A ja mam dość wiary w Struana, by delektować się tym teraz i zabrać drugie rano.

MacGillivray popatrzył przez chwilę w dół, po czym wyszczerzył zęby w dzikim uśmiechu.

- To dobrze, że walczymy po tej stronie. Trochę by mi było przykro, gdybym musiał zmienić kształt twego pięknego nosa.

- A ty na mój gust masz za dużo zębów. Korciłoby mnie, żeby kilka z nich włożyć ci do kieszeni.

Dwaj mężczyźni wymienili uśmiechy i ucisnęli sobie dłonie. John oznajmił, że życzy wszystkim dobrej nocy, po czym zaczął torować sobie drogę w ciżbie, rozdzielając brutalnie stłoczone ciała. Na dworze, w czystym, zimnym powietrzu, wsunął niezapalone cygaro pomiędzy wargi, wyciągnął ramiona w bok, do tyłu i zrównał swój krok z Anne. Uległszy jego naleganiom, urządziła sobie kwaterę w chacie, którą przystosowano odpowiednio, by zapewnić jej wygody, a ponieważ wioska liczyła nie więcej niż czterysta metrów długości, Annę wolała iść pieszo, niż znów znaleźć się w siodle.

- No i? - spytała, owijając pled wokół ramion.

- O co ci chodzi?

- Jak to wszystko oceniasz, jak dotąd?

- Nie miałem możliwości przypatrzeć się wszystkiemu, ale wygląda na to, że zebrało się tu mnóstwo wspaniałych ludzi, gotowych iść za lordem George'em, gdzie tylko ich poprowadzi.

Anne zauważyła, że nie powiedział nic na temat talentów wodzowskich księcia, i zamyśliła się na chwilę nad tą kwestią, bo sama wyczuła pewne napięcie pomiędzy Karolem Stuartem a jego generałem głównodowodzącym. Powiedziano jej, że w ciągu kilku dni po wydaniu rozkazu do odwrotu spod Derby, gdy logika lorda George'a wzięła górę nad animuszem księcia, prawie ze sobą nie rozmawiali i porozumiewali się niemal wyłącznie za pośrednictwem krótkich oficjalnych listów.

Sytuacja niewiele się poprawiła w czasie marszu z Glasgow do Stirling. Istotnie, lord George ze swymi dwustu ludźmi z Atholl odjechał po południu w kierunku Linlithgow ponoć po to, by przejmować wszelkie dostawy skierowane do obozu Hawleya.

- Jak daleko jest Falkirk? - spytała Anne.

- Jedna dolina, jedna góra i jedno bagno stąd - odpowiedział. - Około piętnastu kilometrów w tamtym kierunku - dodał, wskazując w ciemność.

- Czy myślisz, że Anglicy wiedzą, że tu jesteśmy?

- Byliby bandą głupców, gdyby nie wiedzieli. Gwarantuję, że gdybyśmy się wspięli na najbliższe wzgórze, zobaczylibyśmy poświatę z ich ognisk w oddali, tak jak oni mogliby zobaczyć nasze.

- A nie myślisz, że przygotowują się do zaatakowania nas?

- Wątpię, czy przygotowują się do zasypania rzeki, dziewczyno.

Szli dalej w milczeniu, słuchając własnych kroków skrzypiących na zmarzniętej ziemi. Kilkunastu dudziarzy wciąż jeszcze grało, gdyż noc była piękna, jasna, z niebem usianym gwiazdami, i echa tej muzyki rozbrzmiewały w czystym powietrzu u wylotu doliny. Okoliczne zbocza połyskiwały setką ognisk, namiotów tworzących szeroki pas, który biegł od miejsca, gdzie się znajdowali, do łąk Bannockburn, a nawet dalej do brzegów rzeki Forth. Namiotów było tak wiele, że nie dałoby się ich zliczyć. Obóz celowo tak bardzo rozciągnięto, licząc na to, że zwiadowcy angielscy dadzą się zwieść i mocno przecenią siły nieprzyjaciela - aż śmieszne, że ten prymitywny fortel, tak często skutkował w przeszłości.

- Widzisz, to nie grzech się bać.

Zwolniła kroku.

- Ja się nie boję. Naprawdę nie. Przynajmniej jeśli o tym nie myślę.

- A jeśli myślisz? Co wtedy?

- Wtedy... czuję się jak największy tchórz na świecie, bo chciałabym po prostu uciec i schować się gdzieś głęboko, licząc na to, że nikt mnie nigdy nie znajdzie.

- Ba! - położył łagodnie dłoń na jej ramieniu i mimo woli leciutko pogłaskał włosy na karku. - Wszyscy czasem się tak czujemy. Myślisz, że nigdy nie leżałem w nocy, nie mogąc zasnąć i rozmyślając, jak bym się czuł, mając w brzuchu koniec angielskiego bagnetu?

- Nie wierzę w to - zaprzeczyła i westchnęła w zadumie. - Nie wierzę, że się czegokolwiek boisz, Johnie MacGillivray.

- Więc się mylisz - odpowiedział po dłuższej chwili. - Bo śmiertelnie się boję o ciebie, dziewczyno.

Anne zwolniła kroku i po chwili przystanęła. Uświadomiła sobie naraz, że jego palce pieszczą jej kark. Wiedziała, że to miał być przyjacielski gest, nic więcej, a jednak... kiedy popatrzyła na Johna, gdy wyczuła nagłe napięcie w jego dłoni, nabrała pewności, że to nie jest pieszczota mężczyzny, który chce być tylko przyjacielem.

Może podziałała bliskość jego ciała albo nadmiar wypitego piwa. Może stało się tak dlatego, że było zbyt dużo gwiazd lub dlatego, że beczenie dud pulsowało w jej krwi. Albo dlatego, że byli sami w tym jednym z niewielu momentów, kiedy pozwalała sobie na taki brak rozsądku, wiedząc aż za dobrze, że i bez tego ludzie mieli językiem na ich temat.

Może zresztą prawdziwe były wszystkie te powody, a może było jeszcze wiele innych, dość że wyciągnęła ku niemu ręce, ujęła jego stwardniałą dłoń, po czym, trzymając ją wciąż, obróciła głowę i przycisnęła do niej wargi.

- Myślę, że to twoje oczy - powiedział sztucznie nonszalanckim tonem. - Wsysają w siebie mężczyznę tak głęboko, że nie ma nadziei, żeby się kiedyś mógł stamtąd wydostać. I zaczyna się zastanawiać... nad resztą. Czy czułby się tak samo.

Annę poczuła, że fala gorąca ogarniają aż do spodu stóp. Pochyliła głowę, wciąż trzymając jego dłoń przytuloną do policzka. Pewien obraz trwał w jej umyśle, tak wyraźny, że wywoływał dreszcze wzdłuż kręgosłupa, obraz tej ręki i drugiej wodzących po jej nagiej skórze, śliskiej od oliwy i rozgrzanej ciepłem jego ciała. Jeszcze jedno uderzenie serca znów przeniosło ją pod tę przeklętą ścianę na jarmarku i wiedziała, co jej miał wtedy do ofiarowania, wiedziała, co jej może teraz ofiarować, jeśli tylko da mu znak.

- To nie byłoby w porządku - powiedziała cicho.

- Tak, to prawda.

- Kocham mojego męża - powiedziała z naciskiem, nie wiedząc, czy próbuje przekonać jego, czy siebie. - Pomimo tego wszystkiego, co się zdarzyło, wszystkich ostrych słów i rozczarowań... ja go wciąż kocham.

- No to nie masz się czym martwić. Musisz tylko puścić moją rękę, pójść prosto do swojej chaty, do własnego łóżka, i będziemy udawać, że nigdy nie było tej rozmowy.

- A potrafimy to udawać?

- Chyba nie mamy wyboru, prawda?

Czy pytał ją, czyjej to oznajmiał? Zadarła głowę i spojrzawszy mu w twarz, napotkała oczy tak czarne jak noc, płonące uczuciem, którego nie chciała nawet identyfikować, bo gdyby to zrobiła, przywarłaby do niego całym ciałem i duszą i skończyłyby się te ciągłe bitwy, które sta-czali sami ze sobą.

- Tak by było najlepiej - zgodziła się.

- Aha.

Opuściła rękę. On opuścił swoją. I oboje westchnęli, wypuszczając obłoczki pary.

Poczuwszy nagle zimno, Annę otuliła się ramionami i owinęła pled ciaśniej wokół ramion. Stali na końcu ścieżki wyłożonej solidnie kamieniami, prowadzącej do frontowych drzwi chaty. Zostawiona tam lampa paliła się w oknie zrobionym ze sprasowanych płytek rogowych, więc stłumione światło, nie sięgało nawet zwisającej strzechy.

Chata miała jedną prostą izbę z pryczą w jednym rogu, a stołem w drugim. Może i było tam więcej sprzętów - jakieś krzesło lub stołek i naczynia na ścianie - ale w tym momencie Anne pamiętała tylko łóżko.

- Lepiej cię tu zostawię w takim razie - powiedział John, a napięcie w jego głosie świadczyło, że lojalność walczy w nim z pożądaniem. - Poradzisz sobie?

- Tak, poradzę sobie, Johnie!

Odwrócił się, żeby odejść, ale na dźwięk swego imienia obejrzał się tak szybko, że niemal zrobiła instynktownie krok ku niemu.

I czy tak źle by postąpiła? Angielska armia znajdowała się o pół dnia marszu od nich. W bitwie MacGillivray miał dowodzić MacKintoshami. Będzie w pierwszej linii, pierwszy wejdzie na pole walki, pierwszy ruszy do ataku i wystawi się na straszną palbę z tysiąca angielskich muszkietów. Prawdą było, że Anglicy stoją zdyscyplinowani w równych szeregach, a to znaczy, że są zdolni wypalić, naładować i ponownie wy-palić, i tak po wielekroć, w czasie, gdy górale rzucą się pędem przez otwarte pole, by ich dosięgnąć. John będzie tam, w pierwszych szeregach, wystawiony na każdą śmiertelną salwę, bo nie jest w zwyczaju szkockiego górala kryć się za skałami czy czekać w zaroślach. Honor i

tradycja każą im atakować otwarcie, z klanowym okrzykiem wojennym na ustach.

Annę będzie musiała trzymać się z tyłu, poza zasięgiem zabłąkanych kul i armatnich pocisków. Jeśli zobaczy, jak jej dzielny złotowłosy lew pada, czy będzie to tak ważne, że pozostała wierna mężczyźnie, który może okazać się tym, co oddał fatalny strzał?

To nie jest uczciwe, pomyślała Anne. Ani wobec Johna, ani wobec mnie, ani wobec Angusa.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Za odprowadzenie.

Ten ból trwał ciągle. Cierpienie powodowane niezdecydowaniem, tym, że wiedząc, co jest dobre, a co złe, mimo to pragnęła... nawet gdyby to miała być tylko jedna noc...

- Przyślę rano po ciebie któregoś z chłopaków- powiedział. - Spróbuj się trochę przespać.

Skinęła głową, niezdolna mu powiedzieć, jak absurdalna jest ta propozycja, niezdolna w ogóle powiedzieć cokolwiek przez ściśnięte gardło. Słyszała jego kroki na zmarzniętej ziemi; ich dźwięki przypominały kruszenie szkła i kiedy odprowadzała wzrokiem jego znikającą w mroku postać, wydało się jej, że słyszy, jak pęka jej zmartwiałe serce.

Z westchnieniem, które zdawało się płynąć z samego dna duszy, weszła do chaty i rozejrzała się po niej. Mała. Niczym się niewyróżniająca. Zanedbana. Pod wieloma względami dokładnie taka sama jak ta, którą nazywała domem przez większość życia. Annę nie urodziła się na panią wielkiej posiadłości jak Moy Hall. Nigdy nie sądziła, że będzie nosić gorsety i delikatne jedwabie, lub że będzie mieć siedemdziesięcioro służby czekającej na jej rozkazy.

Oparła głowę o drewnianą framugę. Czy to byłoby takie straszne zapomnieć na jedną noc, że jest taką wielką panią? Odczuwała samotność jak coś niemal dotykającego, w sobie. MacGillivray pragnął jej; czuła żar w każdym jego oddechu, każdym niebaczonym spojrzeniu. Która kobieta, nawet gdyby umiała doskonale panować nad swymi uczuciami, odesłałaby go precz do jego zimnego łóżka, a sama wróciła do swego? Któraż kobieta mająca gorącą krew w żyłach i zdrowe zmysły, nie chciałaby poczuć na sobie tych ramion, słyszeć tego głosu drżącego w jej uchu, czuć tego nagiego ciała wsuwającego się powoli w jej ciało?

Jęknęła cicho i przymknęła oczy.

Czy to możliwe, że się kocha dwóch mężczyzn jednocześnie? Czy jej dusza będzie się smażyć już za to tylko, że ośmieliła się zastanawiać nad taką ewentualnością?

Usłyszała naraz ciche pukanie do drzwi i rzuciła się naprzód. Odwróciła się i przez chwilę wpatrywała w pooraną framugę, zastanawiając się, czy John myśli tak samo jak ona. Jeśli to on, jeśli stoi tam, mnąc w ręku beret, z przekleństwem na wargach i pogardą dla ognia piekielnego płonącego w oczach... bez względu na to, co się stanie, decyzja nie należy już do niej.

13

Wydała z siebie zduszony okrzyk zdumienia i trwało dobrą chwilę, nim rozpoznała postać stojącą u wejścia. Twarz mężczyzny osłaniał postawiony wysoko kołnierz jego płaszcza i kapelusz naciągnięty na czoło. W bladym świetle lampy ledwie widoczny był zarys jego nosa nad ponurą, prostą linią ust.

- Angus?

Uniósł rękę, ściągnął beret z ciemnych włosów, i gdyby nie to, że wciąż kurczowo trzymała się drzwi, mogłaby runąć na ziemię z wrażenia.

Na szczęście miała się na czym oprzeć przez te dziesięć sekund, które upłynęły, zanim znikły gdzieś czarne płyty wirujące jej przed oczyma.

- Angus? - wyszeptała. - Czy to naprawdę ty? Skąd... skąd u licha się tu wzięłeś? Jak mnie znalazłeś? Dobry Boże, wyglądasz jak bryła lodu! Jak długo tak tkwisz na zimnie?

- Nie jestem pewien. Parę godzin, jak sądzę.

- Parę godzin! Ale... gdzie? Dlaczego...? Jak...?

Wiedziała, że zadaje niedokończone pytania bez ładu i składu, ale jej język nie mógł nadążyć za dziko kłębiącymi się myślami. Oszołomiona,

wciągnęła go do środka, i zanim zamknęła drzwi, w ostatniej chwili wychyliła głowę, by rozejrzeć się w ciemnościach.

- Nikt mnie nie widział - zapewnił Angus. - Byłem ostrożny.

- Ale skąd przyjechałeś? Jak mnie znalazłeś?

- Z Falkirk - odpowiedział. - I prawdę mówiąc, to Hardy cię znalazł.

- Hardy?

- Wolałem nie ryzykować, że ktoś mnie zobaczy kręcącego się wokół obozu nieprzyjaciela. Poza tym, nie byłem do końca pewien, czy będę pożądanym gościem.

- Czy będziesz? Jesteś moim mężem, oczywiście, że cieszę się, że tu jesteś. - W następnej chwili, gdy jej umysł zdążył przetrawić poprzednie odpowiedzi, puściła jego dłoń i cofnęła się o krok. - Falkirk? Jesteś tu z armią króla.

To nie było pytanie i nie wymagało odpowiedzi. Angus już rozpiął płaszcz, opuścił wełniany kołnierz i zobaczyła jaskrawoczerwoną bluzę oraz niebieskie wyłogi na kołnierzu i mankietach.

Zauważył jej spojrzenie i krzywiąc się lekko, westchnął cicho, jakby się usprawiedliwiał.

- Nie byłoby też najmądrzejszą rzeczą opuszczać obóz rządowy bez munduru.

- Chodź. - Cofnęła się w stronę paleniska. - Siądź i ogrzej się przy ogniu. Zaraz się na nowo rozpali. Chyba że... nie możesz zostać dłużej.

- Mogę. Na krótko.

Anne odwróciła się i lekki dreszcz przebiegł jej wzdłuż pleców. Jej mąż był tu, przy niej. Nie widziała go prawie od miesiąca, ostatni raz spotkali się w domu jego matki...

Cała tamta wstrętna scena odżyła w jej pamięci: znów widziała jakieś oderwane obrazy, słyszała gniewne głosy. Nie rozstali się wówczas po przyjacielsku, to pewne, a później otwarcie zlekceważyła jego autorytet jako wodza klanu i jako męża, a w dodatku dopiero co była prawie gotowa pójść do łóżka z innym mężczyzną.

Odepchnęła od siebie tę myśl tak stanowczo, jak potrafiła, pochyliła się nad ogniem i dołożyła nowego, suchego drewna na krąg żarzących się węgli.

- U ciebie wszystko w porządku? - spytała niepewnie, zerkając przez ramię. - Dobrze wyglądasz.

Nie ruszył się od drzwi. W ogóle się nie poruszył, zdjął tylko rękawice i nerwowo przeczesał palcami swoje ciemne włosy.

- Mam się całkiem dobrze. A ty? Wyglądasz... jak należy.

Idąc za jego spojrzeniem, przeniosła wzrok na swoje kraciaste spodnie i wysokie buty do kolan, gruby kaftan narzucony na krótki kubrak, i zwisający poniżej ramienia niedbale zapleciony warkocz.

- Proszę - powiedziała, wskazując stołek koło kominka. - Podejdź bliżej do ognia. Ogrzej się.

Zdawał się wahać, jak gdyby przyznając się do tego, że istotnie przeziął do szpiku kości. Zdradzał zarazem, że podlega także innym słabościom.

Anne odwinęła swój pled i zaczęła rozcierać ręce jedną o drugą, chcąc je rozgrzać.

- Ja sama też dopiero co przyszedłam. Byliśmy w gospodzie. Przyjechaliśmy do obozu dziś rano. Właściwie, koło południa.

Mówiła teraz to, co przychodziło jej do głowy, cokolwiek, byleby wypełnić ciszę. Suche drewno obok niej zajęło się i języki ognia ogarnęły świeże polana, trzaskając tak głośno, że omal nie odskoczyła. By ukryć zdenerwowanie, przyniosła ze stołu butelkę wina. Napełniwszy do połowy dwa kubki, dołała trochę wrzącej wody z kociołka wiszącego nad paleniskiem.

Angus poruszył się sztywno, jak gdyby niechętnie, ale wziął podany mu kubek, zacisnął palce wokół gorącego metalu i trzymał naczynie w obu dłoniach, by je ogrzać. Upłynęła następna chwila niezręcznego wyczekiwania, nim przyjął jej zaproszenie i przysiadł na brzegu stołka. Annę przykucnęła na piętach obok.

Wypiła łyk wina, ale prawie natychmiast odstawiła kubek, nie chcąc ryzykować, że utraci przytomność umysłu.

- Kiedy zobaczyłam, jak tu stoisz, myślałam... tak, miałam nadzieję...

- Miałaś nadzieję, że wreszcie odzyskałem rozsądek i postanowiłem się do was przyłączyć?

- Coś w tym rodzaju - przyznała cichutko.

- No więc, nie zmieniłem zdania. Jeśli idzie o przyłączenie się do was. Jednakże przyjechałem, żeby cię zapytać, czy do wszystkich diabłów wiesz, co robisz. Ty i ci twoi przekłeci krewniacy.

Zadał pytanie niby od niechcenia, głosem tak miękkim i spokojnym, jakby siedzieli w domu przy płonącym kominku i rozmawiali o przyszłorocznym zbiorze jabłek.

- Żadnemu z nas nie było łatwo podjąć decyzję - zaczęła. - I żadne z nas nie podjęło jej pochopnie.

- O nie. Jak rozumiem, zajęło ci prawie trzy tygodnie zebranie podpisów dostatecznej liczby głupców, chcących podążyć za tobą do Aberdeen. Tak, słyszałem wszystko o twojej petycji. Potrafię nawet powiedzieć, kto ją podpisał i jakich gróźb użyto, by go skłonić. Nie potrafię tylko zrozumieć, jak możesz nie widzieć tego, że Fearchar, twoi krewniacy, zwyczajnie posłużyli się tobą. Użyli ciebie, żeby wciągnąć w to MacGillivraya, bo inaczej za nic w świecie nie złamałby przysięgi, którą mi złożył.

Poczuła nowy dreszcz, który nie miał nic a nic wspólnego z zimnem na dworze, wywołało go lodowate spojrzenie jego oczu.

- A jeśli już o tym mówimy - powiedział spokojnie - czy mało było ci tego, że upokorzyłaś mnie, przejmując kierownictwo nad klanem? Czy musiałaś na dodatek jeszcze przyprawić mi rogi?

- Rogi? - Głos zadrzał jej gwałtownie. - Nie wiem, co ty...

- Scena, której byłem świadkiem, między tobą i MacGillivrayem wyglądała całkiem wzruszająco. Mieliście zapewne dużo wygodniejszą sytuację, gdy mieszkałaś z nim w Dunmaglass.

Drugie polano zajęło się ogniem, rzucając więcej światła na jego twarz, i po raz pierwszy Annę dostrzegła, że nie tylko gniew sprawiał, że twarz miał napiętą i posępną. To był również ból. Głęboki serdeczny ból, tak widoczny u człowieka, który szczycił się przecież umiejętnością panowania nad sobą, że poczuła, jak serce zaczyna jej usychać i rozsypywać się w garść pyłu.

- Angus... John zawsze zachowywał się wobec mnie jak absolutny dżentelmen. Ani w słowach, ani w czynach nie starał się mi ofiarować więcej niż gościnność i przyjaźń. Tak, wyprowadziłam się z Moy Hall i zamieszkałam w Dunmaglass, ale tylko jako gość, i tylko dlatego, żeby żadna plama, która by zaciążyła na moim imieniu, nie spadła na ciebie. Dunmaglass było takim samym obozem wojskowym, jakim jest teraz Bannockburn, i mocno wątpię, czy znaleźlibyśmy tam chwilę intymności, byśmy mogli się wziąć za ręce, nie mówiąc o czymś więcej, nawet gdybyśmy tego chcieli. A żadne z nas tego nie chciało. Nigdy nie zapomniałam, że jestem kobietą zamężną, i on też nie.

- Nie wydaje mi się, że tak było parę chwil temu. Ani wtedy, gdy staliście zetknięci głowami na końcu ścieżki. I nie świadczy o tym ton, jakim wypowiedziałaś jego imię przed chwilą, gdy otworzyłaś mi drzwi.

Przygryzła wargę. Nie zdawała sobie sprawy, że wyszeptała imię Johna, tak jak i nie była całkiem pewna, co by zrobiła, gdyby to on, a nie Angus stanął na progu. Ale teraz miała przed sobą Angusa, którego zraniła nie tylko przez poniżenie i nadwerężenie jego męzowskiej dumy. Działała za jego plecami, przywłaszczyła sobie władzę nad klanem. Jakiego jednak wyboru dokonał dla niej? Co wybrał dla ludzi ze swego klanu? Oczywiście nie takiego wyboru chcieli, bo ona też widziała raporty. Szpieczy i kurierzy kursowali między wrogimi obozami jak kolumny mrówek. Nie było tajemnicą, że Angus wyjechał z Inverness z sześciuset ludźmi, ale zanim dotarli do Edynburga, większość z nich uciekła cichaczem i albo wróciła do domów, albo przeprawiła się przez wrzosowisko i dołączyła do księcia. Ale teraz nie zamierzała rzucić tego mężowi w twarz. A co do jego przekonania, że zamieszkała w Dunmaglass po to, by ona i MacGillivray mogli przeżyć jakiś dziki, namiętny romans...!

- Wypiłam dziś wieczór za dużo wina - przyznała niepewnym głosem - i naprawdę nie mam siły toczyć z tobą bitwy, Angusie. I z pewnością nie mam siły kłamać przed tobą. Jeśli nie ma dla ciebie znaczenia słowo, które ci daję, jesteś przekonany, że stało się to najgorsze, to i nic co powiem lub zrobię, tego nie zmieni. Ale przysięgam, że byłam ci wierna. Nie chcę kłamać i nie będę się wypierać tego, że budziły się we mnie myśli i marzenia... niektóre tak żywe, że nie mogłam spać w nocy. Sama też ci wyznaję... czułam się samotna, dręczył mnie lęk i może nawet czasami rozpaczliwie potrzebowałam, żeby ktoś widział we mnie kobietę i traktował mnie jak kobietę. Żywię ciepłe uczucia dla Johna, to prawda, ale nie wiem, jakie w istocie są i nigdy nie próbowałam pójść za ich głosem. Powiem ci, co widziałeś przed chwilą: mężczyzna oddawał mi swe serce, a ja wzbraniałam sieje przyjąć, bo zbyt wiele dla mnie znaczy kto inny. To było po prostu tak i niczego więcej w tym nie ma. A co do reszty, aż za dobrze zdaję sobie sprawę, że Fearchar posłużył się mną, by osiągnąć to, co chciał, ale tak samo postępowali i inni w różnych sytuacjach. Ty zresztą też.

- Ja? W jaki sposób, do diabła, ja się tobą posłużyłem?

- Och, proszę, nie zaprzeczaj. Czemu miałbyś się zgodzić mnie poślubić, jeśli nie dlatego, że liczyłeś, iż Fearchar poprze ciebie, a nie Cluny'ego MacPhersona przy wyborze wodza klanu? Jeśli nie dlatego, że myślałeś, iż małżeństwo z Anne Farquharson zapobiegnie rozłamowi w klanie, dokładnie takiemu, jaki nastąpił teraz?

Cień przemknął mu nagle po twarzy.

- To nie dlatego cię poślubiłem.

- Nigdy nie pomyślałeś - nawet wtedy, gdy wahałeś się przy ołtarzu i było tak widoczne, że wolałbyś być gdzie indziej, z kimś innym, nie ze mną- że robisz to po prostu i wyłącznie dla dobra klanu, że to jeszcze jedna niewdzięczna rola związana z twą pozycją, jeszcze jeden męczący i niechciany ciężar, który odziedziczyłeś razem z tytułem?

- Anne... - Był naprawdę szczerze zdumiony. - Nigdy tak nie pomyślałem. Nigdy.

Przesunęła dłoń przed oczyma, jakby dając mu do zrozumienia, że nie powinien kłamać, bo to nie ma sensu.

- Fearchar powiedział mi, że musiał użyć groźby, żeby cię skłonić do honorowania porozumienia. Powiedział też, że ty z kolei zażądałeś pieniędzy posagowych, bo wiedziałeś, że on ich nie ma, i musiałby wycofać się z kontraktu, gdyby nie wniósł ustalonej sumy.

- To było pięć tysięcy funtów - mruknął Angus. - I gdybym naprawdę nie chciał tego małżeństwa, Anne, w ogóle by mnie nie było w kaplicy.

Zaczęła się od niego odwracać, urażona tym, co wydawało się jej protekcyjnym traktowaniem, ale on szybko odstawił kubek z winem i chwycił ją za ramiona, zmuszając, by uklękła przed nim z twarzą tak blisko jego twarzy, że nie miała innego wyboru, musiała patrzeć mu prosto w oczy.

- Kiedy Fearchar opowiadał ci te bajdy, czy nie wspomniał, skąd wziął pieniądze na posag?

- Powiedział, że musiał sprzedać ceną parcelę.

- Ceną? - Angus omal nie parsknął śmiechem. - To był pas bagna na skraju Meall a'Bhreacraibh, który przez trzy miesiące w roku znajduje się pod wodą głęboką na metr.

- Meall a'Bhreacraibh? Ale... ty masz ziemię przylegającą do tego wrzosowiska.

- Właśnie. I mój agent myślał, że zwariowałem, chcąc je kupić za tak śmiesznie wysoką cenę, ale zrobił, co mu kazałem, zapłacił gotówką i nigdy nie powiedział Fearcharowi, kim był ten naiwny, który dał tyle za coś tak zupełnie bezwartościowego.

- Ty mu dałeś pieniądze?

- Nazwij mnie największym z głupców, jeśli chcesz, ale uważałem, że cena jest korzystna.

Powoli rozchyliła wargi, a jej ramiona rozluźniły się trochę.

- Tak uważałeś?

- Wtedy... - ważył przez chwilę słowa - ...i teraz. Ani przez chwilę nie żałowałem mojej decyzji, Anne. A jeśli wyglądałem tamtego dnia w kościele, jakbym się wahał, to dlatego, że bałem się, że jeśli się poruszę, to się obudzę i sen pryśnie. Widzisz, już wtedy wiedziałem, że pewnie byś wybrała MacGillivraya, gdybyśmy obaj stanęli obok siebie. Fearchar mi powiedział, że ty i on jesteście kochankami...

- Nigdy nie byliśmy kochankami... - zaczęła.

- Dowiedziałem się o tym w naszą noc poślubną i nie masz pojęcia, jaki byłem wdzięczny losowi, że jesteś dziewicą, po prostu dlatego, że strasznie się bałem, że uznasz mnie za marnego kochanka w porównaniu z Johnem.

Anne czuła, jak drobinki pyłu w jej piersiach wirują i zaczynają na powrót zlepiać się w kształt serca.

- I mimo to ożeniłeś się ze mną?

Oderwał dłonie od jej ramion, ujął w nie jej twarz, po czym pochylił głowę i ich czoła się zetknęły.

- Zobaczyłem cię raz jadącą na tej wielkiej bestii i przysięgam, że serce przestało mi bić z zachwyty nad czystym pięknem tego obrazu. Twoje włosy były takie dzikie, twarz tak zarumieniona od wiatru, a twój śmiech... - Zacisnął pięści i zamknął oczy. - Pomyślałem, że jeśli na zawsze zatrzymam tę chwilę w sercu, wystarczy mi to. Ale wtedy znalazłem papiery z umową o naszych zaręczynach i dowiedziałem się, że mogę mieć nieporównanie więcej.

Anne nie odezwała się słowem, jedynie wpatrywała się w męża. Jego rzęsy kładły się cieniem na policzkach, a usta zacisnęły się w tak ponurym grymasie, że musiała użyć całej siły woli, żeby po prostu nie zarzucić mu rąk na szyję i nie zgnieść jego warg swoimi.

Jednakże przewyciężyła to pragnienie. Powoli podniosła rękę i najpierw dotknęła jego policzka, by odgarnąć spadające pasmo włosów, potem zanurzyła palce głęboko w jedwabiste brązowe pukle. Musnęła ustami jego usta. Mając oczy szeroko rozwarte, przywarła do niego całym ciałem, wyczuła drżenie jego dłoni, które opuścił na jej szyję, potem na ramiona i przez chwilę - trwającą tyle co dwa lub trzy uderzenia pulsu - obawiała się, że on może jeszcze ją odtrącić.

Jej usta błagały w milczeniu o wybaczenie, o to, by jego wargi odpowiedziały. A kiedy to uczyniły, rozchylając się z ochryplym jękiem, on otoczył ją ramionami i przygarnął do siebie tak blisko, że czuła, jak serce tłucze mu się w piersi. Powietrze uleciało jej z płuc ze szlochem nieskrywanej ulgi, ale jego usta czekały tuż obok, by je wchłonąć i dzielić z nią, by przystąpić do wzajemnego wypędzania wszelkich jeszcze czających się gdzieś obaw i wahań. Przyciągnął ją mocno do siebie, pozerając w karzącej pieszczocie jak człowiek, który dopuścił do siebie myśl o najgorszym, mimo że rozpaczliwie pragnął temu nie wierzyć.

Anne odpowiedziała czysto cielesną radością, od której drżały jej ramiona i całe ciało, i która zmieniała krew w płynny ogień. Wsunęła dłonie głębiej we włosy męża i nie pozwoliła mu się wyrwać, nawet na tyle, by zaczerpnął łyk powietrza, ani nie usunęła się, by zrobić mu trochę miejsca i ulżyć nagłemu uciskowi narastającemu w jego kroczu.

Zakławszy szpetnie, poderwał się gwałtownie i pociągnął Anne ku sobie. Ustami wciąż miażdżył jej usta, ale ręce opuścił, by ściągnąć jej kaftan. Zaraz potem rozchylił poły jej kubraka i zaczął gmerać przy koszuli, lecz w końcu, z przekleństwem, którym dał upust swojej niecierpliwości i żądzy, rozerwał tkaninę od szyi do obrębu, pośpiesznie odsłaniając gołe ciało dla swych głodnych warg. Anne odchyliła w tył głowę, zajęczała jak zranione zwierzę, kiedy poczuła jego gorące usta na piersiach, ale gdy Angus chciał ją wziąć na rękę i zanieść na łóżko, zatrzymała go zduszonym krzykiem.

Z szeroko rozwartymi oczyma, oddychając pospiesznie przez nabrzmiąte usta, wyrwała się z jego ramion i oparła o ścianę. Gdy już dalej nie mogła się cofnąć, rozpięła pas i strząsnęła z siebie buty i spodnie, po czym zdarła wierzchnią odzież, wszystko prócz koszuli, luźno wiszącej i rozchylonej na piersiach.

- Chcę, żebyś wziął mnie tutaj - powiedziała chrapliwym głosem. - Właśnie tutaj. Pod ścianą.

Nie był całkiem pewien, czy dobrze pojął jej prośbę, i czy potrafi to zrobić bez jej pomocy.

- Tutaj?

- Tak - skinęła głową. - Nawiedza mnie demon, który wymaga egzorcyzmu, mój panie, i chcę wypalić to sobie w pamięci, żebym kiedy zamknę oczy, niczego innego nie widziała ani nie czuła.

Coś w barwie jej głosu zamieniło kości Angusa w galaretę, a jego ciało w żelazo. Nie przewidział absolutnie, że coś takiego może się zdarzyć. Kiedy zobaczył ją i MacGillivraya, jak stali pod gwiazdami, wymieniając szeptami jak kochankowie, niewiele brakowało, żeby odszedł natychmiast, nie obejrząwszy się za siebie.

A teraz ona stała tu z gołymi nogami, długimi jak u żrebaka, z ciałem bujnym i dojrzałym i rzuca mu wyzwanie, by wziął ją w taki sposób, że na myśl o tym cała pulsująca krew przechodzi w erekcję, która już i tak grozi mu trwałym uszkodzeniem ciała.

- Pozwolisz, że najpierw usunę pewne przeszkody - mruknął głosem stłumionym i gorącym, a jego płaszcz już opadał na podłogę. Szarpał się przez chwilę z mosiężnymi guzikami bluzy i kamizelki, zdarł je obie razem, jak jedną sztukę ubrania, i cisnął na ziemię, nie zważając na to, jak blisko padają kraty paleniska. Poruszając stopą od palców do pięty, zsunął jeden but po drugim i kopnął je w bok. Wyszarpnął koszulę ze spodni i ściągnął przez głowę oraz rozpiął guziki rozporaka, co sprawiło, że jego nabrzmiąta męskość wyswobodziła się jeszcze zanim dolna część ubioru została ściągnięta poniżej bioder.

Anne stała idealnie spokojna, wciąż oparta o ścianę, czując jak przechodzą przez nią na przemian gorące i lodowate fale wyczekiwania. Tylko jej oczy się poruszały, łapczywie pożerając wspaniałe kształty nagiego ciała męża. Zauważyła w nim pewne nieznaczące zmiany. Mięśnie ramion wydawały się silniej zarysowane, uda grubsze i bardziej muskularne, a pasma mięśni na brzuchu wyraźniej uwypuklone.

- Nie siedziałeś beczynnym w koszarach - powiedziała, tak zdyszana, jakby przed chwilą szybko biegła.

- Zostało parę mięśni, których nie miałem okazji wyćwiczyć - mruknął, zacieśniając lukę między nimi.

Nie mogąc się powstrzymać, utkwiała wzrok w jego nabrzmiałej męskości.

- Zdaje się, że nie ucierpiały na tym zbyt. .

- Wierz mi - wciągnął powietrze w płuca i wypuścił je powoli - że ucierpiały.

Zatrzymał się, zwyczajnie onieśmielony, nie śmiąc jej dotknąć i pozwolił tylko swym oczom wodzić wzdłuż rozdartego szwu koszuli. Nie ustępowało to fizycznej pieszczocie i Annę poczuła, że tkanina koszuli dygocze razem z jej ciałem. Zwilżyła wargi i zobaczyła, że Angus spogląda w górę, widziała też, jak jego ciało zadrżało, dłonie wyciągnęły się i powoli, z rozmysłem rozchyliły na boki poły jej koszuli. Palcami jednej ręki powiódł w górę, by chwycić jej pierś, drugą rękę zsunął w dół, muskając lekko płataninę miedzianych kędziorów, po czym wprowadził ją między uda.

Anne przycisnęła głowę do ściany. Drżąca i wilgotna od żaru oczekiwania słyszała, jak on powoli wciągnął powietrze, kiedy to odkrył. Przeciagnął ponownie palcem, tym razem głębiej, tropiąc fałdy jej ciała, badając jedwabiste szczeliny, dopóki nie usłyszał jej błagalnego jęku i nie poczuł, jak jej uda zaciskają się mu na dłoni. Znów przysunął się do niej i już nie palce ślizgały się po jej wilgotnym ciele, już nie była to drażniąca zapowiedź.

Kiedy zaczęła wypychać biodra w górę na jego spotkanie, pochylił głowę, wtulając usta w jej szyję, a językiem zaczął malować rzeki ognia na jej dekolcie i ramionach. Dłonią gładził jej piersi, kciuki igrały ze sztywnymi wzniesieniami sutków, doprowadzając ją do kresu wytrzymałości.

Złorzeczając łagodnie, Anne wspięła się na palce i przytuliła do Angusa nagimi piersiami. Sięgnęła w dół i chwyciła członek, powstrzymując go od kolejnego pchnięcia, nim nie pozna choć trochę tego cierpienia, które wywoływał. Zacisnęła palce i trzymała go tak, ocierając się o gładką, nabiegłą krwią żołądź, póki napięcie nie skupiło się w jednym punkcie, a biodra mężczyzny nie wyprężyły się w przyływie pożądania.

- Nie wiem - szepnął zdyszany - czy to można zrobić delikatnie.

- Po prostu trzeba to zrobić - odparła.

Drażnienie skończyło się.

Odsunął jej rękę na bok i rozwarł jej uda w ataku czystej żądzy. Łakomie pragnąc zatopić się w jej ciele, uniósł ją i osadził na sobie tym samym płynnym ruchem, którym wykonał pchnięcie w górę tak głębokie, na jakie pozwalał mu

kąt penetracji. Zachwiał się przez moment, zaskoczony gwałtownością wrażenia, które rozlewało się w nim falą, ale szczytowanie było nieduże, dało się opanować. Pomogło nawet złagodzić przemożną potrzebę wdarcia się po szybką nagrodę. Anne już otoczyła ramionami jego barki, przywarła jak najmocniej, by zachować równowagę i znaleźć się bliżej, ale na jego urywany rozkaz, objęła nogami jego talię i splotła kostki z tyłu. On ugiął kolana, wkładając całą swą siłę w następne pchnięcie w górę i do przodu, sięgając głębin, o jakich nigdy dotąd nawet nie marzył.

Anne odchyliła głowę do tyłu i krzyknęła. Angus znieruchomiał z przerażenia myśląc, że ją zranił, ale jej dłonie jak szpony wbiły mu się w plecy, złobiąc je paznokciami, a ciało wyprężyło się ku niemu tak gorączkowo, że dał jej to, o co prosiła, dłużej już nie przeciągając struny.

Rozkosz wybuchła w ciele Anne. Jej orgazm zaczął się z pierwszym jego pchnięciem i zelżał długo po tym, jak Angus przestał drzeć w swym spełnieniu. Nawet wtedy doznawała dreszczy i leciutkich skurczów rozkoszy, które kazały jej obejmować go ciasno ramionami. Nie była pewna, czy jest zdolna wykonać jakikolwiek ruch, bo on wciąż trzymał ją rozpląszczoną na ścianie, a jego nogi drżały i pierś falowała w gwałtownych próbach odzyskania oddechu.

Dla Anne mogliby już tak pozostać na zawsze. Nic się nie liczyło, ani wojna, ani księżę, ani fakt, że jest przybita jak rozgwiazda do oblepionych gliną desek ciasnej, zadymionej chaty. Ważne było tylko to, że ramiona jej męża dygotały z potężnej rozkoszy... a później od nagłego, zaskakującego śmiechu.

- Święty Boże w niebiosach - wydyszał. - Wyświadcz mi tę łaskę i powiedz, jak zdołałaś to zrobić. Zawsze byłem takim rozsądnym człowiekiem. Zdrowym na umyśle, pewnym siebie, szlachetnym, pełnym godności. A popatrz na mnie teraz.

Omdlewająca i oszołomiona namiętnością, z udami spływającymi śliskim dowodem jego grzesznych żądz, Anne ujęła w dłonie twarz mężczyzny i pocałowała go.

- Nie muszę patrzeć, mój mężu i panie. Wciąż czuję cię w sobie i nie dostrzegam braku pewności siebie.

- A ten demon, na którego szukałaś egzorcyzmu?

- Przepadł na dobre. - Anne uśmiechnęła się i przyciągnęła jego usta ku swoim. - Ale na wszelki wypadek...

Obudził ją odgłos stopy przytupującej lekko, by wcisnąć się w but. Uniosła dłoń, chcąc przetrzeć oczy, i ujrzała niewyraźną w mroku postać. Angus szukał brakujących części ubrania, znalazł spodnie i buty, ale wciąż nie mógł znaleźć koszuli.

- Która może być godzina?

- Niedługo zacznie świtać - odparł Angus. - Miałem nadzieję, że o tej porze będę już z powrotem w Falkirk. Pikiety Hawleya bywają nerwowe.

- Wracasz tam?

Podniósł oczy w górę, potem znów się obejrzał, jakby pytanie sprawiło mu fizyczny ból - Angus...

- Nie prosź mnie, Anne. Błagam, nie prosź mnie o to, czego nie mogę zrobić.

- Ale dlaczego? - Usiadła i podkuliła nogi pod siebie, nie wstydząc się nagości. - Przynajmniej powiedz mi, dlaczego. Wiem, że sercem nie jesteś po stronie Anglików, tyle wiem na pewno.

- No, rzeczywiście. - Chwycił koszulę i strzepnął, by rozprostować zagniecenia, po czym wciągnął ją przez głowę i szybko, niedbałe poutykał brzegi za pasem, po czym wdział kamizelkę i zapiał sprzączkę na torsie. Po nałożeniu kolejnej warstwy ubrania, przeczesywał włosy palcami, przy okazji zasłaniając oczy, by nie patrzeć na bladą postać na łóżku.

Nie mógł uwierzyć w to, że pozwolił sobie zasnąć. Ani w to, że pozwolił sobie na taką lekkomyślność, skuszony miękkimi piersiami, jeszcze miększymi wargami i jedwabście gładkimi udami. Robert Hardy przeżywał na pewno ciężkie chwile, niepokojąc się, że jego pana pojmano. Angusowi przyszło do głowy, że teraz, gdy Annę siedziała tutaj, z kaskadą rozczochranych rudych loków spływających na ramiona, było to nawet w pewnym sensie trafne określenie sytuacji, ale odrzucił tę myśl i sięgnął po bluzę.

- Po prostu powiedz mi dlaczego - odezwała się znowu.

- Mówiłem ci już dziesięć razy. Dałem moje słowo, złożyłem przysięgę oficera korony.

Przyglądała się, jak walczy z mosiężnymi guzikami.

- Nie tak dawno obiecałeś mi, że nigdy nie będziesz przede mną kłamał - powiedziała spokojnie.

- Wcale nie kłamię; naprawdę dałem słowo. Nie widziałaś moich rękawic?

Znów był zimny, rzeczowy i opanowany. Ruchy miał wyrachowane i pewne, zaciśnięta szczęka świadczyła niezbicie, że kilka godzin wyczerpującej miłości nie mogło zmienić sposobu, w jaki Ziemia wiruje wokół osi.

Anne spuściła wzrok na swe dłonie, bo jej świat rzeczywiście zaczął wirować.

- Leżą na krześle, pod peleryną.

Burknął coś w podziękowaniu, ściągnął z krzesła obszerny wełniany płaszcz i narzucił na ramiona. Przez chwilę stał nieruchomo, wpatrując się w wierzchołek głowy Anne, w jej białe spadziste ramiona i bujne ciało. Już zaczął wkładać jedną rękawicę, gdy nagle zawrócił i cisnął tę i druga w drugi kąt izby. Wolałby cisnąć krzesłem lub kociołkiem z bulgoczącą wodą, ale w jego umyśle panował wystarczający chaos, nie należało go już powiększać.

- Przyjechałem tu wczoraj wieczorem z zamiarem, żeby cię zabrać ze sobą. Nakazać ci, jako mojej żonie, byś pojechała ze mną. Gdybym to zrobił, jaka by była twoja odpowiedź?

- Odmówiłabym - odparła bez wahania.

- I jak byś to uzasadniła? Jaki potrafiłabyś podać powód nieposłuszeństwa swemu mężowi, któremu złożyłaś uroczyste ślubowanie, że będziesz go szanować i słuchać? Powiedziałabyś, że wcześniej byłaś związana inną przysięgą, która nie ma nic do rzeczy z miłością i przysięgą małżeńską, i z jakiegoś niewyobrażalnego powodu oczekiwałaś, że takie wytłumaczenie mi wystarczy. Dlaczego zatem, pozwolę sobie zapytać, błagając wszystkich świętych w niebiosach, by dali mi łaskę zrozumienia, to nie jest wystarczające wytłumaczenie dla ciebie? Czy twoje słowo jest więcej warte niż moje, bo tak się składa, że uważasz swoją sprawę za słusniejszą? Albo czy nie widzisz sprzeczności, sztuczności i paradoksalności tego, że prosisz mnie, żebym złamał przysięgę, kiedy ty sama ani przez chwilę nie pomyślałabyś, żeby to zrobić? -

Rozłożył ręce, potem opuścił je w geście rozpacz. - Nie możesz patrzeć na to na różne sposoby, Anne. Albo jestem człowiekiem honoru, albo nie jestem. Co wybierasz?

- Twoja lojalność wobec króla Stuarta powinna stać na pierwszym miejscu - odparła cicho. - Twój dziadek był członkiem jego rady, twój ojciec walczył w piętnastym roku.

Angus odetchnął głęboko i przysiadł na brzegu łóżka. Siennik był wypchany słomą i zawieszony na sznurach rozpiętych na prymitywnej drewnianej ramie, a wszystkie te przedmioty protestowały głośno, każdy na swój sposób. W nocy bawiły ich trzaski i szelesty, teraz jednak grały im na nerwach i przypominały, jak biedne i obskurne było otoczenie.

- Anne... spójrz mi w oczy. - Odczekał chwilę, a potem podniósł jej rękę do ust. - Nigdy nie przysięgałem na wierność królowi Stuartowi. Nigdy. Ani tutaj, ani we Włoszech, ani we Francji. Mój dziadek, istotnie złożył mi przysięgę, ojciec z pewnością też, może nawet i moi bracia także, ale ja nigdy nie ślubowałem wierności Jakubowi Francisowi Stuartowi ani jego synowi, nawet w absentia. Nawet w potajemnym toaście za króla za wodą.

- A co z twoją lojalnością wobec Szkocji? Czy chcesz, żeby naszym krajem już zawsze rządzą Anglicy?

- Czego chcę, a co się prawdopodobnie wydarzy, to dwie całkiem różne rzeczy. Hawley ściągnął do Falkirk osiem tysięcy doborowych żołnierzy. Dobrze uzbrojonych, dobrze odżywionych, pałających żądzą rewanżu. Jeśli dojdzie do bitwy w ciągu najbliższych paru dni - a nie widzę żadnej możliwości uniknięcia jej, chyba że księżę podda się pod białą flagą - cała ta przeklęta rebelia zakończy się w taki czy inny sposób i najbardziej obawiam się tego, że... Owa szaleńcza odwaga, ta... niewiarygodna demonstracja waleczności, honoru i lojalności pójdzie na marne. Księżę wróci do Francji, jego armia do swych gospodarstw i chałup, i przez najbliższe dwadzieścia lat będziemy musieli płacić za to wszystko.

Anne nic nie odpowiedziała, ale przynajmniej nie cofnęła się przed jego dotknięciem, gdy odgarnął gąszcz rudych włosów z jej policzka.

- Czy wrócisz ze mną?

Jej oczy rozszerzyły się, rozbłyły jak gwiazdy i zwilgotniały, choć próbowała nie pozwolić im na to.

- Musiałem zapytać - powiedział bezradnie. - Czy nie rozumiesz, że ogarnia mnie śmiertelny lęk na myśl, że znajdziesz się gdzieś blisko pola bitwy?

- John już mi groził gorszymi rzeczami, niż mogłyby mnie spotkać w bitwie z samym diabłem, jeśli nie pozostanę daleko z tyłu za linią walki razem z księciem i królewską gwardią - przyznała.

- I dotrzymasz słowa? Jemu i mnie?

- Dobry Boże - szepnęła, a jej oczy stały się jeszcze szersze i bardziej wilgotne. - Ty będziesz na pierwszej linii, prawda?

- Tak, będę z moimi ludźmi.

Zamknęła oczy i pochyliła się, kryjąc twarz w zgięciu jego ramienia. Zagryzła wargę, by nie zalać się gorącymi łzami, ale ta noc była zbyt pełna emocji, rozkosz zbyt intensywna, strata, którą mogła ponieść, zbyt przerażająca... Nie zdołała zapanować nad sobą, dwie szerokie strugi spłynęły jej po policzkach. Objęła Angusa ramionami i przywarła doń całym ciałem, nie zważając na drapiącą, szorstką wełnę i twarde guziki. On przytulił ją tak mocno, jak mógł to zrobić, nie czyniąc jej przy tym żadnej krzywdy.

- Muszę jechać. Czy nie spróbujesz, na litość boską, przemyśleć raz jeszcze sprawy? Może wtedy pojedziesz ze mną?

- A ty nie przemyślisz jej i nie zostaniesz?

Angus jeszcze przez chwilę nie zwolnił uścisku, lecz wreszcie wstał, ociągając się. Na pół oślepiiony czymś piekącym go w oczy, przeszedł szybko kilka kroków i podniósł rękawice. Wiedząc, że już nie mają sobie nic więcej do powiedzenia, przekroczył próg, i znalazłszy się pod otwartym, wciąż jeszcze mrocznym niebem, w zimnym powietrzu przedświtru ruszył pospiesznie w stronę pobliskiego lasu.

Zanim jednak zdołał przekroczyć zewnętrzny pierścień ognisk, wysoka, potężna postać, wyłoniła się z cienia. Odziany w tartan złotowłosego mężczyzna odwiódł kurki dwóch pistoletów o stalowych kolbach i wymierzył nimi w sam środek piersi Angusa.

Angus podniósłszy powoli ręce, wpatrywał się w ciemne oczy Johna MacGillivraya i wydawało mu się, że trwa to nieskończenie długo. John stał nieruchomo jak skała, tylko długie pasma włosów koloru zboża, które wystawały mu spod beretu, falowały lekko, targane porannym wiatrem.

- Masz szczęście, że cię nie zastrzeliłem, wzięwszy za złodzieja - powiedział wreszcie MacGillivray. - Albo za szpiega.

- Przyjechałem zobaczyć się z żoną, i tylko po to.

- Ano, tak też pomyślałem. Moi ludzie czuwają przy lesie i zawiadomili mnie, że ktoś węszy wokół chaty. Gorąco ci się zrobi, jak się dowiesz, że stało nas dwudziestu pod drzwiami, gotowych natychmiast je rozwalić.

- Co was zatrzymało?

- Znaleźliśmy za drogą twojego służącego szczękającego zębami.

- Hardy'ego? Nic mu się nie stało?

MacGillivray obrzucił Angusa gniewnym spojrzeniem.

- Do diabła, wygląda całkiem nieźle, byłoby z nim znacznie gorzej, gdyby wciąż jeszcze czekał na ciebie na zimnie.

Oba kurki trzasnęły cicho i ucisk w piersi Angusa znacznie zelżał, ale był na tyle ostrożny, że poczekał na pozwolenie - oznaczało je niedbale kiwnięcie głową - zanim opuścił ręce.

- Gdzie on teraz jest?

- Trzymamy go dla ciebie w ciepłe. Konie też. Nie byliśmy całkiem pewni, jak długo tu będziesz.

Angus usłyszał cichy szelest zbliżających się kroków i odwróciwszy się, ujrzał jeszcze dwie postacie wynurzające się z tyłu, spośród drzew. Jedną z nich rozpoznał natychmiast pomimo sinego mroku, bo stykał się z Alexandrem

Cameronem kilka lat wcześniej podczas swoich podróży po Europie. Pamiętał też jego przyjaciela z tego samego klanu, Aluinna MacKaila.

- Cameron. - Angus skłonił się na powitanie. - MacKail. Ile to już czasu upłynęło. Wciąż walczyście z wiatrakami, jak widzę.

- Możesz nas nazwać beznadziejnymi romantykami - powiedział Alex. - Ale nie różnimy się tak bardzo od człowieka, który wjeżdża w sam środek nieprzyjacielskiego obozu po to tylko, żeby sobie porozmawiać z żoną. Chociaż... - przerwał i uśmiechnął się złośliwie - sądząc po odgłosach, to było coś więcej niż tylko miła konwersacja.

Angus spojrział na MacKaila, który też wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Wszystko przez te strzechy - powiedział. - Chronią przed złą pogodą, ale nie można na nie liczyć, gdy się chce zachować coś w sekrecie.

Angus odetchnął ze złością, wydmuchując strumień pary.

- Widzę, że wszyscy dobrze się bawiliście.

- Nie wątpię, że tak by było - odparł Cameron - gdybyśmy nie mieli innych rozrywek.

Wskazał za siebie na drogę. Świt zaczynał rozlewać się wzdłuż horyzontu, spychając ciemność na tyle wysoko, że odsłonił rozciągnięte ciała kilku ludzi z klanu owiniętych w tartany, którzy w nocy, chwiejąc się na nogach, opuścili gospodę i nie uważali za warte zachodu szukać własnego pośłania. Pośrodku drogi leżeli razem, Struan MacSorley i Gillies MacBean; głowa i półtora torsu tego ostatniego spoczywała na piersiach rywala. Większy z mężczyzn rozłożony jak ukrzyżowany, oczywiście pierwszy zwałił się z nóg. MacBean wyglądał, jak gdyby zdążył jeszcze usiąść i zaśmiać się z satysfakcją, nim się wyrócił.

Cameron mlasnął językiem i wyjął cygaro z wewnętrznej kieszeni.

- To będzie dwa razy, licząc z hrabią Fanduccim - powiedział, wręczając cygaro MacGillivrayowi. - Struan będzie tak wesoły jak niedźwiedź, kiedy się ocknie.

Angus był jedynym, który się nie roześmiał.

- Czy mogę spytać, co teraz? Czy mam być postawiony przed jakimś marionetkowym sądem jako twój więzień?

- No więc pomyśleliśmy, że okazemy ci życzliwość i damy eskortę na drogę powrotną aż do Dunmore - powiedział MacGiilivray. - Mielibyśmy cię na sumieniu, gdyby cię ustrzelił jeden z naszych chłopaków, a nie chcemy tego.

- Puszczacie mnie wolno?

- Skoro twoja żona nie przekonała cię, byś został, nie sądzimy, żeby nam mogło się lepiej powieść.

- Tak po prostu? O nic nie pytacie, nie apelujecie do mojej lojalności i honoru, nie próbujecie uzyskać ode żadnych wiadomości?

- No, cóż. - Cameron postawił obutą stopę na głazie i wsparł rękę na kolanie. - Skoro już o tym wspomniałeś, interesuje nas trochę parę rzeczy.

- Jestem tego pewien. Jestem także pewien, że wiecie, iż jako oficer w służbie jego wysokości, nie mam obowiązku powiedzieć wam niczego więcej oprócz tego, jaką mam rangę.

- Kapitan MacKintosh, czyż nie tak? - spytał Cameron z beztróskim uśmiechem. - Pierwsza Królewska Szkocka Brygada pod dowództwem Williama Keppela, hrabiego Albemarle. O ile wiem, twój własny regiment trochę się przeredził - mówi się o niespełna czterdziestu ludziach-ale pewnie zostaną wcieleni w szeregi milicji Argyle'a. To pewna degradacja, bo Albermarle i Hawley podlegają tylko samemu Cumberlandowi. A tak przy okazji, jak się ma hrabia? Czy wciąż dokucza mu niestrawność? Nie powinien tak uparcie zjadać tylu surowych jajek na śniadanie. Po dwóch tuzinach naraz każdy by zionął siarką.

Angus zirytował się i był zaskoczony, tak jak tego oczekiwali.

- Jak się wydaje, wiecie już doskonale o wszystkim, dziwię się więc, że coś jeszcze mogłoby was ciekawić.

- O to właśnie chodzi, że jesteśmy po prostu ciekawi. Głównie tego, dlaczego Hawley nie ruszył się dotąd, by zająć dogodną pozycję. Jest mało miejsc dość rozległych na przestrzeni stąd do Falkirk, by pomieścić dwie armie. Przewidujący, ostrożny generał zadbałby o to, żeby jedyny wysoki teren znalazł się pod obserwacją jego ludzi.

- Ktoś mógłby to samo powiedzieć o księciu.

- Mógłby - zgodził się Cameron - Gdyby ten ktoś nie wiedział o czterech tysiącach żołnierzy maszerujących nawet teraz, gdy my tu rozmawiamy.

- Wasza armia jest w marszu? Dzisiaj? Ale myślałem... - przygryzł wargi i przerwał, ale był już za późno. Świadczył o tym uśmiech, który pojawił się na twarzy Camerona.

- Myślałeś, że zachowamy się jak prawdziwi dżentelmeni i będziemy czekać, aż generał zgromadzi wszystkie swoje furgony z dostawami, całą artylerię i wozy z amunicją? Myślałeś, że zaczekamy, aż zaproponuje nam czas i miejsce ataku?

Dokładnie tak właśnie myślał Hawley, przyznał Angus w duchu. Generał zbadał wysoki teren na wrzosowiskach i określił go jako "odpowiedni", ale nie poczynił żadnych kroków, by przesunąć tam swoje siły, jeśli nie liczyć kilku wartowników i patroli. Wycofał się do swej kwatery, całkowicie pewny w swoim zadufaniu, że rebelianci nigdy nie ośmielą się podjąć ataku. Co więcej, poprzedniego wieczoru wysłał do nich posłańca z wiadomością, że uważa za barbarzyństwo przygotowywanie jakichkolwiek akcji militarnych, które mogłyby się przeciągnąć do niedzieli, i jeśli by to księciu odpowiadało, proponuje poniedziałek rano.

- Nie przypuszczam, że przyniesie to jakieś szkody, jeśli ci powiem, że nasi ludzie ruszyli dwie godziny temu - ciągnął Cameron. - Reszta będzie mieć buty na nogach, jak tylko słońce wszędzie. Do południa lord George zajmie wysoki teren i będzie mógł wybrać sobie pozycję względem wiatru.

Angus poczuł, jak drugi chłodny dreszcz przebiega mu wzdłuż kręgosłupa, tym razem bardziej złowieszczy. Jeśli połowa armii księcia opuściła obóz nocą, a druga połowa szykuje się do drogi i lada chwila ruszy, stworzy to warunki do nowego niespodziewanego ataku, takiego jak pod Prestonpans, kiedy armia jakobitów zaszła od tyłu oddziały elektora i unurzana w mule rozpoczęła atak od strony niedostępnego bagna.

Hawley zaklinał się, że nie popełni drugi raz takiego błędu i, by się go ustrzec, rozbił obóz w takim miejscu, że za sobą miał burzliwe wody zatoki, a z jednej strony zalane wodą wrzosowisko. Ale zdecydowanie nie docenił hartu ducha wroga, nie przewidział, że będzie on zdolny podźwignąć się tak szybko po przygnębiającym odwrocie, który zdemoralizowałby każdą inną armię.

- Jeśli wy naprawdę zwyciężycie pod Falkirk - powiedział Angus - jaka będzie reakcja Cumberlanda, czy pomyśleliście o tym choć przez chwilę? Mimo waszych wysiłków, by mu utrudnić działanie - ta nieistniejąca flota francuska, te holenderskie traktaty - przyprowdzi z Londynu ponad pięć tysięcy żołnierzy heskich, samych potężnych brutalu, którzy ostrzą sobie bagnety na zębach.

Alexandrowi Cameronowi załśniły oczy.

- Ach, więc Cumberland jest w Londynie? Zastanawialiśmy się, gdzie to on się podział, a ponieważ nikt z naszych ludzi nie potrafił go znaleźć, martwiliśmy się, że może skrada się ku nam od strony Rutherglen.

Angus gwałtownie zmarszczył brwi.

- Co więcej, jeśli on prowadzi ze sobą pięć tysięcy wojska - dziękuję ci za ostrzeżenie - wyklucza go to z gry na co najmniej dwa tygodnie. A co się tyczy tego, co by się z nim działo, gdyby lord George Murray znów go pokonał, stawiałbym na to, że szlag go trafi. A co ty sądzisz, Aluinnie?

- Zgadzam się z tobą- powiedział MacKail uprzejmym tonem. - Na pewno go trafi, John?

MacGillivray kiwnął głową.

- Ano, trafi.

Angus otworzył szeroko oczy, zdał sobie bowiem sprawę, że Cameron bez trudu wyciągnął z niego jeden z tych sekretów, których zdradzenia on tak śmiało mu odmówił. Bardzo się starano zachować w tajemnicy miejsce pobytu księcia Cumberlanda, a wiadomość o heskim wojsku przekazano ustnie przez kuriera, bojąc się powierzyć ją papierowi.

- Nie ma potrzeby, żebyś się rzucał na miecz - powiedział MacKail, wyczytawszy z twarzy Angusa, o czym myślał w tym momencie. - Alex potrafi to robić z każdym. Ma swoje sposoby. W samej rzeczy, kiedy się jest z nim tak długo jak ja, człowiek musi się liczyć z tym, że będzie się drapał w głowę z zakłopotania przynajmniej raz na dzień.

- W takim razie wolałbym nie przebywać w jego towarzystwie na tyle długo, by to sprawdzić, skoro nawet dla ciebie jest taki.

- No tak. - Cameron zmrużył oczy, popatrzył na niebo i zmienił nagle temat. - Czuję że będzie deszcz. Lepiej wskakuj na konia i odjeżdżaj stąd, nim się pogoda zmieni.

Angus poszedł za jego wzrokiem i zobaczył, że to, co wydawało mu się spóźnionym świtem, było naprawdę niskim, ciemnym sklepieniem chmur nasuwających się na wierzchołki jodeł. Zerwał się też wiatr, szarpiąc poły jego płaszcza i chłodząc mu kark.

- Pokażę mu drogę - powiedział MacGillivray. - Mam tu eskortę złożoną z ludzi z klanu MacKintoshów. Czeka ją już dość długo.

- Więc pożegnajmy się tutaj. - Alexander Cameron wyprostował się i bez cienia złośliwości lub szyderstwa podał Angusowi rękę. - Życzę ci szczęśliwej drogi i dobrego zdrowia, MacKintosh. Naprawdę szkoda, że stanąłeś po niewłaściwej stronie, ale nie żywię do ciebie osobistej urazy. Ach, przy okazji, gdybyś po powrocie szukał generała Hawleya, to obawiam się, że dziś rano trochę zasnął. Ponieważ wiedzieliśmy, że nie lubi ognisk obozowych i wilgotnych namiotów, namówiliśmy lady Kilmanrock, by zaproponowała mu gościnę w Callendar House, co zapewniło wygodę jemu i jego starszym oficerom. Wczoraj wieczorem urządzili małe przyjęcie na cześć generała i wino mogło mu pójść do głowy.

- Widziałem, jak Hawley wychyla kwartę whisky bez mrugnięcia okiem - zauważył Angus.

- Przyprawionej opium?

Angus potrząsnął głową.

- Czy mogę spytać, dlaczego po prostu go nie otruliście?

- To nie byłoby fair, czyż nie?

Angus roześmiał się mimo woli i klepnął Camerona w wyciągniętą dłoń, znów przypominając sobie, że powierza bezpieczeństwo i zdrowie Anne tym nieulekłym szaleńcom. Nie chciał myśleć o niebezpieczeństwach, które mogły jej zagrozić już niedługo, ale czy był w stanie tego uniknąć? Obiecała trzymać się z daleka, z tyłu, lecz jakąż miał pewność, że dotrzyma przyrzeczenia?

Pogrążony w głębokiej zadumie, ruszył za MacGillivrayem ścieżką prowadzącą przez las, ale gdy tylko wioska znikła za drzewami, wysoki góral zatrzymał się i gwałtownie odwrócił.

- Chcę tylko, żebyś usłyszał z moich własnych ust, że nigdy jej nie tknąłem. Chciałem tego. Byłem piekielnie blisko tego więcej razy, niż gotów jestem się przyznać, ale ona dochowała ci wiary i nikomu nie pozwolę powiedzieć, że było inaczej. Nawet tobie.

- Wierzę ci. Uwierzyłem Anne ostatniej nocy.

- Ostatniej nocy? Ostatniej nocy oboje mieliśmy w czubie. Ja byłem na tyle szalony, że wymknęło mi się coś, co piekło mnie w język jak rozżarzone żelazo, i było diabelnie blisko, żebym się od tego zapalił. Tak, pozwoliłbym, żeby i ona się zapaliła i do diabła z tobą, Angusie Moyu, gdyby tylko dała mi najmniejszy znak, że potem będzie mogła z tym żyć.

John przerwał, odetchnął ciężko, a potężna bryła jego barków i torsu sprawiała, że wyglądał tak ponuro i groźnie, jak ściana jodeł majacząca po obu stronach ścieżki. Zrobiwszy to porównanie, Angus pomyślał mimo woli, że można rzucić ciało pod te drzewa i aż do wiosennej odwilży nikt go nie odkryje.

- Tak - powiedział John, poznawszy po oczach Angusa, że ten stał się naraz czujny. - Czy ty w ogóle wiesz, ile masz szczęścia? Czy wiesz, ile razy myślałem, żeby cię chwycić, przerzucić przez kolano i złamać ci kręgosłup? Trzasnąłby jak sucha gałązka, zapewniam cię. A potem byłoby po wszystkim i nie musiałbym czytać w jej oczach, jak bardzo ją zraniłeś. Mówiłbym jej co dzień, jak jest dzielna i piękna, a jeśli choć raz... spojrzałaby na mnie w taki sposób, jak patrzy na ciebie... - Trzymał rękę wzniesioną dla podkreślenia swoich słów, ale kiedy słowa zawiodły go, zacisnął palce w pięść i odwrócił głowę, by nie patrzeć w twarz mężczyźnie, którego zdrada była powodem tego, że Anne płakała do poduszki prawie każdego wieczoru w Dunmaglass.

W końcu splunął na ziemię, zmełł w ustach przekleństwo i odwrócił się plecami.

- John, wiem jak się czujesz. I wiem, jak Annd się czuje, ale nie rozumiesz...

Wciąż zaciśnięta pięść znów się uniosła ostrzegawczo, choć góral nie spojrzał za siebie.

- Dość tego. Powiedziałeś już swoje. Jeszcze słowo i mogę po prostu oszczędzić klanowi wstydu oglądania cię w bitwie po nieprzyjacielskiej stronie.

- W takim razie będziesz to musiał zrobić, bo na Boga... - Angus podniósł głos, bo od MacGilliwaya, który stawiał ogromne kroki, dzielił go w tym momencie znaczny dystans. - Stałem tu i słuchałem, jak wyznajesz swą miłość do mojej żony, teraz więc przynajmniej i ty wysłuchaj mnie. Wysłuchaj nie twojego wodza, tylko kogoś, kto był twoim przyjacielem.

MacGillivray przystanął, ściągnął beret z głowy i cisnął na ziemię z kolejnym przekleństwem. Uniósłszy ramiona, zrzucił pled, którym był owinięty, i sięgnął obiema dłońmi po rękojeść przewieszoną przez plecy pałasza. Gdy wysuwał ze skórzanej pochwy nabijanej guzami półorametrowe ostrze z hartowanej stali, jego świst drżał w zimnym powietrzu. Słyszając ten dźwięk, Angus położył dłoń na rękojeści własnej wąskiej szabli.

Nie wyciągnął jej jednak, wiedząc, że byłby to nierówny pojedynek; można by ich porównać do młodego drzewka przy potężnym dębie. MacGillivray zrobił krok w tył, wciąż znajdując się dość blisko, by dotknąć

czubkiem ostrza grdyki Angusa, i skwitował jego wahanie pogardliwym parsknięciem.

- Chcesz powiedzieć swoje, to mów.

- No więc, najprościej jak potrafię: Powodem tego, że stanę dziś po przeciwnej stronie na polu bitwy, nie jest to, że chcę tam być, ale że Forbes dał mi przyrzeczenie... na piśmie i opatrzone królewskimi pieczęciami... że dopóki służyć w armii króla Jerzego, ani Anne, ani mojej matce nie grozi aresztowanie. To była gwarancja nietykalności i gdybym się nie zgodził na te warunki, skutek byłby taki, że natychmiast podpisano by nakazy aresztowania ich obu, a także ciebie, Fearchara, MacBeana i z tuzina innych lairdów z klanu Chattan. Forbes nie dał wyboru w tej sprawie, tak jak nie dał wielkiego wyboru innym lairdom znajdującym się w takim samym położeniu. Na szczęście, zostałem w porę ostrzeżony i zdołałem utwierdzić go w przekonaniu, że lata spędzone w Europie uczyniły mnie obojętnym na spory i intrygi polityczne obu stron. Wstyd przyznać, doprowadziłem nawet do tego, iż uwierzył, że Anne jest mi raczej obojętna i że jej aresztowanie odczułbym bardziej jako splamienie znakomitego nazwiska niż cokolwiek innego. Niestety, zdaje się, że grałem moją rolę aż zbyt dobrze, bo ona też zaczęła w to wszystko wierzyć, i do licha, jeżeli wciąż chcesz zdjąć mi głowę z karku, zrób to teraz, i niech raz się wreszcie skończy to, co muszę znosić przez te ostatnie parę miesięcy! Proszę! Nawet ci to ułatwię! Jeden dobry cios i obaj będziemy wolni.

Ze złością zerwał zapinki płaszcza i rozchylił go na boki, razem z połami bluzy i kamizelki. Tak skwapliwie rozerwał koszulę i wystawił się na szybkie uderzenie, że zadrapał skórę na piersi, która natychmiast poczerwieniała od krwi. Stał teraz na szeroko rozstawionych nogach i czekał, aż dostrzeże w oczach MacGillivraya ostateczny wyrok dla siebie.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu, ale wreszcie John powoli opuścił ostrze miecza. Zmrużył oczy, błyszczące jak dwa odłamki czarnego szkła, i jego brwi ściągnęły się w literę V, która pogłębiała się i ciemniała w miarę, jak docierało do jego świadomości to, co powiedział Angus.

- Nietykalność? Skurwiłeś się dla Sassenachów, żeby uzyskać obietnicę nietykalności dla nas wszystkich?

- Ostro to wyraziłeś, jak zawsze. Ale taka jest prawda. Uważałem, że warto zapłacić tę cenę za bezpieczeństwo mojej rodziny. Ty natomiast mogłeś dzięki temu przemycać różne towary i łamać blokadę, choć żadna z tych rzeczy nie podobała się Forbesowi, a muszę dodać, że kilka razy w ciągu ostatnich miesięcy miał środki po temu i wystarczające dowody, żeby cię aresztować.

MacGillivray jeszcze przez chwilę patrzył spode łba w milczeniu.

- Dlaczego, na miłość boską, mi nie powiedziałeś? Albo Annie, na rany Chrystusa. Przez ciebie przeżyła prawdziwe piekło, ty sukinsynu.

- Myślałem, że mogę ją w ten sposób lepiej chronić - odpowiedział Angus ponurym tonem. - Jej pogarda dla mnie musiała być autentyczna, choćby po to, żeby przekonać Loudouna i innych, że moim jedynym motywem jest chciwość, nic więcej. Czegoś takiego nie potrafiłaby udawać przez kilka miesięcy.

- Ale ty mogłeś?

- Moje całe życie było grą. Wychowano mnie tak, bym potrafił stale nosić maskę.

- No i proszę. Nosileś ją tak umiejętnie, że prawie pchnąłeś żonę w ramiona innego mężczyzny.

- Musiałem podjąć takie ryzyko. Czy wyobrażasz sobie, jaką broń miałyby Forbes przeciwko mnie, gdyby wiedział, że tak rozpaczliwie kocham moją żonę?

To wyznanie i szczerłość wyraźnie wyczuwalna w głosie Angusa sprawiły, że MacGillivray postąpił jeszcze krok do tyłu.

- Tak czy inaczej - powiedział po chwili - ona ci nie podziękuje, kiedy się dowie.

Angus pokręcił głową.

- Nie może się dowiedzieć. Żądam byś dał mi na to twoje słowo, John.

- Dlaczego, u diabła, każesz mi przysięgać? Gdyby ona wiedziała, dlaczego to zrobiłeś...

- Czułaby się tylko dwa razy bardziej winna i zraniona niż przedtem.

- A co z innymi? Gilliesem? Fearcharem? Czy oni nie zasługują na to, żeby wiedzieć, dlaczego ich laird nosi kokardę Hanowerczyka?

Angus przestał ścisnąć podartą koszulę i przesunął dłońmi po włosach.

- Nie. To musi tak pozostać, a jeśli mi nie wierzysz, popatrz sam na siebie. Dziesięć sekund temu byłeś gotowy rozłupać mnie jak melon. Teraz twoja twarz ma ten sam szlachetny wyraz, jaki miała, gdy Ranald MacFeeff

wepchnął mnie w bagno. Byłeś pięć lat młodszy ode mnie, ale to ja tam leżałem, chłapiąc z powodu plam na moich nowiutkich atłasowych spodniach, a ty stałeś nade mną jak krwiożerczy wielki wilczur, grożąc tamtym chłopakom, że jeśli znowu będą się ze mnie śmiać albo choć raz jeszcze rzucą we mnie grudą łajna, policzysz się z nimi. Powiedz mi, czy nie pojechałbyś teraz ze mną prosto do Falkirk, gdybym cię poprosił, byś mnie ochraniał?

MacGillivray wlepił w niego wzrok. Wydał wargę, jak gdyby chciał zaprzeczyć, ale w końcu tylko splunął i zaklął.

- Mógłbyś zawsze po prostu zawrócić do chaty. Wtedy chroniłbym cię choćby za bramami piekła. Zresztą jeśli dziś zwyciężymy, zdaje mi się, że gwarancje Loudouna nie będą więcej warte niż papier, na którym są wypisane.

Angus westchnął z irytacją.

- Ale jeśli Brytyjczycy zwyciężą, te gwarancje mogą być warte każdej zniewagi i każdego afrontu, które musiałem znosić.

- Innymi słowy, twój brak wiary w nas nie jest całkowicie udawany.

- Wiara nie ma tu nic do rzeczy, przyjacielu, liczą się wyłącznie artyleria, kawaleria i tysiące żołnierzy piechoty wyćwiczonych i zdyscyplinowanych. Przypuśćmy, że księżę zostaje dziś wzięty do niewoli lub ginie, a jego armia ponosi klęskę. Krewniacy Anne strzegą jej jak młodszej siostry i nie wątpię, że każdy, kto zobaczy ją jadącą przed nimi jak celtycka Joanna d'Arc, prędzej wypali sobie oko rozżarzonym prętem, niż spojrzy na nią pożądliwie. Ale jeśli Brytyjczycy zwyciężą, nie będą się bawić w ceremonie. Zacznie się wieszanie ludzi, egzekucje staną się czymś powszednim, każdą kobietę przyłapaną na noszeniu białej kokardy, niezależnie do tego, kim będzie i jakie szlachetne pobudki sprawiły, że znalazła się na polu bitwy, potraktują jak łup wojenny.

- To się nigdy nie zdarzy - powiedział MacGillivray, znów zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

- Czy możesz być tego pewien? Możesz mi zagwarantować, że zejdziesz z pola bitwy żywy i zwycięski? Jeśli tak, jesteś lepszy ode mnie, bo ja widziałem brytyjskie salwy, widziałem szarżujący cwałem batalion kawalerii i nie będę na tyle zarozumiały, by przewidywać, jaką mam szansę na przeżycie do końca dnia. Ale jeśli wyjdę z tego żywy, mam na pewno większą szansę na to, by nie dopuścić do zgwałcenia żony przez triumfujących dragonów, niż miałbyś ty z twoim mieczem, który znajdzie się w rękach zwycięzców.

MacGillivray wydał z siebie warkot, odsłaniając białe zęby, i zaczął od tego, że nigdy nie złoży miecza, dopóki tchu w piersiach, ale druga, spokojniejsza strona jego natury, przyznawała słusność rozumowaniu Angusa. Choć gorzko mu było myśleć o konsekwencjach klęski, po tym, gdy tak długo czekali, by przyłączyć się do powstania, musiał przyznać, że taka możliwość jest przeraźliwie realna. Wiedział też bardzo dobrze, jak morderczy jest brytyjski ogień. Anne wierzyła, że on nie zna uczucia strachu, ale tak nie było; po prostu spychał go w ciemne zakamarki duszy i nie chciał tam zaglądać.

Zimna, wielka kropla deszczu rozprysła mu się na twarzy. Niebo już całkiem pojaśniało i słychać było w oddali pobudkę graną przez dudziarzy, którzy mieli dodać ludziom ducha - czekał ich wszak długi, ciężki dzień. Ponieważ obóz rozciągał się na niezwykle szerokiej przestrzeni, beczenie dud dobiegało ze wszystkich stron, dudziarze z każdego klanu grali jego melodię *piob rach*, by wzburzyć krew w wojownikach. Własny oddział MacGillivraya składał się z osiemdziesięciu ludzi; wszyscy oni mieli stanąć w pierwszych szeregach na polu chwały.

- Dobrze - powiedział ponurym tonem i skinął głową. - Masz moje słowo, że nie powiem nic Anne. Nawet jej nie powiem, żeśmy cię widzieli i że rozmawialiśmy z tobą, bo w przeciwnym razie będzie mi wiercić dziurę w brzuchu i wypytywać, o czym była mowa, słowo po słowie, i nie jestem pewien, czy potrafiłbym skłamać. Będę miał wystarczająco dużo kłopotu z tym, żeby ją trzymać z dala od pola bitwy.

- Ale zrobisz to. Będziesz ją trzymał z daleka od pola bitwy za wszelką cenę. A co do kłopotów, to nie mam nic przeciwko temu, żebyś ją przywiązał do drzewa za ręce i nogi. W gruncie rzeczy wolałbym, byś tak właśnie postąpił.

John schował miecz do pochwy i podniósł beret z ziemi.

- Ona nie jest całkiem szalona. A poza tym, tylko ona jest zdolna utrzymać Fearchara z dala od walczących.

- Dobry Boże, nie chcesz chyba powiedzieć...

- Właśnie chcę. Ledwie mu starcza sił, żeby się nie zachwiać, kiedy unosi sztylet, ale się upiera, żeby stanąć w pierwszym szeregu. Do Anne będzie należało odprowadzić go bezpiecznie w jakieś miejsce, gdzie nie zostanie stratowany na śmierć podczas natarcia. Jeśli ona tego nie zdoła zrobić albo nie będzie chciała, to wystarczy mi sznurów dla obojga.

Anne nie była z pewnością usposobiona towarzysko, kiedy Robbie i Jamie Farquharsonowie zaczęli się dobijać do jej drzwi tuż po świcie. Angus odszedł jakąś godzinę temu, a ona spędziła ten czas, siedząc w ciemności, owinięta w koc jeszcze przesiąknięty zapachem jego włosów i ciała. Początkowo czuła jedynie bezbrzeżną litość. Ale ponieważ wiedziała, że to się na nic nie zda, to pierwsze uczucie zastąpiły gniew i oburzenie, wypełniając pustkę w sercu, tak niedawno jeszcze napełnionym przez Angusa nadzieją.

W gruncie rzeczy nie mogła się zbytnio gniewać na męża, bo trudno było zaprzeczyć, iż miał w pełni rację, gdy zapytał, czyjego honor jest mniej wart niż jej. Nie był wart mniej, oczywiście. Zdała sobie sprawę, że chyba zawsze to wiedziała, tylko po prostu nie mogła się z tym pogodzić. Dziwna rzecz, przyniosło jej to pewną ulgę, bo zrozumiała, że już nie musi stawiać pod znakiem zapytania ani usprawiedliwiać swojej miłości do niego - przed sobą czy przed kimkolwiek. Angus był w każdym calu człowiekiem honoru, tak samo jak Fearchar lub John MacGillivay albo Alexander Cameron, i, co ważniejsze, kochał ją, mimo iż zajmowali przeciwne stanowiska, gdy chodziło o politykę, pochodzili z różnych środowisk i mieli różne temperamenty. Większość żon nawet nie liczy na to, że tak się im może powieść w małżeństwie.

Walenie do drzwi przerwało jej rozmyślenia; poirytowana otworzyła je gwałtownym ruchem.

- Ja już nie śpię. Nie ma potrzeby...

Na widok bliźniaków zaparło jej dech z wrażenia. Stojąc pod rozjaśniającym się szarym niebem, wyglądali znacznie groźniej niż zwykle, z muszkietami w rękę i szerokimi mieczami u boku. Każdy z nich miał za pasem pistolet i sztylet oraz drugi sztylet za cholewą na prawej łydce. Nieśli tarcze z drewna i skóry nabijane ćwiekami, a chociaż wyraźnie, zbierało się na deszcz, by zachować pełną swobodę ruchów, nie owinęli sobie pledów wokół ramion, za to do starannie wyczyszczonych beretów przypięli świeże gałązki borówki jako odznakę klanu. Całe zmęczenie, które mogli odczuwać po wieczornym pijaństwie w gospodzie, ustąpiło miejsca radosnemu podnieceniu.

- A cóż to? - spytał Jamie. - Gapisz się na nas, jakbyśmy mieli trzy głowy zamiast dwóch.

Anne patrzyła nad ich ramionami na drogę i dojrzała tam wielu innych mężczyzn, ich muszkiety, pałasze, piki i topory lśniły i połyskiwały groźnie. Jeden z dudziarzy MacCrimmonów zbliżał się od strony głównego obozu, za nim kroczyło dziarsko stu lub więcej ludzi z tego klanu. Ci, co wczoraj świętowali, tego pijąc, i po wyjściu z gospody padli przy drodze, teraz siadali i zaczęli drapać się po głowach, ale widać było, iż dobrze wiedzą, co się dzieje, bo szybko zrywali się na nogi i ruszali w przeciwną stronę, śmiejąc się i pokrzykując do swych towarzyszy broni, by nie pozabijali wszystkich Anglików, nim oni wrócą w pełnym rynsztunku.

- Co to znaczy? - spytała Anne. - Dokąd wszyscy idą?

- Lord George mówi, że skoro ten sukinsyn nie wydaje nam bitwy, to my mu ją wydamy. MacGillivray rozkazał nam, żebyśmy przyszli po ciebie. Na krew Zbawiciela, mamy maszerować w drugiej kolumnie, razem z Cameronami.

- No właśnie - potwierdził z zapalem Robbie - i do bitwy też staniemy razem z nimi, a to jest najlepsze miejsce, na jakie człek mógłby liczyć. Ruszaj się, dziewczyno! Chyba nie chcesz zostać w tyle?

Anne zakręciwszy się jak fryga, rzuciła koc, który trzymała podciągnięty pod pachy. Nie potrafiłaby zliczyć, ile razy pływała nago razem z kuzynami - zdarzało się to najczęściej w okresie jej wczesnej młodości - bez żadnego skrupowania biegała teraz w ich obecności po izbie w negliżu, odnajdując i wciągając na siebie kolejne warstwy odzieży. Wdziała spodnie i grubą lnianą koszulę, naciągnęła na nogi pończochy i buty. Nie zważając na niecierpliwe ponaglenia Robbiego, założyła kamizelkę z pikowanego atłasu, haftowaną w gałązki borówki, i przypięła żabot z delikatnej koronki. Nie było czasu, by porządnie wyszczotkować włosy, ale udało się jej kilkoma gwałtownymi pociągnięciami rozdzielić je na trzy grube pasma i zapleść szybko na karku. Kiedy już upięła zwinięty warkocz i wepchnęła pod beret, włożyła niebieski aksamitny kaftan ze złotymi guzami i koronkowymi mankietami, po czym opasała się dwoma skórzanymi pasami, jeden był na pistolety, drugi na szablę i sztylet.

Chyba nigdy dotąd nie ubrała się tak szybko, ale bliźniacy i tak ją poganiali, miotając się po izbie jak kot z pęcherzem. Wszyscy troje pospiesznie ruszyli ścieżką ku miejscu, gdzie czekała na nich grupa ludzi z ich klanu z Robertem Bruce'em - siwym ogierem Anne, nazwanym imieniem bohaterskiego króla - ale ona zamiast wsunąć stopę w strzemień, wydała zduszony okrzyk i pobiegła z powrotem do chaty. Odnalazła codzienny strój, który miała na sobie

poprzedniego dnia, zajrzała do wewnętrznej kieszeni i wyciągnęła zamykany medalion z portretem Angusa wewnątrz, z którym się nie rozstawała. Przypiąwszy go nad piersią, wciągnęła skórzane rękawice i wróciła przed dom.

Trzej Farquharsonowie dosiedli koni i odjechali szybkim klusem na spotkanie z MacGillivrayem i resztą klanu Chattan. Na polach roіło się od ludzi, po części już uformowanych w kompanie, brygady i regimenty. Sześćdziesięciosiedmioletni lord Pitsligo dostrzegł Anne i pomachał jej ręką, podobnie jak znacznie młodszy od niego Murray of Broughton, jadący na czele wspaniale odzianych huzarów, którzy wyróżniali się swymi futrzanymi czapami i czarnymi skórzanymi bandoletami. Kompania Straży Przybocznej, dowodzona przez lorda Elcho, składała się z samej najzamożniejszej szlachty; mundury mieli czerwono-niebieskie, a ich wierzchowce, wszystkie, co do jednego, mogłyby wygrywać na wyścigach.

Jednakże większość szeregowych członków klanów odziana była w zwykłe kilty i pledy, ciepłe kaftany z byczej skóry i tartanowe kubraki. Przy beretach nosili klanowe odznaki, a wojenny okrzyk *cath-ghairm*, zagrzewał ich do boju. Każdemu klanowi towarzyszył dudziarz, który swą grą miał burzyć krew w żyłach, rozpalać serca, a także budzić trwogę w nieprzyjacielu. Wodzowie przywiedli też ze sobą barda; miał on rejestrować w swym umyśle, ze wszystkimi szczegółami, to co się zdarzy w tym dniu. aby męzne czyny mogły być zapisane dla potomności i na chwałę klanu. Bardami byli zazwyczaj ludzie o wyjątkowej pamięci i donośnym głose, którzy później układali pieśni i poematy, powtarzane przez lata przy ogniskach.

Kiedy pokonali ostatnie wzgórze i Anne ujrzała ludzi z klanu Chattan, jej serce napełniło się dumą. Czekali na swego pułkownika, by poprowadził ich w pole, a kiedy ją dojrzeli, rozległy się okrzyki, które zagłuszyły beczenie dudziarzy. Niektórzy z spośród nich mieli zginąć tego dnia, a inni zaś ponieść w bitwie straszliwe rany i zostać kalekami na całe życie. Ale wszyscy co do jednego wznosili wiwaty, a kilku z nich podrzuciło na ramionach Johna MacGillivraya, nim go posadzili na konia.

MacGillivray uśmiechał się szeroko, tak jak jego ludzie, a wiatr zwiewał w tył jego jasne włosy. On też ubrał się starannie, codzienny wełniany kaftan, który nosił od wyjazdu z Aberdeen, zastąpił bardziej wytwornym, ufarbowanym na intensywnie niebieski kolor. Miał na sobie czerwony w niebiesko-czarne pasy breacan, czyli długi pled stanowiący jedną całość z kiltem, i także pończochy, na nogach brogs zamiast zwykłych butów, co, jak Anne wiedziała, miało ułatwić bieg. Beret na jego głowie był zawadiacko przekrzywiony, obok gałązki borówki widniała biała kokarda Stuartów. Przez plecy przewiesił *clai'mor*, a choć ta broń w jego mocarnych dłoniach budziła wystarczającą trwogę we wrogach, uzbroił się jeszcze w parę pistoletów i kilka sztyletów.

Pozdrawiając Anne, John odgarnął z czoła lśniący lok na znak szacunku, i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Lord George życzył sobie, żebyś jechała z księciem, ale powiedziałem mu, że chcemy byś była przy nas, pułkowniku. Przy swoich ludziach. Przynajmniej do czasu, gdy dotrzemy na wrzosowisko.

Powiedział to dość głośno, by wywołać kolejny ryk aprobaty i Anne, mrugając rozpaczliwie, by powstrzymać łzy cisnące jej się do oczu, zajęła dumnie miejsce na czele długiej kolumny mężczyzn. Bruce zdawał się wiedzieć, że tego dnia niesie na grzbiecie kogoś bardzo ważnego, bo unosił nogi wysoko i pewnie, a jego zadarty ogon wyglądał jak srebrzysty jedwabny wachlarz. W odróżnieniu od innych wierzchowców, nieprzywykłych do obecności tylu ludzi, dźwięków i muzyki bębnow oraz dudziarzy, ani nie strzygł uszami, ani nie wyłamywał się z szeregów armii księcia maszerującej do boju.

Dwadzieścia kilometrów dalej na południe, Adrienne de Boule odjęła od ust delikatną porcelanową filiżankę, pozostawiwszy na dolnej wardze małą kropelkę czekolady. Major Roger Worsham natychmiast pochylił się i zlizął ją. Nie poprzestał jednak na tym, lecz wsunął język między wargi kobiety i przywarł do nich ustami w długim łapczywym pocałunku.

Nie miał pojęcia, jaka to pora, bo światło sączące się przez okno było mętne i szare. Podmuchy wiatru rozpylały na szybach duże krople deszczu. Wszystko to jakby usprawiedliwiało zachowanie majora, który przeciągnął się leniwie, a następnie wtulił w miękką poduszkę kobiecych piersi. Major wciąż jeszcze był nie całkiem przytomny, głowę miał ciężkajak ołów - skutki wina, które wypił zeszłego wieczoru. Wydawało mu się to dziwne, bo przysięgłby, że poprzestał na dwóch, najwyżej trzech kieliszkach. A chociaż nie mógł sobie przypomnieć, jak się spisał, przyjął, że chyba się nie ośmieszył, bo jego flirtiera wyglądała na wymęczoną i pachniała rozkosznie seksem.

Powiódł dłonią po gładkim jak atlas ciele Adrienne, zdumiewając się po raz tysięczny, jak taka piękność mogła wybrać spośród dziesiątek zalotników ubiegających się o jej względy właśnie jego. Kiedy zgiął palce między jej udami,

został nagrodzony namiętnym pomrukiem, i zaczął się zastanawiać, czy mają dość czasu, zanim reszta domowników znajdzie się na nogach.

Dwoje drzwi dalej, w sypialni obitej fioletowym adamaszkiem z bladeżółtymi akcentami leżał, pojękując, major Hamilton Garner. Spoczywał na łożu twarzą w dół, z rękami i nogami rozrzuconymi na boki, a niteczka śliny, przypominająca pajęczynę, wyciekała mu z otwartych ust. Kobieta obok niego poruszyła się ostrożnie, by wydobyć się spod skotłowanych kołder, pilnując się, by za żadne skarby go nie obudzić. Uda miała posiniaczone, piersi podrapane, jak gdyby zaatakowała ją dzika bestia, a każdy otwór ciała bolał ją tak straszliwie, że miała chęć się rozplakać.

Poszła do łóżka z brytyjskim oficerem nie z wyrachowania i tylko do samej siebie mogła mieć pretensję. Major był taki przystojny, miał tak prowokujące i uwodzicielskie zielone oczy, że topniała jak kulka śniegu w gorącym pokoju przez cały wieczór i nie mogła się doczekać, by poczuć jego dłonie i usta na swym ciele.

Teraz poruszała się tak cicho i szybko, jak tylko mogła, zbierając części swej garderoby - wystraszona myszka zbierająca okruchy. Dopiero gdy stanęła w drzwiach, odwróciła się i popatrzyła na mlecznobiałe ciało majora. Znowu jęknął, zamierzając się na jakiegoś niewidzialnego wroga. Popełniła błąd, że obudziła go w nocy, gdy dręczył go jeden z takich koszmarów, i drogo zapłaciła za swoje współczucie. Rzucił się na nią z furją, nazywając ją Catherine, i zmusił do robienia takich rzeczy, po których gorąco zapragnęła przyłożyć nóż do jego ciała i obciąć części, które ją znieważały. Teraz, gdy odgarnęła długie jasne włosy i pożegnała majora, unosząc środkowy palec w nieprzyzwoitym geście, nie czuła niczego prócz obrzydzenia.

Generał Henry Hawley siedział przy stole w pokoju śniadaniowym, z bolącą głową i językiem pokrytym kwaśnym nalotem, którego nie mogła zneutralizować największa porcja czekolady. Czuł się odurzony i ogłupiały i był pewien, że pominął coś istotnego w poleceniach, jakie dyktował adiutantowi siedzącemu obok.

- Będę potrzebował pościeli i bielizny pościelowej, oczywiście upranej, i wyobrażam sobie, że hrabia Kilmarnock musi mieć stosowny wybór garderoby. Zauważyłem też bardzo bogatą bibliotekę; pamiętajcie, żeby zapakować książki w skrzynki, bo nie chciałbym, żeby ucierpiały w czasie transportu do Edynburga. W moim pokoju sypialnym jest dość ładny bijący zegar, ale szczególnie zachwycił mnie ten czarny kredens lakierowany pokostem japońskim... - przerwał i wskazał na inkrustowany mebel, na którym stały dzbanki z czekoladą, kawą i herbatą. - Można by też dołączyć porcelanę i srebrny półmisek. To będzie miły upominek dla mej szwagierki, która jest

wielką znawczynią takich rzeczy. I zajrzyjcie do spiżarni. Zdaje się, że mają obfitość solonej wołowiny, szynki i czego tam jeszcze, o wiele za dużo wiktuałów dla jednej damy, a my będziemy mieli coś jadalnego na podróż powrotną do Edynburga. Zresztą, niech mnie diabli: zabierzcie wszystko. Czego nie potrzebujemy na drogę, wyślijcie pod mój adres do Holyrood House.

- Rozkaz, generale. Co mam powiedzieć lady Kilmarnock w kwestii rekompensaty?

- Powiedz to, co mówimy im wszystkim: po naszym odjeździe może się zwrócić do prokuratora wojskowego jeśli życzy sobie otrzymać pokwitowanie. Jej gościnność nie oszukała mnie ani trochę, zapamiętaj to sobie, ani trochę. Twierdzi, że jej mąż wyjechał w interesach, ale podejrzewam, że te interesy załatwia w obozie pretendenta. Powinna więc się cieszyć, że nie konfiskujemy każdej sztuki umeblowania i każdego ziarnka soli i że nie zdieramy obić ze ścian.

- Rozkaz, generale.

- To mi przypomina - wypił łyk i wskazał palcem - te zastony...?

- Rozkaz, generale. Dopilnuję, by o nich pamiętano.

Z korytarza dobiegł cichy śmiech. Hawley drgnął i obejrzał się. Zły, że zmuszają go do tego wysiłku, spuścił obute stopy z rogu stołu i wstał, bo do pokoju przez otwarte drzwi wsunęła się gospodyni. Lady Kilmarnock była młodą kobietą o żywym spojrzeniu i często się śmiała swobodnie, zarówno przy gościach, jak i przy służbie. Odprawiła pokojówkę, wydawszy jej polecenia, a gdy zobaczyła generała, uśmiechnęła się i złożyła mu dworny ukłon.

Hawley przywitał ją w sposób nieco bardziej sztywny. Generał kupił pierwszy patent oficerski w roku 1694 i większość życia spędził w armii. Dobiegając siedemdziesiątki, był nieatrakcyjnym stetryczalym starym kawalerem. Lady Kilmarnock nie musiała się obawiać sprofanowania swej sypialni pod nieobecność męża. Gdy chodzi o kobiety generał miał szczególny gust i nie było osoby w Callendar House, która by go mogła skusić, z wyjątkiem córki kucharki - miała ona trochę ponad dziewięć lat i była okrągłutka jak kluseczka.

- Dzień dobry, generale. Wielkie nieba, czy to naprawdę już prawie południe? Mam nadzieję, że dobrze pan spał?

- Prawdę mówiąc - skrzywił się - nie bardzo pamiętam. Głowa mi dokuczła po wczorajszym wieczorze i zostałem w łóżku dużo dłużej niż zwykle - ten atak lenistwa dotknął, jak mi się zdaje, również niektórych moich oficerów.

- To na pewno ten środek nasenny, który dosypałam do wina przy kolacji.

Hawley przez chwilę przyglądał jej się zaskoczony, ale kiedy gospodyni zadarła głowę i roześmiała się, uznał, że to był żart i kiwnął głową.

- Wolę przypisać moją ospałość wygodnemu postaniu, szanowna pani. Gdyby takie łóżko dało się zmieścić w moim namiocie, wstawiłbym je tam bez wahania. - Przez chwilę rozważał swoje słowa i spojrzał pytająco na adiutanta, który kiwnął głową i skreślił jeszcze jedną notatkę na tabliczce. Gdy skończył, generał odprawił go skinieniem ręki. - To będzie na razie wszystko, poruczniku Martin, dziękuję panu. Proszę zawiadomić majorów Worshama i Garnera, że oczekuję, iż zasiądą na tych dwóch krzesłach - wskazał miejsca po drugiej stronie stołu - w ciągu najbliższych pięciu minut, w przeciwnym razie grozi im sąd wojenny.

Adiutant chwycił swą czapkę i zasalutował służbiście, po czym wyszedł, zostawiając przy śniadaniu generała z lady Kilmarnock. Na półmisku przed Hawleyem piętrzyły się plastry szynki i ozora wołowego, sery i kandyzowane owoce, wszystko obficie polane sosem, ale żaden z tych przysmaków nie wzbudził w nim szczególnego apetytu. Kiedy jednak usłyszał, że pani domu zamawia płat bekonu i kiełbasę, dał znak służącemu, by jemu przyniósł to samo.

- Uwielbiam kobiety z dobrym apetytem - powiedział. - To co innego niż te wykwintnisie skubiące wszystkiego po kawałeczku.

- Mąż zarzuca mi, że jem jak jedno z naszej trzody, chociaż, gdy go pan spotka, przekona się pan, że on też nie żałuje sobie przy stole.

- Ach, tak, trzoda. Pani żywy inwentarz będzie nam potrzebny w nadchodzących dniach. Trzeba będzie karmić jeńców, a moi ludzie też muszą jeść.

Lady Kilmarnock uśmiechnęła się.

- Zdaje mi się, że jest pan pewien zwycięstwa, generale.

- Wierzę w determinację moich ludzi, droga pani. Och, tak, wiem, że nie są należycie zdyscyplinowani i że w przeszłości nie w pełni można było na nich polegać, łagodnie mówiąc. Ale - machnął widelcem, na którym tkwił kawał szynki - nie ma wspanialszego widoku niż armia brytyjska stojąca w pełnej

gotowości bojowej. Proszę to sobie wyobrazić. Osiem tysięcy ludzi stojących w równych szeregach. Pole czerwieni, bicie w bębny i sztandary łopoczące nad głowami. To niemal wyciska łyzy z oczu, powiadam, wyciska prawdziwe łyzy! Czy ten źle wyćwiczony motłoch w spódniczkach będzie mógł stawić im czoło? Cóż, to się wkrótce okaże.

- Mówiono mi - powiedziała nieśmiało gospodyni - że ten źle wyćwiczony motłoch bywa groźny.

- Dorośli mężczyźni w spódniczkach? - Generał parsknął śmiechem, kawałek sera wystrzelił mu z ust i upadł po drugiej stronie stołu. - Myślę, że silny wiatr z tyłu wystarczy, żeby wyglądali raczej farsowo niż groźnie. Zapewniam panią, że to najbardziej godny pogardy nieprzyjaciel. Bez manier, bez zasad. W najwyższym stopniu niezdyscyplinowany. Nie mają żadnego pojęcia o wojennym rzemiośle, aż trudno w to uwierzyć. Proszę sobie wyobrazić, w ostatnich dwóch dniach wystawili sztandary pretendenta tak, że były z dala widoczne, na małym wrzosowisku na południowy wschód od Bannockburn. Po to, by wzbudzić panikę w naszych szeregach. Panikę? Też coś! Kusiło mnie, posiać jednego człowieka, żeby poszedł tam pieszo, pieszo powiadam, żeby przyniósł te przeklęte płachty jako trofeum.

Lady Kilmarnock zacisnęła wargi i jednocześnie zerknęła ku drzwiom, w których nagle pojawił się lokaj.

- Proszę mi wybaczyć, milady, że przeszkadzam. Właśnie przybył kurier z kwatery polowej pana generała. Bardzo wzburzony młody człowiek. Nalega, by mu pozwolono natychmiast widzieć się z panem generałem.

- Nalega, powiadasz? - spytał generał, marszcząc czoło. - Powiedz mu, że jestem zajęty i przyjmę go w odpowiedniej chwili.

Lokaj zerknął ukradkiem na lady Kilmarnock, po czym znów zaczął się tłumaczyć przed generałem.

- Już mu powiedziałem, że pan generał jest niedysponowany, ale on jest bardzo natarczywy.

- Każ mu czekać - powtórzył generał, wymawiając każde słowo tak, jakby było długie na dziesięć sylab.

- Tak jest, panie generale. Tak zrobię, panie generale.

Hawley wyssał spomiędzy zębów skrawek szynki i spojrzał przez stół na gospodynię.

- Zechce pani wybaczyć moim ludziom brak ogłady, droga lady. Większość z nich to łajdacy zwerbowani prosto z burdeli. Żeby dostać muszkiet 1 sześć pensów dziennie żołdu, każdy z nich musiał tylko przysiąc, że jest protestantem i nie ma ruptury. Narzekają na klimat, narzekają na racje sucharów i wody... - przerwał, żeby wsunąć do ust widelec ociekający jajkiem. - Daję słowo, czasem głowa mi pęka od świstu pejcza.

- Jednakże, jak pan sam powiedział, wyglądają wspaniale na polu bitwy - mruknęła lady Kilmarnock.

Warga Hawleya drgnęła, ale zanim zdążył odpowiedzieć na jej uwagę, wrócił lokaj, pokaszując niespokojnie w dłoń.

- Co tam, Donaldzie? - Lady Kilmarnock uniosła brwi.

- Ten kurier, milady. Całkiem się rozjuszył. Grozi, że użyje siły, jeśli się go natychmiast nie zaprowadzi przed pana generała.

- Sama pani widzi, moja droga! - Hawley rozłożył ręce w geście wyrażającym bezradność. - Co za mania wielkości! No, dobrze. Wprowadź go, wprowadź.

Lokaj odsunął się z przejścia i ukłonił ironicznie postaci stojącej w korytarzu. Porucznik przemknął obok niego z czapką pod pachą, z jego włosów i ubrania przemokłych na deszczu ściekała strumieniami woda. Zbliżył się do generała, nie czekając na pozwolenie, pochylił się i w podnieczeniu wymamrotał mu kilka słów do ucha.

Generał przestał żuć.

- Co? Co ty opowiadasz?

Porucznik znów się schylił.

- Na wrzosowisku! Niemożliwe! Rankiem dostałem meldunek, że są dwadzieścia kilometrów na północny zachód stąd.

- Zapewniam pana, generale, że to nie pomyłka. Może i maszerowali na północny zachód, ale tylko po to, by okrążyć Torwood i przejść rzekę Carron w Dunipace. Rebelianci zajęli wrzosowisko Falkirk, generale, i wygląda na to, że mają zamiar je utrzymać.

- Utrzymać? Do diabła, co ty mówisz?

Hawley podniósł się zza stołu. Ruszył do drzwi, ledwie skinąwszy głową w kierunku pani domu, a jego okrzyki unoszące się echem po korytarzu, przeraziły obu majorów schodzących właśnie po schodach. Wykrzykując nieprzystojne słowa, generał zażądał konia i asysty. Przy głównym wejściu jeden z adiutantów w pośpiechu strącił mu kapelusz i zdarł perukę. Inny adiutant rzucił się je zbierać, ale generał już odjechał, z gołą głową, z łysiną wystawioną na deszcz i serwetką wciąż zatknietą za kołnierz.

W pokoju śniadaniowym lady Kilmarnock sięgnęła po filiżankę i wypła łyżeczek gorącej czekolady. Na chwilę przymknęła oczy, by móc w pełni rozkoszować się jej smakiem, a potem zabrała się ochoczo do reszty posiłku.

16

Angus Moy zdążył wrócić do obozu Hanowerczyka na tyle wcześnie, że udało mu się zobaczyć generała Henry'ego Hawleya pędzącego co koń wyskoczy przez pole, z czymś białym i kwadratowym, co wyglądało na serwetkę, łopoczącym mu pod brodą. Tuż za nim cwałowali majorowie,

Garner i Worsham; żaden z tych dwóch nie wstrzymał konia, gdy skręcali w przeciwnych kierunkach, żeby dołączyć do swych regimentów.

W całym obozie panowało zamieszanie, wszyscy biegali w tę i z powrotem i wołali o konie, muszkiety i siodła, zapinając guziki i sprzączki przy wysokich skórzanych kołnierzach. Deszcz jeszcze powiększał zamęt. Burza spadła na obóz z dziką furją, przez cały ranek dał przeraźliwie silny wiatr, a z nieba lały się potoki marznącego deszczu. Gdy warstwa śniegu na ziemi zmieniła się w lód, zbocza stały się jeszcze bardziej zdradliwe, śliskie od zgniłej trawy i kamieni.

Eskorta MacGillivraya opuściła Angusa, gdy znaleźli się dwa kilometry od wrzosowiska. Przedarcie się przez nierówny teren do obozu zajęło mu prawie

dwie godziny. Zdumiony widokiem górali sunących przez parowy i drapiących się na zbocza, musiał co pewien czas się chować przed prowadzonymi przez lorda George'a Murraya ludźmi, którzy zajmowali wyżynę. Dokonawszy tego bez jednego strzału, trzy regimenty górali z klanu Donald utrzymywały otwartą drogę dla reszty nadchodzącej armii jakobitów, by mogła przedostać się na wrzosowisko. Do południa, gdy wojsko elektora jeszcze się kotłowało, zapinając sztywne kołnierze i szukając skrzyń z amunicją, książę Karol zdażył wznieść swój sztandar na końcu pola. Przy piskliwych dźwiękach dud, MacDonaldowie zajęli swe tradycyjne miejsce na pierwszej linii po prawej stronie, mając flanki osłonięte przez bagienne rozlewisko. Pozycje po lewej stronie przypadły Appin Stewartom, a pośrodku stanęli Cameronowie, Fraserowie, MacPhersonowie, MacKenzie i ochoczo wiwatujący ludzie z klanu Chattan.

Drugą linię tworzyło siedem dalszych batalionów, łącznie z konną gwardią królewską lorda Elcho, razem z trzema batalionami ludzi z Athol lorda George'a. Za nimi ustawili się ludzie lorda Johna Drummonda, mający stanowić rezerwę. Jedyłą częścią mistrzowskiego planu, której realizacja się nie powiodła, było rozmieszczenie ciężkiej artylerii. Działa, prowadzone przez ekstrawaganckiego Włocha, hrabiego Fanducciego, zanurzyły się po osie w błocie, gdy tylko zjechali z drogi, i nie dawały się wciągnąć po stromym śliskim zboczu, pomimo nieustającego potoku barwnych inwektyw.

Kiedy Angus usłyszał porywające dźwięki *piob rach 'ci* MacKintoshów, połową swojej duszy zapragnął stanąć ramię w ramię ze złoto-grzywym MacGillivrayem.

Druga połowa modliła się.

Przebiegał wzrokiem wrzosowisko, wąwóz i pobliskie zbocze, rozglądając się za Anne, ale zobaczył ją dopiero wtedy, gdy Hardy, który niepokoił się coraz bardziej, doprowadzony do ostateczności zamierzał siłą zabrać swego pana z pola, w obawie, że mogą go zauważyć i zastrzelić na miejscu.

Anne przybyła z ludźmi z klanu Chattan, ale po zagwarantowaniu im pozycji na pierwszej linii i wygłoszeniu kilku słów, które miały zagrozić ich do walki, ociągając się odjechała na tyły, gdzie stał książę ze swą królewską gwardią. Angus zaczął się modlić tak żarliwie jak nigdy dotąd, żeby pozostała tam, otoczona falangą górali, których jedynym obowiązkiem było bronić własnymi ciałami Karola Stuarta i jego otoczenia.

Pierwsze dotarły na wrzosowisko dwa regimenty dragonów, a za nimi przybyło tam dwanaście batalionów weteranów frontowych Hawleya; artyleria generała pozostała daleko z tyłu. Chociaż ciężkie działa Brytyjczyków siłą

rażenia przewyższały zdecydowanie działa jakobitów, udało się im przyciągnąć tylko dwie armaty czterofuntowe i jedną mniejszą kartaczownicę, które mogli z powodzeniem porzucić w bagnie, tak jak inne.

Piechota była w niewiele lepszym stanie. Papierowe ładunki nasiąkły w deszczu i proch zawilgotniał, tak że sporo czasu zajęło oddanie pierwszej salwy, a i tak na każde trzy muszkiety wypalił tylko jeden.

Hawley szalał z wściekłości, ale nie tracił ducha. Całą nadzieję pokładał teraz w dragonach, kazał bić w bębny i rzucił do szarzy prawie trzystu ludzi.

Stojąc naprzeciw nich w zwartych szeregach, jakobici nerwowo dotykali palcami spustów muszkietów i spoglądali jednym okiem na grzmiącą ścianę nacierających ciał końskich, a drugim na lorda George'a Murraya, który przesuwiał się w tę i z powrotem wzdłuż linii i zachęcał ludzi, by trwali na swych pozycjach i nakazywał im nie strzelać, póki nie da sygnału. On sam, podobnie jak wszyscy wodzowie klanów, walczył tego dnia pieszo.

Wyczekał, aż wrzeszczący dragoni przybliżyli się na odległość dziesięciu metrów, a wtedy podniósł muszkiet i dał sygnał. Rozległ się ogłuszający huk wystrzałów z tysiąca luf, dragoni stanęli jak wryci. Ich szeregi załamały się w dzikim zamęcie, połowa jeźdźców już nie żyła, choć wielu z nich pozostało w siodłach. Ci, którzy nadal posuwali się naprzód, zrozumieli, dlaczego górale zachowali taki spokój: kilka metrów przed ich liniami ciągnął się głęboki rów, który zasłaniały deszcz i mgła, a w nim leżeli inni górale, czekając na nacierających z pikami i clai' mór, gotowymi do cięcia odsłoniętych końskich brzuchów.

Słyszając wrzaski przerażonych żołnierzy, ściąganych z siodła i siekanych na krwawe strzępy, ci nieliczni dragoni Hawleya, którym udało się ocalić życie, zawrócili i uciekli z pola. Major Hamilton Garner, z gołą głową i obryzgany roztrzaskanym mózgiem innego oficera, zdołał zawrócić garstkę uciekinierów, wykrzykując groźby i zamierzając się rapierem, ale większość zachowała się tak haniebnie jak pod Prestonpans. Dragoni tak skwapliwie umykali z pola, że tratali postępujące za nimi szeregi własnej piechoty, powiększając jeszcze zamieszanie i panikę.

Po lewej stronie górale z regimentów prowadzonych przez Cameronów, Appin Stewartów i MacKinotshów wycelowali i wypalili z muszkietów w odpowiedzi na pierwszą salwę piechoty Hawleya, która stanęła naprzeciw nich. Zgodnie z przechwałkami generała, szereg wyglądał imponująco. Kubraki żołnierzy jarzące się szkarłatem, sztywne kołnierze z białej skóry i wysokie białe getry mimo mżawki stanowiły doskonały cel.

Górale, natomiast, w swoich pledach i prostych wełnianych kaftanach wtapiali się w brzozy i szarości otaczającego ich wrzosowiska. Rojaliści nie mieli zatem w co mierzyć, toteż większość ich kul nie dosięgła nikogo.

Zgodnie ze swym zwyczajem, członkowie klanów rzucili na ziemię wystrzeloną broń i biegiem ruszyli naprzód, a powietrze wypełniło się okrzykami wojennymi, tymi samymi, z którymi już setki lat temu ich przodkowie szli do boju. Kiedy żołnierze brytyjskiej piechoty, stanowiący resztki pierwszej linii, zobaczyli ich wyłaniających się z mgły i dymu, z mieczami wzniesionymi nad głowami, ich szeregi zachwiały się. Rzuciwszy się do ucieczki, jak dragoni, pociągnęli za sobą drugą linię i osłupiały generał Hawley zobaczył, jak morze czerwonych mundurów spłynęło w dół zboczy i zaczęło sunąć z ogromną prędkością drogą ku obozowi.

Uciekali grupami po czterdziestu i pięćdziesięciu, nie troszcząc się o porzucone muszkiety, o ładownice z amunicją, które odrywali od pasów, kołnierze, które zdzierali i rzucali na ziemię. Szukali schronienia na ulicach Falkirk, a kiedy te wydały się im nie dość odległe od pola bitwy, biegli drogą do Linlithgow, odległego o piętnaście kilometrów.

Byli i tacy, którzy nie uciekli z pola w panice. Ludzie z Atholl, walcząc ramię w ramię z Cameronami i MacKintoshami, natknęli się na kilka regimentów, które nie utraciły ochoty do walki. Grupa żołnierzy angielskich usiłowała zająć lorda George'a od tyłu manewrem oskrzydającym, licząc na to, że uda się im wziąć jego oddział w krzyżowy ogień. Spostrzegł to MacGillivray i ostrzegawczym okrzykiem „Loch Moy” wezwał członków klanu Chattan, by zawrócili i przyszli z odsieczą.

Przedzierając się na długich nogach przez kamienie i zmarzniętą trawę, MacGillivray poprowadził natychmiast swych ludzi do starcia z żołnierzami elektora. Ze swym *clai' mor* w dłoni runął na wroga, zamaszystymi ruchami tnąc i siekając ciało i kości, jakby kosił trawę. Piechurzy zachowali przytomność umysłu i oddali salwę z muszkietów. John poczuł ukłucie w udo, jeszcze dwa w łydkę i w żebro, otrząsnął się, jak po bolesnym ukąszeniu, ale w tym momencie kątem oka zauważył coś, co wprawiło go w takie zdumienie, że potknął się o leżącego ziomka i przekoziółkował do płytkiego rowu odprowadzającego wodę.

Robbie Farquharson widział, jak MacGillivray, zakrwawiony, wpada do dołu, ale nie mógł się zatrzymać, biegł naprzód wraz z bratem bliźniakiem, a ich miecze wycinały krwawy pokos w szeregach Anglików. Eneasze sunął tuż za nimi, podobnie Gillies MacBean, krępy góral zbryzgany od stóp do głów krwią i błotem.

Anglicy zawahali się, zawrócili i natrafili na Cameronów, którzy spadli na nich, jak rój piekielnych demonów. Wszyscy, co do jednego, żołnierze elektora cisnęli muszkiety na ziemię i wyrzucili w górę ramiona w geście poddania, niektórzy zacisnęli przy tym mocno powieki i wybuchnęli płaczem, spodziewając się, że za chwilę wrogowie zaczną im odrąbywać ręce i nogi.

Alexander Cameron w samą porę powstrzymał okrzykiem swoich ludzi od takiego barbarzyństwa, ale nie udało mu się zapobiec biciu płazem, opluwaniu i znieważaniu jeńców, zwłaszcza że odkryto, iż niektórzy z nich należą do brygad Królewskich Szkotów.

Gdy cała grupa została okrążona i pojmana, Gillies MacBean wziął się pod boki, by nabrać tchu. Jeszcze nie w pełni doszedł do siebie po pijackim pojedynku ze Struanem MacSorleyem poprzedniej nocy i teraz zzieleniał na twarzy, jakby miał zaraz zwymiotować, co wywołało gromki śmiech pozostałych górali.

Jeden Robbie nie śmiał się, tylko z ponurą miną wpatrywał się w żółtą mgłę.

- Co z tobą, chłopie? - spytał Aluinn MacKail, klepiąc go z rozmarzeniem po ramieniu. - Te chłystki uciekają. Wygraliśmy bitwę. Dlaczego tak ci się twarz wyciągnęła?

- Chodzi o MacGillivraya. Wzięli go w krzyżowy ogień. Niech Bóg ma go w opiece, bo może się wykrwawić na śmierć, zanim go znajdziemy.

- Ciebie też niech Bóg ma w opiece, chłopie - powiedział MacGillivray, wyłaniając się nagle z mgły i deszczu. - Jeszcze nie potrzebuję jego pomocy. Ale ktoś inny powinien o nią błagać, jeśli już o tym mowa.

Jednym ruchem ręki powalił Anne Moy MacKintosh na moką ziemię. Ponieważ zgubiła beret, jej rude splety zwisały mokre na plecach, a strojny koronkowy żabot oderwał się i leżał w błocie. Na jej twarzy i na ostrzu miecza lśniła krew.

- Co na rany Chrystusa...? - Eneasze rozepchnął braci na boki i postąpił naprzód, ale nie podał krewniaczce pomocnej dłoni, gdy z trudem podnosiła się na nogi. - Skąd ty się tu wzięłaś? Czy nie powiedziano ci, że masz zostać na tyłach przy gwardii księcia?

- Chyba nie oczekiwałeś, że będę tylko siedzieć i się przyglądać? - odparła ostro, a jej niebieskie oczy zabłyśły wyzywająco. - Ja, która lepiej strzelam, fechtuję się i jeżdżę konno niż wy wszyscy!

MacGillivray schwycił w garść jej żakiet i okręcił ją tak, że jej twarz znalazła się na wprost jego twarzy. Zauważył ją poprzez ulewę i nie mógł oczom uwierzyć. Co więcej, kiedy upadł, to właśnie strzał z pistoletu Anne powstrzymał angielskiego żołnierza od pchnięcia go bagnetem w nieosłonięte plecy.

- Na miłość boską, jesteś żoną wodza klanu - zasyczał.

- Tak, jestem. Jestem też pułkownikiem tego regimentu i nie będę siedzieć wygodnie pod namiotem, popijając wino i pogryzając słodczyce, kiedy dzielni ludzie z mojego klanu walczą i umierają.

John zacisnął pięść i przyciągnął Anne tak blisko ku sobie, że poczuła na policzku jego gorący oddech. Był na tyle wściekły, że mógłby ją zadusić. Krewniacy natomiast, dalecy od takich pragnień, stanęli po jej stronie: wiwatowali, podrzucali przemoczzone berety, chwalili jej odwagę. Uwolniwszy ją z rąk MacGillivraya, posadzili sobie na ramionach i płasali jak opętani, dopóki nie zakręciło jej się w głowie od śmiechu i nie zawołała, żeby przestali.

Nie rozbawiło to natomiast żadnego z Anglików. Stali ciasno stłoczeni i osowiali i palili ich wstyd już i tak, a teraz okazało się jeszcze, że na polu bitwy była kobieta. Słyszeli pogłoski o płomiennowłosej amazonce maszerującej z obozem księcia, ale myśleli, że to po prostu bzdurne plotki. Wiedząc, że żadna przyzwoita angielska kobieta nie pojawiłaby się nawet w pobliżu pola bitwy, doszli do wniosku, że musi to być pół mężczyzna, pół nierządnicą, ale niewiele to ulżyło ich zranionej dumie.

Mieli ją jeszcze długo pamiętać.

Wszyscy co do jednego dobrze ją sobie zapamiętali.

Jej obraz, znacznie upiększony, wrył się zresztą w pamięć znacznie większej liczby jeńców, gdy Anne objeżdżała obóz brytyjski, oceniając rozmiary klęski wroga. Księżę przybył kilka minut wcześniej i nie tylko przejął we władanie namiot Hawleya, ale jeszcze znalazł, zaszytego w kącie, jego osobistego lokaja i rozkazał mu przynieść wino oraz różne wiktuały z prywatnych zapasów generała, aby można było odpowiednio uczcić zwycięstwo.

Armia rojalistów, uciekając w panice, pozostawiała w obozie prawie wszystkie namioty i ich wyposażenie, czternaście ciężkich dział oraz znaczną ilość amunicji, a wszystkich tych rzeczy bardzo brakowało ja-kobitom.

Karola Stuarta, cierpiącego na powikłania po ciężkim zaziębieniu, najbardziej uradowało odkrycie, że Hawley był miłośnikiem francuskiej brandy. Księżę sęczył właśnie trzeci kieliszek, kiedy nadjechali Anne i MacGillivray, prowadząc za sobą stłoczoną kolumnę jeńców. Jak dotąd tylko Lochiel i lord George nie zgodzili się dołączyć do księcia i wziąć udziału w celebrowaniu triumfu, woleli bowiem ruszyć w pościg za uciekającymi Anglikami, uznawszy, że obniżyłoby to wydatnie wartość zwycięstwa, gdyby armii Hawleya pozwolono uciec i za jakiś czas powrócić.

Brązowe oczy Karola Stuarta rozszerzyły się jednak, kiedy ujrzał swą *la belle rebelie* wchodzącą do zatłoczonego namiotu w stroju przesiąkniętym deszczem i pochłapanym krwią. Księżę był tak pochłonięty śledzeniem przebiegu bitwy ze swego punktu obserwacyjnego na wrzosowisku, że w ogóle nie zauważył, kiedy Anne się wymknęła.

- Dobry Boże! - zawołał, gdy podniosła się po złożeniu kurtuazyjnego ukłonu. - Czy chce pani powiedzieć, że nie posłuchała wyraźnego rozkazu swego księcia?

- Wasza Łaskawość nigdy w gruncie rzeczy nie rozkazał mi pozostać przy swym boku - sprostowała. - Wyraźnie widziałam, że szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. - MacGillivray usłyszawszy te słowa, rzucił jej wściekłe spojrzenie. - I myślałam tylko o tym, żeby być z moim klanem w momencie triumfu.

Księżę zaczął kasłać w koronkową chusteczkę. Chociaż jego twarz spłonęła ciemną czerwienią, machnięciem ręki zbagatelizował zaniepokojenie swych dwóch doradców, O'Sullivan i Thomasa Sheridana, z których żaden nie wytknął głowy spod płótna namiotu, a jeśli nawet, nie trwało to na tyle długo, by ich peruki zwilgotniały.

Kiedy atak kaszlu minął, księżę opadł na drewniany połowy fotel Hawleya i pociągnął długi łyk brandy.

- Jeśli tak człowiek się czuje po zwycięstwie - powiedział półzartem, ciężko dysząc - to nie chcę sobie nawet wyobrazić klęski.

- Wasza Łaskawość... - zaczął O'Sullivan.

- Tak, tak, wiem. Ta piekielna wilgoć na pewno mi nie pomaga i powinienem jak najprędzej wrócić do łóżka. Ale do licha, są pewne przyjemności, z których nie można zrezygnować tylko dlatego, że nie czujemy się dość silni, by móc się nimi rozkoszować. Na przykład, nasz wieczorny posiłek spożyjemy przy stole Hawleya z zapasów Hawleya, podany na

porcelanowej zastawie Hawleya. Zgoda, że jest to tylko drobna satysfakcja, zważywszy, że chodzi o człowieka, który nazwał mnie niekompetentnym przybłędą, ale jednak nam się należy.

Książę spojrział na Annę i przez parę sekund oglądał bryły błota przywarte do jej butów.

- A pani, moja droga? Oprócz gorącej kąpieli, co sprawiłoby pani w tej chwili największą radość?

- Mnie, Wasza Łaskawość? - Bezwiednie przestępowała z nogi na nogę. - Sprawia mi dostateczną radość to, że widzę radość Waszej Książęcej Mości. Jednakże chciałabym poprosić o jedną małą uprzejmość, jeśli mi wolno.

Skinął dłonią.

- Proszę powiedzieć, co mogę dla pani zrobić.

- Chciałabym spytać oficerów Waszej Łaskawości, czy wiedzą coś o... o regimencie mojego męża.

Rozejrzała się wokoło, popatrzyła na twarze zgromadzonych w namiocie wodzów, z których większość przybyła prosto z pola bitwy w zakrwawionych ubraniach, i wydało jej się, że widzi, jak jeden lub dwaj spośród nich uśmiechają się pogardliwie. Rozbrajanie jeńców i przeprowadzenie ich do obozu zajęło sporo czasu, było już za późno, by przeszukiwać wrzosowisko. Jeśli Angus padł, jeśli leżał teraz, krwawiąc, na zimnej mokrej ziemi, na pewno nie przeżyje do rana.

Regiment Angusa podlegał generałowi Keppelowi i stał dokładnie naprzeciw MacKintoshów, po drugiej stronie pola.

- Błagam o pozwolenie, bym mogła wrócić i poszukać, czy...

Książę przerwał jej gestem uniesionej ręki. Nie opuszczając królewskiej prawicy, pokiwał dwoma szczupłymi palcami na kogoś stojącego przy wejściu do namiotu. Anne obróciła się na tyle szybko, żeby dostrzec, jak Alexander Cameron uśmiecha się i podnosi zwisające płótno. Odsunął się na bok i pozwolił wejść do środka innemu mężczyźnie. Ów mężczyzna miał ciemne kasztanowate włosy przylegające do czoła i szyi i jasne szare oczy, które natychmiast poszukały oczu Anne.

Świadoma tego, że wodzowie śledzą każdy jej ruch, nie podbiegła i nie rzuciła się mężowi w ramiona, choć pragnęła tego całym sercem.

Z twarzą, z której nie można było niczego wyczytać, powoli, spokojnie podeszła do niego i przywarłszy wzrokiem do jego postaci, przekonała się, że ma obie ręce i obie nogi i nie utracił też żadnej innej części ciała. Na chwilę zaparło jej dech, bo zobaczyła głębokie cięcie na brodzie męża, ale wzrok miał bystry i pewne spojrzenie, a w jego wlepionych w nią w oczach dostrzegła takie samo napięcie, jak to, które on musiał widzieć w jej oczach.

- Do usług, kapitanie - powiedziała cicho.

Mięsień zadrgał w policzku Angusa, gdy prostował ramiona i powoli wyciągał swój rapier. Trzymając go za ostrze i rękojeść, wręczył żonie, dopełniając rytuału formalnego poddania się.

- Okazało się, że to ja jestem do pani usług... pułkownik - mruknął, po czym dodał prawie niedosłyszalnie: - I pozwolę sobie zauważyć, że cieszę się z tego.

- Całkiem słusznie - powiedział książę poirytowanym tonem. - A teraz, jeśli da mi pan parol, kapitanie, przyjmę go i będziemy mogli się zająć przyjemniejszymi sprawami.

Angus zawahał się na moment, po czym podążył w ślad za żoną i zbliżył się do królewskiego potomka. Przyklęknął na jedno kolano i skłonił głowę.

- Daję moje słowo, Wasza Książęca Mość, że nie podniosę więcej broni przeciw pańskiej sprawie.

- Wyznaję, że sprawił mi pan wielki zawód, MacKintosh. Sądziłem niegdyś, że mogę pana zaliczyć do mych najbliższych przyjaciół. - Gdy Angus nic nie odpowiedział, książę znów skinął dłonią. - Wstań, pan. Pańskie słowo oficera i dżentelmena zostało przyjęte.

- Czy mogę prosić, Wasza Książęca Mość, by wolno mi było odejść i opatrzeć ranę mego męża? - spytała Anne.

Odpowiedzią było następne machnięcie koronkową chusteczką i oboje wyszli z namiotu. Gdy wsiadali na konie, a potem jechali z powrotem przez obóz, żadne z nich nie odezwało się nawet słowem. Zanim wrócili do St Ninians, deszcz przeszedł w śnieg i całkiem się ściemniło. Oboje byli przemarznięci do szpiku kości. Eskorta górali zostawiła ich samych koło chaty i zabrała konie, by je nakarmić i odprowadzić do stajni. Ogień wygasł, popiół był zimny i szary, ale zanim Anne zdążyła zdjąć kaftan, trzaśnięcie drzwi za nią wywołało gorący rumieniec na jej policzkach.

Angus opierał się o drzwi. Był z gołą głową, tak jak i przez całą drogę z Falkirk. Uszy miał tak samo czerwone jak nos; ciemne pukle włosów rozsypały się na wszystkie strony, niektóre opadały mu na policzki, inne przywarły do kołnierza bluzy. Przez następne sekundy, które wydawały się jej niemal wiecznością, nie spuszczał lodowatego spojrzenia szarych oczu z twarzy żony, raz tylko na moment utkwiał wzrok w podłogę i znów podniósł go na nią.

- Kiedy wyjeżdżałem stąd rano, sądziłem... byłem przekonany, że uzyskałem twoją obietnicę, twoje słowo honoru, jeśli wolisz, że noga twoja nie postanie na polu bitwy.

Anne zwilżyła wargi i starając się złagodzić groźne spojrzenie męża, wykorzystwała ten sam wybieg, którym posłużyła się wobec księcia.

- Tak naprawdę nigdy niczego nie obiecywałam.

- I sądzisz, że to całkowicie usprawiedliwia twoje postępowanie?

- Ty usprawiedliwiałeś się w ten sam właśnie sposób, gdy wyjaśniłeś mi, dlaczego nie opowiedziałeś się po stronie księcia.

- Nie próbuj posługiwać się moimi własnymi słowami lub argumentami przeciwko mnie, madame - ostrzegł i ruszył w głąb pokoju. - Ani ich przekręcać dla własnych celów. Wiesz doskonale, że twoje miejsce nie było dziś na polu bitwy. I wiesz doskonale, co się mogło zdarzyć.

- Rzeczywiście - odparła spokojnie. - John mógł zginąć. Wydaje mi się, że warto było zaryzykować.

Angus wykonał kilka miarowych oddechów. Zacisnął pięści, knykcie mu poróżwiały, po czym zbieleły, gdy zastanawiał się, czy jej od razu nie udusić i mieć z nią spokój raz na zawsze. W końcu podszedł bliżej, ujął twarz Anne w dłonie i przyciągnął do siebie w twardym, potężnym uścisku. Ustami miażdżył jej wargi, prawie brutalnie, a jego ciało najwyraźniej zbyt nabrzmiało, żeby mogła myśleć o odmówieniu mu czegokolwiek, gdy na koniec wziął ją na ręce i złożył na łóżku.

Wciąż połączeni ustami, dłońmi zaczęli szarpać pospiesznie zapięcia i sznurowania. Po paru chwilach jego kilt został zadarty, a jej spodnie rzucone byle gdzie. Ramiona męża ujęły ją pod kolana i podniosły je, tak że była całkowicie otwarta na żar i twardość jego ciała. Poruszał się dziko i rytmicznie między jej udami, wbijając się dość głęboko, by oboje doznali wstrząsu, gdy gorąco wylewało się w nią z jego ciała, które nie przestawało pulsować, silne i

szybkie, dopóki nie zostało już nic prócz spokojnych głębokich oddechów zaspokojenia.

- Zdajesz sobie sprawę - wydyszał, gdy mógł już wydobyć głos - że miałbym pełne prawo zbić cię na kwaśne jabłko za zlekceważenie rozkazów, które daliśmy ci obaj z MacGillivrayem. Miałbym prawo cię przywiązać za ręce i nogi do wozu i odesłać do domu z dziesięcioma ludźmi, tak silnymi, że potrafiliby cię utrzymać zamkniętą w koszu na rzepę, jeśli byłoby trzeba.

Annd z trudem przełknęła ślinę. Była prawie zgięta w pół, kolana miała przyciśnięte do barków i groźba, że zamkną ją w koszu na warzywa po wszystkim, co przeszła tego dnia, wydała jej się niezwykle zabawna.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? Żadnego sprytnego wykrętu? Żadnej sarkastycznej riposty?

Przygryzła zębami dolną wargę i potrząsnęła głową. Reszta jej ciała też się zaczęła trząść, aż głowa Angusa odskoczyła z jej ramienia.

- Czy kpisz sobie ze mnie, madame?

Wybuchnęła radosnym, cudownym śmiechem.

- Nigdy, mój panie. Przenigdy nie kpiłabym z ciebie, że chodzą ci po głowie kosze na rzepy w takiej chwili jak ta, kiedy noga mi drętwieje, a guziki tego przeklętego munduru Sassanachów wyciskają mi na brzuchu herb batalionu Królewskich Szkotów.

Klnąc pod nosem, wyplątał się ostrożnie i siadł prosto. Uświadomił sobie nagle, że przed chwilą wyrzucał jej tak ostro niewiarygodne postęпки, a przecież jego własne zachowanie uległo ostatnio tylu zmianom, z których wiele stało w tak jaskrawej sprzeczności z jego naturą, i już nie wiedział, czy powinien czuć niesmak, czy rozbawienie z powodu swej ostatniej demonstracji surowości.

- Przepraszam. Ja... nie wiem, co mnie napadło.

- To samo, co mnie zeszłej nocy - powiedziała, dotykając jego ręki. - Zdaje mi się, że prości ludzie nazywają to żądzą.

Pochylił się naprzód i chwycił rękami za głowę.

- Czy to by znaczyło, że poczuję się lepiej, wiedząc, że straciłem wszystko oprócz łaski?

Uniosła się na kolana i oparła policzek na jego barku.

- Dlaczego miałbyś różnić się choć trochę ode mnie, mój panie? Wystarczy, że się uśmiechniesz albo kiwniesz palcem, a pode mną już się uginają nogi.

- Kiedy ja kiwnę palcem? - parsknął - Jedno twoje spojrzenie, pani, najłżejsze dotknięcie, najłżejszy zapach twych włosów lub skóry i zmieniam się w bezradnego uczniaka. Nawet teraz, kiedy jestem taki wściekły, jak powinienem być, potrafię myśleć tylko o tym, żeby znów być w tobie. To jest tak, jakbym nigdy się tobą nie mógł nasycić. Jakbym się bał, że nigdy nie będę miał ciebie tyle, ile pragnę.

Anne odgarnęła mu z policzka ciemny pukiel włosów i delikatnie wsunęła mu go za ucho. Ujęła dłonią policzek męża i łagodnie zmusiła, by odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy.

- Chciałabym bardzo wiedzieć, czy będziesz czuł to samo za dwanaście lat.

- Będę miał na ustach te same słowa, wydając moje ostatnie tchnienie na tej ziemi - wyszeptał - i budząc się w wieczności.

Drżąc cała, Anne znów pociągnęła go na łóżko.

- Jestem taka szczęśliwa, mój panie. Nigdy mi się nie sprzykrzy słuchać ich.

Prawie w tym samym czasie, gdy Anne znów brała Angusa w swoje objęcia, generał Henry Hawley wzniósł szpadę i przeciął nią powietrze. On też cały dygotał, ale z wściekłości, nie z rozkoszy; czuł bezwzględną pogardę, nie radość. Generał stał na rynku Linlithgow; padał gęsty śnieg, osiadając jak wełniane runo na spuszczonej głowach oficerów, którzy zachowali jeszcze na tyle przytomne umysły, że stawili się na wezwanie dowódcy. Na lewo od Hawleya znajdował się długi, potężny pień ściętego niedawno drzewa, który ogołococono z gałęzi, po czym zawieszono między rogami dwóch budynków. Z tej prowizorycznej szubienicy zwisały ciała czternastu mężczyzn, obracających się na końcach swych sznurów już bez życia, którego pozbawiono ich w momencie, gdy Hawley machnął swym mieczem.

Większość tych mężczyzn stanowili dragoni - ich nazwiska wywołał, pieniać się z wściekłości, choleryczny major Hamilton Garner. Drugi rzut skazańców czekał z gołymi głowami, w kubrakach pozbawionych oznak rang i funkcji, z rękami związanymi na plecach. Kiedy ustał makabryczny taniec ich kamratów, oni również mieli zostać za chwilę podciągnięci wzwyż ponad zgromadzonym tłumem, w sposób demonstrujący ogrom gniewu i obrzydzenia Hawleya.

- Tchórze! - wrzeszczał generał. - Tchórzliwe kundle! Przyjrzyjcie się tym dyndającym psom, bo nie są lepsi niż łajno, które zostawili za sobą, porzucając swoje posterunki. Czy była kiedyś armia, w której znalazłoby się tylu łotrów i strachajłów? Czy był kiedyś generał tak nieszczęsny, tak upokorzony, tak kompletnie zgnębiony reputacją swoich żołnierzy? Powiesić ich! Powiesić wszystkich, na Boga, bo nie są warci tego prochu, jakiego trzeba by użyć, by ich rozstrzelać. Prochu muszę dodać, którego nam teraz brakuje, bo cały ekwipunek, czternaście ciężkich dział i amunicję zostawiono w prezencie wrogowi.

Podniecony własną diatrybą, Hawley przemaszerował do końca podwyższenia z desek i nie znajdując innego ujścia dla swej wściekłości, opuścił klingę na głowę najbliższego stojącego żołnierza.

- Chcę nazwisk! - ryczał z pianą na ustach. - Chcę znać nazwisko każdego żołnierza z każdego regimentu, który pokazał plecy i zaczął uciekać. Chcę, żeby ich wychłostano! Chcę, żeby skóra z nich opadła i zwisała w strzępach, i żeby cierpieli męczarnie, żeby każdy żołnierz, który ich zobaczy, wiedział, jakie są konsekwencje tchórzostwa w mojej armii! Chcę, żeby wiedzieli - wrzeszczał - że w przyszłości śmierć na polu bitwy będzie po tysiąckroć lepsza niż ucieczka i sprzeniewierzenie się honorowi! Nie myślcie sobie... ani przez moment sobie nie myślcie, że się zawaham, jeśli będę musiał powiesić was wszystkich, gdy znów mnie zawiedziecie! A teraz wynocha! Precz mi z oczu! Brzydzę się wami!

Zszedł z podwyższenia i znikł natychmiast w ciemnościach, zostawiając oficerów wstrząśniętych i pogrążonych w takim milczeniu, że mogli słyszeć spadające płatki śniegu. Gdy odcięto ciała pierwszej grupy powieszonych i pchnięto następnych, by zajęli ich miejsce, ci którzy mieli tyle szczęścia, że uniknęli pierwszego wybuchu furii Hawleya, zaczęli się chyłkiem wymykać.

Garner należał do tych nielicznych, którzy ociągali się z odejściem, tak jak i major Worsham. Obaj oficerowie zrehabilitowali się na polu bitwy po niefortunnie rozpoczętym poranku.

Obaj majorzy odnieśli rany. Garner stał, ściskając ręką dwa złamane żebra, z twarzą szarą z bólu; zaciskał szczęki, bo zbierało mu się na wymioty, gdy słyszał odgłos ocierających się o siebie pękniętych kości. Worsham miał

głęboko rozcięty policzek, a lewe ramię zwisało mu bezwładnie; jego rany pospiesznie opatrzył chirurg unurzany po łokcie w ludzkiej krwi, ale dopóki generał nie wyładował swej złości, major nie ośmielił się czekać, by zostały porządnie zeszyte.

Po pierwszej salwie jakobitów dragoni stracili cały zapał do walki i gdy minęło niecałe pół godziny od chwili rozpoczęcia bitwy, oddziały rządowe uciekały w popłochu. Na razie nie udało się nawet wstępnie oszacować liczby zabitych, rannych i wziętych do niewoli, bo z pewnością byli tacy, którzy jeszcze uciekali i mogli uciekać tak długo, dopóki nie nabiorą pewności, że nikt ich nigdy nie znajdzie.

Worsham nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia z powodu tak surowego ukarania dezertersów i tchórzów. Każdy żołnierz składał przysięgę, że będzie posłuszny rozkazom przełożonych; to czy był zwolennikiem, czy przeciwnikiem egzekucji, nie miało znaczenia. Każdy żołnierz, który złamał przysięgę, uczynił to na własną zgubę.

A w dodatku byli tam ludzie, którzy w ogóle nie mieli zamiaru walczyć. Uformowali szereg bojowy i pomaszerowali na pole walki, ale kiedy się tam znaleźli, przykucnęli nisko nad ziemią, by nie ucierpieć podczas wymiany ognia, a potem pobiegli przez wrzosowisko i dołączyli do swych góralskich klanów. Worsham zastrzelił jednego takiego żołnierza w chwili, gdy tamten zamierzał oddać sztandar regimentu Pulteneya krewnemu walczącemu w szeregach jakobitów.

Kontyngent MacKintoshów był doskonałym przykładem takiej postawy. Większość ludzi zdezerterowała w czasie marszu z Edynburga, ale z garstki, która pozostała i znalazła się tego dnia na polu bitwy, nikt nie wrócił do swego regimentu. Ich dowódca, Angus Moya, nikt nie widział od chwili, gdy przybył na owo pole i Worsham miał szczerą nadzieję, że leży on martwy na wrzosowisku Falkirk.

Major znów zamknął oczy pod wpływem ostrego bólu w ręce i sięgnął do kieszeni kamizelki po paczuszkę proszku, który chirurg dał mu na uśmierzenie bólu. Za pierwszym razem wziął kilka ziarenek, ostrzeżony, że nadmiar uwolni go od bólu zbyt skutecznie, powodując utratę przytomności. Tym razem odmierzył trochę więcej i trzymał proszek na języku, póki nie chwycił flaszki z winem skonfiskowanej jednemu ze skazańców. Proszek był gorzki i trzeba było kilku łyków, by przestał czuć tę gorycz. Pozostał tylko suchy metaliczny posmak, przypominający trochę smak krwi.

I, co dziwne, przypominał też posmak, który pozostawiło wino, podane do obiadu ubiegłego wieczoru w Callendar House.

Odepchnął tę myśl, uznawszy, że to złudzenie spowodowane skrajnym wyczerpaniem. Spojrzał na nabrzmiałą twarz jednego ze skazańców, których ciała przestały rzucać się w drgawkach, i rozpoznał w nim młodego kaprała, który jeszcze do wczoraj czyścił mu buty każdego wieczoru.

Była to naprawdę wielka strata, bo nikt prócz niego nie potrafił nadać im takiego połysku.

17

Pod Falkirk wzięto do niewoli ponad trzy tysiące żołnierzy hanowerskich, a prawie dwa razy tyle padło zabitych lub rannych. Jakobici stracili w sumie mniej niż osiemdziesięciu ludzi. Pogoda się jednak pogarszała, armia Hawleya pospiesznie wycofywała się do Edynburga, toteż lord George i inni wodzowie znów starali się przekonać księcia, że jego armia jeszcze nie jest bezpieczna.

Lord George błagał Karola Stuarta, by posłał wojsko w pościg za Anglikami, ale książę posłuchał rady nie jego, lecz CTSullyana i uznał, że odzyskanie zamku Stirling, obleganego przez wroga od czasu, gdy jakobici opuścili Glasgow, korzystniej wpłynie na morale niż ściganie pokonanej armii. Lepiej, powiedział ze swego łoża boleści, umocnić przewagę, jaką dało zwycięstwo pod Falkirk, przez wyparcie reszty oddziałów rządowych ze Stirling i Perth i w ten sposób odzyskać władzę nad Dolną Szkocją, na południe od gór Gram pian.

Lord George protestował tak gwałtownie, jak mógł, ale bez skutku. Pozostało mu tylko wylać swój smutek i gorycz przed najbliższymi przyjaciółmi, a potem się upić z żalu, że zaprzepaszczono wywalczoną z takim trudem szansę zgniecenia nieprzyjaciela, jaka mogła się już więcej nie nadarzyć - w każdym razie trudno byłoby liczyć, że uda się tego kiedyś dokonać, płacąc tak niską cenę. On, w przeciwieństwie do księcia i jego nieznośnego irlandzkiego doradcy, rozumiał, że Dolna Szkocja nigdy nie sprzyjała Stuartom. Mogli zmarnować całe tygodnie, próbując zdobyć zamek Stirling, a przecież

jeśliby przebywali w tym czasie w Górnej Szkocji, gdzie większość klanów sprzyjała księciu, można byłoby tu wzmocnić armię, zamiast ją osłabiać.

Co więcej, długie pasma górskich grzbietów, poprzecinane jeziorami i połaciami niegościnnych zamrzniętych wrzosowisk, stanowczo nie zachęcały Anglików do rozpoczęcia kampanii zimowej. Pogoda i ukształtowanie terenu skłaniały ich do odłożenia pościgu przynajmniej do wiosny, a to dawało jakobitom czas na dokonanie przegrupowania.

Jeśli idzie o Annę była ona, łagodnie mówiąc, rozczarowana - czyż po to szła tak daleko, by usłyszeć, że prawdopodobnie ruszą z powrotem do Invernesshire? Zarazem jednak cieszyła się i czuła się dumna, myśląc o tym, że wróci w rodzinne strony z tysięczną armią, by wyprzeć lorda Loudouna i odzyskać stołeczny gród dla księcia.

Pozostali wodzowie klanu, ludzie tacy jak Lochiel i MacDonaldowie z Keppoch, mieli własne powody, by pragnąć powrotu w ojczyste góry. Pod ich nieobecność Anglicy umocnili swe pozycje w Fort William i Fort Augustus, rozmieściwszy silne garnizony po obu stronach Wielkiej Doliny, a ponieważ siedziby przodków Cameronów i MacDonaldów leżały pośrodku, należało pilnie posłać tam wsparcie. Wiadomości z odległych okolic Lochaber docierały w najlepszym razie sporadycznie, ale skutki tak ostrej zimy mogły się okazać bardzo groźne. Wielu górali przebywało z dala od swych gospodarstw od lipca ubiegłego roku, więc chcieli się koniecznie upewnić, że ich rodziny nie głodują obecnie ani nie grozi im głód w przyszłości, gdyby wojna przeciągnęła się na drugie długie lato. Pomimo śniegu i lodowatych wichrów, które zatrzymywały księcia w Falkirk przez ostatnie dwa tygodnie stycznia, gdyby pojawiły się pierwsze oznaki odwilży, pola powinno się zaorać i obsiać.

Na tym właśnie polegał kłopot z armią złożoną z rolników i hodowców owiec. Choć byli dzielni i bezwzględnie lojalni, jeśliby nie mieli ziemi, domów, zbiorów i stad, do których by mogli wrócić, jakież sens miałaby dla nich cała ta walka? Przywódcy zażądają należnych sobie czynszów i dziesięcin, bez względu na to, czy wygrają czy przegrają. A choć mieszkańcy wielkich zamków w Achnacarry i Blair Atholl mogą cierpieć z powodu braku pszenicy na świeżą uisąite, to mimo wszystko zamki te będą stały nadal przez następne wieki, tak jak stoją już od stuleci, dzięki trudowi prostych wieśniaków. W systemie feudalnym to dzierżawcy głodowali, gdy brakło chleba, a kiedy nie mogli zapłacić czynszu, ich nędzne darniowe chaty rozwalano lub palono, zaś ziemię zabierano na pastwiska.

Książę ruszył na południe. Zabronił lordowi George'owi ścigać Anglików dalej niż do Linlithgow, ale gdy usłyszał, że Hawley uszedł pogoni i schronił się w Edynburgu, zmienił front i obciążył winą za to Murraya. Co gorsza,

ostatniego stycznia do obozu jakobitów nadeszły wieści, że Cumberland opuścił Londyn i w niemal rekordowym czasie przeprowadził armię do Edynburga. Ściągnął posiłki - kawalerię i piechotę - a także nową kolumnę artylerii, by zastąpić ciężkie działa stracone pod Falkirk - działa, które trzeba było cały tydzień ciągnąć i ustawiać na najkorzystniejszych pozycjach wokół Stirling i z których wystrzelono nie więcej niż dwie salwy, a potem zostały zmiecione z lawet ogniem angielskich kanonierów.

Lord George, doprowadzony do ostateczności, nakazał odstąpić od oblężenia, zaciągnąć pozostałe armaty na najbliższe urwisko i tam je zagwoździć, a potem rzucić w burzliwe wody zatoki.

Wiadomości o przybyciu kuzyna i o utracie artylerii wzburzyły księcia. Wygłaszał tyrady przeciwko lordowi George'owi, przekonany teraz bardziej niż kiedykolwiek, że jego generał stara się udaremnić każdą próbę odzyskania przez niego tronu. Szalał ze złości i tłukł głową o ścianę, aż w końcu zatoczył się jak pijany, po czym wycofał się do swego zakrytego wozu z dwiema butelkami whisky. Podczas gdy książę pograżył się całkowicie w użalaniu nad samym sobą, postanowiono jeszcze raz rozdzielić armię na dwie części. Jedna, która objęła większość regimentów, miała posuwać się wraz z księciem przez wysokie górskie przejścia, przecinające terytoria jakobitów w Blair Atholl, Dalnacardoch i Dalwhinnie. Lord George miał ruszyć bardziej krętą trasą, przez Aberdeen, co dawało nadzieję zmylenia ewentualnej pogoni Cumberlanda. Obie części wojska miały się połączyć w Inverness i przystąpić do rozgromienia sił rządowych stacjonujących w Fort George.

- Niech mi będzie wolno przez chwilę pełnić rolę adwokata diabła - odezwał się Angus Moy - i zapytać, na co księciu przyda się Inverness, zakładając, że je zdobędzie?

Pytanie było proste i rzeczowe, trzech mężczyźni: Alexander Cameron, Aluinn MacKail i John MacGillivray skwitowali je ponurym milczeniem. Angus był zaskoczony, gdy zaprosili go, by poszedł z nimi do gospody, ale miał swoje powody, by się zgodzić.

- Całe wybrzeże jest pod ścisłą blokadą - ciągnął - a jeśli nie przeoczyłem czegoś w tysiącach meldunków, które czytałem w ostatnich miesiącach, książę nie ma floty. Ani jednego okrętu. Loudoun, z drugiej strony, codziennie odbiera świeże dostawy - mięsa, ryb, jarzyn, owoców, nawet beczułki francuskiej brandy skonfiskowane przez okręty zwalczające przemyt na kanale. Ich kule ołowiane są dostarczane w beczkach; nie muszą robić własnych w polu. Jeśli muszkiet nie wypali lub wybuchnie w nim proch, mają inne na wymianę w magazynach. Widziałem wiele takich magazynów; niczego tam nie brakuje, gdy

tymczasem niektórzy wasi ludzie chodzą po śniegu, mając na nogach szmaty zamiast butów.

Ciemne oczy Camerona spoczęły na dwóch góralach siedzących naprzeciw niego przy stole. Wielki John MacGillivray był prawdziwym sobowtórem wojownika wikingów, którego żadna przeszkoda nie zatrzyma. Na wrzosowisku Falkirk otrzymał trzy rany, ale nie przejął się nimi wcale, ledwo pozwolił Archibaldowi opatrzeć je i zabandażować. Wszyscy mężczyźni podziwiali go szczerze; jego doświadczenie jako przemytnika i rozbójnika czyniło go kimś szczególnie cennym dla armii księcia.

Co do przywódcy klanu Chattan, trudno było go rozgryźć, nie dało się wyczytać zbyt wiele ani z jego oczu, ani z wyrazu twarzy. Może to właśnie najbardziej drażniło Camerona. Czy wódz klanu Chattan był groźniejszym przeciwnikiem, niż się wydawało? A jeśli tak, czy mogło to przynieść im korzyść?

Alex obracał w palcach jedno ze swych cienkich czarnych cygar i zerkał przez stół na Aluinna, ale nie dostrzegł w jego oczach żadnej odpowiedzi.

- No tak. - Cameron odchrząknął cicho. - Dobrze grasz rolę adwokata diabła, kapitanie MacKintosh, ale nie powiedziałaś nam niczego, czego byśmy już wcześniej nie wiedzieli.

- A gdybym wam powiedział coś, o czym nie wiecie?

- Musielibyśmy zapytać o powód twej wielkoduszności - padła szczerą odpowiedź.

- Oczywiście - uśmiechnął się Angus. - Więc może byśmy pomówili najpierw o motywach i, że się tak wyrażę, oczyścili atmosferę...

Alex rozłożył ręce.

- Słuchamy z najwyższą uwagą.

- To całkiem proste. Kiedy armia wróci do Inverness, chcę, żeby odesłano moją żonę do domu, do Moy Hall. Nie obchodzi mnie, jak to będzie zrobione ani przez kogo, ani pod jakim pretekstem, ale chcę, żeby ją odesłano do domu. Nie chcę natomiast, żeby wiedziała, że się ją odsyła, bo jeśli zacznie podejrzewać, że o to wam idzie, prawdopodobnie zagra wam na nosie i powie, żebyście się wypchali.

Czarne jak noc oczy zwęziły się jeszcze bardziej.

- A w zamian?

- W zamian chcę dać wam szczegółowe plany Fort George, wnętrza fortu wraz z jego otoczeniem. Potrafię wskazać, gdzie ostatnio wzmocniono mury i gdzie są ukryte baterie dział. Mogę też wskazać najsłabsze punkty fortyfikacji, które byłyby najlepszymi miejscami do założenia waszych min - przyjmując, naturalnie, że zależy wam na uniknięciu jeszcze jednej komicznej porażki, jak pod zamkiem Stirling.

- Istotnie zależy nam na tym - odrzekł Cameron po chwili - ale co powiesz na to, że twoja żona zaoferowała nam te same wiadomości?

- Jej wiadomości mogą być dokładne... tylko częściowo. Przynajmniej jeden z tych hultajów, jej stryjecznych braci, spędził tam jakiś czas za kratkami, a jej dziadek zna okolicę od tak dawna, że pamięta, jak wznoszono pierwsze mury. Ale w zeszłym roku poczyniono pewne zmiany, i wątpię, by nawet oni o tym wiedzieli. Loudoun był bardzo ostrożny, odkąd objął dowództwo. W ostatnich miesiącach był również do tego stopnia podejrzliwy, że gromadził wszelkie dostępne wiadomości o ludziach, którzy wykonywali większość prac: kopanie, budowanie stanowisk dział, zakładanie pułapek i tym podobne.

- Pułapek?

Angus kiwnął głową.

- Po pierwsze, w arsenale. Są tam ustawione beczułki prochu z lontami, które musi tylko pozapalać ktoś, komu wystarczy dziesięć minut, żeby się wycofać pobliskim tunelem. Trzeba się będzie dostać do środka bardzo szybko, bo jeśli prochy wybuchną, pošłą połowę fortu do piekła wraz z każdym, kto się tam znajdzie.

Zapadło milczenie. Cameron spojrzał znowu na MacKaila, a ten wprawdzie wzruszył ramionami, ale wyglądało na to, że zainteresowała go ta wiadomość.

- Wydaje mi się, że to uczciwa wymiana. Przydałyby się też dokładne plany hwerNESS, a także wszelkich umocnień w porcie i na otaczającym obszarze.

- Anne może wam je dać - odparł Angus. - Ma lepsze oko do szczegółów i lepiej zna wrzosowiska i bagna. A poza tym, będzie miała zajęcie, kiedy odjadę.

- Jak to? Ty gdzieś wyjeżdżasz?

- A czy nie dlatego poprosiliście, żebym się z wami spotkał dziś wieczór? Przecież chcecie, żebym wrócił do Edynburga z innymi jeńcami, kiedy zostaną uwolnieni, czyż nie tak?

Alex starał się nie okazać zdziwienia i podniecenia. Podobnie jak to się stało po bitwie pod Prestonpans, postanowiono, że wszyscy jeńcy będą uwolnieni, jeśli zgodzą się dać słowo, że w przyszłości nie sięgną po broń przeciwko księciu. Ich liczba była bez porównania mniejsza od liczby wziętych do niewoli w pierwszej zwycięskiej bitwie, ale z uwagi na nie najlepsze zaopatrzenie w żywność, wodzowie chcieli uniknąć obowiązku karmienia dodatkowych gąb.

- Przyznam, że istotnie chodziło mi po głowie coś takiego - powiedział Cameron. - Możliwość umieszczenia kogoś blisko sztabu Cumberlanda jest kusząca, a twoje nazwisko pojawiało się kilka razy w różnych rozmowach.

- Wstrzymajcie się na moment - zaczął MacGillivray.

- Ty nie wiedziałeś, że to o tym chcieli ze mną rozmawiać? - spytał Angus.

Potężny góral sprawiał wrażenie, jakby chciał rozłupać stół na dwoje.

- Nie.

- Jak powiedziałem - Cameron odchylił się lekko w tył i w zamyśleniu wydmuchnął dymek z cygara - Aluinn i ja tylko bawiliśmy się tym pomysłem. I to nie chodzi o to, że miałbyś robić coś nadzwyczajnego. Nie chodzi nam o czatowanie w ciemnych zaułkach z płaszczem naciągniętym na twarz i sztyletem gotowym do ciosu. Po prostu robiłbyś to samo, co już robisz: czytałbyś rozkazy, śledził ruchy wojsk, zawiadamiał nas, kto dokąd wyrusza i jakie ma zamiary. No i trzeba by...

- Przykleić tajną notatkę do nóżki pocztowego gołębia i puścić go ze szczytu dachu?

Cameron uśmiechnął się.

- Nie musiałyby to być aż tak dramatyczne. Mamy w obozie elektora ludzi, którzy pełnią rolę kurierów.

- Jak na przykład Adrienne de Boule?

Ciemne oczy Camerona znów rozbłyły.

- Tak. Jak Adrienne. Niestety, ona nie wszędzie ma dostęp i nie może poruszać się swobodnie po obozie każdego dnia.

- A jeśli powiem: nie?

- Wtedy kończymy całą sprawę, jakby nie było mowy o niczym. Możesz wyjechać, a możesz też zostać. Gdybyś został, bardzo byśmy się ucieszyli, oczywiście. Warunki twego parolu uwalniają cię od zobowiązań, zmuszających do służenia królowi, chociaż podejrzewam, że udział twojej żony w bitwie pod Falkirk stawia pod znakiem zapytania warunki nietykalności, które zaoferował ci Forbes.

Angus powoli obrócił się i znów utkwiał wzrok w MacGillivrayu. Tym razem góral wytrzymał jego spojrzenie.

- Nie miałem zamiaru zabrać ze sobą do grobu tej tajemnicy. A jeśli dotąd jeszcze się nie przekonałeś, że możesz w pełni zaufać tym dwóm ludziom, to sam cię posłę z powrotem do Edynburga czubkiem mego buta. Nie... - dodał gburowato - żebym twierdził, że to dobry pomysł wysłać go tam z powrotem. Wiemy już, że nawet w najlepszych czasach Hawley nie przepadał za szkockimi oficerami, a jeśli to prawda, że już powiesił sześćdziesięciu trzech własnych ludzi za dezercję i tchórzostwo, to skąd macie pewność, że MacKintosh nie zawiśnie na szubienicy, gdy tylko przekroczy bramy miasta?

- Stąd, że nie wyobrażam sobie, by któryś z tych oficerów lub żołnierzy wrócił dobrowolnie, przynosząc cenne wiadomości z obozu rebeliantów.

Koniuszki ust Angusa wygięły się lekko.

- Ja miałbym im przynieść cenne wiadomości?

Cameron wahał się przez chwilę.

- Jestem pewien, że znajdziemy coś godnego uwagi. Książę w samym tylko ostatnim miesiącu napisał tyle memorandumów, że można by nimi zapełnić cały magazyn. Niektóre powinny się wydać Cumberlandowi warte co najmniej przeczytania.

Sztuczny uśmiech znikł z twarzy Angusa szybciej, niż się na niej pojawił.

- Prawdę mówiąc, nie miałem z Hawleyem wielkich problemów. Gorszi są ci dwaj pozostali, Worsham i Garner, którzy mnie śledzą, jakby chcieli dostać moje gardło na tacy.

- Mówisz o majorze Hamiltonie Garnerze? - spytał Cameron spokojnym tonem, ale wyraźnie zaintrygowany.

Angus przytaknął skinieniem głowy.

- O nim i o majorze Rogerze Worshamie. Obaj panowie palą się, żeby awansować i wejść do ścisłego otoczenia Cumberlanda.

- Myślę, że bez trudności pozyskasz zaufanie Garnera - rzekł Cameron, wymieniając szybkie spojrzenia z MacKailem. - Szczerze mówiąc, gotów jestem postawić sporą fortunę na to, że zostanie twoim serdecznym przyjacielem i sojusznikiem, jeśli tylko mu powiesz, że spędziłeś ze mną trochę czasu w tej samej izbie.

Angus podniósł brwi, zdziwiony, lecz po chwili przypomniał sobie.

- Ach, tak. On i twoja żona, Catherine... znali się, czy dobrze pamiętam?

- Dokładnie mówiąc, byli zaręczeni, zanim mu jej nie odebrałem w pojedynku. - Uśmiechnął się zza dymiącego cygara. - To długa historia. W każdym razie, można powiedzieć, że on i ja mamy do uregulowania pewne rachunki, toteż każda wiadomość o miejscu mego pobytu, jaką mu podasz, sprawi, że urośniesz niesłychanie w jego oczach.

- Jeszcze się na nic nie zgodziłem - zastrzegł się Angus.

- I z pewnością nie musisz się na nic zgadzać - rozległ się naraz kobiecy głos.

Wszyscy czterej mężczyźni podnieśli wzrok na Anne, podchodzącą właśnie do ich stołu. Weszła do gospody okutana w pled i nikt nie zwrócił na nią uwagi, dopóki się nie zbliżyła do ich ciemnego kąta i nie odrzuciła tartanu, odsłaniając jaskraworude włosy.

Mężczyźni poderwali się z ław, ale skinęła dłonią gniewnie, by nie wstawali, i Angus zorientował się, że rumieniec na jej policzkach nie jest tylko skutkiem zimna.

- Czy dobrze usłyszałam? Chcecie, żeby mój mąż szpiegował dla was?

- Próbowaliśmy małego nieszkodliwego wymuszenia, to prawda - przyznał Cameron.

Angus poczuł nagłą, niemiłą pustkę w żołądku. Podobnie jak i inni, nie zauważył wejścia Anne i nie był pewien, co zdołała podsłuchać z ich rozmowy.

- I jak? - Ujęła się pod boki. - Zgodził się?

Angus wskazał jej miejsce na ławie obok siebie, ale Anne nie miała zamiaru siadać.

- Oni złożyli mi pewną propozycję. Ja jeszcze nie dałem odpowiedzi.

- On może by się i zgodził, pułkowniku - powiedział Cameron. - Najlepiej by było, żebyś ty go przekonała.

- Ja? - Rozwinęła swój szal, po czym strząsnęła połyskujące kryształki lodu i niektóre z nich ugodziły Angusa w policzek, jak małe kulki. - Dlaczego, u licha, miałabym przekonywać go, żeby wrócił do obozu Hanowerczyka?

Cameron odchylił się w tył i skrzyżował ręce na piersi.

- Bo jest nam tam potrzebny. Ma dostęp do Hawleya, ogląda raporty, ma dostęp do wiadomości, których nie możemy zdobyć w inny sposób. Musimy znać zamiary Cumberlanda, siłę jego wojsk, wiedzieć, gdzie i kiedy ma zamiar na nas uderzyć. MacKail i ja powiedzieliśmy twemu mężowi, że takie wiadomości mogą mieć zasadnicze znaczenie dla bezpieczeństwa księcia i powodzenia jego planów, a może nawet rozstrzygnąć o tym, czy opanujemy, czy stracimy Górną Szkocję, ale - posępne jak noc oczy zwięziły się i zapłonęły blaskiem równie silnym, jak ten, który pojawił się w oczach Anne - powiedzieliśmy mu też, że to niebezpieczna gra, pociągająca za sobą bez wątpienia wielkie ryzyko. Potrafimy zrozumieć to, że się waha. Niestety, w czasie wojny często musimy prosić ludzi o strasznie trudne rzeczy, ale ograniczamy się tylko do próśb. Jeśli kapitanowi to nie leży lub czuje się niezręcznie albo jeśli uważa, że jego powrót do Edynburga można by uważać za jeszcze jedną zdradę...?

- Mój mąż nigdy nie zdradził swego klanu - powiedziała Anne spokojnie.
- Przeciwnie, uczynił wszystko, co był w stanie zrobić, żeby bronić jego honoru.

Cameron zerwał się na nogi i wrzucił niedopałek cygara do resztek piwa, jakie pozostały na dnie jego kufla.

- Wszyscy niekiedy musimy dokonywać trudnego wyboru. Czasem nasze decyzje są słuszne, czasem nie. W tym wypadku prosimy tylko twego męża, żeby zrobił to, co robił dotąd: nosił kokardę hanowerską i popijał brandy oraz palił cygara z takimi ludźmi jak Henry Hawley i William Cumberland. Nie możemy zmusić żadnego z was dwojga, żebyście nam pomogli, i szczerze mówiąc, nie mam też czasu na to, by was namawiać i przekonywać, używając

takich oklepanych zwrotów jak „sprawa życia i śmierci”, ale tu właśnie o to idzie. O nas wszystkich. Kończąc tym podniosłym akcentem, żegnam teraz państwa, lady Anne, kapitanie MacKintosh, kapitanie MacGillivray.

Skłonił się wszystkim po kolei i owinął tartanowy szal wokół ramion.

- Aluinnie... czy ty też idziesz?

MacKail zamrugał, wymamrotał potwierdzającą odpowiedź i zabrał szybko z ławy rękawice i beret. MacGillivray dostrzegł ledwie zauważalny błysk w oku Camerona i burknął coś o tym, że musi skontrolować strażę.

Wyszli razem, zostawiając Anne i Angusa samych. Ona stała, on siedział na ławie i przez dobrą minutę trwali tak, zastygli w zupełnym bezruchu.

- Widzę, że człowiek nigdy nie wie, na czym stoi. gdy ma do czynienia z kimś takim jak Cameron - odezwał się w końcu Angus. - Ale co do jednego on ma rację. Kiedy ja delektowałem się znakomitą brandy i doskonałymi cygarami, oni walczyli, umierali i maszerowali do Derby i z powrotem.

Anne wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia czubkami palców.

- To nie wszystko, co zrobiłeś.

- Nie, nie wszystko. - Przykrył dłonią jej dłoń. - Ale on tak to ujął jakby było tchórzostwem chcieć bronić tego, co się kocha najbardziej na świecie.

- Jestem pewna, że nie rozumiał tego w ten sposób.

- Może i nie. Albo może dawał mi ostatnią szansę. Sposób na zrehabilitowanie się w oczach mojej żony i mego klanu.

- Jest na pewno i inny sposób! - zawołała. - Nie musisz tego robić. Jeśli oni chcą sprawić, żebyś się czuł winny za to, co zrobiłeś albo czego nie zrobiłeś, nie powinienesz im na to pozwolić.

- Nawet gdy chodzi o ciebie?

- Och, Angus - Przesunęła się tak, że znalazła się przed nim i osunąwszy się na kolana, ujęła jego twarz zimnymi, drżącymi dłońmi. - Nigdy nie próbowałam wzbudzić w tobie poczucia winy wobec mnie.

- Ależ tak, próbowałam. - Uśmiechnął się czule i musnął wargami jej wargi. - I muszę przyznać, że robiłaś to diabelnie dobrze. Dziwię się, że tak

długo nie uległem tym wszystkim broniom, które masz w swym arsenale. A masz ich więcej niż dziesięć armii. Zapewniam cię.

- Nigdy nie chciałam, żebyś poczuł się aż tak winny - zaprotestowała, potrząsając głową. - Nie aż tak, żebyś mógł zacząć myśleć o powrocie tam. Czy wiesz, co z tobą zrobią, jeśli cię przyłapią na szpiegowaniu?

- Zapewne to samo co z wieloma innymi, którzy uważali, że warto podjąć ryzyko. A w tym przypadku spodziewane korzyści są tak ogromne, że na pewno warto. Anne... serce już od dawna każe mi zrobić coś więcej. To tylko ta moja przeklęta głowa była zbyt twarda i potrzebowała dodatkowego impulsu, bym zaczął wszystko widzieć jasno. Cameron ma rację. Potrzebny jest im ich człowiek w obozie Cumberlanda i to rozsądne, że wybór padł na mnie. Mam dostęp do różnych wiadomości, wtajemniczają mnie w sekrety, które mogłyby pomóc jakobitom uniknąć klęski. A poza tym - dodał, usiłując daremnie choć trochę uśmierzyć paniczny strach w jej oczach - trudno to wprawdzie porównywać z walką na polu bitwy i zabijaniem dragonów, ale jest to coś, do czego jestem doskonale przygotowany. Eleganckie obiady w Holyrood House. wygodne kwatery w miejskich domach, gdzie mogę głuchą nocą spisywać różne liczby i kopiować rozkazy. Nawet jeśli zacznę to robić za pięć dwunasta, jest to coś, co powinienem zrobić, Anne. Nie potrafię powiedzieć, czy nie jest już za późno, ale jeśli mogę być w czymś pomocny - i nie chodzi tu o zaspokojenie ambicji księcia, ale o to, żeby cała Szkocja nie stanęła w płomieniach - to muszę spróbować, czy ty tego nie rozumiesz?

- Czy nie robisz tego tylko dla mnie - powiedziała niepewnie, wpatrując się uważnie w jego twarz - albo kierując się jakąś głupią chęcią zdobycia uznania takich ludzi jak MacGillivray i Cameron? Bo jeśli tak, to ci powiem, że robiłeś tylko to, co uważałeś za najlepsze dla całego klanu. Podjąłeś decyzję i trzymałeś się jej. I nie masz czego się wstydzić.

- Nie potrzebuję ich uznania, ale chciałbym się do nich zaliczać, Anne. choćby przez chwilę. A co do tego, że chcę coś u ciebie wyjednać - dodał łagodnie - to twoja miłość, twoja wiara, twoje zaufanie znaczą dla mnie więcej, niż wszystko, co kiedykolwiek miałem nadzieję zdobyć.

Znów potrząsnęła głową.

- W takim razie nie pozwolę ci wrócić samemu. Jadę z tobą do Edynburga.

- O nie, to jest absolutnie wykluczone - powiedział łagodnie.

- Dlaczego? Mogę grać rolę skarconej żony, zmuszonej do posłuszeństwa, przykutej na powrót do męża, której się grozi biciem, jeśli nie będzie się dobrze sprawować. - Zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w jego ramię. - Będę taką cichą, pokorną myszką, że nawet nie zauważysz, że jestem w pokoju, i... i nawet przypnę czarną kokardę do stanika, i nauczę się śpiewać ich hymn, a jeśli ktoś zapyta, powiem, że mnie porwano z Moy Hall i zmuszono, żebym jeździła z klanem jako zakładniczka.

Pogłaskał lśniąca rudą koronę jej włosów.

- Dobrze wiesz, że nie możesz jechać ze mną, Anne. I nie dlatego, żebym wątpił choć przez chwilę w to, że potrafiłabyś oczarować dziesięciu Cumberlandów.

- Więc dlaczego?

- Bo klan potrzebuje cię tutaj. Potrzebują silnego, nieustraszonego przywódcy; takiego, który nigdy nie zachwiał się w swojej wierze i nie zmienił swoich przekonań.

- Mają MacGillivraya. Ja im nie jestem potrzebna.

- Nie jesteś potrzebna? - Ujął jej twarz w dłoń i odchylił ku górze na tyle, by spojrzeć jej w oczy. - Czy nie widziałaś, jak ludzie na ciebie patrzą? Nie słyszałaś, w jaki sposób cię pozdrawiają, gdy przejeżdżasz koło nich, jak wypinają piersi i uśmiechają się z dumą od ucha do ucha? Czy słyszałaś, żeby choć ktoś jeden zdezerterował?

Gryząc żałośnie wargę, szepnęła:

- Nie.

- No właśnie. W istocie to dzięki tobie z każdym dniem bardziej zwierają się ich szeregi. Rozpoznałem stu ludzi, którzy wy maszerował i ze mną z Iiwerness, ale przeszli na waszą stronę, gdy zobaczyli cię na Robercie Brusie, noszącą barwy klanu. Nie możesz ich teraz opuścić, Anne. Bardziej niż kiedykolwiek będą cię potrzebować, kiedy armia wróci do Górnej Szkocji. Będą potrzebować twych zdolności przywódczych, twojej odwagi, twojego ducha. - Całował ją czule po wymienieniu każdej kolejnej, godnej zazdrości cechy, a po ostatniej nie odrywał warg od jej ust, dopóki nie udało mu się zapanować nad własnymi emocjami.

Wpatrywała się w jego twarz jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym znów oparła głowę na jego ramieniu.

- To niesprawiedliwe. To zupełnie niesprawiedliwe! Kiedy jesteś wreszcie przy mnie, żądasz ode mnie, żebym się tak po prostu przyglądała, jak odjeżdżasz!

- Odwagi, kochanie - mruknął. - Ty masz tak wiele, a ja tak mało. Zostaw mi parę strzępów, które zdołałem zebrać dla siebie, i błagam cię, nie utrudniaj tego, co i tak jest trudne. Książę rusza z armią na północ do Inverness. Jeśli nie zdobędą miasta, nie mają szans na to, że przetrwają do wiosny. Wrócimy do domu, tak czy inaczej, i znów będziemy razem, nim drzewa się zazielenia. Przyrzekam.

- Nie będziesz się niepotrzebnie narażał?

- Przysięgam, że będę ostrożny ponad wszelką miarę. Zagram rolę płaszczącej się ofiermy tak przekonująco, że będą mnie traktować jak element dekoracji na ścianie. W zamian, żądam od ciebie uroczystej obietnicy.

- Jakiego rodzaju? - Znów podniosła głowę i pociągnęła nosem, marszcząc brwi.

- Żądam, byś na wszystkie świętości przysięgła, że skończyłaś raz na zawsze z brawurą i ryzykanctwem. Nie będzie żadnych szpad ani pistoletów, żadnego jeżdżenia gdzieś po nocy, żadnego wrywania się na pole bitwy. Nie do pomyslenia jest, bym robił to, co mam robić, jeśli będę się musiał martwić, co ty wyprawiasz, gdy mnie nie ma. I nie życzę sobie jakichkolwiek sporów, dyskusji na ten temat, jakichkolwiek mętnych wykrętów. Nie chcę żadnych układów ani kompromisów. Chcę, żebyś dała mi słowo honoru pułkownika armii księcia Farquharsonów, MacKintoshów, słowo honoru kobiety, żony, kochanki... czy czegoś nie przeoczyłem? Nie zostawiłem jakiejś furki dla twego przebiegłego umysłu?

Zmarszczyła brwi, lecz westchnęła z rezygnacją.

- Nie. Wydaje mi się, że wyliczyłeś wszystko.

- No i?

Spojrzała w górę z ponurą miną.

- Przyrzekam. Nigdy nie zjawię się już na polu bitwy.

Badał jej twarz przez chwilę, bo tak pospieszna kapitulacja wzbudziła w nim podejrzenia.

- Chciałbym, żebyś także przyrzekła, że nie będziesz w przyszłości podejmować niepotrzebnego ryzyka, ale przypuszczam, że żądałbym zbyt wiele, skoro już zaprosiłaś księcia w gościnę do Moy Hall, gdy jego armia zajmie Inverness.

Jej oczy rozszerzyły się na chwilę ze zdumienia, ale Angus tylko pokiwał głową i pocałował ją w czubek nosa.

- Cameron już mi wspomniał o twojej propozycji. Czy w ogóle miałaś zamiar mi o tym powiedzieć, czy też to miała być niespodzianka?

- Z pewnością miałam zamiar ci powiedzieć. Kiedy... jeśli... jego łaskawość da mi odpowiedź - przyznała cicho. - Myślałam, że to zwykła gościnność, oddać mu nasz dom do dyspozycji, skoro jest tak blisko Inverness, a w promieniu piętnastu kilometrów nie ma innej doliny dość rozległej, by armia mogła w niej obozować.

- Jednakowoż mogłaś zapytać - mruknął. - Chyba wciąż jeszcze jestem panem mego własnego domu?

- Oczywiście, że tak - odparła. - Kiedy w nim przebywałeś.

Pocałował ją jeszcze raz, tym razem w usta, napierając wargami na jej wargi, rozchylając je delikatnie i badając językiem śliskie powierzchnie. Kiedy ją puścił, przyglądał się, jak oblizuje wilgoć z warg i prawie zapomniał, o czym właśnie rozmawiali.

- Czy pamiętasz jaskinię, którą ci kiedyś pokazałem? Tę, w której po pierwszym powstaniu mój dziadek ukrywał całą rodzinę przez dwa miesiące?

Ona też wpatrywała się w jego usta, wciąż czując na swoich smak pocałunku.

- Chyba tak. Tak, pamiętam.

- Anglicy szukali dzień i noc, ale nie mogli jej znaleźć. Wątpię, czy żyje pięciu ludzi, włącznie ze mną, którzy wiedzą, gdzie ona jest. Myślę... że byłoby najlepiej, gdybym zostawił Hardy'ego przy tobie. Jeśli będziesz musiała szukać tam schronienia z jakiegokolwiek powodu i nie będziesz pewna, w jakim miejscu się znajduje ta jaskinia, on pokaże ci drogę. W razie czego, pomoże w zaopatrzeniu kryjówki w żywność, lampy, pośłania... i we wszystko, co mogłoby być potrzebne, gdyby księżę musiał uciekać. Poza tym, jeśli zabiorę go z powrotem do Edynburga, będzie tylko narzekał przez całą drogę i bezlitośnie

mnie drapał szczotką do ubrania. Wątpię zresztą, czy drugi raz wytrzymałby przesłuchanie.

Jej zdumiony wzrok porzucił jego usta.

- O czym ty mówisz? Jaki drugi raz?

- Kiedy prowadziłaś klan do Aberdeen, Hardy przysiągł przed sądem złożonym z Garnera i Worshama, że nadal przebywasz w Inverness w Drummuir House, nudząc się w gościnie u twojej szanownej teściowej. Przysiągł, że ta kobieta, o której donosiły raporty, to w żaden sposób nie mogłaś być ty, bo nikt nie może być równocześnie w Aberdeen i w Inverness, i na dowód pokazał im pakiet listów własnoręcznie napisanych przez was obie, ciebie i moją matkę.

Maleńka zmarszczka pojawiła się u nasady jej nosa.

- Nie pisałam żadnych listów.

- Istotnie nie pisałaś. Ale Adrienne de Boule była tak miła, że kazała swojej pokojówce napisać je za ciebie.

Zmarszczka pogłębiła się, ukazała się też obok niej następna.

- Adrienne de Boule była w Edynburgu?

- Jako gość majora Worshama.

- I pomogła ci napisać listy?

- Cztery. Na różowym papierze, jak mi się zdaje, związane wąską czerwoną wstążeczką. I każda strona pachnąca egzotycznymi perfumami.

Błękit jej oczu ściemniał tak bardzo, że Angusowi zaczęły się jeżyć cienkie włoski na przedramionach.

- Jak egzotycznymi?

- Bardzo. Zapach przypominał mi mały biały kwiatek rosnący w Indiach, który otwiera się tylko przy świetle księżyca.

- To istotnie niezapomniane wrażenie - mruknęła. - A czy on pobudzał jeszcze coś, by się otwierało w świetle księżyca?

- Och, z pewnością - odparł uprzejmym tonem. - Ale to nie ja, niestety, z tego korzystałem.

- Powiedziałaś: "Niestety"?

Angus lekko drgnął. Uświadomił sobie, że jej ramiona nie oplatają już jego szyi, a chociaż tych czternaście ostatnich dni i nocy spędzonych z nią było cudownym pokrzepieniem i wyzwoleniem dla jego duszy, wydało mu się czymś zdecydowanie nieprzyzwoitym to, że dama wsuwa ręce pod kilt mężczyzny w środku publicznej gospody.

To, że w tym czasie znajdowali się tam tylko oni dwoje, stanowiło niewielką pociechę. Przy drzwiach wejściowych nie było zamka, a odgłos szurania dobiegający ich od czasu do czasu świadczył o obecności karczmarza po drugiej stronie cienkiego przepierzenia. Kąt, gdzie siedzieli, tonął w mroku, ale światło świecy było na tyle silne, że kosmyki włosów Anne jarzyły się jak ognista czerwona aureola, a cienie padające na ścianę obok nich, niby zwierciadło odbijały ruchy jej dłoni wędrujących w górę i w dół.

- Zapewniam cię - zaczął szeptać - że nie masz o co być zazdrosna. Adrienne po prostu pomogła mi w dość trudnej sytuacji. Przestań, figlarko - dodał, uśmiechając się niepewnie. - W każdej chwili ktoś może wejść.

- Tak, może - zgodziła się, oglądając się przez ramię. - Ale czy to nie ty powiedziałaś przed chwilą, że chcesz zacząć robić ryzykowne rzeczy?

- No tak, ale...

Zacisnęła usta w szczególny sposób, dając mu znak, że ma być cicho, po czym schyliła głowę.

- Ooch... słodki... Jezu... - dyszał. Dłonie wsunął w jej włosy, ale widząc, do czego ona zmierza, jedną ręką uchwycił się brzegu stołu, drugą zacisnął na oparciu ławy. Przez zaciśnięte zęby wydał dźwięk, który wyrażał zarazem zdumienie i rozkosz, a choć powietrze było chłodne, kropelki potu zrosiły mu czoło. Każdy mięsień jego ciała napiął się jak żelazna obręcz, a ponieważ nie był w stanie zrobić nic, by temu zapobiec, czuł żar narastający w lędźwiach i w piersiach, krew pulsowała tak głośno, że zagłuszała do reszty głos rozsądku. Ku swemu przerażeniu, niejasno zdał sobie sprawę, że drzwi się otwierają, ktoś wchodzi i przytupuje, strząsając śnieg z butów. Mógł zrobić tylko jedno i zrobił to - wyciągnął szybko rękę i zacisnął ją wokół świecy. Miękkie białe kropelki rozprysły się po stole i Angus, tłumiąc jęk, zgniótł w palcach łojową świeczkę w bezkształtną masę.

Zastygł w bezruchu na dłuższą chwilę, zmagając się z przejmującym bólem. Wciągnął potężny haust powietrza i utkwivszy oskarżycielskie spojrzenie w Anne, przyglądał się, jak wygląda fałdy jego kiltu i wślizguje się

na ławę obok niego. Skromnie wytarła brodę i wypła łyżeczek piwa z jego kufła, a kiedy na niego spojrzała, zauważył, że z trudem powstrzymuje się od wybuchnięcia śmiechem. Jej oczy wciąż błyszczały, ale nie dałoby się w nich dostrzec zazdrości lub zawiści. Promieniowała z nich pewność siebie kobiety, która dobrze wie, o kim jej mąż myśli każdej spędzanej oddzielnie nocy.

- Drogo mi zapłacisz ze ten figiel, madame - powiedział cicho.

- Czy to obietnica, mój panie?

Jego dłoń powędrowała w górę po jej udzie, zaczął, aż się uśmiechnie i wtedy dopiero przerwał zuchwały atak.

- Raczej ostrzeżenie. A jeśli mowa o obietnicy, moja droga, to przyrzekam ci, że tej nocy nie zaśniesz ani na chwilę.

18

Inverness

Powrót z Falkirk rozpoczął się pierwszego lutego, dzień po tym, jak kurier przywiózł alarmującą wiadomość, że Cumberland nieoczekiwanie wyprowadził armię z Edynburga i maszeruje do Linlithgow. Jakobici zwinęli obóz przed wschodem słońca; do południa tylko udeptany śnieg i kilka połamanych wozów, które ugrzęzły w zaśnieconym błocie Bannockburn świadczyły o tym, że byli kiedykolwiek w tych okolicach. W St Ninians poszło im to mniej sprawnie. Przypadkowa iskra spowodowała serię eksplozji w miejscowym kościele, gdzie jakobici przechowywali beczki z prochem, zdobyte pod Falkirk. Lochiel został prawie zmiażdżony przez spadające kamienie, a lord George szalał oczywiście z wściekłości z powodu straty cennego prochu.

Przeprawa przez górskie przełęcze zajęła wolno posuwającej się kolumnie księcia aż piętnaście dni. Gwałtowny wicher miotał im w twarze śnieg, który wciskał się między warstwy tartanu, oszraniał brody i brwi, a gdy zadymka ustawała, nadal przeszkadzał im w pochodzie - oślepieni jego jaskrawą bielą, z

trudem odnajdywali zasypane drogi i ścieżki. Kilka armat, których nie posłano z kolumną lorda George'a Murraya, zagwożdżono i porzucono w zamarzniętych zaspach, co napełniło żalem i goryczą serca wielu spośród tych umordowanych, obdartych ludzi, którzy przeciągnęli je przez niedostępne tereny.

Cumberland natomiast bardzo się ucieszył, gdy się dowiedział, że lord George kazał zatopić ciężkie działo w cieśninie, uznał, że warto poświęcić dwa dni na to, żeby je wydobyć z powrotem na suchy ląd. Usłyszawszy, że jego kuzyn wybrał górską trasę przez Grampian, zmarnował następne trzy dni, próbując iść za nim, ale śnieg dokonał tego, co się nie udało jakobitom: zawrócił z drogi królewskiego syna i zmusił go do przedzierania się na wschód niżej położonymi szlakami, tymi samymi, jakimi szedł lord George, z tym że dzielił ich dystans, którego pokonanie wymagało prawie tygodnia marszu.

Kiedy kolumna księcia minęła górski grzbiet, było już łatwiej posuwać się naprzód. Wzniesienia opadały stromo, między jedną doliną a następną, aż wreszcie topniejący śnieg i mgła poczęły spływać do jeziora Loch Moy. W okolicznych lasach rosły gęste jodły i cyprysy. Jeleni i saren było w bród, a wartkie potoczki spływające ze wzgórz nigdy nie zamarzały. Doliny, przez które przejeżdżali, pokrywał jeszcze śnieg, ale znacznie cieńszą warstwą niż wyżej w górach. Pełno tu było małych chat z kamienia i darni; ich mieszkańcy wybiegali na dwór i gapili się na sunący powoli sznur pojazdów i na maszerujących górali. Niektórzy wiwatowali i oddawali własną żywność i odzież. Inni wracali do chat, po czym zamykali drzwi i okiennice, nie chcąc oglądać tego widoku.

Anne pojechała przodem z MacGillivrayem i ludźmi z klanu Chattan, bo chciała dopilnować, by droga do Moy była czysta, dolina bezpieczna, posiadłość uporządkowana jako tako, w nie gorszym stanie, niż ją opuszczała sześć tygodni wcześniej. Towarzyszył jej Robert Hardy, który ledwie zsiadł z konia, już zaczął pokrzykiwać na służbę domową, nakazał rozpalić ogień na kominkach, przewietrzyć pościel, wyszorować podłogi i nanieść drewna i węgla do pieców kuchennych. Anne pragnęła przede wszystkim wziąć długą, gorącą kąpiel; wreszcie mogła zanurzyć się we własnej wannie, do której trzykrotnie dolewano wody, gdy tylko trochę ostygła. Pokojówki krzątały się, pomagając przy kąpieli i tym razem wyjątkowo Anne nie sprzeciwiała się temu. Pochyliła się do tyłu i pozwoliła, by jej włosy szorowano, płukano i znów szorowano. Ucieszyła się, gdy jedna z dziewcząt wlała do wanny kilka kropel aromatycznego olejku, po czym szybko chwyciła butelkę i nalała go tyle, że zapach bzu rozszedł się po całym pięttrze.

Jej radość z tych drobnych przyjemności trochę zatruwało to, że nie miała żadnych wiadomości od Angusa od czasu, gdy rozstali się w Falkirk. Ale też nie dotarły do niej żadne wieści o jakiejś egzekucji czy aresztowaniu, mogła więc mieć nadzieję, że przyjęto go z powrotem do służby bez jakichkolwiek

przykrych konsekwencji, i oczywiście - jak sobie to co dzień powtarzała - nie było na pewno łatwo wysłać listy do armii, która pospiesznie przedzierała się przez górskie śniegi.

Ta myśl nie opuszczała jej, gdy pokonywała galopem ostatnie kilometry dzielące ją od Moy Hall i wpadła przez drzwi w takim pośpiechu, że omal nie wyrwała ich z zawiasów. Ale nie czekały na nią żadne listy. Nie było nawet wiadomości przekazanej ustnie, że mąż jest żywy i bezpieczny.

Kiedy nadjechał jeździec z wieścią, że przednia straż zbliża się do Moy, Anne wybrała sobie suknię z bladoniebieskiego atlasu z powodzią delikatnych brabanckich koronek przy mankietach. Cztery warstwy halek w różnych odcieniach błękitu pieniły się w rozcięciu w kształcie litery V na przodzie, kiedy szła ku drzwiom, by powitać królewskich gości i przyglądać się z dumą, jak zastępy górali wlewają się do jej doliny. MacKintoshowie i Cameronowie zajęli zbocza opadające ku zamglonym wodom Loch Moy; MacDonaldowie Keppocha rozbili obóz bardziej na zachód, Stewartowie z Appin na wschód, tworząc razem ciasny krąg osłaniający księcia. Żwawy czarno-biały owczarek szczekaniem oznajmił przybycie świty Karola Stuarta do doliny i pomimo, że Anne wielokrotnie w ciągu minionych tygodni przebywała w towarzystwie księcia, to jednak poczuła się nieswojo, widząc jak królewski potomek zsiada z konia i kroczy ku portalowi Moy Hall.

- Wasza Łaskawość - powiedziała, składając głęboki ukłon - *Cead mile failte*.

- *Ma belle rebelie*, tysięczne dzięki za gościnę.

Książę trzymał w ręku perfumowaną chusteczkę - nabrał tego zwyczaju w ostatnich czasach. Służyła mu ona do wycierania nosa, z którego stale coś kapało, i do maskowania zapachu mocnych trunków. Policzki miał zaróżowione od lekkiej gorączki, z której leczył się od kilku dni, a kolorowe plamy rumieńców wyglądały jak różowa barwiczka na jego bladej cerze. Ubrany był na niepogodę, w ciężki skórzany kaftan, wełniany surdut i czarne spodnie. Szeroki krawat z białego batystu nie był pierwszej świeżości, a zmatowiałe włosy koloru miedzi, przywierające gładko do czaszki, osłaniało ulubione nakrycie głowy księcia, filcowy beret, teraz mokry.

- Kąpiel jest przygotowana i pokoje czekają, Wasza Książęca Mość - powiedziała Anne, wprowadzając gościa do eleganckiego foyer Moy Hall. - Jeśli Wasza Łaskawość sobie życzy, mój zarządca pokaże drogę i pozostanie, by spełnić wszelkie dalsze życzenia Waszej Łaskawości.

- Serdeczne dzięki, droga lady, ale nie chcę sprawiać żadnych kłopotów. Kąpiel i łóżko, niczego więcej nie pragnę w tej chwili - przerwał i zakaszłał w chusteczkę, machnięciem ręki odpędzając adiutanta, który natychmiast przysunął się zaniepokojony. - Może jeszcze poprosiłbym o miseczkę rosółu, bardzo gorącego i mocno słonego. I kawałek wołowiny albo perliczki miękko ugotowanej i przyprawionej miętą, jeśli to możliwe. Ach, i gotów byłbym tańczyć z radości, gdybym miał możliwość przypomnieć sobie smak polędwicy uduszonej w sosie winno-cebulowym. I czekolady. Wymieszanej na piankę ze szczyptą cukru.

- Natychmiast porozumiem się z kucharką, Wasza Książęca Mość; jeśli to wszystko jest w moim domu, należy do Waszej Łaskawości.

Książę uśmiechnął się zdawkowo i kiwnął głową w kierunku Hardy'ego, który poprowadził królewską świtę schodami do apartamentów na piętrze.

Przed domem czekali inni goście. Alexander Cameron początkowo odrzucił zaproszenie do Moy Hall, ale ponieważ wyglądało na to, że jego żonę Catherine ogarnęły, podobnie jak księcia, znużenie i apatia, zmienił zdanie i zgodził się z opinią, że ogrzany pokój i łóżko z puchową pościelą będzie dla żony miłą odmianą po wilgotnym namiocie, gdzie nie dało się uniknąć przeciągów. Żona MacKaila, Deirdre, która towarzyszyła lady Catherine, przyjęła zaproszenie Annę z radością. Ich mężowie powierzwszy żony opiece gospodni, odjechali sprawdzić warty.

Catherine Cameron, pokryta teraz kilkoma warstwami brudu, była piękną delikatną blondynką o porcelanowo białej cerze, tak wysoko cenionej przez Anglików. Jej ojciec, Alfred Ashbrooke, był członkiem Izby Lordów i nie tak dawno temu Catherine należała do angielskiej śmietanki towarzyskiej. W tym, co o niej opowiadano, nie było przesady, naprawdę porzuciła wszystko, żeby być ze swym zawadiackim góralskim lairdem. Ubrana w wełniane spodnie i za dużą płócienną koszulę, wyglądała bardziej na sierotę niż na damę, o której krążą legendy, ale i tak Anne czuła się przy niej jak wielki, grubokościsty koń pociągowy przebrany w niebieski atłas, z ogorzałą skórą i usianym piegami nosem. Co gorsza, obawiała się, że dla wyrafinowanego angielskiego ucha, jej mowa niewiele się różni od niezrozumiałego gaelickiego.

- Lady Catherine - zaczęła Annę, starannie wymawiając każde słowo. - Jestem taka szczęśliwa, że mogę gościć pod swym dachem panią i pani męża. I panią, pani MacKail. Jeśli pójdziecie panie za małą Dreną, pokaże wam wasze pokoje.

- Proszę mnie nazywać po prostu Catherine. Nie czuję się damą od bardzo dawna.

W jej uśmiechu wyczuwało się nieudawaną skromność i Anne poczuła napływ ulgi po raz pierwszy, odkąd usłyszała psa oszczekującego jeźdźców wjeżdżających do doliny.

- W takim razie musisz nazywać mnie Anne i możemy skończyć z formalnościami, dobrze?

- Bardzo bym chciała, dziękuję. Czy poznałeś już mego brata, Damiena Ashbrooke? Nie zdążył do nas dołączyć, zanim zwinęliśmy obóz i wyjechaliśmy z Falkirk.

Wysoka, ciemniejsza wersja Catherine wysunęła się naprzód, a uśmiech mężczyzny był tak samo zaraźliwy, jak uśmiech jego siostry.

- Moje uszanowanie, pułkownik Anne. Dużo o pani słyszałem - pani nazwisko pojawiło się nawet w londyńskich gazetach - i proszę mi wierzyć, że cała przyjemność z tego spotkania jest po mojej stronie.

Anne już chciała powiedzieć, co sądzi o londyńskich gazetach, ale Deirdre MacKail nagle cicho krzyknęła przestraszona. Catherine słaniała się na nogach z dłonią przyciśniętą do skroni i Damien musiał podtrzymać siostrę, by nie osunęła się na posadzkę.

- Wielkie Boże! - krzyknęła Annę. - Czy ona jest ranna?

- Nie, nie jest - zapewniła ją Deirdre. - Jest po prostu wyczerpana i zziębnięta. Od kilku tygodni nie miała odpowiedniego wypoczynku, no i jeszcze ta konna jazda... okrakiem... to cud, że jeszcze nie poroniła.

- Poroniła? - Annę spojrzała na bladą twarz Catherine. - Ona spodziewa się dziecka? Czy mam posłać po doktora?

- Nic mi nie jest - wyszeptwała Catherine. - To tylko lekki atak nudności. Damien, na miłość boską, puść mnie.

Zignorował jej słowa, posłuchał za to Annę, która dała im znak, by poszli za nią schodami do sypialni. Gdy się tam znaleźli, stanęła z boku i przyglądała się, jak Damien układa siostrę delikatnie na łożu.

- To chyba nadzwyczaj ryzykowne tyle jeździć konno w twoim stanie?

- Wciąż jej próbuję to wytłumaczyć - powiedziała Deirdre. - Ale jest uparta jak osioł. Gdyby jej mąż wiedział, to oczywiście przywiązałby ją za ręce i nogi do słupa i zostawił tak, by mogła zastanowić się nad niegodziwością tego, co robi, ale...

- Camshroinaich Dubh nie wie, że jego żona jest brzemienna?

- Ona twierdzi, że nie było dobrego momentu, żeby mu powiedzieć.

- Może byłoby jednak rozsądniej wezwać doktora. Choćby po to, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Za nic bym nie chciała, żeby taki człowiek jak Alexander Cameron rozgniewał się na mnie, gdybym uchybiła obowiązkom gospodyni.

- Nie - poprosiła słabo Catherine, unosząc się na łokciach. - Proszę, nie posyłajcie po doktora. Już radziłam się brata Aleksa, Archibalda, i stwierdził, że jestem zdrowa i silna. Jestem tylko zmęczona i zaziębiona, naprawdę. A skoro wygląda na to, że już wszyscy znają mój mały sekret, oprócz mego męża, sądzę, że będę musiała mu sama powiedzieć, zanim usłyszy plotkę od doboszy Cumberlanda.

- Doskonale - powiedziała Deirdre, stanowczym ruchem ręki dając znak Damienowi, by wyszedł. - Ale teraz, zdejmiesz z siebie te wstrętne szmaty i weźmiesz porządną gorącą kąpiel. Jeśli lady Anne wskaże mi drogę do kuchni, zrobię ci filiżankę dobrej gorącej herbaty i przyniosę trochę chleba, byś miała czym wypełnić żołądek.

- Powiedz po prostu Drenie, czego potrzebujesz, a ona przyniesie ci natychmiast - powiedziała Anne i spojrzała wymownie na pokojówkę. - A ja na razie cię pożegnam, żebyś w spokoju wypoczęła. Pamiętaj, co powiedziałam: jeśli będziesz czegoś potrzebować, czegokolwiek, po prostu powiedz Drenie.

Obie kobiety wymieniły uśmiechy. Anne pospieszyła na dół, bo do frontowego holu niczym nieprzerwany rząd mrówek wchodzili ludzie niosący bagaże, a wszędzie plątała się służba księcia i innych osób, by prosić o takie czy inne usługi. W holu zapanował hałas i rozgardiasz, który mógłby wkrótce przybrać takie rozmiary, że nie sposób byłoby nad nim zapanować, gdyby nagle nie zagrzmiął znajomy potężny głos.

Anne z ulgą rozpoznała złocistą głowę Johna MacGillivraya. Stał pośrodku foyer z dłońmi na biodrach i z groźną twarzą, kierując służących tu lub tam, zależnie od tego, czy pytali o coś, czy coś przynosili, czy też po prostu plątali się pod nogami. Musiał dostrzec kątem oka plamę bladoniebieskiego atłasu na schodach, bo zamilkł i uśmiechnął się do Anne, co nie uszło mu bezkarnie, gdyż jeden z tragarzy zadrapał jego gołą łydkę krawędzią drewnianego kufra i zmusił go do podskakiwania na jednej nodze.

Księżę, przestrzegając form towarzyskich, oznajmił, że jest zbyt zaziębiony, by spożyć tego wieczoru posiłek w pokoju jadalnym. Poprosił Anne

o wybaczenie, a wraz z wyrazami przeprosin przysłał pakiet podyktowanych memorandumów do Lochiela, Ardshiela i Keppocha, trzech wodzów, którzy apelowali do niego, żeby skierował część oddziałów do Lochaber i wyparł oddziały rządowe z Fort Augustus i Fort William.

Ich życzenie miało się spełnić. Księżę postanowił wysłać ich rankiem z odpowiednimi siłami, by roznieśli w drzazgi oba forty, jeśli będzie to konieczne dla pozbycia się wojsk Hanowerczyka z Wielkiej Doliny. Lord George Murray lada moment miał dotrzeć do Inverness i z pewnością od razu zapytałby zgryźliwie, czemu to ludzie księcia siedzą beczynn timer. Karol postanowił kierować osobiście działaniami zmierzającymi do opanowania Górnej Szkocji i wbrew gorącym protestom wodzów, którzy radzili zaczekać na lorda George'a, uparcie trzymał się swej decyzji. W konsekwencji, rozkazał MacGillivrayowi i ludziom z klanu Chattan zbadać teren i określić liczbę żołnierzy stacjonujących w Fort George.

- Ten szaleniec ma zamiar rozpocząć walkę - powiedział MacGillivray, zapinając ciężkie skórzane bandolety.

Przyszedł na obiad wraz z niemal pięćdziesięcioma innymi iairdami. Powitał ich tylko O'Sullivan, który z kwaśną miną wręczył im papiery od księcia. Nie było żadnych uprzejmych podziękowań za przeprowadzenie jego królewskiej osoby bezpiecznie przez góry. Ani też dwornych uprzejmości pod adresem Anne, za kłopot, który wzięła na siebie, by zapewnić mu wszelkie wygody, za to, iż podjęła ryzyko, pozwalając mu spać pod swoim dachem. Nawet nie zarządzono całodziennego odpoczynku dla ludzi, którym należało się trochę wytchnienia po wyczerpującym marszu.

- Czy on sobie myśli, że Loudoun jak gdyby nigdy nic z uśmiechem wręczy mu klucze do bram fortu?

Anne przez chwilę przyglądała się, jak John walczy z zaplątanym rzemieniem swego pasa na pistolety, potem łagodnie ujęła jego potężne dłonie i odsunęła na boki.

- Tylko bądź ostrożny. Nie mamy za dużo ludzi, żeby ich tracić przy uwalnianiu cię z więzienia.

- Nic mi nie będzie. Martwię się o ciebie. Powiem prosto z mostu: Nie podoba mi się pomysł zabrania stąd prawie tysiąca ludzi i posłania ich do Lochaber, kiedy ty tu zostajesz sama.

- Lord George nadejdzie lada godzina z drugim tysiącem - odpowiedziała, rozwiązując węzeł i podając Johnowi oba końce rzemienia. - Jestem wreszcie u siebie i nie jestem wcale sama.

John nie zwrócił uwagi na rzemień i ująwszy ją pod brodę kciukiem i wskazującym palcem, uniósł jej głowę. Jego oczy znajdowały się tak blisko, że poczuła, jakby wpatrywała się w czarną bezdenną studnię, i było w nich tak wielkie napięcie, że naprawdę ciarki przeszły jej po plecach.

- To nie żarty, Annie. Znajdujemy się piętnaście kilometrów od Inverness - koń się nawet nie zmęczy, przebywając tę drogę. Ludzie Loudouna nie siedzieli beczynn timer, kiedy my wyruszyliśmy deptać Hawleyowi po piętach. I jest tak, jakbyś była sama - z chorym księciem, brzemienną kobietą i garstką mężczyzn tak zmęczonych, że oczy im się same zamykają.

- Lord George znajduje się o pół dnia marszu stąd - powtórzyła, wzdrygając się lekko.

- Od kogo wiesz, że o pół dnia? Od tego przekłętego szczura O'Sullivanana? On nie potrafiłby nawet ocenić, ile czasu się idzie stąd do jeziora.

John puścił jej brodę i skupił całą uwagę na zawiązywaniu ładownicy. Anne nadal wpatrywała mu się w twarz, przyglądając się rozcięciu tuż pod uchem, którego nie miał poprzedniego dnia. Zauważyła je teraz, bo musiał je rozcierać i rana się otworzyła, pozostawiając plamę krwi na szyi. Przyciągnęło jej uwagę, bo nie było nierówne, jak zadrapanie, było czyste i gładkie, jak zadane ostrzem noża... albo końcem rapiera.

Przyglądała się, jak zawiązuje rzemień, palcami jeszcze zbyt zeszywniałymi, żeby wykonać taką prostą czynność, a teraz zauważyła, że knykcie jego prawej dłoni są otarte i zaropiałe, i że John woli posługiwać się lewą ręką, trzymając ją ciasno przy żebrach.

- Ty znów walczyłeś - powiedziała spokojnie.

- Walczę codziennie. To się nazywa stałym ćwiczeniem ludzi i utrzymywaniem ich w gotowości bojowej.

Wyciągnęła rękę i wzięwszy w dłonie jego dłoń, rozłożyła ją tak, że wszystkie zadrapania i sińce stały się widoczne.

- Ćwiczysz ludzi za pomocą pięści? - Musnęła wzrokiem jego żebra. - A co bym zobaczyła, gdybyś na moją prośbę rozpiął koszulę?

- Okazałego ptaszka. A co ja bym zobaczył, gdybym ciebie o to samo poprosił? - Napotkał jej zdumione spojrzenie i pokrył zmieszanie gaelickim przekleństwem. - Powiedziałem coś głupiego, przepraszam cię, dziewczyno. Tak mi się jakoś wysnęło.

- Wybaczam ci. Pod warunkiem, że nie będziesz przede mną kłamał. Znów walczyłeś, czy nie mam racji?

Ich oczy znów się spotkały.

- To nic takiego. Drobne nieporozumienie.

- Mam nadzieję, że nie z żadnym z naszych ludzi?

Zawahał się. Kiedy potrząsnął głową, Anne wołała go dalej nie wypytywać. Podczas długiego marszu z Falkirk słyszała o co najmniej kilkunastu walkach, w których uczestniczył MacGillivray. Jej krewniacy też zebrali niezłą kolekcję sińców, większość, gdy reagowali na usłyszane zniewagi lub ubliżające docinki pod adresem nieobecnego wodza klanu Chattan. Cameron uznał, że będzie najbezpieczniej dla wszystkich zainteresowanych, jeśli tylko kilku ludzi pozna powody, dla których Angus wrócił do Edynburga. John i Gillies wiedzieli. Krewniacy Anne i dziadek też. Wszyscy inni uważali, że zrobił to samo, co uczyniło wielu innych angielskich oficerów zaraz po tym, jak złożyli parol; to znaczy wrócił do swojego pułku i objął znowu komendę.

MacGillivray i kuzyni Anne starali się nie dopuścić, by docierały do niej najgorsze obelgi i najbardziej obraziwe uwagi, ale to tylko prowokowało do dwuznacznych gestów i nieprzyzwoitych chichotów. Niejeden raz Anne słyszała szeptane komentarze na temat prawdziwej natury związku pomiędzy nią i MacGillivrayem; gdyby naprawdę kierowała się rozsądkiem, trzymałaby się od niego z daleka. Ale kiedy Angus odjechał, rozpaczliwie potrzebowała przyjaźni Johna, jego siły, jego odwagi. Wiedziała od tamtej nocy przed chatą w St Ninians, że on upoczywie stara się, by nie znaleźć się z nią sam na sam, a jeśli już to się zdarzy, nie dopuścić nigdy, by rozmowa zeszała na tematy osobiste. Ale bywały chwile, że nie dało się tego uniknąć. Bywało też, choć wstydziła się tego ogromnie, iż nawet pocieszała ją ta pewność, że jeśli kiedykolwiek zawoła w ciemność, on znajdzie się przy niej, zanim ten krzyk ucichnie do końca.

- Ach, Johnie - westchnęła. - Tak mi przykro, że sprawiam ci tyle kłopotu. Przepraszam za wszystko: za to, że wciągnęłam cię w tę awanturę, że złożyłam me ciężary na twoje barki. Za wszystko. Chciałabym, żeby istniał jakiś sposób, by można było wszystko cofnąć i żeby rzeczy się ułożyły inaczej. Chciałabym...

Położył palec na jej ustach.

- Sza, dziewczyno. Co byś chciała zmienić? Chciałabyś nie kochać męża tak, jak kochasz? Albo, żeby on cię tak nie kochał?

- Ale gdybyśmy ty i ja...

Jego palec mocniej przycisnął jej wargi, a oczy załśniły mu jak dwie czarne perły.

- Nigdy tego nie mów. Nigdy nie oblekaj tej myśli w słowa, bo to słowa słyszymy i pamiętamy, a nie myśli, które się za nimi kryją. Za jakieś dwanaście lat, kiedy będziesz zażywną kobietą z gromadką dzieciaków trzymających się twojej spódnicy, nawet nie będziesz pamiętać, że kiedyś przyszło ci na myśl, że coś mogło być inaczej z tym czy tamtym. Ale jeśli powiesz to na głos, słowa wrócą i nie dadzą ci spokoju. Wiesz diabelnie dobrze, że Angus jest właściwym mężczyzną dla ciebie. Oboje to wiemy i dzięki temu to wszystko jest łatwiejsze.

Skończył tę reprimendę i czule uszczypnął ją w policzek, a potem opuścił rękę i znów zaczął niezgrabnie poprawiać bandolety. A ona prawie mu uwierzyła.

- Nie powiedziałem, że jest łatwe - dodał z uśmiechem. - Tylko łatwiejsze. A co do grzmotnięcia paru łbów, to... zrobiłbym to samo, gdybyś była moją siostrą. A jeśli już mowa o siostrach... - przerwał, skrzywił się i wymruczał pod nosem jeszcze jedno ciche przekleństwo - moja siostra Ruth uważa, że już zbyt długo zwlekam ze złożeniem wizyty w Clunas.

- U Elizabeth?

- Ano tak. Gillies powiada, że powinienem to zrobić, skoro mam teraz okazję. Myślę, że może naprawdę powinienem, bo inaczej jej ojciec nie omieszka wycelować z muszkietu w mój kilt.

Annę uśmiechnęła się

- No to lepiej tam jedź. Byłaby to wielka szkoda, gdybyś został owałaszony.

MacGillivray uśmiechnął się.

- To prawda. Ja też bym tego żałował. Więc załatwione. Ruszam do Inverness podglądać Anglików przez dziurkę w żywopłocie, a potem pojedę do Clunas na dzień lub dwa. Przekażę Gilliesowi komendę nad ludźmi. Będziesz pod dobrą ochroną.

- Nie martw się o mnie. O nic się nie martw. Dla odmiany pomyśl o sobie. I zawieź jej trochę kwiatów. Ucieszy się i wybaczy ci długą nieobecność.

- Kwiatów? Gdzie, u diabła, znajdę kwiaty w tym śniegu?

Anne roześmiała się i wspięła na palce, by musnąć wargami jego policzek.

- Właśnie dlatego się ucieszy. Dużo bardziej niż z antąka piwa i owczego pęcherza pełnego krwawej kiszki.

Nie wyglądał na przekonanego, ale mimo to odwzajemnił jej uśmiech, gdy naciągał beret na głowę.

- Będzie wolała kwiaty od kiszki? - burknął. - Wy, kobiety, jesteście bardzo dziwnymi stworzeniami.

Wchodząc po schodach i wlokąc się do łóżka, Anne wciąż jeszcze się uśmiechała. Ponieważ w domu nocowało mnóstwo osób, nieznających go w ogóle, w kinkietach zostawiono zapalone świece. Większość sypialni na pierwszym i drugim piętrze była pozajmowana, a jeszcze trochę ludzi spało na legowiskach w salonie. Gdy Anne szła cicho wzdłuż korytarza, widziała w świetle swej migoczącej świecy uśpione postacie służących, skulonych w krzesłach przed drzwiami swoich panów.

Weszła do swojego pokoju i na chwilę zatrzymała się w progu, jej wzrok powędrował - jak prawie za każdym razem, gdy tu wchodziła - ku fotelowi w najdalszym kącie. Jeśli bardzo się starała, mogła dojrzeć widmowy obraz Angusa siedzącego tam, z nogami wyciągniętymi przed siebie, w białej koszuli połyskującej w cieniu, z lokiem ciemnych kasztanowych włosów spadającym mu na czoło. Za każdym razem, gdy tak patrzyła, miała nadzieję, że zobaczy nie tylko zjawę. Już raz ją zaskoczył, pojawiając się nieoczekiwanie. Dlaczego nie miałby zrobić tego jeszcze raz?

Jeśli jeszcze żyje.

Prąd powietrza połaskotał jej policzek i sprawił, że płomień świecy zamigotał gwałtownie. Wiatr na dworze dmuchał w gwałtownych porywach, wpychając z powrotem dym do komina i malutkie kłębuszki dymu i popiołu opadały na palenisko. Ogień był dość wysoki i nie ucierpiał na tym; jednak powietrze pachniało sosnowymi sękami i zwęglonymi wspomnieniami.

- Angus. - Szept Anne zabrzmiał prawie jak krzyk w tej zupełnej ciszy. - Gdzie jesteś? Wiem, że żyjesz. Czułabym, gdyby tak nie było.

Oderwała się od drzwi i podeszła do ubieralni. Po czym przeszła do przyległego pomieszczenia. Oczywiście Hardy nie widział powodu, żeby zapalać światło lub rozpałać na kominku w pokoju pana, i tylko świeca Anne rozpraszała trochę panujący w nim mrok. Zdawało się, że tu jest jeszcze ciszej. I zimniej. Anne zamknęła oczy i pochyliła głowę, a gdy powoli, głęboko nabierała powietrza w płuca, wyczuła ten zapach: słabutki aromat olejku sandałowego.

Czuła łzy gromadzące się pod powiekami, ale nie starała się wcale ich powstrzymać. Była sama, więc mogła sobie teraz pozwolić na płacz. Nikt jej nie widział i nikt nie będzie jej osądzać, przed nikim też nie musiała się popisywać swoim rozsądkiem, umiejętnością panowania nad sobą. Tutaj nie musiała być silna i dzielna i znać odpowiedzi na wszystko. Nie musiała ukrywać tego, że w środku trzęsie się ze strachu i że czasami czuje się tak bezradna, iż chciałaby krzyczeć. I nie zamierzała także przed sobą ukrywać, że sama siebie nienawidzi za zazdrość, którą czuje wobec Elizabeth Campbell z Clunas, co było czymś tak zupełnie bezsensownym i tak nieuczciwym wobec MacGillivraya, że ugięła się pod nowym brzemieniem wstydu.

Świeca zaczęła migotać i ciążyć jej w ręku, więc ją odstawiła. Oślepiiona łzami, wczółgała się do wielkiego łóża Angusa i przytuliła do piersi jedną z ogromnych aksamitnych poduch, głaszcząc ją i przyciskając do siebie, póki nie zasnęła ukołysana płaczem.

19

Książę Karol wstał z łóża boleści w samą porę - zdążył wygłosić płomienną mowę do Cameronów i MacDonaldów, zanim wyruszyli do Lochaber. Fort Augustus, położony na południowym krańcu Loch Ness, na mrocznym terenie pełnym gęstych mgieł i potworów, był najbliższym celem ich wyprawy. Fort William znajdował się około pięćdziesięciu kilometrów dalej na południowy wschód, na skraju rozległego obszaru pozostającego pod władaniem Campbellów z Argyle. Według ostatniego raportu, Fort Augustus bronił kadrowy garnizon złożony z mniej niż stu ludzi, powinien więc być łatwy do zdobycia dla połączonych sił Lochiela i Keppocha. To zajęcie Fort William, z garnizonem liczącym przeszło pięciuset ludzi i silną baterią ciężkich dział, było

konieczne, żeby zapewnić panowanie jakobitów nad odsłoniętym podbrzuszem Górnej Szkocji, mogło się jednak okazać dla nich twardym zadaniem.

Anne ubrała się odświętnie na pożegnanie z dzielnymi ludźmi z jej klanu. Dosiadłszy Roberta Bruce'a, odprowadziła ich na najdalszy kraniec Loch Moy, a potem siadła na szczycie najwyższego wzniesienia i, uśmiechając się, odpowiadała na machanie rąk górali mijających ją w marszu. Znowu dolina wypełniła się beczeniem dud i tartanami w kolorach czerwonym, złotym, niebieskim i zielonym. Nie więcej niż pięćdziesięciu lairdów i kapitanów jechało na koniach, reszta szła na piechotę, tak jak przez całą drogę z Glenfinnan do Edynburga, z Edynburga do Derby, z Falkirk do Inverness. Niektórzy śpiewali podczas marszu. Większość jednak pozostawiła dudziarzom wyrażanie entuzjazmu, a ci zagrali ekscytujące piob rach'd, mające wzbudzić przerażenie w tych, którzy usłyszą odległe echo.

MacGillivray wyprowadził ludzi przed świtem, tak że Anne nie miała okazji życzyć mu jeszcze raz powodzenia. Ale tamten jeden raz w zupełności wystarczał. Chociaż zdrapała śnieg z parapetu i obłożyła nim oczy, wiedziała, że John zauważyłby ślady łez, a nie chciała, by cokolwiek odwracało jego uwagę od niebezpiecznego zadania, które go czekało.

Kiedy klan Cameronów przedefilował obok niej, jeden z oficerów wstrzymał wielkiego czarnego ogiera, oddzielił się do kolumny i kłusem wjechał na wzgórze, gdzie siedziała Anne. Alexander Cameron podniósł dłoń do czoła w geście pozdrowienia i zatrzymawszy się obok niej, przyglądał się idącym ludziom, pochylając głowę w ich kierunku. Na jego twarzy malowała się duma i troska; nietrudno było odgadnąć powód jednej i drugiej.

- Przybyłem, by bezwstydnie prosić o jeszcze jedną łaskę, pułkowniku.

- Zatrąszczę się o pana żonę, kapitanie. Tak jak ona z kolei, o pana dziecko.

W kącikach ciemnych oczu pojawiły się leciutkie zmarszczki.

- Obiecałem jej, że wrócę nie dalej niż za tydzień, ale może być trochę zła, jeśli dozna zawodu.

- Więc niech się pan postara jej nie zawieść, kapitanie.

Odwrócił wzrok, potem obejrzał się i zmarszczki w jego oczach się pogłębiły.

- Wciąż jeszcze nie ma pani żadnych wiadomości od MacKintosh'a?

- Nie. Ale nie spodziewałam się, że codziennie będę otrzymywać listy. Oboje się zgodziliśmy, że bezpieczniej będzie nie korespondować ze sobą. On, albo ja, moglibyśmy napisać coś, co by go naraziło na niebezpieczeństwo.

- Cóż, to chyba mądrze. Może panią to jednak zainteresuje, że dziś rano doręczono pewne depesze do obozu.

Twarz Anne rozjaśniła się w jednej chwili, jakby nagle słońce zaświeciło zza wierzchołków drzew.

- Przyszła wiadomość od Angusa?

- Zawiadamia nas, iż Cumberland oświadczył, że Górna Szkocja niewiele się różni od piekła na ziemi. Najwyraźniej jego ludzie nie mają serca do naszych zim. Przy pierwszej próbie ścigania lorda George'a przez góry dwustu żołnierzy zdezerterowało. Przy drugiej, stracił blisko czterystu ludzi. Za radą swych generałów. Cumberland postanowił zawrócić do Aberdeen i tam czekać, aż drogi staną się przejezdne.

- Znów zajęli Aberdeen?

- I Perth. Ale żeby nas dosięgnąć, muszą się przedrzeć tamtędy - kiwnął głową w stronę wspaniałych niebieskofioletowych wierzchołków gór Grampian, rozciągających się wzdłuż całego horyzontu. - Nawet jeśli doczeka wiosny, przekona się, że kiedy cały ten śnieg stopnieje, woda napelni bagna i zaleje wrzosowiska.

- Angus... ma się dobrze?

Cameron obejrzał się.

- On robi coś bardzo odważnego, lady Anne. To prawie tak, jakby wyciągnął szyję i położył pod topór. Dlatego nie powinna pani być dla niego zbyt sroga, gdy się pani dowie, że jest w drodze powrotnej do Inverness.

- Przyjeżdża tutaj?

- No, niedokładnie tutaj - powiedział, wskazując na zamrznięte piękno Loch Moy. - Wysłano kilka regimentów morzem, by wzmocnić siły lorda Loudouna, i między innymi regiment pani męża. Jest to wiadomość sprzed pięciu dni, ale nie mamy powodu wątpić w jej prawdziwość. I, ach... - przerwał, po czym wyjął jakiś list z górnej kieszeni. Napisano go na różowym papierze, złożono, zapieczętowano i obwiązano czerwoną wstążeczką. - To przyszło z pakietem depesz, które udało mu się przemyścić, zanim jego okręt odplynął.

Przypuszczam, że w obozie wojskowym nie jest łatwo o różowy papier. Nawet w angielskim obozie.

Po tych słowach, z uprzejmym uśmiechem podniósł znowu dłoń do czoła i zawróciwszy konia, zaczął zjeżdżać po zboczu, by dołączyć do swojego oddziału.

Anne przez całą minutę trzymała list w ręku, nie próbując go otworzyć, a serce waliło jej tak mocno, że bała się, iż wyrwie się jej z piersi i uleci.

Angus żył i był w drodze do Inverness. Armia Cumberlanda przez jakiś czas nie wkroczy do Górnej Szkocji. Naprawdę nie potrzebowała wiedzieć niczego więcej, ale sądząc po grubości listu, Angus miał jej bardzo dużo do powiedzenia.

Grupa ludzi z jej klanu pozdrowiła ją, mijając w marszu wzgórze, a Annę odpowiedziała promiennym uśmiechem. Wetknęła list za pas i pomachała im ręką, potem podniosła oczy ku niebu, dziękując temu, komu najbardziej należały się dzięki za dostarczenie wiadomości do jej rąk. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Słońce przygrzewało i śnieg iskrzył się pod jego dobrotliwym okiem, jak kobierzec usiany diamentami. Anne była tak przesądna, jak być powinien każdy szkocki góral mający dobrze w głowie, gdyby więc dzień był pochmurny i ponury, uznałaby to za zły znak. Ale teraz, gdy nad jej głową płonęło słońce, przyciskając do piersi list od męża, myślała o przyszłości z większą ufnością niż kiedykolwiek w ciągu wielu ostatnich miesięcy.

- Czy jest pan pewien, że ta wiadomość jest prawdziwa?

Słowa te wypowiedział Duncan Forbes, a wiadomość była tak wstrząsająca, że na chwilę zapomniał, iż siostrzeniec Douglas nalewa mu drugą whisky. Odwrócił się, strącając kieliszek spod karafki, potem zaklął kwieciście, kiedy płyn ochlapał mu rękę, nogę i dywan. Oprócz niego w umocnionych murach Fort George znajdowali się: pułkownik Blakeney, świeżo przybyły z

Perth z najnowszymi rozkazami od księcia Cumberlanda, lord Loudoun, który krążył jak niedźwiedź uwiązany do pierścienia, i Norman MacLeod, przywódca klanu MacLeodów i oficer dowodzący góralskimi regimentami stacjonującymi w forcie.

- Moje źródło jest absolutnie pewne - powiedział Blakeney. - W bliskim otoczeniu księcia mamy szpiega, który nas zapewnia, że pretendent znajduje się tuż pod naszym nosem, panowie. Karol Edward Stuart leży pijany w łożu w Moy Hall.

Forbes zatrzęsł się, wypiwszy solidny łyk whisky.

- Ten pański człowiek zapewnia też, że był tam główny trzon armii pretendenta, ale teraz już go chyba nie ma?

- Lochiel i Keppoch zabrali swoich ludzi dziś rano do Lochaber. Lord John Drummond jest w Balmoral Castle, Clanranald jest w Daless. Według ostatniego raportu... - przerwał, żeby sprawdzić jakieś notatki

- ...lord George Murray wciąż przedziera się przez wrzosowiska do Nairne. Byłbym zdziwiony, gdyby przybył wcześniej niż jutro w południe. W takim razie zostaje tylko osobista straż lady Anne stojąca przy bramie Moy Hall.

- Jeśli przez "straż osobistą" rozumie pan MacGillivraya - odezwał się MacLeod - to mówi pan o samym księciu piekieł, a gdyby to on stał w bramie niebios, Chrystus by się nie przedarł.

- MacGillivray jest w Dunmaglass - powiedział Lochiel, na krótko stając pośrodku między nimi. - On i jego ludzie uprowadzili kilkanaście sztuk bydła z zagrody kwatermistrza tego popołudnia i ostatnio widziano ich, jak pędzili stado na wzgórze.

- To jednak za blisko, żebyśmy się czuli pewnie - jęknął MacLeod.

- Zresztą... oczekuje pan przecież posiłków z Edynburga, mają być lada chwila. Radzę, żebyśmy na nie poczekali i zmniejszyli nasze straty o połowę.

- Okręt z wojskiem spotkało coś niedobrego na morzu. Sztorm czy coś w tym rodzaju. Mogą dopłynąć jutro albo pojutrze, albo w przyszłym tygodniu, z tego co wiem... zakładając, że jeszcze nie poszli na dno ani nie rozbili się na skałach.

- Jutro lub pojutrze może być za późno - nalegał Blakeney. - Trzeba to zrobić właśnie teraz, kiedy książę jest praktycznie bezbronny. Okazja może się

nie powtórzyć - na pewno się nie powtórzy - i twierdzą, że jeśli wykorzystamy szansę i schwytemy tego królewskiego bękarta, ponosząc minimalne straty, to ta cała żałosna afera może się zakończyć dziś o północy. Jego wodzowie i rada utracili chęć walki z nami. Wycofali się z Derby, potem spod Falkirk. Pozbawmy ich jedyne go powodu, który skłania ich do tego, by dochowywali swej przysięgi, a jutro wieczorem o tej samej porze, nie będzie już sprawy jakobitów ani ich armii, ani wojny.

Loudoun wypiął pierś i westchnął niepewnie.

- Bezkrwawe zwycięstwo z pewnością zmniejszy butę Harleya o kreskę lub dwie. Spodziewam się też, że król okazałby się szczodry w nagradzaniu, gdyby ktoś oszczędził jego synowi ryzyka doznania tego samego poniżającego losu, jaki spotkał Cope'a i Hawleya.

- Jak pan proponuje to zrobić? - zapytał Forbes spokojnie.

Blakeney zwietrzył w nim sprzymierzeńca i odwrócił twarz w jego stronę.

- Mamy w garnizonie dwa tysiące wojska. Proszę mi dać półtora tysiąca.

- Żeby ująć jednego pijanego i bezbronnego księcia?

- To po prostu demonstracja siły, by zniechęcić do wszelkiej zewnętrznej interwencji.

- Żeby ochronić własną dupę - powiedział sucho MacLeod - w razie gdyby pańskie źródło się myliło.

- Jeśli wiadomość jest nieprawdziwa - odparł Blakeney - to głowa pewnego porucznika - nazywa się Jeffrey Peters - zostanie wbita na pikę i wystawiona na murach baszty jako cel ćwiczebny dla jakobitów.

Forbes wymienił spojrzenia z Loudounem i MacLeodem, potem kiwnął głową.

- Doskonale. Jak szybko może pan wyruszyć?

- Ludzi można zebrać i wyprawić w drogę w ciągu godziny. W ciągu dwóch, a najdalej trzech, powinniśmy być tu z powrotem z pretendentem i jego wdzięczną gospodynią zakutymi w łańcuchy.

- Z lady Anne?

- Ona gości wroga korony, czyż nie? Już to tylko wystarczy, by każdy sąd wojenny skazał ją na śmierć za bunt i zdradę. Osobiście nigdy dotąd nie wieszalem kobiety, ale mówiono mi, że one piszczą i kwiczą jak prosięta - tak samo jak niektórzy mężczyźni, którym usunąłem grunt spod nóg.

Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Wszyscy czterej mężczyźni odwrócili się szybko i utkwili wzrok w Douglasie Forbesie, który stał do tej pory, zapomniany przez wszystkich, w kącie pokoju.

- Ja... przepraszam, stryju. Kieliszek mi wypadł z ręki. Ja... zaraz przyprowadzę kogoś, by to sprzątnął. Przepraszam. Bardzo panów przepraszam. Proszę na mnie nie zwracać uwagi.

Szybko ruszył do drzwi, a kiedy odszedł, lord przewodniczący potrząsnął głową.

- Bóg wie, że mój brat - niech spoczywa w pokoju - był taki sam. Twarz mu bieląła, kiedy ktoś wspomniał choćby słówkiem o przemoc. Jednak nie wydaje mi się, żeby jego reakcja znacznie odbiegała od reakcji wielu innych ludzi. Powieszenie kobiety to nie jest właściwe posunięcie, pułkownika Blakeney, i nie przysłuży się nam, przeciwnie, uczyni z młodej lady męczennicę idei. Kreując męczenników, budzi się współczucie. Nie, lady Anne nie może spotkać żadna krzywda. Jej mąż jest wciąż lojalnym oficerem w służbie Jego Królewskiej Wysokości i dałem mu te same gwarancje, co innym - popatrzył znacząco na MacLeoda, by pozyskać jego dobrowolne poparcie. Jeśli, jak pan powiada, jest możliwość zakończenia tej całej brudnej afery dziś wieczór, będziemy potrzebowali MacKintosh, żeby na powrót wziął mocno w cugle swój klan.

- A co ze sławnym MacGillivrayem? - spytał Loudoun. - Jestem zdania, że stał się zawadą, której nie możemy tolerować ani w czasie wojny, ani w czasie pokoju.

- Nie dawałem żadnych gwarancji, że nie zdarzy się wypadek - odparł Forbes - a podczas pacyfikacji zawsze zdarzają się... wypadki. - Popatrzył na pułkownika Blakeneya i decyzja zapadła. - Niech mi pan przyprowadzi szkockiego księcia, pułkownika, a zyska pan wdzięczność Anglii.

Douglas Forbes potrzebował paru chwil, żeby odzyskać oddech. Potykając się, wyszedł z gabinetu lorda Loudouna i ledwie zdążył dojść do zbawczej ściany, gdy kolana się pod nim ugięły.

Oni chcieli aresztować lady Anne! Chcieli ją zakuć w łańcuchy, zamknąć w więziennej celi pełnej szczurów i trzymać tam, póki nie powieszają jej w

publicznym miejscu, czyniąc z jej egzekucji wielkie widowisko. Tego było za wiele. Zdecydowanie za wiele - i postanowił, że nie pozwoli, by coś takiego się zdarzyło!

Pamiętając, że przygląda mu się adiutant pułkownika, Douglas wyprostował się i poprawił swój strój, po czym wyszedł najspokojniej jak potrafił z głównej kwatery na dziedziniec. Zapadł już zmierzch, a ponieważ popołudniowe słońce świeciło na tyle mocno, że stopiło prawie cały śnieg w obrębie fortu, miriady kałuż lśniły wokół jak rozrzucone kawałki pękniętego zwierciadła.

Udając, że mu się wcale nie spieszy, Douglas zawołał, by przyprawiono dlań konia. Gdy spełniono to polecenie, wsiadł i pomachał wartownikom przy masywnej bramie, kiedy ich mijał. Inverness, odległe o półtora kilometra od fortu, było maleńką miejsciną w porównaniu z takimi dużymi portami, jak Glasgow i Edynburg. Wielu spośród trzech tysięcy stałych mieszkańców dyskretnie opuściło swoje domy, by odwiedzić krewnych i znajomych dalej na północy, w bardziej ustronnych regionach Skye. Jeśli, jak się tego obawiali, rozstrzygająca bitwa o panowanie nad Górną Szkocją miałyby się odbyć właśnie tutaj, stanęliby przed ewentualnością długiej okupacji jakobitów albo mało nęcących wojskowych rządów armii Cumberlanda.

Douglasowi niedobrze się robiło od słuchania o tych wszystkich knowaniach i intrygach, wiedział jednak, że jego wuj ma rację. Wystarczyło ująć Karola Stuarta i Cumberland nie będzie miał powodu przyprawiać swojej armii na północ. Inverness będą oszczędzone represje, a mieszkańcy będą mogli wrócić do swych codziennych spraw.

Nie spierał się wcale z tym poglądem. Jednocześnie jednak, w miarę jak upływały kolejne miesiące, nabierał coraz mocniejszego przekonania, że Szkocja nie powinna stać się kolonią angielską, że zasługuje na lepszy los. Była krajem jedynym w swym rodzaju, tak samo jak i jej mieszkańcy, a któż dał prawo wujowi i osobom z jego kręgu do wyrokowania, co jest najlepsze dla wszystkich? Anglicy w przeszłości długo walczyli, broniąc się przed inwazją ze strony Francji i Hiszpanii - zwycięstwo któregośkolwiek z tych państw zmusiłoby ich do zmiany własnego sposobu życia i narzuciłoby obce rządy. Dlaczego więc teraz uważają, że mają prawo panoszyć się i dyktować Szkotom, Irlandczykom i Walijczykom, jak mają postępować, do kogo się modlić, jak się ubierać i jakim językiem mówić?

Douglas zdawał sobie sprawę, że to są buntownicze myśli, ale z drugiej strony czy można nazywać buntem dumę, honor i pragnienie wolności?

Pociągnął gwałtownie za cugle i nawet nie zdawał sobie sprawy, dokąd jedzie, póki nie znalazł się na końcu Church Street. Tam, z dala od drogi, mrugały ku niemu zza drzew światła w oknach Drummuir Mouse. Wdowa będzie wiedziała, co robić. Będzie wiedziała, jak wysłać wiadomość do Anne.

Spiął konia ostrogą i ruszył naprzód. Wyjaśniwszy odźwiernemu w liberii, że powodem jego nieoczekiwanej wizyty jest coś bardzo pilnego, został wprowadzony po schodach do prywatnego salonu lady Drummuir. Musiał czekać około dziesięciu minut, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, ale w końcu usłyszał szelest jedwabnych halek i gdy odwrócił się od okna, został powitany przez panią domu. Wdowa miała na sobie bombazynową suknię z trenem, jej głowę osłaniał czepek z czarnej koronki z perełkami, a na jej twarzy nie dałoby się dostrzec nawet cienia uśmiechu.

- A więc? - Gospodyni nie traciła czasu na uprzejmości. - Sądzę, że miał pan poważny powód, by przerwać mi kolację, młody człowieku. Zupa mi stygnie, musiałam też polecić, by wstrzymano się z podaniem tortierre z łososia, co nie zachwycało kucharki, która bardziej się troszczy o swoje garnki i patelnie niż o własne dzieci.

- Proszę mi wybaczyć, lady Drummuir, ale nie wiedziałem, do kogo poza panią mógłbym się udać. Nie znam nikogo innego, kto mógłby mi pomóc.

Twarz lady Drummuir wyraźnie złagodniała.

- Dobry Boże, chłopcze, dygoczesz jak liść na wietrze. Usiądź... nie, nie tutaj... zbliż się do kominka. Aggie, przynieś nam wina, a potem odejdz.

Służąca, która weszła za panią do salonu, wykonała polecenie. Kiedy wyszła, wdowa skinęła na Douglasa, który tak rzeczowo, jak potrafił, zrelacjonował rozmowę zasłyszaną w biurze lorda Loudouna.

- Jestem oburzony, że mój stryj w ogóle rozważał możliwość aresztowania lady Anne. Przecież dał słowo honoru... - Nerwowo przeczesał dłonią włosy. - Nie, nawet więcej, złożył przysięgę, że gwarantuje bezpieczeństwo rodzinie lorda MacKintosh, a teraz...

- Gwarancje? On dał memu synowi gwarancje?

Douglas podniósł na nią wzrok.

- Gwarancje nietykalności, milady, na piśmie. Sam je widziałem, opatrzone urzędową królewską pieczęcią.

Wdowa odwróciła się i zapatrzyła się w ciemność za oknem.

- To wyjaśnia mi wiele rzeczy. Ten kompletny głupiec, dlaczego nam nic nie powiedział?

- Proszę, lady Drummuir, proszę mi powiedzieć, jak mogę pomóc. Wyjechałem z domu stryja i może pani mną rozporządzać.

Wdowa utkwiała badawcze spojrzenie niebieskich oczu w jego twarzy, zastanawiając się, czy jest rzeczą rozsądną zaufać siostrzeńcowi samego lorda przewodniczącego, bez względu na to, jak bardzo jest oczarowany jej synową. W końcu sięgnęła po dzwonek na stoliku i zadzwoniła tak głośno, że służąca pędem wpadła do salonu. Poprosiwszy o papier i pióro, wdowa napisała dwa listy. Jeden wysłała przez posłańca do Dunmaglass, drugi dała Douglasowi.

- To ci pozwoli dostać się do Moy Hall. Straże cię przepuszczą, gdy pokażesz to pismo, uzyskasz też dzięki niemu natychmiast audiencję u lady Anne. Powiedz jej, że posłałam po MacGillivraya, i jeśli nie jest już w pół drogi do Clunas, powinien przybyć nie później niż godzinę po tobie. Nie, nie mów jej tego jednak. Powiedz tylko, że posłałam mu wiadomość. Jedź na przełaj przez Meall Moor, grunt jest tam dość twardy, by cię utrzymać, a dotrzesz do Moy przed tym zapowietrzonym Blakeneyem. I pamiętaj, musisz być ostrożny, do diabła. Masz taką samą szansę, że cię zastrzelą w Moy jako szpiega, jaką miałeś, gdy przybyłeś tu z Fort George.

Anne była w salonie, gdy straż wprowadziła Duncana Forbesa. Twarz miał czerwoną od zimna, głowę odkrytą i został właściwie przyniesiony przez dwóch członków klanu; tak silnych mężczyzn jeszcze nigdy w życiu nie widział.

Anne była sama. Na stole przed nią leżały pistolety i muszkiety wraz z narzędziami niezbędnymi do ładowania i podsypywania prochu. Notatka napisana przez wdowę leżała obok beczułki z prochem. Gdy wprowadzono Forbesa, Annę podniosła wzrok, nie przerwała jednak swojego zajęcia, tylko

dalej pakowała ołowianą kulę w lufę muszkietu zwanego Brown Bess i upychała starannie za pomocą żelaznego stempla.

- A więc przybył pan. żeby nas ostrzec o zasadzce, tak?

Douglas z trudem przełknął ślinę. Dwaj barczyści górale wciąż stali po jego bokach, a twarze ich były równie groźne jak muszkiety, które mieli zawieszane przy piersi.

- Spóźnił się pan jakieś dwadzieścia minut - powiedziała, nie czekając na jego odpowiedź. - Jeden z chłopców z miasta podsłuchiwał pewne szepty i przybiegł prostu tutaj z nowiną. Zdołaliśmy poderwać księcia z łóżka i pan Hardy poprowadził go, a także parę innych osób, wyżej w góry. Czy potrafi pan naładować pistolet?

- Ja... tak. Tak, oczywiście.

Wskazała mu kilkanaście muszkietów o niegwintowanych lufach, poukładanych na stole razem z prochem, puszką naboju i pasem jedwabiu, który miał być podarty na przybitki.

- Obawiam się, że w tej chwili mamy więcej broni palnej niż ludzi, którzy mieliby z niej strzelać, ale lepiej mieć wszystko przygotowane.

- A więc to prawda, milady? Jest pani tu bez ochrony?

- Moi krewniacy, Robbie i Jamie, poszli zbadać drogę i zabrali ze sobą kowala i trzech jego terminatorów jako wsparcie. Jest tu około tuzina chorych i rannych, którzy nie mieli siły ruszyć do Lochaber ze swoimi klanami, ale przykuśtykali tu co do jednego, upierając się, że mogą się przydać. Mamy też garstkę służących, którzy może raz czy dwa w życiu czyścili broń, no i dwie pokojówki pochodzące z rodziny kłusowników.

Odłożyła muszkiet i wzięła następny, postawiła lufą do góry, odmierzyła proch z baryłki, dodała pakuły i kulę, a potem upchnęła wszystko na miejsce.

Włosy opadały jej luźno na ramiona, gdy się tak uwijała, i chwyciły isierki światła z dwudziestu świec, które ustawiono łukiem wokół stołu, aby było na nim jasno jak w dzień.

- Zagapił się pan, panie Forbes.

Wyjął jeszcze jedno przeproszenie i szybko sięgnął po dwulufową rusznicę.

- Po prostu w głowie mi się nie mieści, że tak mało ludzi zostawiono, by czuwali nad bezpieczeństwem księcia. Gdzie jego armia? Co za szaleniec posłał ją do Lochaber?

- Tym szaleńcem był sam książę - powiedziała, krzywiąc się. - Ale jestem ciekawa, kto namówił pana do przyjechania tutaj dziś wieczorem, Douglasie. Szaleństwo z pewnością nie jest zaraźliwe.

- Nie podjąłem tej decyzji naprędce, pod wpływem chwili, milady. Myślę, że memu sercu była zawsze bliższa niepodległa Szkocja niż przyjemność kłaniania się dworowi króla Jerzego. Żałuję tylko jednego - że czekałem z tym tak długo.

- Cóż, na pewno wkrótce nadrobi pan brak sińców i złoży ofiarę krwi - powiedziała wesoło. Podniosła kurek ostatniego muszkietu, by sprawdzić, czy się nie zacina, a potem dała znak dwom góralom. Ci zgarnęli naładowaną broń i poszli za nią przed dom, gdzie Ferchar Farquharson siedział na odwróconym wiadrze i wydawał rozkazy mężczyznom i kobietom, którzy podchodzili po dwoje lub troje i pytali, co mają robić.

Znalazłszy się w kręgu światła pochodni, Anne rozejrzała się wokoło.

- Jak tam, dziadku? - zapytała. - Ilu się doliczyłeś?

- Mamy dwunastu ludzi na drodze z Jamiem i Robbiem, drugie tyle czy coś koło tego w zaroślach przy drodze, i może tyle samo w domu i na dachu. Połowie z nich prędzej się uda samego siebie postrzelić, niż trafić żołnierza w ciemności.

Anne pochyliła się i pocałowała go w pomarszczone czoło.

- Może lepiej wejdz do środka i schowaj się za barykadami, gdzie możesz ich pilnować, by taka rzecz się nie przytrafiła.

- Phi! Nie boję się żadnego cholernego żołnierza Sassenachów. Zostanę tutaj, nie przejmuj się, i zobaczysz: ani jednego nie przepuszczę. Ani jednego.

- Tak - przyznała Anne ponurym tonem. - Nawet gdyby był po naszej stronie.

- Wtedy było ciemno! - oświadczył - A tamten człowiek wyglądał jak przeklęty Sassenach.

- Porucznik Peters jest przeklętym Sassenachem - powiedziała Anne łagodnie. - I przecież dziadziu rozpoznałeś go łatwo po południu, kiedy ci

przyniósł torebkę daktyli w cukrze. A wieczorem, kiedy zgłosił się na ochotnika do pomocy, o mało nie stracił ucha.

Douglas Forbes spojrział na nią znowu nieprzytomnym wzrokiem.

- Pani powiedziała... Peters? Porucznik Jeffrey Peters?

- Tak. Pan go zna?

- Nie, ale najwyraźniej zna go pułkownik Blakeney. Powiedział, że ma szpiega w bliskim otoczeniu księcia i twierdził, że jest nim porucznik Jeffrey Peters i że od niego się dowiedział, że dom pozostanie dziś w nocy bez ochrony.

- No i proszę - sarknął Fearchar. - Powiedziałem ci, że nie ufam temu hyclowi. Nie ufam tym kosym oczom ciągle spoglądającym na żonę Camshroinaich Dubha, jakby chciały zlizać z niej skórę aż do kości. Gdzie on jest? Gdzie ten drań, już ja mu pokażę!

Anne spojrzała w ciemność, ku wysokim poszarpanym szczytom wznoszącym się nad wierzchołkami sosen.

- Dobry Boże, on jest razem z nimi. Razem z księciem, Catherine i innymi.

Fearchar zerwał się na nogi.

- No to nie stój tak jak słupek, dziewczyno! Zabierz parę koni. I paru ludzi...

Dalsze rozkazy dziadka zagłuszył nagle odgłos wystrzałów dobiegający gdzieś z dala. Najpierw padały pojedynczo, potem przeszły w salwy, które odbijały się echem od zboczy na całej długości doliny.

- To Anglicy - zaparło dech Annę. - Już tu są.

John MacGillivray potarł dłonią kark, ale drażniące świerzbie nie ustępowało. Gdyby było lato, podejrzewałby, że jakiś owad wpełznął mu za kołnierz i rozkoszuje się ciepłem ludzkiego ciała, ale teraz mieli sam środek zimy i nawet wszy były zbyt przemarznięte, żeby atakować. John wyciągnął cygaro i przyglądał się resztkę królewskiego bydła stłoczonej w wąskiej rozpadlinie. Po drugiej stronie doliny utworzyło się naturalne zamknięcie szerokiej trawiastej niecki otoczonej gołymi kamiennymi ścianami, zbyt stromymi, żeby bydło mogło się wspiąć. Niezliczone stada zrabowane przez niezliczone pokolenia MacGillivrayów i MacBeanów ukrywano tutaj razem ze skrzyniami nieoclonego frachtu i czarnorynkowych towarów dostarczonych przez przemytników.

John przez lata zebrał małą fortunę, powiększając majątek odziedziczony po ojcu i dziadku. Był jednak zapewne pierwszym rozbójnikiem, który miał sumienie, bo nie żałował, że to bydło ostatecznie wyżywi armię księcia, a on będzie miał szczęście, jeśli za zapłatę doczeka się życzliwego uśmiechu.

Ale ile fortun może wydać w ciągu jednego życia człowiek o skromnych potrzebach? Ma pod sobą dobrego konia, na grzbiecie ciepły przyodziewek, pełny brzuch i dach nad głową, a do tego jeszcze prawo robienia, co mu się podoba. Czego mógłby jeszcze potrzebować, czego jeszcze chcieć?

Twarz dzikiej Rudej Annie stanęła mu nagle nie wiedzieć czemu przed oczyma i mocniej zacisnął cygaro w zębach.

Poprzysiągł sobie nie myśleć o niej i, na Boga, dotrzymał tego. W istocie miał zamiar skończyć tutaj z bydłem i pojechać wprost do Clunas. Jeśli koń nie złamie karku na zamarznętej dziurze w bagnie, dojedzie tam do rana, a nim nadejdzie południe, jeśli szczęście mu dopisze, nogi Elizabeth owiną się wokół jego pasa i ona będzie mu pomagała zapomnieć, że on kocha żonę innego mężczyzny.

Gdyby... Czy nie to powiedziała Anne? Gdyby tylko spotkał najpierw Elizabeth, pełną życia, często śmiejącą się, ciemnowłosą i piękną, której ciało dawało mu tak ogromną rozkosz... Podobnie jak on, nie lubiła gry i udawania, dlatego też zazwyczaj po pierwszej godzinie przebywania razem nie mieli na sobie ubrania. Wiedział, że Elizabeth go kocha. Był jej pierwszym i jedynym kochankiem i zawstydzalo go, że tyle czasu czekał, żeby pomówić z jej ojcem. Na co czekał - na cud?

Elizabeth będzie doskonałą żoną, urodzi mu pięknych synów, a on nigdy nie da jej powodu wątpić, że jest najważniejszą kobietą w jego życiu. Jedyłą kobietą w jego życiu. Bo będzie nią.

- John! Hej, John!

Zmarszczył brwi, obejrzał się przez ramię na odgłos podków i po zwałistym torsie i niskiej sylwetce w siodle rozpoznał Gilliesa MacBeana.

- Gillies, przecież ci powiedziałem, żebyś zabrał ludzi do Moy Hall. Dlaczego, u diabła, zawróciłeś?

- Ano dobrześ rzekł. - Gillies dysząc ciężko, przyciągnął węzeł cugli do piersi, jego koń przystanął i poślizgnął się na lodzie. - Diabeł w tym maczał palce. Diabeł o nazwisku Blakeney. Wyprowadził cały przekłety garnizon z przekłatego Fort George i ruszył na Moy Hall. Ma zamiar wziąć księcia przez zaskoczenie.

Gillies jeszcze łapał powietrze ustami, ale MacGillivray już wbił pięty w boki konia i ruszył z kopyta z powrotem na przełaj przez wrzosowisko. Ryk wściekłości przypominający grzmot wyrwał mu się z gardła, strasząc ludzi, którzy pędzili bydło, i sprawiając, że większość z nich przerwała swoje zajęcia i ruszyła za nim.

Byli oddaleni o pół godziny drogi od Dunmaglass i drugie pół od Loch Moy.

MacGillivray ryknął raz jeszcze i położył głowę na szyi ogiera. Jego jasne włosy powiewały jak druga grzywa.

Ludzie pułkownika Blakeneya od samego początku byli mocno zdenerwowani. Wszyscy słyszeli plotki o ogromnej armii jakobitów zstępującej z gór ku Inverness, ale żaden z nich nie wierzył, że tak świetny głównodowodzący jak lord George Murray, mógłby zostawić księcia samego, bez ochrony, w wiejskim majątku, piętnaście kilometrów od sporego garnizonu oddziałów rządowych. Niektórzy z żołnierzy byli z Cope'em pod Prestonpans i znali z własnego doświadczenia przebiegłość szkockich górali. Wiedzieli, że jeśli meldunek mówił o setce Szkotów na drodze, to zwykle jest ich tam tysiąc. Jeśli mówił, że są w Edynburgu, mogli równie dobrze szturmować bramy Londynu. Lord George był mistrzem zwodzenia i znakomitym strategiem, a jego ludzie gotowi byli pójść za nim choćby do piekła. Co więcej, nie walczyli jak porządni żołnierze. Czaili się za drzewami i przykucali w gąszczu; czatowali w ciemności i mgle, a potem wyskakiwali, wrzeszcząc, nie wiadomo skąd, a wielkie przekłete szerokie miecze wymierzali prosto w serce.

Połowę ludzi Blakeneya stanowili Anglicy. Ci źle znosili zimno i wilgoć; uważali, że jedzenie jest wstrętne i że ludzie w mieście niewiele mniej różnią się od barbarzyńców niż dzikusy, przeciw którym kazano im walczyć. Druga

połowa to byli Szkoci; wielu spośród nich powołali do służby ich wodzowie popierający monarchię hanowerską, oni sami jednak niechętnie stawali do walki z własnymi krewnymi. Takie nazwiska jak Cameron i MacDonald brzmiały dla tych ludzi szczególnie groźnie; wiedzieli, że ci pełni zapалу wojownicy będą najzacieklej gromić górali noszących czarne kokardy, i nie okażą im żadnej litości.

- Dlaczego zatrzymaliście kolumnę? - spytał Ranauld MacLeod. Podobnie jak ojciec miał twardą, surową twarz i z trudem unikał szyderczego tonu, gdy zwracał się do angielskich oficerów. - Zobaczyliście w krzakach jakieś upiory?

Niektórzy ze Szkotów roześmieli się, chociaż słysząc, że ktoś kpi z duchów i widm, poczuli się niepewnie. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i noc była czarna jak grzech, choć ziemię pokrywała cienka skorupa śniegu. To samo słońce, które grzało ich w ciągu dnia, stopiło czapy śniegowe na czubkach drzew, tak że las otaczający Ich z obu stron przypominał dwie jednolite czarne ściany, za którymi wciąż coś szeleściło i poruszało się. Gałązki trzaskały, mgła ześlizgiwała się z jednego konaru na drugi. Żołnierze prowadzący kolumnę nieśli osłonięte latarnie, lecz ich blask nie sięgał dalej niż na trzy metry w każdą stronę krętej drogi. Ludzie posuwający się z tyłu nie widzieli nic prócz ciemności i musieli ufać, że ci na czele nie prowadzą ich prosto ku brzegowi urwiska.

- Powinniśmy już dochodzić do rozwidlenia; obie drogi prowadzą do Loch Moy - powiedział Blakeney. Jego donośny głos słychać było wyraźnie w tej ciszy. - Proponowałbym, żebyśmy się rozdzielili na dwie kolumny, a potem połączyli siły i uderzyli razem na Moy Hall.

- Dobrze. - MacLeod zadarł głowę, przysłuchując się, jak echo słów pułkownika niesie się z jednego końca kolumny na drugi. - Niech dobosze uderzą w bębny, kiedy już o tym mowa; może jeszcze ktoś nie dosłyszał, że nadchodzimy.

Blakeney zignorował jego przytyk.

- Sprawdźcie proch na panewkach, panowie. Upewnijcie się, czy ładunki są suche.

Rozkaz ten był czymś zupełnie zbędnym, bo wśród tysiąca pięciuset ludzi nie było ani jednego takiego, który by nie sprawdził po dwakroć swojej broni. Dłonie mogły im zwilgotnieć, a języki zaschnąć z braku śliny, ale broń żołnierza to było jego życie, i gdyby stanął do bitwy nieprzygotowany, musiałby z tym życiem się rozstać.

Coś - lub ktoś - wrzasnęło na samym przedzie pochodu. Wszelkie prowadzone szeptem rozmowy ucichły jak ucięte nożem i tysiąc pięćset par oczu wpatrzyło się w ciemność, by dojrzeć coś przed sobą. Wrzask się powtórzył, tym razem dało się go rozpoznać - to był ludzki głos.

- Rebelianci! Są przed nami! Siedzą za drzewami i w krzakach! - Zwiadowca z przedniej straży z jednego ze szkockich regimentów wyłonił się z mroku, zataczając się na nogach. Zgubił gdzieś beret i włosy opadały mu na twarz w dzikim nieładzie. - Oni są wszędzie, pułkowniku, i szykują się do ataku. To pułapka! Wpadliśmy w pułapkę!

Wśród żołnierzy zapanowało podniecenie. Stłoczyli się ciasniej i wyceLOWALI muszkiety w czarną ścianę lasu.

- Stać w szyku! - wrzasnął Bakeney. - Ilu ich jest. niech cię licho! Przednia straż? Kompania? Pułk?Gadaj, kapralu, co widziałeś?

- Nie wiem, ilu, pułkowniku. Byli wszędzie naokoło. Roili się w drzewach, jak cholerne muchy w czerwcu, ale po cichu. Chyba szykowali zasadzkę. Już zabili Jakobsa, poderżnęli mu gardło, jakby to był poleć słoniny, i to samo by zrobili ze mną, gdybym się trochę wolniej ruszał.

Dwieście metrów przed nimi, Robbie Farquharson zgodnie ze wskazówkami przerażonego "kaprala" wystrzelił w powietrze z pistoletu. Kował i jego dwaj czeladnicy pozli za jego przykładem, podobnie jak inni ludzie rozstawieni wzdłuż bnegu zarośli. Strzelali, na nowo ładowali broń i biegali od krzaka do krzaka, by stworzyć złudzenie, że jest ich więcej, przez cały czas wrzeszcząc przeraźliwie i wykrzykując nazwy klanów, rozkazy, drąc się na niewidocznych kanonierów, by szykowali działa.

- Wszehmocny Jezu! - wrzasiał "kapral" Jamie Farquharson, ściągając cugle konia Blakeneya. - To sam Lochiel! Czekali na nas! Te sukinsyny na nas czekały! Zasadzili się!

- Czekali na nas! - MacLeod jak echo powtórzył okrzyk, a brzmienie jego głosu świadczyło, że udzeliła mu się panika Jamiego. Wyciągnął swój pałasz i zaklął po gaelicki. - Czekali, żeby nas złapać w naszą własną pułapkę.

Koń Blakeneya stanął dęba - nic dziwnego, Jamie dźgnął go sztyletem w kłęb. Kula z muszkietu śwfetnęła koło nogi pułkownika i trafiła w szyję jednego z piechurów. Ten zatoczył się w tył, obryzgując krwią swych towarzyszy, a jego wrzask przeszedł w chrapliwe gulgotanie. Kolumna zaczęła pękać i cofać się. Kule coraz częściej gwizdały żołnierzom koło ucha, wreszcie nie wyrzymali, zawrócili jak ławica rybek i popędzili drogą z powrotem.

- Zawracać! - krzyknął Blakeley. - Strzelajcie do nich i, na miłość boską, nie pozwólcie, by nas otoczyli!

- Zawracać! - wrzeszczał Jamie. - Zawracać! Biegiem, sukinsyny! Biegiem, z powrotem do Inverness!

Palba nie ustawała, kilkunastu dzielnych mężczyzn udawało skutecznie potężny oddział. Ich zapał podtrzymywali szaleni bliźniacy z Monaltrie, którzy ścigali umykających w rozsypce Anglików, dopóki nie wystrzelali wszystkich naboju. To był szalony pomysł, zrodzony z desperacji i nikt nie miał złudzeń że udało się na dłużej oszukać wroga. Należało się spodziewać, że za pierwszym zakrętem drogi pułkownik i jego żołnierze zdadzą sobie sprawę, iż żadna armia ich nie ściga, a gdy to nastąpi zawrócą, by się zemścić, ale w każdym razie Anne zyskała trochę czasu i mogła pomóc księciu ukryć się w bezpiecznym miejscu.

Robbie stał na środku drogi, chwiejąc się na nogach. Jamie znajdował się przy nim i zdierał z siebie szkarłatną tunikę, którą ściągnął ze zwiadowcy, przyłapanego w krzakach przez kowala, Colina Frasera. Nieszczęsny kapral i żołnierz z przestrzelonym gardłem byli jedynymi ofiarami, dopóki Jamie nie zamachnął się i nie wymierzył bratu ciosu w szczękę, powalając go na ziemię.

- To mnie mogłeś zastrzelić, ty przeklęty głupi żebraku!

Robbie nie przejął się tym wcale. Nie wstał, ukląkł na drodze. Jego brat bliźniak po chwili ukląkł obok niego i na przeprosiny uściśnął go jak niedźwiedz, a potem obaj zaczęli się modlić do wszystkich bogów, jacy istnieją, żeby mieli ich w swojej opiece, gdy Anglicy zawrócą.

Kiedy kwadrans później nadjechała Anne, jej krewniacy wciąż jeszcze stali na drodze wraz z gromadką innych mężczyzn. Nie modlili się już, tylko się śmiali serdecznie.

- Uciekli? Jak to uciekli?

- Przysięgam. Annie, że uciekli - powiedział Jamie, łapiąc z trudem oddech. - Jeden z naszych chłopców poszedł za nimi i mówi, że biegli cały czas, dopóki się nie znaleźli na głównej drodze. Te głupki zwyczajnie zawróciły, zwiały! Myśmy tylko postrzelali z naszej broni, trochę pokrzyczeliśmy, wy wrzeszczeliśmy parę nazwisk, a oni zmykali, jakby ich ścigały furie.

Anne utkwiała wzrok w mroku otulającym drogę. Nie było nic widać ani słyszeć. Księżyc właśnie zaczął zachodzić za dalekie szczyty gór, srebrząc najwyższe gałęzie drzew. W mglistym powietrzu unosił się jeszcze zapach prochu.

- Nie mogę wciąż uwierzyć, że tak po prostu odeszli - powiedziała i ledwie wypowiedziała te słowa, usłyszała stłumiony tętent kopyt. Odwróciła się gwałtownie w siodle. Tętent zbliżał się nie od strony drogi do Inverness, ale od strony wrzosowiska!

- Otoczyli nas! - wydała stłumiony okrzyk Anne. - Zaszli nas od tyłu!

Robbie kazał ludziom rozproszyć się w gąszczu, obawiając się tego, co było najbardziej prawdopodobne: że Blakeney podzielił swe siły i że teraz nadchodziły posiłki.

- Nie mamy już prochu ani kul - powiedział Jamie. - Jeśli to Anglicy, przepadliśmy z kretesem. Ruszaj, Annie. Lepiej wjedźmy do lasu, nie stójmy tak na widoku.

Odrobinę za późno przyszło mu to do głowy. Ledwie Anne zdążyła spiąć konia ostrogą, kiedy z ciemności wypadli jeźdźcy. Nadjeżdżali ze wszystkich stron, od drogi, z lasu, a było ich chyba ze stu, wszyscy z muszkietami wypierali z krzaka grupkę pierwszych obrońców.

Ale ludzie Anne nie padali na ziemię ze strachu, lecz tańczyli z radości, a ona sama doznała kolejnego wstrząsu, rozpoznawszy ze zdumieniem potargane płowe pukle Johna MacGillivraya, który ściągnął cugle swego rumaka tuż przy niej tak gwałtownie, że koń stanął dęba.

- Usłyszeliśmy strzelaninę - powiedział John. - Widzieliśmy, jak czerwone kubraki biegną stąd drogą i pomyśleliśmy, że może przegapiliśmy bitwę. Czy to lord George wrócił?

Anne nie była w stanie nic odpowiedzieć, patrzyła tylko na niego i na jego ludzi wyłaniających się z mroku.

- Nie - zdołała wykrztusić - to tylko my, no i teraz ty.

- A książkę?

Gdy tylko świadomość, że zagrożenie minęło, zaczęła docierać do Anne, przypomniała sobie ostrzeżenie Douglasa Forbesa dotyczące młodego żołnierza angielskiego, który zgłosił się na ochotnika, by eskortować Karola Stuarta w góry. Opisał w paru słowach nowe niebezpieczeństwo MacGillivrayowi, zatoczyła koniem koło i puściła Bruce'a galopem z powrotem do Moy Hall. Zanim przebyli dolinę i uformowali uzbrojone grupki gotowe do wyruszenia w góry, Karol Stuart we własnej osobie wjechał konno na rozjaśnioną światłem pochodni polaną.

Był blady na twarzy jak śmierć, ale nie doznał żadnych obrażeń. Nie można było tego samego powiedzieć o Robercie Hardym, którego ciało, owinięte w tartan, zwisało z siodła księżęcego konia.

- Co się stało? - zapytała Anne, a łzy dusiły ją w gardle, gdy patrzyła, jak to ciało składano delikatnie na ziemi.

- Rzucił się, żeby przyjąć kulę przeznaczoną dla mnie - powiedział książe, trzeźwy i pełen pokory pierwszy raz od wielu tygodni. - Niech pani będzie pewna, że za jego męstwo i szlachetną ofiarę niewart jej książe zachowa w sercu dozgonną wdzięczność wobec niego i pani.

Anne nie wiedziała, gdzie ma patrzeć i co powiedzieć. Kiedy zerknęła za plecy księcia, oczy jej znów rozwarły się szeroko. Książe odwrócił się, poszedłszy za jej wzrokiem, i skinął głową.

- Tak, jeszcze i to. Lady Catherine też została raniona w starciu, ale żyje. Jest ranna w ramię, a jej brat...

Damien Ashbrooke przejechał szybko obok nich, nie pozwalając księciu ani nikomu innemu wstrzymać go w zamiarze przeniesienia siostry jak najszybciej do domu. Catherine siedziała przed nim na siodle, wsparta o jego pierś, z twarzą bladą jak światło księżycy, z bezwładną, zakrwawioną ręką spoczywającą na kolanach. Tego było już za wiele dla Anne.

Wstrząsnęła nią fala mdłości i musiała krótko ściągnąć lejce Bruce'a, by się nie stoczyć na kolana w śnieg. Była wdzięczna losowi, że ma u boku solidną podporę w osobie MacGillivraya, bo tylko jak przez mgłę widziała księcia opowiadającego Johnowi i reszcie, jak dotarli do bezpiecznego schronienia w jaskiniach wysoko w górze, tylko po to, by odkryć wśród siebie zdrajcę i szpiega. Kapral Peters szykował się zabić księcia i pewnie by mu się to udało, gdyby nie przeszkodził w tym Hardy i gdyby Damien Ashbrook nie stoczył ze zdrajcą śmiertelnej walki, zrzucając jego ciało z krawędzi stromego, skalistego urwiska.

Anne poczuła się, jakby sama stała na skraju przepaści. Mdłości i wrażenie, że stoi nad otchłanią, nasilały się z każdą chwilą, zamiast ustępować, a teraz doszedł do tego jeszcze prąd gorąca między udami.

- Co z tobą, dziewczyno?

Próbowała zatrzymać wzrok na twarzy Johna, ale on ciągle się poruszał. Chwiał się to w jedną to w drugą stronę, rozszczepiał na dwoje, a potem na czworo. I właśnie, gdy miała krzyknąć do niego, żeby skończył te żarty, on

wyciągnął ręce i uderzył ją mocno w brzuch. Cios pozbawił Anne powietrza w płucach i zgięła się wpół z bólu. Słyszała, jak ktoś krzyczy i czuła, jak ręce wyciągają się, by ją schwycić, ale właśnie wtedy, gdy spadała, walcząc z mroczkami, które jej latały przed oczyma, ujrzała czerwoną plamę krwi rozszerzającą się na spodnie od krocza.

21

Moy Hall szybko przybrało wygląd warownej fortecy; we wszystkich oknach płonęły światła, na dworze gorzały ustawione co trzy metry pochodnie. Patrole ludzi MacGiilivraya przemierzały dolinę, drogi i zalesione zbocza. Porozpalano ogniska, by stworzyć iluzję obozu pełnego wojska, a ci, którym nie przydzielono innych zadań, czuwali na stanowiskach obserwacyjnych, gotowi wszcząć alarm, gdyby choć mysz pojawiła się w pobliżu Loch Moy.

Ale to nie myszy, lecz ludzie przybyli o świcie: lord George Murray nadjechał z przednią strażą swojej armii. Gdy usłyszał o zdumiewającej rejteradzie tysiąca pięciuset rządowych wojaków przed garstką górali z klanów i służby domowej, postanowił przewieźć księcia natychmiast do opuszczonego i łatwiejszego do obrony Culloden House, który obsadził trzema tysiącami swych żołnierzy. Nie zamierzał nawet wdawać się w jakąkolwiek dyskusję z samym księciem w tej kwestii, a ten ostatni tym razem nie próbował w ogóle spierać się z głównodowodzącym swej armii.

Kiedy odjeżdżali z Moy Hall, nie było na wzgórzu amazonki, nikt nie machał do nich ręką na pożegnanie. Tylko wiatr wył głucho nad nimi, a wyblakłe szare niebo świadczyło o tym, że długi dzień przechodzi w noc.

Do uszu Anne dobiegły stłumione szepty. Jeden z głosów należał do jej pokojówki, Dreny, która mówiąc, pochlipywała. Drugiego Anne nie potrafiła na razie rozpoznać, ale dziwnie znajoma melodia irlandzkiej piosenki zaczęła się jej z czymś kojarzyć.

- Chyba się budzi.

Ten głos był całkiem znajomy i obudził w niej chęć przewyciężenia żelaznego ucisku, który przygniatał jej powieki.

- Tak, przychodzi do siebie - powiedział MacGillivray, pochylając się naprzód w fotelu. - Skończ tę kocią arię, dziewczyno, i przyprowadź doktora.

"Doktora? Kto potrzebuje doktora?"

- John?

- Jestem, dziewczyno. Tak, to ja. Jestem przy tobie.

Wyglądał okropnie. Włosy sterczały mu sztywno w żółtych kępkach, na policzkach miał kilkudniowy rudawoblond zarost, a białka oczu bardziej pożyłkowane niż ściana bluszczu.

Anne próbowała zwilżyć wargi, ale nie miała dosyć śliny. Chwilę później przyciśnięto jej do ust zimną, wilgotną szmatkę i z wdzięcznością pozwoliła, by płyn sączył jej się kroplami na język i do gardła.

- Nie próbuj jeszcze mówić, dziewczyno. Drena poszła po doktora.

Anne spojrzała nań trochę nieprzytomnym wzrokiem - w głowie jej się kręciło i czuła gwałtowne pulsowanie w skroniach.

- Dlaczego - wyrzuciła z siebie, z trudem chwytając oddech - mnie uderzyłeś?

- Ja cię uderzyłem? O nie, dziewczyno. Kiedy krzyknęłaś, jakby ktoś cię rozłupał na dwoje, zobaczyłem tylko, że zgięłaś się wpół i nie masz dość przytomności, by powiedzieć, co ci jest. A potem zobaczyłem tę całą krew... - wzruszył bezradnie ramionami, jak czynią to z reguły mężczyźni, gdy dotkną pewnych tematów. - Wniosłem cię do domu i leżysz tak od tego czasu, nawet ani razu nie mrugnęłaś powieką.

- Od jakiego czasu?

- Od czterech dni. - Zmarszczył brwi i zastanawiał się przez chwilę. - Tak. Czterech dni.

- I przez te wszystkie dni pan MacGillivray nie odstępował od pani łóżka - odezwała się Deirdre MacKail. Stała za Johnem, prawie zasłonięta jego szerokimi barkami, i Anne zdała sobie sprawę, że to ona była tą osobą, której głos słyszała i która próbowała pocieszyć chlapiącą Dreń.

- Czyja umieram?

- Na pewno nie, dopóki ja mam coś do powiedzenia - burknął Mac-Gillivray. - Wybij to sobie z głowy.

- C-co mi się stało?

John zawahał się i Anne zauważyła, jak wymienia spojrzenia z Irlandką.

- Może lepiej zaczekaj na doktora. On jest tu obok w pokoju lady Catherine.

- Proszę cię, John. Ty mi powiedz.

Ujął jej dłoń w swoją i delikatnie pogłaskał kciukiem.

- Straciłaś dziecko, dziewczyno - powiedział spokojnie. - Poroniłaś.

- Jak to poroniłam? Przecież ja wcale nie byłam...

- Ależ byłaś. Od jakichś dwóch miesięcy, jak doktor oblicza.

Anne poczuła, że krew odpływa jej z głowy. Od dwóch miesięcy brzemienna? To ona była brzemienna od dwóch miesięcy?

Dwa miesiące temu jeździła po okolicy, zbierając podpisy pod petycją, która miała dać jej zwierzchnictwo nad klanem. Jeździła do Aberdeen w okropną dżdżystą pogodę, potem do Falkirk...

Falkirk, dobry Boże. Wpadła na pole bitwy jak mściwa walkiria, w ogóle nie wiedząc, nawet nie podejrzewając... A potem, ta jazda w lodowatym chłódzie przez góry...

Jak, doprawdy, małeńkie dzieciątko mogło przeżyć to wszystko?

Przekręciła głowę na bok i utkwiała niewidzące oczy w cieniach przy łóżku. Leżała w łóżu Angusa, w jego pokoju, a zapach drzewa sandałowego wydał się jej nagle dziwnie duszący. Chwyciła powietrze ustami i próbując powstrzymywać łzy i jakoś poradzić sobie z narastającym uczuciem wstydu i poczuciem winy - zacisnęła pięść tak mocno, że John z kolei zacisnął zęby, gdy jej paznokcie wbiły mu się w ciało.

- Sprawdź, co zatrzymało doktora - mruknęła Deirdre, dotykając jej ramienia. - Kiedy przyjdzie, powinien pan wyjść na chwilę i pozwolić mu się zająć chora.

- Nie! - krzyknęła Anne. - Nie, proszę. Nie zostawiaj mnie, John. Proszę, nie wychodź.

Nieszczęśliwe, wypełnione łzami oczy poszukały jego oczu i Anne wyciągnęła ku niemu osłabłe ramiona. MacGillivray pochylił się i łagodnie przytulił ją do piersi. Szeptał jej imię i zanurzał usta w jej szyi, włosach, w odurzającej fali jej zapachu; przyciskał ją do siebie tak mocno, że krew pulsowała mu w uszach.

- Nigdzie nie odejdę, dziewczyno, przysięgam. Zostanę tu przy tobie, jak długo będziesz mnie potrzebować.

- Angus! - krzyknęła głosem łamiącym się od płaczu. - Ach, Angus, wybacz mi!

MacGillivray otworzył oczy... potem znów je powoli zamknął, zaciskając mocno powieki, by nie wymknęła mu się spod rzęs choćby najmniejsza słona drobinka. Trzymał ją i gładził dłonią po rudych, splątanych włosach, delikatnie kołysał i koił, póki szloch nie przestał nią wstrząsać i nie przeszedł w urywane jęki. Tymczasem doktor stanął przy łóżku i John niechętnie powierzył chorą jego opiece.

- Już dobrze, dziewczyno - szepnął, przyciskając wargi do jej ucha. - Wszystko będzie dobrze, dopilnuję tego. Przyszedł doktor i czeka tutaj. Pozwól mu złagodzić twój ból. Da ci coś, żebyś znów usnęła, a kiedy się obudzisz, będzie ci dużo lepiej. Daję ci na to słowo, ręczę moim imieniem i honorem.

- Nie zostawisz mnie?

- Będę nie dalej niż na uderzenie serca, dziewczyno. Nie dalej, nie bliżej.

Angus przetarł oczy, czując piasek pod powiekami. Nie był pewien, jaka to pora, ale domyślał się, że jest sporo po trzeciej nad ranem. Pracował przy świetle jednej świecy, przepisując liczby, nazwy regimentów, nazwiska dowódców, dane dotyczące zaopatrzenia i uzbrojenia. Było to raczej ćwiczenie,

które uprawiał, by nie oszaleć, bo nie miał pojęcia, komu mógłby przekazać wiadomości teraz, kiedy kilkaset kilometrów dzieliło go od Adrienne de Boule. W Edynburgu to ona była jego kontaktem i ona właśnie przemycała pakiety dokumentów, które kopiował lub wykradał z głównej kwatery Cumberlanda.

Kwaterę przydzielono mu w tym samym domu, w którym stacjonował przed fatalnym wypadem do Falkirk. Roger Worsham nadal mieszkał na drugim końcu korytarza, a Adrienne de Boule znów regularnie go odwiedzała. Podejmowała coraz większe ryzyko, przenosząc dokumenty pod gorsetem i przekazując je jakiemuś łącznikowi w mieście. W tygodniu poprzedzającym odpięcie Angusowi musiała dwukrotnie szukać nowych kanałów, gdy dotychczasowych łączników aresztowano. Miasto zmieniło się w jeden wielki garnizon, a na ulicach widziało się więcej żołnierzy niż cywilnych obywateli; wszyscy byli zniecierpliwieni złą pogodą, bezczynnością i poniżającymi represjami po klęsce pod Falkirk.

Co dzień kogoś wieszano, chłosty odbywały się prawie co godzina. W mieście zarządzono godzinę policyjną, która zaczynała się o zmierzchu; każdy napotkany na ulicach, cywilny obywatel czy żołnierz, podlegał aresztowaniu i karze.

Powrót Angusowi odbył się dość spokojnie i nie naraził go na szczególne represje; po prostu zameldował się w głównej kwaterze z resztą zwolnionych jeńców. Poddano go intensywnemu, blisko godzinnemu przesłuchaniu, dotyczącemu pobytu w obozie nieprzyjaciela w Falkirk. Prowadził go głównie ponury, zirytowany książę Cumberland, w asyście kilku wybranych, starszych rangą oficerów. W ich gronie znaleźli się między innymi Garner, Worsham a także nieszczęsny Blakeney, który dopiero później został wysłany na północ do Inverness. Obecny był również Hawley, ale przez większość czasu siedział w kącie, milczący i zapomniany.

Okragły, obrośnięty tłuszczem Cumberland miał za miesiąc obchodzić dwudzieste piąte urodziny. Ostatnie pięć lat spędził, walcząc w różnych wojnach w Europie i wyrobił sobie zasłużoną dobrą reputację. Miał precyzyjny, analityczny umysł stratega, cenił porządek, dyscyplinę i logikę - trzy rzeczy, których - przynajmniej w jego pojęciu - najbardziej nie dostawało jakobitom.

- Przyznaję, panowie, że nie bardzo wiem, jak wyjaśnić pewne sprzeczności - powiedział, wodząc zimnymi spojrzeniem po twarzach oficerów. Moi doradcy zapewniają mnie ustawicznie, że ten motłoch nie ma doświadczenia bojowego, jest niewycwiczony i rusza do walki uzbrojony w piki i widły. Jakże więc oni zdołali upokorzyć dwóch moich najznakomitszych generałów? - Jego głos ociekał sarkazmem, gdy miażdżył wzrokiem Hawleya. - Jak to się dzieje, że wciąż się nam wymykają? Ludzie znający ten teren najlepiej

powiedzieli mi, że nie ma takich dróg, którymi dałoby się przejechać przez góry o tej porze roku, a jednak mój kuzyn zniknął w wysokich śnieżnych przestrzeniach i wcale mu nie przeszkadzała ta sama pogoda, która zatrzymuje moich ludzi w zaspach, zniechęconych i wyczerpanych. Powiedziano mi, że nie ma takich miejsc, nadających się na obozowisko, pomiędzy Atholl a Inverness, gdzie mogłoby się wyżywić więcej niż pięciuset ludzi. A jednak lord George zniknął gdzieś w tej głuszy z prawie trzema tysiącami ludzi i koni, choć zarówno ludzie, jak i zwierzęta potrzebują pożywienia, by przeżyć.

- Lord George zna ukształtowanie terenu, Wasza Książęca Mość; Atholl to siedziba jego rodziny.

- A siedzibą mojej rodziny jest cała Anglia, Szkocja i Walia, moi panowie, f pokonam tych rebeliantów w spódniczkach. Choćby to miało zająć dziesięć lat, pokonam ich.

Angus poczuł, że wyłupiaste jak u ropuchy oczy księcia, omiótłszy całą długość stołu, zatrzymały się na nim.

- Pan, kapitanie, jest spokrewniony z lordem George^m Murrayem, czy dobrze mi się zdaje?

- Jest moim powinowatym, tak, przez małżeństwo.

- Pańska uroczą małżonka i on musieli się ucieszyć z połączenia rodziny pod Bannockburn.

Angus wyteżył czujność, starając się postępować dyplomatycznie. Pakiet listów obwiązanych wstążeczką raz mógł odnieść skutek i podważyć prawdziwość meldunków o pobycie Anne w Inverness i Aberdeen, ale teraz zbyt wielu było żołnierzy, którzy ją widzieli pod Falkirk.

- Wątpię, Wasza Książęca Mość, czy spotkali się wcześniej więcej niż raz lub dwa, a jeśli nawet, to wyłącznie na oficjalnym gruncie w sprawach klanu.

- A pan? Zdaje się, że w obozie jakobitów dano panu swobodę poruszania się.

Angus uśmiechnął się tak chytrze, jak mógł sobie na to pozwolić.

- Książę osobiście przyjął mój parol, to prawda, i odtąd mogłem dotrzymywać towarzystwa żonie. Rzeczywiście uzyskałem względną swobodę poruszania się po obozie, często też zapraszano mnie do stołu z innymi lairdami,

a niektórzy z nich okazali się dosyć lekkomyślni albo zbyt pewni siebie i omawiali w mojej obecności różne sprawy, nie trzymając języka na wodzy.

- Byli na tyle lekkomyślni - wtrącił się major Garner - że mówili o rzeczach całkiem interesujących z naszego punktu widzenia. Za niespełna godzinę zamierzam wykorzystać ich... niedyskrecję. Jeśli to prawda, że jakobici zgromadzili ogromne zapasy broni i amunicji w zamku Corgaff, ich przejęcie poważnie ograniczy możliwości pretendenta do zaopatrywania swej armii. Mam zamiar sam poprowadzić atak, Wasza Łaskawość, i może pan być pewien, że nie wrócę bez meldunku o cennym zwycięstwie.

Garner wznosił kielich w toaście, by uczcić przebiegłość Angusa. Jak przewidział Cameron, gdy tylko Angus wspomniał, że przebywał w towarzystwie Camshroinaich Dubh, major Hamilton Garner prawie w mgnieniu oka zmienił się ze sceptyka w poplecznika.

- Rzeczywiście, zwycięstwo jest nam bardzo potrzebne - zgodził się Cumberland. - Kolejne upokorzenie wystawiłoby nas na jeszcze większe pośmiewisko niż teraz. Jednakże, gdybym był podejrzliwy, lordzie MacKintosh, mógłbym podważyć taką ślepą wiarę w pańską informację, nie wspominając o motywach, które kazały panu rozstać się z piękną żoną i wrócić do nas.

Angus nie na próżno miał w sobie szlachecką krew dwudziestu dwóch pokoleń. Wytrzymał spojrzenie Cumberlanda z lodowatą obojętnością i podniósł brew z wystarczającą butą, by wykpić sam pomysł kolaboracji z niżej od niego stojącymi wyrzutkami społeczeństwa.

- Wróciłem, ponieważ jestem realistą, Wasza Łaskawość. Wiem, że ujęcie pretendenta i ostateczne rozwiązanie to tylko kwestia czasu, więc wolę być po stronie wygrywającej.

- A pańska żona? Co ona woli?

- Wydaje mi się, że woli uprawiać niebezpieczną grę i siać zamęt, ale w końcu zwyczajnie wróci do domu, do swych makatek i haftów i będzie wspominać to wszystko po prostu jak wielką przygodę.

- Doniesiono nam, że istotnie wzięła udział w bitwie.

- Tak, ja też słyszałem opowieści o rudowłosej amazonce, która stanęła do boju w pełnym rynsztunku - Angus urwał i uśmiechnął się lekceważąco - a skoro pańscy żołnierze w to wierzą, to znaczy, że jakobicy łgarze wykonali doskonale swoje zadanie? Znalazłem się przy żonie niecałą godzinę po tym, jak padły pierwsze strzały, i zapewniam, Wasza Książęca Mość, że choć miała małe

złote naszywki na staniku, oznaczające jej tak zwaną rangę, siedziała sobie wygodnie razem z żonami oficerów, popijała czekoladę i śmiała się beztrąsko. Myślę, że lepiej by było dawać wiarę meldunkom, które da się sprawdzić, niż tym, które przeczą wszelkiej logice i są całkowicie niewiarygodne.

Cumberland zmrużył oczy, Angus zaś wstrzymał oddech, bo wszystko sprowadzało się do tego, czy przesłuchujący uwierzą jego relacji z wypadków, czy też mętnym zeznaniom garstki uwolnionych jeńców, z których większość dawała tak bardzo odmienne opisy Anne, że jemu samemu trudno by przyszło ją rozpoznać. Na jego korzyść przemawiały owe wiadomości o zapasach hiszpańskiej broni i amunicji, które jakobici magazynowali w zamku Corgarff-otrzymał je od Alexandra Camerona. Większość broni palnej była zardzewiała, a amunicja tak różnych kalibrów, że stanowiłaby zbędny balast dla przemieszczającej się armii, ale tego nie dało się stwierdzić od ręki. Gdy w londyńskich gazetach pojawiały się wciąż nowe opisy ucieczki Hawleya z Falkirk z serwetką wciąż zatkniętą pod brodą, książę Cumberland rozpaczliwie potrzebował zawierzyć komuś innemu niż niekompetentnym dowódcą, którzy go dotąd zawodzili.

I w końcu tak zrobił. Major Garner poprowadził atak na zamek Corgarff i wrócił do Edynburga z tuzinem furgonów pełnych muszkietów i baryłek ołowianych kul. W tym samym tygodniu „London Gazette” przedstawiła zwycięskiego księcia Cumberlanda upozowanego na górze uzbrojenia, która mogła zaopatrywać wszystkie armie na kontynencie przez dwanaście lat. Udowodniwszy swą lojalność, Angus znalazł się na pokładzie „Róży Tamizy”, płynącej do Fort George, by wesprzeć lorda Loudouna w obronie hwerness.

Angus znów spróbował zetrzeć piasek z oczu. Okręt trafił na piekielny sztorm, tak że przybyli do portu sponiewierani, posiniaczeni, ledwie godzinę wcześniej, nim lord Loudoun ogłosił, że opuszcza miasto. Postanowiono przewieźć cały garnizon przez zatokę Moray do Easter Ross, które znajdowało się pod kontrolą MacLeoda i którego mieszkańcy byli nastawieni przychylnie wobec rządu hanowerskiego. Lord George zajął Inverness bez jednego wystrzału. Fort George też wkrótce skapitulował; Loudoun obserwował twierdzę z nadzieją z drugiej strony cieśniny, ale wbrew jego oczekiwaniom wybuch prochu w arsenale nie nastąpił.

Gorzko żałując się po raz kolejny na niesamowitą zdolność jakobitów do wykrywania i unikania pułapek, Loudoun przeniósł swe siły do Easter Ross i tu właśnie, w kamiennym budynku nawiedzonym przez przeciągi, gdzie wszystko trzęsło się z każdym podmuchem wiatru, Angus się teraz znajdował. Ślęczał nad papierami ze zdrtwiałymi palcami i bolącym karkiem, zaledwie trzydzieści kilometrów od Moy Hall, ale nie mając żadnej możliwości, by tam się dostać choć na krótką chwilę. Za przykładem Cumberlanda, Loudoun wprowadził w

mieście godzinę policyjną i wydał rozkaz aresztowania zarówno cywili, jak i żołnierzy, napotkanych poza domem po zmroku. Każdy podejrzany o dezercję był rozstrzelany na miejscu przez uzbrojone patrole, które systematycznie przemierzały ulice, polując na łamiących rozporządzenia.

Angus usłyszał, jak zegar wybija połówkę godziny, i odłożył pióro. Jego pismo stawało się tak czy inaczej prawie nie do odczytania. Wolałby napisać jeszcze jeden list do Anne, ale nie był pewien, czy poprzedni dotarł do niej.

Neofita w miłości, tak wiele rzeczy chciał jej powiedzieć, tyle wyznań potrafiłby przelać na papier z większą łatwością, niż wyjąkać w podnieceniu. Przyłapał się nawet na tym, że snując marzenia o Anne, zaczyna mówić słowami Szekspira, bo własnymi nie umiał oddać głębi swojego uczucia.

- Szekspir - wymamrotał, przeklinając paradoksalność skojarzenia. - „Usnąć - spać - i śnić może?”

- „Ha, tu się pojawia przeszkoda: jakie mogą nas nawiedzić sny w drzemce śmierci...”*

Angus poczuł, jak cieniutkie włoski na karku stają mu dęba. Głos był niski i głęboki, tak niewyraźny, jak cienie okrywające wszystko poza małym kręgiem światła rzucanym przez świecę. Żaden dźwięk nie zdradził, że w pokoju znajduje się ktoś jeszcze. Nawet płomień świecy nie zamigotał w swym szklanym dzwonie.

Angus powoli się obrócił, ale oczy przywykłe do światła początkowo niczego nie mogły dostrzec w otaczającym mroku. Dopiero po chwili dostrzegł jakiś ruch w najdalszym kącie i przeleciało mu przez głowę, że może śni. W ciemności, jak ślepią wielkiego kota, jarzyły się oczy MacGillivraya - jedyna jego część, która w ciemnościach nie stała się niewidzialna.

- Jak się tu dostałeś?

- Dostawałem się w trudniej dostępne miejsca i wydostawałem z nich.

- Więc nie powinienem pytać, jak długo tu stoisz?

- Dość długo.

Angus zawsze zazdrościł Johnowi MacGillivrayowi jego kawalerskiej fantazji. Ten człowiek musiał być trochę duchem, trochę demonem, a trochę głupcem, skoro przedostał się bez szwanku do miasta zamkniętego tak szczelnie, jak beczka z prochem.

Albo musiał mieć diabelnie ważny powód po temu.

Angus poczuł na skórze zimny dreszcz i momentalnie dostał gęsiej skórki.

- Czy to z powodu Anne? Gdzie ona jest? Czy coś jej się stało?

Cień poruszył się, oderwał się od ściany, i przybliżył na tyle, że w świetle zajaśniało kilka pasm złotych włosów.

- Twoja żona jest w Moy Hall, dość bezpieczna.

Usłyszawszy słowo „bezpieczna”, Angus znów był w stanie oddychać.

- Jezu Chryste, przeraziłeś mnie śmiertelnie. Jak, u diabła, się tu dostałeś? Drzwi są wciąż zamknięte, czy nie?

MacGillivray wydał wargę, dając w ten sposób do zrozumienia, jak niewiele dlań znaczą zamknięte drzwi. Musnął spojrzeniem karafkę na biurku Angusa.

- Jeśli masz tam *uisque*, nie odmówię łyka. Na dworze taka zimnica, że cycek wiedźmy nie byłby zimniejszy, a ja tkwiłem na tej wilgoci ze cztery godziny, jeśli nie więcej. Dość długo, żeby dojść do wniosku, że robię się za stary na wspinanie po murach i czołganie po dachach na brzuchu. Eneasz chciał przyjść zamiast mnie i powinienem był mu pozwolić.

- To dlaczego nie pozwoliłeś?

John wzruszył ramionami i wziął kieliszek whisky, który mu Angus nalał.

- Złożył ci obietnicę w dniu twojego ślubu i mogłoby go skusić, żeby ją spełnić.

Angus przyglądał się, jak góral wychyla kielich i podstawia mu do napełnienia jeszcze raz.

Coś sprowadziło tu MacGillivraya dziś w nocy. Coś, dla czego warto ryzykować życie.

Angus sięgnął po drugi kielich i nalał sobie porcję whisky.

- Czy wyjaśnisz mi powód twego przybycia, czy chcesz, żebym zgadywał?

- Zatokę osłania solidna, gęsta mgła i lord George posłał księcia Perth, żeby to wykorzystał. Mają flotyllę łodzi rybackich, która może przewieźć tysiąc ludzi przez cieśninę.

Angus znieruchomiał z wargami przywartymi do brzegu kieliszka.

- Mają zamiar zaatakować Easter Ross?

- Ano tak. A ja nie chcę, byś się znalazł na drodze jakiejś zbłąkanej kuli jakiegoś niewtajemniczonego członka klanu, który pomyśli, że twoja głowa na palu będzie okazałym trofeum.

- Rozumiem. Więc znów jestem w niewoli?

- Na brzegu w dole czeka łódka, a po drugiej stronie dwa osiodłane konie.

- A jeśli nas schwytają gdzieś pośrodku? Nie jestem całkowicie oczyszczony z podejrzeń od ostatniego razu, a jeśli nie zdążę na pobudkę i nie zjawię się na czas, by podpisać księgę rozkazów...

- Mogę cię postrzelić, jeśli uważasz, że to wypadnie bardziej przekonująco. Nie miej żadnych złudzeń. Przybyłem tu, żeby cię zabrać ze sobą, i zrobię to.

W stłumionym głosie MacGillivraya zabrzmiała wyraźna nuta groźby. Wszedł w krąg światła, przynajmniej na tyle, że ukazała się porośnięta szczecina twarzy i oczy, które nie straciły swojej intensywności, choć były ciemniejsze i większe, niż Angus je pamiętał. Wyrósł mu w pamięci bardzo wyraźny obraz MacGillivraya na polance w St Ninians, z wyciągniętym pałaszem, z wyszczerzonymi zębami. Angus był wówczas tak głupi, że rozdarł koszulę i odsłonił pierś na jego cios, nie zdając sobie sprawy, że człowiek tak niebezpieczny jak John, nie potrzebuje jego pustych gestów.

- Czy to ma coś wspólnego z Anne? - zapytał spokojnie. - Czy to ona poprosiła cię, żebyś tu przyszedł?

Czarne oczy zwięzły się.

- Annie nie wie, że tu jestem. Prawdę rzekłszy, w tej chwili w ogóle niewiele wie. Od tygodnia nie opuszcza łóżka i odmawia jedzenia, i od czasu do czasu wypowiada nie więcej niż parę słów, ale to, co mówi, jest bez sensu. Cały czas leży, ale nie śpi. Tak tylko leży i patrzy w ścianę, bo jest śmiertelnie przerażona, że ty jej nie wybaczysz.

Angus szybko zamrugął oczyma raz po raz.

- Wybaczę? A co ja jej mam wybaczać?

MacGillivray zacisnął szczęki; jego mięśnie napinały się przez chwilę.

- Że straciła twoje dziecko.

Pusty chłód, który Angus poczuł wcześniej, nic nie znaczył w porównaniu z wrazeniem, którego teraz doznawał. To było tak, jakby ktoś sięgnął mu w głąb piersi i wydarł wszystko od gardła po krocze i wypełnił pustkę lodem.

- Anne była...?

- Ano była. I potrzebuje ciebie teraz bardziej niż czyjakolwiek armia. Musi usłyszeć, jak sam jej powiesz, że nie winisz jej za tę stratę. A ja muszę usłyszeć od ciebie, że zrozumiałeś, że jeśli wymknie ci się choć słóweczko oskarżenia pod jej adresem, to podepczę butami twoje cholerne gardło.

Angus wyciągnął rękę, by przytrzymać się krawędzi stołu, a większość groźby MacGillivraya umknęła mu, zagłuszona głośnym tętnieniem w uszach. On i Anne zrobili razem dziecko, a teraz ono umarło. Ona jest sama, przerażona, zboląła, a on tu się martwi o pobudki i księgi rozkazów.

Spotkał oczy MacGillivraya i pojął, ile kosztowało górala przyjscie tu w nocy, pojął, dlaczego ten nie powierzył zadania Eneaszowi Farquharsonowi.

- Ona po prostu musi cię zobaczyć - powiedział John spokojnie. - Na dzień lub dwa opuścisz obóz, a tu będzie dosyć zamieszania, żebyś wrócił niepostrzeżenie, zanim Loudoun w ogóle zwróci uwagę, że cię nie ma.

- Więc nie traćmy czasu - odparł Angus, zrywając płaszcz z kołka na ścianie. - Mam nadzieję, że twoja łódź ma dwa komplety wiosel?

- Ma trzy. Nie mogłem narażać ludzi, każąc im powstrzymać Gilliesa od pójścia ze mną.

Anne poruszyła się, budząc się powoli. Twarz miała wciśniętą w płataninę własnych włosów i kiedy otworzyła oczy, pierwszym jej skojarzeniem była krew - wydało jej się, że leży w kałuży krwi. Zamknęła znów oczy, ale ten obraz jej nie odstępował, podobnie jak i pusty ból w dole brzucha. Pragnęła teraz tylko

usnąć i zapomnieć, ale zasypiała tylko na chwilę niespokojnym snem i znów się budziła, a zapomnieć po prostu nie mogła. Doktor zostawił jej buteleczkę laudanum, do której pomocy uciekała się już kilka razy, kiedy myślała, że mózg jej eksploduje z samej palącej potrzeby rozdzierającego krzyku, ale gdy lekarstwo przestawało działać, czuła się jeszcze bardziej otepiała i przygnębiona niż przedtem.

W domu było ciemno i cicho. Nawet MacGillivray, który nie odstępował od jej łóżka przez prawie cały tydzień, wybłagał u niej, że musi się zająć jakimiś klanowymi sprawami. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo przywykła do jego spokojnej obecności i jak bardzo jej potrzebowała. Jakże kojąca była pewność, że w każdej chwili, w dzień czy w nocy, gdy otworzy oczy, on będzie siedział przy niej w fotelu, z brodą opartą na dłoni, z twarzą o rysach zmiękczonej przez światło świecy.

Usłyszała ciche stąpanie za sobą i znieruchomiła. Znała odgłos lekkich kroków Deirdre MacKail, a także szybkie królicze kroki jej pokojówki. Przeczekała jeszcze minutę, póki nie nabrała pewności, po zapachu mgły, dymu i wilgotnego pledu, że to mężczyzna stara się wśliznąć po cichu na fotel, a wtedy na pół się obróciła i uśmiechnęła.

- Byłeś dalej niż na uderzenie serca, Johnie MacGillivray.

Ale oczy, które napotkały jej spojrzenie, były metalicznie szare, nie czarne. Szczupła twarz miała nieśmiały, przeproszający wyraz.

- Angus?

- Jeśli wolałabyś towarzystwo MacGillivraya...?

Wyciągnęła do niego rękę, unosząc się z pościeli, i nim westchnienie spłynęło z jej warg, on już był obok niej na pościeli, objął ją ramionami i przytulił mocno do siebie.

Za nimi, wtopiony w mrok, który był jedyną zasłoną dla uczuć malujących się na jego twarzy, John MacGillivray przyglądał się spotkaniu męża i żony. Widział, jak ręce Anne zacisnęły się rozpaczliwie wokół szyi Angusa, gdy ten zanurzył dłonie w powodzi rudych włosów i przyciągnął do siebie jej głowę, próbując pieszczotą warg uciszyć szalone szepty. Patrzył na nich, dopóki nie uznał, że dłuższe przyglądanie jest czymś bezsensownym, a wtedy obrócił się i cicho wyśliznął do korytarza, zamykając za sobą drzwi.

Dopiero tam nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zatrzymał się z ręką zaciśniętą na klamce, z czołem przyciśniętym do drewna.

- Dobrze pan zrobił, panie MacGillivray, że przywiózł pan lairda do domu. Ona tak bardzo go teraz potrzebuje.

John podniósł wzrok, zaskoczony widokiem Deirdre MacKail stojącej przy nim. Nie ufał swojemu głosowi, że odpowie jak należy, więc tylko kiwnął głową i ostatni raz powiódł dłonią po drzwiach, nim od nich zawrócił.

- Jeśli ktoś zapyta o mnie, proszę powiedzieć, że pojechałem do Clunas.

- Tak, zrobię to oczywiście. A co mam mówić, gdy spytają, jak długo pana nie będzie?

- Odpowiedz, że tak długo, ile będzie trzeba, dziewczyno - odparł cicho. - Ile będzie trzeba.

22

Alexander Cameron nie dotrzymał obietnicy, że powróci do Moy Hall nim upłynie tydzień; nie było go dłużej niż dwa tygodnie. Fort Augustus poddał się po dwudniowym oblężeniu, kiedy jeden z dobrze wycelowanych armatnich pocisków hrabiego Fanducciego trafił w prochownię. Fort William okazał się jednak bardziej oporny, a talenty pozostałych kanonierów mniej budzące grozę niż pobudliwego Włocha. Jakobici utknęli w martwym punkcie pod Fort William na pełne dwa tygodnie, po czym wrócili rozczarowani i poirytowani, zmarnowawszy mnóstwo naboju; nie udało się im pokonać w pojedynku artyleryjskim zawziętego dowódcy fortu.

Książę Perth natomiast rozgromił całkowicie oddziały lorda Loudouna, przepędził je z Easter Ross i ścigał dalej, aż w góry Skye. Drugi liczny kontyngent jeńców został odesłany do Inverness, i jeszcze raz książę puścił ich wolno, nie bacząc na to, że większość jeńców złamała parol.

W obozie Cumberlanda w ogóle nie było problemu dotrzymania parolu, gdyż nigdy nie proponowano jeńcom uwolnienia w zamian za obietnicę wyrzeczenia się dalszej walki. Ani też nie traktowano ich zgodnie z regułami honorowego prowadzenia wojny. Większość z nich bito i głodzono, a ich ran nie

opatrzono, toteż się jątrzyły i gniły. Wielu powieszono bez żadnego sądu; a jeszcze innych - tych było znacznie więcej - załadowano po prostu na okręty transportowe i nikt nigdy tych ludzi już nie zobaczył.

Książę Fryderyk Heski, którego sześć tysięcy doborowych żołnierzy przybyło na północ z Cumberlandem, był oburzony takim traktowaniem wziętych do niewoli jakobitów. Książę Fryderyk był Niemcem. Zasady honoru i szlachetne postępowanie cenił nade wszystko, toteż ostrzegł księcia Cumberlanda, że jego Heseńczycy nie będą walczyć, jeśli zasady te nie będą przestrzegane.

W odpowiedzi Cumberland natychmiast kazał powiesić trzech jeńców, których przyłapano na próbie ucieczki. Zgodnie z tym, co powiedział, książę Fryderyk rozkazał swym oddziałom udać się do Pitlochry i odmówił przyjmowania jakichkolwiek rozkazów z kwatery głównej Cumberlanda.

Marzec niepostrzeżenie przeszedł w kwiecień i aktywność w obu obozach zaczęła wykraczać poza drobne utarczki. Karol, który chorował od czasu ryzykownej ucieczki z Moy, upierał się, że jeśli jego gorączki nie da się wyleczyć, to trzeba ją zwalczyć, i zarządzał dni polowania, rybołówstwa i strzelectwa. Zachęcał damy w Inverness, by organizowały bale - na te specjalne wieczory przenosił się z Culloden House do Drummuir House i był gościem lady wdowy MacKintosh.

Angus zdołał jeszcze dwukrotnie odwiedzić Moy Hall. Za każdym razem, to Anne łajała go za zbytnią brawurę - role się zmieniły - choć całkiem bezwstydnie wykorzystwała te wizyty.

- Miesiąc temu - powiedział - kiedy błagałaś mnie, żebym został z tobą w Falkirk, miałem mnóstwo istotnych powodów, dla których powinienem odejść. A tutaj, dziś wieczorem, z dłońmi na twych piersiach, uwięziony między twymi udami, nie mogę wymyślić ani jednego.

Anne westchnęła i powoli przesunęła biodra w przód i w tył, czując, jak jego odpowiedź napina się głęboko w niej. Siadła okrakiem na jego nagim, szerokim ciele, z włosami odrzuconymi na ramiona i dłońmi splecionymi na jego piersi. Kilka świec paliło się na stolikach przy łożu, tak że widzieli wzajemnie każde drgnienie na swych twarzach.

- Za to z tego mnóstwa dobrych powodów, które wtedy, moim zdaniem, powinny cię skłonić do pozostania, wszystkie wydają mi się teraz tak samolubne. O ten, na przykład... - wygięła plecy i uniosła się na kolana, prawie odrywając swoje ciało od jego ciała. - I ten.

Opadła na niego z powrotem, a Angus zamknął dłonie wokół jej talii, napinając mięśnie ramion, gdy usiłował choć trochę zapanować nad sytuacją. Śmiertelnie bał się jej tknąć, by jej nie zranić, bał się fizycznego zbliżenia zbyt wcześnie po poronieniu, i w czasie dwóch pierwszych odwiedzin był całkiem zadowolony z tego, że leży obok i przygląda się żonie śpiącej w jego ramionach. Tym razem jednak jeszcze nie przeszedł przez drzwi sypialni, a ona już wdzierając się pod jego ubranie niecierpliwymi dłońmi i wygłodzonymi ustami, które szybko obróciły wniwecz jego szlachetne intencje. Zdołał przynajmniej wymóc na niej, żeby to ona przejęła dominującą rolę, aby mogła kontrolować ich ruchy i zatrzymać się w każdej chwili, gdyby się okazało, że dalej posunąć się nie jest w stanie. Po paru godzinach i paru zbliżeniach okazało się jednak, że jest to próba sił raczej dla niego, niż dla niej. Sądząc po rozmyślnych ruchach jej bioder, rozszerzania i ściągania wszystkich tych niegrzecznych malutkich mięśni, ona też to wiedziała.

- Za każdym razem, gdy przyjeżdżasz, coraz trudniej mi jest pozwolić ci wrócić - powiedziała, znów uciekając ze swym gorącym i zaraz wracając, ślizgając się w górę i w dół. - Ale przypuszczam, że księżę potrzebuje twojej pomocy bardziej niż ja teraz.

- Byłem pod silnym wrażeniem - powiedział przez zaciśnięte zęby - gdy spostrzegłem, że twoja opinia o królewiczu Karolu zmieniła się trochę na niekorzyść od czasu Falkirk.

- Ale moja opinia o lordzie George'u nie zmieniła się wcale. Ani o Lochielu, lordzie Drummondzie i o żadnym z tych ludzi, którzy wciąż jeszcze chcą ryzykować tak wiele w imię swego honoru.

- Te waleczne czyny - wymruczał wstrząsany dreszczem - przemyślne knowania, obłąkańcze rojenia, które rodzi straceńczy honor...

Ześliznęła się po nim i znieruchomiała, zaciekawiona.

- Coś ty powiedział?

- Och, dobry Boże - wydyszał - nie przestawaj znów; zabijasz mnie.

- Nie, to przedtem, co to było?

- Cytat. Po prostu taki cytat. Coś, co mi się nagle przypomniało. Nawet nie pamiętam, kto to powiedział.

Rozprostowała dłonie na jego piersiach, nie przejmując się tym, że ponagla ją roztrzęsiony, by powróciła do śliskiego, falującego tarcia. Pochyliła

głowę, chwyciła sutek pomiędzy zęby i zaraz puściła, i starannie obmyła językiem otaczające ciało. Jej palce przeczesywały ciemne kręcone włosy na jego piersi, przesuwając się po linii prowadzącej w dół ku brzuchowi. Po krótkim flircie z twardymi pasmami mięśni, skierowanymi ku tak zachęcającemu gniazdku, przeciągnęła palcami po wnętrzu jego ud. drażniąc małe skarby, które tam znalazła, dopóki nie usłyszała pomruku Angusa i nie poczuła, jak uniósł się pod nią niczym wulkan tuż przed erupcją. Odchyliła się bardziej do tyłu, zapraszając jego tors do uniesienia się z łoża, a kiedy posłuchał, przesunęła stopy naprzód i zaplotła je mocno wokół jego pasa, tak że każde z nich siedziało z nogami skrzyżowanymi za plecami drugiego.

Angus oparł na chwilę głowę na jej ramieniu, by uspokoić nerwy przed następnym natarciem.

- Chcesz jeszcze czegoś, wiem że chcesz.

- Tak - zgodziła się potulnie - i zaraz to dostanę.

Zmusiła go do uniesienia ust, tak że mogła zniweczyć resztki jego samokontroli. Gorąco jej języka napierało na niego, gdy tymczasem wilgotna jedwab i stość jej ciała zaczęła szarpać nim w dzikich, łapczywych pociągnięciach, które były dość ciasne, by mógł czuć swój napletek ślizgający się w tę i z powrotem. Ucisk wkrótce wywołał na nowo jego jęki, kazał mu ująć dłońmi jej pośladki i przyciągać ją mocniej i szybciej do siebie.

Nic dziwnego, że w tym momencie nawet salwa armatnia nie zatrzymałaby żadnego z nich, i Anne przyjmowała gwałtowne fale swojego rozładowania z głową odrzuconą w tył i dźwiękiem cudownej radości drgającym jej w gardle. Angus trzymał ją i rozlewał się w niej. Jego dłońmi, ciałem, całą jego istotą wstrząsnęła intensywność tego szczytowania; nawet teraz, czekał do ostatniej możliwej chwili, nim wyrzucił powietrze z płuc, wiedząc że minie trochę czasu, zanim będzie mógł wessać dosyć, by je wymienić na nowe. Anne nie przestawała dygotać przyciśnięta do niego, otaczająca go, przyciskająca się tak silnie, że dowód ich rozkoszy spływał ciepły i wilgotny pomiędzy ich ciałami.

- Dokładne warunki naszej umowy były takie - zaczął zdyszczym głosem.

- Koniec z polem bitwy, żadnego błędzenia po okolicy po nocy, żadnej broni palnej, chociaż zaczynam wierzyć, że żadne obietnice, przysięgi ani ślubowania nie utrzymają cię z dala od kłopotów, szanowna pani.

- Starcie z ludźmi Blakeneya nie było moją winą - zaprotestowała. - Ja tylko próbowałam bronić swojego domu.

- Wysyłając piętnastu ludzi do walki z tysiącem pięciuset?

- Z pewnością to nie był mój wybór, zapewniam cię. Tak jak nie było twoim wyborem ulegnięcie szantażowi Duncana Forbesa.

Powiedziała to tak spokojnie, że Angus dopiero po dłuższej chwili podniósł głowę i popatrzył jej w oczy. Ujrzał w nich wszystko: gniew i zawstydzenie, dumę i wyzwanie, podziw i potępienie.

- MacGillivray za dużo gada.

- To nie John mi powiedział, tylko młody Douglas Forbes. Myślał, że to mnie podniesie na duchu, gdy się dowiem, jaki dzielny i honorowy jest naprawdę mój mąż, który poświęcił tak wiele, by zagwarantować bezpieczeństwo żonie i klanowi. Szczerze powiedziawszy, gdy to usłyszałam, zapragnęłam tylko jednego - móc cię uderzyć. I to nie dlatego, że wzięłam na siebie ten ciężar, by go nieść w pojedynkę, ale że nie powiedziałeś mi.

- A co byś zrobiła, gdybym ci powiedział?

Wzięła w dłonie jego twarz i Angus wessał oddech, gdy jej biodra znów wwierciły się w niego.

- Oto co bym zrobiła - szepnęła. - Kochałabym cię dziesięć razy mocniej, niż już cię kochałam bez tego.

- A potem byś mnie uderzyła?

- Potem bym cię uderzyła - zgodziła się.

Wciąż spoglądał głęboko w jej oczy, uśmiechając się niepewnie.

- Może powinienem obnażyć przed tobą duszę całkowicie i wyznać ci wszystko do końca.

- A masz coś jeszcze do wyznania?

- Chciałbym tylko powiedzieć o czymś, co wiąże się trochę z tym, o czym już wiesz. - Przełknął ślinę, by zwilżyć zaschnięte gardło, ale nim zdążył wypowiedzieć choćby słowo, niski, odległy grzmot wdarł się w ciszę ich sypialni. Kilka sekund później rozległo się wyraźne dzwonięcie szklanych szyb i bibelotów na gzymsie kominka. Nawet wino w karafce przy łożu zamigotało w blasku świec.

Angus rozplatał nogi i wyszedł z łoża, żeby wyrzeć przez okno. Podniósł zasłonę i wlepił wzrok w przestrzeń, spodziewając się, że ujrzy ciemne burzowe chmury przewalające się nisko i miotające pioruny. Ale na niebie świeciło słońce, błękit prawie raził w oczy, które zdążyły już przywyknąć do przytłumionego blasku świec. Wtedy sobie przypomniał.

- Eneasza powiedział, że mają zamiar dziś zacząć wysadzać Fort George. Domyślam się, że Anglicy zostawili więcej niż potrzeba prochu, żebyśmy to zrobili porządnie i nie zabraknie ochotników do tego zadania. Wielu ludzi gościło tam z takiej czy innej okazji; a jeszcze więcej było takich, których ojców, braci, synów więziono bez powodu całymi miesiącami. Spodziewam się, że Fearchar zapali pierwszy lont, bo czyż nie był gościem różnych władz w ciągu ostatniego stulecia?

Anne nie odpowiedziała, więc z powrotem opuścił zasłonę i zajął do łóżka. Pograżona w głębokim śnie, leżała wtulona w gniazdo poduszek, koców i skłębionych prześcieradeł. Naciągnął łagodnie kołdry na jej wspaniałe nagie ciało, a potem położył się obok niej. W tym momencie jeszcze jeden odległy grzmot wstrząsnął szybami w oknach.

Eksplozje, które ostatecznie zamieniły Fort George w rumowisko, ustały nagle czternastego kwietnia, kiedy nadeszła szokująca wiadomość, że armia Cumberlanda od tygodnia maszeruje w stronę Inverness. W istocie przekroczyła już rzekę Spey w trzech miejscach, nie napotykając oporu brygad, które lord George porzostawiał wzdłuż jej brzegu. Wiadomość nie mogła przyjść w gorszym czasie, bo w Inverness zostało nie więcej niż tysiąc ludzi księcia, a większość porzysłańo poza miasto, by zabezpieczyć pozycje lub zgromadzić dostawy furazów i żywności.

Żywności i paszy było niebezpiecznie mało, a na domiar złego Murray z Broughton, sprytny przedsiębiorczy kwatermistrz, zachorował i zastąpił go John Hay, który o tym, jak się zdobywa zaopatrzenie, wiedział jeszcze mniej niż o broni palnej. Gdy pociągnął za spust pistoletu jedyny raz w życiu, odstrzelił sobie wielki palec u nogi. Kiedy rozesłał ludzi po furaz, skierował ich w takie miejsca, skąd już dostarczono więcej, niż gospodarzy było na to stać, i w rezultacie prawie wszystkie wozy wróciły puste, a niektóre w ogóle nie wróciły.

Wysłano zatem kilkuset ludzi, by sprawdzili prawdziwość pogłoski o konwoju dostawczym Hanowerczyka na drodze do Nairn. Powrócili z wiadomością, że widzieli armię Cumberlanda maszerującą drogą wzdłuż wybrzeża; wyglądała ponoć jak falujące morze czerwonych kubraków i połyskujących muszkietów. Rojaliści przebyli sto trzydzieści kilometrów nieatakowani, niemal niepostrzeżenie, i pod wieczór czternastego rozbili obóz w miejscu odległym o niecałe pół dnia drogi od Inverness.

Stało się to tak szybko, że eskorta odprowadzająca kobiety Cameronów do Achnacarry odjechała z Loch Moy o świcie i skręciła w lewo na drogę z Inverness, a ich mężczyźni skręcili w prawo i pojechali prosto do miasta. Anne ze szczytu wzgórza żegnała odjeżdżających, jak zwykle siedząc na swym siwym ogierze, ale tym razem niewiele było uśmiechów. Anne polubiła Catherine Cameron, nabrała dla niej podziwu, nie była też pewna, czy udałoby się jej przeżyć ostatnie ciężkie próby bez spokojnego, cichego wsparcia Deirdre MacKail.

- Tak bardzo im współczuję - powiedziała do swego kuzyna Eneasza, gdy razem ruszyli szybko z powrotem do Moy Hall. - Ułyną dni i tygodnie, nim jakakolwiek wiadomość dotrze do Achnacarry.

- Przypuszczam zatem, że nie wykrzeszesz z siebie ani odrobiny entuzjazmu, gdy ci zaproponujemy, żebyś się przeniosła do jaskiń na parę dni?

- Do jaskiń? - Zahamowała, ściągając lejce tak gwałtownie, że Robert Bruce stanął dęba zaskoczony. - Dlaczego u licha miałabym to zrobić?

- Dlatego, że cała cholerna armia Cumberlanda jest o pół dnia drogi stąd. Dlatego, że Moy leży prosto na ich trasie i że nie będziesz miała nikogo, żeby bronił posiadłości, jeśli Cumberlandowi przyjdzie do łba, by okrążyć i zaatakować Inverness z obu stron.

- Nie, zostanę tu, w Moy - odparła. - Będę tam, gdzie mój klan. Eneasze podrapał się po głowie.

- Ależ, Annie... wiesz przecież, że MacGillivray będzie strzelał iskrami z dupy, jeśli zobaczy cię w pobliżu pola bitwy.

- Nie ma go tutaj i nie może mi mówić „nie” lub „tak” - odpowiedziała spokojnie.

- No cóż... właściwie to jest. On i jego oblubienica przyjechali do Dunmaglass wczoraj, i... popatrz tam... czeka na ciebie.

Anne podążyła wzrokiem za niechętnym spojrzeniem krewniaka i jego niepewnie wyciągniętym palcem. Grupa ludzi z klanu zebrała się przed wejściem do Moy Hall, a ponieważ MacGillivray był wyższy o głowę i pół ramienia od większości z nich, łatwo go było rozpoznać.

Podjechali podjazdem do miejsca, gdzie stajenny czekał, by wziąć od Anne lejce, gdy zsiądzie. Kiedy odprowadził Bruce'a, większość mężczyzn

dostrzegłszy w oczach MacGillivraya milczący nakaz, oddaliła się dyskretnie poza zasięg słuchu.

Anne nie widziała Johna od owej nocy, kiedy przyprowadził Angusa z Easter Ross. Słyszała, że odjechał z Dunmaglass tego samego dnia, że jest w Clunas i pomaga przysłemu teściowi, Duncanowi Campbellowi, zlikwidować małe gniazdo oddziałów rządowych na swoim terytorium. Nie słyszała jednak o tym, że John się ożenił.

- Jak rozumiem, należą ci się gratulacje - powiedziała z prawdziwą radością. - Eneasz powiedział mi, że pobraliście się z Elizabeth.

- Był na to najwyższy czas. A w dodatku, tak jej się spodobały te cholerne kwiaty, że nie czekała, aż zostaniemy sami, i, no... jej ojciec nas przyłapał na zboczu i uznał, że już pora, żebym zrobił z niej uczciwą kobietę.

John wyglądał jakoś inaczej. Swobodniej. Wciąż jeszcze było w nim coś drapieżnego, ale jakby część napięcia opadła zeń, i jeśli było to zasługą Elizabeth, to Anne była podwójnie zadowolona. Leżąc obłożnie chora, pogrążona w rozpacz z powodu utraty dziecka, a także utraty wiernego Roberta Hardy'ego, zaczęła sobie zdawać sprawę, ile przyjaźń Johna znaczyła dla nich obojga: dla niej i dla Angusa. Postanowiła, że nie pozwoli, by tę przyjaźń coś popsuło.

- Będzie z ciebie doskonały mąż, Johnie - powiedziała z uśmiechem i pocałowała go w policzek. - Najlepszy na świecie.

- Zrobię wszystko, żeby tak było.

- Napijesz się ze mną? Toast za nowożeńców?

- Innym razem tak, na pewno. Ale teraz przyjechałem zabrać twoich krewniaków i resztę moich ludzi. Jesteśmy potrzebni w Inverness.

- Oczywiście. Nie pomyślałam. Zaraz przyniosę swoje rzeczy.

Zaczęła iść w stronę szerokich schodów prowadzących do drzwi frontowych, ale on wyciągnął ręce, chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Może lepiej byś tu została, Annie. Niewiele pomożesz w Inverness.

- Mogę być bardzo pomocna, jeśli szykuje się bitwa. Mogę być z naszymi ludźmi.

- Jeśli? Wystaw nos pod wiatr, dziewczyno, a poczujesz zapach strachu stamtąd.

- Pobiliśmy ich już dwa razy, chociaż nic tego nie wróżyło.

- No tak, ale wtedy dowodził armią lord George. A teraz nie będzie, bo księżę pozbawił go dowództwa.

- Pozbawił dowództwa! Czy księżę oszalał?

- Słyszałem, że generał został zaproszony do rozpoczęcia układów z księciem Fryderykiem. Niemiecki księżę zaproponował swoje usługi w negocjacjach pokojowych z Cumberlandem, no i naturalnie Stuart potraktował to tak, jakby lord George miał zamiar go zdradzić. O'Sullivan cały czas szeptał mu do ucha, starając się go oczywiście nastawić wrogo do generała.

- Ktoś powinien był zastrzelić tego przekłętego Irlandczyka już dawno temu.

- Podsuń tę myśl pierwszemu lepszemu z dwu tysięcy ludzi odmrażających sobie jaja na wrzosowisku Drummosie, a nie zabraknie ci ochotników.

- Drummosie? A co oni tam robią?

- Czekają na Cumberlanda - odpowiedział sucho. - I tkwią tam od świtu, chociaż moi ludzie twierdzą, że tamtemu wcale się nie spieszy z wytoczeniem dział z Nairn.

- Tym bardziej nie powinniśmy tracić czasu - powiedziała. - Możesz mnie przekonywać ile chcesz, Johnie MacGillivray, ale nie przybyłam tak daleko tylko po to, żeby teraz uciekać i chować się. Właśnie ty, lepiej niż inni, powinienesz mnie zrozumieć i nawet nie prosić o coś podobnego.

Spojrzał na jej mocno zaciśniętą szczękę i wzruszył ramionami.

- Gillies postawił spore pieniądze na to, że natrzesz mi uszu, ale musisz przyznać, że warto było spróbować.

Zerknęła na potężnego barczystego górala i zauważyła, że MacBean uśmiecha się złośliwie, zacierając dłonie, zadowolony z wygranej.

- Daj mi pięć minut - powiedziała i ruszyła szybko schodami.

- Masz minutę.

Wszystkie drogi prowadzące z Inverness były zatłoczone ludźmi, zwierzętami i wozami. Te ostatnie, pospiesznie naładowane dobytkiem gospodarskim, toczyły się za wystraszonymi mieszczanami, którym powiedziano, że bitwa o panowanie nad Górną Szkocją rozpocznie się lada chwila.

Anne przebrała się w kraciaste spodnie i krótki niebieski kubrak. Biała koronka pod szyją i przy mankietach kontrastowała zdecydowanie z dwoma mosiężnymi pistoletami o długich lufach, które miała u pasa. MacGillivray jechał obok niej; MacBean i bracia Farquharsonowie po bokach, a za nimi biegło traktem około stu członków klanu, z muszkietami i okrągłymi małymi tarczami przewieszonymi przez ramię i ponurymi, zawziętymi twarzami. Na skrzyżowaniu dróg pod miastem napotkali otwarty powóz, w którym siedziały dwie osoby. Jedna z nich była ubrana w czarną księżą sutannę, w drugiej rozpoznała lady Drummuir i odruchowo wzięła głęboki oddech, gotując się do nowej utarczki słownej. Niepotrzebnie się jednak obawiała. Stara kobieta miała łzy w oczach, gdy Anne podjechała do powozu. Z ogromnego kosza na siedzeniu obok siebie wyjęła białą kokardę ozdobioną gałązką borówki i przypięła do piersi synowej, tuż pod kameą z puzderkiem zawierającym portret Angusa.

- Pamiętaj trzymać się daleko na tyłach, moja panno. Słyszałam, co się wydarzyło pod Falkirk, i tym razem będziesz miała ze mną do czynienia, jeśli nie posłuchasz MacGillivraya.

- Akurat pani jesteś odpowiednią osobą, żeby mi przemawiać do rozumu - mruknęła Anne. - John mi powiedział, że odmówiła pani opuszczenia miasta.

- Phi! Ja jestem już za stara, żeby zadrzeć spódnice i umykać. Jeśli już do tego dojdzie, jestem też za stara, żeby komuś przyszło do głowy mnie zgwałcić, kiedy zaczną się dobijać do moich drzwi. Ale ty, ty stary draniu... - Podniosła głos i wlepiła wzrok w Fearchara, który siedział za plecami Robbiego Farquharsona na tym samym koniu. - Co ty sobie myślisz i dokąd to się wybierasz?

- Jadę, dokąd jadę, ty herod-babo, i nie myśl sobie, że twoje łypanie okiem mnie powstrzyma.

Wszakże jeden błysk oka wystarczył, żeby Robbie trąceniem łokcia wstrzymał konia obok powozu. Gdy wdowa przypięła kokardy obu mężczyznom, wyciągnęła ramiona i ujęła w swoje dłonie pooraną zmarszczkami, szorstką starą twarz, i pocałowała Fearchara prosto w usta.

- Przynajmniej staraj się nie przysnąć - strofowała. - I naciągnij dobrze swój pled na uszy, bo inaczej śmierć nie zaczeka na ciebie, żebyś mógł dotrzeć na wrzosowisko.

MacGillivray, MacBean i prawie wszyscy mężczyźni zostali wywołani po imieniu i każdy otrzymał gałązkę i kokardę, które im przypięto do pledów, po czym schylili głowy, żeby przyjąć błogosławieństwo księdza. Kiedy ostatni z nich oddalił się drogą, lady Drummuir wciąż jeszcze stała w otwartym powozie, a jej usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie.

23

Karol Stuart założył swą główną kwaterę w Culloden House, niecałe dwa kilometry od wrzosowiska. Zapewniony przez swych zwiadowców, że ogniska obozowe Cumberlanda płoną pełnym blaskiem w Nairn, a jego żołnierze nie zdradzają zamiarów wymarszu tego dnia, chętnie skorzystał z okazji i wybrał się na przejażdżkę konną po polu, by zaprezentować swą bohaterską postać w czerwono-niebieskiej wojskowej bluzie. Wywijał nad głową pałaszem zdobionym klejnotami, jakby już ogłoszono zwycięstwo, przybierając wojowniczą pozę przed przemarzniętymi ludźmi tkwiącymi na posterunkach i przyglądającymi się księciu.

Dopiero późnym popołudniem książę dał za wygraną i przyznał, że jego kuzyn nie zamierza odpowiedzieć na wyzwanie tego dnia. Do tego czasu ludzie tak zmarzli i tak się zmęczyli, że już o to nie dbali. Niektórzy wiwatowali na cześć księcia, aż ochrypli, inni tylko przypatrywali się mu i zastanawiali, czy zawsze majestat królewski jest przyprawiony szczyptą szaleństwa. Byli głodni; większość z nich wyruszyła w pole, zagłuszywszy głód ledwie jednym sucharem. Powędrowali z powrotem do parków otaczających Cuiloden i skulili się pod nędzną osłoną, jaką mogły im zapewnić własne pledy, albo przenieśli się dalej do Inverness, gdzie zaczęli zbierać o resztki żywności u rozgniewanych mieszczan, obwiniających ich o fałszywy alarm.

Nieliczne namioty wzniesione na terenie należącym do Culoden House zapełniły się szybko wodzami i lairdami, prowadzącymi gorące dyskusje dotyczące wyboru pola walki dokonanego przez ich księcia. Drummosie było płaskie, pozbawione drzew i nie zapewniało ochrony przed artylerią Cumberlanda. Lord George wypatrzył inne pole, kilka kilometrów dalej na wschód, porośnięte bagnami i pagórkami, dużo lepiej pasujące do stylu walki góralskiej a znacznie mniej dogodne dla ciężkich dział i regularnych szeregów wyćwiczonych żołnierzy. Ale wszelkie wysiłki lorda, by skłonić księcia do zmiany decyzji, okazały się daremne i była to jedna z niewielu okazji od początku kampanii, gdy usłyszano, jak przygnębiony generał mówi: „Przeegraliśmy, panowie. Niech Bóg ma w opiece nas wszystkich.”

Uznawszy, że spędzenie zimnej nocy o głodzie w wilgotnym powietrzu, byłoby czymś bezsensownym, MacGillivray tak samo żarliwie usiłował nakłonić Annę do powrotu do Moy Hall, ale pozostała głucha na wszystkie jego argumenty. Nie przyjęła też zaproszenia księcia do towarzyszenia mu w obiedzie ani do zatrzymania się w Culoden House, wymawiając się tym, że jej obowiązkiem jako pułkownika jest pozostać ze swymi ludźmi i podtrzymywać ich na duchu. Dopiero po ostrej reprymendzie z ust Alexandra Camerona opuściła szopę, w której znaczna część ludzi MacKintoshów znalazła schronienie. Ponieważ nadal większość lairdów zwracała się do niej per „pułkownik Anne”, przypuszczała, że zacznie się następna niekończąca się dyskusja i spory. Naturalnie, do takich przyziemnych rzeczy jak dyplomacja, MacGillivray uciekał się rzadko.

Przeklinając przewrotną naturę swego kapitana i w duchu mu jej zazdroszcząc, Anne wyruszyła w lekkiej mżawce, która właśnie się rozpadała. Teren pokryty był rozdeptanym błotem, a lodowaty wicher smagał drzewa, brutalnie przypominając, że zima jeszcze się nie skończyła. Chmury wisiały nisko i nie było gwiazd ani księżycy; nie odzywały się dudy i nie niosło się echo nad ogniskami. Ta przygnębiająca cisza stanowiła rozpaczliwy kontrast z tym, co pamiętała z nocy poprzedzającej bitwę pod Falkirk. Drżąca z zimna Anne wtuliła się głębiej w swój pled.

Bliźniacy, którzy eskortowali ją od szopy, ulotnili się wraz ze swoim złotowłosym kapitanem, doprowadziwszy ją do przydzielonego namiotu. Anne usłyszała wewnątrz głosy i wstrzymała oddech, nim wetknęła głowę pod płótno. Byli tam: Cameron ze swymi dwoma braćmi, Lochielem i doktorem Archibaldem, oraz Alluinn MacKail, który stał z boku z lordem Johnem Drummondem i jeszcze jednym wysokim górąlem. Schylony nad stołem oświetlonym lampą, wsparty rękami o jego blat, stał lord George Murray.

Podmuch wiatru wdarł się do namiotu razem z Anne, co sprawiło, że lord podniósł wzrok znad map, które studiował. Róg leżącego na wierzchu arkusza

zatrzepotał gwałtownie i zwinął się; płomień świecy wewnątrz szklanego naczynia zamigotał i puścił cienki pióropusz czarnego dymu.

- Anne. Jak widzę, Monaltrie cię znaleźli; ufam, że nie oderwaliśmy cię od czegoś ważnego.

W jego głosie nie było nawet cienia sarkazmu i nie miała powodu podejrzewać, że odczuwał coś więcej niż zmęczenie i rozczarowanie.

- Próbowałam tylko pozostać w ciepłym i suchym miejscu - powiedziała z nikłym uśmiechem. - Jeśli można to uznać za ważne.

- Przysięgam, że oba te odczucia stały się dla mnie kompletnie obce, ale zgadzam się. Uznałbym je oba za bardzo istotne. Chodź do środka, moja droga, proszę wejść. - Lord George przywołał ją skinieniem bliżej małego koksownika, który żarzył się prawie pośrodku namiotu. - Ogrzej się. Obawiam się, że nie mamy nawet skórki chleba na poczęstunek, ale aby nas nie oskarżono, że całkiem zapomnieliśmy o dobrych manierach... - przerwał i zwrócił się do jednego z mężczyzn: - Czy nie mamy czegoś, na czym lady Anne mogłaby usiąść?

Ponieważ nikt z obecnych nie siedział, a wszyscy byli z pewnością dwa razy bardziej zmęczeni niż ona, Anne potrząsnęła głową.

- Doskonale się czuję, naprawdę, ja... - Podniosła rękę w geście przeczenia, a w tym momencie góral stojący obok MacKaila obrócił się i dojrzała jego twarz.

- Ach, tak. - Lord George poszedł wzrokiem za jej zdumionym spojrzeniem. - Tak, sądzę, że to było okrutne z naszej strony, nie uprzedzić cię, ale w tych dniach nawet szept roznosi się szerokim echem. Angusie... chodź i pozwól żonie się uszczypnąć, żeby się przekonała, że to naprawdę ty.

Angus Moy wahał się przez chwilę, mnąc w dłoniach beret, a potem postąpił naprzód i znalazł się w lepiej oświetlonym miejscu. Od czasu, gdy Anne widziała go po raz ostatni, ciemne kręgi pod jego oczami pogłębiły się, twarz pociemniała od zarostu. Łachmany, które miał na sobie, bardziej by przystały żebrakowi.

- Doskonale wyglądasz, pułkowniku - mruknął.

- A ty wyglądasz okropnie, kapitanie. Czyżby zabrakło cyrulików w armii królewskiej?

Na te słowa ten i ów podniósł brew ze zdziwienia, nikt by się nie spodziewał, że pierwszą rzeczą, na którą Anne zwróci uwagę, będą rozczochrane zmierzwiłone włosy i nieogolony zarost. Inna żona najpierw zauważyłaby długą, poszarpaną szramę biegnącą spod jego lewego ucha i znikającą pod kołnierzem koszuli. Rana nie miała więcej niż godzinę lub dwie, i zaczynała na nowo krwawić za każdym razem, gdy podrażnił ją wełnianym pledem.

- Może teraz zechciałabyś usiąść? - spytał lord George.

Wciąż jeszcze trzymała się dzielnie na nogach, ale doświadczenie uczyło ją, że obecność jej męża w obozie nie wróży najlepiej.

- Dziękuję, chętnie.

- Z pewnością wiesz już, dlaczego armia Cumberlanda pozostała dziś w obozie?

- Ktoś wspomniał, że dziś są jego urodziny.

- Istotnie. Darował żołnierzom jeden dzień na ogrzanie stóp przy ogniskach, gdy wzniosą toast za zdrowie swego walecznego generała, po kwaterce brandy na głowę. Gdybym chociaż pamiętał wspaniały smak francuskiej brandy, nie mówiąc o wlewaniu jej w gardła pospolitego żołdactwa... No, dobrze. Zazdrością nie wygrywa się bitwy, prawda? Tak jak ja to widzę, panowie - i pułkowniku - powinniśmy dziękować, każdy temu Bogu, do którego się modli, za to, że dziś nie doszło do bitwy. Późnym popołudniem dołączyło do nas sporo ludzi, a Keppoch przysłał wiadomość, że jest zaledwie o kilka godzin drogi od nas. Co więcej, Cumberland może i dał nam mimowolnie szansę, której potrzebujemy, żeby zamienić porażkę w zwycięstwo. Spójrzcie tutaj - powiedział, znów się schylając nad mapą. Długim, szczupłym palcem dotknął czarnego zakreślenia oznaczającego ich obecną pozycję, a potem powiódł po smudze nakreślonej węglem do miejsca, gdzie się znajdował drugi znak, oznaczający Nairn.

- Powiedziano mi, że to jest w rzeczywistości długa grobla, która biegnie wzdłuż rzeki daleko na południe od Drummossie i przechodzi zdumiewająco blisko obozu Cumberlanda.

Podniósł wzrok, jakby prosił o potwierdzenie, i Anne zdała sobie sprawę, że to jest jedna z map okolicy, własnoręcznie przez nią naszkicowanych.

- Tak, milordzie. Ale to teren nisko położony, z pewnością zalany przez wiosenne roztopy.

- Ale do przebycia?

- Nie tak łatwo.

Generał uśmiechnął się.

- Czy do tej pory choć jedna rzecz przyszła nam łatwo? Zamierzam przedstawić księciu tę propozycję. Podkreślę, że spróbujemy wykonać manewr oskrzydający, prowadząc armię w dwóch kolumnach, jedną skierujemy tutaj - stuknął palcem w obszar na mapie na wschód od Nairn - a drugą tutaj, na zachód. W ten sposób weźmiemy obóz angielski w dwa ognie, jak w kleszcze, i Cumberlandowi pozostanie tylko jedna droga odwrotu - do morza. Jeśli przeprowadzimy tę akcję potajemnie i z zaskoczenia, może nam się uda przyłapać ich na leczeniu kaca lub ziewających nad porannym ogniskiem.

- Nocny marsz wzdłuż bagnistego brzegu rzeki? - powiedział Lochiel i wzdrygnął się. - Chryste, przecież moi ludzie szli bez chwili snu całe dwa dni.

Lord George wyprostował się.

- Jedyne wybranie, tak jak ja to widzę, to ściągnąć nasze rezerwy albo przygotować się do ponownego stanięcia jutro rano w szyku bojowym na tym przeklętym wrzosowisku. Jedyne wybranie dającym nam pewną przetrwać wagę jest zaskoczenie, a zaskoczenie wymaga nocnego marszu. To z grubsza dwadzieścia kilometrów do przejścia; możemy to zrobić łatwo powiedzmy w cztery godziny. I odrzucamy na bok wszelką wojenną etykietę; jeśli ich zaskoczymy śpiących lub pijanych w sztok, to nasza w tym korzyść. Angusie, powiedziałeś, że jego artyleria jest skierowana na zachód, w naszą stronę?

- Ustawiają działa w kierunku przyszłego marszu.

- W takim razie to nasza przednia straż pierwsza zaatakuje i usunie groźbę, że wezmą nas w krzyżowy ogień. Alex, niechętnie pytam...?

Alexander Cameron tylko się uśmiechnął. To wyłącznie dzięki brawurze i poświęceniu jego samego i jego ludzi artyleria rządowa została uciszona pod Prestonpans. Stu ludzi zaatakowało baterię czterdziestu dział i zdobyło je, lecz zapłacili wysoką cenę, zginęło wielu dzielnych wojowników.

- Ile? - pytanie skierowano do Angusa.

- Dziesięć trzyfuntowych dział bojowych, cztery wiwatówki.

Cameron zesznurował wargi i wymienił spojrzenia ze swym bratem Lochielem.

- Weźmiemy ze sobą Fanducciego; poprzednio przyniósł nam szczęście.

- Wobec tego pozostaje tylko sprawa primadonny w atlasach - powiedział lord George z przekąsem. - John?

Lord Drummond westchnął.

- Tak. A więc obarczysz mnie księciem?

- O ile nie wolisz iść w mojej kolumnie, bo w takim razie musiałbyś odszukać go po bitwie, zagrzebanego po szyję w bagnie i porzuconego z boku drogi.

- Och, on nie jest taki zły. Jeśli tylko będziesz mu nieustannie pochlebiać i powtarzać, jak bardzo ci się podoba krój jego bluzy.

- Więc już tylko sprawa przewodników. Będziemy potrzebowali ludzi, którzy znają groblę jak własny palec. Przy takiej mgle, jaką mamy dziś w nocy, istnieje zbyt duże ryzyko, że zmylimy drogę.

- MacGillivray i MacBean - powiedziała Anne bez namysłu. - Rzeka jest praktycznie ich domem. No i moi krewniacy i ja; wyrosliśmy - wysunęła palec i dotknęła mapy - tutaj. Dokładnie w tym miejscu, gdzie grobla oddziela się od bagna. John może wziąć pierwszą kolumnę; my poprowadzimy drugą.

Tym razem to Angus, mając słowa sprzeciwu na końcu języka, zmusił się do zachowania milczenia. Kiedy Anne powstrzymała się od opłakiwania z żoną troską cięcia na jego szyi, uszanował nastrój determinacji wśród obecnych i utrzymał w ryzach swój strach... przynajmniej na razie.

- No to załatwione - oznajmił generał, zwijając mapy. - Przedstawię ostateczną propozycję księciu, z aprobatą wszystkich, których te decyzje dotyczą, i przedstawię mu to w taki sposób, że nie będzie miał innego wyboru. Proponuję, żebyście wrócili do swych klanów i przygotowali ludzi do natychmiastowego wymarszu. Angusie, dziękuję ci za ostatnie sprawozdanie, przyjmij też podziękowanie w imieniu całej armii za ryzyko, jakie na siebie wzięłeś. Eskorta będzie czekać na ciebie przed namiotem, by cię odprowadzić, gdy będziesz gotowy. Jeśli, oczywiście...?

Angus przeczeniem odpowiedział na niedokończone pytanie. Lord George skinieniem głowy wyraził uznanie dla jego decyzji i odwagi, a potem dał znak innym wodzom, by zostawili Angusowi i Anne kilka chwil prywatności. Angus z trudem wyczekał, aż opadnie płócienna kłapa przy wejściu, po czym cisnął beret na stół i chwycił żonę w ramiona.

Kiedy sprawę największej wagi załatwili ku obopólnej satysfakcji, przeszli do następnej.

- Przypuszczam, że to moja własna wina. Na liście obietnic, które na tobie wymusiłem, nie znalazło się - i jest to karygodny błąd - „i nie będę się zgłaszać na ochotnika, żeby przeprowadzać armię przez bagna w środku nocy”.

- I kto to mówi. - Dotknęła jego szyi; teraz wreszcie mogła nie ukrywać swego przerażenia i sprawdzić, jak blisko tętnicy szyjnej trafiło cięcie. - Jak zgaduję, zarobiłeś to, gdy przepisywałeś wykazy?

- Nie zaplanowałem z wyprzedzeniem mojej dzisiejszej wizyty, więc nie miałem przygotowanego właściwego hasła dla wartownika. Przyłożył mi nóż do gardła z trochę większym entuzjazmem, niż było uzasadnione, choć nie tak wielkim, jaki by zapewne zademonstrował, gdybym nie mógł okazać mojej broszy i udowodnić, że jestem tym, za kogo się podaję.

- Myślałam, że jesteś w Skye z lordem Loudounem.

- Byłem. Przynajmniej jeszcze trzy dni temu. Wydaje się, że Cumberland postawił „specjalne żądanie” wezwania mnie i tuzina innych znaczących lairdów. Chce mieć wszystkie szkockie kompanie na pierwszej linii, ale nie to jest najgorsze. Umyślnie wyznaczył oficerów bez sumienia, takich jak Hawley, i powierzył im dowództwo batalionów prowadzonych przez brutali i rzeźników. Widziałem ostatnio rzeczy, które ogromnie mnie przygnębiły. Ludzi powieszonych tylko za wyrażenie swej opinii. Kobiety gwałcone tylko dlatego, że znalazły się na drodze i nosiły pled. Gospodarstwa spalone i bydło wyrżnięte dla zabawy. Nazywają Szkotów barbarzyńcami, a potem robią woltę i patroszą człowieka, który odmówił przyjęcia pensa za cnotę swojej córki. Choćby wczoraj, trzynastoletni chłopiec został oskarżony - tylko oskarżony, zauważ, bo nie dowiedziono mu niczego - o szpiegostwo, i od razu go powieszono. Wisiał ponad dziesięć minut, nim umarł; a cały czas ludzie Cumberlanda robili zakłady. Inny człowiek dostał osiemset batów rano i kazano mu stać do wieczora, jeśli nie chce drugich ośmiuset. Tacy są ci, którzy chcą rzucić Szkocję na kolana, zmusić, by się ugięła przed angielską dyscypliną i porządkiem.

- Więc jak możesz liczyć na to, że coś poradzisz, jeśli tam wrócisz? Jesteś tylko jednym człowiekiem, na litość boską.

- Książę Fryderyk był tylko jednym człowiekiem, a jednak nie pozwolił, żeby jego hescy żołnierze walczyli na takich barbarzyńskich warunkach. Może są jeszcze inni. Może jest nas więcej, by powstrzymać ten przeklęty miecz Damoklesa, zanim spadnie.

Anne nie bardzo wiedziała, kim jest Damokles, ale jeśli Angus się go bał, nie wróżyło to dobrze.

- Mówisz tak, jakbyś nie wierzył, że uda nam się zwyciężyć.

- Moja wiara już się okazała bardzo słaba wobec twojej. - Westchnął i ujął jej twarz w obie dłonie. - Przypuszczam, że w tym krytycznym momencie mogę liczyć właściwie tylko na jedno: że zaufasz MacGillivrayowi i posłuchasz jego rad i poleceń. Jeśli powie, że sprawa jest przegrana, uwierz mu i uciekaj. Uciekaj dla twojego i mojego dobra. Czy obiecasz mi to?

Jego głos i ręce drżały, przeraziło jato, więc przytaknęła.

- Zaufam MacGillivrayowi. Zrobię, co mi każe.

Nawet to było błogosławieństwem, więc zamknął oczy i przywarł ustami do jej ust.

- Muszę iść. Lord George bierze górę nad księciem, ja mogę się przydać po drugiej stronie. - Wahał się przez chwilę, potem sięgnął pod płaszcz i wyciągnął srebrną broszę ozdobioną wielkim kryształem górskim, z wygrawerowanym mottem MacKintoshów: „Nie dotykaj rysia bez rękawicy”. - Weź to. Bardziej wypada, żeby pułkownik klanu Chattan nosił właściwą odznakę swojej funkcji.

Nie odpowiedziała nic, gdy przypinał uroczyście broszę do jej pledu, ale kiedy skończył, wyciągnęła ręce i objęła go za szyję, wdychając zapach jego włosów i skóry.

- Obiecaj mi - błagała cicho - że będziesz się trzymał z daleka od tego generała Damoklesa.

Angus wciągnął powietrze w ściśnięte płuca, potem poszukał jej warg jeszcze ostatni raz, nim odsunął ją na długość ramienia.

- Będę się go wystrzegał jak zarazy, kochanie - przysiągł - i ani się spostrzeżesz, kiedy wrócę w twoje ramiona.

Ale ona już wiedziała. Ogarnęło ją przeczucie klęski, jeszcze zanim wyszedł z namiotu.

Angus Moy wrócił do Nairn tą samą drogą, którą miała podążać armia jakobitów: poszedł na wschód, trzymając się rzeki i zaczął łuk za obozowiskiem. Wartownik dostrzegł go zbliżającego się drogą i wystąpił przed

namiot straży, by go zatrzymać, ale Angus znał hasło i wypowiedział je tak ostrym tonem, że żołnierz opuścił muszkiet i usunął się z drogi.

Wiatr przycichł i mgła otuliła wszystko mrocznym tumanem. Latarnie wiszące na masztach namiotów miały wygląd żółtych oczu, gdy Angus przemierzał uliczki obozowe. Jak wszystko w armii angielskiej, uliczki owe tworzyły porządne, proste rzędy rozpiętych płócien, rozciągające się, jak okiem sięgnąć, w odległą ciemność. Jakże dużo ich było. Dwanaście batalionów piechoty, trzy regimenty konnicy i sznur artylerii, wszystko pogrupowane w oddzielne równe kwadraty wokół umieszczonej pośrodku Balblair House, gdzie mieściły się kwatery Cumberlanda i jego najstarszych generałów. Było też osiem kompanii szkockiej milicji, większość przysłana przez Argyle'a; ludzi, którzy nie wahali się walczyć ze swoimi krewniakami.

Młode byczki zarżnięto wcześniej tego dnia, by dostarczyć mięsa dla uczczenia urodzin wodza, i we mgle wciąż wisiał zapach smakowitej pieczeni. Angus nie jadł nic od rana, gdy zobaczył, jakie warunki panują w obozie jakobitów i kiedy dowiedział się, że Anne uparcie odmawia przyjęcia czegoś więcej niż jednego suchara, stanowiącego rację dzienną dla jej ludzi, stracił apetyt. Tu i ówdzie rozlegały się pojedyncze wybuchy śmiechu, dźwięk, którego tak wyraźnie brakowało w obozie Stuarta, i choć Angus zgadywał, że musi być już po północy, wokół niektórych ognisk jeszcze skupiały się grupki świętujących ludzi.

Balblair House jaśniał od świateł. Położony na wierzchołku wzgórza jak klejnot w koronie, połyskiwał w ciemnej mgle. Cumberland pewnie grał w karty z jakąś ładną kobietą u boku, bo była to ulubiona rozrywka dla kogoś, kto zakazał hazardu i przyjmowania kobiet pod namiotami kompanii. Angusowi powiedziano, że księżę zaczął się bardzo często uśmiechać do Adrienne de Boule, co nie przypadło do gustu majorowi Worshamowi. Korpulentny i niesympatyczny William był w końcu synem króla, a królewscy potomkowie słynęli z tego, że po prostu brali sobie to, co chcieli, jeśli mieli ochotę.

Skrećiwszy w swój rząd namiotów, Angus zsiadł z konia i oddał lejce szeregowcowi. Przebycie odległości między dwoma obozami zajęło mu prawie dwie godziny, a jego koń był ubłocony po szyję od ciężkiej jazdy. Niekiedy grunt był tak miękki i nasiąknięty wodą, że Angus musiał nadkładać drogi, by okrążyć najgorsze miejsca, i mógł tylko rozmyślać, jak poradzą tam sobie ludzie idący pieszo. Z pewnością wyruszyli już z Culloden. Angus uznał, że nie dotrą do celu przed trzecią lub czwartą rano. Ostrzeżono go, by pozostał w namiocie, kiedy rozpocznie się walka, jeśli tylko to będzie możliwe, a jeśli nie, żeby przypiął białą kokardę w widocznym miejscu do pledu, by nie zaatakował go jakiś gorliwy góral.

Uśmiechając się do siebie ponuro, dotknął rany z boku szyi. Gdy odjął palce, były poplamione krwią, więc zdał sobie sprawę, że musi zabandażować ranę, zanim stałe pocieranie jej o kołnierz nie dokona tego, czego nie zrobił nóż.

Podniósł klapę namiotu i wkroczył do środka, po czym zamarł bez ruchu przy samym wejściu. Jego posłanie było rozgrzebane, kuferek otwarty, a zawartość leżała porozrzucana na kocach. Lampa się paliła, lecz knot przykręcono tak krótko, że nie zauważył poświaty przez płótno z zewnątrz. Światła ledwie starczało, żeby dało się dojrzeć postać usadowioną w kącie i długi cienki nos oraz szpiczastą brodę, po których zawsze by poznał majora Rogera Worshama.

- Kapitan MacKintosh. Zaczynałem już myśleć, że nigdy pan nie wróci.

Angus spojrział w jeden punkt, na swój wywrócony kuferek.

- I pomyślał pan, że może splądrować moje osobiste rzeczy?

- Nie. Tylko tym razem nie zadałem sobie trudu, by je na powrót poukładać.

Jeśli spodziewał się protestu pełnego oburzenia, musiał się rozczarować. Niejeden raz otwierając kuferek, Angus zastawał rzeczy inaczej poukładane, jak gdyby zawartość przeszukiwano, a potem starano się je położyć na dawne miejsce. Przydzielono mu nowego ordynansa, Ewena MacCardle'a, ale chociaż nie przypominał Roberta Hardy'ego, z pewnością nie był tak niedbały, by zapomnieć przez jeden dzień, że Angus woli mieć koszule poskładane góra z dołem niż bok do boku.

Prawdę rzekłszy, sposób składania koszul był mu najzupełniej obojętny, ale po pierwszym razie, gdy wydało mu się, że jego rzeczy starannie przeszukano, przedstawił swoje preferencje MacCardle'owi, który od tej pory ich przestrzegał.

Angus ściągnął rękawice.

- I znalazł pan coś ciekawego? Bieliznę do prania? Niewypolerowane guziki? A może rozkaz od Karola Stuarta z pochwałą za moją lojalność wobec jego ojca?

Worsham zmrużył oczy.

- Żarty pan sobie stroi, MacKintosh, aleja wyraźnie czuję, że jest w pana słowach sporo prawdy. Gdzież to pan się podziewał dziś wieczór, dajmy na to?

- Mój wolny czas należy do mnie, majorze. Nie muszę panu odpowiadać.

- Woli pan odpowiedzieć samemu księciu?

- Wolałbym, żebyś pan się wyniósł z mojego namiotu i żebym mógł się trochę przespać. - Odwrócił się od majora i strząsnął z siebie pled. - To był długi dzień, a pobudka jest o wpół do piątej, jeśli się nie mylę.

Worsham przechylił na bok głowę.

- Zdaje się, że się pan skaleczył, kapitanie.

Angus odruchowo dotknął palcem szyi.

- Tak. To był... wypadek. Moja własna nieostrożność.

- Rana jest chyba bolesna. Dziwię się, że żona jej panu nie opatrzyła.

- Miała co innego do roboty i była trochę... - urwał. Mocno zacisnął wargi, z trudem się powstrzymując, by nie zakląć głośno.

Worsham, oczywiście, się uśmiechał. To było aż za łatwe.

- To naprawdę wielka szkoda. Do tej pory doskonale pan sobie radził. Nawet dziś wieczorem, gdy wyjechał pan w kierunku Kingsteps i przeczekał w lesie godzinę. Mój zwiadowca, Hugh MacDugal, zaczął się niecierpliwić i o mało co się nie zdradził.

- Chciałem zobaczyć żonę. Czy to zbrodnia?

- Tak. Jeśli żona jest pułkownikiem w armii rebeliantów i jeśli spędził pan prawie godzinę w towarzystwie lorda George'a Murraya, gdy żona jeszcze nawet nie wiedziała o pana obecności w obozie. Jest zbrodnią przekazywanie dokumentów i rozkazów za pośrednictwem Adrienne de Boule przez ostatnich kilka miesięcy i pomaganie jej w pełnieniu roli szpiega.

Angus poczuł zimny, upiorny dreszcz przebiegający mu falami wzdłuż kręgosłupa.

- A tak. Wiem i o jej gierkach od pewnego czasu. Już dawno bym ją kazał aresztować, gdyby nie była tak piekielnie energiczna w łóżku. Daję słowo, że ona potrafi więcej zrobić kilkoma małymi mięśniami, niż dwa razy silniejszy mężczyzna, naciskając obiema pięściami. Wierz mi pan, mówię to z własnego doświadczenia.

Rozwarł nogi, potem znów skrzyżował, jakby wspomnienie sprawiło mu przyjemność.

- Gdzie jest teraz panna de Boule?

- Tam, gdzie jest jej miejsce. Rozłożona na wznak z rozrzuconymi nogami, zabawia ludzi z mojej kompanii. Dodatkowa gratyfikacja dla nich, można powiedzieć, z okazji urodzin księcia. Dokładniej mówiąc, doniesiono mi, że godzinę temu ugryzła jednego z ludzi tak mocno, że musiał ją udusić, nim go puściła. Ale przedtem była naprawdę buntowniczą rebeliancką piekielnicą, pluća i syczała, obsługując dwóch ludzi naraz, wyobraź pan to sobie...

- Boga w sercu nie masz, ty skurwysynu. - Angus rzucił się naprzód, ale zobaczył, że w dłoni Worshama pojawił się nagle pistolet, więc zatrzymał się dwa kroki od celu. Worsham zerwał się na nogi i wepchnął lufę skałkowej broni z odwiedzionym kurkiem w miękkie zagłębienie nad obojczykiem Angusa, naciskając tak mocno, że niemal zgniótł mu tchawicę.

- Ręce do góry i odwrócić się, kapitanie. Pańska odwaga nie robi na mnie wrażenia i najchętniej bym od razu nacisnął spust.

- To czemu pan nie naciska?

- Proszę mi wierzyć, że przyjemność byłaby po mojej stronie, ale jestem pewien, że Cumberland zechce z panem pomówić. A poza tym za nic w świecie nie chcę stracić tego widoku - miny tego aroganckiego głupca Garnera, kiedy odsłonię pańską podwójną grę, bo pan go naprawdę przekonałeś, że jesteś Chrystusem przychodzącym po raz drugi. Zbyt już długo cieszę się na tę chwilę, by się teraz skończyła przed czasem, ale zapewniam pana, że mogę przeboleć rozczarowanie, jeśli pan mnie przycisnie. A teraz... ręce do góry, bardzo proszę. I odwrócić się tyłem.

Angus powoli uniósł ręce, wnętrzem dłoni na zewnątrz, z palcami złączonymi sztywno.

- Bardzo dobrze. A teraz niech pan się odwróci i...

Angus tylko raz w Paryżu widział, jak to się robi, na pokazie walk Dalekiego Wschodu, sam nigdy tego nie próbował, nawet nie wiedział, czy osiągnie coś więcej niż to, że palec Worshama naciśnie spust. Mimo to nachylił obie dłonie skośnie do środka w ten sposób, że utworzyły literę V, i błyskawicznie ciął nimi w dół, uderzając z obu stron w szyję majora najsilniej, jak tylko potrafił.

Zaskoczenie, bardziej niż sam manewr, obezwładniło Worshama tak, że wykonał chwiejny krok do tyłu. Wylot lufy osunął się w dół na moment, który wystarczył Angusowi, by zdołał zacisnąć pięść i zadać bardziej konwencjonalny cios w szczękę Worshama.

Głowa majora odskoczyła w górę i w tył i znów się zachwiał, ale odzyskał na tyle przytomność umysłu, że uchylił się od następnego ciosu, a nawet przekręcił pistolet znów w górę i uderzył Angusa w skroń. Skóra nad okiem MacKintosh'a pękła i lewa strona twarzy natychmiast zalała się krwią, ale nie zwolnił ruchu ani nie chybił celu nawet odrobinę, kiedy wyciągnął zza pasa sztylet i pchnął przed siebie. Koniec ostrza osunął się po mosiężnym guziku i przebił szkarłatną wełnę kubraka Worshama tuż poniżej mostka. Angus prawie nie myśląc, poprowadził ostrze naprzód i poderwał w górę: przecinał skórę i mięśnie i wreszcie dosięgnął gąbczastej masy płuca. Znów wbił ostrze z takim impetem, że poderwał majora na czubki palców, choć jego ciało zwinęło się do przodu.

Dłoń Worshama otworzyła się, wypuścił pistolet. Jego usta rozwarły się, a oczy wyszły z orbit, gdy wpatrywał się z niedowierzaniem, jak Angus wyszczerza zęby, wbijając ostrze trzeci raz.

Dłonie Worshama zacisnęły się kurczowo wokół barków Angusa, szukając podpory. Krew wezbrała mu w gardle i rzuciła się ustami; trysnęła przez szkarłatną wełnę i spryskała przód kubraka Angusa.

- Jesteś przeklętym obłudnikiem - wydyszał major, z twarzą wykręconą szyderczo w swojej ostatniej minucie. - Nigdy cię nawet nie widziałem wyciągającego rapier.

Siły go opuściły i major zwałił się na podłogę. Angus przyglądał się temu cierpliwie, potem sięgnął przed siebie i wyciągnął swój sztylet z przemoczonego czerwonego kubraka. Oczy Worshama już się zeszkliły i straciły ostrość spojrzenia. Ciałem jeszcze wstrząsały drgawki przez kilka chwil, ale było już po wszystkim.

Angus zatoczył się do tyłu, porażony świadomością tego, co przed chwilą zrobił, jakby sam dostał cios w pierś. Cofał się, aż poczuł pod kolanami krawędź prycy, a wtedy usiadł ciężko, trzymając w ręku zakrwawiony nóż.

Spojrzał na sztylet, potem na majora, i poczuł zadowolenie, że przez cały dzień nic nie jadł. Nawet pusty, żołądek mu się wywracał i zdawał się podchodzić do gardła.

Zwymiotowanie w niczym by nie polepszyło sprawy. Po prostu zabił oficera armii królewskiej. I to nie pierwszego lepszego oficera, ale protegowanego Williama, księcia Cumberlandu.

- Tak - szepnął z niesmakiem. - Będę unikał Damoklesa jak zarazy, moja najdroższa.

Jezusie święty, co on ma teraz zrobić? Jeśli ciało zostanie odkryte...

Gdyby odkryto ciało i gdyby armii jakobitów udało się zaskoczyć obóz, przyjęto by po prostu, że Worsham zginął w starciu! Nikt więcej nie wie, co się stało tej nocy; rozmawiali cicho, nikt nie wie, że doszło do walki.

Z wyjątkiem Hugh'a MacDugala, tropiciela, który szedł za nim do obozu Stuarta. Ale czy on powiedział coś jeszcze komuś? Czy też Worsham nalegał, żeby zatrzymać to między nimi dwoma, dopóki nie zdobędzie niepodważalnego dowodu i nie będzie mógł postawić Angusa w łańcuchach przed resztą oficerów?

Dowód.

Worsham, pomimo swych trudności ze słowem pisanym, miał zwyczaj skrupulatnie robić notatki. Używał własnego dziwnego kodu, ale jeśli ma przy sobie zapis ruchów Angusa tego wieczoru, i jeśli ktoś umiałby odszyfrować jego bazgroły, mogło to się okazać obciążające.

Angus poderwał się z pryczy i zmusił się do przewrócenia Worshama na plecy. Oczy trupa były nieruchome i szeroko rozwarte, a źrenice rozszerzone tak, że wyglądały jak dwie dziury wywiercone w czaszce. Szybkim ruchem Angus rozpiął trzy górne guziki zakrwawionego kubraka i sięgnął do wewnętrznych kieszeni. Niczego w nich nie znalazł, ale gdy podniósł klapę skórzanej sakiewki przy pasie, natrafił na kilka dokumentów i mały notatnik wypełniony nabazgranymi zapiskami. Przerzuciwszy szybko strony notatnika, Angus zdołał rozszyfrować tyle, że zrozumiał, iż jego podejrzenia się potwierdziły. Znalazł tam imię Anne, a także swoje imię.

Rozłożył jeden z dokumentów i stwierdził z przerażeniem, że ręce tak mu się trzęsą, że nie może równo utrzymać papieru. Była to oficjalna kopia rozkazów bitewnych dla kompanii, i już prawie złożył arkusz i schował na powrót do sakiewki, gdy zerknąwszy jeszcze raz zauważył, że datowano go tego dnia, piętnastego kwietnia, i że był podpisany przez lorda Geor'a Murraya.

Była to kopia rozkazów bitewnych jakobitów, tylko że znów coś się nie zgadzało. Angus widział ten sam dokument w namiocie w Culloden zaledwie

kilka godzin temu; leżał na stole obok map. Przeczytał go dość pobieżnie, bo widział kilkanaście takich rozkazów w ciągu ostatnich paru miesięcy służby wojskowej. Większość była sformułowana prawie identycznie - tak identycznie, że dowódca kompanii rzadko zaglądał w tekst przed wyrecytowaniem głośno rozkazu.

Angus przeczytał dokument drugi raz, potem trzeci i włosy stanęły mu dęba.

Jest stanowione rozkazem Jego Królewskiej Wysokości, aby każda osoba związała się z pewnym korpusem armii i pozostawała przy tym korpusie dzień i noc, dopóki bitwa i pościg nie będą ostatecznie zakończone, a także, żeby nie okazywać łaski żołnierzom elektora pod żadnym absolutnie pozorem. To dotyczy zarówno piechoty, jak i konnicy. Rozkaz bitewny ma być dostarczony każdemu dowodzącemu oficerowi...

Nie musiał dalej czytać. To nie były rozkazy, które widział na stole lorda George'a, nie uwierzył też, kiedy podniósł dokument do światła i podkreślił wyżej knot, że został podpisany przez kuzyna żony. To było diabelnie dobre fałszerstwo, ale lord George Murray jest leworęczny i pisał z charakterystycznym pochyleniem liter - pochyleniem jeszcze wyraźniejszym w podpisie.

Było jeszcze kilka innych złożonych papierów w sakiewce i Angus znalazł w końcu to, czego szukał. Była to kopia oryginalnych rozkazów, takich, które widział, najwyraźniej bez tego horrendalnego zdania: „...i nie okazywać łaski żołnierzom elektora pod żadnym absolutnie pozorem”.

Pierwszy arkusz zawierał sfalszowany rozkaz, by nie brać jeńców, by dobijać bezkarnie każdego, kto padnie ranny na polu bitwy. U angielskiego żołnierza wywołała to wizję wrzeszczącej hordy szkockich dzikusów spadającej na nich, siekających ich na strzępy, bez względu na to, czy się poddadzą, czy nie. Jeśli kopie tych rozkazów rozdano wszystkim oficerom, a oni z kolei odczytali je głośno wszystkim ludziom w swych kompaniach, ci uwierzą, że książę nakazał, by nie okazywać nikomu żadnej łaski na polu bitwy. To ich zachęci, by bez skrupułów oddali pięknym za nadobne.

Angus wyciągnął swój kieszonkowy zegarek. Kwadrans po pierwszej. Włożył zegarek z powrotem do torby, razem z dokumentami, które zabrał z sakiewki Worshama, potem znów przeturlał ciało zabitego i umieścił je w najdalszym kącie namiotu pod płócienną ścianą. Na szczęście Worsham był co najwyżej przeciętnego wzrostu i mieścił się pod pryczą obozową, gdy mu się lekko zgięło kolana. Gdy spuściło się koc z krawędzi łóżka, nikt by się nie domyślił, że pod spodem znajduje się ciało.

Nie było to idealne rozwiązanie, ale najlepsze, jakie na razie potrafił wymyślić. Coś kapnęło na koc, kiedy Angus się nad nim pochylał, a wtedy przypomniał sobie o rozciętej skroni. Spojrzawszy pospiesznie w lustro do golenia, ujrzał odbicie kompletnej jatki, bo czaszka krwawiła obficie, dodając nowe plamy do tych wcześniejszych na koszuli i płaszczu, pochodzących od rany na szyi.

Rozebrał się i oczyścił jak mógł najlepiej, za pomocą najszerszego krawata, jaki znalazł wśród porzucanej zawartości swego kufra, potem owinął krawat jeszcze raz wokół szyi, by służył zarówno jako sztywny kołnierz, jak i bandaż. Rana na głowie puchła coraz bardziej, a skóra zsiniała, ale była przynajmniej osłonięta włosami. Wybrał czystą koszulę i włożył kilt i bluzę. Wreszcie przypomniał sobie o białej kokardzie, którą dał mu lord George, i ją też wetknął do torby, sprawdzwszy jeszcze raz, która jest godzina.

Pierwsza czterdzieści.

Armia Stuarta musi być tak blisko, że czuje zapach odpadków palących się za namiotami rzeźników.

24

- Co to za ohydny smród? - spytał Robbie Farquharson, z nosem zmarszczonym prawie po same brwi.

- Łajno czterdziestu koni przed nami, pomieszane z odpadkami i śluzem wszystkich ryb, które kiedykolwiek zdechły w tej cholernej rzece. - Jamie brodząc po łydki w mule, starał się wyswobodzić lewą nogę, żeby za chwilę znów ją pograć przed prawą. Kilometr wcześniej zgubił swoje buciory, nie będąc tak przewidujący i pomysłowy, żeby je sobie zawiesić na sznurowadle wokół szyi, jak to zrobiła większość ludzi, i teraz musiał iść boso. Wiatr, który dmuchał przez cały dzień, ucichł, a jego nagłe ustąpienie pozwoliło ciężkiej mgłę podnieść się w górę znad rzeki. Im dalej się posuwali na wschód, tym mgła była gęstsza, aż wreszcie trudno było dojrzeć człowieka na przedzie i nie wiedziało się, czy po bokach jest twardszy grunt.

Lord George Murray wyprowadził z obozu pierwszą kolumnę ludzi o ósmej wieczorem. Razem z nim byli Cameronowie Lochiela, jego ludzie z Atholl i MacDonaldowie z Clanranald, w sumie jakieś tysiąc dziewięćset ludzi, prowadzonych przez Johna MacGillivraya i Gilliesa MacBeana.

Książę i lord John Drummond dowodzili drugą kolumną dwutysięcznego wojska, złożonego głównie z ludzi z Dolnej Szkocji i ochotników francuskich. Pokonywali te same nieprzejezdne drogi, moczary i bagna, ale o wiele dłużej, tak że odstęp pomiędzy obiema kolumnami powiększył się za bardzo, by można było mieć nadzieję na równoczesny atak, jak planowano. Do drugiej w nocy pokonali jedenaście kilometrów, a warunki marszu pogarszały się coraz bardziej.

- Dobry Boże! - wyrzuciła z siebie Anne, gdy Robert Bruce potknął się w błocie po raz czwarty w czasie czterech minut. Waleczne stworzenie dawało z siebie wszystko, by utrzymać się na nogach, ale Anne obawiała się za każdym razem, że następne poślizgnięcie skończy się złamaniem nogi w kostce. Już dwa razy ona i jej kuzyni zapobiegli zakręceniu kolumny w niewłaściwe odgałęzienie rzeki. Jak dotąd, Anne zdołała utrzymać się na grzbiecie swojego wierzchowca, ale teraz złorzecząc, przerzuciła nogę przez siodło i ześliznęła się na ziemię, natychmiast zapadając się po łydki w rozdeptanym błocie. Bruce musiał wyczuć, że w jakiś sposób zawiódł swą panią, bo zaczął drżeć.

- To nie twoja wina, mój bohaterze - mruknęła, pocierając jego aksamitne chrapy. - To wina tego roztopionego śniegu, który spływa z gór. Wina ziemi wciąż zamrożonej, która go nie chce wchłonąć.

- No i wessało mnie - powiedział ktoś nieopodal. Rzucił się w dół obok traktu, z rękami rozpostartymi jak ukrzyżowany. - Nie mogę kroku postąpić. Nie mogę chwycić powietrza. Nic nie słyszę, tak mi krew szumi w uszach. Czołgałbym się drogą, gdybym mógł, ale nie mogę. Po prostu nie mogę.

Echo jego słów roznosiło się wzdłuż szeregów; jedne pomruki wyrażały współczucie, inne gniew. Wszyscy byli wyczerpani, zziębnięci i głodni. Jedyne ich pożywienie od rana to porcja złożona z jednego małego suchara. Najpowolniejsi, którzy zostali daleko w tyle we mgle i ciemności, po prostu zatrzymali się i zawrócili.

- To jest niemożliwe, Anne - powiedział Eneas, chwytając powietrze jak starzec. - Zajęło nam pięć godzin przebycie jedenastu kilometrów, a mamy jeszcze dziewięć do przejścia.

Przyłożyła palec do ust, bo grupa księcia była tuż przed nimi.

- Usłyszają cię.

- Wszystko mi jedno, kto mnie usłyszy. Ludzie lecą z nóg. Jeśli się od nich oczekuje, że pójdą dalej i jeszcze potem będą walczyć, to widzę przed nami klęskę, nawet jeśli dojdziemy. A w dodatku nie ma szans na zaskoczenie Anglików, bo już złapaliśmy jednego ze zwiadowców Willy'ego, czołgającego się brzegiem i śledzącego nas. Lomacha MacDugala. Znasz to nazwisko?

Brzmiało jakoś znajomo, ale Annę potrząsnęła głową.

- On i jego brat Hugh są zwiadowcami u Sassenachów, odkąd Loudoun objął dowództwo nad Fort George. Są ze sobą tak blisko jak nasi Jamie i Robbie, więc jeśli Łomach był w pobliżu, to można się założyć, że jego cień Hugh też się tu kręci.

- Przesłuchałeś go?

Eneas zmarszczył brwi.

- Byłoby mu trochę trudno odpowiadać z poderżniętym gardłem.

Anne przypuszczała, że powinna potępić tak brutalny postępek albo przynajmniej zapytać, czy był usprawiedliwiony, ale najzwyczajniej nie potrafiła się zdobyć ani na taki wysiłek, ani na współczucie. Nie potrafiła winić Eneasza o jego gniew ani o złe przeczucia. Była tale zmęczona, głodna i przybita, jak mężczyźni, którzy przedzierali się naprzód z czystego posłuszeństwa. Beret spadł jej gdzieś po drodze i włosy zwisały jej na ramionach w ciemnych, poplątanych splotach. Musiała mówić przez zaciśnięte zęby, by nimi nie szczekać. Mogłaby przysiąc, że słyszy dzwonięcie w uszach.

Dzwonięcie stało się głośniejsze, dobiegało gdzieś z przodu. Szli bez pochodni, ale niektórzy przewodnicy nieśli osłonięte latarnie i kiedy Anne i Eneas wyteżyli wzrok, by coś dojrzeć poprzez mgłę, mętna poświata rzucona przez jedną lamp zaczęła się kołysać coraz bliżej. Mężczyzna niosący latarnię był jednym z przewodników, którzy prowadzili kolumnę lorda George'a i Anne rozpoznała go jako Colina Mora, człowieka z ich klanu, w którego chałupie zatrzymali się tej nocy, gdy MacGillivray smarował jej nogi, by rozluźnić skurcz od ucisku siodła.

Człowiek z lampą zobaczył Bruce'a i skreślił na przełaj przez wsysające błoto.

- Zawróciliśmy, pułkowniku. Generał i wodzowie zdecydowali, że tak będzie najlepiej.

- Ach, Bogu niech będą dzięki - westchnął Eneasz. - Więc to już koniec?

- Tak jakby - powiedział Colin, wskazując kciukiem za siebie. Jeszcze nie skończył mówić, a już dobiegł ich głos księcia podniesiony w proteście, krzyczący, że znów został zdradzony.

- Gdzie jest lord George? - spytała Anne przyciszonym głosem.

- Będzie ze dwa kilometry w przodzie. Idzie nie szybciej niż najwolniejszy z ludzi, chociaż teraz, jak już im powiedziano, że mogą wracać i poszukać swoich łóżek, poruszają się z niezłą prędkością.

- A MacGillivray?

- On i MacBean nie byli dużo dalej niż ja. Jeśli pani się tu zatrzyma, to zobaczy on pani konia.

Zobaczył jeszcze jednego człowieka mijającego ich z latarnią, dał więc swoją Eneaszowi, zanim wyruszył z powrotem przez łąkę i stratowaną darń.

- Czy powinniśmy ruszyć naprzód i zaczekać bliżej nich, aż coś postanowią? - spytał jej kuzyn.

- Ie, nie. Możemy słyszeć to zamieszanie dość dobrze stąd. Wolałabym nie podchodzić bliżej.

- Aha. W takim razie zostawię pani lampę, dobrze?

- Dokąd idziecie?

- Po prostu trochę dalej, gdzie jest suszej. Muszę przysiąść na minutkę. Złapać tchu. Dojście tutaj było istnym piekłem, a to samo będzie z powrotem.

Anne skinęła, prawie czując się winna, że całą tę drogę przebyła na grzbiecie Bruce'a.

Uczucie to wzmogło się jeszcze za kilka minut, kiedy zobaczyła MacGillivraya i MacBeana idących ku niej. John najpierw jej nie zauważył; dopiero Gillies musiał mu dać kuksańca, żeby podniósł głowę i spojrzął we wskazanym kierunku.

Obaj wyglądali strasznie, obryzani błotem od stóp do głów. Anne nigdy nie widziała wielkiego Johna MacGillivraya upadłego na duchu i teraz mignął jej tylko ten obraz, nim się wyprostował i podszedł do niej.

- Więc słyszałaś?

- Tak. Mówiliśmy z Colinem Morem.

- To najlepsze, co można zrobić. Doszliśmy aż do Knockanbuie, kiedy uświadomili sobie, że to beznadziejne. W porównaniu z tym, co jest tutaj, dalej jest jeszcze gorzej. Rzeka przed nami wylała i konie grzęzną po brzuchy. Ludzie też, jeśli już o nich mówimy. Gillies myślał, że czuje węża pełznącego mu po nodze, ale to było tylko błoto wiszące mu na kuście.

MacBean był zbyt wyczerpany, żeby się zarumienić.

- Trzymaj! - John wręczył Gilliesowi swój muszkiet i splótł dłonie. - Oprzyj stopę. Pomożemy ci wsiąść z powrotem na siodło.

- Nie, mogę pójść pieszo. I tak Bruce jest prawie wykończony, a ktoś może potrzebować podwiezienia bardziej niż ja.

MacGillivray nawet nie miał dość sił, by się spierać; po prostu wziął lejce i zawrócił wierzchowca.

Kiedy odsłoniły się przed nimi zbocza parkowych terenów wokół Culloden, była prawie szósta rano. Większość ludzi po prostu padała na trawę i zasypiała na miejscu. Setki innych nie dowlokły się dalej niż do pierwszego punktu na drodze, skąd było widać dach domostwa lorda przewodniczącego. Anne dokuśtykała do tej samej szopy, w której spała poprzedniej nocy. Tam ona i pięćdziesięciu ludzi z klanu MacKintoshów zwinęli się w sianie. Większość z nich zasnęła, zanim ich głowy dotknęły klepiska, ale Anne, siedząc oparta o drewniane listwy, nie potrafiła zamknąć oczu ani nawet udawać, że odwraca wzrok, gdy MacGillivray zdarł z siebie kaftan i pochylił się nad korytem z wodą, by zdrapać błoto i pot.

Wydawało się, że minęły całe miesiące od czasu, gdy stała przy górnym oknie w Dunmaglass, a on oblewał się po forsownej porcji ćwiczeń ze swoimi ludźmi. Wtedy jego złote włosy i muskularne ciało lśniły na tle bieli śniegu; rozbrzmiewały śmiechy i żarty koleżeńskie. Przygotowywali się, żeby wyruszyć na wielką przygodę, by odzyskać Szkocję dla swego królewicza.

Teraz kulili się w ciemnościach, w brudzie, większość była zbyt zmęczona, żeby się przejmować taką przyziemną rzeczą, jak błoto lub to, że mogą śmierdzieć dla kogoś leżącego obok. Anne podejrzewała, że gdyby jej tu nie było, upierającej się do końca przy pozostaniu w roli pułkownika, John rzuciłby się na ziemię w swym chwalebnym brudzie i chrapałby tak głośno jak inni. A może byłby do tego stopnia rozczarowany nocnym fiaskiem, że

pojechałby dalej do Dunmaglass, gdzie nowo zaślubiona żona otoczyłaby go ciepłem i opieką.

Nie, pomyślała, obserwując go, jak rozpryskiwał wodę z dłoni w fontannę jasnych bryzgów. John MacGillivray nigdy by się nie wycofał tylko dlatego, że losy są tak zdecydowanie przeciwne wszelkiej szansie, zwycięstwa. Zaangażował w to swoich ludzi, swoje życie, swój honor, żeby stanąć do walki, której początkowo był niechętny, ale teraz, gdy już tu jest, nie widzi odwrotu. Żadnych kompromisów. Ani łatwego poddania się.

Lord George desperacko starał się przekonać księcia, żeby wycofał wojsko poza Inverness, gdzie będą mogli odpocząć, napełnić brzuchy gorącą strawą i zebrać siły, których im potrzeba, by pokonać świeże, dobrze wypoczęte oddziały Cumberlanda. Odgłosy dyskusji dobiegały do uszu Anne i MacGillivraya, kiedy wlekli się drogą, i gdyby go nie powstrzymała, mocno ścisnąwszy mu ramię, John byłby wyjął pistolet i zastrzelił Irlandczyka O'Sullivana, który, gdy tylko lord George nie mógł go słyszeć, zaczął ciskać nowe oskarżenia o tchórzostwo i zdradę.

Ale księżę odmówił wycofania się kolejny raz. Upierał się, że jego dzielni górale pozbierają się i będą szarżować i walczyć do upadłego, jeśli tylko ich dowódcy okażą dość męstwa.

- Szkoci - powiedział O'Sullivan - są zawsze dobrymi żołnierzami, dopóki nie dojdzie do kryzysu, wtedy jedynym słowem, jakie znają, jest odwrot.

To wystarczyło, żeby prawie każdy z mężczyzn sięgnął do pałasza, a niektórzy nawet chcieli zawrócić i pomaszerować prosto do Nairn.

- Powinnaś postarać się trochę pospać - poradził MacGillivray, wrywając Annę z rozmyślań. Stał przed boksem, który mężczyźni ustawili dla jej prywatności, i wygrzebywał cygaro z sakwy przy siodle.

- Tak zrobię, tylko... próbowałam rozmasować skurcz w nogach - powiedziała, rozcierając łydki z tyłu.

Przez chwilę śledził ruch jej dłoni, potem schylił się i zapalił cygaro od nikłego płomyka migoczącego w latarni. Dym uniósł się nad jego głową obłoczkiem. Kiedy na koniec rozdmuchał dość dobry żar, opuścił na miejsce osłonę lampy i rozkoszował się długim, głębokim zaciągnięciem.

- Czy mogę?

Spojrzał w dół na nią i zmarszczył brwi.

- Co możesz?

- Spróbować zapalić - powiedziała, wskazując na jego cygaro.

- Nie, nie możesz. To już wystarczająco okropne, że ubierasz się jak mężczyzna i siedzisz na koniu po męsku; nie przyczynię się do tego, żebyś charknęła i pluła jak mężczyzna.

- To może choć podejdiesz i siądziesz przy mnie na chwilę? Przywykłam do tego zapachu i lubię go, przynajmniej nie czułabym odoru tego czegoś, co zajmowało ten boks przed nami.

Uśmiechnął się, ale wciąż się wahał.

- Annie, ja...

- Tak, jasne, jaka jestem samolubna. Ty też potrzebujesz snu. Proszę, idź. Zamknę po prostu oczy i pomyślę o wrzosach po letnim deszczu.

- Nie to chciałem powiedzieć.

Spojrzeli na rzędy ludzi śpiących na klepisku szopy. Było ciemno, nie licząc paru promyczków dziennego światła wdzierających się przez szpary w deskach smugami, w których wisiały drobinki kurzu. Wydawało się, że prócz nich nikt nie czuwa, a jeśli nawet, to rozmyśla o swoich pęcherzach na stopach, a nie o niestosowności konwersacji szeptanej w boksie wypełnionym sianem.

MacGillivray wypuścił następną smugę dymu i schylił się ostrożnie, przeczekując kurcze, by nie urazić własnych zdrętwiałych nóg, gdy siądzie obok niej.

Oboje przez kilka chwil milczeli zatopieni we własnych myślach, wsłuchując się w plusk marznącej mżawki.

- Nie miałam okazji ci podziękować.

- Za co, dziewczyno?

- Za sprowadzenie Angusa do domu tamtej nocy.

- A! Za to. A ja myślałem, że masz zamiar mi dziękować za podpisanie tej petycji, dzięki czemu możesz być tutaj z nami i odmrażać sobie... no, po prostu marznąć.

- Niełatwo ci pochlebić, Johnie MacGilliway.

Zanim pomyślała, co robi, wychyliła się i położyła mu dłoń na policzku, obracając mu głowę tak, że jego wargi znalazły się tuż przy niej. Pocałunek, który na nich złożyła, nie mógł być rozumiany inaczej, niż jako przyjacielski, żartobliwy gest, ale w jego ciemnych oczach nagle pojawił się bezmiar ostrożności.

- Byłeś dla mnie, Johnie, dobrym i droгим przyjacielem - powiedziała miękko. - Nie chcę, żeby to się kiedykolwiek zmieniło.

- I nigdy się nie zmieni, dziewczyno, masz na to moje słowo.

Uśmiechnęła się i sięgnęła w dół, by wyjąć cygaro z jego nieopierających się palców.

Koniec był wilgotny i smakował trochę gorzko, kiedy włożyła go do ust. Udało jej się zaciągnąć dość łatwo, ale natychmiast, kiedy poczuła dym na języku, zrozumiała, że to jest chyba jedno z najmniej przyjemnych wrażeń, jakich doświadczyła od czasu, kiedy w dzieciństwie bliźniacy wyzwali ją, by polizała ropuchę.

MacGillivray uśmiechnął się.

- Nie połykaj dymu, dziewczyno - ostrzegł.

- He?

- Wypuść dym. Wydmuchnij przed siebie, zanim ci się dostanie do nosa.

Posłuchała go z głośnym pufnięciem i oddała mu cygaro z takim pośpiechem, że John parsknął rozbawiony.

- Może ja nie umiem przyjmować komplementów, ale za to ty zawsze lubiłaś wkładać palec w ogień, by się przekonać, czy parzy. Czy teraz jesteś zadowolona, że masz w ustach smak przypalonego polana?

Uśmiechnęła się na potwierdzenie, ale nie wiadomo dlaczego łyzy jej nabiegły do oczu. Po zmarzniętych policzkach pociekły dwie gorące, piekące strużki i choć bardzo się starała, nie potrafiła ich zatrzymać.

MacGillivray zaklął i wyjął cygaro z ust. Potem, nie zważając na to, czy ktoś zwróci na nich uwagę, czy nie, rozłożył szeroko ramiona i przycisnął Annę do piersi. Poddała się chętnie, nawet trochę bezradnie, i to John, delikatnie odgarniając mokrą płataninę jej włosów, przeszedł bez ogródek do sedna sprawy.

- Nic mu się nie stanie, dziewczyno. Nie jest nawet w połowie taki miękki, za jakiego go masz.

Potrząsnęła głową, wciąż wtulając twarz w jego szyję.

- Ja tylko chciałabym wiedzieć, gdzie jest w tej chwili, co sobie pomyślał, kiedy nie udało nam się zaatakować obozu.

- Pewnie pomyślał, że księżę odzyskał rozsądek. I pewnie jeszcze leży w ciepłym łóżku albo przeciąga się i zabiera do gorącego posiłku. Właśnie teraz pewnie myśli, jakim był cholernym głupcem, że tam wrócił, że mógł tu z tobą zostać, zamiast zostawiać cię w rękach takiego szelmy jak ja.

Wydała zduszony dźwięk, który brzmiał na pół jak łkanie, na pół jak śmiech, a John spróbował nie ścisnąć jej zbyt mocno, nie zdradzać się przed nią ze swoją słabością, gdy wtuliła się wdzięcznie w ciepło jego ciała.

25

Angus chodził w kółko po namiocie, dopóki nie usłyszał werbli wzywających wszystkich do broni o wpół do piątej. Domyślał się, że coś fatalnie pokrzyżowało plany ataku; jego obawy potwierdziły się, gdy usłyszał przed namiotem spokojne rozmowy ludzi udających się na apel.

Ciało Worshama stało się w tej sytuacji poważnym problemem. Na dworze jeszcze było ciemno, ale za kilka minut uliczki miały się wypełnić żołnierzami spieszącymi na główny plac apelowy, żeby dołączyć do swoich kompanii i zacząć marsz w stronę Culloden. Na pewno będzie przy tym sporo zamieszania, ale nie aż tyle, żeby nikt nie zwrócił uwagi na człowieka niosącego martwego majora przerzuconego przez plecy. Angus nie mógł też wytłumaczyć tej śmierci jako nieszczęśliwego wypadku ani nawet obrony własnej i zostawić ciała tam gdzie leży, by je odkryto po bitwie.

Przestał rozmyślać, co ma zrobić, kiedy wlepił wzrok w płócienną klapę namiotu i dostrzegł z drugiej strony czyjeś oko wpatrujące się w niego równie intensywnie.

Odskoczył gwałtownie, a serce podeszło mu do gardła. Chwilę później jego adiutant Ewen MacCardle wetknął głowę pod płachtę, niosąc małą tacę z czymś do jedzenia i filiżankę parującej czarnej herbaty.

- Dzień dobry, kapitanie. Generał wydał rozkaz, żeby nie rozpalać ognisk i nie wydawać ludziom żadnego posiłku. Myśli, że będą lepiej walczyć o pustym brzuchu. Ale udało mi się znaleźć dla pana parę sucharów i trochę sera.

Angus poczuł, jak pot występuje na czoło, gdy badawczo wpatrywał się w adiutanta. Gdyby to Robert Hardy mu asystował, nie zawahałby się przed wtajemniczeniem go. MacCardle był jednak grzecznie obojętny i nigdy z nim nie było wiadomo, na czym się stoi - czy zgadza się, czy nie, czy pochwala, czy się brzydzi, czy podziwia.

- Mam mały problem - powiedział Angus powoli. - Liczyłem na to, że mógłbyś mi w nim pomóc.

- Tak jest, kapitanie, jeśli tylko dam radę.

Angus sięgnął za pazuchę i wyciągnął kokardę z białej wstążki. Jeśli MacCardle odskoczy lub krzyknie na alarm, gra skończy się tu i teraz, i nie będzie miało znaczenia, czy w namiocie zostanie znalezione ciało, czy nie.

MacCardle utkwiał oczy w kokardzie i wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem popatrzył w górę na twarz Angusa. Wtedy stało się jasne, że widzi siny guz na skroni i nieudolne próby ukrycia go pod falą brązowych włosów. Orzechowe oczy, które MacKintosh uważał do tej pory za nieodgadnioną znów spoczęły na kokardzie i zawisły na niej przez następną długą chwilę, zanim adiutant zacisnął wargi i kiwnął głową.

- Nie jesteś za bardzo zdziwiony.

- Że pan jest rebeliantem udającym oficera Królewskich Szkotów Jego Wysokości? - Wzruszył ramionami. - Połowa ludzi w góralskich brygadach nosiłaby barwy Stuartów, gdyby się nie musiała martwić, że żony i dzieciaki zostaną bez dachu nad głową, kiedy ich domy zostaną spalone.

- A ty? Masz żonę i dzieci?

MacCardle uśmiechnął się, odsłaniając zepsute zęby.

- Po prawdzie, to mam dwie żony, jedną w Glasgow, a drugą w Perth. Ta pierwsza ma gębę jak ugotowany dzik, ale jej ojciec jest bogaty i powiedział, że mam się przyłączyć do Campbellów, żeby chronić jego ziemię. Dziewczyna w Perth jest gładsza i miłsza, a jej bracia są z lordem Johnem Drummondem. Więc jeśli mnie pan spyta, gdzie wolałbym teraz być, to odpowiem, że w Perth, ale jeśli mnie pan poprosi, żebym pomógł wbić ostrze w brzuch grubemu Williemu, muszę powiedzieć, że w Glasgow.

- Ostrze, niestety, już zostało wbite. - Angus wydmuchnął powietrze i przeszedł przez namiot do pryczy. Podniósł krawędź koca, przyglądając się ukradkiem, jak orzechowe oczy zerkają w dół i rozszerzają się lekko na widok sztywnego ciała.

- Tak, kapitanie - mruknął MacCardle. - To faktycznie spory problem.

- Muszę się stawić na placu apelowym z moim regimentem. Bóg jeden wie, co się wydarzy dziś na polu bitwy, ale jeśli ciało majora Worshama zostanie tu znalezione, tak czy inaczej, już po mnie.

MacCardle lekko skrzywił się, rozważając, jaki ma wybór.

- Ano, to niech pan idzie, kapitanie. Niech mi pan zostawi tego drania. Myślę, że jakoś sobie z nim poradzę.

- Wystawisz się na wielkie ryzyko, Ewenie, jeśli mi pomożesz.

- No to niech pan szybko idzie do swoich spraw, żebym się za długo nie zastanawiał i w końcu nie rozmyślił.

Angus wetknął białą kokardę z powrotem za bluzę i sięgnął po beret. Na odchodnym rzucił jeszcze raz okiem na pryczę, potem na MacCardle, po czym wyszedł na dwór w marznącą mżawkę i dołączył do strumienia ludzi posuwającego się ku placowi apelowemu. Znalazł własny regiment i stanął na baczność na nieznośnym zimnie, zgadując, że jest ich wszystkich razem z dziewięć tysięcy, stojących i czekających na rozkaz wymarszu.

Na sygnał doboszy, przeszli na spocznij, wysuwając prawą stopę, dużym palcem dotykali do pięty żołnierza stojącego z przodu, zamki muszkietów wetknąwszy pod pachę, by zachować suche panewki i komory. Maszerowali w kolumnach szóstkami, kierując się na zachód doliną Nairn, salutowani przez dwa ciężkie działa ustawione na zboczach Balblair House.

Jego Łaskawość, książę Cumberland, siedział na koniu i przyglądał się, jak ludzie wybijają krok, podziwiając ich precyzję i determinację. Trudno

byłoby go pomylić z kim innym: ubrany był w szkarłatny frak, przepasany grubą złotą taśmą opłotem. Szerokie, spiczaste klapy w barwach królewskich obramowywały twarz ponurą i złowrogą jak zimowe niebo, bo złożył obietnicę, o której dobrze wiadano w całym obozie, że osobiście powywiesza ich co do jednego, jeśli choć przez myśl im przejdzie zawrócić i uciec z pola walki tego dnia. Ponieważ zaś słyszał, że jego kuzyn często dodawał ducha żołnierzom, maszerując w ich szeregach, więc kiedy przyszedł czas, by i on dołączył do swoich ludzi, zsiadł z konia i oddał lejce adiutantowi, a potem dotrzymał kroku regimentowi piechoty, który wiwatował tak głośno, że w gwarze tym utonęło wybijanie rytmu przez doboszy.

Dwanaście mil dalej książę znów dosiadł konia i zajął miejsce na wzniesieniu na południowo-wschodnim brzegu wrzosowiska Drummosie, gdzie wyznaczył sobie punkt obserwacyjny. Było zimno i pogoda była ohydna, ale przynajmniej grad siekł ich w plecy, a nie w oczy, jak jakobitów.

Angus nie mógł się powstrzymać od wpatrywania w drugą stronę pola, we wrzeszczącą ścianę tartanu i stali, rozmyślając nad szaleństwem: tak niewielu stawiających czoło tak wielu. Major Hamilton Garner przejechał obok, na chwilę odwracając uwagę Angusa pytaniem, czy widział tego ranka majora Worshama. Kątem oka Angus dostrzegł, jak Ewen MacCardle wydmuchuje obłoczek pary w zamglone powietrze, gdyż dogonił już swojego kapitana na drodze i od niechcienia wspomniał, że "problem" został zagrzebany w ogromnym stosie, na którym kucharze palą odpadki.

A potem już nic mu nie przeszkadzało śledzić, jak oficerowie przemykają w tę i z powrotem wzdłuż linii, rozkazując ludziom gotować broń.

MacGillivray jechał prosto w szarą zasłonę z potoków deszczu i gradu, która rozpostarła się nad całym wrzosowiskiem Drummosie i zasłoniła wszystko, co leżało po przeciwnej stronie pola. Nagle deszcz ustał, a John ściągnął lejce, wstrzymując konia zaskoczony.

Były ich tysiące. Osiem, dziewięć, może dziesięć tysięcy żołnierzy w czerwonych mundurach, ustawionych w kwadraty oddziałów, maszerujących na pole z idealną precyzją, jak szeregi rzymskich setników. Każdy nosił czerwony kubrak i białe bandolety, getry do kolan i sztywny skórzany kołnierz. Na prawo pierwsza dywizja rozciągała się tak daleko, że zagradzała drogę przez

wrzosowisko. Jak okiem sięgnąć, dywizje kawalerii stały spokojnie, gdyż ich konie były wyćwiczone do wyczekania, aż artyleria zbierze krwawe żniwo, wtedy dopiero ruszały z kopyta na pole.

Armia jakobitów była o połowę mniej liczna i zajmowała połowę wrzosowiska, mimo że wodzowie próbowali rozciągnąć swoje kompanie tak, by stworzyć pozory większej siły. Lord George dowodził prawym skrzydłem złożonym z Cameronów, Stewartów i jego własnych ludzi z Atholl. Ci ostatni wspierali na niskim żywo płocie połączone ramiona. Ogrodzenie rozciągnęło się przez lata, gdy parkowe tereny Culloden rozszerzały się na wschód. Był to jeszcze jeden punkt sporny pomiędzy księciem i jego generałem. Lord George uważał, że tak liczne torfowe i kamienne murki, mogą zagradzać drogę i utrudniać ruchy żołnierzy. Książę przekonywał, że będą stanowiły dobrą osłonę.

Lord John Drummond dowodził środkiem i tam właśnie jechał MacGillivray, witany okrzykami ludzi z klanu Chattan - pięciuset silnych mężczyzn znajdujących pocieszenie w tym, że są blisko własnych ziem i domów, więc jeśli padną na polu chwały, nie będą leżeć zapomniani bez własnego grobu.

Książę Perth dowodził lewym skrzydłem i musiał ułagodzić tysięczną grupę MacDonaldów z Keppoch, Glengarry i Clanranald. Ci, którzy przybyli do Culloden dopiero tego ranka, byli rozgniewani, że postawiono ich tak daleko od zwykłej pozycji po prawej. To uparty stary Keppoch, który przeżywał gniew, obserwując pole, zauważył, że lewe skrzydło jest ustawione ukośnie pod takim kątem, że z tej strony odległość między dwiema armiami nie przekracza pięciuset metrów, gdy po drugiej wynosi dobre osiemset. Wysłał gońca do lorda George'a, by się dowiedzieć, czy to można poprawić, ale nim otrzymał odpowiedź, pierwsze działo z chaotycznie ustawionej artylerii księcia Karola wystrzeliło wskutek pomyłki na pół uśpionego artylerzysty.

Anne nigdy nie lubiła burzy; jako dziecko myślała, że niebo rozdziera jej się nad głową i za chwilę zwali się na nią trzaskiem. Kiedy zaczęła się kanonada, brzmiała zupełnie jak potężna burza z piorunami, i dawne obawy Anne, o których nie pamiętała od dwudziestu lat, na nowo w niej odżyły. Ziemia się trzęsła i deski szopy drżały. Siano i nawóz sypały się z krokwi jak gruby grad. Po dziesięciu minutach nieprzerwanego dudnienia, luźna belka pękła i spadła na klepisko, omijając Anne o metr lub dwa i przyspieszając jej decyzję opuszczenia tymczasowej kryjówki.

Wiatr zdarł jej pled z głowy. Marznący deszcz zacinał, siekąc prosto w twarz, płosząc ogiera jeszcze bardziej niż wystrzały armatnie. Anne zagnała konia pod osłonę drzew i wyciągnęła szyję, by coś dojrzeć przez mgłę i grad, zaniepokojona dużymi szarymi pióropuszcami dymu wznoszącymi się nad wrzosowiskiem Drummosie. Z odległości kilometra docierały do niej

zawodzenia dudziarzy i klanowe okrzyki cath-ghairm. Ponieważ Anne widziała żołnierzy pod Falkirk, mogła ich sobie teraz wyobrazić: klany rozciągnięte na całą szerokość pola w wirującej ruchomej masie czerwono-zielono-niebieskich tartanów, czekające na sygnał generała, by runąć na linie Anglików jak sfera spuszczonej ze smyczy.

Księżę znajdował się na wzniesieniu, skąd pozdrawiał wojsko. Jego ogromny jedwabny sztandar trzepotał na wietrze, a on sam dosiadał białego ogiera, prezentując królewski majestat przybrany w błękit i złoto. Może nawet podobnie jak pod Falkirk miał łzy w oczach na widok swych dzielnych górali ruszających do boju.

Anne zadarła głowę i nasłuchiwała odległej kakofonii wrzasków i pisku dud, ale teraz dołączył do tego jeszcze jeden znajomy odgłos. Ponad hukiem ciężkiej artylerii dotarł do niej trzaskający odgłos palby z muszkietów. To też wywołało w niej wizję klanów łamiących szeregi i pędzących naprzód. Wodzowie i lairdowie na pewno prowadzili natarcie, ścinające krew w żyłach, gdyż hierarchia systemu feudalnego dyktowała porządek honoru. Za wodzami postępowali właściciele ziemscy i szlachetnie urodzeni, potem ich dzierżawcy, a dalej niższe klasy pospolitych parobków, pasterzy owiec i sług. Druga linia jakobitów składała się z Irlandczyków, Francuzów i gwardii Królewskiej Piechoty. Tutaj też znajdowała się Królewska Konnica lorda Elcho, kawaleria złożona ze szlachty. Ich konie zostały dotkliwie zdziętkowane przez zimno i brak furazu, ale wciąż jeszcze starczało ich dla około setki elegancko ubranych oficerów, którzy palili się, by ruszyć do ataku na sygnał dowódcy.

Anne pogładziła szyję Bruce'a, odgadując tę samą niecierpliwość i dreszcz podniecenia w jego mięśniach, jakie czuła w sobie. MacGillivray kazał jej się trzymać z daleka od pola bitwy; nie wyraził jednak wprost zakazu znalezienia lepszego stanowiska. Uczyniwszy w myśli to małe rozróżnienie, podciągnęła się na siodło i puściła siwka krótkim galopem, kierując się na wzniesienie nad drogą wiodącą na wrzosowisko.

Klany zostały wprost porażone przez artylerię Cumberlanda. Po raz pierwszy walczący zetknęli się bezpośrednio z angielskimi kanonierami. Pod Prestonpans pokonali nieprzyjaciela przez zaskoczenie, a pod Falkirk armaty Anglików ugrzęzły w bagnie i zostały porzucone przez żołnierzy Mawleya uciekających z pola.

Pod Culloden działa wtoczono na wrzosowisko jeszcze przed nadejściem ludzi, a obsługiwali je oficerowie znający swoje rzemiosło. Salwa za salwą armaty były ładowane i odpalane z idealną precyzją, najpierw w grupę rozstawionych byle jak dział jakobitów, które salwa zrzuciła z lawet i wysadziła w powietrze w ciągu pierwszych dziesięciu minut. Następnie kąt nachylenia

zmieniono i wielkie czarne lufy wycelowano w przednią linię jakobitów. Wrzask, który Anne usłyszała, to nie były okrzyki klanowe, tak krzyczeli rozdzierani na strzępy kulami. Książę, zaskoczony tym, że jego własna pozycja znalazła się pod ostrzałem artyleryjskim, był zmuszony się cofnąć. Nie wydał na czas wodzom rozkazu rozpuszczenia szyków. Zanim to zrobił, angielscy kanonierzy przestawili się na kartacze - setki malutkich śmiercionośnych kulek upakowanych w eksplodującą skorupę, która rozpryskiwała się po polu jak grad, przed którym nie było obrony innej niż ciało żołnierza w pierwszym szeregu.

Lord George, rozwścieczony niekompetencją księcia, dał swoim ludziom sygnał do szarży, nie czekając na królewski rozkaz. W jego ślady poszli Lochiel i lord Drummond, a kolejne komendy rozchodziły się falą wzdłuż linii wojsk. Ostatnimi, do których dotarło, że szarża się rozpoczęła, byli MacDonaldowie, mający też największy dystans do przebycia; każdy krok pokonywali pod powtarzającymi się salwami z muszkietów wystrzelanymi z jakby nieruchomej ściany czerwonych mundurów.

Ludzie z klanu Chattan nacierali na łeb na szyję na pierwsze szeregi Cumberlanda. Pod wodzą MacGillivraya, skęcili, by uniknąć mokradła i błota w pobliżu środka pola, aż znaleźli się, biegnąc ramię przy ramieniu, obok Cameronów. Oni pierwsi dotarli do linii wojsk rządowych, rozpraszając przerażonych żołnierzy samym impetem swej furii. Lochiel upadł, mając kostki nóg strzaskane kartaczem, ale jego bracia Alexander i Archibald ponieśli dalej cały gniew klanu, siekąc i wyrabując sobie drogę przez szeregi piechoty, wycinając taką głęboką i krwawą wyrwę wśród wojsk rządowych, że nieświadomie odsłanili własne skrzydła na ogień oddziałów, między które się wdarli. Ujęci w śmiertelny krzyżowy ogień, nie mieli innego wyboru, jak tylko wycofać się i czekać na wsparcie ze strony innych klanów, lecz żaden z nich nie znajdował się na tyle blisko, żeby im przyjść z pomocą.

Lord George Murray zaatakował linię wroga po prawej, gdzie rozpętała się walka tak zajadła, że jego ludzie musieli się wspinać na swoich poległych towarzyszy, by dosięgnąć żołnierzy angielskich. Oddziały Cumberlanda nie przerywały stałego, precyzyjnego porządku: ładuj, pal, ładuj; nawet nie potrzebowały celować do gęsto stłoczonej masy górali w kiltach. Tych, którzy przeżyli salwy kartaczy i palbę z muszkietów, dosięgały bagnety z hartowanej stali, wbijane przez zdało się nieruchomą ścianę zdyscyplinowanej piechoty.

Rozczarowani tym, że czerwone kubraki nie chciały zawrócić i uciec, jak to zrobiły poprzednio, oburzeni śmiertelnym żniwem we własnych szeregach, jakobici zaczęli się cofać. Cumberland obserwował to z uśmiechem triumfu i skinął na ludzi z drugiej linii, którzy ruszyli naprzód, świeży i wypoczęci, gotowi ulżyć nadwerężonym przednim szeregom.

Lord George, widząc na pozycjach strzeleckich tę nową barierę z piechurów, głęboką na sześć kroków, ocenił, że atak nie ma szans powodzenia i wy wrzeszczał rozkaz odwrotu. I wtedy właśnie zobaczył, ku wielkiemu przerażeniu, że kamienne murki, na których rozebranie nie uzyskał zgody księcia, są teraz obstawione ludźmi Cumberlanda, wyborowymi strzelcami, którzy podparli muszkiety na górnych kamieniach i wybrali sobie jako bezbronny cel nieosłonięte plecy wycofujących się górali.

Oślepieni przez deszcz, dym i zamęt, górale torowali sobie drogę powrotną przez pole zasłane poległymi i konającymi. Podczas szalonego natarcia MacGillivray stracił z oczu Jamiego i Robbiego Farquharsonów, ale teraz dojrzał ich, leżących razem w plątaniu skrwawionych ramion i nóg jednego zastrzelonego przy próbie odciągnięcia drugiego w bezpieczne miejsce. Eneasza znajdował się obok MacGillivraya. Na widok swych poległych braci odwrócił się i wzniósł pałasz, wykrzykując obelgi pod adresem Anglików. Dwie, trzy, pięć kul plasnęło go w pierś, w brzuch, w ramiona, kiedy wciąż nacierał na linie rządowe, odrabując pałasz wraz z dłońmi pierwszemu żołnierzowi, który stanął mu naprzeciw, rozszczepiając czaszkę następnemu, a na koniec padając bez życia pod ciosami bagnetów tuzina piechurów.

Właśnie wtedy, gdy zdawało się, że chociaż część górali mogłoby wycofać się bezpiecznie, Cumberland pchnął do bitwy jazdę, w liczbie pięciuset jeźdźców. Byli to ci sami dragoni, którzy uciekli pod Prestonpans i później pod Falkirk, a teraz, na widok górali okaleczonych i bezbronych, znaleźli szczególną uciechę w ściganiu i zabijaniu nawet tych, którzy rzucili broń i poddali się, podnosząc ręce.

Siekący ulewny deszcz nie pozwalał, by dym się rozwiął. Powietrze było nasycone siarką. Lord George, ranny w kilku miejscach, z twarzą zalaną krwią, zobaczył, że otwiera się dla nich tylko jedna droga ucieczki i krzyknął na swoich ludzi, by zbili się razem i uciekali drogą przez wrzosowisko. Sztandar księcia już został opuszczony. Nie było widać królewskiej postaci na białym wierzchołku i tuż po ruszeniu kawalerii do ataku, wzniesienie zostało przez nią stratowane.

Cameronom i MacKintoshom, z których i jedni, i drudzy stracili w rzezi połowę swoich ludzi, przypadło osłaniać odwrot. Alexander Cameron objął prawą stronę, a na znak dany przez Johna MacGillivraya, MacKintoshowie zajęli pozycje do obrony lewego skrzydła. Przez cały czas natarcia, podczas tej strasznej rzezi, MacBean i MacGillivray zdołali się trzymać razem i teraz walczyli ramię przy ramieniu, zbierając swoich ludzi, żeby powstrzymać atak żołnierzy zdążających ku nim niepowstrzymanym morzem czerwieni i bieli.

- Teraz do Moy Hall, tak? - parsknął Gillies, utkwivszy wzrok w grupce żołnierzy, którzy zbliżali się na przełaj przez pole i z głupawym uśmiechem wystawiali ku nim ostrza bagnatów.

- Tak, tam się spotkamy, bracie - odparł John, całą uwagę mając skupioną na grupce piechurów otaczających trzech rannych ludzi z Atholl.

- Myślisz, że dadzą nam kawałek mięsa? I prawdziwe łóżko do spania?

- Bez wątpienia, chłopie. I jeszcze kufel dobrego piwa dla ugaszenia pragnienia.

- To dobrze. - Gillies obejrzał się przez ramię i uśmiechnął się. - Może i było warto tak się męczyć.

John wyciągnął do niego rękę i dwaj mężczyźni, będący serdecznymi przyjaciółmi od najmłodszych lat, mocno uściśnęli sobie dłonie, po czym się rozstali. Gillies wrzeszcząc, ruszył pędem ku zaskoczonym piechurom, wymachując pałaszem z taką zawziętością i siłą, że dwaj z nich zostali bez głów, a trzeci ujrzał swe wnętrznosci wylewające się na ziemię, zanim reszta zdołała się uformować i powalić nacierającego.

John, nieświadomy losu Gilliesa, ruszył na pomoc trzem rannym z Atholl, przepędzając pierwszego z piechurów królewskich, zanim Sassenach zdążył zauważyć za sobą rozjuszonego lwa. Drugi i trzeci czerwony mundur też zaczął się wić na ziemi z okropnymi ranami, gdy tymczasem czwarty naprawdę ośmielił się stawić opór i wznieść bagnat. Jedno machnięcie pałasza MacGillivraya złamało muszkiet na pół i pozostawiło żołnierza zapatrzonego w krwawy kikut tam, gdzie zwykle było jego ramię. Ranni górale upadli na jeszcze innego żołnierza, a ponieważ byli bez broni, wyrwali mu jego własny muszkiet i ogłuszyli go razem z resztą z tej grupy.

Ostatni z rojalistów, porucznik, zamachnął się szablą w kierunku MacGillivraya i nawet zdołał mu rozciąć rękaw koszuli na ramieniu. John zerknął na rozdarcie, zaklął, potem wbił oficerowi w pierś półtora metra ostrej stali, tak że klinga przebiła go na wylot,

- MacGillivray!

Okręcił się w półprzysiadzie i zobaczył zbryzganą krwią twarz Hugh MacDugala wyłaniającą się z mgły. Była między nimi długa historia złej krwi i John poznawał po grymasie na jego brzydkiej twarzy, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ich wrogość gwałtownie się nasiliła.

- Twoi przekłeci krewni zabili mojego brata Lomacha zeszłej nocy. Poderżnęli mu gardło i porzucili go w bagnie. Znalazłem go dziś rano utopionego we własnej krwi.

- To musiała być miła odmiana - powiedział John - po tym gównie, w którym się babrzecie cały dzień, liżąc dupy Anglikom.

- To ty powinienesz wszystko wiedzieć o dupach, no nie? Słyszałem, że ta żona MacKintosha nadstawia ci swojej na zawołanie. Może wypróbuję ją raz czy dwa, jak załatwię ciebie i tego jej męża rebelianta. O, ja wiem o nim wszystko i pierwszy wzniosę okrzyk, kiedy zawiśnie na szubienicy.

John wytarł upartą strużkę krwi znad oka. Za MacDougalem zbliżało się dziesięciu lub dwunastu kolejnych piechurów, a kiedy zobaczyli złotowłosego górala stojącego im na drodze, zaczęli go otaczać półkolem.

- Stać! - ryknął MacDougal. - Ten sukinsyn jest mój! Za długo na to czekałem, żebym nie miał mu wydrzeć serca własnymi rękami.

Wzniósł pałasz i zaatakował z okropną furją. John czekał, aż wstrętny góral się zbliży; kiedy MacDugal był o pięć kroków od niego, John ujął rękojeść pałasza w obie dłonie i zamachnął się tak silnie, że odsłonięte muskułyjego ramienia błysnęły jak wypolerowany granit. Trafił tropiciela nisko, ciął jak po maśle od kolana w górę aż do krocza poprzez arterię, zatrzymując krawędź ostrza dopiero na przeciwległej kości udowej.

MacDugal jeszcze nie przestał krzyczeć, gdy upadł w fontannie krwi, pociągając za sobą pałasz MacGillivraya. Żołnierze na chwilę odplynęli do tyłu przerażeni, wpatrując się z trwogą w pozbawionego członka i krwiącego tropiciela, a potem, jak jeden mąż, spojrzeli na MacGillivraya,

- Jeśli któryś z was chce zabić mężczyznę, to niech zabija, a nie chełpi się przedtem.

Jeden z żołnierzy zaklął i wzniósł swą broń. John sięgnął dłonią do pasa i w mgnieniu oka mężczyzna padł, kuląc się, z rękojeścią sztyletu wystającą z rozłupanego czoła. Drugi zobaczył błysk stali pół sekundy przedtem, nim ostrze trafiło go w bark z takim impetem, że cios zwałił go z nóg.

Uznawszy, że MacGillivray jest teraz bezbronny, ośmiu żołnierzy, których przeżyło, rozsunało się, tworząc koło, i pewni, że go zabiją, zaczęli zacieśniać okrążenie. John stał zupełnie nieruchomo, czarnymi oczyma świdrując każdego z nich po kolei, a kiedy pierwszy żołnierz nastawił bagnet, MacGillivray schylił się po złamaną oś od wozu, która leżała u jego stóp. Z

rozmachem uderzył Sassenacha prosto w twarz, rozcinając ją jak pęczek. Następny koszący zamach rozdarł gardło drugiemu mężczyźnie i powalił trzeciego bez zmysłów. John nacierał, rycząc z wściekłości, powalając siedmiu z ośmiu piechurów, nim ostatni zdołał drżącymi palcami przygotować muszkiet do strzału i pociągnąć za spust.

Wystrzał trafił MacGillivraya wysoko w pierś i zakręcił nim. Tymczasem inni żołnierze dostrzegli, co się dzieje i rzucili się na pomoc; kilku z nich wzniosło bagnety i pchnęło nieruchomego górala kilkakrotnie, po czym pobiegli dalej, szukając bardziej podniecającej ofiary.

To co zobaczyli w następnej chwili było opadającym na nich ogromnym siwym ogierem. Wrzeszcząca rudowłosa kobieta na jego grzbiecie uniosła dwa pistolety i wystrzeliła, zwalając z nóg dwóch napastników; jeden z nich upadł na niski kamienny murek, który okazał się ocembrowaniem głębokiej studni, a kiedy jego krzyk powtarzał się echem odbitym od kamieni, podkowy Bruce'a tratowały drugiego z kompanów. Szabla Anne załatwiła sprawę z ostatnim.

Anne była świadkiem przerażającego bezskutecznego natarcia i rzezi w czasie odwrotu; w pewnym momencie niewiele brakowało, by pociągnęli ją ze sobą jeźdźcy torujący drogę księciu i wyprowadzający go w bezpieczne miejsce. Karol Stuart naprawdę płakał, szlochał ze wstydu i strachu, krzycząc na górali, by nie tracili ducha, bo nadejdzie dzień, kiedy znów staną do walki.

Na drodze zaczynało się robić tłoczno od jakobitów wycofujących się ku Inverness, ale Anne zawróciła Bruce'a na wrzosowisko, a gdy przebiła się na jego skraj, zobaczyła, co dzieje się z Cameronami i walecznymi wojownikami z klanu Chattan. Zobaczyła Gilliesa MacBeana zakrwawionego od stóp do głów, ale wciąż walczącego. Nie było ani śladu jej kuzynów, za to zobaczyła MacGillivraya... i to, co rozpościerało się za nim: pole pogromu usłane najwaleczniejszymi sercami Szkocji.

Nim otrząsnęła się z szoku na tyle, by spaść ostrogami Bruce'a i ruszyć naprzód, obaj Gillies i John zostali powaleni, a potworność ran MacBeana nie pozwalała wątpić, że jest martwy.

Anne wydało się, że MacGillivray też nie żyje, ale kiedy zsunęła się z siodła i padła na kolana obok niego, dostrzegła słaby ruch na jego szyi. Kiedy dotknęła twarzy, powieki mu drgnęły i otworzył oczy. Krzyknęła i delikatnie obróciła go na bok, a jego złotą głowę położyła sobie na kolanach.

- John! John, czy mnie słyszysz?

Oczy miał otwarte, ale spojrzeniu brak było ostrości. Cały był we krwi. Anne wytarła, co się dało rogiem pledu i przez króciutką chwilę ranny był zdolny spojrzeć przytomnie i napotkać jej wzrok.

- John...?

Westchnienie towarzyszyło opuszczeniu rzęs, John zdobył się na wysiłek, którym opłacił ostatnie spojrzenie na nią. Głowa opadła mu bezwładnie na bok. Już nie żył.

Anne chwyciła go kurczowo za poły kaftana i przytuliła mocno do siebie, zbyt otępiała, zbyt wstrząśnięta, zbyt zdrętwiała z przerażenia, żeby mieć świadomość niebezpieczeństwa nadchodzącego od tyłu.

Angielscy żołnierze przemierzali wrzosowisko, ścigając miotających się górali, ale nie bardzo się spieszyli, wiedząc, że już nic nie odbierze im zwycięstwa. Włóczyli się po polu grupkami, jak wygłodzone psy, obszukując leżące ciała, by znaleźć złoto i wartościowe przedmioty, zabijając i kalecząc każdego, kogo znaleźli. Niektórzy byli po uda uwalani krwią od przedzierania się przez zwalę trupów; inni wyglądali jak rzeźnicy, gdy rąbali i cięli.

Anne rozejrzała się dzikim wzrokiem dokoła, szukając pomocy, ale droga była pusta, nie licząc kilku kulejących maruderów. Spróbowała pociągnąć ciało MacGillivraya za barki, ale wiedziała, że nigdy nie zdoła podnieść go na konia sama. Nie dopuszczała myśli, by go po prostu zostawić.

Usłyszała krzyk i zobaczyła biegnących ku niej dwóch żołnierzy królewskich. Z gniewnym parsknięciem zerwała się na nogi, chwyciła swoją szablę i zebrała się w sobie, by pomścić śmierć dzielnego MacGillivraya.

Była prawie oślepiona gorącymi łzami, ale widziała dosyć, by rozpoznać, że obaj mężczyźni noszą czerwono-białe bluzy na przeklętym ciemnym pledzie Szkotów Jego Królewskiej Mości. Jeden z mężczyzn był oficerem i na nim najpierw skupiła swój gniew. Ścisnęła oburącz rękojeść w taki sam sposób, jak zrobił to MacGillivray, i z klanowym okrzykiem wojennym na ustach pchnęła z rozmachem. W ułamku sekundy wydało jej się, że jest coś dziwnie znajomego w poszarzałej twarzy i ciemnych kasztanowych włosach, ale było za późno, by powstrzymać impet ciosu i poczuła, jak ostrze przekłuwa znienawidzoną czerwoną wełnę i zagłębia się w żywym ciele.

Angus uchylił się instynktownie, gdy dojrzał ostrze wymierzone w siebie. Wyrzucił w górę rękę i spróbował odchylić klingę, by nie przebiła mu serca. Mimo to poczuł, jak surowa stal wbija mu się między żebra, i wszystko, co mógł zrobić, to krzyknąć na MacCardle, by opuścił muszkiet i nie strzelał.

- Anne! - szczekał zębami i osłaniał się ręką, gdy wyciągnęła szablę z rany i zamierzyła się drugi raz. - Anne, to ja, Angus!

Uniósł tym razem swoją szablę, by przyjąć drugi cios, ale już zauważał cień zmieszania w jej oczach. Przy trzecim ciosie już był w stanie skierować czubek jej broni ku ziemi, a wówczas Anne znieruchomiała i wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczyma jak ranne, zaszczone zwierzę.

- Anne... to ja, kochanie. To ja, Angus.

Jej spojrzenie przesunęło się na MacCardle'a i widząc tylko nienawistny czerwono-biały mundur, otworzyła wargi w następnym okrzyku.

- Ewen, schowaj się za mnie!

- Rozkaz, kapitanie. Z największą ochotą.

Podwładny usunął się szybko przed oczu Anne, co zmusiło ją do skupienia uwagi na Angusie.

- Annie - odezwał się tak łagodnie, a jednocześnie z naciskiem, jak tylko potrafił.

- Annie, posłuchaj mnie, kochanie. Musimy cię stąd wydostać. Musisz odjechać stąd i to teraz, natychmiast. Pozwól, że ci pomogę dosiąść Bruce'a.

- Nie zostawię Johna na łasce losu - wyrzuciła jednym tchem.

- Co? Johna? Gdzie... - Angus rozejrzał się po ciałach rozrzuconych wokół płytkiego wygrzebanego dołu w zmarzniętym gruncie, wstrząśnięty widokiem fali zakrzepłej krwi. Dojrzał jedno potężne ciało rozciągnięte na boku, z dłonią wciąż zaciśniętą na złamanej osi od wozu; prawie nie poznał tej skłębionej, zakrwawionej postaci, która była Johnem MacGillivrayem.

- O dobry Boże - szepnął. - Święty Boże.

- Boga nie było dziś na tym polu - oświadczyła Anne dziko. - Rozejrzyj się dokoła. Czy to jest dzieło współczującego, kochającego Stwórcy?

Jakiś ruch w pobliżu drogi przyciągnął uwagę Angusa. Usłyszał dwa wystrzały i zobaczył kobietę z długimi blond włosami uciekającą przed bandą ścigających dragonów. Jednym z nich był Hamilton Garner, który obcasem buta powalił kobietę na ziemię.

- Anne, nie mamy więcej czasu. Musimy cię stąd wydostać.

Wyszczrzyła zęby i znów uniosła szablę.

- Nie ruszę się z tego pola bez Johna MacGillivraya.

Angus zaklął pod nosem, ale kiwnął potakująco głową.

- W takim razie trzymaj Bruce'a, żeby stał równo. Ewen...

MacCardle czujnie wysunął się do przodu, jednym okiem śledząc Anne, drugim potężnego ogiera, kiedy razem z Angusem dźwignęli ciało i przełożyli przez siodło. Zauważono ich i kilku żołnierzy zaczęło wołać, by się zatrzymali, ale Angus to zignorował. Chwytał Anne w pasie, poderwał w górę i wsadził na siodło za MacGillivrayem, po czym podał jej lejce.

- Ruszaj stąd zaraz. Wracaj do Moy Hall - i, na litość boską zostań tam, dopóki nie wrócę po ciebie. A teraz jedź. Ruszaj!

Klepnął ogiera po zadzie płazem szabli i pozostał na miejscu, dopóki nie nabrał pewności, że Anne opuściła pole i ruszyła drogą. Wtedy zachwiał się na nogach i osunął na kolana w paroksyzmie bólu.

- Kapitanie?

MacCardle schylił się nad nim i dopiero teraz spostrzegł ogromną krwawą plamę sięgającą od pachy Angusa aż do obrębu kiltu.

26

Anne nie łudziła się, że uda się jej dotrzeć aż do Moy Hall z ciałem Johna MacGillivraya przewieszonym przez siodło. Dunmaglass znajdowało się bliżej, ale trzeba by przebyć otwarte pole. Odkąd wyjechała z wrzosowiska, już dwukrotnie musiała zjeżdżać z drogi i kryć się między drzewami, gdy grupki wrzeszczących dragonów przejeżdżały, ścigając uciekających górali. Po obu stronach drogi leżały ciała, zarówno ludzi, którzy padli w bitwie, jak i świeżo zabitych przez dragonów. Na jednym z zakrętów drogi, lord George ustawił

oddział, który miał zniechęcić żadne krwi towarzystwo z Kingston Horse do zapędzania się zbyt daleko. Kiedy Anne ich minęła, zaraz zwarli za nią szeregi i kilka minut później usłyszała strzały i wrzaski, gdy oddziałek rządowy wpadł w pułapkę.

Potem żołnierze elektora stali się ostrożniejsi, gdyż Cameronowie i ludzie z Atholl wciąż stanowili zagrożenie jako siła bojowa. Ale dragoni posuwali się naprzód, nieustępliwie siejąc śmierć. Nawet przypadkowi cywile, którzy przywędrowali na wzniesienie, żeby oglądać bitwę, zostali w końcu zarąbani razem z uciekającymi jakobitami.

Tylko garstka kawalerii księcia pozostała na koniach. Większość zwierząt albo została ustrzelona pod jeźdźcem, albo ich jeźdźcy zostali zestrzeleni z siodła i nieszczęsne stworzenia zostały opuszczone, trzęsąc się z przerażenia na polu rzezi.

Bruce miał przednie nogi i kłęby ociekające krwią, która spływała z siodła. Nie lepiej wyglądała, gdy wjeżdżali przez most do Inverness, ale to nie obchodziło Annę ani trochę. Odpowiadała tęnym spojrzeniem twarzom, które ciekawie wyglądały zza uchylonych zasłon. Zignorowała jedyne napotkanego konia i jeźdźca - porządnie ubranego dżentelmena, najwidoczniej udającego się gdzieś we własnych sprawach, jak gdyby pół piekła nie wybuchło tylko kilka kilometrów dalej. Mężczyzna z kolei przejechał na drugą stronę drogi i wpatrywał się z przerażeniem wytrzeszczonymi oczyma w Anne, która miała ręce i przód kubraka zbroczone krwią Johna, od podtrzymywania go na polu bitwy. Przypuszczała, że twarz ma również w czerwonych smugach, koloru własnych włosów, a podejrzenie to potwierdziło się, kiedy frontowe drzwi Drummuir House otworzyły się i wdowa zakryła sobie usta z przerażenia, gdy Anne zbliżała się ku niej.

- Boże wielki i wszyscy święci, to ty! - krzyknęła.

Anne przeciągnęła mankietem wystrzępionego rękawa po policzku, ale tylko rozmazała bardziej plamy.

- Nie wiedziałam, dokąd mogłabym zabrać ciało, by było bezpieczne.

Gdyby nie lwia grzywa potarganych złotych włosów, wdowa pewnie by nie poznała, kogo synowa przywiozła. Przeżegnała się, z wyrazem bólu i smutku, i dotknęła brzegu kubraka Anne.

- A tobie nic nie jest, dziecko?

Anne wcale nie była tego pewna, ale kiwnęła głową, jakby odebrało jej mowę.

- Nie wiedziałam, dokąd go zabrać. Żołnierze - lekko odwróciła głowę, jakby mogła widzieć pole bitwy przez wzgórza i drzewa - robili takie straszne rzeczy z ciałami...

Wdowa dała szcztuka w ucho jednemu ze służących.

- Nie stójcie tak, jakbyście w ziemię wrośli, głupcy! Pomóżcie zdjąć tego dzielnego człowieka. - Pomachała na dwóch domowych służących. - Ostrożnie się z nim obchodźcie! Zanieście go do domu, żebyśmy mogli go oczyścić, jak się godzi. Annie, dziecko, zsiądź z siodła.

- Muszę jechać do Moy Hall - odpowiedziała Annę urywanym szeptem. - Angus mi kazał tam jechać.

Wdowa przycisnęła dłoń do gardła.

- Więc on żyje? Mój Angus żyje? Widziałaś go?

Anne zmarszczyła brwi. Była mocno przekonana, że to Angus był ostatnią osobą, z którą rozmawiała, ale tyle różnych obrazów kłębiło jej się pod czaszką. Za dużo krwi. Za dużo bólu. Nie dalej niż dziesięć minut temu widziała leżącą przy drodze kobietę z niespełna czteroletnim dzieckiem zadżganych bagnetami.

- Muszę jechać do Moy Hall - powtórzyła. - Angus mi kazał.

Lady Drummuir poczuła zimny dreszcz, kiedy spojrzała w górę na swoją synową. Jej oczy były ogromne, niebieską tęczęwką zupełnie pochłonęły czarne rozszerzone źrenice. Drżała jak w ataku straszliwej febry, policzki miała tak białe, że bryzgi krwi odcinały się na nich jak pacnięcia czerwonej farby.

- Dobrze - powiedziała łagodnie wdowa. - Dobrze, wrócisz do Moy, gdy tylko będziesz w stanie, ale na razie zsiadaj z tej wielkiej bestii i pozwól, że się tobą zajmę. Wypijesz trochę gorącego rosołu i weźmiesz kąpiel, a kiedy będziesz wyglądała odpowiednio, żeby się pokazać swoim ludziom, to owszem, jedź sobie do Moy Hall. Proszę, zsiądź, Annie.

Oczy Anne znów napełniły się łzami, gdy przyglądała się, jak służba przenosi ciało MacGillivrayado domu. Poczuła, że lady Drummuir bierze ją za nadgarstek, i spojrzała na nią przez nowy oślepiający strumień łez, po czym kiwnęła głową. Było jej zimniej niż kiedykolwiek w życiu, trzęsła się tak mocno, że nie potrafiła sama zsiąść z konia, musiała zaczekać, aż służący

zsadzają siodła. Wdowa nawet nie dała jej możliwości pójścia na własnych nogach. Rozkazała najsilniejszemu ze służących, żeby zaniósł Anne do domu i wniósł po schodach. Zagroziła służbie, że ściągnie na nich klątwę wszystkich przodków MacKintoshów, jeśli wanna nie zostanie natychmiast napełniona parującą wodą.

Znalazszy się na piętrze, Anne usiadła na brzeжку łóżka, nie reagując, gdy pokojówka zdierała z niej zakrwawioną odzież. Gapiała się na kilka cięć na dłoniach, ale nie mogła sobie przypomnieć, skąd się wzięły. Całe jedno biodro z boku znaczyły sinoczarne plamy, ale też nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy została posiniaczona.

Pokojówka pomogła jej wstać i zaprowadziła ją do wielkiej miedzianej wanny, którą przeciągnięto przed kominek. Wstrząs, jakiego doznała, zanurzwszy się w gorącej wodzie, sprawił, że Anne rozejrzała się przytomniej i zaczęło do niej docierać, że jest bezpieczna. Nareszcie była daleko od śmierci i krwi, i już nie była sama.

Gorąca para powoli przywracała jej przytomność, gdy spłukiwano z niej mydło, a potem pozostawiono ją, by ociekła z wody. Doszła do siebie na tyle, że potrafiła podnieść do ust filiżankę gorącego rosołu, nie rozlewając połowy po brodzie.

Lady Drummur co jakiś czas wychodziła na chwilkę, ale zawsze wracała i siadała przy ogniu. Było oczywiste, że umiera z niecierpliwości, by się czegoś dowiedzieć, ale nie zadała Anne żadnego pytania, prócz tego, czy nie chce więcej rosołu.

Po trzech pokrzepiających filiżankach Anne poczuła się dość dobrze, i dość ciepło, by wyłonić się z wanny i usiąść przy kominku. Owinięta w gruby wełniany szlafrok, siadła posłusznie, nie ruszając się, kiedy pokojówka szcztokowała jej włosy i splatała je w gruby warkocz.

- Dziękuję ci - powiedziała. Przeniosła wzrok w górę znad gorących płomieni i spojrzała na wdowę. - Nie wiem, co się tam wydarzyło. Nawet nie pamiętam, jak się tu dostałam.

- Byłaś w szoku, dziewczyno. I wcale się nie dziwię. Przychodzili tu mężczyźni do moich drzwi, zostawiając wiadomości, nim uciekli.

Anne tylko patrzyła na nią i czekała.

- Żołnierze są w drodze do Inverness. Sanie dalej niż o dwa kilometry stąd.

- Muszę się dostać do Moy Hall - powiedziała Anne, odstawiając filiżankę. - Ludzie będą potrzebowali pomocy. Czy słyszała pani coś o księciu?

- Wycofał się w bezpieczne miejsce. Zabierają go do Rutlwen. Czy jesteś pewna, że chcesz jechać, dziewczyno? Lepiej by może było, żebyś tu została. Na górze są pokoje, których żołnierze nigdy nie znajdą, choćby sto lat szukali - możesz się tam ukrywać, póki na drogach nie będzie bezpieczniej.

Anne potrząsnęła głową.

- Już się czuję dużo lepiej. Prawie mogę myśleć jasno. Ludzie zbiorą się w Moy Hall i muszą wiedzieć, co dalej robić. Kiedy zabrakło Johna i Gilliesa... nikt inny im tego nie powie.

Głos jej zadrżał, a wdowa zacisnęła rękę na krucyfiksie, który nosiła na szyi.

- Gillies też padł?

Anne potaknęła i przez chwilę musiała bardzo mocno zaciskać wargi.

- Nie widziałam Eneasza ani bliźniaków, więc może ocaleli. Lord George dowodził tylną strażą, osłaniając odwrót, ale tylu ludzi rozproszyło się w lasach i po polach; potrwa kilka dni, zanim się dowiemy, kto przeżył, a kto nie.

Lady Drummuir powoli się podniosła i podeszła do okna.

- Widziałaś Fearchara?

- Nie, z wyjątkiem krótkiej chwili rano. Powiedziałam mu, żeby się trzymał z dala od wrzosowiska, ale...

- On tak samo słucha, co mu się mówi, jak i ty - powiedziała wdowa z cichym westchnieniem. - Skoro jesteś zdecydowana jechać do Moy dzisiaj, to lepiej jedź od razu, kiedy droga jest jeszcze wolna. Jedź wzdłuż rzeki po wschodnim brzegu i zatocz szeroki łuk ku południowi. Poślę z tobą paru chłopaków, dobrze uzbrojonych, tak na wszelki wypadek.

- A co z panią? Co pani robi?

- Ja? Ach, nie martw się o mnie, dziewczyno. Już miałam jednego księcia pod mym dachem i przeżyłam to. Pewnie będę miała drugiego dumnie stąpającego po pokojach, nim dzień się skończy, i to też przeżyję. Prawdę rzekłszy, to on powinien się martwić mną. Nie byłabym od tego, żeby zatruć mu zupę, jeśli mnie będzie nękać.

- Zajmiecie się MacGillivrayem? - spytała Anne spokojnie.

- Nie znajdą go. Zapewnię mu przyzwoity chrześcijański pogrzeb, zanim wydam ostatnie tchnienie.

- Chciałabym go jeszcze zobaczyć, nim odjadę.

Wdowa dotknęła jej policzka.

- Przebierz się, dziewczyno. Ja zaczekam na dole. I żadnych spodni w szkocką kratę ani pledów - ostrzegła. - Ubierz się w swój najelegantszy strój do konnej jazdy. Im więcej koronek pod szyją, tym mniej prawdopodobne, że żołnierze cię posądzą, iż przybywasz z pola bitwy.

Dziesięć minut później Anne zeszła po schodach - elegancko ubrana młoda kobieta w damskim stroju do konnej jazdy, uszytym z niebieskiego aksamitu, z kaskadą koronek pod szyją i przy mankietach.

Wdowa kiwnęła głową z aprobatą i sprowadziła Anne do piwnicy na wina. Tam, wykonawszy jakieś manipulacje przy ukrytym uchwycie za jednym z wysokich drewnianych regałów, sprawiła, że cały przedział półek otworzył się jak drzwi. Unosząc nad głową szklaną lampę, poprowadziła Anne, ostrzegając, by patrzyła pod nogi, gdy schodziły ciągiem niskich kamiennych stopni.

Anne słyszała plotki o przemytniczej przeszłości rodziny wdowy, ale nigdy przedtem nie była w "podziemiu" domu na Church Street. Okazało się, że jest to rozległe jak jaskinia pomieszczenie wykopane pod domem, i pomimo braków w zaopatrzeniu, spowodowanych blokadą, jest zdumiewająco dobrze zaopatrzone w towary czarnorynkowe. Ściany były zrobione z kamiennych bloków, sufit podtrzymywały masywne belki. Zapach ziemi i robactwa mieszał się z cieniem zapachu destylacji, wydobywającym się z rzędu antałów i beczulek ustawionych pod ścianą.

- Niektóre z tych butelek - powiedziała wdowa, wskazując na zakurzone półki na wino - leżą tu od czasów prapradziadka Angusa, a niektóre z tych beczek z uisque są jeszcze starsze. Jak go pamiętam, Wielki John byłby zadowolony z tych zapasów.

Stół na krzyżakach podparto dwiema beczkami i oświetlono aureolą świec powtykanych w butelki z woskiem kapiącym żółtawymi grudkami. Wdowa ruchem brody dała znak dwu kobietom, które krzątały się przy zmarłym, a te dyskretnie wycofały się w cień.

John miał już czystą twarz i włosy, te ostatnie jeszcze wilgotne i spadające ze skroni ciemnymi pasmami. Płócienne prześcieradło przykrywało ciężkie okaleczenia na jego ciele i wyglądał, jakby spał. Anne na pół oczekiwała, że John otworzy oczy, uśmiechnie się jednym ze swoich beztroskich uśmiechów i powie jej, że to wszystko była pomyłka.

Wyciągnęła dłoń i lekko przeczesła palcami wilgotne pukle jego włosów, potem nachyliła się i przycisnęła usta do jego czoła.

- Nie mam dużo czasu, Johnie - szepnęła - ale chcę ci podziękować za to, że zawsze byłeś przy mnie, gdy cię potrzebowałam. Chcę ci podziękować, że byłeś moim przyjacielem. Że mnie kochałeś. I chcę ci powiedzieć - dodała, zająknąwszy się, gdy jej usta musnęły ostatni raz jego wargi - że jakaś część mnie zawsze cię będzie kochała, Johnie MacGillivray, i że moje życie będzie o wiele bogatsze przez to, że cię znałam. Nie mam ci nic do wybaczenia i nigdy cię nie zapomnę.

Wyprostowała się z wysiłkiem i spojrzała na wdowę stojącą po drugiej stronie stołu.

- Gdyby pani zechciała posłać wiadomość do Dunmaglass. Elizabeth tam jest. Niedawno się pobrali w Clunas i ona na pewno będzie szalała z rozpaczy.

- Tak. Zawiadomię ją, że on jest tutaj.

Anne kiwnęła głową.

- No to już wszystko. Muszę ruszać.

- Bądź ostrożna, dziewczyno. Jeśli nie będziesz pewna, czy tam jest bezpiecznie, miń Moy Hall i jedź dalej w góry. Aksamitny strój może oszukać pospolitego żołdaka, ale nie myśl, że Cumberland nie wie dokładnie, kim jesteś. No, a teraz ruszaj. A ja tu sobie posiedzę chwilkę z Wielkim Johnem.

Anne wymieniła z teściową szybki uścisk, a potem pospieszyła z powrotem przez piwnicę i schodami na górę do tylnych drzwi Drummur House. Bruce czekał tam na nią jego siwa sierść odzyskała naturalny kolor i była sucha, choć był nieosiodłany. Dwóch uzbrojonych stajennych czekało, by powiodła dłońmi po bokach i kłębach konia i sprawdziła, czy ogier nie został w jakiś sposób okaleczony. Kiedy się co do tego upewniła, wszyscy troje wsiedli na konie i ruszyli żwirowym podjazdem, prowadząc Bruce'a za sobą. Wyjeżdżając przez bramę z kutego żelaza, usłyszeli odległe strzały armatnie i spojrzeli w stronę Kaplicy St Johna. Jakiś martwy góral leżał rozciągnięty na stopniach.

Nawet gdy zawrócili na zachód i skierowali się do mostu, dochodził ich tętent koni i krzyki kompanii dragonów galopujących główną ulicą Inverness.

Ostrzeżenie wdowy okazało się niepotrzebne. Od razu było widać, że żołnierze nie zapuścili się jeszcze tak daleko, gdyż zbocza wokół jeziora były obsadzone zmordowanymi, poranionymi ludźmi z klanów. Na drodze tłoczyli się też górale. Więcej niż tysiąc ludzi kulało, zataczało się, padało na kolana nad zimnymi, słodkimi wodami jeziora, by oczyścić rany, ugasić pragnienie i spróbować zrozumieć, co się wydarzyło tego dnia na polu bitwy. Kiedy Anne przybyła do Moy Hall, rozkazała pozarzynąć bydło na mięso. Wszystkie naczynia, do których dało się nalać wody, zostały zawieszane nad olbrzymimi paleniskami, a kurczęta, którym właśnie ukręcono szyje, wypatroszono i wrzucono w całości na rosół. Z szaf powyciągano wszystkie prześcieradła i podarto na pasy, by służyły za bandaże. Wielka sala jadalna zamieniła się w salę opatrunkową, w której doktor Archibald Cameron uwijał się jak w ukropie, by ocalić zmiażdżone kończyny i pozszywać rany. Jego własny brat Lochiel został przyniesiony z Culloden na tartanowej płachcie i leżał nieruchomo na podłodze, upiornie bledy, z obiema kostkami porozrywanymi przez kartacz. Nieprzytomny Alexander Cameron został przywleczony z pola z ręką rozciętą do kości od przegubu do łokcia. Nie było śladu po Aluinnie MacKailu ani olbrzymie Struanie MacSorleyu i chociaż Anne rozpytywała wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć, nikt nie widział jej kuzynów ani dziadka.

Lord George Murray siedział, trzymając się za głowę obandażowanymi rękoma, najwidoczniej w myśli staczał tę bitwę wciąż na nowo. Tego dnia popełniono przecież tyle błędów, i to błędów karygodnych, w większości obciążających człowieka, za którym poszli, poświęcając wszystko.

Książę zatrzymał się w Moy, ale odjechał przed przybyciem Anne, więc nie usłyszała jego płomiennej przemowy do członków klanów, w której zaklinał się, że jeszcze nadejdzie dzień, gdy zbiorą się i staną do walki. Na razie zebrali się, gdy przyjechały wozy z sąsiednich gospodarstw z kosztami chleba, dodatkowymi kocami i prześcieradłami na bandaże.

Anne nie zadała sobie trudu przebrania się ze swych aksamitów, chociaż pozdzierała kilka pasów koronki, by zrobić z nich po drodze bandaże. Kiedy więc jeszcze jeden dwukołowy wózek wtoczył się na dziedziniec i zatrzymał przed frontowym wejściem, stała w drzwiach jak plama błękitu i przyglądała się góralom, którzy przepychali się, pomagając wyładować i podzielać produkty. Niebo ciemniało, bo było już po piątej, gdy przybiegł posłaniec z Inverness z wiadomością, że Cumberland wkroczył do miasta jako wielki zdobywca, a obywatele powitali go biciem w dzwony. Pierwszym miejscem, przy którym się zatrzymał, było Tolbooth, połączony gmach sądu i więzienia na końcu Bridge Street, gdzie natychmiast uwolnił wszystkich więźniów, których jakobici

trzymali pod kluczem. Rozeszła się też wiadomość, że angielski książę, który miał kaprys sypiania w tych samych łóżach, w których sypiał jego kuzyn, skierował się do Drummuir House i zażądał gościny u wdowy.

Wszystko wirowało w umyśle Anne, tak że początkowo nie zdawała sobie sprawy, że ciężar, który górale ściągają z wozu, jest człowiekiem. Starym, kruchym, złamanym cieniem człowieka.

- Dziadek! - wyszeptała.

Fearchar Farquharson wyrwał się dwóm góralom próbującym go wynieść z wózka. Wykonał jeden sztywny krok, potem drugi, gramoląc się krok po kroku aż na górny stopień, gdzie się zatrzymał i podniósł na Anne zażawione oczy.

- Mogę teraz rzec, że żyłem tak długo po to, by ujrzeć więcej, niż kiedykolwiek chciałem zobaczyć. Wszyscy ci dzielni chłopcy - szeptał.

- Ci wszyscy dzielni chłopcy.

Anne nie myślała, że serce może jej pęknąć jeszcze raz, ale się myliła.

- Dzieciaki nie żyją - powiedział. - Cała trójka. Szukałem Wielkiego Johna i Gilliesa, ale nie mogłem ich znaleźć. - Jego oczy przez chwilę rozbłyły nadzieją, która zgasła, gdy Anne pokręciła głową. - Ach tak, dobrze, lepiej, że padli w bitwie, niż żeby mieli oglądać... to, co ja widziałem.

- Chodź do domu, dziaduniu. Jest gorący rosół i koce...

- A na co mi gorący rosół i koce, kiedy tysiąc ludzi leży na polu Culloden, odartych do naga, zostawionych na zimnie, błagających o choćby łyżeczkę wody. Co się stało z resztą tych ludzi? - powiedział głośno, obracając się i machając laską kierunku parku. - Dlaczego nie wracają pomóc swoim krewnym? Dlaczego siedzą tu owinięci w koce i popijając gorący rosół, kiedy ich ojcowie i bracia leżą umierający z braku łyka wody?

- Czy myślicie, żeśmy odjechali, nie próbując im pomóc? - spytał lord George, zbliżywszy się po cichu i stanąwszy za nimi. - Mógłbym wciąż posyłać nowych, aż wszyscy byliby wybici? Uwierzcie mi, że chętnie oddałbym życie, gdybym wiedział, że mam najmniejszą szansę wynieść stamtąd choć jednego człowieka żywego. Cumberland odmówił negocjacji. Domaga się ni mniej, ni więcej tylko oficjalnego poddania się księcia w zamian za prawo opatrzności naszych rannych i pochowania zabitych. Rzucaj na mnie obelgi, jeśli chcesz, obwiniaj mnie, jeśli chcesz, ale nie uwłaczaj honorowi tych dzielnych ludzi.

Wiedz, że oni wróciliby natychmiast do Culloden, gdybym ich o to poprosił, ale tego na pewno nie zrobię. Lady Anne, czy mogę zamienić z panią słówko na osobności?

Kiwnęła głową i oddała dziadka pod opiekę dwóch ludzi z klanu. Kiedy została sam na sam z generałem, spytała, czy może zmienić mu zakrwawione bandaże, ale potrząśnięciem głowy odrzucił jej troskliwość.

- Wie pani, oczywiście, że armia przybędzie do Loch Moy.

- Zdziwiłabym się, gdyby się stało inaczej.

- Trzeba mieć nadzieję, że kiedy rozgorączkowanie walką opadnie i żądza krwi minie, co z pewnością musi się stać, zwycięży logika i rozsądek. Wątpię, czy książę Cumberland będzie chciał uchodzić za zwycięzcę, który prowadzi wojnę z kobietami i dziećmi. Mimo to byłoby przezorniej usunąć panią z Moy Hall.

Anne potrząsnęła głową.

- Angus kazał mi tu czekać, więc nie wyjadę, póki nie usłyszę od niego, że mam zrobić co innego.

- Widziała pani męża?

- Krótco. Pomógł mi zabrać ciało Johna MacGillivraya.

Lord George zesznurował usta, Anne mogła zgadnąć, że szuka jakiegoś delikatnego sposobu powiedzenia tego, co musi powiedzieć.

- To może nie było najmądrzejsze z jego strony. Jeśli go widziano albo jeśli jego działania dla nas zostały odkryte...

- Jeśli go aresztowano albo jeśli potrzebuje mojej pomocy, to jak się o tym dowiem, jeśli będę w Ruthven lub będę się ukrywać w jaskiniach w górach? Nie, milordzie, wiem, że myśli pan tylko o moim dobru, ale uczyniłam już tyle rzeczy, by go rozczarować od początku naszego małżeństwa, byłam taka uparta, zachowywałam się czasem tak niemądrze. - Rozłożyła ręce w geście bezradności. - Gdyby nie ja, nie groziłoby mu, że może zostać powieszony. To się stało przez moje wyzwanie go, po bitwie pod Falkirk, by wziął na siebie większe ryzyko. Teraz jestem mu winna przynajmniej lojalność.

Lord George na chwilę zwiesił głowę, potem popatrzył Anne w oczy.

- Zbyt duży wpływ przypisuje pani sobie, jeśli chodzi o skłonienie go do tego ryzyka, moja droga. Angus narażał się dla nas długo przed Falkirk.

- Co pan ma na myśli?

- Chcę powiedzieć... że były inne okazje, kiedy pani mąż nam pomógł, chociaż dla swojego dobra mógł tego nie robić. Rozmawialiśmy z nim, widzi pani, zaraz po tym, jak Loudoun i Forbes zaczęli wzywać lairdów i szantażować ich groźbami aresztowania i konfiskaty dóbr, jeśli się przyłączą do rebelii. Mogę panią zapewnić, że Angus, po pierwsze, był oburzony arogancją lorda przewodniczącego. Co więcej, zawołane groźby pod adresem lady Drummuir, pani i innych lairdów z klanu miały dokładnie przeciwny skutek od zamierzonego i mogły go postawić w pierwszym szeregu pod Glennfinnan, gdybym mu nie podsunął, że może być nam przydatny w inny sposób.

Anne wpatrywała się w generała, zastanawiając się, czy w czasie bitwy nie został uderzony w głowę.

- Poprosił go pan, żeby dla pana szpiegował?

- Doskonale się do tego nadawał. Wystarczająco długo był poza krajem, na kontynencie, żeby jego brak zaangażowania w politykę był przekonujący. Był dość ważną osobą, żeby wkraść się w łaski i zaufanie zarówno Forbesa, jak i Loudouna. Pomimo że wtedy stanowczo i wyraźnie mi odmówił - zdaje się, że uczynił jakieś porównanie do tańczenia na rozżarzonych węglach - zacząłem otrzymywać listy zaskakujące i ciekawe. Przeważnie odnosiły się do wzajemnych interesów handlowych, ale pewien list zawierał zdanie lub dwa, które wydawały się bezsensowne, dopóki się nie odgadło, że „dostawy ziarna” to w rzeczywistości okręty z wojskiem. Albo że „brak mięsa”, na który uskarżają się w Perth i Stirling, oznacza, że w każdym z tych miast stacjonuje o wiele mniej liczny garnizon niż w chełpliwych oświadczeniach rządu. Wątpię, czy nawet byśmy spróbowali ruszyć przeciw generałowi Cope'owi pod Prestonpans, gdybyśmy nie wiedzieli uprzednio, że jabłka w sadach są jeszcze bardzo zielone i zupełnie niejadalne”. W ten sposób powiedział nam, że generał Cope wysyła tego dnia na pole bitwy prawie samych surowych rekrutów. Przynajmniej dwa razy się zdarzyło, że zdołał nas ostrzec w krytycznym momencie o możliwych zasadzkach.

- Angus to wszystko robił? Ale dlaczego mi nie powiedział - zwłaszcza po Falkirk, kiedy otwarcie zgodził się wrócić do Edynburga jako szpieg?

- Może nie był całkowicie pewny, jak pani to przyjmie. Sądzę, że spadło na niego jak piorun z jasnego nieba to, że była pani zdolna postawić klan pod

bronią bez jego zgody, a może uważał swój własny wkład za zbyt drobny, przychodzący za późno.

- Straceńczy honor - wyszeptała.

- Słucham panią?

- Tak to nazwał. Bohaterstwo w ostatniej chwili.

Spuściła wzrok na swoje ręce. Zaczęły drżeć tak silnie, że musiała mocno zacisnąć dłonie. Wszystkie te miesiące, kiedy gnębiła go swoją pogardą! Te wszystkie razy, kiedy była o włos od nazwania go tchórzem, podając w wątpliwość jego lojalność, jego honor! Powiedział za swojej ostatniej bytności w Moy Hall, że ma jej jeszcze coś do wyznania. Czy właśnie to chciał jej powiedzieć: że przez wszystkie te miesiące, kiedy uważała go za judasza, sekretnie pełnił służbę dla sprawy księcia?

Były pewne wskazówki, bardzo wyraźne sprzeczności w jego zachowaniu, na które zwróciłyby uwagę, gdyby nie jej buta i zarozumiałość. Choćby tamtej nocy, kiedy wykradła dokument o traktacie z biurka lorda przewodniczącego. Angus mógł po prostu wyjść zza kotary i powstrzymać ją, ale nawet nie próbowała spytać, dlaczego tego nie zrobił. Czy nie dlatego, że wrócił do biblioteki z zamiarem wykradzenia tych depesz? Czy nie dlatego, że wiedział, iż jeśli ona je weźmie, to w końcu tak czy inaczej trafią we właściwe ręce?

- Och, za jaką okropną zarozumiałą idiotkę on musi mnie uważać - szepnęła.

Lord George uśmiechnął się.

- Przeciwnie. Uważa panią za najdzielniejszą kobietę, jaką zna i sądzi, że jest pani odważna, lojalna i bezkompromisowa - a to rzadkość nawet u mężczyzn.

- Dobrze - powiedziała, odwzajemniając nieudolnie jego uśmiech - jeśli ma o mnie tak wysokie mniemanie, to jak mogłabym go teraz rozczarować, drżąc przed paru tysiącami żołnierzy Cumberlanda?

- Jestem pewien, że nie chciałby, żeby pani specjalnie wystawiała się na niebezpieczeństwo, Anne.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę, ale potrząsnęła głową.

- Nie. Jednak nie mogę uciec. Muszę być tutaj, kiedy Angus wróci do domu. Bo on wróci. Wiem to.

Lord George westchnął i ujął jej dłoń w swoje ręce, po czym podniósł je do ust.

- To dla mnie zaszczyt mieć panią w swej armii, pułkownika. Modłę się, żeby pani miała rację i żeby Angus szybko znalazł się u pani boku, gdzie jest jego miejsce.

27

Żołnierze przybyli do Moy Hall trzy dni później. Było ich około dwustu, połowa z nich oddzieliła się, żeby okrążyć jezioro od północy, a pozostali przybyli drogą od południa. Ich zwiadowcy z pewnością czekał i, by się upewnić, że lord George wyprowadził klany poprzedniego popołudnia, bo chociaż oddział podchodził ostrożnie - zwłaszcza wzdłuż traktu wysadzanego drzewami, którym dzielni wojacy pułkownika Blakeneya zbliżali się sześć tygodni wcześniej - wkroczyli do doliny, jak jej właściciele.

Wyprzedziła ich wiadomość z Inverness, że za ostentacyjną łaskawość lady Drummuir dla jej gości, uwięziono ją w Toolbooth. Ze względu na służbę Angusa w regimencie królewskim, były pewne różnice zdań dotyczące tego, co zrobić z jego jakobicką żoną. Hawley zaproponował, że skoro wzdrygając się na myśl o powieszeniu kobiety, on wyda polecenie katom, żeby użyli jedwabnych sznurów.

Cumberland był tylko odrobinę bardziej praktyczny. Wydał rozkaz aresztowania "pułkownika Anne" i wysłał kompanię, by ją przywiozła do Inverness. Ponieważ Anne została o tym ostrzeżona, ubrała się ze specjalną starannością. Kazała sobie ufryzować włosy gorącymi szczypcami i zaczesać do tyłu w koronę lśniących pukli. Suknia włożona na przywitanie gości, była z mieniącego się jedwabiu w kolorze róży, wycięta dość głęboko, żeby pokazać więcej ciała. W wycięciu delikatny skrawek muślinu skromnie osłaniał przed natrętnymi oczyma jej dekolt. Mała armia służących uprzątnęła wszelkie ślady w całym domu po ostatnich gościach, a lord George rozkazał, żeby każdy wóz,

koc i najdrobniejszy śmieć został zabrany, gdy członkowie klanów będą odjeżdżać. Tak więc, dla nieuważnego oka, park wyglądał, jakby od dawna nie był używany, a oficer, na którym spoczywał obowiązek sprawdzania doniesień zwiadowców, zastanawiał się, czy meldunki nie były przesadzone lub zgoła fałszywe. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy ich fałszywie informowano o miejscu pobytu rebelianta lub jego działaniu. Szczególnie dobrze pamiętał incydent sprzed miesiąca, kiedy laird pewnej posiadłości został powieszony na własnej bramie za szpiegostwo, a później oczyszczony z wszelkich zarzutów.

Oficera wysłano, by aresztował "rudowłosą amazonkę" o tak męskiej budowie, że na polu bitwy można ją było wziąć za górala. Uroczą młodą kobietą, która powitała go na progu Moy Hall, była może i wyższa niż przeciętne kobiety, ale dalsza część opisu zupełnie się nie zgadzała.

- Lady MacKintosh? Czy mam przyjemność z lady Anne MacKintosh?

- We własnej osobie, szanowny panie - odpowiedziała z uśmiechem. - Z kim mam zaszczyt mówić?

- Podpułkownik Thomas Cockayne, Królewska Piechota Pulteneya, do usług. - Zaczął salutować, ale spostrzegłszy jej rozbawione spojrzenie, zamiast tego się skłonił. Kiedy się wyprostował i zauważył, że ona wciąż z zakłopotaniem marszczy brwi, dodał: - Czy może przypadkiem pani mąż jest w domu?

- Wybacz pan, ale go nie ma. Sądzę, że jest w Inverness ze swoim regimentem. Może ja mogę być w czymś pomocna? Ale najpierw, proszę, gdzież moje maniery: zechce pan wejść i napić się herbaty lub czegoś zimnego? Oczekuję lada chwila kilku pań z Towarzystwa Opieki nad Sierotami z Inverness, ale jestem pewna, że towarzystwo pana, tak jak i pana wyjaśnienie, jakiej pomocy mogą od nas oczekiwać przedstawiciele króla, będą mile widziane.

Thomas Cockayne zawahał się. Zmarszczył brwi i gryzł wargę, gdyby nie drugi oficer, który wysunął się z za jego pleców na czoło partii uzbrojonych żołnierzy, mógłby rozważyć zawrócenie konia i odjechanie.

- Oddział jest gotowy do dokonania rewizji, panie podpułkowniku - zameldował kapitan. Był to starszy i brzydki mężczyzna, który jedno oko miał powleczone bielmem. Blizna na oku poruszyła jakiś mechanizm pamięci i chociaż minęło już kilka miesięcy od czasu, gdy Anne widziała kapitana Fergusa Blite'a na przyjęciu urodzinowym u Forbesa, miała pewność, że jego nie będzie tak łatwo zmieszać, jak podpułkownika Cockayne'a. Zdrowe oko kapitana tymczasem zerkało za jej ramię, gdzie wypatrywał pokoi pełnych

cennych zdobyczy, z których wszystkie były ogłoszone prawomocnym łupem dla żołnierzy zaangażowanych w niebezpieczne zadanie przeszukiwania domów znanych rebeliantów. Nie zważając na przynależność Angusa Moya do szkockiego regimentu, dwustu ludzi zgłosiło się na wyprawę do Moy Hall, wiedząc, że wrócą z plecakami o parę kilogramów cięższymi. Różowa suknia i ujmująca wzmianka o sierotach nie były przeszkodą.

- Mam tu kopię nakazu aresztowania - powiedział Blite, wydobywając dokument szerokim gestem. - A jeśli lady po prostu odsunie się z przejścia, będziemy mogli przystąpić do naszych obowiązków.

Cockayne był dżentelmenem i był tak uprzejmy, że się zaczerwienił.

- Jeśli to odpowiada jej lordowskiej mości, mamy wyraźne rozkazy. Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie w niepamięć jako przykre nieporozumienie, ale tymczasem...

- Tymczasem macie zamiar najechać mój dom, pogwałcić moją prywatność i ukraść moją własność?

- Tak - powiedział Blite. - To właśnie uczynimy. Zabierzemy też panią do Inverness, gdzie już czeka na panią przytulna cela więzienna.

Niebieskie oczy Annę zaiskrzyły się z wściekłości, mimo że sobie przyrzekła nie dać się wyprowadzić z równowagi.

- Czy mogę kazać osiodłać mego konia? - spytała urągliwie. - Czy też będę wleczona drogą w łańcuchach?

- Nic tak drastycznego, milady - powiedział Cockayne pospiesznie. - Jestem pewien, że to czysta formalność, nic więcej. - Dał znak jednemu ze swych ludzi. - Przyprawdźcie konia lady Anne. Kapitanie Blite, ma pan godzinę na przeszukanie.

Kapitan uśmiechnął się i skinął na swych gorliwych podwładnych. Jeszcze nie zanurzyli się całkiem w mroku korytarza, kiedy Anne usłyszała, jak pierwsza szafa trzaska pod uderzeniem kolby muszkietu. Należało się spodziewać, że zniszczą dużo więcej w ciągu godziny, którą im dano, bo będą rozczarowani, że znaleźli tak niewiele wartościowych rzeczy. Klejnoty rodzinne, pamiątki sentymentalne i inne cenne przedmioty zostały już załadowane na łódzie i przewiezione na wysepkę pośrodku jeziora. Rzeczy zakopano i darń starannie wyrównano, tak że nie było nic widać z brzegu.

- Czy ma pan żonę, pułkowniku? I rodzinę?

- Owszem, mam. Uroczą żonę i trzy córki. Są w domu w Londynie.

- Będą bardzo dumne z pana dzisiaj - powiedziała uprzejmym tonem poprzez odgłosy tłuczenia szkła i porcelany. - A jeszcze bardziej byłyby dumne, gdyby ujrzały pana trzy dni temu na wrzosowisku, jestem tego pewna.

Uśmiech Cockayne'a zgasł. Spędzili następne długie minuty w niezręcznym milczeniu, a kiedy przyprowadzono ze stajni Roberta Bruce, podpułkownik doznał następnego przyływu niezdecydowania, gdyż ogier był dobrze utrzymany i nie miał wypalonych znaków. Jakże okazałe prezentowałyby się na takim rumaku, jadąc promenadą w londyńskim Hyde Park.

Dopiero, kiedy Anne owinęła się ciepłym płaszczem i wspięła się na damskie siodło, porzucił te myśli, bo gdy dał sygnał dobozowi do rozpoczęcia eskorty, wspaniałe stworzenie podniosło głowę i rozpoczęło marsz, jakby znów stąpało na czele armii.

Anne zabrano prosto do Toolbooth, starego kamiennego budynku z jednym obszernym głównym pomieszczeniem, w którym normalnie odbywały się posiedzenia magistratu. Mury były szorstkie, bez tynku i farby; umeblowanie składało się z długiego stołu na krzyżakach i tuzina skromnych krzeseł o prostych oparciach. Drzwi z tyłu prowadziły do wąskiego korytarza z labiryntem cel, niewiele obszerniejszych niż trzy kroki na dwa, a czasem nawet mniej. Słaby powiew świeżego powietrza przedostawał się do nich przez wąziutkie szpary okienne.

Dokładnie na wprost więzienia, po drugiej stronie ulicy, znajdowała się największa gospoda w Inverness. Została zamieniona na kantinę oficerską, z pokojami na piętrze przydzielonymi starszym oficerom i ich obsłudze. Ponieważ w Inverness były tylko cztery główne ulice, wszystkie zbiegające się w sąsiedztwie gmachu sądu, cała okolica była zatłoczona żołnierzami, a wszyscy oni, niezależnie od tego, czym byli zajęci, zatrzymywali się, by popatrzeć na elegancko ubraną kobietę, której pomagano zsiąść z konia i którą poprowadzono do Toolbooth.

Zanim weszła do środka, Anne obróciła się i obejrzała na zaciekawionych żołnierzy. Ułatwiła im oglądanie, zsunawszy kaptur z głowy, a kiedy obróciła twarz na krótko do słońca, usłyszała cichy szmer szeptów rozpoznających ją jako *la belle rebelie*, i równie gwałtowne syknięcia, które mówiły, że to niemożliwe.

- Pani pozwoli. - Podpułkownik Cockayne wskazał ręką otwarte drzwi. Zdjął swój kapelusz z piórami obramowany koronką i czekał, żeby przeszła przez drzwi, nim ją pouczył, że nikt inny nie może być tu wpuszczony.

Powoli oczy Anne przystosowały się do przyćmionego światła w budynku. Były tam tylko dwa okna, zasłonięte od wewnątrz okiennicami, by zniechęcić ludzi do przyciskania nosów do szyby. Wysokie wieloramienne kandelabry ustawione w równych odstępach pod ścianami zastępowały światło dzienne, co nadawało pomieszczeniu ponury nastrój sali inkwizycji. Dodatkowe krzesło stało obok stołu długiego na półtora metra, za którym siedziało dziesięciu oficerów w mundurach i perukach. Rozmawiający żołnierze przyjęli swobodne pozy, dopóki Anne nie weszła do środka.

Rozmowy urwały się, jak nożem uciął. Jeden fałszywy wybuch śmiechu trwał dłużej i przyciągnął uwagę Anne do okrutnych, przypominających jastrzębia rysów generała Henry'ego Hawleya, usadowionego na dalekim końcu po prawej.

Nie można było pomylić Hawleya z nikim innym, opierając się na zasłyszanych opisach; pozostałe osoby, prócz jednej, były nieznanymi. Zaokrąglone policzki hrabiego Loudouna z popękkanymi żyłkami trzęsły się, kiedy się prostował i krzątał, przekładając kilka dokumentów leżących przed nim, a chociaż Anne wpatrywała się w niego przez kilka długich chwil, nie podniósł głowy.

Jedyna twarz, którą miała nadzieję i bała się zarazem zobaczyć, to twarz jej męża, ale Angusa tam nie było. Nie otrzymała od niego ani słowa wiadomości, ale wmówiła sobie, że brak wiadomości to dobra wiadomość. Jest oficerem, lairdem, wodzem; o jego śmierci byłoby głośno. Co więcej, podejrzewała, że jej aresztowanie przebiegałoby w dużo mniej cywilizowany sposób, gdyby nie obawiano się reperkusji ze strony miejscowych władz rządowych, wśród których najwyżej postawiony był lord przewodniczący Duncan Forbes - człowiek, który prawdopodobnie dał jej swoją osobistą gwarancję nietykalności.

- I oto stawia się przed nami - odezwał się spokojny głos z tyłu sali. - Rudowłosa wcielona diaboliczna bunt.

Anne wytrzymała wzrok. Ten, kto to wypowiedział, zdecydowanymi krokami wysunął się spod osłony cienia, a odgłos jego kroków rozlegał się echem w przestronnym pomieszczeniu, trzęsąc ścianami.

- Pani reputacja poprzedza panią, lady Anne - odezwał się ten sam głos. - Czy może woli pani, by ją tytułowano przed tym trybunałem "pułkownik Anne"?

Teraz Anne obróciła się, ale równocześnie udawała obojętność na widok niższego od siebie o głowę księcia Cumberlanda.

- Skoro nie noszę munduru ani dystynkcji, które mi pan przypisuje, może pan się do mnie zwracać jako do lady MacKintosh.

- Pani zaś może zgiąć kolano i tytułować mnie "Wasza Łaskawość" - odparł spokojnie.

- Ach, proszę wybaczyć moją ignorancję, Wasza Łaskawość - odparowała, dygając z wytworną kurtuazją. - Światło jest takie słabe, że bez formalnego przedstawienia się, nie byłam świadoma, z kim mówię.

Książę ciągle chodził wkoło niej, zataczając szerokie, wytyczone z rozmysłem koło, tak że raz chował się w cieniu, to znów wychylał z niego, wyraźnie zadowolony, że przedłuża wywołane napięcie - czego Hawley widocznie nie mógł wytrzymać.

- Przyprawiono panią dzisiaj przed nas, by odpowiedziała pani na zarzuty buntu i zdrady - odezwał się - i by zdała pani sprawę ze swych działań w ciągu ostatnich pięciu miesięcy.

- Czy mam wyliczać dzień po dniu, generale, czy tygodniami?

- Według czynów, madam. Czy zaprzecza pani, na przykład, że podniosła pani miecz i wezwała swój klan do broni, by poprzeć zdradzieckie zabiegi pretendenta, uzurpującego sobie prawo do tronu Anglii? Czy zaprzecza pani, że poprowadziła tych ludzi, by dołączyli do szeregów jakobickiego rebelianta lorda Lewisa Gordona w Aberdeen, że wzięła pani udział w wojnie przeciw armii króla na polu pod Falkirk? I czy zaprzecza pani, że była obecna na wrzosowisku w Drummosie nie dalej jak trzy dni temu?

- Czy zamierza pan przypisać mi rozpoczęcie całej rebelii, sir? Bo jeśli tak, to czuję się w obowiązku uprzedzić pana, że moje wpływy nie sięgają tak daleko.

- Miała pani dostateczne wpływy, żeby nakłonić - spojrzał w dół, sprawdzając to na arkuszu papieru - przynajmniej pięciuset członków klanu do swojej sprawy.

- To nie jest moja sprawa, sir. Tylko sprawa Szkocji. I ściśle biorąc, liczba była bliższa ośmiuset.

W świetle świec Hawley miał rysy twarzy wyostrzone jak brzytwa.

- Więc nie zaprzecza pani swojemu związkowi z pretendentem?

- Moja lojalność wobec prawowitego króla Szkocji i dziedzica nigdy nie była sekretem i jestem pewna, że lord Loudoun może to zaświadczyć. Jednak chociaż mogłam przyklaskiwać zwycięstwom księcia i wspierać część członków klanu mojego męża w decyzji, jaką im dyktował honor, nie mogę twierdzić, że miałam większy czy mniejszy wpływ na ich postępowanie niż dziesiątki innych żon, matek i siostr.

- Z których większość nie sięgnęła po miecz i nie dołączyła do mężczyzn w bitwie. - Hawley na pół uniósł się z krzesła. - Widziano panią na polu bitwy pod Falkirk.

- Doprawdy? - spytała kąśliwie. - Czy widzieli mnie ci sami dzielni ludzie, którzy przysięgają, że widzieli trzy tysiące MacDonaldów i Cameronów czających się w lesie w noc, kiedy lord Loudoun wysłał wojsko do Moy Hall, by pojmać księcia?

Loudoun wznosił oczy w górę na te słowa, czerwieniąc się, gdy każdy z jego oficerów pochylił się, patrząc gdzieś w bok.

- A więc - powiedział księżę. - Zaprzecza pani, że była pod Falkirk?

- Nie. Wcale temu nie zaprzeczam, Wasza Łaskawość. Byłam tam, tak jak dziesiątki innych żon, gdyż była to, poza wszystkim innym, wielka i chwalebna przygoda, o jaką trudno na pastwiskach i wrzosowiskach Inverness.

- Twierdzi pani, że to była rozrywka, nic więcej?

- Podniecająca rozrywka, Wasza Łaskawość.

- I chce pani, żebyśmy uwierzyli, że nie brała pani udziału w rekrutacji żołnierzy? I że te meldunki, które otrzymaliśmy o pani obecności na polu bitwy pod Falkirk, były skutkiem pomyłki?

Westchnęła.

- Zamiast odpowiedzieć, postawię pytanie temu gremium dostojnych ludzi wojny, czy zgodziliby się na obecność kobiety na polu bitwy, a tym bardziej powierzyli jej stanowisko dowódcy? Czy pan, lordzie Loudoun, zachęcałby swoją żonę do ruszenia do boju? A jeśli tak, czy oczekiwałby pan, że pańscy oficerowie i żołnierze pójdą za nią ślepo przez góry i doliny?

Kilku oficerów spuściło głowy, by ukryć uśmieški, gdyż żona lorda Loudouna była potężnej budowy, jak spory byczek, a myśl o niej podciągającej halki, by przeskoczyć błotny wał, nie pozwalała im zachować należytej powagi.

Książę znów zaczął powoli chodzić po sali, ale nie przekraczał linii stołu. Jego wzrok powędrował w dół, przenosząc się z uśmiechu Anne na głęboki szpiczasty dekolt odsłaniający szparę między piersiami. Jej płaszcz, swobodnie rozchylony, ledwie się trzymał na ramionach. Gdzieś po drodze zgubiła muślin osłaniający wycięcie sukni; a jej skóra w świetle świec prawie lśniła, podkreślając niski, ząbkowany ornament stanika i głęboki cień między piersiami. Pasma jej włosów spadały luźno, kosmyki odbijały światło i jarzyły się jak ognista aureola wokół głowy.

- Wyznam, że w niczym nie przypomina pani osoby, jaką spodziewałem się ujrzeć, lady MacKintosh - mruknął Cumberland. - Meldunki niezmiennie donosiły, że jest pani o stopę wyższa, sporo cięższa, z bujnymi włosami, które byłyby dumą brygadiera. Wyznam też, że trudno mi wyobrazić sobie panią wjeżdżającą na pole bitwy w pełnym uzbrojeniu.

- Dziękuję, Wasza Łaskawość. To było oskarżenie, przeciw któremu zupełnie nie wiedziałam, jak się bronić.

- Ależ doskonale się pani broniła. Ta suknia, te włosy... - zamachał tłustą dłonią, by objąć całość jej osoby. - Żaden z członków tego trybunału nie uniknął wstrzymania oddechu, kiedy pani stanęła na progu. A są to brutale o twardym sercu, moja droga. Twardzi brutale. Gdyby było naprawdę parę tuzinów kobiet takich jak pani, które wyruszyłyby na pole chwały, mielibyśmy silniejszą motywację do odniesienia zwycięstwa. Aleśmy zwyciężyli i bez tego. A skoro dość sprytnie unikała pani odpowiadania wprost na nasze pytania, nie wyrzekła się pani swych sympatii politycznych i nie przeczyła swemu udziałowi w tym powstaniu, nie pozostawia nam pani innego wyboru, jak uznanie, że mamy bardziej niż wystarczające dowody, by panią aresztować pod zarzutem podżegania do buntu i rebelii. Oczekuję, że proces odbędzie się natychmiast i że zostanie pani uznana za winną, ale, jak powiedziałem, jest to sytuacja dość delikatna i musimy zachować pozory grzeczności i uczciwości, czy nie mam racji?

Od chwili, gdy Anne przekroczyła progi sądu, wiedziała, jakie będzie rozstrzygnięcie sprawy. Już niejednym razem przygryzła sobie język aż do krwi, ale tego było już dla niej za wiele i nie potrafiła opanować rumieńców, które wykwitły na jej policzkach.

- Nazywa to pan grzecznością i uczciwością? Czy to właśnie widziałam na drodze, jadąc dziś do Inverness? Naliczyłam czternaście trupów obdartych do naga i okaleczonych, leżących na trawie, by każdy przechodzący żołnierz pluł na nie i je kopał. Słyszałam, że na pobojuwisku pod Culloden wciąż leżą żywi ludzie, pozostawieni na dotkliwym zimnie, z nieopatrzonymi ranami, a warty rozstawione wokół wrzosowiska nie pozwalają ich rodzinom nawet na podanie

łyka wody, by lżej im było umierać. A jednak oferuje mi pan grzeczność i uczciwość? Dlaczego? Czy dlatego, że jestem kobietą i zasłużyłby pan na gorsze przezwisko niż „Rzeźnik Billy”, gdyby mnie pan kazał powiesić - tu spojrzała prosto w twarz Hawleyowi - czy to na jedwabnym sznurze, czy innym?

Cumberland jeszcze mocniej wytrzeszczył na nią oczy.

- Pani dowcipkowanie może pani zaszkodzić.

- Podobnie jak pana łatwowierność panu, Wasza Łaskawość - odparła. - Jeśli życzy pan sobie dać wiarę meldunkom, że na polu bitwy pod Falkirk były kobiety, to jakże poprawia pan wspaniałą reputację dzielnych ludzi dowodzonych przez pańskiego generała, którzy zawrócili i umknęli tego dnia!

Hawley wydał dźwięk, jakby się dławił, coś mu uwięzło w gardle i niewiele brakowało, żeby wyskoczył zza stołu, gdyby nie inny oficer, który przedstawił się jako pułkownik Cholmondeley i podjął wyzwanie.

- Jeśli, jak pani mówi, tylko dotrzymywała pani towarzystwa innym żonom oficerów, musimy pani przypomnieć, że pani mąż walczył w barwach regimentu brygad Królewskich Szkotów.

- On dobiera sobie towarzystwo według swego gustu, pułkowniku, ja według swego.

- Jest pani siostrzenicą Fearchara Farquharsona, prawda?

- Jestem jego wnuczką.

Cholmondeley sięgnął po pióro, zanurzył je w atramencie i skreślił notatkę na arkuszu przed sobą.

- Czy to on namówił panią do nieposłuszeństwa wobec męża i wciągnięcia klanu na służbę pretendenta?

- Od mego dzieciństwa, pułkowniku, nie namówiono mnie do niczego, czego bym sama nie chciała.

- Zwróciliśmy uwagę, że jeszcze nie zapytała pani o zdrowie męża - zauważył Cumberland. - Czy nie jest pani ciekawa jego losu w ostatnim starciu?

- Gdyby lord MacKintosh nie żył - odrzekła, przyglądając się uważnie nitce wystającej z mankietu - spodziewam się, że do tej pory już bym o tym usłyszała.

- Nie miała pani z nim żadnego kontaktu w ciągu ostatnich trzech dni?

Anne odrzuciła tę myśl razem z wyciągniętą nitką.

- Nie widziałam męża ani z nim nie rozmawiałam od kilku tygodni, ani też, o ile wiem, on się nie dowiadywał o mój spokój i zdrowie. Spodziewam się, w istocie, że panowie będziecie z nim mieli do czynienia dużo wcześniej niż ja, kiedy się dowie, że jego doborowe stado bydła zostało zawłaszczone i jego dom splądrowany przez waszych żołdaków. To dużo pewniej przyciągnie jego uwagę niż grzeszki zbląkanej żony.

Cumberland uśmiechnął się. Był to zły, szczwany uśmiech, który zaczął się od zesnurowania zbyt czerwonych warg i rozlał się na jego świńskiej twarzy jak krwawe cięcie.

- Tak się składa, moja droga, że pani mąż jest całkiem blisko. W zasięgu stu kroków, jak myślę. - Zwrócił się ku jednemu z oficerów z pytaniem. - Szpital jest o sto kroków stąd, czy się mylę?

Anne zeszywniała.

- Szpital?

- Cóż, w istocie nie jest to prawdziwy szpital - wyjaśnił Cumberland, obracając się na pięcie, by znów spojrzeć jej w twarz. - Ale nie mogliśmy przecież umieścić naszych rannych oficerów razem ze zwykłym motłochem.

Anne dwa razy otwierała usta, zanim ze ściśniętego gardła udało jej się wyartykułować słyszalne słowa.

- Angus jest ranny?

- Padł raniony na polu bitwy - dostał szablą w brzuch, jak mi się zdaje. Doktorzy, oczywiście, zrobią wszystko, co zdołają, ale... - Wzruszył ramionami, jakby diabeł dbał o to więcej niż on. - Rany brzuszne, z mojego doświadczenia, zwykle dość szybko okazują się śmiertelne.

Anne poczuła, jak deski podłogi uginają się pod jej stopami. Pokój zawirował, wywołując mdłości, a twarze oficerów za stołem rozmazały się i stały się niczym więcej niż cielistymi plamami nad połaciami czerwieni.

Rana od szabli w brzuch...?

Przez ostatnie trzy dni, za każdym razem, kiedy zamknęła oczy, przeżywała na nowo koszmar bitwy. Widziała umierającego MacGillivraya w

swych ramionach, żołnierza nadbiegającego z tyłu. Ona zrywa się i zamierza szablą, w pewnej chwili czuje, jak ostrze uderza i wbija się w żywe ciało. W jej śnie twarz jest rozmyta, ale teraz, mimo że twarze członków trybunału zbladły i odpłynęły w cień, twarz tamtego żołnierza ukazała jej się w całej ostrości. To był Angus.

- Dobry Boże - wyszeptała.

- Istotnie jest on w ręku Boga - przyznał Cumberland. - Przynajmniej tak mi powiedział chirurg.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Oczywiście, że pani może, moja droga. - Złośliwy uśmiech znów rozlał się na jego twarzy. - Gdy tylko powie nam pani wszystko, czego chcielibyśmy się dowiedzieć.

Zmarszczyła brwi, a myśli kłębiły jej się w głowie zbyt gwałtownie, by śledzić jego słowa.

- Mam wam powiedzieć...

- Nazwiska, moja droga. Chcemy nazwisk wszystkich wodzów i lairdów, którzy nosili białą kokardę. Powiedziała pani, że wyruszyła na tę wielką przygodę do Falkirk, głównie żeby dotrzymać towarzystwa zacnym mężom... chcemy wiedzieć, kim oni są. Lord Lovat, na przykład. Podejrzewamy, że był bardzo aktywny, ale brak nam dowodu. Potrzebne nam zaprzysiężone podpisane oświadczenie, bo nie jest tak łatwo wydać werdykt o winie członka parlamentu, jak przeciw pospolitym wieśniakom. Muszą być zabrani do Londynu i sądzeni przed Izbą... - rozłożył ręce, jakby prosił o jej potwierdzenie, że to naprawdę wielka trudność.

- I oczekuje Wasza Łaskawość, że podam te nazwiska? Że będę zeznawać przeciwko tym dzielnym ludziom? - Jej głos stał się miękki i stłumiony. Drżał przy każdym słowie i każdy, kto ją znał, instynktownie cofnąłby się o kilka kroków. - W zamian pozwoli mi Wasza Łaskawość odwiedzić męża, który, być może, jest umierający od śmiertelnej rany?

- Przedstawiłem pani istotę sprawy, moja droga. Współpraca. A wszystkie oskarżenia przeciw pani będą odłożone na bok. Zwolnimy nawet pani szanowną teściową, lady Drummur, ku wielkiej uldze strażników, którzy zmuszeni są dzień w dzień wysłuchiwać jej nieustannych kazań.

Anne mocniej zacisnęła pięści - tak mocno, że czuła, jak paznokcie wbijają się w dłonie. Sala, na szczęście, przestała wirować i kołysać się. Twarze oficerów też stały się wyraźniejsze, popatrzyła wzdłuż ich rzędu, przeszywając każdą swą pogardą, na koniec zatrzymując się na Johnie Campbellu, hrabim Loudoun.

- Wasza lordowska mość, przyznawał się pan do przyjaźni z moim mężem. Czy nie ma pan nic do powiedzenia przeciw tej farsie?

Loudoun odchrząknął, zasłaniając usta dłonią.

- Przedstawiono pani nasze warunki, lady Anne. Proponuję, by je pani przyjęła.

Anne spojrzała twardo. Loudoun wytrzymał cały ładunek jej odrazy prawie przez minutę, po czym przesunął dłoń do kołnierzyka. Wetknął palec pod płócienny krawat, by go rozluźnić, a kiedy to mu się nie udało, jego policzki zaczęły drzeć, broda obwisała, zaczął charczeć jak przyciężki buldog. W końcu zaczął się dławić tak poważnie, że oficerowie pomogli mu wstać i wyprowadzili go, potykającego się, tylnymi drzwiami, skąd jeszcze przez jakiś czas dało się słyszeć kaszlanie, bełkotanie i pomstowanie na temat "przeklętych diabelskich oczu".

- Czy możemy przyjąć, że potrzebuje pani trochę czasu, by przemyśleć swoją odpowiedź? - spytał Cumberland, leniwie wyskrobując jakiś pyłek zza paznokcia.

"Nie możesz mi pokazać, że ci na tym zależy. Nie wolno ci pokazać mi, że tak bardzo się tym przejmujesz, bo inaczej oboje z Angusem jesteście straceni."

- Może pan przyjąć, sir, że najdłuższy czas, jaki pan i ja mamy na tej ziemi, nie wystarczyłby, żebym ugięła się przed tak nieuprzejmymi żądaniem.

- Odważnie powiedziane, moja droga, ale może kilka dni w celi ze szczurami tak wielkimi jak psy pasterskie, trochę złagodzi pani brak rozwagi.

Cumberland skinął na pułkownika Cockayne'a, który wystąpił naprzód z najwyższą niechęcią.

- Proszę odprowadzić pułkownik Annę do jej nowej kwatery. Radziłbym też panu starannie ją obszukać, nim przekreśli pan za nią klucz; jeśli wdowa potrafiła przemycić przy sobie nóż dość duży, by wykluczyć oko jednemu ze strażników, to jestem pewien, że ta tutaj jest zdolna do tego samego. Ma pani ostatnią szansę, by się jeszcze namyślić i zmienić zdanie.

Annd dała mu odpowiedź, zebrawszy dość śliny pod językiem, by dosięgła wyglansowanego do połysku buta księcia.

28

Inverness, maj 1746

Strach dławił jajak ciężka derka narzucona na głowę. Oślizłe kamienne ściany celi wydawały się zamykać z każdym dniem ciaśniej; powietrze było tak duszne i paskudne, że musiała dyszeć, by osłabić ucisk w płucach. Odgłosy dobiegające z innych cel przenikały ją do szpiku kości i świdrowały w uszach jak bitewne wrzaski, które nawiedzały ją w snach każdej nocy.

W ciągu minionych sześciu tygodni Cumberland przychodził do więzienia trzykrotnie, proponując jej uwolnienie w zamian za dostarczenie dowodów przeciwko przywódcom jakobitów. Za każdym razem kazała mu iść precz, tak że oddalał się jak niepyszny, mamrocąc niemieckie przekleństwa.

Włosy Anne zmatowiały od brudu. Skóra była szara. Pod oczyma pojawiły się głębokie sińce. Dłonie miała poplamione na czarno, paznokcie popękane i zdarte od wielokrotnego podciągania się do wąskiego okna wyciętego wysoko w ścianie celi.

Nie wiedziała, co ma nadzieję zobaczyć oprócz błysku słabnącego światła, wskazującego, że jeszcze jeden dzień przechodzi w noc. Zarówno dzień, jak i noc wlokły się bez końca, jedno wypełnione koszmarami żywych, drugie zmarłych. Zaczynała nachodzić ją myśl, że byłoby błogosławieństwem, gdyby po prostu nie obudziła się któregoś ranka. Cumberland powiedział, że Angus wciąż żyje, ale nie miała powodu mu wierzyć. Jeśliby przeżył gorączkę i ropienie rany brzusznej, gdyby wciąż żył, z pewnością znalazłby sposób, by przekazać jej słowo od siebie. Nie wszyscy strażnicy byli wybrani ze względu na swoje okrucieństwo. Trafiali się i tacy, którzy nie patrzyli na nią lubieżnie i nie ocierali się, gdy przechodzili koło jej celi, tacy, którzy przemycali

dodatkowy kubek wody lub, co się zdarzyło, na pół ogryzionej nogi kurczaka w zamian za guzik od jej stanika w kształcie rozetki.

Oddała już wszystkie guziki, jedwab stanika stał się bardziej szary niż różowy, a jedyną wartościową rzeczą, która jej została - jedyną rzeczą, z którą by się nigdy nie rozstała, chyba że byłaby zdjęta z jej martwego ciała - była srebrna brosza z kryształem górskim, którą Angus dał jej w noc przed Culloden. Trzymała ją na piersi, wetkniętą pod gorset, i kiedy czuła, że słabnie, kiedy ogarniała ją rozpacz, a głosy umierających mężczyzn prawie ją ogłuszały, przyciskała do siebie metalowy talizman, aż przecinał jej skórę.

Nie podsunie Cumberlandowi łatwego wyjścia. Jeśli chce ją mieć martwą, będzie musiał wydać rozkaz powieszenia jej, a ponieważ Anne jest żoną liczącego się wodza, nie można tego zrobić bez zabrania jej najpierw do Londynu, by stanęła przed sądem.

Pospolici żołnierze i dezercerzy nie byli w tak szczęśliwym położeniu. Trzydziestu mężczyzn, których znaleziono w szeregach jeńców jakobickich, ale którzy wcześniej podpisali zobowiązanie, że będą służyć królowi, zostało ostatecznie skazanych i powieszonych, a sąd wojenny odbył się na godzinę przed tym, nim ich ciała zawisły obnażone i martwe. Jeden z tych ludzi był prowadzony obok celi Anne, wzywany na dziedziniec sądu biciem w bębny. Kiedy zatrzymał się na chwilę pod jej drzwiami, z trudem rozpoznała w nim pod warstwą krwi i brudu młodego Douglasa Forbesa. Skazaniec zdobył się na pożegnalny uśmiech, a później powiedziano Anne, że szedł pod szubienicę z podniesioną głową i nie przyjął przepaski na oczy, woląc patrzeć w przestwór nieba nad głową, póki zapadnia nie usunęła mu się spod nóg.

Co dzień przybywało więźniów, a kiedy Toolbooth wypełniło się ponad granice możliwości, ludzie byli zabierani do kościołów, a potem na okręty, które kolejno przekształcano w statki więzienne.

W ostatnich dniach kwietnia Cumberland przysłał rozkazy, że wszyscy znani z jakobickich przekonań lub o nie podejrzewani, mają być nadzorowani przez angielskich oficerów. Duchownym kazano sporządzić listy tych parafian, którzy byli nieobecni podczas trwania rebelii; wydano nakazy aresztowania wszystkich wodzów i szlachty, za których ujęcie i aresztowanie były wyznaczone nagrody. Cena trzydziestu tysięcy funtów została wyznaczona za głowę Karola Stuarta, a niższe, ale też znaczące sumy, przypisane do tych nazwisk, które brzmiały najczęściej na polu bitwy: Murray, Cameron, Glengary, Clanranald, Ardshiel. Regimenty piechoty i dragonów rozesłano, by polowały na uciekające kontyngenty jakobitów. Twierdza Lochiel w Achnacarry została zburzona, zamek obrócony w ruinę, a sam wódz i jego krewni musieli ukryć się w górskich jaskiniach. Szare chmury dymu zawisły nad dolinami, w których

palono chaty, a owce i bydło pędzono do Inverness. Cumberland otrzymał pełnomocnictwa, by robić, co uzna za potrzebne, by wypędzić buntowniczego ducha z Górnej Szkocji, i w swojej determinacji nie zważał na niewinność czy winę zwykłych ludzi. Mając do czynienia z tak wieloma więźniami, organizowano loterię, w której co dwudziesty człowiek był wyznaczany, by stanął przed sądem. Pozostali, jeśli było ich stać na kupienie sobie wolności, byli zwalniani pod warunkiem, że opuszczą Szkocję i nigdy do niej nie wrócą ci, którzy nie mieli pieniędzy, byli ładowani na statki transportowe i sprzedawani do pracy w koloniach.

Czterech członków arystokracji zostało aresztowanych i skazanych na egzekucję przez ścięcie toporem. Jednym z nich był hrabia Kilmarnock, którego żona gościła generała Hawleya w wieczór poprzedzający bitwę pod Falkirk. Krążyła plotka, którą powtarzano szeptem po nocach w całym Toolbooth, że to Murray z Broughton, dawny kwatermistrz księcia Karola, dostarczył koronnego dowodu przeciw hrabiemu w zamian za łaskę dla siebie. Szeptano też, że lady Kilmarnock uciekła patrolowi, który posłano, by ją doprowadził do Inverness, zaprawiwszy wino żołnierzom taką ilością opium, że zważyło ich z nóg.

Anne sama by chciała dostać trochę tego wina. Była głodna i zziębnięta; wiedziała, że Cumberland wkrótce znów przyjdzie, proponując jej jedzenie, czyste łóżko, gorącą kąpiel. Nie była pewna, jak długo jeszcze będzie zdolna odmawiać ani jak długo on będzie tolerował jej zuchwałość, ale wiele wskazywało na to, że stan zawieszenia musi się wkrótce skończyć. Król dał księciu Cumberland wolną rękę w postępowaniu z rebeliantami, ale po sześciu tygodniach niekontrolowanych rzezi i rozlewu krwi, okrucieństwa zaczynały przynosić odwrotny skutek, zmieniając strach w gniew, czyniąc gorliwymi neofitami ludzi, którzy poszliby spokojnie do domów leczyć swoje rany. Relacje w londyńskich gazetach zaczęły otwarcie określać Cumberlanda mianem "Rzeźnika Billy'ego". Zaczęto zgłaszać protesty w parlamencie od lordów domagających się bardziej cywilizowanego rozwiązania szkockiego problemu.

Wolna ręka Cumberlanda miała być wkrótce powstrzymana. Lady Drummuir już przeniesiono do wygodniejszej kwatery, chociaż wciąż pozostawała w areszcie domowym. Szesnaście innych dam - żon podejrzanych jakobitów - odesłano do ich rodzin po wstawiennictwie żon kilku parlamentarzystów. Anne wiedziała, że nie zapomniano o niej w jej cuchnącej małej celi; musi tylko przeżyć jeszcze dzień, mówiła sobie, no, może jeszcze następny...

Przyszli po nią nocą, gdy spała. Zardzewiałe zawiasy drzwi od celi zaskrzypiały w proteście przeciw ukradkowości, z jaką je otworzono, by wpuścić dwie zamaskowane postacie, które poderwały Anne na nogi, nim się zdążyła w pełni obudzić. Minęło kilka chwil, zanim na dobre oprzytomniała.

Tymczasem związano jej ręce skórzanym rzemykiem, długą, brudną szmatę wepchnięto do ust, a konopny worek naciągnięto na głowę.

Wydała zduszony dźwięk z głębi gardła i próbowała kopać swych napastników, ale coś twardego, tępego uderzyło ją w skroń, pozostawiając nikłą niteczkę świadomości.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że ktoś ją podnosi i zarzuca sobie na plecy, że niosą ją korytarzem i przez drzwi tak niskie, że jej napastnik musi się nachylić. Poczła prąd zimnego powietrza na nogach i usłyszała parskanie kilku koni. Jakaś peleryna lub koc owinęła jej ramiona, po czym wsadzono ją na konia i przywiązano dłonie do kuli u siodła.

- Trzymaj się. - Oszołomiona, poczuła ostre smagnięcie skórzanym rzemieniem po palcach. - Powiedziałem, trzymaj się siodła, suko, albo przywiążemy cię w poprzek jak worek odpadków.

- Śmierdzi już jak ściervo - odezwał się drugi głos i ktoś głośno pociągnął nosem. - Jak daleko ją mamy zawieźć? Noc jest diabelnie zimna i mgła już mi kapie po plecach.

- Dostaliśmy rozkazy. I wykonamy je. Mocno trzymaj lejce i rozglądaj się czujnie. Wyszlibyśmy wszyscy na przeklętych głupców, gdyby nam teraz uciekła.

Anne zamrugła i spróbowała skupić wzrok na prześladowcach, ale oprócz niewyraźnego migotania latarni, które przenikało przez zwój worka, nic nie mogła dojrzeć.

A więc tak. To nadeszło. Skończyło się czekanie. Cumberland w końcu stracił cierpliwość - albo nie miał już czasu czekać - i zamiast procesu, wydał rozkaz, by ją wywieźć i skrycie zamordować, pogrzebać gdzieś w bagnie lub w lesie, gdzie nikt jej nie znajdzie i nie dowie się, co się zdarzyło. Przypomniała sobie, jak kiedyś, gdy była młodsza, znaleźli szkielet. Jamie i Robbie kopali dół pod nową studnię i za którymś machnięciem łopaty wyrzucili czaszkę. Szczękę miała otwartą, w miejscu oczu wielkie dziury, część kości wgniecionych do środka, co nasuwało podejrzenie, że ktokolwiek to był, został zabity mocnym uderzeniem kamienia lub maczugi. Za dziesięć lat albo za sto dziesięć, ktoś może będzie kopał w tych lasach i znajdzie inną czaszkę. To będzie jej czaszka, ale tego nikt się nie dowie; i nikt nie będzie płakał na jej pogrzebie.

Przełknęła smak paniki, który narastał jej w gardle, i zacisnęła pięści na kuli u siodła, gdy konie ruszyły z miejsca. Więzy na nadgarstkach tamowały krążenie krwi i palce miała na pół zdrętwiałe. Przehandlowała swoje obuwie już

całe tygodnie temu i teraz bosa stopy wystawały parę centymetrów spod osłony, jaką mógł zapewnić rąbek znoszonej sukni. Siodło było popękane, a nierówne krawędzie wpijały się w uda z każdym szturchnięciem, ale w końcu ból sprawił, że całkiem wróciła jej przytomność. Orientowała się, że skręcili z Kirk Street i ruszyli wzdłuż Bridge Street ku rzece, a kiedy podkowy zastukały po drewnianych deskach, wiedziała, że przejechali po moście i oddalają się od miasta. Odgadła też po odgłosach trzeszczących siodeł i stukających podków, że jest z nią co najmniej tuzin jeźdźców- o wiele za dużo, by tak związana i zakapturzona mogła się im wyrwać. Z drugiej strony, jeśli wywożą ją w lasy, by ją zabić, co ma do stracenia?

- Nawet o tym nie myśl, kochaniutka - rozległ się zduszony pomruk obok niej. - Połowa tych ludzi była pod Falkirk i byliby szczęśliwi, mając pretekst, żeby wypalić z muszkietu w twój zgrabny zadek. A ja? Chętnie bym wsadził co innego w twój tyłek i mogę to zrobić, jeśli przysporzysz nam kłopotów.

Anne lekko odwróciła głowę. Przez wełniany kaptur nie mogła dobrze słyszeć, głos dobiegał zniekształcony, ale jednak brzmiał na tyle znajomo, że zmroził ją do szpiku kości i błyskawicznie stanął jej przed oczyma widok szramy na oku powleczonym bielmem.

Jechali w ciszy przez kilometr lub dwa, chociaż było trudno ocenić odległość lub czas. Z odgłosów znów poznała, kiedy zjechali z twardej drogi w szeleszczący gąszcz szuwarów. W wilgotnej mgłę czuło się powiew wiosny. Aromat młodych drzewek i zieleni mieszał się z intensywnym zapachem butwiejących liści i igieł sosnowych. Nie słychać było płynącej wody, więc nie trzymali się rzeki. Wprost na południe od Inverness, na przestrzeni dziesięciu kilometrów rozpościerało się pasmo gęstych lasów, które doskonale się nadawało do ich celów tej nocy. Anne zaczęła się zastanawiać, czy w ostatniej chwili wreszcie ściągnącej z głowy ten kaptur i czy będzie mogła raz jeszcze zobaczyć niebo i drzewa nad głową.

Jeden z ludzi zaklął, gdy gałąź rozerwała mu kubrak.

- Ile jeszcze mamy jechać, do diabła?

- Polana powinna być tuż przed nami.

Gałęzie szorowały po czubku głowy Anne przez następne sto kroków, a potem odprowadzono jej konia na bok i zatrzymano. Trzeszczenie skóry siodeł wskazywało, że eskorta zsiada z koni. Znów sięgnęły po Anne jakieś ręce, odwiązały ją od kuli, ściągnęły na ziemię. Pod stopami poczuła wilgotną, zimną trawę, ziemia pod palcami stóp okazała się nasiąknięta wodą i Anne zaczęła dygotać.

Chwytem za kark ktoś ściągnął jej z głowy kaptur, zamrugła powiekami. Znajdowali się na polanie otoczonej sosnami o potężnych konarach. Mgła sięgała im po pas, oświetlona z góry sierpem księżyca i dwoma żywicznymi pochodniami, które wetknięto w ziemię w pobliżu. Anne miała po obu bokach żołnierzy w czerwonych kubrakach z muszkietami gotowymi do strzału; po drugiej stronie polany jeszcze sześciu sprawiało wrażenie, jak gdyby wyczekiwali kogoś niecierpliwie.

Ta szóstka eskortowała jeszcze jedną znajomą postać, niską i przysadzistą, ubraną w ciemny płaszcz zapinany na pętelki ze złotej lamówki, z twarzą zacienioną brzegiem trójgraniastego kapelusza.

Książę Cumberland wpatrywał się w Anne przez długą chwilę, zanim dał znak jednemu ze strażników, by wyjął jej z ust brudny knebel. Kiedy to zrobiono, Anne językiem zgarnęła z ust skrawki nitek i brudu, ale tym razem brakowało jej śliny, by właściwie zareagować. Poczowała smak krwi z pękniętego kącika warg i kilka razy płytko wciągnęła powietrze, by skrzętnie zebrać, ile się da, wilgoci z mgły.

Książę powoli się zbliżył, z rękoma założonymi na plecach. Patrzył pogardliwie na jej wynędzniałą postać i uśmiechał się triumfalnie.

- Uroczy wieczór na ostatnią pogawędkę, nie sądzi pani?

Anne zacisnęła wargi i wytrzymała jego spojrzenie.

- Zdecydowana opierać mi się aż do końca, jak widzę - mruknął. - Prawdę mówiąc, wyznam, że była pani przeciwnikiem godnym podziwu. Myślałem o tym, jak panią złamać całymi tygodniami. Jeszcze ma pani czas, by przemyśleć sprawę na nowo; mamy jeszcze parę chwil do północy.

- Nie mam panu nic do powiedzenia - stwierdziła, głosem trochę więcej niż zachrypniętym.

- Nie spodziewałem się czego innego. Jest coś, co muszę załatwić, zanim zaczniemy. - Uśmiechnął się i skinieniem ręki przywołał jednego ze swych adiutantów. Żołnierz przyniósł księgę oprawną w skórę, otworzył i okazał księciu. Ten wyjął buteleczkę atramentu i gęsie pióro z sakwy, którą nosił przewieszoną przez ramię.

- Mam tu dokument - powiedział książę, obracając księgę tak, by Anne mogła widzieć, że zawiera ona dwa arkusze papieru - który wymaga pani podpisu.

Annę przeniosła wzrok z księcia na dokument, ale światło było zbyt słabe i pismo nieczytelne.

- Co to jest?

- Nic, co mogłoby być przyczyną obaw. Nic, co by wymagało kompromisu wobec pani zasad i poglądów politycznych ani, Boże broń, pani bohaterskiej pozycji we własnym klanie. Jest to tylko stwierdzenie faktu, że jest pani jakobitką, że dobrowolnie złamała pani posłuszeństwo mężowi i wezwała swój klan do broni i że entuzjastycznie uczestniczyła pani w aktach wojny przeciw Koronie.

- Przyznanie się? Czy to ma ulżyć pańskiemu sumieniu, zanim mnie pan każe zamordować?

- Moja droga lady Anne, gdybym po prostu chciał panią zamordować, nie robiłbym sobie tyle kłopotów, zapewniam panią. A co do mego sumienia, radziłbym pani nie badać więcej jego granic, podobnie jak mojej cierpliwości, jeśli już przy tym jesteśmy. Jedno i drugie jest niebezpiecznie bliskie wyczerpania. A teraz proszę podpisać. Zaczyna nam brakować czasu i te gry stają się męczące.

- W porządku, Anne. Możesz to podpisać.

Zaskoczona, podniosła wzrok, rozejrzała się dokoła, szukając źródła tego głosu. Nie ona jedna przebiegała oczyma krąg drzew; żołnierze obrócili głowy, wzniesli muszkiety i zwarli szeregi, a las nagle ożył od dźwięków i cieni. Z każdego drzewa, każdej kępy i kamienia, wyłaniały się, jak duchy spośród mgły, ludzie z klanu MacKintosh; większość uzbrojona w pałasze, pistolet i muszkiety. Odrywając się od reszty grupy i wchodząc w krąg światła pochodni, pojawił się Angus Moy, z barkami okrytymi tartanem w barwach leśnej zieleni, przepasanym skórzanymi bandoletami. To nie był dżentelmen. Zniknęła jego ogłada i elegancja, swobodna niefrasobliwość w układzie jego szczęk. Długie włosy spadały mu luźno na barki, broda była ciemna od kiełkującego zarostu; metaliczna szarość oczu płonęła takim blaskiem, jak światło pochodni i przywoływała na pamięć krew i historię jego wojowniczych przodków.

- W porządku, Anne. Możesz podpisać ten świstek; to była część naszej umowy. Powinien też tam być drugi dokument dla Jego Łaskawości, by złożył swój podpis na bezwarunkowym akcie łaski dla ciebie.

Anne poczuła, że robi jej się słabo, że traci oddech. Rozchyliła wargi bezgłośnie, układając je w kształt jego imienia.

- Pan też coś dla mnie ma, prawda? - upomniał się Cumberland, obracając twarz ku lairdowi klanu Chattan.

Angus lekko skrzywił głowę i jeszcze jedna postać w czarnym fraku i prostej koloratce duchownego wyłoniła się z zarośli. Człowiek ten najwyraźniej czuł się nieswojo w obecności tylu groźnych żołnierzy i uzbrojonych górali. Pospieszył przez polankę, zostawiając za sobą wirujące we mgle igły sosnowe.

- Mam rzeczony dokument, Wasza Łaskawość - wybełkotał prawie niedosłyszalnie. - Mam też list od Jego Królewskiej Wysokości Pierwszego Ministra, lorda Newcastle, proponujący, żeby Wasza Łaskawość podporządkował się warunkom porozumienia zaproponowanego przez lorda MacKintosh'a i jego londyńskich adwokatów. Oświadcza on, że jeśli Izba Lordów lub piekielne gazety zwęszą choć cień podejrzenia, że rozkazy bitewne tamtego dnia były sfałszowane lub w inny sposób, powiedzmy, podrobione, to konsekwencje mogą być zgubne i daleko idące. Co więcej...

- Tak, tak. - Książę przerwał mu, zdając sobie sprawę z bliskości Anne i ciężko uzbrojonych ludzi klanu, którzy, chociaż może nie byli zdolni dosłyszeć ani zrozumieć, o czym się mówiło, stanowili dla niego realną groźbę.

- Gorzko się do ciebie rozczarowałem, MacKintosh - powiedział książę. - Miałem daleko idące plany co do twej przyszłości tutaj, w Górnej Szkocji. Mogłem cię uczynić bogaczem, mogłem ci dać potęgę, mogłeś mieć miejsce w parlamencie, zostać nawet ministrem i zastąpić tego maminsynka Forbesa.

- Mam całe bogactwo, jakiego potrzebuję, tu przy mnie - odrzekł Angus z oczyma utkwionymi w Anne. - I jeśli zawiodłem Waszą Łaskawość, to mogę umrzeć ze spokojnym sumieniem.

Książę uśmiechnął się krzywo i wymamrotał pod nosem:

- Może szybciej, niż byś się spodziewał.

Ale Angus dosłyszał go i z uśmiechem znów uniósł rękę, przywołując następnych uzbrojonych górali z głębi lasu. Ci ostatni dosiadali koni, bestii doskonale wyposażonych w wojskowe siodła i czapraki, które identyfikowały ich jako wierzchowce Królewskich Dragonów.

- Czy mieliście jakieś trudności? - spytał Angus.

- Nie, kapitanie - odpowiedział Ewen MacCardle. - Znaleźliśmy ich dokładnie tam, gdzie pan powiedział, że mogą czekać, w przygotowanej zasadzce. Zostawiliśmy większość z nich w bagnie porzniętych jak wieprze.

Uśmiech Angusa był tak złowróźbny, jak kolekcja noży i pistoletów, które połyskiwały przy pasach. Zbliżył się, a Cumberland instynktownie cofnął się o krok. Żołnierze, którzy go eskortowali, zostali rozbrojeni w mgnieniu oka, podobnie jak strażnicy, którzy przyprowadzili Annę z Toolbooth. Obawiając się najgorszego, oficjalny urzędnik z Londynu wyjął wielką białą chustę i zaczął wycierać czoło.

- Ojej - wymamrotał. - A przecież to się miało zakończyć pokojowo.

- I tak będzie - powiedział Angus, chwytając pióro i atrament ze zmarzniętych rąk adiutanta Cumberlanda. - Gdy tylko Jego Łaskawość podpisze akt łaski.

- Ośmieliłeś się grozić siłą mojej osobie? - syknął Cumberland, wytrzeszczając oczy.

- Nie tylko bym zagroził, ale z radością poderżnął gardła panu i każdemu z pańskich strażników. Co więcej, pogrzebałbym was tak głęboko w tych lasach, że żaden diabeł nigdy nie znalazłby ciał, nikt nie dowiedziałby się, co się z panem stało - podobny los, jak sądzę, planowaliście dla mojej żony i dla mnie?

Książę zacisnął wargi na chwilę, potem wziął pióro, umoczył w atramencie i skreślił swój podpis na wskazanej stronie. Angus wyjął dokument z książki i delikatnie podmuchał na gniewny zawijas, nim złożył papier i wręczył urzędnikowi.

- Jeśli coś się z tym stanie, osobiście cię znajdę. Jeśli nie usłyszę od mojego londyńskiego adwokata w ciągu tygodnia, że otrzymał ten papier, przyjdę również po twoją rodzinę. Czy wyraziłem się jasno?

Urzędnik zachwiał się, przecierając czoło i szyję.

- Ależ tak... niezrównanie jasno, milordzie.

- Dobrze. A teraz ruszaj z moimi ludźmi. Zostaną przy tobie, póki statek nie przyplynie.

- Czekaście - zażądał Cumberland. Wskazał księgę Anne i stuknął palcem w zeznanie. - Nalegam, żeby otrzymać również jej podpis, jeśli łaska.

Angus popatrzył z odrażoną pulchny palec.

- Nie wydaje mi się, aby pan w tej chwili miał możliwość nalegać na cokolwiek.

- Nie - powiedziała Anne. - Z przyjemnością to podpiszę.

Sięgnęła po pióro. Dłonie wciąż miała związane, co utrudniało jej ruchy i przywołało dzikie przekleństwo na usta Angusa. Pochodnia rzuciła blask na ostrza które wyciągnął zza pasa. Jednym pociągnięciem uwolnił ją z więzów.

Anne zaczekała, aż wróci jej czucie w palcach, po czym podpisała się eleganckim zamaszystym charakterem: *Anne Farquharson Moy Mnie an Tosaich, pułkownik Brygady Królewskich Szkotów Jego Królewskiej Wysokości Karola Stuarta.*

Epilog

Anne powiodła delikatnie palcami po brzydkiej przędze blizny, która szpeciła gładką skórę pod żebrami jej męża. Leżał na boku i spał, ale pod dotknięciem jej palców, a potem warg, poruszył się i powoli przewrócił na plecy. Dostrzegł zapowiedź łez w jej oczach i westchnął, zamykając ją w ramionach i przytulając ciasno do piersi.

- To nie była twoja wina - mruknął, chowając usta w jej włosach. - Nie wiedziałaś, co robisz.

- Ale zrobiłam to wystarczająco sprawnie, by prawie cię zabić.

- Byłaś oszalała z gniewu, a ja nie usunąłem się dość szybko z twojej drogi. Nigdy więcej nie popełnię takiego błędu, możesz być tego pewna.

- Myślałam, że nie żyjesz - szepnęła. - Przez cały czas, kiedy nie miałam od ciebie wiadomości, myślałam, że cię zabiłam.

- Przez pierwsze dwa tygodnie też tak sądziłem. MacCardle zapewnia, że leżałem bez zmysłów w gorączce. A potem, kiedy wyzdrowiałem... - przerwał i znów ją pocałował, zamykając ciasno w ramionach. Anne wśliznęła się na niego - ...powiedziano mi, że jesteś w więzieniu i że niewiele da się zrobić, by cię uwolnić. O mało co na nowo nie straciłem zmysłów.

Leżąc na jego piersi, Anne ugięła ramiona i oparła brodę na dłońmiach, zadowolona, że może na niego patrzeć, że czuje, jak dłonie męża gładzą ją po plecach. Najmilsze chwile ostatnich dziesięciu dni spędzili w łóżku, większość czasu śpiąc, jedząc, kąpiąc się i znów śpiąc. Angus wymykał się od czasu do czasu, by nadzorować remont Moy Hall, gdyż Anglicy nawiedzali rezydencję kilka razy w czasie, gdy Anne była uwięziona, a po ich wizytach trudno było znaleźć krzesło bez rozerwanego obicia lub szafę, której nie porąbano na podpałkę. Większość służby wróciła, kiedy usłyszeli, że pan w jakiś cudowny sposób wywalczył wolność dla pani. Było tam też dwustu członków klanu obozujących nad jeziorem, a z każdym dniem przybywało ich więcej. Znaczną część stanowili ludzie MacGillivraya i MacBeana, którzy nie mieli domów, by do nich wrócić ani wodza, który by ich poprowadził. Z dwudziestu jeden lairdów z klanu Chattan, którzy stanęli w pierwszej linii u boku MacGillivraya, tylko trzech przeżyło natarcie, a i z tych dwu zmarło później z ran.

Ludzie z klanu, którzy trafili do Moy Hall, też należeli do najwaleczniejszych wojowników, i z Anne stojącą dumnie u jego boku, Angus oświadczył, że w najbliższych tygodniach i miesiącach będzie potrzebował każdego z nich. Po górach ukrywały się tysiące uciekinierów, którzy będą potrzebować żywności i ubrania, a także środków transportu, by wyjechać ze Szkocji, a ludzie MacGillivraya byli najlepszymi przemytnikami w Kaledonii. Anglicy systematycznie łupili Szkocję z bydła, owiec i żywego inwentarza w nadziei, że głodem zmuszą ludzi do podporządkowania się, ale dla wyjątkowej bandy rozbójników i złodziei bydła co ukradziono jeden raz, można było łatwo ukraść i drugi.

Poprzedniego popołudnia Angus dostał wiadomość od swego adwokata, że akt łaski dla Anne dotarł bezpiecznie do jego biura, razem z oświadczeniami pod przysięgą od trzech królewskich ministrów, którym Angus pokazał sfałszowane rozkazy bitewne. Cumberland natychmiast zniszczył otrzymany egzemplarz, który Angus zabrał z sakwy majora Worshama, ale był to tylko teatralny gest bez większego znaczenia, który co najwyżej mógł rozładować irytację księcia. Sam w sobie dokument nie dawał podstaw, by dowieść, że rozkaz jest sfałszowany. Nabierał wagi dopiero razem z innymi papierami, które były w posiadaniu Worshama, włączając w to obszernie notatki robione podczas spotkania z Cumberlandem, zawierające wyjaśnienia, jak łatwo było sfałszować podpis lorda George'a i dodać zdanie, które doprowadziło do niczym nieusprawiedliwionej, brutalnej rzezi. Angus sam pojechał do Londynu, by przedstawić dowody Pierwszemu Ministrowi i postawić warunki, pod którymi zgodzi się nie wysłać kopii wszystkich dokumentów do "London Gazette".

W dniach po bitwie pod Culloden, Cumberland uchodził za walecznego bohatera, który zatriumfował nad dzikością armii góralskiej, liczącej dwadzieścia tysięcy ludzi! Ocalił Anglię! Uratował koronę swego ojca!

Ale później, gdy opowieści o wieszaniu i brutalności zaczęły przeciekać na południe, gazety stały się mniej entuzjastyczne w pochwałach. Księżę Fryderyk Heski wrócił do domu z całą armią, która odmówiła walki pod wodzą takiego "rzeźnika", a ludzie byli oburzeni, gdy poznali prawdę. Zaczęli się także dopytywać, dlaczego wśród trzech tysięcy pięciuset rebeliantów, więzionych w Górnej Szkocji, tak mało jest jeńców wziętych do niewoli na polu bitwy w owym dniu.

Angus mógł przedstawić naocznych świadków całkowitego braku litości i niepotrzebnego okrucieństwa wobec umierających i rannych, to zaś razem z dowodami współdziałania Cumberlanda w sporządzeniu fałszywych rozkazów bitewnych, z dnia na dzień zmieniłoby w opinii publicznej bohatera w bestię. Triumf zamieniłby się we wstydliwą niełaszkę, a wywołana tymi rewelacjami fala współczucia dla Szkotów zarówno w Anglii, jak i zagranicą, umocniłaby ich pozycję w domaganiu się tronu dla Stuartów.

W zamian za milczenie w tej sprawie, Angus zażądał natychmiastowego uwolnienia z więzienia Anne na mocy bezwarunkowego aktu łaski. Co więcej, ponieważ służył w regimencie królewskim aż do momentu, gdy otrzymał prawie śmiertelną ranę od "jakobickiej" szabli, oczekiwał, że ustalone na początku warunki porozumienia o nietykalności zostaną dotrzymane i obejmą też lairdów, którzy przeżyli i rodziny poległych, należące do klanu Chattan.

Trzy tygodnie zajęło wysyłanie w tę i z powrotem kurierów między Londynem i Inverness, ale w końcu Angus wygrał. Wystąpił przed ministrem w czerwonej bluzie i złotych szamerowaniach oficera Szkotów Jego Królewskiej Mości, ale do Szkocji powrócił w tartanie i bandoletach jako człowiek w pełni posłuszny swemu przeznaczeniu. Cumberland zrobił wymianę tej samej nocy. Teraz, dziesięć dni później, Anne znajdowała się ciepła i bezpieczna w ramionach męża. Wciąż była straszliwie wychudzona i nocami nie zawsze miała spokojne sny, ale przynajmniej jadła i spała dość dobrze. Popłakiwała tylko wtedy, kiedy zbyt długo zostawała sama, i zaczynała rozmyślać o wszystkich bolesnych stratach.

- Urządziłem przeniesienie ciała Johna do Petty, na mały zielony pagórek wzniesiony nad zatoką.

- Podobałoby mu się takie miejsce - odpowiedziała miękko - gdzie mógłby spoglądać na wodę i mieć góry za plecami.

- A MacBean u jego boku, jak zawsze. Znaleźliśmy ciało Gilliesa i spytaliśmy Elizabeth, czy nie ma nic przeciw temu, że będą dzielić to zbrocze. Powiedziała, że to księdza by trzeba zapytać, bo ich dwóch na dziedzińcu kościelnym z pewnością by zbudziło diabła.

Oczy Annę znów załśniły, ale tym razem uśmiechem.

- Dziadek mi wczoraj powiedział, że Elizabeth spodziewa się dziecka, więc on nie odszedł tak zupełnie. Znów będą MacGillivrayowie w Dunmaglass.

- Jeśli to będzie syn, to spodziewam się, że będę musiał oddać mu puklerze jego ojca.

Anne zmrużyła oczy w złośliwym grymasie.

- Zastanawiałam się, skąd zdobyłeś to imponujące uzbrojenie, w którym wystąpiłeś na polanie. Prawie nie poznawałam w tobie tego wyrafinowanego, wykształconego dżentelmena, którego poślubiłam.

- Pasowało do mojego nastroju. A poza tym, pomyślałem, że potrzebuję trochę junackiej odwagi MacGillivraya, która mnie podtrzyma na duchu.

- Masz więcej odwagi, niż byłoby rozsądne i bezpieczne w tych dniach, milordzie. A może myślisz, że Cumberland zapomni, że go zaszantażowałeś?

- Na pewno nie zapomni. Ale już zabrał swą armię do Fort Augustus. Za miesiąc, kiedy mu się znudzi życie bez opery i łabędziej wątróbki, wróci do Londynu, a my niewiele będziemy dla niego znaczyć. A zresztą... - ostrożnie przekręcił się na bok, pociągając Anne za sobą. Jeszcze jeden ruch i znalazła się pod nim, z oczyma wielkimi i okrągłymi, niebieskimi jak szafiry. - Mam teraz ważniejsze sprawy, o które się powinienem kłopotać niż zraniona próżność tłustego małego tyrana.

- Ważniejsze?

Przez chwilę smakował gorąco jej pieszczotę, a potem zacisnął w dłoniach ogniste miękkie pukle jej włosów i przytrzymał ją, gdy ich usta stopiły się w długim pocałunku.

- Jeśli oczywiście nie wolałabyś porozmawiać - powiedział. - Bo to właśnie wyrafinowany, wykształcony dżentelmen mógłby zrobić w tych okolicznościach.

- W takim razie - jej dłonie prześliznęły się w dół do jego bioder - myślę, że wolę zatrzymać w sobie jeszcze przez chwilę mojego junackiego wojownika.

Podziękowania

Dziękuję Intrepids, Loopies i czytelnikom/cyberznajomym zA2R i RBL za dotrzymywanie mi towarzystwa o drugiej i trzeciej nad ranem, gdy moje postacie nie dają mi spać i każą stukać w klawisze.

Szczególne podziękowanie składam Ruth Mounts za podsuniecie mi tytułu, który budzi o wiele więcej refleksji i emocji.

A także Adrienne Bali, przyjaciółce i publicystce, która zagroziła, że będzie się dąsać przez cały następny rok, jeśli nie umieszczę gdzieś w tej książce wzmianki o niej.

Od autorki

Zdarza się nieraz, że jakieś zadanie wymaga od nas wyjątkowo dużo wysiłku, za nic jednak nie zrezygnujemy z niego, bo działa tu przymus serca. Tak właśnie było w przypadku Honoru klanu. Naprawdę zaczęłam pisać tę opowieść dziesięć lat temu, zaraz po tym, gdy skończyłam *W jaskini lwa* i *The Blood of Roses*. Zbierając materiały na temat powstania jakobitów, zetknęłam się z postacią pułkownika Annę i uznałam, iż jest to postać na tyle barwna, że jej historia wzbudzi zainteresowanie czytelników. Nie, to źle powiedziane, ona zasługiwała na opowieść o sobie. Przystąpiłam zatem do dzieła, ale po stu stronach przerwałam pracę, bo uświadomiłam sobie, że zbyt długo przebywałam w Szkocji i dlatego muszę spędzić jakiś czas z dala od Culloden, by osiągnąć

dystans, który pozwoli mi oddać Annę sprawiedliwość. Po–tem prawie każdego roku wyciągałam teczkę i kartkowałam napisane już strony, ale za każdym razem odkładałam je z powrotem na bok, czując, że nie jestem jeszcze gotowa, że wciąż tkwią w mojej pamięci zbyt mocno dwie pierwsze powieści, abym mogła spojrzeć świeżym okiem na historię Annę. No dobrze, przyznam się: dość poważnie się obawiałam, że wszystkie emocje, jakie budziła we mnie szkocka rebe–lia wypaliły się w czasie pisania *The Blood of Roses*.

Trzy lata temu Marjorie Braman zaproponowała mi, bym zrobiła korektę za–równo *W jaskim lwa*, jak i *The Blood of Roses* i uaktualniła je do nowego wydania. Właśnie skończyłam pisać jedną książkę o czasach regencji: *Pale Moon Rider* i za–warłam umowę na drugą *Jak błyskawica*, ale gdy przepisywałam na komputerze dwie szkockie powieści, czułam, że włosy mi się jeżą na karku. Historia Annę żyła we mnie, postacie wdzierały się w moje myśli nawet wtedy, gdy goniłam autobusy na ulicach Londynu. Wciąż nurtowało mnie pytanie: Jak mam napisać powieść o kobie–cie zakochanej w dwóch bardzo różnych, a jednocześnie podobnych wewnętrznie mężczyznach? Jak oddać czyny, zmagania i poświęcenie wszystkich trojga bohate–rów, by ich postacie były wiarygodne i aby przemawiały do serca czytelnika? I jak przekonać delikatne czytelniczki, które natarły mi uszu po skończeniu *The Blood of Roses*, że prawdziwą tragedią nie jest strata, ale zapomnienie.

Annę i Angus Moy, John MacGillivray, Gillies MacBean, a nawet Fearchar Far–quharson żyli naprawdę, są bohaterskimi ludźmi z przeszłości i mam nadzieję, nie będą mieli za złe, że snując opowieść, pozwoliłam sobie skorzystać z tego, co się nazywa *licentiapoetica*. Listy, jakie otrzymałam od potomków Lochiela i Alexandra Camerona, stanowią dla mnie przyjemną nagrodę, mogę tylko mieć nadzieję, że Mac–Kintoshowie będą równie mili.